
3 1761 04722083 5





HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

Warszawa. — W drukarni Noskowskiego, Warecka № 15.

ST. TARNOWSKI

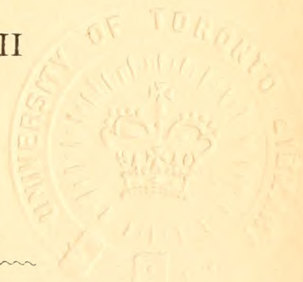
HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

WYDANIE DRUGIE

PRZEZ AUTORA PRZEJRZANE I DOPEŁNIONE

TOM III

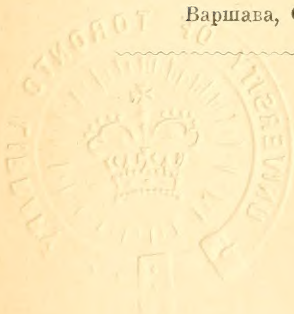
WIEK XVIII



WARSZAWA
GEBETHNER i WOLFF

1906

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, Сентября 6 дня 1905 года.



ROZDZIAŁ I.

(1700 — 1733).

I. Wiek XVIII. Studyum bolesne, ale potrzebne. Koniec historycznego procesu. Jego pierwiastki. Jego skutki. Nowe mocarstwa. Piotr W. Prusy. Polska. Stan wewnętrzny za Sasów. Literatura. Dążenie do naprawy i ratunku. Trzy okresy. II. Karwicki. Założenie jego dzieła. Zmiana w formie rządu. Pozorna nie istotna. Reforma. Ograniczenie *Veto*. Justitia distributiva. Wybieralność urzędów. Organizacya wojska. Ograniczenie elekcyi. Wartość dzieła. Szczuka *Eclypsis Poloniae*. Jan Stanisław Jabłonowski. Jego poezye. Więzienie. Pisma prozą. *Skrupuł bez skrupułu*. Dziejopisarstwo. Otwinowski. III. Król Leszczyński. Jego *Głos wolny*. Powody napisania. Znaczenie. Duchowieństwo. Rozdawnictwo starostw i urzędów. Cztery Ministerya. Rady wojewódzkie. Sejmiki. Sejm walny. Ograniczenie *Liberi Veto*. Sprzeczność. Plan administracyi. Poddani. Miasta. Wojsko. Skarb. Sądownictwo. Sposób elekcyi królów. Zakończenie. Mniejsze pisma Leszczyńskiego. Wyspa Dumokala. Broszury w sprawie własnej. Charakter pism filozoficznych i moralnych. Zasługa Leszczyńskiego w historyi. IV. Wystąpienie Konarskiego. Sprawa buław. Pisma w sprawie elekcyi z roku 1733.

I.

Wiek XVIII. Studyum bolesne, ale potrzebne. Koniec historycznego procesu. Jego pierwiastki. Jego skutki. Nowe mocarstwa. Piotr W. Prusy. Polska. Stan wewnętrzny za Sasów. Literatura. Dążenie do naprawy i ratunku. Trzy okresy.

Przykro jest zajmować się Polską XVIII wieku, poznawać ją, uczyć się, jaką ona była. Sam tragiczny koniec sprawia, że z największym tylko przymusem i wstrętem można myśl zatrzymać na tym widoku. Są rzeczy, na które ludzka natura się wzdryga, wrażenia, od których myśl cofa się z przerażeniem, instynktowo. A to wrażenie znajduje się w naszej historyi XVIII wieku. Z jednej strony długie. rozumne, dobrze obrachowane przygotowania do zbrodni, z drugiej czasem opór, czasem usiłowanie ratunku, czasem nawet nadzieja, że się wyratować zdoła, a potem koniec. Dlatego samego już byłoby nieznośnie zajmować się tą epoką; a to jeszcze nie najgorsze. Straszna jest rzecz ból, nieszczęście, zbrodnia, ale jest coś smutniejszego, bardziej palącego jak to wszystko: wyrzut sumienia, że się samemu w wielkiej części swojemu nieszczęściu winno. A tą goryczą, tą żółcią i octem napawa nas bez miłosierdzia nasza historya XVIII wieku. Nie: na nic tam spokojnie, na nic śmiało nie można spojrzeć, bo i to, co było najlepszem, co przywykliśmy słusznie czcić i kochać i uważać za swoją chlubę, i to nie było

takiem, jak być było powinno. Konfederacya Barska? Niezawodnie akt patryotycznego instynktu, pierwsza protestacya przeciw pierwszemu oczywistemu naruszeniu niepodległości, jako taka na zawsze szanowna, czy jest tak chlubną, jak nam się wydaje dla tego swojego charakteru? Niestety, tak nieradna, tak w sobie nie zgodna i nie jedna, a przez to tak słaba, tak pozbawiona politycznego rozumu i zdolności. A prócz tego wiele w niej tkwiło na dnie osobistych i domowych interesów i celów, wiele nienawiści do króla, do Czartoryskich? Może nie mniej jak do cesarzowej i Repnina. Sejm konstytucyjny? Pomimo całej czci i całej wdzięczności, jaka mu się należy, jakże nie widzieć tej dobroduszności dziwnej, z jaką gada i obraduje przez lat cztery, i zanim cokolwiek zrobić zdołał, daje Rosyi czas ukończyć wojnę turecką i obrócić się na Polskę? Jak mu nie mieć za złe, że dał się tak łatwo wywieść w pole królowi pruskiemu? Albo że o stotysiącznym wojsku mówił wiele i winszował sobie, że je uchwalił, ale nigdy nie postawił. Powstanie Kościuszki wreszcie? Honor uratowało, zrobiło tyle, że drugi rozbiór nie przeszedł tak sromotnie, jak pierwszy, milczkiem; ale jego słabość, jego niemożność zwycięstwa, czy nie jest dla nas wyrzutem i upokorzeniem? A te trzy fakty, to to, co świetne i piękne, to wszystko, na co się odwołać możemy w ostatniej epoce naszej historyi; a naprzeciw tych, nie tak świetnych jak się wydaje, ile rzeczy ohydnych od konfederacyi Radomskiej aż do Targowickiej, od pierwszego podziałowego sejmu do sejmu Grodzieńskiego! Nie mówmy, że ten wstyd nie nasz i na nas nie spada, tylko na głowy tych lub owych ludzi i stronnictw. Na nich najbardziej, to pewna; ale nizko musiał był upaść i naród, który takich ludzi, takie stronnictwa z siebie wydawał, który ich poskromić nie umiał, ani nawet przeszkodzić im nie zdołał. O smutnych rzeczach i smutnych czasach mówić mamy, ale kto wie, czy nie o naj-

bardziej nauczających: czy nie o tych właśnie, o których myśli się i czyta z największym pożytkiem. Nigdy się człowiek tak dobrze nie nauczy, co jest winien swojemu krajowi, jak patrząc na te liczne i ciężkie przeciw niemu grzechy; nigdy tak nie pragnie widzieć go podźwigniętym, jak kiedy go widział w tym upadku i poniżeniu. Moralna nauka i moralny pożytek z poznania XVIII wieku, dla człowieka który dobrze czuć i myśleć umie, jest wielki, a to studyum bolesne, jest może dla nas i najzdrowszem. Nie leńmy się więc i nie wahajmy poznawać wieku XVIII w jego złem i dobrem, w jego publicznych i prywatnych zgorszeniach, i w jego patryotycznych, cywilizacyjnych, szlachetnych dążeniach, w jego czynach i w jego myśli, w jego historyi i w jego literaturze; przyda nam się to bardzo, a poznawszy go, przecież ostatecznie będziemy musieli przyznać, że pomimo wszystkiego, co mu można zarzucić, mamy mu wiele i bardzo wiele do zawdzięczenia.

Uczony Sybel, w czasach kiedy nie był jeszcze historyografem niemieckiego cesarstwa, wykładając raz w Bonn historyę XVIII wieku, zakończył ją słowami: *das Jahrhundert schloss mit einem Königsmord und mit einem Völkermord.*

Taki jego koniec był naturalnym skutkiem tego historycznego procesu, który zaczęty w wieku XVI dojrzewał stopniowo w teoryi i w praktyce, w filozofii i w polityce, aż wreszcie dojrzał zupełnie, wydał owoc, a z nasion tego owocu wyrosła historya XIX wieku.

Były w nim pierwiastki dwa: jeden musiał prowadzić do anarchii w czynach, drugi do anarchii w umysłach i sumieniach. Ten pierwszy, to omnipotencya państwa, racya stanu, wcielona zrazu w despotyzm monarchiczny, a później przechodząca na despotyzm rewolucyjny. Drugi to swawola myśli pod pozorem jej wyzwolenia. Myśl jest wolną z natury, i inną choćby chciała być, nie może; nic na świecie nie może jej ani skrępować, ani ujarzmić, ani zmienić. Ale wolną bę-

dąc, ona przecież z natury swojej ograniczoną jest jak wszystkie inne władze człowieka; a kiedy tego swojego przyrodzonego prawa uznawać nie chce, kiedy tego swojego przyrodzonego ograniczenia nie rozumie, wtedy stwarza odmęt i chaos pojęć, który porwie i obłąka miliony umysłów, a w ład i równowagę ułożyć się nie daje.

Wiek XVIII głosił, i wprowadził w życie wolność myśli jak mniemał, a naprawdę swawolę rozumu, kiedy mu przyznał prawo rozstrzygania i stanowienia o wszystkiem, a nie dał mu (dać nie mógł) możności i własności dobrego, prawdziwego sądu o wszystkiem. Naprzód, rozumów jest tyle ile ludzi na świecie, a każdy jest inny; powtóre każdy jest ograniczony. Jeżeli zaś jeden, to tak samo inny, tak samo każdy, ma prawo o wszystkiem rozstrzygać i stanowić. Zamęt staje się nieuniknioną koniecznością. W tem był zasadniczy błąd XVIII wieku i powód, że ani sam nie trafił do tego celu dobrego o jakim marzył, ani wiekowi następnemu dojść do niego nie dał. Nie pojmujemy woli ludzkiej absolutnie wolnej, ograniczamy ją prawem; nie pojmujemy sumienia absolutnie wolnego, dajemy mu za stróża moralność. A myśli, sprężynie i duszy jednego i drugiego, powiadamy, że ona jest absolutnie wolną, że jest najwyższą instancyą. Powstaje ztąd sprzeczność faktyczna naprzód, skoro ta wolna myśl nie jest wolną w praktyce, bo ją ogranicza ograniczenie woli i sumienia; prócz tego sprzeczność wewnętrzna, zasadnicza, między uprawnieniem różnych władz duszy, różnych jej części; organiczna niejedność i rozprzężenie zaszczepione w człowieka i w społeczeństwo.

I to się stało. Myśl rozkiełznana, uznająca się za nieograniczoną, musiała pociągnąć za sobą i wolę i sumienie. One także zaczęły sobie przyznawać prawo do absolutnej wolności; wola do wykonania wszystkiego czegoby zachciała, sumienie do zrzucenia z siebie wszystkich praw, którym było zawsze, którym zawsze

musi być poddane, skutkiem woli Stwórcy, a natury stworzenia.

To jest źródło i tego zepsucia obyczajów w życiu prywatnem, i tego bezprawia w życiu politycznem, jakich wiek XVIII dał widok i przykład odrażający, jak mało który w historyi. Odżyło pod działaniem humanizmu starożytne pojęcie państwa, jako najwyższej zasady, najwyższego prawa i celu. Ale państwo nie jest istotą, nie chodzi po świecie, i działa samo; musi się w kogoś wcielić. Wciela się w człowieka. Tego człowieka myśl, wola, namiętność, żądza, zrasta się z ideą dobra państwa; i kiedy przyjęło się to fałszywe pojęcie, że dobro państwa, że racya stanu, jest najwyższem prawem, wtedy wyobraziciel tego państwa, panujący, dochodzi do emancypacyi sumienia, do przekonania, że skoro on coś dla dobra państwa robi, to to dobrem być musi; on nie ma grzechu, bo on dla tego najwyższego celu robi co powinien.

Od połowy XVII wieku racya stanu nad wszystkiem. Ludwik XIV był doskonałym wyobrazicielem tego stanu rzeczy. Naturalnie, zaraz pokazały się skutki. Racya stanu, wcielona w jednego człowieka, stała się jego nieomylnością, miała jego pasye, jego słabości, jego wady; racya stanu wymagała wojen zaborczych i *de magnificence*, jak wymagała legitymacyi bękartów, opłacania metres, zbytków, wydatków, podatków: ale król mniemał, że jemu wszystko wolno, bo w nim jest racya stanu. Wolno mu napadać Holandyę, Hiszpanię, Palatynat, Frydrykowi Szląsk; i wolno zdzierać i ciemiężyć poddanych. Państwo stało się nieszczęściem sąsiadów i nieszczęściem poddanych.

Podkopywało się samo, podkopywała go filoficzna myśl. Reformacya nie wiedziała, że kwestyonowanie i przeczenie nie zatrzyma się na katolicyzmie, ale pójdzie dalej. Za pytaniem: na co Papież i Kościół, poszło pytanie, czy na prawdę Jezus Chrystus? a dalej czy, i zkąd, i na co Bóg? czy istotnie dusza nieśmiertelna?

Postępowało to zwolna, ale ciągłym postępem, od Spinozy do Lockego, od tego do Voltaira i Encyklopedystów. Voltaire nie był sensualistą jak Locke, i jakiegoś Boga przez siebie aprobowanego uważał za potrzebnego; ale wiara określona, ale nauka i artykuł wiary, był przesądem, chrześciaństwo *Infâme.*

Konsekwencye były naturalne. Kto zniesie *Credo*, ten prędzej czy później zechce znieść Dziesięcioro Przykazań; kto znosi wiarę, musi znieść powszechne zasady moralności; kto się uzna sędzią w rzeczach wiary, musi dojść do tego, że i moralność podda pod swój sąd. Godziwem będzie to, co on za takie uznaje. Dla racyi stanu, dla Frydryka i Katarzyny maksyma wygodna. Tymczasem nadużycia despotyzmu coraz nieznośniejsze. Ludzie potrzebują ulgi. Tymczasem myśl filozoficzna szuka przyczyny i uzasadnienia tego stanu rzeczy. Gdzie zasada? gdzie prawo? Zkąd i dlaczego przywilej? Po pytaniu: czy Papież, czy Bóg, poszło pytanie: dlaczego król, i czy król? Jego własne nadużycia prowadziły do odpowiedzi, że to stan rzeczy nieprawny. Ludzie są wolni, ludzie są równi. Władza jakaś jest potrzebna, ale musi wynikać z woli tych ludzi, a nie sama z siebie. Jej podstawą jest *umowa społeczna* zawsze warunkowa i wypowiedzialna. Wszystko inne jest niesprawiedliwością, tyranią. Teorya każda, przechodząc w praktykę, miesza się z namiętnościami i niedorzecznościami tych milionów głów, przez które przechodzi; ta teorya w tem połączeniu wydała rewolucyę francuską, która znalazła gotową zasadę *Racyi Stanu*, godziwość wszystkiego co się dla tej *Racyi* robi. W tej samej chwili *Racya Stanu* pozwala jednym na rozbiór Polski, a drugim na ścięcie Ludwika XVI. Dlatego *Das Jahrhundert schloss mit einem Königsmord und mit einem Völkenmord.* Dlatego nasz wiek XX zna tylko dwie siły: Racyę Stanu i godziwość wszystkiego co się robi dla państwa—i niegodziwość wszystkiego co jest, a godziwość wszystkiego co się robi, żeby obalić to co

jest. Oboje równie fałszywe i zabójcze, oboje w istocie swojej te same, identyczne. Ubóstwienie człowieka, jego wola, jego chęć, jego żądza, jako jedyne prawo i jedyny cel — Tylko w pierwszem jest to ograniczone na pewną małą liczbę ludzi, panujących lub rządzących: w drugiem rozciągnięte na całe mnóstwo głów i żądz, z których się ludzkość składa, a znowu wcielone w jednego lub w kilku.

Są w XVIII wieku wielcy ludzie, są pozostałe po nim wielkie zdobycze, wielkie dobra. Ale to nieprawda, żeby on był się skończył wyzwoleniem człowieka i oswobodzeniem narodu (Ameryki); on się skończył rozbiorem Polski i krwawym głupim Terrorem we Francyi. Nieprawda, żeby on był otworzył erę wolności: on tylko otworzył drogę despotyzmowi, naprzemian militarnemu, policyjnemu i rewolucyjnemu. I jego następca już się skończył, a wolności nie widział i nie znał. Jeżeli te zarody dobrego, jakie były w myślach i dążeniach XVIII wieku, mają wydać owoce, to pierwej zniknąć muszą chwasty jakie on zasiał, a które do dziś dnia tamto dobre głuszą. Ten choas, ten brak moralnego gruntu i wędzidła, w którym żyjemy i na który cierpimy, jest jego dziełem. On wszystko zakwestyonował, nauczył nas w nic nie wierzyć i nic nie szanować. Zaczął od Boga, za tem poszła władza. Została wprawdzie niby miłość i poszanowanie człowieka: i ludzie jak Rousseu, nawet może sam Voltaire, byli w dobrej wierze, kiedy o tem mówili. Ale ta filantropia, którą i Robespierre wyznawał, skończyła się na bezprzykładnem w dziejach prześladowaniu człowieka podczas Terroru. Deklaracya praw, owo *credo* wolności, nie broniła ani podejrzanych, ani bez sądu ścinanych na gilotynie; równość wszystkich zaafirmowała się ryczałtowem ścinaniem niektórych; a wolność polityczna największą jaką być może negacyą władzy, śmiercią głowy rządu, i tyranią, jakiej żaden król przedtem sobie nie pozwolił.

My przynajmniej nie mamy za co wielbić ani kochać XVIII wieku. Takiego przykładu zdrad, jakie dał światu Frydryk na Austryi i Polsce, przedtem nie było; a obrzydliwość i zgroza tej polityki podwaja się jeszcze tą sentymentalną filantropią i tą bezczelnością hypokryzyi, z jaką się dokonywała. Tymczasem sumienie publiczne w Europie nie protestowało; owszem okadzało i Frydryka i Katarzynę pochlebstwem, uważało ich za wzory monarchów jak być powinni. Nigdy Filip II, nigdy jego ojciec na szczycie swojej uniwersalnej potęgi, nigdy Elżbieta, co więcej, Henryk IV tak godzien czci i chwały, nigdy nie byli tak powszechnie w całej Europie i tak bałwochwalczo czczeni i chwaleni, jak była Katarzyna i Frydryk w wieku XVIII. To daje miarę jego zmysłu moralnego. Jeszcze raz, za wiele rzeczy należy mu się sprawiedliwość i wdzięczność, ale z sympatyą, ze czcią, z zapałem, wspominać go niepodobna.

Zmienia się w owym czasie polityczne położenie nietylko Polski, ale całej Europy; nieznacznie wprawdzie, ale stanowczo. Z początkiem wieku wybucha współzawodnictwo Francyi i Austryi ostatnią, dla obu zgubną walką, wojną, o sukcesyę hiszpańską. Na pozór, dla współczesnych, zmiana była może małą i niedostrzeżoną; zawsze cesarz był pierwszym między monarchami Europy, zawsze Francya pomimo rejencyi, pomimo Ludwika XV, była obiecaną ziemią oświaty, która swoim blaskiem ćmiła resztę świata, a okruszynami swoich dostatków karmiła uboższych i pokornych. Ale w gruncie stan rzeczy się zmienił. Był dom cesarski otoczony pompą i opromieniony resztkami dawnej chwały i potęgi; był dwór wersalski: obadwa imponowały reszcie świata, ale środek ciężkości spraw świata przeniósł się na długo gdzieindziej. Francya wycieńczona wojnami i zdzierstwem Ludwika XIV, poniżona rządami Rejenta i Ludwika XV, przebywa epokę ciężkiej niemocy, a równocześnie proces wewnętrznego

przeobrażenia, którego rezultaty w końcu wieku miały się objawić. Cesarstwo od pokoju westfalskiego ugodzone było w samo serce; na pozór jeszcze czerstwe i zdrowe, nosiło w sercu zaród śmiertelnej choroby, która podkopała same podstawy jego bytu, samą jego ideę, a nie miało, nie mogło mieć, jak Francya, tyle w sobie siły żywotnej, żeby z tego kryzysu wyjść odrodzonem i silnem. Czasy Józefa I, Karola VI, są dla niego epoką bierności, ciszy przed burzą; czasy Maryi Teresy początkiem końca, który polityka Józefa II przyspiesza. Turcya po wyprawie wiedeńskiej złamana, pozbawiona możności tej polityki zaboru i rozprężania się, która była jej właściwym żywiolem, zaczyna tę długą agonię, która się dotąd nie skończyła.

Natomiast zaczęły powstawać i ważyć na szali wypadków nowe siły, nowe potęgi, z któremi trzeba było się rachować. Rzecz to jest stwierdzona tysiąc razy w historyi, że ile razy jakaś polityczna sytuacya dojrzeje, ile razy jakiś prąd wzbierze do pełni, znajdzie się zawsze człowiek, który będzie tej sytuacyi wyrazem, narzędziem, który ją owładnie i dalej poprowadzi. Cezar zjawił się w Rzymie w sam czas, żeby zadać ostatni cios upadającej Republice; Cromwel w sam czas, żeby uratować i podnieść potęgę Anglii; Henryk IV, żeby zamknąć erę wojen domowych we Francyi. Prawda ta stwierdza się dla złego częściej jak dla dobrego, a nigdy nie stwierdziła się dobitniej, jak kiedy instynkty i dążności Rosyi wcieliły się w Piotra Wielkiego.

Instynkt jakiś, popęd do panowania nad światem, ukazuje się od najdawniejszych czasów wrodzonym tej rasie. Zaledwo się podniósł z pod gniotącej nogi hanów tatarskich, zaledwo przestał pielgrzymować do hordy jak hołdownik, zaraz zaczął Wielki Kniaź moskiewski przemawiać do królów Europy nie jak równy, ale jak wyższy, jak Pan. Dyplomatyczne formułki jego tytułów, przestrzegane przez jego ajentów z całą

ścisłością, wydawały się ówczesnej Europie arogancyą. Oni jednak wiedzieli dobrze co robili; a formułkom ich i pretensyom odpowiadały oddawna knute plany rozbioru Polski. Instynkt trafny ostrzegał ich, że wsunięci w sam kąt Europy, pomiędzy Polską i Turcyą, niczem być nie mogą. Ztąd ten nieustający pęd na Zachód, to mieszanie się wszelkimi sposobami w sprawy Polski, te nieustające dążenie do zaboru krajów polskich, którego pierwszy okres zakończył się traktatem Andruszowskim.

Teraz, w chwili, kiedy Polska doszła do ostatniego rozkładu, i kiedy Turcya zaczęła upadać, zjawił się tam człowiek, który na usługi tych popędów zaborczych przyniósł dwie rzeczy, absolutną władzę i geniusz, barbarzyński, ale niewątpliwy. Celem jego pierwszym było wedrzeć się do Europy, zrobić żeby jego Rosya liczyć się mogła między narody i państwa europejskie. Przyswaja jej więc gwałtem pozory i formy europejskiej cywilizacyi; ducha tej cywilizacyi, wyrobionego na chrześcijaństwie łacińskiem, na odrodzeniu nauk, na długich walkach wolności z feudalizmem, tego oczywiście przenieść nie mógł. Nie przemycił zdrowych i szlachetnych pierwiastków europejskiej cywilizacyi, ale uzbroił swe państwo we wszystkie wynalazki i urządzenia mechanicznej siły. Stanęło więc w Europie społeczeństwo, które nie odbyło z nią długiego historycznego wychowania, które z nią nic wspólnego nie miało, ale które dorównało jej niebawem pod wzgiędem materyalnej siły. Siła ta kierowana przez jedną zawsze wolę, a oddana na usługi instynktów dominacyjnych, od pierwszej chwili stała się groźbą dla Europy, a przedewszystkiem dla Polski.

W tym samym czasie, w pierwszym roku tego wieku, zostaje elektor brandenburski królem pruskim. Jeżeli nie można bez podziwienia i bez strachu patrzeć na żelazną konsekwencyę, z jaką Rosya wykonywała swój plan i cisnęła się w środek Europy, to równe po-

dziwienie i równa surowość, należy się wytrwałości, z jaką dom Hohenzollernów prowadził swój wzrost. Zrazu zdaje się, że tylko prosta domowa ambicya, która zamienia piękne małe margrabstwo, gniazdo rodu, na piaszczyste elektorstwo, dla tytułu i większego znaczenia. Ale z biegiem czasu zaokrągla się ta posiadłość; z przezornością równą wytrwałości, nie narażając się nigdy, nie żądając nigdy wiele naraz, zyskują elektorowie Prusy na Polsce, potem emancypują się coraz bardziej z pod jej władzy, postępują ostrożnie i nieznacznie, aż w wojnach szwedzkich wielki Kurfürst wywiera wpływ stanowczy na losy większych od siebie, Polski, Szwecyi i Cesarstwa. Wojenni czy pokojowi, na pozór najodmienniejsi od siebie, wszyscy jeden po drugim od XV wieku myślą tylko o tem i do tego dążą, jakby się stać potęgą w Niemczech. Krok stanowczy po temu czyni Wielki Elektor; syn jego płaci drogo koronę królewską, tak drogo, że następca nie może mu przebaczyć tej rozrzutności. A jednak i ten tytuł był wielkim krokiem naprzód nie marnem cackiem, i Fryderyk I stanąwszy w rzędzie królów, posunął naprzód dzieło. Następca, dziwaczny, dziki, na pół szalony ojciec Frydryka II, zbiera skarby i organizuje wojsko, którego sam nigdy nie używa: ale które niebawem posłużą synowi do zaboru Szlązka, a przez rozbiory Polski, poprowadzą dalej Prusy na tej drodze, na którą nieśmiało wstępował dom ten w wieku XV, może nawet nie marząc o tem, jak daleko na niej dojdzie, a u której końca my go widzimy — nad spodziewanie może nawet samego Fryderyka W.

Wzięta w kluby pomiędzy te dwie organizacye tak silne, te dwie konsekwecye nieubłagane, te dwie niemoralności bezprzykładne, nie mając koło siebie nic prócz Austryi, której niedorzeczna względem Polski polityka na niej samej się pomściła, i Francyi osłabionej, odległej, podupadłej, rządzonej kaprysem pani Pompadur i Dubarry, cóż pocznie Polska bez wojska,

bez pieniędzy, bez rządu, bez myśli o sobie? Jeżeli tego wszystkiego nie stworzy, zginie, musi zginąć; jeżeli nie zniesie *veto*, nie zaprowadzi zasady większości w sejmach, jeżeli nie da ostatniego grosza na podatki i wojsko, zginie oczywiście. Nie da go, nie odstąpi swoich nałogów i przywilejów, nie poświęci nic, jeżeli położenia swego nie zrozumie!

Czy je rozumiała? Historya odpowiada, że nie, że zrozumiała za późno. Z tego letargu, w któryśmy popadli, z tej bezwładności, która nas opanowała skutkiem tryumfu jednostki nad społeczeństwem, a jednej klasy nad narodem, nic nas otrząść nie mogło. Wojny Piotra W. z Karolem, medyacya Piotra W., ostateczny nieład za Augusta, szereg zrywanych sejmów, wszystko to nie robiło wrażenia. Smutna Elekcya Agusta III, to świadectwo tak oczywiste utraty niepodległości, nielicznym tylko otworzyła oczy—jego straszne panowanie, trzydzieści lat bierności, wstydu, upokorzeń, jeszcze nie wszystkich przekonały. Trzeba było aż klęski nienagrodzonej, pierwszego rozbioru, żeby myśl ratunku przyjęła się w większej liczbie głów.

Przy takiem położeniu zewnętrznem, wewnętrzne jeszcze smutniejsze. Od niebezpieczeństw postronnych można się bronić i obronić, jeżeli się o tem myśli, jeżeli się tego chce: a tu nikt dosyć nie myślał i nie chciał. „Polska nierządem stoi — słabość jej siłą, bo słabej Polski potrzebują sąsiedzi", to aksyomat ówczesnej politycznej mądrości. Król August II nierządu nie chciał, owszem, byłby lubił rząd, nawet despotyczny, miał pewne po temu zachcenia; ale słabość Polski nie szkodziła mu nic, bo o Polskę w gruncie nie dbał. Wielkie stanowiska i wpływ możnych domów były zawsze, ale znikczemniały zupełnie. Nie stać ich już nawet na rokosze, robią tylko burdy, mniej lub więcej gorszące i krwawe, ale pozbawione wszelkiej (choćby nawet złej) myśli i dążności. Konszachty z obcymi dworomi, jeżeli nie częstsze jak dawniej, to jeszcze

obrzydliwsze, otwarciej sprzedajne. Złota wolność taka, że siedmnaście sejmów z rzędu było zerwanych, a więc ani prawnie pobieranych podatków, ani opatrzenia granic, ani poprawy praw, ani nic zgoła—„jedz, pij i popuszczaj pasa”, o jutrze nie myśl! Że w takim stanie swego państwa August II zdołał odebrać Kamieniec z Podolem, to policzyć mu trzeba za zasługę, za dowód i dobrej woli i sztuki. Trzydzieści z górą lat takiego stanu rzeczy pokazało się w skutkach po jego śmierci, w tej nieszczęsnej elekcyi Augusta III, najzupełniej, najoczywiściej nieprawnej, ale przeprowadzonej przez nieskończenie małą mniejszość, pod zasłoną wojsk rosyjskich i pod groźbą wojny. Gdyby wtedy był zasiadł na tronie Leszczyński, gdyby przez te trzydzieści lat, kiedy w Rosyi nie było tęgiej głowy ani przedsiębiorczego ducha, był się wziął do dzieła poprawy Rzpltej tak, jak ją pojmował, Katarzyna byłaby może zastała Polskę o tyle wzmocnioną, że nie byłaby mogła pokusić się o rozbiór. Zamiast tego, zasiadł na tronie ciężki głupi Sas, który przez całe lat trzydzieści nic nie myślał, nic nie chciał, nic nie robił. I znowu to samo co za jego ojca, tylko im dalej, tem gorzej naturalnie. Ani jednego już sejmu ordynaryjnego, rozkład coraz straszniejszy; upadek publicznego ducha taki, że gdyby rozbiór zamiast w końcu XVIII wieku był przyszedł w jego połowie, kto wie czy naród nie byłby przeszedł pod obce panowanie z obojętnością niedołężną, z obumarłą bezwładnością organizmu gotowego na to, by był rozłożonym i strawionym.

Czem jest literatura epoki saskiej? Jest podobna do stanu politycznego. Za Augusta II przez lat trzydzieści ani jednej wyższej zdolności, ani jednej książki dobrze napisanej. Poezya straszliwa, bez treści, bez formy, nudna nad wszelkie pojęcie, niedołężna i dziwaczna tak, że wydaje same potwory albo same karykatury; historya spisuje katalogi królów od Lecha do Augusta; wymowa tworzy panegiryki, których już sa-

me tytuły są śmieszne; nauka? nauki nie ma. Oprócz Załuskich, oprócz tych kilku uczonych Niemców, którzy zbierają historyczne materyały, gdzie jest w Polsce ówczesnej choćby jeden człowiek uczony? Odrętwienie w literaturze takie same, jak w życiu politycznem.

Na pociechę i obronę naszą powiedzieć sobie możemy, że jest to chwila w całej Europie dla literatury nie świetna, a pod względem domowego i publicznego obyczaju nie lepsza, niż u nas. W innych krajach wszakże skutki polityczne nie były tak złe, jak u nas, dlatego, że państwo było silniejsze, organizacya rządu sprężystsza, zatem przyszłość bezpieczniejsza czy od zewnętrznego nieprzyjaciela, czy od wewnętrznych zamieszek. Co do oświaty zaś i literatury, to inne narody miały tę nad nami wyższość, że nawet, kiedy nie miały wielkich talentów, to nie zalegały pola, nie ustawały w pracy, i miały zawsze większą liczbę ludzi oświeconych i uczonych, myślących i dążących. U nas dążenie samo słabło stopniowo ciągle od końca XVI wieku i to na wszystkich polach, aż doszliśmy do bezwładności w polityce, do uśpienia i zastoju w życiu umysłowem.

Pomału jednak sam nadmiar złego, sprowadził szczęśliwy zwrot. Nigdy nie jest tak źle, żeby już nie było wcale ludzi dobrych; nigdy tak ciemno, żeby nikt jasno nie widział. Są też i za Sasów patryoci, i są ludzie myślący. W literaturze jedna tylko gałąź może się takimi trochę pochlubić, to jest literatura polityczna. Wcześnie, bo w pierwszych zaraz latach wieku zjawia się Karwickiego projekt reformy, nie doskonały zapewne, ale znaczący i dobry, skoro dążył do zabezpieczenia sejmów i do ograniczenia elekcyi, zatem do umożliwienia Rzpltej. Jego następca stoi już o wiele wyżej. Przez cały ciąg panowania Augusta II, głównym reprezentantem dążeń reformatorskich i cywilizacyjnych, i to reprezentantem bardzo poważnym, jest

król Leszczyński. Jego dzieło, *Głos Wolny*, acz w wielu punktach hołduje jeszcze przesądom panującej w Polsce opinii, jest, ogółem wziąwszy, doskonałe i przyczyniło się znacznie do zwyciężenia opinii tych nałogów, tego ślepego przywiązania do nierządu i słabości, które Polskę gubiło. A więcej jeszcze dobrego zdziałał Leszczyński tym wpływem cywilizacyjnym jaki wywierał; kształceniem młodych Polaków na ludzi europejskich, tem, że z jego pomocą uczyli się rozumieć warunki istnienia państw. Wpływ ten naturalnie działał bardzo pomału. Cywilizowała się zrazu mała garstka ludzi, i ta, wróciwszy do kraju, udzielała z siebie tych promieni światła. Trzeba było dużo czasu, żeby cały naród przesiąkł zdrowszemi wyobrażeniami, i ledwie pod koniec wieku, po nauce pierwszego rozbioru, większość dała się przekonać, że poprawa jest konieczną. Ale już w początkach panowania Augusta III, przybyło tyle ludzi rozumnych i dobrze myślących, że stronnictwo reformy stało się możliwem. Po Leszczyńskim więc, jednym człowieku, ta rola patryotyczna i cywilizacyjna przechodzi na stronnictwo. Zaczyna się rola Czartoryskich; zaczyna się reforma wychowania przez Konarskiego; a po latach trzydziestu tych przygotowań było jednak o tyle lepiej, że Konarski mógł przyłożyć siekierę do korzenia i wydać otwartą wojnę *Liberum Veto.* Książka *o Skutecznym Rad Sposobie* stanowi epokę w historyi politycznych pojęć polskich. Czartoryskim nie powiodło się w końcu. Samo wyniesienie Stanisława Augusta na tron było klęską ich polityki, ale to jeszcze mniejszą, i raczej klęską dla ich domowej ambicyi, aniżeli dla ich polityki. Ta przez samą elekcyę Poniatowskiego stanowczo pobitą nie była, skoro mogli jeszcze w roku 1766 wnieść na sejm cały daleko sięgający projekt zmian w konstytucyi. Klęską stanowczą dla ich polityki i dla Rzpltej było dopiero *Veto*, położone przeciw reformie przez Rosyę, popartą w tem przez całą partyę starorepublikańską.

Zajmująca ta przemiana wyobrażeń odbiła się w pisarzach politycznych tego okresu. Możemy na nich śledzić i wykazać dokładnie, jak stopniowo rozwijały się te pojęcia, które w końcu wieku wydały konstytucyę 3 Maja. Ciekawy i nauczający jest widok tych ludzi, którzy poznawszy, że jest źle, szukają w czem leży ostateczna jego przyczyna. Zrazu jest to macanie bez skutku. Rozumieją tyle, że Polska nierządem nietylko nie stoi, ale nim upaść musi; ale zaślepieni swojem przywiązaniem do *Veto* nie widzą, że tam leży sam rdzeń nierządu, i nie żądają jego zniesienia, co najwięcej, i to bardzo nieśmiało, lepszego jego opisania. Karwicki, piszący w pierwszych latach wieku, kocha *Veto* całem sercem i obstaje za niem najszczerzej. W lat blisko trzydzieści później, król Leszczyński, nauczony daświadczeniem panowania Augusta II, żąda już reformy nierównie zupełniejszej i gruntowniejszej, a chcąc zatrzymać *Veto*, nie wiedzieć, szczerze czy z obawy, żeby nie urazić panujących przesądów i nałogów, popada w największą sprzeczność, bo je zostawia i broni go jako klejnotu wolności, ale zarazem stara się go obchodzić różnymi sposobami i wyobraża sobie, że pod pewnymi warunkami nigdy do użycia tego prawa nie przyjdzie. Potem przeszło znowu drugie lat trzydzieści, te sromotne lata Augusta III, w ciągu których oczywistość złego dojrzała do takiego stopnia, że dojrzeć musiała i opinia, a świadomość potrzeby ratunku musiała się przecież przyjąć w umysłach. Teraz dopiero umiano trafić na rdzeń złego i na jedyny sposób zaradzenia: zniesienie *Veto* i zasada większości głosów w uchwałach. Ta była główna myśl reformy, rozpoczętej przez Czartoryskich po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta, ta jest treść książki Konarskiego *o Skutecznym Rad Sposobie*. Ani tamci jednak, ani oni nie odnoszą zwycięstwa. Pisarz dostaje wiele pochwał, wielu przekonał; politycy spotykają się z opozycyą, która ich oskarża o absolutystyczne dążenia, i z notą Repnina i Benoita

żądających w imieniu swoich dworów utrzymania *Liberum Veto.* A tak mniejszość, zwyciężana systematycznie przez trzy wieki, jeszcze raz została zwyciężoną, tym razem przez alians zaślepienia polskiego z planami i przemocą Prus i Rosyi.

Po tem smutnem zwycięstwie nastąpiła niebawem konstytucya roku 1768 i gwarancya wszystkiego tego, co Polska uważała za klejnoty swojej wolności, przez to państwo, które w cztery lata później miało na niej wykonać pierwszy rozbiór. To skutkowało; na sejmie czteroletnim pogrzebano *Veto* i elekcyę, ale było za późno.

Te przemiany myśli i pojęć, jakie się w ciągu tego wieku odbyły we Francyi, odbijały się bardzo wyraźnie i u nas, i ślady ich znajdziemy w naszej literaturze. Z Niemcami nie mieliśmy styczności prawie żadnej, na wielką szkodę naszej literatury, i wszystko co oni na tem polu w wieku XVIII wydali, doszło do nas o lat prawie pięćdziesiąt później. Inne kraje Europy tem mniej wywierały na nas wpływu, ale wpływ francuski był stałym i wszechwładnym. Nie w literaturze tylko, a wiadomo, że nasza, kiedy się z upadku dźwigać zaczęła, za pomoc i wzór wzięła sobie francuską, i trzymała jej się wiernie, aż do zbytku. Ale i w literaturze, i w historyi, i w życiu potocznem, powtarza się u nas to, co się tam dzieje. Filozofizm francuski, niedowiarstwo, grasuje u nas jak tam, tylko na szczęście nie dochodzi tak głęboko; rozpusta w obyczajach do francuskiej bardzo podobna; wreszcie nasze wyobrażenia o rządzie, o politycznej i społecznej reformie, są w związku z francuskiemi, a nieraz wprost ztamtąd przychodzą. Na dziele Konarskiego, na projektowanej reformie Czartoryskich, znać wyraźnie Montesquiusza. Później, kiedy czasy gorsze, a ratunek coraz gwałtowniej potrzebny, nasi politycy mniejsi i więksi lubią udawać się naiwnie po radę do francuskich mędrców, jak się do doktora idzie po lekarstwo; a wpływ

Rousseau, a wyobrażenia, wyjęte żywcem z *Contrat Social* widać w pismach naszych republikanów, czy najmniej poważnych jak Adam Rzewuski lub Turski, czy najpoważniejszych jak Staszyc. Równocześnie z powstaniem demokracyi francuskiej, dawna demokracya szlachecka w Polsce zaczyna się przeradzać w coś innego, na francuski sposób. Stanisław August, Czartoryscy pojmują ją jako środek zwalenia oligarchii i wzmocnienia władzy; chcą przypuszczenia nowych ludzi, żeby dawne prawo publiczne obalić i poprawić. Nieco później zjawia się po raz pierwszy w Polsce poczucie demokratycznej równości w miastach, i to w tym samym prawie czasie, kiedy *tiers état* podnosi głowę we Francyi. Wreszcie, nie brak śladów i na to, że nienawiść społeczna, że ten jad, który zatruł rewolucyę francuską i wiek XIX, a którego w dawnej Polsce nie było, zaczął pomału przeciskać się i do nas. Agitatorowie wieszań warszawskich, francuskie duchy, jak ich Kiliński nazywa, dowodzą tego wyraźnie, a w samej nawet literaturze znajdują się niektóre na to dowody

Jak rozszerza się i wzmaga duch publiczny, uczucie, że Rzplta ginie i że tylko zmianą konstytucyi ratować ją można, tak równocześnie, tylko prędzej, rozszerza się i świadomość panującej w Polsce ciemnoty, zawstydzenie i pragnienie oświaty. Te dwie rzeczy, dążność do reformy i chęć zrównania innym na polu nauki, literatury etc., stanowi piękną cechę i zasługę ludzi wyborowych w pierwszych latach Stanisława Augusta. Naprzeciw tego stoi konserwatyzm szlachecki, który reform nie chce, interes możnych domów, którym one grożą zmniejszeniem wpływu, nienawiść do króla i do Czartoryskich, oparta u jednych (uczciwie) na tem, że ich mieli za stronników rosyjskich, u innych (nie uczciwie) na tem, że byli u władzy; przeciw temu wreszcie cały zastęp politycznych spekulantów, szalbierzy i awanturników. Ta strona zwyciężyła raz w konfederacyi Radomskiej; co było w niej lepsze

go chciało ratować sprawę przez konfederacyę Barską i przegrało; co było gorszego przewodziło na sejmie podziałowym. Pierwszy okres panowania Stanisława Augusta kończy się z tym sejmem; a przez następnych lat dwanaście dokonała się ogromna praca w narodzie. Naprzód przekonano się prawie powszechnie, że nie utrzymaniem dawnej konstytucyi szlacheckiej, jak chciała konfederacya Barska, da się Rzplta uratować, ale jej zmianą, rządem, stworzeniem państwa, którego nie było. Polska nowa w tych latach się zrodziła; a z nią równocześnie, pod wpływem nieszczęścia i sromoty rozbioru, zrodził się i ten patryotyzm namiętny, fanatyczny, który widzimy w sejmie czteroletnim i po nim. Starsi ludzie, Stanisław August na czele, chcą reformy i oświaty; młodszym to nie wystarcza, trzeba im zemsty, trzeba upokorzenia Rosyan, trzeba wojny. Honor i patryotyzm podniosły się w tym okresie ogromnie. Dawne wyobrażenia i dawne zepsucie są jeszcze i przy pomocy rosyjskiej, zwyciężają w drugim rozbiorze, ale naród jest podniesiony, duch polski jest uratowany; i to jest niezaprzeczenie zasługą epoki Stanisława Augusta.

W literaturze jak w historyi, nasz wiek XVIII dzieli się wyraźnie na trzy okresy, a tu jak tam najsmutniejszy jest początek. Za Augusta II literatura ma zaledwo parę ludzi myślących do wykazania. Za jego syna jak szerzą się zdrowsze pojęcia, świadomość i potrzeby ratunku i jego środków, tak wzmaga się pragnienie oświaty, praca, liczba ludzi uczonych, choć nie ma jeszcze prawdziwie zdolnych pisarzy. Za Stanisława Augusta walka miłości ojczyzny i rozumu z zaślepieniem i z przemocą, kończy się tragicznie na polu wypadków; ale ten sam duch w piśmiennictwie odnosi skutek, zwycięża, zabezpiecza Polsce i oświatę i świadomość siebie na porozbiorowe czasy.

II.

Karwicki. Założenie jego dzieła. Zmiana w formie rządu. Pozorna nie istotna. Reforma. Ograniczenie *Veto*. *Justitia Distributiva*. Wybieralność urzędów. Organizacya wojska. Ograniczenie elekcyi. Wartość tego systemu. Szczuka *Eclypsis Poloniae*. Jan Stanisław Jabłonowski. Jego poezye. Więzienie. Pisma prozą. *Skrupuł bez Skrupułu*. Dziejopisarstwo. Otwinowski.

Na samym wstępie do ośmnastego wieku, w chwili najopłakańszego stanu Rzpltej, zatem w chwili, kiedy z doświadczenia już Polska nauczyć się była mogła, co warte bezkrólewia i zrywanie sejmów, kiedy przechody wojsk saskich, rosyjskich i szwedzkich, powinny ją były przekonać, do czego prowadzi niemoc i niedbałość, zjawia się reformator i próbuje radzić. Jest nim Stanisław Dunin Karwicki, a jego dzieło ma tytuł *De Corrigendis defectibus in Statu Reipublicae Polonae*. Dziwnem zrządzeniem jest on nam najmniej znanym. Dzieło jego aż do roku 1871 nigdy drukowanem nie było; ztąd nie dziw, że mało wiemy o jego pomysłach, nieraz i o jego egzystencyi. U współczesnych jednak miał on sławę, a książka choć nie drukowana, musiała być dość rozpowszechnioną. Załuski w swojej bibliografii nazywa ją bardzo mądrą; Konarski w *Skutecznym Rad Sposobie*, poświęca całą połowę jednego tomu na roztrząsanie zawartych w niej pomysłów i polemizuje z jej stronnikami, których republikantami nazywa.

Kto był ten Karwicki? Był podkomorzym sandomierskim; urodził się w ostatnich latach Władysława IV, mówi bowiem o sobie, że ma lat 63, a że pisze

w każdym razie pomiędzy rokiem 1705 a 1709, przeto rok urodzenia wypada pomiędzy rok 1642 a 1646. Przez czterdzieści lat, mówi, zajmuje się sprawami, co znaczy, że musiał piastować różne urzędy w swojem województwie; a że mówi o elekcyach i sejmach, na które patrzał, więc wnieść można, że bywał posłem i sam za siebie królów wybierał.

Osoba zresztą mniej nas obchodzi. Ogólnie tylko powiedzieć jeszcze trzeba, że z dzieła poznać można trzeźwy i rozsądny umysł myślącego człowieka, uczciwą i szczerą dobrą wolę obywatela. Wielkiego polityka, męża stanu w całem znaczeniu słowa, z tym orlim wzrokiem, który siedlisko złego dojrzy odrazu, tego dzieło nie wskazuje. Owszem, znać umysł łatwy do pomyłek, do przyznawania rzeczom podrzędnym największej wagi, gotowy upatrzyć sam rdzeń złego w jednym jego szczególe, i wierzyć, że ten szczegół zmieniwszy, reszta pójdzie jak z płatka; ale pomimo to, pomimo, że nie znajduje tego słowa zagadki, które w pięćdziesiąt lat po nim znalazł dopiero Konarski, jednak szuka dobrze, i w tem szukaniu natrafia na rzeczy, które umie i dobrze osądzić, i nieraz wynaleźć na nie środek.

Non ordine, non regimine, sed solo Foto regitur Respublica Polona — kładzie on za godło te słowa Batorego, a w przedmowie mówi, że nie pierwszy on zwrócił uwagę na smutny stan Rzpltej, że wielu znakomitych ludzi, wielu królów myślało o naprawie, ale myśl pozostała bez skutku. Nie jeden bał się, aby „chcąc okiełznać swawolę, wolności nie zgotował jarzma", a przeto mniemał, jak jego na tej drodze poprzednik Zawadzki, że „bezpieczniej jest dać się nieść losom, jak zmyliwszy się w radzie, wplątać Rzeczpospolitą w niebezpieczeństwa i zgubę jej przyspieszyć". Karwicki nie godzi się na ten niedołężny i występny fatalizm; wie, że naród powinien o sobie radzić, a nie zdawać się na łaskę losów. Próbuje więc radę wynaleźć, a wynaj-

duje jak mniema taką, która i swawolę ukróci i wolność wcale zachowa, „która głos wolny nietkniętym zostawi, a zapewni dochodzenie sejmików i sejmów, zatamuje źródło wiecznych niechęci i zatargów, którem jest rozdawnictwo urzędów, wskaże sposób utrzymywania stałego i dobrego wojska bez uciemiężenia włościan, a wreszcie opisze sposób jak bezkrólewia, elekcye i koronacye odbywać się mogą w ośmiu tygodniach, bez żadnego wstrząśnienia ani niebezpieczeństwa".

Zobaczymy jak się z tej obietnicy wywiąże.

„Tenże sam prawie jest los Rzeczy Pospolitych, co wielkich budynków: małe zwątlenia małą pracą dają się naprawić. Ale gdzie fundamenty obsiadłe lub zachwiane, gdzie szpary i pęknięcia grożą zawaleniem murów, tam żartowałby chyba ten, co szpary chciałby zalepiać, a o wzmocnieniu fundamentów nie pomyślał. W Polsce doszliśmy już do tego, że ta ogromna budowa, zachwiana tylorakiemi wstrząśnieniami waśni wewnętrznych, żadnemi choćby najlepiej uchwalonemi prawami, uratować się nie może, jeżeli zarazem nie zaprowadzi się zmiany w samej formie rządu, której jeżeli my z przekonania, z zamiaru i rady nie zrobimy to zrobi ją przypadek lub podstęp, i będzie zmiana na gorsze, zmiana na despotyzm, lub na rozbiór Rzeczypospolitej pomiędzy sąsiednie państwa".

Po takim wstępie zdaje się czytającemu, że usłyszy to słowo, na które czeka od lat pięćdziesięciu, *znieść Veto*! i postawić wojsko! tyle wojska, żeby przed Sasami i Rosyanami mogło zatrzasnąć wrota „zajezdnej karczmy".

Tego niema; jest za to twierdzenie, że musimy zmienić formę rządu, i albo powrócić do monarchii, albo stworzyć Rzeczpospolitą prawdziwą. Jest Polska monarchią i demokracyą, te zaś dwa pierwiastki z natury sobie sprzeczne, z natury wiecznie do tego dążące, żeby się wzajemnie pochłonąć, muszą być z sobą w walce, muszą rodzić wieczną nieufność i zawiść,

zwłaszcza, że i król ma dość jeszcze władzy, żeby się kusić o więcej, i stany mają jej tyle, że króla mogą ukrócić. Trzeba więc albo wrócić królowi prawa nabyte przez stany i zaprowadzić czystą monarchię, albo odjąć mu i te jeszcze, które ma i zaprowadzić czystą Rzeczpospolitą.

Przy zastanowieniu, dochodzi się do przekonania, że to prawda tylko pozorna, że współistnienie tych dwóch pierwiastków nietylko nie sprzeciwia się wolności, potędze i postępowi narodów, ale owszem dziwnie im sprzyja. Historya angielska nie jest niczem innem, jak historyą takiego ustawiania władz do równowagi pomiędzy parlamentem a koroną, a dotąd nie znalazła ludzkość żadnej formy społecznego życia, któraby narodowi zapewniała więcej szczęścia, więcej wolności, więcej bezpieczeństwa i więcej potęgi, jak właśnie ta, w której oba te pierwiastki występują obok siebie. Nie rozdział władzy pomiędzy króla a sejm był powodem naszego upadku, ale raczej zły jej rozdział, raczej to, że ani król ani sejm władzy na prawdę nie trzymał.

Inna rzecz, jeżeli zapytamy czy Polska nie byłaby lepiej na tem wyszła, gdyby była monarchią czystą lub czystą Rzecząpospolitą. Że w pierwszym razie nie byłaby doszła do rozbiorów, w to uwierzyć łatwo, a sam Karwicki wyznaje, że tę formę rządu uważałby za najbezpieczniejszą. Ale widząc, że o zaprowadzeniu jej mowy być nie może, doradza przynajmniej czystą Rzeczpospolitą.

Czy Rzeczpospolita byłaby Polskę uratowała i czy byłaby w niej możliwą? Co do pierwszego, nie ulega wątpliwości, że byłaby mniej niebezpieczną od tronu elekcyjnego. Wyobraźmy sobie w miejscu naszych bezkrólewiów prosty obiór jakiegoś prezydenta, a w miejscu tronu nierównie mniej ponętne krzesło prezydyalne, a przypuścimy nie bez prawdopodobieństwa, że nie byłoby ani połowy tych obcych intryg i domowych ambicyj, tych demoralizujących targów

i przekupstw, tych fakcyi i wojen domowych, które zgangrenowały ciało Rzpltej i zaraziły korupcyą samego ducha narodu. Ale cóż z tego, że Rzeczpospolita ustanowiona w wieku XVI zamiast elekcyi królów, byłaby lepszą; użalać się nad tem, że jej nie było, byłaby próżna strata czasu. Być jej nie mogło. Jak daleką była od naszych pojęć o formie rządu i społeczeństwie, tego najlepiej dowodzi ta okoliczność, że przez całe lat trzysta, na tyle rozmaitych pomysłów reformy, pomimo, że wspomnienia i przykłady dawnego Rzymu tak silnie na nas działały, nikomu zgoła bez wyjątku nie przyszło do głowy, żeby bez króla obejść się można. Rzecz prosta, że chcieć wprowadzić formę rządu, której pojęcie nie istniało w świadomości i poczuciu narodu, byłoby czystą utopią. W czasach, kiedy Karwicki dzieło swoje pisał, byłoby to czemś więcej, bo już bezpośredniem niebezpieczeństwem. Niema wątpliwości, że żadna forma rządu nie wymaga tyle politycznego wykształcenia, tyle poszanowania prawa, tyle abnegacyi i publicznego ducha, słowem tyle oświaty i cnoty w obywatelach, ile forma republikańska. Każda inna może ratować i utrzymać siebie i państwo silną organizacyą machiny rządowej. Rzeczpospolita w społeczeństwie nie zupełnie zdrowem, nie stojącem bardzo wysoko pod względem moralności i oświaty, musi dojść do anarchii, a przez nią do tyranii. Pod tymi dwoma względami Polska upadła była nizko; a wobec tej prywaty, tego wybujania wszystkich egoizmów nad interes wspólny, marzyć o Republice, byłoby utopią, ideologią.

Jednak zaprzeczyć się nie da, że byłaby to utopia ideologa politycznego. Bezkrólewia i elekcye tak nam szkodzą, że trzeba znieść królestwo. Rozumowanie fałszywe, ale dające się pojąć, roztrząsać i bronić. Nieszczęściem Karwicki nie jest nawet tym ideologiem politycznym, a szukając ratunku w ustanowieniu Rzeczypospolitej czystej, zostawia właśnie to, co z czystem

jej pojęciem zgodzić się nie może; chcąc usunąć niebezpieczeństwa, intrygi, fakcye i przekupstwa, zostawia to, co jest ich przedmiotem i celem, zostawia koronę. Rzecz jasna, że wobec tego całe jego republikańskie przekształcenie Rzpltej nic nie znaczy i na nic pomódz nie zdoła. Król będzie jeszcze bardziej ograniczony i związany, będzie zredukowany do roli doży weneckiego, jak chciał Górnicki w *Drodze do Wolności*: ale król zawsze będzie, będzie ten cel domowych i zagranicznych ambicyj, będą bezkrólewia i elekcye, te dwa narzędzia demoralizacyi i przekupstwa, będzie ten malowany majestat, cel wszystkich zazdrości i zawiści, powód, najczęściej niewinny, wszystkich rokoszów i wojen domowych. Gdyby Karwicki był zniósł urząd królewski, w takim razie byłby może zatamował źródło zazdrości, a ambicyom odjął cel; reforma jego byłaby może utopią, ale byłaby utopią polityczną; ale kiedy w swojej republice zostawia króla, więc nie przecina drogi ani jednym ani drugim, i pomimo wszystkich nawet dobrych zmian, jakie proponuje, tworzy system niezupełny, sprzeczny w sobie, oparty na fałszywej podstawie.

Na czemże więc zależy podług niego zmiana systemu monarchiczno-sejmowego na czysto republikański? Na szczególe, na ograniczeniu władzy królewskiej, na odjęciu królowi rozdawnictwa urzędów. Odjąć królowi *Justitiam Distributivam*, i oddać ją sejmowi, a ustanie powód złego, ustaną pokusy i demoralizacya, ustanie nieufność między stanami i podejrzywanie króla o dążenie do *absolutum dominium*, Rzeczpospolita wejdzie na równą i prostą drogę. Ta jest treść drugiej księgi dzieła, najważniejszej może, skoro w niej tkwi jądro rzeczy, ale nie jedynej ani najlepszej. Do reformy potrzeba czegoś więcej: potrzeba zabezpieczyć sejmy od zrywania, i zrobić coś, żeby machina państwa mogła funkcyonować—i to jest treścią księgi pierwszej. Nadto potrzeba wojska, o reformie jego mówi księga

trzecia; potrzeba reformy sprawiedliwości. Wreszcie takiego opisania bezkrólewia i elekcyi, żeby nie były za każdym razem niebezpieczeństwem ostatecznej zguby ojczyzny. Materyom tym odpowiada tyleż ksiąg osobnych. Co zaś godne jest szczególnej uwagi, to że autor zapowiada, iż wszystko zreformuje, niczego nie waląc. Inni pisarze nie znaleźli takich, którzyby ich słuchać chcieli, bo już to żądali od narodu zniesienia instytucyj, które mu są drogie, już wprowadzali niebezpieczne inowacye. On zostawi wszystko, i króla, i elekcye, i *Veto*, nie tknie nic w formie rządu, a jednak ją poprawi. Usiłowanie to naprawy z elementów danych i istniejących, i tylko z tych, nic nie dodając ani ujmując, jest w każdym razie zajmujące, a nie jest pozbawione wszelkiej myśli praktycznej, ma za sobą pewne pozory łatwości i rodzimości, po których autor mógł sobie obiecywać powodzenie. Że się łudził, trudno mu brać za złe; a że jego reforma, gdyby była wprowadzoną, byłaby przecież znacznym postępem, to się nie da zaprzeczyć. Niepodobna tu wchodzić w szczegóły: trzeba poprzestać na prostem wyliczeniu głównych zasad tej naprawy Rzpltej.

Przedewszystkiem jest nie zniesienie, ale znaczne osłabienie *Liberi Veto*. Autor rozróżnia materye, przy których wolna kontradykcya, *Veto*, nietylko ma prawo być, ale jako źrenica wolności być koniecznie powinna: i drugie, przy których ona weszła w praktykę, ale jest bezprawną i szkodliwą. Mianowicie wszystkie uchwały (instrukcye sejmikowe i Lauda) potrzebują jednomyślności do prawomocności; i jeżeli jeden tylko głos przeciw nim protestuje, są nieważne i żadne. Ale wszystkie wybory (posłów, deputatów trybunalskich, marszałków sejmikowych i sejmowych) zapadają większością głosów, i przy tych żadna kontradykcya prawną i ważną być nie może. Ale że mimo tego zachodzi prawie zawsze, z wielką szkodą dla rzeczy publicznej, więc trzeba się od niej zabezpieczyć. Jakim spo-

sobem? Oto takim, że czynności sejmików przedsejmowych mają się odbywać w następującym porządku:

Wybór marszałka musi się odbyć bez żadnej trudności, bo zależy od większości głosów. Zaraz po nim następują wybory posłów. Każdy uprawniony do głosu oddaje ten głos na kartce. Kartki składają się w naczynie, na to przeznaczone, które ma być opieczętowane przez marszałka i jego asesorów po oddaniu wszystkich głosów; poczem nie liczy się tych głosów, liczenie odkłada się na sam koniec sejmiku.

Następują instrukcye. Jeżeli przeciw wnioskowi jakiemu zaszedł choć jeden sprzeciw, to wniosek taki upada, nie pisze się w instrukcyę posłów; ale instrucya spisuje się z uchwał jednomyślnie powziętych, *activitas* sejmiku nie jest wstrzymana. Kiedy się to skończyło, dopiero otwiera się owa puszka z kartkami, i odbywa się *scrutinium*. Korzyści tego sposobu byłyby te, że dopóki rezultat wyborów nie jest wiadomy, to nikt sejmiku nie zerwie, bo każdy będzie się spodziewał, że posłem może zostać on albo jego kandydat. Dalej, skoro większa część szlachty przyjeżdża na sejmiki tylko dla wyborów, więc ci, oddawszy swoje głosy, wracaliby do domów, a sejmik, uwolniony od tego mnóstwa, łatwiej i zgodniej uchwalałby instrukcyę. Wreszcie ta korzyść wielka, że pomimo częściowej czy szczegółowej kontradykcyi, sejmik doszedłby do końca, województwo miałoby swoich posłów, a posłowie instrukcyę.

Co się zaś tyczy zabezpieczenia sejmów walnych od zrywania, sposób byłby następujący:

Naprzód, wszelkie zerwanie przy wyborze lub przed wyborem marszałka, nie może mieć miejsca, bo ten wybór nie potrzebuje jednomyślności. Zdarza się to w praktyce, ale jest bezprawiem, i ma być jako takie uważanem; nie powinno mieć skutków. Podczas obrad sejmowych zaś, jeżeli poseł jaki kontradykuje, ma się wykazać instrukcyą sejmiku, i poprzeć zgodną kontradykcyą wszystkich posłów swojego wojewódz-

twa. Jeżeli te dwa warunki zachodzą, to ten wniosek nie staje się konstytucyą. Jeżeli ich niema, to kontradykcya jest nieważna, a poseł taki ma być oddany pod sąd wszystkich województw swojej prowincyi.

Niema wątpliwości, że takie opisanie *Veto*, zależność jego od instrukcyi i od jednomyślności wszystkich posłów województwa, podcinało mu nogi. Jakże tu przekupstwem wsunąć taki artykuł do instrukcyi, do aktu urzędowego, znanego całemu województwu? Jest to poprostu odjęcie prawa *Veto* człowiekowi, a pozostawienie go części, terytoryalnej mniejszości. Jest to zawsze fałszywe, ale w praktyce nie byłoby tak zgubnem ani tak częstem; województwa rzadziej byłyby używały swego przywileju, a ambicyi, zemście, złości i przekupstwu istotnie utrudniało się wichrzenie. Zamach ten na *Veto* przynosi zaszczyt Karwickiemu i gdyby tak było opisane w pierwszych latach XVIII wieku to przez następne lat sześćdziesiąt byłyby jednak sejmy dochodziły. Ta myśl, równie jak myśl stałego sejmu, należą do najzdrowszych u autora, i można dla nich mniej zważać na inne usterki i niepraktyczności.

Oprócz tego żąda Karwicki sejmów stałych i lepszego w nich porządku obrad. Mianowicie dzieli sejm na trzy izby, niby trzy wielkie komisye, złożone z senatorów i posłów, i te roztrząsają sprawy sobie przydzielone, a dopiero jeżeli nie dojdą do zgody, odnoszą tę materyę do pełnego sejmu.

Trzecia księga, *de Justitia Distributiva*, jest w myśli autora najważniejszą z całego dzieła, skoro w niej mieści się sam rdzeń systemu, i ta przemiana z rządu mieszanego na republikański czysty, która jest główną myślą autora. Ale naprawdę jest to właśnie ta część dzieła, która stanowi jego stronę najsłabszą, przynajmniej gdzie autor naraża się na najliczniejsze i najcięższe zarzuty.

Rozdawanie starostw, dzierżaw, królewszczyzn naprzód, a potem urzędów i dygnitarstw ma być odjętem

królowi, a przeniesionem na stany. Korzyści z tego urządzenia byłyby te, że 1) ustałyby raz na zawsze wszystkie gonitwy o starostwa i królewszczyzny, 2) że bez obciążenia włościan, wojsko będzie miało płacę i utrzymanie, 3) że ustaną związki wojskowe, a z dochodów tyle jeszcze zostanie, że wystarczyłoby na małe pensye dla inwalidów.

Ale na zniesieniu starostw i królewszczyzn nie koniec. Odbiera także autor królowi prawo mianowania na urzędy, tak, że wszystkie, począwszy od kanclerzy i marszałków, a skończywszy na najmniejszych urzędnikach ziemskich, wszyscy mają być wybierani. Twierdzi on, że wtedy dopiero królowie będą mogli rządzić spokojnie, a ich doradcy przestaną być celem zazdrości. Król nietylko nie straci na władzy, ale zyska na powadze i miłości u narodu; wolność uwolniona od strachu kochać będzie króla. Pomiędzy stanem senatorskim a rycerskim wróci zachwiana ufność, kiedy szlachta sama będzie wybierała senatorów; urzędnicy województw będą mieli daleko większą powagę, pochodząc z wyborów. Ze względu więc na te wszystkie korzyści, trzeba zasadę wybieralności zastosować do wszystkich urzędów.

Ale teraz trzeba się zapytać, czy tak szerokie zastosowanie zasady wyborów jest słuszne w teoryi, i czy mogłoby być dobrem w praktyce. Na to odpowiedź łatwa. Wyobraźmy sobie państwo najbardziej liberalne i demokratyczne, jeszcze ono nie potrafi się obejść bez władzy wykonawczej. Jakże zaś władza wykonawcza zdoła działać, jak może być odpowiedzialną, jeżeli wszystkie organa, przez które ma działać, są od niej zupełnie niezależne, jeżeli nawet ministrów wybiera jej władza prawodawcza? W Ameryce, gdzie system wyborów posuniętym jest najdalej, jednak prezydent na jedne urzędy sam mianuje, a na inne ma wpływ pośredni, zatwierdza, a nikomu nie przyszło do głowy obedrzeć go z prawa dobierania sobie ministrów. Karwicki unie-

siony swoim republikańskim zapałem, zaleca zasadę republikańską, ale stosuje ją tak bezwzględnie, że poprostu obala władzę wykonawczą.

A czy za to osiągnie te skutki spokoju, uciszenia zawiści i ambicyi, które sobie obiecuje? Trudno wierzyć. Jeżeli ta próżność i ta zazdrość tak gdzieś wzięły górę nad sumieniem i patryotyzmem, że urząd lub godność drugiego miały sobie za krzywdę i uciekały się do zemsty, to nie byłyby one pytały, zkąd ta mniemana krzywda pochodzi: i jak się mściły na królu, tak samo mściłyby się na województwach i na Rzpltej. Któżby mi przeszkodził naprzykład zerwać sejm, który innego obrał kanclerzem lub marszałkiem, kiedy ja miałem na to ochotę? Autor się łudzi, kiedy myśli, że przeniesienie rozdawnictwa urzędów byłoby zaradziło na intrygi i zemsty prywatnych: na to poradzić mogła tylko poprawa samego ducha narodu.

Gruby także popełnia błąd, kiedy nie mówi, czy ci wszyscy urzędnicy mają być dożywotni czy czasowi. Skoro o tem nie wspomina, więc zdaje się, że nie chce zmiany, i że zostawia dożywotność. Wyobrazić sobie ministra spraw zagranicznych, wybranego przez jakąbądź izbę, pod wpływem chwilowej popularności, i prowadzącego potem sprawy kraju przez całe życie!

Wreszcie błąd najgorszy jest ten, że odbierając królowi rozdawnictwo urzędów, autor sądzi, iż zaprowadza czystą Rzeczpospolitą. To jest ta pomyłka, która najbardziej świadczy przeciw jego politycznemu uzdolnieniu. Jak mógł tego nie dostrzedz, że zostawiając króla, zostawia wszystkie złe strony monarchii i wszystkie niebezpieczeństwa bezkrólewi i elekcyj? Kto te zostawia, a wmawia w siebie i w drugich, że zakłada Rzeczpospolitą, ten musiał mieć sąd polityczny nie głęboki, powierzchowny.

W sprawie organizacyi wojska ma Karwicki dwie myśli dobre. Jedną, kiedy mówi, że piechoty mamy za mało; drugą, kiedy żąda stałego opatrzenia potrzeb

wojskowych i chce obrócić na to dochody ze starostw i królewszczyzn. Ale obniża całą wartość i skuteczność tej naprawy, kiedy poprzestaje na dwunastu tysiącach wojska, z powodu, że Rzplta uboga, nie mogłaby utrzymać większego. To naprzód nie może być prawdą, bo z porządnie urządzonym skarbem mogłaby była wystarczyć wydatkom; a powtóre autor mógł był wiedzieć, że przy rozległości i przy niebezpieczeństwach Polski, wojsko dwunastotysiączne było chyba wojskiem od parady, albo na żart. Ma za to tę zasługę, że zwraca uwagę na niebezpieczeństwo dożywotniego hetmaństwa; ale znowu psuje dobrą myśl, żeby hetman urzędował tylko przez rok jeden i żeby był wybieranym przez sejm. Pierwsze złe dlatego, że hetman dzielny powinien zostać przy dowództwie, i odwołalność jego, i bez oznaczenia terminu, wystarcza na hetmana złego. Drugie złe dlatego, że wybór hetmana stałby się przedmiotem walki stronnictw na sejmie. Każde z nich myślałoby naprzód o tem, żeby mieć hetmana swojego, a potem dopiero o tem, żeby mieć dobrego. A jakby na tem wyszło wojsko i Rzeczpospolita, to jasne.

Reformę sprawiedliwości traktuje Karwicki pobieżnie i raczej powierzchownie.

Ostatnia księga wreszcie traktuje o bezkrólewiu i o elekcyi:

„Bezkrólewia i elekcye, mówi autor, mogą u nas nazywać się krytycznemi, peryodycznemi rewolucyami, Rzpltej tej wielce niebezpiecznemi".

Zmiana, jaką proponuje, jakkolwiek niedostateczna, bo dostateczną mogło być tylko zniesienie bezkrólewi i elekcyj, sięga jednak bardzo daleko i zastosowana w praktyce, byłaby miała skutki doskonałe (t. j. w porównaniu z tem, co było). Poprostu znosi Karwicki elekcyę *viritim*, ten fatalny wynalazek Zamoyskiego, który wydał elekcyę raz na zawsze na wolę losu i przypadku, który sprawił, że ona nigdy wolną nie była, i dowiódł raz jeszcze, że dla wolności nie-

ma nic niebezpieczniejszego, jak schlebiające masom pomysły ludzi, starających się o popularność. Karwicki widział sam tyle elekcyj, a namyślał się znać głęboko nad tyloma innemi, że przyszedł do przekonania, iż tak dalej iść nie może. Kto był świadkiem elekcyi Augusta II, ten, jeżeli miał trochę sensu w głowie, a wstydu na czole, musiał pomyśleć, że trzeba się od podobnych na przyszłość zabezpieczyć.

Ku temu radzi naprzód dwie rzeczy: pierwsza, żeby bezkrólewie trwało krótko, bo teraz ciągnie się nieraz przez rok cały, a czas ten wychodzi tylko na korzyść intryg i intrygantów; powtóre, żeby wszystkich cudzoziemców prawem raz na zawsze od elekcyi wyłączyć, a samych swoich kandydatów wybierać.

Potem przystępuje do opisania sposobu, w jaki całe bezkrólewie zamknąćby się dało w przeciągu ośmiu tygodni. Wychodzi tu oczywiście z przypuszczenia, że sejm stały, podstawa jego systemu, jest przyjęty i zaprowadzony.

Otóż jeżeli śmierć króla wypadła w czasie, kiedy sejm jest zalimitowany, ma go prymas natychmiast zwołać: jeżeli nie, ma zaraz porozumieć się z sejmem i z senatem, i wydać uniwersały do województw z doniesieniem o śmierci królewskiej, z oznaczeniem dnia, w którym odbyć się mają sejmiki elekcyjne (najpóźniej w cztery tygodnie od śmierci króla), wreszcie z poleceniem niektórych godniejszych kandydatów.

Dalej ma prymas z senatem i sejmem zapewnić zewnętrzne bezpieczeństwo Rzpltej, czyli dopilnować, żeby hetmani w myśl swojej przysięgi stali z wojskiem na granicach.

Wszystkie sądy, zamiast jak teraz ustawać, iść mają swoją drogą podczas bezkrólewia—trybunały tylko zawieszą się na dwa tygodnie, sądy grodzkie na tydzień, żeby sędziom dać możność udania się na sejmik elekcyjny. Po tych czynnościach sejm się odroczy, i od razu zwoła do Krakowa jako koronacyjny, naj-

dalej w cztery tygodnie po sejmikach elekcyjnych wojewódzkich.

Więc gdzież w tem wszystkiem podziała się elekcya? Mamy sejm, zwołany, odroczony, i znowu zwołany; mamy sejmiki po województwach; zdaleka ukazuje się nam koronacya: a rzecz najważniejsza, elekcya, gdzieś znikła. Cóż z nią autor zrobił? Oto, elekcya się przeniosła. Zamiast, co dotąd ciągnął szlachcic ze wszystkich stron Rzpltej na elekcyę pod Wolę, teraz przeciwnie akt wyboru pójdzie szukać każdego szlachcica jeżeli nie w jego zagrodzie, to przynajmniej w jego województwie. Elekcya odbywa się na sejmikach, w tylu miejscach, ile jest województw, wszędzie w tym samym dniu i godzinie.

Że sama ta zmiana podcina nogi wszystkim zaburzeniom, wichrzeniom, intrygom, konszachtom i przekupstwom, to niema wątpliwości. Jakże można być na tylu miejscach naraz? jak liczyć na skutek? jak wierzyć w obietnice, kiedy głosowanie tajne? jak przeprowadzić kandydata, kiedy niema sprzymierzeńca fakcyi i przypadku, tłumu, który krzykiem tak łatwo daje się porwać, który się zaraża entuzyazmem, a upaja rzuconem hasłem? Elekcya tak opisana mogła być porządną i prawną, niema co mówić; i gdyby wtedy jeszcze była ją Polska przyjęła, nie byłaby miała ani Augusta III, ani Poniatowskiego.

Ale jakże tu do takiego sposobu elekcyi szlachtę nakłonić. Autor używa na to dwóch sposobów. Dowodzi naprzód, że elekcya królów, jak każdy inny wybór, podług litery prawa i ducha konstytucyi, odbywać się ma nie jednomyślnością, ale większością. Mówią wprawdzie, że one odbywają się *nemine contradicante*, ale to fałsz: żadna nie obeszła się bez tego, żeby mniejszość nie protestowała i nie była gwałtem zmuszona do milczenia. Cóż to więc jest innego jak komedya, zwłaszcza jak się wie, że na akcie elekcyi podpisują elektorów, albo przeciwnych, albo takich,

których tam nie było, albo takich, którzy nigdy nie istnieli. Jest to więc poprostu oszukaństwo wolności, prawa i samych siebie.

Jeżeli chcemy rzeczywiście, prawdziwie, króla wybierać, to wybijmy sobie z głowy urojoną jednomyślność, przyznajmy otwarcie, że wybieramy go większością, a potem wybierajmy nie zahukani, nie uproszeni, nie przestraszeni, nie za wolą innych, ale każdy swoim rozumem i sumieniem.

Jakżeż się to stanie? Oto, po śmierci króla zapowiada prymas sejmiki elekcyjne (wszędzie na ten sam czas). Sejmiki te odbywają się nie w powiatach i ziemiach, ale w wojewódzkiem mieście, dokąd się powiaty zbierają. Trwają te sejmiki trzy dni. Pierwszego dnia spisuje się powiatami rejestr obecnych elektorów. Kto się tego dnia nie podał, traci *activitatem*.

Drugiego dnia, z tegoż rejestru czyta się imiona; każdy wezwany rzuca zwiniętą kartkę w skrzynkę. Przewodniczy zebraniu pierwszy senator województwa i ma sobie dodanych tylu asesorów, ile jest powiatów w województwie.

Trzeciego dnia liczą się głosy publicznie. Kto ich ma najwięcej, jest kandydatem województwa. Spisuje się protokół całej czynności, i z tym jedzie na sejm ów pierwszy senator województwa i jego posłowie. Tu na sejmie dopiero liczą się *vota* wszystkich województw, a kandydat, który ich miał najwięcej, zaraz ogłoszonym zostaje królem i bezzwłocznie koronowany.

Tę tylko zachować radzi autor ostrożność, żeby głosy nie liczyły się kandydatom województw podług liczby głosującej w tem województwie szlachty, ale podług opłacanego przez województwo podatku (łanowego lub podymnego). N. p. województwo krakowskie płaci łanowego 25,000 złp., więc jego kandydatowi policzy się 25,000 głosów; bełzkie płaci tylko 3,000 złp., więc jego kandydat będzie miał 3,000 głosów. Przyczyna jest ta, że bez tego elekcya zostałaby zawsze

na łasce tych województw, które pełne są najliczniejszej i najbiedniejszej szlachty, a przez to rezultat ich sejmików zawsze byłby zależny od agitacyi tych możniejszych panów, którzyby umieli około tej szlachty chodzić.

Jedną jeszcze rzecz postanowić należy, a to tak dla uniknienia zazdrości, jak i niebezpieczeństwa tronu dziedzicznego, to jest, żeby z tego samego domu nikt nie mógł być wybranym aż za czwartą elekcyą. Dobrzeby było, żeby co trzecim królem był Litwin. Synowie królewscy nie noszą żadnych tytułów, ale mogą dostąpić wszystkich urzędów i godności.

Korzyści z takiego sposobu byłyby te: 1) że każdy szlachcic prawdziwie wybierałby króla; 2) że fakcye i intrygi ustaćby musiały; 3) że bezkrólewia krótkie i uporządkowane nie byłyby już tak niebezpieczne; 4) że oszczędziłoby się mnóstwa marnych kosztów; 5) że sądy szłyby swoim porządkiem; 6) co najważniejsze, ustałby powód do zatargów, buntów i wojen domowych, bo każdy wiedziałby, że elekcya odbywa się *pluralitate* i nie śmiałby kontradykować i robić użytku z *Jus Votandi*.

Czemże więc jest to dzieło i ten autor? Jest to pierwszy objaw, pierwszy niewykształcony jeszcze wyraz tej dążności reformatorskiej, której ostatniem i dojrzałem słowem jest konstytucya 3 Maja. Dążność ta przez cały wiek znajduje się w postępie, idzie do góry — na pierwszym zaś szczeblu stoi Karwicki. Pełen zasługi przez to, że wiele istotnie dobrych rad ojczyźnie swojej podawał, że wiele złego trafnie dojrzał, jest on zajmujący i oryginalny przez to głównie, że łączy przeczucie konieczności zmian i reform, z wielu jeszcze zastarzałemi pojęciami i uprzedzeniami współczesnej szlachty. Wspólne z nią jest mu to pojęcie króla jako czyhającego ustawicznie na wolność narodu, pojęcie tak mało usprawiedliwione historyą, i osobistością naszych królów. Wspólne z ogółem jest mu to zgubne

przekonanie, że Rzplta, zbyt biedna, dość zrobi, jeżeli 12,000 wojska jako tako urządzi i utrzyma. Wspólny ze wszystkimi jest mu ten błąd, że *Veto* jest fundamentem i klejnotem wolności.

Jednak z tych pojęć powszechno-szlacheckich zaczynają się u niego wykłówać inne, które go stawiają po nad zwykłym poziomem współczesnych główi opinij, a stawiają w rzędzie istotnych reformatorów. Ograniczenie *Veto*, zaprowadzenie stałego sejmu, wreszcie opisanie bezkrólewi i zniesienie elekcyi *Viritim* wszystko to są pomysły wielkie, kardynalne warunki reformy i stanowcze ku niej kroki. Nie są one może dość jasno pojęte, nie są doprowadzone tak daleko, jakby należało życzyć, ale w zarodzie zawierają w sobie sam rdzeń i samą istotę radykalnej reformy.

Dlatego, mówiąc o tej dążności w wieku XVIII, na wstępie samym zaraz każdy poświęcić musi kilka uwag Karwickiemu, jako pierwszemu co do czasu, jako temu, który rzuca pewne pomysły, które następnie, lepiej pojęte i rozwinięte, znajdą się u innych. Co zaś dodaje mu, jeżeli nie wartości politycznej, to historycznego zajęcia, to, że system jego jest usiłowaniem reformy konstytucyi z samych tych materyałów, które ona podawała. Jak zapowiedział, że nic nie zmieni, a wszystko naprawi, tak istotnie nie wprowadza nic nowego ani obcego do swego systemu. Wszyscy inni, zwłaszcza późniejsi statyści, szukają pomocy i ratunku w zastosowaniu zagranicznych pojęć lub instytucyj do polskiej reformy; on naprawia Rzpltą samymi danymi czysto polskimi materyałami. Oczywiście, usiłowanie to, tylko w takim razie udać się mogło, gdyby wszystkie te materyały były jędrne i zdrowe. Karwicki zostawiając tyle miejsca skrzywionym pojęciom i uprzedzeniom szlachty, zachowując tyle wypaczonych i fałszywych zasad ówczesnej konstytucyi i polityki, nie mógł z tych elementów złożyć systemu, któremuby się nic zarzucić nie dało. Wszelako usiłowanie samo, przed-

sięwzięte zapewne w nadziei, że im bardziej rzecz nowa zastosuje się do dawnych tradycyj i przywyknień, im mniej odstąpi od tego, co było znanem i drogiem, tem łatwiej zostanie przyjętą, usiłowanie samo jest bardzo ciekawe i zajmujące.

Wszystko razem wziąwszy, nie wydaje się Karwicki jakąś niepospolitą i zupełnie wyższą polityczną zdolnością, nie może się równać z Konarskim lub Staszicem, jednak pomiędzy statystami naszymi należy mu się zawsze miejsce poważne i szanowne.

Eclypsis Poloniae *), przez Załuskiego (w Bibliotece pisarzy), a po nim przez wielu przypisywana podkanclerzemu Szczuce, jednemu z poważniejszych i rozumniejszych niewątpliwie ludzi tego czasu, mówi właściwie o tem prawdziwem zaćmieniu Polski, jakie nastało po śmierci króla Jana. Elekcya Augusta II, najazd szwedzki, elekcya Stanisława i rezygnacya Augusta, przechody wojsk szwedzkich, saskich, rosyjskich przez Polskę, i wreszcie klęska Karola XII, to, krótko opowiedziane, stanowi treść tej małej książeczki. Ale w to opowiadanie wciągnięty jest list pewnego senatora (zmyślony może, a wyrażający myśl autora samego), który nie jest bez politycznej roztropności i wartości. Mówi ten senator, że skoro Rzeczpospolita popadła w takie smutne i sromotne zaćmienie, to trzeba wszelkiemi siłami przywracać ją do dawnego blasku. Nie dawnego nawet; autor (zaślepiony czy nie zupełnie szczery) nie widzi różnego złego, jakie było już bardzo widoczne za Sobieskiego, i twierdzi, że za tego króla ojczyzna jaśniała najświetniejszym, niczem nie przyćmionym blaskiem. Czegoż potrzeba, jego zdaniem, żeby wybrnąć z ciemności i mroków na jasne słońce?

Oto naprzód poradzić coś na tę zazdrość, podejrzliwość i emulacyę, która i królom nic dobrego zrobić

*) Przetłómaczona na język polski i wydana w roku 1903 przez Franciszka Kluczyckiego, jako *Zaćmienie Polski.*

nie daje, i Rzeczpospolitą burzy i psuje. Co na nią poradzić?! nie wskazuje. Ale prócz tego, radzi odebrać na skarb wszystkie starostwa i dobra królewskie w Koronie i w Litwie. W każdem województwie wybieraliby się na sejmikach komisarze skarbowi, którzy mieliby te starostwa i dobra wypuszczać w dzierżawy przez licytacyę (*plus offerenti*), a od dzierżawców ściągać ściśle i surowo coroczny czynsz. Podatki, przez sejm uchwalone, na dobra szlacheckie nałożone raz na zawsze, miałyby przez tychże komisarzy być wybierane; a ktoby nie płacił lub zalegał, podpadałby surowym karom. Podskarbiowie mają sejmowi zdawać rachunki z każdego roku. Wojska ma być ośmnaście tysięcy piechoty, i tyleż jazdy, dobrze opatrzone w broń, rynsztunek, amunicyę, a opłacane z powyższych dochodów skarbu. Hetmanów mianuje król na lat trzy; ale na prośby sejmu, gdyby hetman który bardzo na to zasługiwał, może go król dłużej na urzędzie zatrzymać. Lustracye wojskowe szlachty mają się odbywać co roku, pod karą konfiskaty majątków na zaniedbujących ten obowiązek. Wreszcie: pomimo, że z Turkiem mamy pokój, trzeba zerwać, i wydać mu wojnę. A to dlatego: Rzeczpospolita za wiele już straciła na zachodnich i północnych granicach. Tego odzyskać nie może; nie pobije Szwedów i Niemców. Rosya trzyma część naszych ziem i buntuje nam ukrainne ludy. Ale w wojnie przeciw Turkom, ona mogłaby iść z nami. Taka wojna zaś podniosłaby naszą powagę, naszą sławę, nasze znaczenie w świecie; a nam samym mogłaby przywrócić tę jędrność i dzielność, którą tracimy.

Oprócz tego żądania nie tak wielkiej wagi, ale nie lekkie, jak to, żeby w akademiach i we wszystkich szkołach pilnie uczono historyi i geografii *politycznej* (o konstytucyi, zasobach, sile różnych państw); żeby Rzeczpospolita wydawała gazety i rozsyłała je z urzędu do wszystkich województw i powiatów; żeby sądy ziemskie i grodzkie odbywały się cztery razy do

roku, jako sądy pierwszej instancyi, a trybunał byłby tylko sądem apellacyjnym. Król może być tylko Polak, katolik i żadnymi związkami pokrewieństwa z żadnym obcym dworem nie połączony. Gdańsk miałby płacić portowe. A w końcu dobrzeby było wypędzić żydów.

Ale senator ten chciałby i duchowne dobra zabrać na skarb i wydzierżawiać na jego dochód. Odpowiada mu na to senator inny, że toby się nie godziło. Słusznie jest, żeby stan duchowny płacił także na potrzeby Rzeczypospolitej, ale ten sposób jest zbyt radykalny; trzeba wynaleźć inny.

Te myśli o skarbie i o podatku, to ograniczenie władzy hetmańskiej, zwłaszcza to marzenie o wojnie, która mogłaby ojczyźnie przywrócić wewnętrzą siłę i znaczenie na zewnątrz, to są rzeczy, które każą tego autora szanować, uważać go za jednego z tych, co w owym smutnym czasie umieli i myśleć i czuć.

W szeregu ludzi, którzy się w owej epoce rymami u nas bawili, pierwszy co do czasu nastręcza nam się człowiek małego lub raczej żadnego poetycznego talentu, ale zajmujący jako figura, zajmujący swojem życiem, wmieszany we wszystkie ważne i smutne sprawy polityczne owego czasu, grający w nich rolę nie wielką ani bohaterską, bo, niestety, nie był to wiek wielkich czynów i bohaterów, ale godniejszą od wielu, uczciwą. Człowiek wielkiego w kraju stanowiska, syn hetmana, przez żonę siostrzeniec królowej Sobieskiej, wuj króla Leszczyńskiego, a przez to następnie i pierwszego monarchy w Europie, Ludwika XV, wojewoda w 23 roku życia, następnie przez krótką chwilę kanclerz swego siostrzeńca, prowadzący dyplomatyczne interesy tej niestałej korony, później więzień Augusta II, człowiek dobry bez wielkości, rozumny bez wyższości, jako pisarz, zajmujący więcej może, dzięki swoim wadom jak swoim zaletom, jest *Jan Stanisław Jabłonowski*, wojewoda Rusi, ciekawym typem tego, czem podówczas być

mogły umysły polskie, najstaranniej, najwykwintniej kształcone.

Urodził się on w takich warunkach, że na pewno można przypuścić, iż co tylko ówczesna Europa do starannego wychowania dostarczyć mogła, tego nie szczędzono dla hetmańskiego syna, który oczywiście miał dalej utrzymywać sławę domu tak świetnie przez ojca założoną. Jakoż, po ukończeniu szkół Jezuickich we Lwowie, uczy się dalej w słynnem podówczas Kollegium w Pradze, a ztamtąd wyszedłszy, udaje się prosto do Francyi, na dwór Ludwika XIV. Zarówno to początkowe wychowanie, jak i ta podróż wybiły na nim piętno widoczne we wszystkich jego pismach. Znać w nich, a może znać w całem życiu wojewody, wpływ szkół Jezuickich, znać Alwara, znać tę pobożność szczerą, ale przechodzącą nierzadko w ciasną i bezmyślną dewocyę; pod tym względem jest on zupełnie Polakiem i szlachcicem swego wieku. Ale z drugiej strony jest już Francuzem; nie wyobrażeniami swojemi, nie duchem lub sposobem życia, ale upodobaniem, chęcią, skłonnością do wszystkiego, co francuskie. Skłonność ta tłómaczy się panującą w całej Europie modą, a u niego tłómaczy się łatwiej niż u innych pobytem we Francyi, stanowiskiem jego na francuskim dworze Maryi Kazimiery, gdzie syn hetmana Jabłonowskiego musiał oczywiście doznawać szczególnych łask i względów, tłómaczy się wreszcie ożenieniem z panną de Béthune, która zdaje się tak była mężowi drogą, jak jej ciotka Marysieńka królowi Janowi. Jedno i drugie, ten wpływ wychowania wspólnego mu z całą ówczesną szlachtą, i ten niepohamowany pociąg do francuszczyzny, do Wersalu, robi z niego dobry typ tych ludzi oznaczających przejście z dawnej epoki łacińskiej do nowej francuskiej; ludzi, których szereg rozpoczyna może w młodości swojej późniejszy bohater Chocimia i Wiednia, król Jan, który z takiem upodobaniem pstrzył swoje listy nieszczególną francuszczyzną, którego tak

olśniewał francuski dowcip, francuska elegancya i zalotność pani wojewodziny sandomierskiej.

Zdaje się, że poetyczny zawód Jabłonowskiego rozwinął się pod działaniem tych dwóch wpływów; polskiej szlacheckiej natury wyrobionej na jezuickiem wychowaniu, i zamiłowania do francuszczyzny, hołdowania jej, nieudolnego wprawdzie ale niezaprzeczonego. Pierwszy wpływ wydał jego poematy religijne, drugi utwory treści światowej. W jednych jak w drugich, w wierszach jak w prozie, form dostarczył mu nieszczęściem miejscowy wpływ szkolny; dał mu on styl ciężki i napuszysty, wiersz niezgrabny, i ten pedantyzm, z pod którego nie zdołał się wyzwolić człowiek nie obdarzony wcale rodzimym talentem.

Przeglądając wszystko, co wydała ówczesna nasza literatura poetyczna, zdumieć się przychodzi nad mnogością wierszy religijnej treści. Nie religijnego natchnienia, niestety, ani uczucia, ale treści, przedmiotu. Odpusty, koronacye cudownych obrazów, opisane są i podane do potomności w tysiącach wierszy dziś zapomnianych i niegodnych pamięci. Wieje z tego wszystkiego jakiś duch zmartwiałej i skostniałej dewocyi, wyglądają pojęcia ciasne, gorętszego uczucia nigdzie. Nie wątpić, że uczucie to było szczere; ale wyraża się ono tak nieudolnie, tak zimno, tak płasko, że nikomu do serca nie trafi, w nikim podobnego uczucia nie skrzesze. Jabłonowski, i w tem uważać go można za wierne odbicie wieku i społeczeństwa, zostawił wiele poematów religijnych. Jest jeden na stuletnią koronacyę cudownego obrazu Matki Boskiej Sokalskiej; jest *Traktacik o Opatrzności Boskiej*, jest *Decymka do św. Franciszka Ksawerego*, czterdzieści siedm modlitw na wielki post i t. d., wszystko rzeczy, dowodzące, że autor był pobożnym człowiekiem, a zarazem opłakanym wierszokletą. Szczera pobożność, sumienność wielka, skrupulatna, widna jest ze wszystkich niemal dzieł jego. Zdaje się ciągle roztrząsać swoje sumienie, badać po-

wody swoich uczynków; ale to nie wystarcza dla poety. Czytając go, zapytać się trzeba, jakim sposobem człowiek oświecony, o ile w jego kraju i wieku ktoś oświeconym być mógł, jakim sposobem mógł pisać rzeczy tak niedołężne i płaskie, jakim sposobem, znając wzory francuskie, mógł nie czuć całej czczości swoich poezyj, nie poznać się na tem, że ich forma była okropna. Musiał znać poetów francuskich, mógł się od nich czegoś nauczyć, mógł nabrać wyobrażenia o warunkach dobrego pisania: on tymczasem pisze wiersze godne odpustowego dziada lub nieokrzesanego klasztornego braciszka.

Najobszerniejszy jego utwór poetycki ma tytuł *Zabawa Chrześcijańska*, a pod tym tytułem opowiada Żywot Jezusa Chrystusa. Z jakiem natchnieniem i w jakim podniosłym tonie, przekonać się można z przykładów. I tak, o Narodzeniu mówi, że w nocy przychodzi Pan, nie dlatego, że myśli kraść, ale dlatego, że *incognito*. *O śmierci Heroda*: że radują się matki i dzieci, „tylko jedne świnie... płaczą go . Pokutująca Magdalena

Dobrze się dystyluje płomieniem kochania
W alembiku łez czystych, mieszkami wzdychania.

I tak dalej aż do Wniebowstąpienia. Każda ważniejsza chwila, wspomniana w Ewangeliach, opisana jest dwunastoma lub szesnastoma wierszami tej wartości, a całość składa *Zabawę Chrześcijańską*, do której dodawszy wierszowaną parafrazę *Ojcze nasz* i *Decimkę Myśli świętych* albo *Dziesięć Elegij Chrześcijańskich*, Collegium Jezuitów Lwowskie drukuje jako bezimienną pracę skromnego autora, i dedykuje właśnie pani wojewodzinie ruskiej. Przedmowa dedykacyjna najciekawsza, a przynajmniej najzabawniejsza. Zaczyna od porównania *Słowa Wcielonego* z wierszem, „w którym *Wszechmocność Boska* niesłychane nigdy poczyniła składy, że się w nim zgadza persona nieśmiertelna z natu-

rą stworzoną, niezmierność z granicą, wieczność z czasem, żywot ze śmiercią. To *Słowa Wcielonego* z wierszem podobieństwo dało okazyę poecie jednemu, że Wielkie Boga Człowieka akcye, ojczystym rymem opisał i polską swoją Muzę na niebieskim Helikonie osadził. Nie mógł on znaleźć zacniejszego poezyi swojej argumentu, jako święte Wiary Tajemnice Stylem na Parnasie rysować, i tam dowcip ostrzyć, gdzie w pojętności rozum stworzony tępieje". Po tej pochwale, następuje katalog wszystkich przodków wojewodziny ruskiej i wyliczenie jej kolligacyj z wszystkimi panującymi i niepanującymi domami. Trzeba się spodziewać, że wojewodzina nie rozumiała po polsku, a przynajmniej nie mogła sądzić polskich wierszy, bo inaczej nie wiem coby była o mężu pomyślała.

Muza świecka Jabłonowskiego godna religijnej; różnica między niemi ta jedynie, że tamta była produktem polsko-jezuickim, a ta zrodziła się pod wpływem zamiłowania we francuszczyźnie i niedołężnej chęci naśladowania jej. *Le bel esprit* był na porządku dziennym we Francyi, nic dziwnego że później dostał się ztamtąd do Polski, i że Jabłonowski ze swojemi poetycznemi zachciankami stał się jego ofiarą.

Nie mielibyśmy może tych pism Jabłonowskiego, ani *Nowego Ezopa* ani *Telemaka*, gdyby nie jego więzienie w Königsteinie. Fakt to najważniejszy w jego życiu, a zarazem dający najlepiej poznać jego przekonania polityczne i jego charakter, a przeto wypada wspomnieć o nim, zwłaszcza, że nie na niego tylko jednego rzuca nowe światło.

Dnia 7-go sierpnia 1713 r., wojewoda ruski wezwany do Warszawy przez króla Augusta na radę senatu, został nagle aresztowany razem z sekretarzem swoim Wojczyńskim 17 stycznia, i bez śledztwa i wyroku, po jednym tylko protokóle, wywiezionym został do Königsteinu do Saksonii. Był to gwałt w Polsce niesłychany, żeby szlachcica i senatora, w ten sposób wię-

zić, cóż dopiero za granicami Rzpltej. Sam August II czuł, że gwałt ten należy usprawiedliwić. Rozchodzi się tedy wieść po całej Polsce o spisku na wolność, a nawet życie króla, na którego czele stał St. Leszczyński i wojewoda ruski. Na taką pogłoskę milczą Stany, nie pomnąc, że na mocy konfederacyi Sandomierskiej, same tylko miały prawo sądzić stronników Leszczyńskiego, a Jabłonowski siedzi na Königsteinie. Nikt się za nim nie upomina ani nie ujmuje.

Tymczasem wieść o spisku była wymyśloną i rozpuszczoną umyślnie przez Augusta. W parę miesięcy po uwięzieniu Jabłonowskiego, wychodzi z kancelaryi królewskiej okólnik do wszystkich posłów saskich zagranicą, w którym wyznaje się otwarcie, że w spisku Augusta niema słowa prawdy, ale że *diese ganze Verrätherey* polega *in verbotener Correspondence mit dem Stanislao* w celu wywołania *neuer Unruhen und Troublen in Polen* i przywrócenia Leszczyńskiego na tron.

W tem jest rzeczywista prawda. Był plan ułożony nie w porę może, ale mądrze, zmierzający do zrzucenia Augusta z tronu. Generał Steinbock, stojący z wojskiem na Pomorzu, miał wtargnąć od północy; wojsko koronne i pospolite ruszenie, miały z tego skorzystać; chodziło tylko o pozyskanie Turcyi. Wszystko działo się w porozumieniu z Anglią, która działała szczerze, i z Prusami, które, jak zwykle, zdradzały. Nici tego planu schodziły się w ręku Jabłonowskiego. *Species factorum* zarzuca mu, że od r. 1703 nie przestawał znosić się z Karolem XII, że po reintegracyi Augusta i powtórnej przysiędze, na nowo znosił się ciągle z Karolem, z Leszczyńskim, ze Steinbockiem i z Turcyą, że, szczegół charakteryzujący pobożnego wojewodę, trzy razy odbywał pielgrzymki w miejsca święte na intencyę udania się tych planów. Wreszcie, że wzywał Turków do wkroczenia ze znaczną siłą.

Nieszczęściem, August II przejął tajną korespondencyę wojewody, plan spełzł na niczem.

Instrukcye Augusta II, dane eskortującemu oficerowi i komendantowi fortecy są bardzo surowe. Nie oszczędzono więźniowi żadnych przykrych i dokuczliwych ostrożności. Podczas więzienia, zgłasza się Jabłonowski często z prośbami, na które sam król daje rezolucyę. Raz chodzi o spowiednika, kiedyindziej o lekarza, jeszcze później o drzewo opałowe, o przechadzkę, o pozwolenie zrobienia testamentu, o pasport za granicę dla syna i t. d. Między odpowiedziami Augusta II do komendanta fortecy, znajduje się jedna tej treści, że, kiedy wojewoda ruski chce tłómaczyć Telemaka, to można mu dać papieru, wszelako *mit der nöthigen prudence.* Każdy arkusz ma być opatrzony podpisem generała. Po ukończeniu Telemaka, powtarza się ta sama prośba i to samo pozwolenie względem Ezopa.

Tak więc oba te utwory jego świeckiej Muzy są skutkiem więziennych nudów i nieczynności. Co do *Telemaka*, gdyby był przełożył go prozą, byłby zrobił rzecz bardzo dobrą i pożyteczną, ale wpadł na pomysł fatalny przystrojenia go w wiersz. Dydaktyczny Telemak z natury nie kwalifikuje się do poetycznego traktowania, nie ma pretensyi być poezyą; wyobraźmyż sobie dopiero, co się z niego musiał zrobić za potwór, kiedy odarty ze swojej pięknej francuskiej formy, ukazał się w wierszu polskim i to tak złym! Zamiłowanie francuskiej literatury, połączone z brakiem talentu i artystycznego zmysłu, wydały to monstrum, jakiem przy najlepszej nawet formie byłby *Telemak* przerobiony na poemat.

Co do Ezopa, wyszedł on także w tej samej tendencyi, ale w nim więcej już puścił autor wodze swojej własnej twórczości; już tu więcej jego pomysłów i inwencyi. Mówi on w przedmowie, że jego wzorem jest Ezop, którego historyę i dowcip opowiada *con amore* i bardzo obszernie. Ale to nieprawda. Wzór jego był daleko bliższy; był nim Lafontaine oczywiście. La-

fontaine, który w swoje bajki umiał włożyć tyle dowcipu, wdzięku, tyle znajomości życia i tyle głębokiej filozofii. Jabłonowski mówi w przedmowie, że miło jest „mądre bajki w miłym wierszu czytać". To prawda, ale na to trzeba, żeby były mądre i w miłym wierszu: Bajka ciężka i niezgrabna staje się nieznośną. Pod ciężką ręką pana wojewody zamazuje się ten humor, ta delikatna ironia, to lekkie dotknięcie pendzla, które stanowią wdzięk Lafontaina i Krasickiego. Wojewodzina, widocznie bardzo przez pana małżonka kochana, skazana była na to, żeby znosić dedykacye jego dzieł. *Zabawę Chrześcijańską*, przypisało jej lwowskie Collegium Jezuitów, *Sto Bajek i oko* mąż sam, i każe jej jeszcze płacić za wydanie.

„Idźże, Ezopie, choć przy brzydkim pysku,
Strój się w drukarni, kosztem żony w Lipsku"

mówi na wstępie do produktu swojej Muzy. Są w tym zbiorze bajki rozumne, znane od starożytnych jeszcze, znane z Lafontaina, są takie, które się znajdują i u Krasickiego; ale choć rozumna myśl zostać w nich musiała, to wartość literacka zginęła bez śladu.

A więc jest to pisarz zupełnie bez wartości i talentu? Jako poeta tak; ale można być bardzo lichym poetą, a zkądinąd człowiekiem otwartej głowy i zasługi. Jabłonowski przy zacnem sercu, przy poczciwych uczuciach, był człowiekiem otwartej głowy, miał nawet bystrzejsze od wielu polityczne spojrzenie.

Pozostałe po nim jeszcze dwa dziełka, dwa ułamki raczej, które choć prozą pisane, przecież tu wspomniane być powinny. Nieszczęście, że urywki, bo więcej nierównie są warte od dokończonych dzieł Jabłonowskiego. Jednem z nich jest *Pamiętnik*, drugiem *Rozmowy Zmarłych Polaków*.

Myśl pisania pamiętnika podały mu może znowu pamiętniki francuskie, ale zkądkolwiek przyszła, myśl

była dobra, szkoda, że nie wykonana. Przy jego stanowisku, przy mnóstwie rzeczy, które musiał wiedzieć, pamiętnik jego mógł stać się skarbem, jako źródło historyczne. Co dziwniejsza, to, że mógł być także jako pomnik w literaturze, jako obraz ludzi i wieku. Niesmaczny poeta, nadęty orator, naraz staje się łatwym i swobodnym, kiedy zaczyna opowiadać; a co więcej umie rysować osoby, wydobywać charakterystyczne momenta zdarzeń i charakterów, słowem jest zajmujący i obrazowy. Niestety jest tego tylko kart kilkadziesiąt.

Rozmowy Zmarłych Polaków, gdyby, zamiast pisać wiersze, był je do końca doprowadził, mogły były stać się skarbem nieprzepłaconym. Są to bowiem rozmowy, „w których różne ile sekretniejsze za ich żywota dzieje i cyrkumstancye są zebrane". — Gdyby kilkanaście, gdyby choć kilka historycznych figur był w ten sposób opisał, gdyby im był nadał właściwą fizyognomię i odkrył właściwe powody ich działania, cobyśmy mieli za ciekawy i nauczający zbiór historycznych portretów! Nieszczęściem, jest takich rozmów tylko dwie, a w nich wyprowadza autor cztery tylko postacie. W pierwszym dyalogu występuje król Jan i Jeremi Wiśniowiecki, a celem jego, o ile domyślić się można, jest oczyszczenie pamięci króla Jana i wystawienie go w prawdziwem i przychylnem świetle, i wymówka, że syna po nim na tron nie obrano. Bardzo potrzebne po jego śmierci, kiedy przeciwnicy synów szarpali i sławę wielkiego ojca. Ale jednak sąd jest bezstronny, a nieraz surowy. Ciekawy jest w przedmowie opis pól Elizejskich, w dyalogu samym pełno rysów ciekawych z życia króla Jana i ks. Jeremiego, którego charakter występuje tu w świetle ciekawem i sądzony jest dość surowo. Sobieski znowu przyznaje się do winy przy elekcyi Michała.

Druga Rozmowa, na nieszczęście przerwana, jest czysto satyryczna. Prymas Wydżga z kardynałem Ra-

dziejowskim dysputują, który z nich lepszy. Autor zdaje się niepewnym, który gorszy: Wydżga skąpiec, samolub, cynik, jednak ma przecież choć tę wyższość nad Radziejowskim, że był wiernym swemu stronnictwu. Radziejowski chełpi się za to ze zręczności, hojności, wspaniałości. Wydżga odpowiada, że zręcznie pieniądze brał, a dobroczyńcy swemu królowi Janowi niewdzięcznością się odpłacił.

Rozmowa w połowie urwana.

Ale jest jeszcze *Skrupuł bez Skrupułu*. Jak go nazwać? Pismem politycznem, czy moralnem? Nie jest on ściśle ani jednem ani drugiem; jest raczej jednem i drugiem, bo mówi ze stanowiska moralnego o grzechach przeciw społeczeństwu i ojczyźnie. Przedmiot bardzo obszerny, prawie niewyczerpany, gdyby Jabłonowski był chciał mówić o wszystkich polskich grzechach tego rodzaju. Ale on ogranicza się do mniejszej liczby i z takich tylko grzechów chce nam zrobić rachunek sumienia, które popełniamy nie biorąc ich sobie za złe: *bez Skrupułów*. Ztąd tytuł dziełka.

Jakież więc są te grzechy, których nikt sobie za grzech nie ma? Dziwna rzecz, pierwsze, które spotykamy, są grzechy dziennikarskie, grzechy *gazetarzy*, jak on nazywa, a tymi są: nowiny fałszywe rozsiewać, wnioski fałszywe wyciągać, kłamstwa i potwarze pisać, czego nikt sobie za złe nie ma, a co wszędzie złe i występne, najgorszem jest w Polsce, bo „impresye, które gazetarze czynią szlachcie i żołnierzom, a czynią je fałszywie, rozrywają jedność w Polsce, czynią dewizye i rozdwojenia w ludziach, i nietylko kłamstwa są grzechem, ale i przedłużenia wojny domowej“. Potem popiera swoje twierdzenie przykładami ze współczesnej historyi, a wreszcie bystrze opisuje rozumowania i powody, którymi zasłaniają się *gazetarze*. Ale jeżeli oni winni, o ileż więcej ci *passionati scriptores*, którzy „racyami zwodzą *et imponunt publico*, i czynią się

bez żadnego prawa tłómaczami interesów Rzpltej i niby sędziami”.

Oprócz tego „duchownego i statystycznego grzechu”, gani Jabłonowski drugi, przy którym dotyka jednej z najzawilszych i najtrudniejszych do zbadania stron społecznego życia polskiego, niechęci przeciwko ludziom, którzy zajmują wyższe w narodzie stanowiska. Nazywa to Jabłonowski krótko i niedostatecznie gadaniem na panów, i w ten sposób psychologicznie tłómaczy: „U nas—powiada—wszyscy szlachta są sobie równi w szlachectwie, a kto wyższy, to wyższy tylko urzędem albo fortuną. Przodkowie nasi, wkorzeniając w narodzie *aequalitatem*, rozumieli uformować *konfidencyą* i miłość braterską. Ale że się wszystko na świecie psuje, więc ta sama piękna *aequalitas* wykarmiła ambicyę, pychę, swawolę i zazdrość, tak, iż nieuważny szlachcic, wbiwszy sobie w głowę, że jest równy panu w szlachectwie, gniewa się o to, że go urzędem lub fortuną zrównać nie może, a tego pomścić się nie mogąc, mści się językiem i zaraz krytykuje i cenzuruje. *Vitium* to wychowuje i karmi *aequalitas*, ale *aequalitas* źle zrozumiana”.

Uwagom tym nie można odmówić słuszności ani historycznej prawdy. Przypomnieć sobie historyę Jana Zamoyskiego, albo historyę Ossolińskiego, albo i Żółkiewskiego, a ujrzy się tam, u prostej szlachty równie jak i u magnatów, mnóstwo zazdrości i zawiści do człowieka, który się wzniósł nad innych. Z tego samego źródła płynęła ta gwałtowna, zajadła, a nieraz karczemna opozycya przeciw Sobieskiemu odkąd został królem; z niego także wielka część niechęci do Stanisława Augusta i Czartoryskich. Zdaje się, jak gdyby człowiek, który cokolwiek innych przerósł, musiał w tej samej chwili stać się znienawidzonym, celem podejrzeń i pocisków. Nawet w naszych czasach, trafiało się nieraz, że człowiek najpopularniejszy przestawał być popularnym w chwili, gdy doszedł do uznanego

powszechnie stanowiska. W czem szukać początku tego fenomenu? Chyba w tem, co mówi Tocqueville, że *l'envie est une passion éminemment démocratique*. Do tego twierdzenia dodawszy drugie, *la passion éminemment aristocratique, c'est l'orgueil*, możnaby oboma rozwiązać niejedną tajemnicę historyi. Opisuje nawet autor w sposób dość bystry zewnętrzne objawy tej niechęci w życiu publicznem lub potocznem: „Który pan mądry — mówi — to frant, który przezorny to szalbierz, który z dworem trzyma to pochlebnik, który hojny to szalony, który krzywdy nie da sobie robić to tyran, który ze szlachtą trzyma to przecie nie dobry, bo mówią, on nie darmo się akkomoduje, chce coś albo na królu wysarkać, albo na nas wydrwić”. Charakterystyka krótka, ale trafna tych podejrzeń, z któremi do dziś dnia spotkać się można u nas, czy to w publicznych czy nawet w drobnych towarzyskich stosunkach.

Dopóki gadania takie spadają tylko na ludzi prywatnych, mówi dalej autor, obciążają sumienie, ale nie szkodzą Rzpltej. Ale gdy gmin nieoświecony, z polityką nie obeznany, zaczyna krytykować ministrów i urzędników, wtedy nietylko najczęściej niesprawiedliwość popełni i najlepszego obywatela ogłosi za zdrajcę, ale i Rzpltej wielce szkodzi. Przykład: zaciągi Władysława IV. Krytykowanie zaś króla i rządu uchodzi nietylko za przywilej wolności, ale za główną cnotę obywatela. Ztąd każdy hetman opresor, każdy kanclerz krętacz etc. Ztąd pospolite ruszenie osądziło Sobieskiego, że przedał Kamieniec, królową o związek Baranowskiego. Gorsze zaś od tego wszystkiego jest weksowanie królów z interesu prywatnego, podszytego pod publiczny, zemsta za chybione wakansy, a cóż dopiero konszachty z zagranicznemi mocarstwami przeciw królowi i bunty za francuskie lub austryackie pieniądze. Inni znowu czysto na złość — Sobieski mawiał o jednym: Niech król Jan zostanie żydem, to on chrześcijaninem, i *vice versa*. Zastrzega się przytem autor,

że nie zabrania narodowi upomnienia się *legitime et legaliter* praw swoich, kiedy ich królowie łamać chcą, tylko zabrania złości, potwarzy i prywaty.

Przeszedłszy różne grzechy, których nikt za takie nie ma, natury więcej prywatnej, jako to: nadużycia przy testamentach, zapisach, dożywociach, dzierżawach i t. d., przechodzi do samego korzenia złego, do sejmików i sejmów. Nic na pozór piękniejszego, słuszniejszego, godniejszego zazdrości, mówi, jak nasze sejmy: nic w rzeczy zgubniejszego. Gdyby trzymano się w nich ściśle rozumu i sumienia, byłaby to instytucya błogosławiona; bez tego przynosi największą szkodę Rzpltej. Jakżeż bowiem odbywają się sprawy na sejmikach? „Szlachta częścią uboga i głupia, częścią i więcej rozumna i dostatnia, od jednych panów pensyę bierze, nadzieją promocyi, puszczeniem majętności, nawet samymi bankietami i zmyśloną ujęci ludzkością, *serviliter* panom na sejmikach służą i za namową i rozkazem ich promowują niesprawiedliwe rzeczy, tamują sejmiki, nie pozwalają na nie, aż pański utrzymają interes, na ostatek bez racyi prawa, albo publicznego dobra rwać sejmiki ważą się, a za grzech tego nie mają". A to jeszcze szczególne, że senator uczciwy i godny, który ani pochlebia, ani przekupuje, ani grozi, zawsze będzie miał sejmik przeciw sobie, kiedy zuchwały intrygant da sobie z nim radę Sejmik każdy jest poprostu targiem na prawo wotowania, jest polityczną *symonią*; a jeżeli przedaż świętości kościelnych jest grzechem, to jest nim pewnie i handel obowiązkiem względem kraju i sumieniem obywatelskiem. Jeżeli grzechem jest unosić się namiętnością względem jednego człowieka, naprzykład wybić chłopa w gniewie, o ileż gorzej głosować i uwodzić się zawiścią tam, gdzie idzie o dobro powszechne.

Sejmy jeszcze gorsze. Praktykuje się tam to samo, co na sejmikach, tylko na większą skalę; często z obcemi mocarstwami; a skutek nie równie gorszy, bo

już nie dobro jednego powiatu na sztych się wystawia, ale bezpieczeństwo ojczyzny całej. „Zerwanie sejmu! O jakiż to grzech! Przodkowie nasi poczciwi, którzy *Liberum Veto* uformowali, rozumieli, że to będzie *Sacrum Palladium*, które nie da tej Troi zginąć. Opisali jego formę, jako poseł protestować się winien, *in facie* trzech stanów wywieść niesłuszność pretendowanej konstytucyi, i podac te same racye do grodu. Pytam się każdego, czy taką formą rwą się teraz sejmy? Gdzieśmy widzieli sejmy rwane nietylko formą opisaną prawem, ale na fundamencie prawa, bez przekupienia, bez interesu, bez nakręcenia od cudzoziemców albo swoich panów? A przecie w tym grzechu nie masz, mówiąc: Stała Rzplta choć sejmy tak rwano i stać dalej może. Ale to jest *tentare Dominum*, i ona stoi, ale jak człowiek obdarty ze skóry".

Nie posuwa się Jabłonowski aż do żądania zniesienia *Veto*. Trzeba widać było nauk jeszcze cięższych, trzeba było panowania Augusta III, żeby ta myśl się przyjęła, skoro jej nawet Leszczyński nie znajduje. Ale nie można dla tego odmówić Jabłonowskiemu zasługi i szacunku. Nie jest on właściwie pisarzem politycznym, chodzi mu o sumienia nie o instytucye; ale trzeba mu przyznać, że kiedy wyzuwa się z fałszywych zachcianek poetycznego dyletantyzmu, i kiedy zwraca uwagę na stan rzeczy publicznej, nie zbywa mu ani na powadze, ani na rozumie. Zapewne, książka jego miałaby nierównie więcej wartości, gdyby zamiast ograniczać się tylko do tych grzechów niby powszednich, z których nikt sobie nie robi skrupułu, był w ten sposób opisywał i sądził wszystkie: zwłaszcza te wielkie, o których, jako zbyt widocznych, wcale nie mówi. Ale zawsze jest to jeden z rzadkich podówczas ludzi, którzy coś myśleli i coś chcieli, którzy rozumieli, że jest czego w Polsce żałować, i poczuwali się do obowiązku, żalu i poprawy. Książka ta jest jednem z nasion i symptomów tego odrodzenia narodowego ducha i rozumu,

które się dokonało w latach pomiędzy pierwszym a drugim rozbiorem.

Smutno wygląda nasza historyografia z tych czasów. Gdyby u nas Stanisław August był przyszedł na tron o kilkadziesiąt lat wcześniej, lub gdyby Leszczyński był się na nim utrzymał, jeden lub drugi byłby zapewne rozwinął popęd do nauki; byliby chcieli dać popęd historyi naprzykład. Ale Sasi zrobić tego nie mogli. Nie starali się też wcale o to w Polsce, o co dbali w Saksonii, żeby na wzór innych panujących mieć swoją historyografię dworską. Niema też za ich panowania śladu tego kierunku; choć tacy pisarze jak Naramowski lub jak ci, którzy pisali historyę możnych domów, byliby się dali w ten kierunek łatwo wprowadzić.

Bez tej zachęty i pomocy, historya, macająca i szukająca dla siebie pola, trafia i na ten kierunek, ale nic w nim nie wydaje oprócz rzeczy, pozbawionych wszelkiej wartości. Przesady, hyperbole, panegiryzm, zajmują miejsce prawdy i historycznego wytłómaczenia i przedstawienia faktów. Dzieła Rubinkowskiego, którym już współcześni, o ile uczeńsi, nie przyznawali wartości, dzieje Jana III i Augusta II, reprezentują ten kierunek. Obok tego inni, próbują złożyć całość historyi polskiej, krótkie jej *compendium*, podręczne dzieła do nauki, ale ci piszą tylko katalogi królów. Za typ służyć może Naramowski: *Species Rerum Sarmaticarum*. Naprzód idzie spis królów od Lecha do Augusta II, każdy zbyty kilkunastu wierszami. O królach bajecznych powtarza wszystkie baśnie z kronikarzy; a oczywiście nie ma wartości kronikarzy. Królów historycznych jak sądzi, niech świadczy to, co mówi o Kazimierzu W.: *Nihil magni prae se tulit, praeter staturam.* O Jadwidze niema wzmianki. Przy Zygmuncie Auguście ani słowa o Unii, ani słowa o zaprowadzeniu elekcyi.

Dalej taki sam spis królowych; za niemi książąt

litewskich od Palemona, który pierwszy przyszedł *in has oras tunc barbaras*. Potem spis prymasów, arcybiskupów lwowskich, biskupów krakowskich, kujawskich, poznańskich, wileńskich, płockich, warmińskich, łuckich, przemyskich, chełmskich etc., chełmińskich, kijowskich, żmujdzkich etc., wszystko tej samej wartości. *Rubinkowskiego* „*Janina*" nawet faktów nie wie. Każe Sobieskiemu rodzić się z Żółkiewskiej, i być trzecim synem rodziców. Rozpisuje się szeroko o tureckiem proroctwie; czasy Jana Kazimierza i Michała pomija, wspominając tylko, że Sobieski był marszałkiem, a potem hetmanem. O bitwie Chocimskiej nic nie umie powiedzieć, oprócz zjawienia św. Stanisława. „Od roku 1675, aż do 1682 milczą wszystkie prawie wiadomości, opuszczam ten czas, bo mi większej rzecz ciekawości pod pióro przychodzi". Wyprawa wiedeńska, kometa i proroctwa, znaki i przepowiednie: wybuch Etny i modlitwa Turków do Mahometa, oto co obchodzi go najwięcej. O traktacie andruszowskim ledwo krótka, bardzo pochlebna wzmianka; ale za to wypisuje wszystkie napisy pod portretami przy uroczystości ślubu Jakóba.

Rzeczą charakterystyczną są historye możnych domów; źródłem historycznem mogły być bardzo cennem, na nieszczęście, po większej części są tylko ciekawem świadectwem czasu.

Największej wartości książka historyczna, jaką ówczesna epoka wydała, należy do dawnego kronikarstwa polskiego; jest nią książka, zwana pamiętnikiem Otwinowskiego, lub Otwinowskiego Dziejami Augusta II, a którą właściwiej było nazwać kroniką, lub rocznikami.

Nie wiadomo naprzód, czy istotnie Otwinowskiego, w każdym razie pisana przez ostatniego kronikarza. Nietylko formą swoją, autor opowiada dzieje latami: ale całą treścią, sposobem opowiadania, traktowania i pojmowania swego przedmiotu, jest ta książka

kroniką, historyą, pisaną z pamięci, bez opracowania i źródeł. Wypadki opowiada autor tak, jak je widział, jak mu się przedstawiały; jest to opowiadanie i sprawozdanie jednego człowieka ze współczesnych wypadków, nie historya w dzisiejszem pojęciu rzeczy; ale źródło historyczne wielkiej wartości.

Gdyby chodziło o to, żeby go porównywać i przez podobieństwo dać o nim wyobrażenie, trzebaby powiedzieć, że jak czasem, tak i rodzajem najbliższym jest Kochowskiego. Jeden jak drugi jest historyk szlachcic, jeden i drugi sądzi sprawy Polski i świata ze swego stanowiska, i nie sięga okiem po za dość ciasny horyzont szlacheckiej polityki. Jeden i drugi troszczy się przedewszystkiem o swobody i wolność, o przywileje stanu szlacheckiego, i z tego punktu widzenia sądzi ludzi i wypadki. Jednak czytając jednego i drugiego, inne po każdym ma się wrażenie. Kochowski jest niezawodnie stronniejszy, może nawet łatwowierniejszy, naiwniejszy od Otwinowskiego, ale jest w nim duch silniejszy i zdrowszy. Myli się, zaślepia się w sądzie o ludziach i wypadkach nieraz się i uprzedza; ale nawet w tych uprzedzeniach i błędach znać jeszcze jakąś całość politycznych zasad, jakiś kierunek mający cel i podstawę, fałszywy może, ale do zrozumienia. Otwinowski się nie zaślepia, nie unosi nad nikim, owszem, nad wszystkimi wydaje wyrok potępienia, ale tak wygląda, jak gdyby sam nie wiedział, czego chce i dokąd dąży. W tej samej jego bezstronności znać jakieś rozprzężenie ducha, dezorganizacyę tego szlacheckiego elementu, który się w nim odbija. Przez całą książkę zapytywać się trzeba, kogo on się trzyma, do czego dąży, co odpowiada jego przekonaniom i sumieniu? Jest przeciwnikiem Sasów i Rosyan, Szwedów i elekcyi, Augusta i Leszczyńskiego, wszystko to jest u niego nielegalne i zgubne. Więc cóż zostaje? Dawna tradycya, Rzeczpospolita niepodległa, złota wolność i swobody stanu szlacheckiego. Tę zasadę wyznaje,

tejby się uchwycił, gdyby znalazł gdziekolwiek jej wyraz. Ale, rzecz charakterystyczna i dowodząca jak ta zasada straciła moc i świadomość siebie, to, że jedynym wyrazem, na jaki się zdobyła, była konfederacya Tarnogrodzka. Tym nieszczęśliwym ludziom, którzy ją zrobili, i temu Otwinowskiemu, kiedy o niej mówi, plątały się jakieś wspomnienia Tyszowieckiej; jak od niej byli dalecy, jak nie mieli już tego silnego ducha, który tamtą wydał, dowodzi najlepiej to, że na medyatora pomiędzy sobą a królem, obrali Piotra W. Otwinowski wie, że to niebezpieczne: a jednak, jeżeli w czem jeszcze widzi coś dobrego, jeżeli dla czego ma uznanie i pobłażanie, to dla tej konfederacyi i jej idei.

Oprócz tej zmiany ducha w autorach, uderza także zmiana czasów w dziejach, przez nich opisanych. Smutne są czasy Kochowskiego, klimakteryczny zwrot w życiu Polski, ale jest jeszcze wielkość i w narodzie i w ludziach. Opłakuje się najazdy, zdrady, fakcye, zrywane sejmy, niezręczności i nieradności, ale obraz ten nie jest bez światła. Częstochowa, Tyszowce, poryw pełen energii, poświęcenia i zdrowia. Nawet złe nie jest podłem, a tam gdzie wymówki niema żadnej, ma przynajmniej jakąś tragiczną wielkość. Obok niego na pociechę wiele mądrości i cnoty, jeszcze jest co czcić i wielbić.

Czasy Otwinowskiego gorsze. W Polsce i pod jej pozorem biją się o bezwładną zdobycz Szwedzi i Rosyanie; naprzeciw nikczemnego Augusta, Leszczyński czysty, zacny, mądry, ale niezręczny, miękki; wojska obce przechodzą jak przez karczmę, rabunki, ucisk nad wszelkie pojęcie. Magnaci fakcyjni, ambitni a niedołężni, umiejący szkodzić dla własnych celów, ale nie zdolni nawet dla siebie działać rozumnie. Hetman myśli o koronie, inny o Księstwie Halickiem, trzeci organizuje napady rozbójnicze ze Spiżu, wszyscy intrygują, szarpią, zdradzają, Januszów Radziwiłłów pełno, Czarnieckiego niema. A szlachta, która wtedy zdołała

jeszcze Rzeczpospolitą uratować, dziś zdobywa się na to, żeby pośrednictwo między sobą a królem oddać Piotrowi, i nie czuje, że od tej chwili Polska przestała być niepodległą.

Dzieje Otwinowskiego są tego stanu obrazem przerażającym ale dobrym. Opowiada on porządnie, jasno, szykuje wypadki dobrze, ludzi umie i przejrzeć i przedstawić dość plastycznie tak, że każdy rysuje się wyraziście, wbija się w pamięć. Sądu ma tyle, ile potrzeba, żeby poznać, co złe; co by dobrem i pomocnem być mogło, tego już nie wie. Wszystko razem człowiek niemałego talentu, dający obraz swego czasu, a sam przez siebie dający poznać jego ducha; źródło historyczne ogromnej wartości, ostatni kronikarz jest zarazem jednym z lepszych.

Pamiętnik Krzysztofa Zawiszy, wojewody mińskiego (wydany przez Bartoszewicza z jego rozprawą, w r. 1862), jest bardzo nauczający, obfity w szczegóły, dla historyka tych czasów potrzebny; ale jest dyaryuszem, materyałem, a jako taki literaturę obchodzi mniej. Autor, jak świadczy jego wydawca, pisał prócz tego i powieść, i polityczny traktat; ale gdy te nawet jemu znane nie były i prawdopodobnie zaginęły, nie możemy ani z nich zdawać sprawy, ani o ich autorze jako o pisarzu mieć zdania i sądu.

III.

Król Leszczyński. Jego *Głos Wolny*. Powód napisania. Znaczenie. Duchowieństwo. Rozdawnictwo starostw i urzędów. Cztery ministerya. Rady wojewódzkie. Sejmiki. Sejm walny. Ograniczenie *Liberi Veto*. Sprzeczność. Plan administracyi. Poddani. Miasta. Wojsko. Skarb. Sądownictwo. Sposób elekcyi króla. Zakończenie. Mniejsze pisma Leszczyńskiego. Wyspa Dumokala. Broszury w sprawie własnej. Charakter pism filozoficznych i moralnych. Zasługa Leszczyńskiego w historyi.

Doznaje się, jak gdyby jakiegoś wrażenia wypoczynku i pokrzepienia, kiedy, przestając długo pomiędzy dziełami wątpliwej lub średniej wartości, pomiędzy umysłami zwyczajnej pospolitej miary, natrafi się wreszcie na dzieło, w którem przebija prawdziwa wyższość umysłowa i moralna.

Takie wrażenie robi Stanisław Leszczyński na każdym, kto bliżej przygląda się naszej historyi z czasów Saskich. Jest się tak zmęczonym, tak upokorzonym widokiem tych figur, które przesuwają się jedna za drugą, a co jedna to brzydsza i bardziej odrażająca prywatą, ambicyą, egoizmem, chciwością, niedołęstwem, głupstwem, że się łaknie gwałtownie czegoś, na coby patrzeć można bez odrazy i wstydu, czegoś, coby można szanować.

Jako taka postać właśnie stoi w tej epoce Leszczyński, i na tej wielkiej przestrzeni upadku ciągnie do siebie oczy jak oaza czystości i prawości. Czy Lesz-

czyński był wielkim człowiekiem? Niestety, nie; gdyby nim był, byłby może, król za dwoma nawrotami, zdołał dzielniej uchwycić się swego tronu i na nim się utrzymać. Nieszczęściem, obok cnót najpiękniejszych i najrzadszych, obok zapomnienia o sobie, braku osobistych widoków, obok najczystszej i najszlachetniejszej miłości ojczyzny, miał i inne własności charakterom takim wrodzone, miał chwiejność, miękkość, był zawsze gotów odstąpić siebie i swojej sprawy, był może zbyt skrupulatny, zbyt nieskalany, żeby mógł długo utrzymać się nad wodą i płynąć przeciw prądowi. A jednak choć nas nie uratował, choć król efemeryczny, nie mógł nawet pokazać, jakby był rządził, przecież liczymy go pomiędzy naszych wielkich dobroczyńców, i słusznie. Dlaczego? — Bo stał pośród narodu jako wielki przykład prywatnej i publicznej cnoty, bo garnąc do siebie młode pokolenie, uczył je słowem i przykładem tej prawdziwej miłości ojczyzny, której istota była u nas naówczas zapomnianą, a której główną cechą jest, że ma być zawsze i wszędzie wolną, a przynajmniej wyższą, od miłości własnej. To zatracone pojęcie wszczepił on na nowo; a oprócz tego, po za Polską żyjąc, pracował nad tem, żeby Polaków zrobić Europejczykami. Przykład cnoty był zarazem apostołem oświaty, formował uczonych i wojskowych, kształcił pojęcia polityczne i moralne zasady, słowem, jak August II był ogniskiem ogłupienia i korupcyi, tak ten był ogniskiem poprawy i światła.

Dlatego to, choć nie mógł być zbawcą, był niezawodnie dobroczyńcą narodu; dlatego patrząc na niego pośród współczesnych, doznajemy takiego pokrzepienia ducha. Wygląda on w ówczesnej Polsce, jak sprawiedliwy w Sodomie, a patrząc na niego mówimy sobie, że takich więcej byłoby zbawieniem. Otóż, dosyć takich nie było nigdy, ale za jego wpływem i zasługą znalazło się ich więcej: więcej w drugiej połowie wieku, niż w pierwszej.

Dzieło godne człowieka. Jak on odbija zacnością i rozumem od współczesnych głów pustych i wątpliwych charakterów, tak wśród ówczesnych umysłowych produkcyj, w których myśl jest taką rzadkością, odznacza się jego książka pełna zastanowienia i doświadczenia prawdziwego męża stanu. Leszczyński nie był geniuszem, nie był człowiekiem zdolnym zawładnąć nader trudnemi okolicznościami, to wszystko być może: ale poniżej geniusza są różne szczeble zdolności, politycznej jak każdej innej, a że jego szczebel był wysoki, na to nie trzeba lepszego dowodu, jak jego książka, którą czytając ma się ustawicznie to wrażenie, że człowiek zdolny, tak rząd kraju pojąć i opisać, byłby był i niepospolitym w tym rządzie, gdyby go okoliczności były do niego dopuściły. Nie idzie zatem, żeby autor miał być nieomylnym, a w książce wszystko doskonałem; owszem, przy bliższem rozpatrzeniu poznamy, że ten wysoki umysł hołdował nie jednemu uprzedzeniu swojego czasu, a co gorzej, że parę razy zdarzyło mu się sobie samemu nie być zupełnie jasnym. Ale wszystko razem wziąwszy, objąwszy okiem wszystkie trzy wieki naszej literatury politycznej, i ceniąc jak należy jej najwyższych reprezentantów od Modrzewskiego do Staszica, znajdziemy tam dzieła i pisarzy (zwłaszcza pod koniec), którzy problem lepiej od Leszczyńskiego rozwiązali, ale nie wiem czy znajdziemy takich, którzyby mieli więcej względnej wartości, w odniesieniu do czasów i stosunków; a w każdym razie będziemy musieli policzyć *Głos Wolny* do rzeczy najlepszych i najmędrszych, jakie ta gałąź literatury u nas wydała, do prawdziwych jej pereł i zaszczytów.

Jest mniemanie dość rozpowszechnione, że książka ta była tylko prostym manifestem kandydata do korony, przeznaczonym i wyrachowanym na to, żeby autorowi zjednać umysły i pozyskać stronników. O ile to zdanie jest słusznem, trudno rozstrzygnąć. Co najwięcej, a może jedynie do niego uprawnia, to zbliżenie

dat; mianowicie ta okoliczność, że książka ukazała się podczas bezkrólewia po Auguście II. Kilka szczypt kadzidła, spalonych na cześć *Liberum Veto*, uważane są powszechnie jako *captatio benevolentiae*: a żądanie wyłączenia od tronu wszystkich kandydatów zagranicznych, jako oczywiste wystąpienie *pro domo sua*. Nie wiemy, czy tak było; ale jeżeli nawet istotnie było, to cóż w tem Leszczyńskiemu uwłacza? Że się o kornę starał, z tego tajemnicy ani robił, ani mógł robić; że starając się nią, chciał postawić, jakby dziś powiedziano, program swoich przyszłych rządów, w tem nie byłoby nic zdrożnego, ani nawet dziwnego. Pozostawałby więc tylko zarzut, że utrzymując *Veto*, schlebiał panującej opinii, zarzut, który wtedy tylko miałby swoją wagę, gdyby ktoś zdołał dowieść, że Leszczyński utrzymywał *Veto* w złej wierze, dla przypodobania się opinii. Otóż na to dowodu niema i być nie może. Dziwne to jest, prawda, że człowiek tego rozumu i doświadczenia politycznego obstawał za tem, co wszelkiej polityce podcinało nogi, ale takich sprzeczności znajdzie się w książce więcej. A że człowiek, który się wychował i swój zawód publiczny rozpoczął jeszcze w wieku XVII, mógł tak przesiąknąć szlacheckiemi polskiemi wyobrażeniami, że późniejsze życie nigdy ich zupełnie wytrzeć nie zdołało, to byłoby naturalnem, i nie widzimy powodu podejrzywać dlatego dobrą wiarę autora. Jakkolwiekbądź zresztą, jeżeli nawet *Głos Wolny* pisany był w widokach na koronę, to jeszcze nie można z tego Leszczyńskiemu robić zarzutu. Starać się o nią było wolno każdemu, a środek taki był niezaprzeczenie uczciwym i godnym.

Jednak, jeżeli wolno jednym domyślać się osobistych celów i widoków, to zarówno pozwolonem być winno drugim tłómaczyć napisanie tej książki wyższymi powodami. Powody te leżą na wierzchu, są zgodne z naturą autora, nie trzeba ciągnąć ich gwałtem, podają się same. Spojrzyjmy tylko na charakter Leszczyń-

skiego i na jego życie. Znamy go jako człowieka rozumnego, zacnego, i gorąco przywiązanego do kraju. Los robi go królem w 28 roku życia, ale królem w takich okolicznościach, że nie mógł nic Rzpltej pomódz, a za to lepiej niż ktokolwiek inny przypatrzyć się jej okropnemu stanowi. Po pięciu latach kończy się to chwiejne, nigdy nie ustalone królestwo, w które sam król nigdy dostatecznej wiary nie miał, a zaczyna się wygnanie i tułactwo, noszone z godnością, ale w warunkach ciężkich i twardych. W czasie tego wygnania, Stanisław, żyjąc sercem i myślą w Polsce, przetrawia w sobie wszystkie jej nieszczęścia, wszystkie przechody wojsk saskich, rosyjskich i szwedzkich, wszystkie zrywane sejmy, wszystkie intrygi Augusta, całą bezmyślność konfederacyi Tarnogrodzkiej, całą niemoc i obumarłość Polski. Z drugiej strony, żyjąc zagranicą, mając przed oczyma państwa, żyjące normalnem życiem politycznem, państwa rządzone nie ślepym trafem, ale świadomą siebie polityką, musiał ten człowiek myślący porównywać, musiał przyjść do przekonania, że kiedy inne państwa europejskie mają warunki życia i siły, Polska nosi w sobie fatalne zarody upadku, które musi wyrwać z siebie lub zginąć. Musiał on to czuć tem żywiej i rozumieć tem wyraźniej, że sam przez czas swego królowania zajmował się praktyką spraw i rządu, że odbył tę szkołę, jakiej przed nim żaden z naszych statystów nie przeszedł. Nie trudno sobie wyobrazić, jakie smutne refleksye wywoływać musiały w umyśle wygnańca, kiedy go dochodziły wieści o konfederacyi Tarnogrodzkiej, o sejmie *Niemym*, o medyacyi Piotra W., albo o planach rozbioru Rzpltej. Pomódz jej nie mógł; nawet kiedy jego córka zasiadła na pierwszym tronie Europy, on wiedzieć mógł odrazu, że nie znajdzie tam punktu oparcia dla siebie i swego kraju. Ale później przeciwnik jego, koronowany wróg Polski, zaczął się chylić do grobu; chwila śmierci nie mogła być daleką, chwila bezkrólewia,

chwila sposobna do upamiętania i poprawy nastąpi zaraz po niej. Czy nie byłoby na czasie stawić Rzpltej przed oczy zwierciadło, wizerunek jej stanu? czy nie trzeba jej pokazać gdzie jest, a następnie co ma robić, żeby się ratować? Może usłuchać; a jeżeli nie usłucha, przynajmniej spełniony będzie względem niej obowiązek dobrego wiernego obywatela.

Ten jest początek książki *Głos Wolny*. Jest to owoc panowania Augusta II, wyraz zastanowienia się Polski nad sobą w tym okresie czasu, wyraz najwyższy, a zarazem jedyny; jedyny ślad dowodzący, że byli jeszcze nawet wtedy ludzie, którzy myśleli, że były serca, które biły, że pośród opilców, ospalców i malepartów, byli jeszcze Polacy. Jak trzydzieści lat Augusta III zrodziły upamiętanie i wydały Konarskiego, jak pierwszy rozbiór wydał Staszica, tak chaos panowania Augusta II-go wydał *Głos Wolny*, jedyną, niestety, protestacyę narodu przeciw temu politycznemu chaosowi i temu moralnemu upadkowi.

A teraz dlaczego nazwaliśmy tę książkę jedną z najmędrszych i najlepszych w naszej literaturze politycznej? Bo jest niezawodnie, pomimo swoich usterków, jedną z najzupełniejszych. Nie wdaje się ona w teoryę, ale pod każdem jej słowem czuć silną podstawę myśli, refleksyi, nauki i politycznego doświadczenia. Główne i decydujące pierwiastki położenia chwyta ona bystro i zapowiada z góry, że dwie są kardynalne konieczności dla Polski: sto tysięcy wojska i ciągły rząd. Dalej, co dotąd statyści nasi zaniedbywali, daje kompletny zarys administracyi, może wadliwy ale możliwy, mogący istnieć i funkcyonować; dalej rozumie stosunki zagraniczne i żąda należytego ich uwzględnienia, wreszcie, szanując *Veto*, może tylko wmawiając w siebie, że je szanuje, zabezpiecza jak może sejmy od zrywania. Nie jest to dzieło dyletanta, marzącego i radzącego o polityce ze swego pokoju, jest dzieło człowieka, który zna rzecz, który z nią i nią żył, który zna

na wskróś jej istotę i jej wymagania, który choć trochę rządził: i to daje mu niechybną, naturalną wyższość nad dziełami wielu statystów równych może Leszczyńskiemu zdolnością, ale znających politykę z teoryi tylko lub zdaleka.

Żeby zaś scharakteryzować zewnętrzną niejako stronę tej książki, dodać jeszcze trzeba, że jakkolwiek forma jej jest poprawna, jednak odzywa się jeszcze i łacina, i gdzie niegdzie ten gust deklamacyjny, właściwy epoce młodości autora. Znać tu i owdzie człowieka, który za młodu chcąc być wymownym, musiał żeglować po rozbujałych *fluktach*; ale znać zarazem, że zaledwo się to przyzwyczajenie odezwie, zaraz hamuje go smak wykształceńszy i nabyta wysoka oświata. Te zapędy dawnego przywyknienia w walce z lepszem przekonaniem, nadają książce pewien wdzięk łatwy do odkrycia dla każdego, kto się w nią wczyta. A jak dawny gust literacki polski walczy w niej z nowym poprawnym, tak samo możnaby powiedzieć, że spotykają się w niej i dawne szlacheckie polityczne pojęcia, obok tych zasad reformy i poprawy, za któremi autor obstaje. Zdaje się, jak gdyby w nim zbiegły się były oba te prądy wyobrażeń, które popierali i którym służyli wszyscy dawniejsi Leszczyńscy. Rzecz dziwna, ród ten, wielokrotnie wmieszany w największe sprawy Rzpltej, zdaje się wydawać po kolei mężów stanu i deklamatorów, ludzi najpoważniejszych i warchołów. Szereg tych ostatnich otwiera ów Rafał, pamiętny ze sprawy o małżeństwo Zygmunta Augusta; zamyka go zawołany trybun sejmowy, także Rafał, ojciec króla Stanisława. Naprzeciw nich stoi inna grupa Leszczyńskich, mężów stanu, ministrów, dyplomatów, ludzi najgorliwiej i najrozumniej pracujących koło poprawy, jak Jan wojewoda łęczycki lub prymas Wacław. Król Stanisław zdaje się jak gdyby był coś z jednych i z drugich odziedziczył. *Głos Wolny* jest niezawodnie dziełem wielkiego polityka i reformatora, a jednak w tonie

odzywa się w nim niekiedy sejmowy trybun, a mieszanina ta, która istotnej wartości dzieła nie wiele ujmuje, nadaje mu osobną, odpowiednią czasowi fizyognomię; trochę później, w Konarskim lub Staszicu nie dostrzeżemy już ani śladu trybuna.

I znowu poprzestać musimy na przypomnieniu głównych zasad reformy Leszczyńskiego, pomijając z żalem wiele i myśli dobrych, i ustępów prawdziwie pięknych, wybuchów zbolałego i stroskanego patryotyzmu.

Z tych zasad wspominamy naprzód tę, która stoi w pierwszym zaraz rozdziale dzieła, a odnosi się do duchowieństwa. Autor jest rażony światowością ducho wieństwa, zaniedbaniem obowiązków i kościołów i ogromną różnicą w jego środkach utrzymania. Wielkie bogactwa niektórych biskupstw i opactw, a mnóstwo proboszczów i wikarych ledwo ma z czego nędznie wyżyć. Proponuje więc uczynić ze wszystkich dóbr duchownych jedną *massam* i z tego wspólnego skarbu wypłacać duchownym jednego stopnia dochody równe, drugą ich część obracać na budowę i restauracyę kościołów, trzecią na szpitale i ubogich.

A więc pensyonowanie duchowieństwa przez państwo? Zależność jego od rządu? Przemiana księdza w urzędnika cywilnego, jednem słowem, niewola Kościoła i zwichnięcie jego stanowiska? Bynajmniej; w tem właśnie leży mądrość i sprawiedliwość pomysłu Leszczyńskiego, że do tej reformy stosunków kościelnych państwo nie miesza się wcale, że ma się ono dokonać przez duchowieństwo samo, z zupełną i nieograniczoną jego wolnością.

Jakim sposobem?

Oto takim: *Clerus* powinien nie z przymusu, ale z poczucia słuszności i obowiązku, ze wszystkich dóbr i dochodów swoich uczynić jedną *massam*. Cały tak złączony majątek duchowny stoi pod zarządem nie świeckim, ale duchownego *Consilium*, złożonego ze wszyst-

kich biskupów, z delegatów kapituł katedralnych. zakonów, pod prezydencyą prymasa. To *Consilium*, do którego skarbu wszystkie dochody wpływają, czyni samo ich repartycyę, „obserwując *aequalitatem secundum exigentiam* każdego duchownego", to jest, przeznacza biskupom dochód stosowny do ich stanowiska. tak samo opatom, klasztorom, plebanom, aż do wikarych.

Co zbędzie, a zbyłoby dużo, to w pierwszej linii przeznacza owo *Consilium* na stawianie kościołów, gdzie ich niema, lub na restauracyę zniszczonych, na potrzeby kultu, aparaty etc., na seminarya, na szpitale. Dalej, gdyby jeszcze co z funduszu zostało, na wykupno niewolników, na misye i rozszerzanie wiary, i tym podobne pobożne cele.

Wreszcie, zamiast znosić w dobrach kościelnych zimowe leże wojska, co dobra te niszczy, a wojsku pożytku nie przynosi, powinnoby *Consilium* oszacować na pieniądze tę obligacyę duchowieństwa i płacić rocznie ugodzoną kwotę na potrzeby i utrzymanie wojska, przez co i duchowieństwu by się ulżyło, i administracya wojskowa znacznieby się uprościła.

W całym tym planie jest jedna rzecz, która w najwyższym stopniu pociąga uwagę. Niezaprzeczenie nierówność dochodów była wielkiem złem w Kościele, a kwestya dóbr kościelnych jest wielką trudnością. Jedna prowadzi duchowieństwo samo do niepotrzebnych zbytków i nadużyć, często do niechęci pomiędzy klerem wyższym i niższym, druga jest wieczną pokusą dla skarbów głodnych i chciwych. Jedną i drugą rozwiązywano wielorako w Europie, ale nigdy zgodnie, nigdy z przyzwoleniem duchowieństwa. Zawsze ono protestowało, zawsze sądziło się skrzywdzonem w swoich prawach i wolności: i zawsze słusznie, bo rozwiązywano kwestyę zaborem dóbr i opłacaniem duchownych ze skarbu państwa. Pomysł Leszczyńskiego jest jedyny, który obie te kwestye rozwiązuje bez gwałtu, przez duchowieństwo samo, który mu nie zabiera gro-

sza z jego własności, który mu zostawia wszelką wolność i nie poddaje w niczyją zależność, a jednak na wszystkie nadużycia zaradza i tworzy lub ułatwia mnóstwo użytecznych, prawdziwie chrześcijańskich zakładów. Jedna rzecz, którą mu zarzucić chyba można, jest, że żąda od państwa pewnej idealnej wstrzemięźliwości od dóbr kościelnych, a od duchowieństwa pewnego idealnego wyrzeczenia się dóbr ziemskich, i rzeczy bardzo trudnej, reformy dobrowolnej bez żadnego zewnętrznego przymusu od ludzi lub wypadków.

Odjęcie królowi rozdawnictwa starostw, jest u Leszczyńskiego jak u Karwickiego. I on wychodzi z tego założenia, że król każdy musi konspirować przeciw wolności, a w tem rozdawnictwie ma najwygodniejszy sposób jednania sobie stronników. To założenie jest fałszywe, wynika ze zwykłej a szkodliwej podejrzliwości polskiej opinii; ale żądanie, żeby starostwa były dochodem skarbu, a wielcy urzędnicy państwa, żeby byli płatni z tego skarbu, gotówką, jest i słuszne i praktyczne. Jest prócz tego dzisiejsza podstawa systemu reprezentacyjnego: król nie odpowiedzialny, z odpowiedzialnymi ministrami. Że tych ministrów przypuszcza tylko czterech, i mówi, że wszystkie sprawy państwa dadzą się objąć czterema departamentami, to pomyłka mała w porównaniu z trafnością samego pomysłu.

W rozmaitej wartości środków, jakie Leszczyński podaje na dobre i odpowiednie urządzenie ministeryów w tem, że jeden z tych środków teorya powszechnie uznała, a praktyka stwierdziła, kiedy drugie na pierwszy rzut oka okazują się jako niepraktyczne i nie prowadzące do celu, śledzić można z zajęciem, jak się nasze dzisiejsze konstytucyjne pojęcia stopniowo wyrabiały, jak zrazu szukano i macano rzeczywistego i słusznego ich wyrazu, jak do wyrazu tego dochodzono stopniowo, pomału, jak się w drodze nieraz mylono, i dlatego to rozdział ten o ministrach jest może

równie zajmujący i ciekawy przez swoje pomyłki, jak przez te prawdy, które odkrywa i zawiera.

Senatorowie, oprócz swojego obowiązku radzenia, mają mieć obowiązek rządzenia. Wojewoda ma być gubernatorem w swojem województwie.

Obowiązkiem tym powinno być przedewszystkiem przestrzeganie, żeby uchwalone na sejmie prawa miały swoją egzekucyę. Cóż po wojewodzie naprzykład, że siedzi w swojem województwie i jest niby jego pierwszym urzędnikiem, jeżeli w tem województwie nic nie robi, nic nie wykona z tego, co było postanowione? Obowiązkiem i rolą senatorów powinnoby właśnie być: rządzić w swoich zakresach, w województwach. Robi więc rodzaj gubernatorów, którzy ustawicznie zostawać mają w stosunkach z ministeryami. Ale jak w rządzie centralnym żaden minister nie rządzi sam, lecz tylko z radą przez sejm wybraną, tak samo i po województwach wojewodowie nie administrują sami, ale mają obok siebie *consilium palatinale*, złożone z posłów województwa. Posłów tych jest ośmiu: czterech zasiada w sejmie nieustającym, czterech innych administruje sprawy województwa, a to w ten sposób, że każdy z czterech ma swój departament odpowiedni jednemu z czterech ministeryów i znosi się bezpośrednio ze swoim ministrem. Naczelnik departamentu sprawiedliwości miałby przydzielone sobie sądy grodzkie, które jako osobne istnieć by przestały. Tak zaś, jak każde województwo wybiera ośmiu posłów, którzy się luzują i po kolei zasiadają w sejmie lub administrują, tak samo wybiera każde i po dwóch wojewodów, z których jeden radzi w senacie, a drugi stoi na czele rządów województwa. Żeby zaś liczba senatorów, a z nią i koszta nie urosły zbytecznie, znoszą się kasztelanowie jako zupełnie nieużyteczni.

Można wiele planowi temu zarzucić, można wytknąć, że czego innego żąda się od posła, czego innego od urzędnika, że zatem najlepsi posłowie mogliby

składać zupełnie nieudolne rady wojewódzkie, wszystko to prawda. Ale krytykując jak bądź, jednej rzeczy planowi temu zaprzeczyć nie można, to jest, że jest istotnym i zupełnym planem administracyi, obmyślanym we wszystkich częściach od góry do dołu. Jeżeli nie jest sam w sobie doskonałym, to jest takim w porównaniu z tem co było, a po zupełności i całkowitości tego planu znać, że był dziełem człowieka, który znał praktykę spraw i rządu; kiedy znowu ta administracya wychodząca w całości (czy w praktyce okazałaby się dobrą, to inne pytanie) z wyborów, jest urzeczywistnieniem najzupełniejszego samorządu, a zarazem dowodem, jak mądrze Leszczyński wolność rozumiał i jak ją święcie szanował.

Po wspaniałym, a bardzo surowym ustępie o stanie rycerskim, przystępuje Leszczyński do sejmu. Zadanie leży w tem, żeby wymyślić jakąś formę obrad, którąby i rwania ich nie dopuszczała, i głos wolny, *Veto*, warowała. Żeby głos jednego miał swoją pełną moc, a żeby nie był tyranią dla wszystkich.

Czy to podobne? Odpowiedź łatwa; nie, niepodobne, moralnie niepodobne. Niema, nie może być wolności wszystkich, jeżeli jeden może im swoją wolę narzucić i swoim głosem nie dozwolić im zrobić tego, co chcą. Żadne rozumowanie, żaden sofizmat na to nie poradzi: natura rzeczy, logika, nic trzeciego nie dopuszcza; musi być albo tyrania jednego, albo poddanie woli jednego pod wolę ogółu, pod prawo. Leszczyński sam musiał to uczuć, skoro mówi, że chęć pogodzenia tych dwóch rzeczy poczytaną będzie za paradoks, jednak utrzymuje, że pogodzić je zdoła, że obie razem obok siebie utrzyma.

Oto, mówi, trzeba rozróżnić trzy rodzaje istniejących sejmików, przedsejmowe, relacyjne i deputackie. Te ostatnie nie przedstawiają żadnej okazyi do zerwania, bo deputatów wybiera się większością głosów; zostają więc tylko dwa rodzaje sejmików, na których

zerwanie jest możliwe. Przedsejmowe mają czynność dwojaką; wybór posłów i instrukcyę. Leszczyński podaje na ich odbywanie sposób zupełnie ten sam co Karwicki. Ma słuszność jak tamten; ale znosząc pomysłem swoim skutki protestacyi (aczkolwiek bezprawne), niweczy protestacyę samą, podcina głos wolny, zmienia z gruntu jego naturę. Że ją zmienia na lepsze, to jest oczywiste, ale zawsze zmienia, choć sam tego nie widzi lub nie chce przyznać: nie godzi zatem tych dwóch rzeczy, które się pogodzić nie dają. Omija *Veto*, znosząc jego skutki, choć je na pozór zostawia. Paradoks, o którym sam mówił, zostaje paradoksem; dwie sprzeczności, dwie antitezy, które się logicznie nawzajem wyłączają, nie mogą ostać się obok siebie.

Pozostają jeszcze sejmiki relacyjne. Na tych, twierdzi autor z góry apodyktycznie, zerwanie miejsca mieć nie może, bo chodzi tu przecież tylko o rejestrowanie i wykonanie tego, co cała Rzplta na sejmie uchwaliła. Tego żaden sejmik znieść ani odrzucić nie może, to każdy przyjąć musi. Znosić uchwały Rzeczypospolitej przez lauda wojewódzkie, to niedorzeczność lub bunt, rzecz zgoła nie do przypuszczenia, a kontradykcya, którąby do tego zmierzała, nie może żadną miarą uchodzić za ważną.

Znowu teorya. W teoryi to wszystka prawda, ale w praktyce było inaczej. W praktyce zdarzało się rzeczywiście, że województwa stawiały się nad Rzpltą, sejmiki nad sejm i że znosiły lub odrzucały jego uchwały, n. p. jeżeli nie chciały poddać się uchwalonemu poborowi podatku. O tem jednak autor nie mówi; przestaje na tem, że tak być nie powinno, i twierdzi zbyt śmiało, że być nie może. Naturalnie gdyby był chciał tę praktykę roztrząsnąć, byłby musiał w konkluzyi przyznać i powiedzieć, że jedyną na nią radą jest śmiałe i zupełne zniesienie *Veto*. Tego, czy przez zaślepienie, czy przez wzgląd na opinię, nie chciał, musiał zatem chybić celu i ignorując istotny stan rzeczy, co za-

wsze najłatwiej i najwygodniej, nie mógł wynaleźć nań środka.

Ale sejmiki są dopiero wstępem i przygotowaniem, a właściwą wielką czynnością Rzpltej, tą, w której trzy stany razem sprawy jej prowadzą, jest sejm. W zasadzie niema „*in forma* gubernii wszystkich państw i królestw nic równego naszym sejmom (zapomina jednak o parlamencie angielskim), nic bowiem nie może być doskonalszego, jak taki kongres, złożony ze wszystkich stanów Rzpltej, który ma *cum libertate sentiendi absolutam potestatem decidendi*. Czegoż więcej potrzeba, jakże się z tego zjazdu nie spodziewać *prosperitatem* ojczyzny!" Jednak: „*proh dolor*, instytucya ta tak doskonała nam nie przynosi pożytku. Dlaczego? Głównie dla złego procederu obrad naszych, dlatego, że nie zachowujemy w nich żadnego porządku".

Na ten nieład w obradach taką podaje Leszczyński radę:

Na samym początku sejmu ma marszałek ułożyć rejestr materyj, traktować się mających. Pierwsze na nim miejsce mają propozycye od tronu, drugie *Vota* ministrów i senatorów, trzecie instrukcye województw. Gdy to wszystko spisane jest swoim porządkiem, odczytuje marszałek rejestr, a wtedy zgłaszają się posłowie z osobistymi wnioskami, które także w rejestr się wciągają. Tym sposobem izba poznaje z góry wszystkie materye, które na bieżącej sesyi ma traktować.

Po dopełnieniu tej czynności następuje inna, to jest rozdział tych materyj, podług ich natury na wojenne, skarbowe, pieczętarskie i policyi (wiadomo, że w tych czterech kategoryach mieszczą się, zdaniem autora, wszystkie sprawy, jakie tylko istnieć mogą). Dyspartycyę tę robi marszałek, a zrobiwszy ją, wyznacza sprawy deputacyom (komisyom), które sam mianuje, a to w ten sposób, że do każdej z czterech deputacyj wchodzi po dwóch posłów z każdego województwa. Tak samo mianuje król senatorów do tychże

deputacyj, i w ten sposób powstają cztery komisye, cztery izby, złożone z senatorów i posłów: wojenna, skarbowa, pieczętarska i marszałkowska, do których odsyłają się należące do nich sprawy. Każda z tych izb zasiada pod prezydencyą króla, a w obecności prymasa, marszałka, sejmu i właściwego ministra.

Teraz dopiero (i tu leży różnica od dziś praktykowanego sposobu obrad) przenosi się wszelka czynność sejmowa do tych izb. Dyskusya w nich się tylko odbywa. Marszałek zaś utrzymuje protokół rozpraw i zapisuje wszystkie *pro* i *contra*. Każda z izb ma swój osobny dzień w tygodniu, piąty przeznaczony jest na posiedzenie całego sejmu.

Izby jednak, choć za sejm dyskutują, nie mają prawa uchwalania. Materya, w jednej z nich należycie roztrząśnięta, wraca do pełnego sejmu. Marszałek odczytuje protokół rozpraw, zdaje z nich sprawę, przedstawia wszystkie racye za i przeciw, minister broni zapatrywania rządowego — potem sejm, bez żadnej już dyskusyi, głosuje.

Niedogodności tego sposobu są widoczne. Rozumiejąc zupełnie konieczność obrobienia i przygotowania materyj w komisyach, nie można przystać na to, żeby sejm jako taki pozbawiony był prawa dyskusyi.

Ale gdzie w tem wszystkiem podziała się źrenica wolności, ukochane autora *Veto*? Czy się ma skryć w komisyach, które nie uchwalają, czy zostać w sejmie, który nie dyskutuje? Zdawałoby się, że niema dla niego miejsca, że znikło zupołnie. Jednak nie, *Veto* jest, ale *quantum mutatum*! Nie domyśla się gorliwy jego zwolennik, co z niem zrobił, jak je na ostatni plan zepchnął. Oto kontradykcya ma miejsce wtedy, kiedy się układa rejestr materyj. Ten układa się *nemine contradicente*; jeżeli zajdzie protestacya, wtedy toczy się dyskusya, w skutku której albo wnioskodawca odstąpi od wniosku, albo kontradycent od kontradykcyi. Je-

żeli zgoda nie nastąpi, to o materyi tej niema już mowy i na rejestr jej się nie kładzie.

Później zaś, w komisyach i przy głosowaniu, zaręcza autor, że nie może być powodu do kontradykcyi, bo któżby chciał sprzeciwiać się temu, co już tak gruntownie, tak wszechstronnie było roztrząsane? Gdyby się jednak taki miał trafić, to zamiast mieszać obrady, mógłby marszałkowi podać memoryał z naganą choćby dla samego króla, na którą marszałek lub który z ministrów musiałby mu odpowiedzieć.

Niema kwestyi, że tym sposobem sejmy byłyby uratowane; ale też nie ma kwestyi, że *Veto* byłoby zniesione, a przynajmniej tak w naturze swojej zmienione, że stałoby się nierównie mniej szkodliwem. Skutki jego sięgałyby do usunięcia przedmiotu jakiegoś z pod obrad, ale nie wstrzymywałyby uchwał; po uchwale zaś prawo *vetandi* zamieniłoby się w proste i słuszne prawo interpelacyi. Chcąc więc zaprowadzić porządek w sejmie, autor omija to *Veto*, którego znieść nie chce: ogień z wodą połączyć się nie dał.

Ale tu nasuwa się uwaga, której autorowi oszczędzić nie można. Zapowiedzieć z góry, że się utrzymuje wolną kontradykcyę jako perłę i podstawę wolności, a pominąć ją zupełnie, zredukować do zera, pominąć ją, a nie spostrzedz się i mniemać, że się ją zostawiło nietkniętą: to sprzeczność oczywista. i świadectwo, że bystry wzrok autora na chwilę przytępiał. Drugi zarzut, który mu tu zrobić musimy, jest ten, że lekkomyślnie i dowolnie zaręcza, iż przy systemie jego nikt sejmu nie zerwie, bo nie będzie miał powodu! Jak gdyby zrywacze sejmu pytali kiedy o powody! Jak gdyby sejm choć jeden był zerwany z dobrym powodem! A jeżeli pomimo tego, znajdzie się taki, który zerwie, w cóż się wtedy cały system obróci? Oczywiście runie, musi runąć, bo nie ma prawdziwej podstawy, bo jedyną podstawą sejmu mogło być zniesienie *Veto*, i zaprowadzenie zasady większości.

Jak zaś sam czuł niebezpieczeństwo kontradykcyi, najlepiej to dowodzi, że żąda kryminalnego sądu na każdego, kto po uchwaleniu prawa, sprzeciwiałby się jego egzekucyi. Tłómaczy on wprawdzie, że co innego rada, a co innego egzekucya; że przy tej wszelka wolność ustać powinna, bo inaczej każde województwo byłoby osobną Rzpltą, a każdy *Incola* udzielnym panem. To prawda, na ten surowy rygor zgodzić się można i uznać, że jest potrzebny; ale jest to nowe ograniczenie *Veto* jak było praktykowanem, nowe przekształcenie jego natury, tego *Veto*, które jak mówi, *sacrosancte* w projekcie swoim obserwuje.

Co do egzekucyi praw, nad tą czuwają przy królu rady ministeryalne, złożone z wojewody i posłów każdego województwa; na prowincyi zaś rady wojewódzkie, w których zasiada drugi wojewoda i drugich czterech posłów. Sejm trwać ma nie sześć tygodni jak teraz, ale sześć miesięcy i zbierać się na przemian w Wielkopolsce, w Małej Polsce i w Litwie.

Jakże ostatecznie ten jego porządek sejmowania osądzić? Jest w nim widocznie wiele złego, wiele rzeczy niepraktycznych lub fałszywych w zasadzie, to prawda. Ale jest też i wiele dobrego i trafnego. Myśl zaprowadzenia regulaminu jako steru dla obrad sejmowych, myśl tworzenia komisyi i opracowywania w nich przedmiotów, przychodzących pod obrady, ciągłość sejmu i rady, mające czuwać nad egzekucyą uchwał, nadewszystko zaś to bezwiedne może i mimowolne, ale ogromne ograniczenie *Veto*, nadają pomysłowi całemu taką wartość, że kto go porówna z rzeczywistymi sejmami, ten pomimo wszystkich jego usterków żałować musi, że nie przyjęła się u nas choćby ta niedoskonała *Forma Consiliorum*.

Ale sejm najporządniejszy, najregularniej funkcyonujący, nie wystarczy, jeżeli po jego skończeniu Rzplta znowu się rozsypie i rozproszy tak, że nikt nie będzie rządził, ani administrował, ani egzekucyi praw prze-

strzegał, jeżeli pomiędzy rządem, a prowincyami nie będzie żadnego związku.

Zadaje autor pytanie, które każdy z nas zastanawiając się nad historyą i konstytucyą Polski zadać sobie musiał: „Gdzie pytam się jest Rzeczpospolita? Czy w sejmie? a jeżeli się sejm zerwie, nim nowa kadencya nastąpi, więc gdzie ona jest, gdzie jej szukać? Władza żadna nie mogąc być bez Rzplej, a Rzplta będąc bez władzy, nie podobna *definire*, co nami rządzi?"

Trzeba więc stworzyć instytucye, które ten rząd utrzymywać będą. Takiemi są proponowane przez autora rady ministeryalne i rady wojewódzkie, pierwsze jako środek z którego się życie polityczne rozchodzi, drugie jako organa, które je prowadzą dalej, i nawzajem życie z obwodu do środka odnoszą. Skoro się sejm skończył, natychmiast udaje się właściwy senator i czterej posłowie do swego województwa; na sejmiku relacyjnym zdają sprawę z uchwał sejmu, i natychmiast wstępują w swoje urzędowanie jako rada wojewódzka, w której senator jest przewodniczącym, czterej posłowie naczelnikami czterech departamentów. Funkcyę tę dlatego obejmują, powracający z sejmu posłowie i senator, że jako jego członkowie wiedzą najlepiej, co i w jakim duchu sejm uchwalił, a przeto najlepiej potrafią dopilnować wykonania tych uchwał, co jest ich głównem zadaniem. Równocześnie drugi wojewoda i posłowie, którzy dotąd radę wojewódzką składali, udają się do boku króla, i tam, obeznani ze stanem i potrzebami województwa, wchodzą do rad ministeryalnych. Każdy departament rady wojewódzkiej, znosi się nieustannie z odpowiednim departamentem rady ministeryalnej.

Łatwo tu wytknąć, że takie luzowanie się senatorów i posłów w administracyi województw i w radach ministeryalnych, może być niepraktycznem; każdy to dostrzeże, każdy odrazu jako wątpliwe wykaże. Ale co nie każdy potrafi, to wynaleźć środek na to, żeby

Rzplta nie była luźnem zbiorowiskiem władz niezwiązanych i od siebie niezależnych, z których każda działa osobno, jak chce i kiedy chce, ale żywym organizmem, w którym wszystkie ruchy odbywają się regularnie, harmonijnie, równocześnie, pod jednym kierunkiem, za jedną myślą. Takim zaś harmonijnym organizmem, takiem połączeniem różnych sił i władz, jest ten projekt Leszczyńskiego; jest on zatem dla ówczesnej Polski istotnym środkiem ratunku. Ale jest i czemś innem jeszcze. Jest najzupełniejszem, najdoskonalszem uznaniem i uszanowaniem prawdziwej wolności. Te województwa, rządzone radami powstałemi z wyboru, cóż to jest, jeżeli nie wielkie *desiderium* dzisiejszej Europy, samorząd w najobszerniejszem swojem znaczeniu; i nawzajem, te same województwa, reprezentowane w rządzie centralnym, działające w nim czynnie, cóż to znowu, jeżeli nie najobszerniejszy, może nawet cokolwiek za obszerny wpływ rządzonych na rząd?

Ale czy niczego nie brak w tym fundamencie budowy Leszczyńskiego? Jest król, rząd, sejm, administracya, czy to wszystko, czy nic nie braknie? Nie lękajmy się. Autor jest zanadto mężem stanu, zanadto uczciwym człowiekiem, zanadto chrześcijaninem, żeby miał zapomnieć o tem, co jeszcze do tego fundamentu należy. Zanim przejdzie do ścian budynku, do wojska i skarbu, zamieści jeszcze w pierwszej części dzieła rozdział ostatni pod napisem *Plebeii*.

U Leszczyńskiego myśl reformy politycznej, przeważa widocznie nad społeczną, która obok niej gra rolę podrzędną: ale zaczyna się budzić na nowo, zaczyna się zjawiać, a po nim zacznie się i u innych powtarzać. Jest on więc niejako początkiem połączenia i zjednoczenia tych dwóch prądów naszej literatury politycznej, rozszczepionych od początku jej istnienia, a sprowadzonych do jednego koryta na krótko przed upadkiem Rzpltej.

Ale czyż tylko względy sprawiedliwości, moralności, czy tylko chrześcijańskie uczucie nakazuje znieść uciemiężenie ludu wiejskiego? Nie; równie stanowczo, równie gwałtownie domaga się go zdrowa polityka. Nie szukając daleko, nie udając się do historyi rzymskiej po przykłady, do czego nieraz prowadzi ucisk poddanych, popatrzmy na własne, nie tak dawne dzieje. Czegoż nas uczą bunty ukraińskie? Nic naturalniejszego człowiekowi jak chcieć zrzucić jarzmo; dźwiga je, dopóki musi, ale niech się chwila zdarzy, a sama rozpacz doda mu odwagi. Cóż dopiero, gdyby ktoś zamyślał *de absoluto dominio*? czy mógłby znaleźć lepszy sposób, jak obiecując wolność chłopom, pobudzić ich do buntu, tak, że poświęciliby wolność naszą dla swojej? To, to po prostu przepowiednia, przewidzenie przeszłości; a w tych ostatnich słowach zawarta jest nasza współczesna historya.

Nie koniec na tem. Dlaczego nasz kraj, tak bogaty z natury, jest najuboższym w Europie, dlaczego jest najmniej ludnym i najdzikszym, dlaczego miasta nędzne, dlaczego chłop biedny, pan nie bogaty? Przecież ludzie powinniby tu się garnąć, jak do Ziemi obiecanej, przynosić pieniądze, pracę, przemysł, a tymczasem ludność nasza maleje, zamożność upada, wszystko marnieje? Dlaczego? Oto dlatego, że człowiek pospolity nie ma żadnej swobody, żadnej opieki prawa, żadnej sprawiedliwości. Gdyby mu wolno było przenosić się z miejsca na miejsce, szukać zarobku gdzie chce, gdyby go prawo osłaniało i broniło, wtedy w nim samym obudziłaby się energia i czynność. Pracowałby chętnie, boby sobie los swój polepszał, myślałby o sobie, szukałby nowych sposobów zarobku, i z bezmyślnej maszyny, pędzonej kijem do lichej przymusowej pracy, stałby się człowiekiem zabiegliwym, przemyślnym, myślącym o sobie, pracującym produkcyjnie, i zbogacałby nie tylko siebie, ale i Rzpltą.

Na to podaje autor dwa środki, ale właśnie te dwa,

które położenie chłopa z gruntu zmieniały: zniesienie adskrypcyi do gleby i juryzdykcyi dziedzica nad włościaninem.

Obok tych dwóch zmian koniecznych, nasuwa z ogródka autor i trzecią; próbuje wytłómaczyć właścicielom, że wartość ich ziemi i ich dochody ogromnieby się podniosły, gdyby powinności poddańcze zamienili na czynsze. Wsie, gdzie robocizny niema, mówi, nierównie są ludniejsze i intratniejsze od tych, gdzie jest pańszczyzna. W czynszach lub w zbożu oddają chłopi więcej, niż warta ich przymusowa robota, a sami zapomagają się w dostatek. Co najdziwniejsza, to, że z lekka i pobieżnie, ale przecież wyraźnie natrąca Leszczyński o angielskim systemie dzierżaw. „Jeżeli mam folwark, mówi, a grunta tego folwarku rozdam za pewną nie przesadzoną opłatą roczną między chłopów, to najlepiej na tem wyjdę; bo i oni oddadzą mi tyle, lub więcej, ile mi folwark dawniej przynosił, i oszczędzam sobie wszelkich kosztów administracyi i gospodarstwa, i ściągam do swojej wsi ludność, przez co wieś ta staje się intratniejszą".

Myśli te o czynszach i dzierżawach były dla ówczesnej Polski za wysokie; ta ostatnia nawet dziś w kraju naszym za wczesna, ze względów ekonomicznych, i ze względu na oświatę i rolniczą biegłość owych dzierżawców. Ale pomysł jest piękny i szanowny, a kto wie, czy nie jego dalszym ciągiem i urzeczywistnieniem były próby rozwiązania kwestyi poddaństwa: może i sama Hrubieszowszczyzna Staszica, która to miała być wzorem dla Polski.

Jeszcze słowo o miastach. „Takiej opresyi jak miasta, nikt u nas nie ponosi. Jaka ruina budynków, jaka *depopulacya* mieszczan, jaka *indigencia* rzemieślników, jakie ubóstwo kupców! a przecież to nasze *emporia*, bo my po morzach nie pływamy i wszystkie nasze *kommercia* z miastami, bo tam tylko sprzedać możemy, co się w domu urodzi. A jednak miasta te nie

mają żadnej sprawiedliwości ani protekcyi. A jaka tego racya? Nie insza tylko to omamienie, że szlachcic nie miałby się za szlachcica gdyby plebejum nie miał za niewolnika. Pytam się czy przez to *derogabit* zacności urodzenia swojego, że ubogi wieśniak będzie szczęśliwszy, zwłaszcza gdy przez jego szczęście ojczyzna *prosperabitur?*"

Przez zniesienie adskrypcyi i przez poddanie chłopa pod opiekę prawa, chciał Leszczyński przemienić piedestał ojczyzny z glinianego w kamienny; sposób wynalazł dobry, a wynajdując go, uzupełnił ten fundament potęgi i pomyślności ojczyzny, który założyć sobie zamierzył. Znosząc to, co w stanie ludu wiejskiego było najnieznośniejszem, co było jego największą krzywdą, zaprowadzając stałą, regularną administracyę i sejm nieprzerwany, starając się wynaleźć prawdziwy, trafny stosunek i równowagę pomiędzy wolnością a władzą, i znajdując ten stosunek niedoskonały może, ale możliwy i dobry, zakłada on istotnie fundament przyszłości, na którym gdyby Polska stanąć była chciała, byłaby może „cała *moles* nie runęła".

Dotychczas mieliśmy tylko ogólny zarys administracyi, projekt czterech ministeryów; ale nie mieliśmy jeszcze treści, wypełnienia tego zarysu. Jak ma być urządzone wojsko i administracya wojskowa, jakimi dochodami i na jakie wydatki zawiadować będzie minister skarbu, tego dotąd autor nie powiedział.

Wojsko każde z natury rzeczy ma trojaki cel i zadanie. Jest ono naprzód od tego, żeby każdy obywatel pod jego zasłoną miał bezpieczeństwo i żeby wobec niego nikt łatwo nie odważył się na zamieszanie spokojności publicznej. Powtóre jest od tego, żeby wrazie nieprzyjacielskiej napaści, Rzplta miała z niego pewną obronę. Potrzecie wreszcie, jest od tego, żeby przez waleczne wojska akcye cały naród wbił się w taką reputacyę, iżby stał się całemu światu *respectabilis et formidabilis.*

A nasze wojsko jak tym celom swoim odpowiada? Co do bezpieczeństwa, doświadczenie uczy, że tak każdy obywatel, jak cała Rzplta muszą go szukać od wojska, skoro to potworzy związki i buntować się zechce.

Co do obrony? Wojsko pod jednym tylko warunkiem może być obroną, to jest jeżeli liczba jego zastosowaną jest do rozległości kraju. Jeżeli jest za małe, to szkoda daremnego kosztu na jego utrzymanie, bo koszt ten zawsze musi być zmarnowanym.

A właśnie w takim przypadku znajduje się nasza Rzplta. Naokoło siebie ma sąsiadów, którzy o tem tylko myślą, jakby granice swoje rozprzestrzenili, którzy wedle polityki naszego wieku ze wszystkiego zrobią sobie pozór do zaczepki, żeby drugiego najechać, a my żadnemu z nich oprzeć się nie możemy; a żeby tę niemoc i niedołęstwo jakoś przed sobą uniewinnić, mówimy sobie, że zazdrość między ościennemi potencyami nie pozwoli im zgodzić się przeciw nam i że własny interes przymusi ich do naszej obrony. I to powód, żeby nie mieć dostatecznego wojska? Czyż, jeżeli nawet i zechce kto nas bronić, czyż zrobi to sam, bez naszego udziału? Czyż takich posiłków nie musielibyśmy drogo w każdym razie opłacać, może odstąpieniem jednemu jakiej części kraju, żeby nam jej drugi nie wydarł.

Cóż się działo podczas ostatniej wojny szwedzkiej? Czy pośród trzech protektorów naszej wolności nie byliśmy prawie zawojowani? „Wstyd wspomnieć wszystko, co się działo *sub favore* tej opieki, jakbyśmy sami albo nie chcieli, albo nie umieli się bronić".

Co do dobrej sławy narodu, która jest trzeciem wojska zadaniem, moglibyśmy o nią się nie troszczyć, bylebyśmy tylko tym sposobem wojować chcieli, jak dziś wszyscy w Europie wojują; gdybyśmy mieli nietylko dostateczną ilość wojska, ale i należytą jego jakość, byleśmy nie wtedy dopiero żołnierza zaciągali,

kiedy nas nieprzyjaciel już za gardło trzyma; byleśmy tego żołnierza regularnie płacili, bo niepłatny gorszy od nieprzyjaciela; byleśmy wreszcie mniej się na los i własną odwagę spuszczali, a przezorniej o siebie dbali. Czemu nie zreformujemy wojska tak, jak cesarz rosyjski swoje przerobił? Nieprzyjaciel daje nam przykład, jak i co robić mamy, my z przykładu korzystać nie chcemy.

„Nie wchodząc w to, mówi on, jaki możemy mieć komput wojska, bo to zależeć musi od obrachunku ze skarbem, położyć można za pewne, że Rzeczpospolita żeby się utrzymać, powinna mieć najmniej sto tysięcy wojska".

Oto wszystko, oto wielkie słowo, od którego zależało zbawienie, oto jądro kwestyi. Sto tysięcy wojska, to w owej chwili pierwszy cel, ostatnie słowo, i podstawa wszelkiej poprawy Rzpltej. Przy stu tysiącach wojska nie byłaby zaszła ani medyacya Piotra W. po konfederacyi Tarnogrodzkiej, ani elekcya Augusta III. Utrzymanie niepodległości stawało się możliwem. Wobec tego, że autor znajduje to jedyne słowo, rozwiązujące problem ratunku, drobnieją wszystkie względy podrzędne, urządzenia tego wojska i tym podobne. Jednak i tych pomysłów lekceważyć się nie godzi.

Te sto tysięcy wojska, rozdzielone na trzy prowincye, zostają pod rozkazami trzech hetmanów. Na co to pomnożenie hetmanów, czy może dla rozdrobnienia władzy? autor nie tłómaczy; jednak takiego mnożenia komend za dobre uważać niepodobna. W czasie pokoju połowa wojska rozpuszcza się za urlopami do domu dla oszczędności, druga połowa (500 ludzi w każdym pułku) i cały komplet oficerów zostaje pod bronią.

Nie dość jednak na urządzeniu wojska samego, jeżeli się równocześnie potrzeb jego nie obmyśli. Takiemi są szpitale wojskowe dla rannych, szkoły wojskowe dla oficerów. Bez tych dwóch fundacyj żadne

wojsko obejść się nie może; nasze tylko zostawia rannych bez opieki, a oficerów zdolnych w kraju nie znajdując, sprowadza ich z zagranicy. Oprócz zwyczajnej zaś szkoły wojskowej, potrzebna jest szkoła artyleryi, bo nie dość mieć działa: bez nauki nie będzie artyleryi, bo to jest *ars mechanica*, której się uczyć potrzeba *ex professo*, i w porządnych państwach są dla niej szkoły osobne. Potrzebuje ich także koniecznie i inżynierya, „co u nas cale *ignotum*, a przecież bez experyencyi *in hac scentia mathematica* niepodobna ani fortec dobywać, ani ich bronić, ani obozu założyć, ani go szańcami okopać".

Każdy wie, że potrzebne są amunicye, prochy, strzelby, działa, zbytecznie o tem mówić; a tymczasem „z jakiem zgorszeniem wizytują cudzoziemcy nasze puste cekauzy i arsenały! Rzecz niepojęta, że nad tem żadnej nie czynimy refleksyi: rzekłby kto, widząc nas tak źle uzbrojonych, że wszystko przed nami upadać powinno, jak mury Jerycho przed wojskiem Izraelskiem".

Tej samej zbytniej poufałości w sobie, połączonej z niepojętem niedbalstwem, skutkiem, jest ten nasz niedorzeczny przesąd, że fortece są nam niepotrzebne; mówimy, że piersiami dość ojczyznę zasłonić potrafimy! Pięknieśmy ją zasłaniali przed Rosyanami, Szwedami i Sasami, którzy chodzili gdzie chcieli, a których dobrze opatrzone fortece byłyby przecie wstrzymały. Najnędzniejszy chłop ogrodzi swoją własność od szkodnika i złodzieja, nam tylko jednym wszystko jedno, czy kto wchodzi w nasze granice, i zostawiamy je otworem. System twierdz pogranicznych jest więc ostatniem żądaniem autora natury czysto wojskowej.

Ale nie ostatniem wogóle. Jest jeszcze jedno, z dążnością więcej polityczną niż militarną, ale ogromnej wagi i doniosłości. Oto żąda prawa, któreby prywatnym zabroniło trzymania własnych chorągwi i gwardyi.

*

W czem polega bogactwo narodu? zapytuje Leszczyński na wstępie rozdziału, w którym mówi o skarbie. Czy w wielkiem mnóstwie złota i skarbów? Bynajmniej. Owszem, zbyteczna ich obfitość, jak pojedyńczego człowieka, prowadzi częstokroć do próżniactwa, zbytku i marnotrawstwa, tak i narody nieraz przy niej gnuśnieją; tępieje ich przemysł i zabiegliwość, i bogactwo staje się dla nich powodem nędzy i upadku Są w Europie kraje (myśli widocznie o Hiszpanii), gdzie przy wielkiej ilości złota lud jest dziki i mizerny; a naodwrót Holandya, na trzęsawiskach osiadła, przez czynność i pracę mieszkańców stała się prawie najbogatszym krajem na świecie.

Nie na wielkiej obfitości pieniędzy zatem, ale na dobrym ich użytku i administracyi zawisło narodowe bogactwo: na tem, żeby każdy ziemianin pracował i korzystał mądrze z tego, co natura wydaje, tak, żeby i sam miał dostatek, i skarb publiczny mógł zawsze zasilać; a oprócz tego na tem, teby rząd tak skarbem szafował, iżby i wszystkie potrzeby państwa opędził, i poddanych podatkami nie przeciążył. Pierwszym tu warunkiem jest równowaga pomiędzy wydatkami państwa, a możnością podatkujących; brak zaś tej równowagi pociąga za sobą wieczny niedostatek i skarbu i prywatnych.

Najlepszym na to dowodem jest właśnie Polska. Kraj najżyźniejszy może i najbogatszy w produkty wszelkiego rodzaju, a jednak najuboższy w Europie dlatego, że ciężary są źle rozłożone, że ubogi płaci za bogatego, że handel nie znajduje zachęty, ani opieki, że plebei nie mają wolności *in cultura artium*, do których mają dyspozycyę. Ztąd pochodzi, że są w Europie miasta, które mają większe dochody, niż cała nasza Rzplta. A nie spodziewajmy się żadnego skutku z naszych usiłowań około dobra pospolitego, jeżeli go na dobrze urządzonym skarbie nie oprzemy.

Przedewszystkiem musimy się pozbyć fałszywe-

go i zgubnego mniemania, jakobyśmy, płacąc podatek Rzpltej, siebie ubożyli. My tylko tym sposobem ubezpieczamy nasze własne mienie i jego pewne zachowanie i całość.

Potrzeba nam więc skarbu, skarbu porządnego. Ale łatwiej mówić o dobrem urządzeniu skarbu, niż skarb stworzyć. Zkądże wziąć tych dochodów, któremi Rzplta ma tak dobrze i porządnie gospodarować? To jest *cardo rei:* tu autor musi odkryć jakieś nowe źródła dochodów, jeżeli projekt jego zasługiwać ma na uwagę.

Oto są źródła, które on wskazuje, oto zkąd Rzplta może czerpać swoje dochody. Źródła to nowe po większej części, inne, tylko lepiej opatrzone; wszystkie jednak takie, że skarb istotnie zasilać mogły.

Przypomnijmy sobie naprzód, że z sumy, przeznaczonej na utrzymanie wojska (pochodzącej zapewne z podatku? czego autor bliżej nie tłómaczy), jedna tylko połowa idzie na ten cel, bo połowa tylko wojska stoi pod bronią, druga jest rozpuszczona i żołdu nie pobiera. Zaoszczędzona w ten sposób co roku suma, mogłaby dawać skarbowi dochód dość znaczny, a to w następujący sposób. Suma ta pożycza się na nizki procent (2%) miastom znaczniejszym z tem zastrzeżeniem, że na pierwsze wezwanie miasta obowiązane są zwrócić kapitał; mogłyby zaś używać go w czasie pokoju na podniesienie swego handlu, przez co i sameby się podniosły i owym procentem skarbowi by dopomogły. To więc jeden sposób pomnożenia dochodów, nowy, prawdopodobnie nie bardzo skuteczny.

Drugim, także nowym, jest wcielenie wszystkich dóbr królewskich do skarbu Rzeczypospolitej. Dobra te, wypuszczone w dzierżawę i skrzętnie administrowane, dałyby tyle dochodu, że wystarczyłoby i na hojną listę cywilną dla króla, i jeszcze wiele zbyłoby dla skarbu.

Donum gratuitum Cleri, oszacowane i zamienione w dochód stały za wspólną raz na zawsze ugodą z duchowieństwem, wyniosłoby sumę bardzo znaczną. To dochód trzeci.

Dalszym są cła; cła, które wszystkim państwom w Europie ogromne przynoszą dochody, a nam żadnych. Dlaczego? Oto dlatego, że każdy szlachcic wolny jest od cła jako szlachcic. Nie tylko, że sam handlując nie opłaca się skarbowi, ale jeszcze krzywdzi skarb w ten sposób, że kupcom obcym pożycza swego imienia, i ci pod szlacheckimi pasportami wolni zupełnie od cła handlują.

A sól? Ten prawdziwy *Thesaurus absconditus*, którego przez niedbalstwo nasze dobyć nie umiemy, to bogactwo, jakiego żadna ziemia nie posiada, czyż ta nie mogłaby być niewyczerpanem źródłem bogactwa, byleśmy tylko ze źródła tego czerpać umieli? Gdyby żupy wcielić do dochodów skarbu, królowi dochody jego oddając w gotówce, gdyby wzbronić przywozu soli zagranicznych i morskich, których tyle do Prus i Litwy napływa, gdyby znieść nadużycia i tanie, prawie daremne rozdawanie soli obywatelom z małym ich pożytkiem, a wielką Rzpltej szkodą i zaprowadzić monopol na rzecz skarbu, a wywóz soli zagranicę ułatwić, czy nie dałaby ona takiego dochodu, że możnaby ubogim ludziom odpuścić znaczną część tego podatku, który dziś w pocie czoła składają?

Czopowe i szelężne (podatek od napojów), zaprowadzone już w miastach, należałoby zaprowadzić i po wsiach, bo nie ma sprawiedliwszego podatku jak ten, który *ultimus consumens* płaci. Największa trudność byłaby w dokładnem obrachowaniu tej konsumpcyi, które wprost za niemożliwe można uważać. Trzebaby zatem z każdem województwem zosobna ugodzić się raz na zawsze o ryczałtową sumę, którąby tytułem podatku od napojów płaciło.

Za to są dwa dochody skarbu, które ze wszystkich

względów słuszności znieść należy, a tymi są podymne i pogłówne żydowskie. Ani jedno ani drugie nie da się nigdy oprzeć na podstawie pewnego wyrachowania. Liczba dymów jest niestała, zmienia się z każdym dniem, taryfa sprawiedliwą więc być nie może. Co do pogłównego zaś, jest rzecz obrzydła i nie chrześcijańska w wolnym narodzie płacić od głowy, i zgorszenie to co rychlej należy usunąć.

To wszystko jednak, to były dochody, ale nie podatki (z wyjątkiem tylko czopowego). A podatek? Czyż ten nie powinien zasilić skarbu największym i najstalszym dochodem? Jakże go urządzić? Na jakiej zasadzie go oprzeć? Przychodzimy do najważniejszego z pomysłów finansowych naszego autora.

Cały system opiera się na podatku dochodowym (dziesięć procent od dochodu) jako tym, który wszystkie inne szczegółowe w sobie obejmować powinien, a wszystkie podatki szczegółowe (jak podymne, łanowe, młynowe, rogowe od bydła) znoszą się, jako tamtym objęte. Korzyść tego podatku jest ta, że Rzplta wiedziałaby zawsze, jaki ma dochód (podług raz postanowionej taryfy), że każdy obywatel płaciłby w stosunku swego majątku, że prewarykacye poborców wobec stałej taryfy byłyby niepodobne, wreszcie, że każdy, uwolnionym będąc od wszelkich innych ciężarów, chętnieby podatek ten płacił. Dodajmy jeszcze do tego szeregu pożytków ten największy, że byłby raz przecie podatek prawdziwy, stały, regularny, i nałożony na wszystkich.

Gdybyż był na tem zatrzymał się Leszczyński! Ale, niestety, jak parę razy w ciągu swojego dzieła, jak przy *Liberum Veto* naprzykład, powziąwszy myśl trafną i zbawczą, cofa się on, jak gdyby przerażony, i wchodzi w tranzakcyę z panującą opinią, z obałamuconym duchem swojego czasu. Zaledwo powiedział, że podatek ma ciążyć na wszystkich, na każdym z osobna obywatelu, a głównie na tym, który jest właścicielem, kiedy, jak

gdyby się bał narazić opinii, zastrzega się, że „nie mówi, jakoby dziedzic nie miał podatku tego na poddanych swoich nałożyć; owszem może on sprawiedliwszą uczynić repertycyę między swoimi poddanymi, nie mogąc ich przeładować bez swojej krzywdy. Podatek, na dziedzica włożony, mógłby za jego samego repartycyą jednakowo płaconym być przez jego poddanych, żeby zachować *intaminatam immunitatem* stanu szlacheckiego".

Rozumieć, że podatek wszyscy zarówno płacić powinni, żądać tego, napisać to, a potem dodatkową klauzulą zniweczyć wszystko, co się zamierzało, zaprzeć, co się powiedziało, otworzyć furtkę dawnemu nadużyciu i ekonomicznemu niedorzeczeństwu, rozłożyć podatek na wszystkich, a pozwolić po cichu dziedzicowi rozkładać go na poddanych „*propter intaminatam immunitatem* stanu szlacheckiego", to zbyt rażąca sprzeczność z lepszem poczuciem własnem, zbyt łatwy kompromis z nałogami, przesądami, uporem i zaślepieniem tego stanu.

W reformie sprawiedliwości główne żądania Leszczyńskiego są te, żeby trybunał składał się z sędziów biegłych w prawie i doświadczonych, a takimi nie mogą być tacy, których wybiera się bez względu na te konieczne przymioty, i na jeden rok. Sędziowie mieliby być dożywotnimi; z wyjątkiem oczywiście takich, którzy przez złe sprawowanie się zasłużyliby na usunięcie. W sprawach cywilnych trybunał nie miałby być najwyższą instancyą jaką jest, tylko od jego wyroków byłaby jeszcze apelacya do *Izby Kanclerskiej*, to jest do tej części sejmu, która zajmuje się sprawami sprawiedliwości.

Ale na tem nie koniec? To jeszcze nie wszystko, czego wymaga gruntowna poprawa Rzeczypospolitej? A gdzież drugi obok *Liberum Veto* defekt jej organiczny, gdzie nieunikniony powód peryodycznych wstrząśnień i zaburzeń, bezkrólewie, i wrota otwierające Polskę na oścież zagranicznym coraz wszechwładniejszym

wpływom, elekcya? Polityk tak doświadczony, tak umiejący korzystać z nauk historyi i z przeszłości wyciągać wnioski na przyszłość, nie mógł przecież zapomnieć o tem, co groziło Rzpltej peryodycznem, chronicznem niebezpieczeństwem; kończy się też *Głos Wolny* rozdziałem o elekcyi królów.

Historyczne nasze legendy, mówi król Stanisław, opowiadają, że „przodkowie nasi, nie mogąc raz zgodzić się na obranie króla, taki przedsięwzięli sposób: nakazali, żeby do pewnej założonej mety biegano, na której zawieszone było berło i korona, aby je ten otrzymał, któryby był najbieglejszy goniec. Leszko takiego kunsztu zażył, że powbijał po drodze gwoździe, aby gońcy po nich szwankując, jemu dali czas wyprzedzić ich przez ścieżkę wolną, którą sobie zostawił, i przez którą ubiegł innych i otrzymał koronę".

Ta elekcya stała się wzorem i typem wszystkich późniejszych. „Rzeczpospolita za każdym razem zawiesza koronę i exponit ją na celu ambicyi wszystkich konkurentów, którym wolno wszystkich używać sposobów i wykrętów do nabycia jej, a oraz sama wystawia się na wszystkie niebezpieczeństwa".

Po obrazie ujemnym (jakiego króla nie potrzeba), następuje wizerunek dodatni króla, jaki być powinien, jakiego szukać i wybierać mamy; wizerunek, w którym nikt z pewnością ani jednego rysu nie chciałby odmienić, król, na jakiego każdy zgodziłby się musiał, król, który zapewniłby szczęście i Polski i każdego innego państwa. Takiego mamy szukać króla, i takiej formy elekcyi, przy którejbyśmy, Boże zachowaj, obierając nowego króla, starego królestwa nie stracili.

Ta forma jakaż być może? Jakie są warunki zabezpieczenia się od takiej przyszłości?

Przedewszystkiem, trzebaby się starać o zgodę i jedność; ale jakże o niej marzyć, kiedy zaledwo tron zawakuje, natychmiast niema tego monarchy w Europie, któryby swego kandydata nie miał, nie zalecał,

partyi mu nie formował, a my każdego słuchamy, dzielimy się na tyle partyj, ile kandydatów, i pole elekcyi przemienia się w pole walki, na którem biją się wszystkich monarchów sprzeczne interesy, do czego my sami stajemy się przeciw sobie narzędziem. W takim stanie rzeczy, powstają takie monstra jak elekcye podwójne; w takim stanie rzeczy trzebaby cudu, żeby król wybranym być mógł jednomyślnie, a jednak tego żąda prawo, o to dla zasady powinniśmy się starać. Powinniśmy i jednomyślność przy elekcyi zachować, i tego dokazać, żeby ta jednomyślność, wolna kontradykcya, nie stała się nieprzełamaną przeszkodą do każdego obioru.

Ażeby ten problem (w istocie nie do rozwiązania) rozwiązać, rozwija autor system elekcyi, którego głównemi zasadami są: ograniczenie liczby kandydatów dla uniknienia fakcyi i zamiana elekcyi *viritim* na elekcyę przez sejm.

Do pierwszego tedy dążąc, wynajduje autor ten sam co Karwicki środek na zmniejszenie liczby kandydatów, a zarazem na przecięcie drogi intrygom i ambicyom, w wyłączeniu od tronu wszystkich cudzoziemców.

To pierwszy środek do ograniczenia liczby kandydatów. Następujący zmierza zarówno do tego celu, jak i do uproszczenia elekcyi i ustrzeżenia jej od zamieszek i scysyj.

Skoro bezkrólewie raz jest ogłoszonem, na nic się nie przyda czas jego przeciągać, bo to wychodzi tylko na korzyść intrygantów i wichrzycieli. Namyślić się nad kandydatem (po wyłączeniu zagranicznych), to rzecz niedługiego czasu, znamy się między sobą dobrze, wiemy zawsze, kto ile wart. Dla skrócenia więc bezkrólewia, znieść trzeba konwokacye, które i tak są tylko polem i sposobnością do intryg i targów, a natomiast wydać zaraz uniwersały na sejmiki, które w całym kraju miałyby się odbywać.

Czynność tych sejmików jest dwojaka: wybór kandydatów do korony, i wybór posłów na sejm elekcyjny. Każdy uprawniony daje na tym sejmiku głos, jakiemu chce kandydatowi, daje go na piśmie, w ręce marszałka sejmikowego, który po oddaniu głosów w asystencyi wojewody i czterech posłów deputatów, liczy głosy i zapisuje imiona kandydatów, tudzież liczbę głosów, jaką każdy z nich otrzymał.

Nazajutrz odbywa się wybór posłów na sejm, których liczba dla uroczystości aktu ma być podwójną (szesnastu). Ci, z obydwoma wojewodami i z marszałkiem sejmiku jadą na sejm elekcyjny, i oddają w ręce prymasa akt, w którym spisane są imiona kandydatów województwa. Oddawanie to odbywa się zaraz po zagajeniu sejmu elekcyjnego, przy połączeniu obu izb w obecności ministrów. Potem liczy się publicznie głosy, i ogłasza się listę kandydatów, tudzież ilość głosów każdemu danych. Nareszcie, bez żadnych rozpraw ani kontrowersyi, ogłasza prymas z listy kandydatów tych czterech, którzy mieli najwięcej głosów za sobą, i ci tylko są kandydatami do korony, z tych czterech musi wyjść król.

Po tem ogłoszeniu czterej kandydaci stosownie do prawa usuwają się z miejsca elekcyi.

Liczba kandydatów jest tedy ograniczona do czterech, elekcya *viritim* zamieniona na elekcyę w sejmie (w murze, jak chciał Górnicki po niebezpiecznej elekcyi Zygmunta III), fatalny wynalazek Zamoyskiego, płodna matka tylu klęsk, elekcya przez pospolite ruszenie, zniesiona

Ale to nie dosyć. Leszczyński utrzymywał, że wolny głos, wolną kontradykcyę, dotychczas przy wszystkich, ile ich było elekcyach gwałconą, należy utrzymać i ubezpieczyć: raczej po raz pierwszy z teoryi, z papieru, wprowadzić w życie i w praktykę, i obiecywał, że tę logiczną sprzeczność pogodzi, i *Veto* za-

chowa i elekcyę za każdym razem bez szwanku do szczęśliwego końca doprowadzi.

Jakże tego dokaże?

Z czterech kandydatów mają posłowie wybierać króla. Prymas mianuje tego, który miał najwięcej głosów. Jeżeli nikt nie protestuje, król jest obrany. Jeżeli zaś zajdzie choć jedna protestacya, wtedy wybór ten jest unieważniony. Prymas mianuje najbliższego z porządku kandydata. Jeżeli i przeciw temu są protestacye, mianuje trzeciego, wreszcie czwartego. Autor przypuszcza, że na jednego przecie się zgodzą.

Ale jeżeli nie? Jeżeli odrzucą wszystkich? Cóż wtedy? Czy zgwałcić wolną kontradykcyę, czy też dojść do absurdum i rozjechać się z sejmu, króla nie obrawszy? Autor oświadcza się za tą pierwszą alternatywą. Jeżeli posłowie na żadnego z czterech kandydatów zgodzić się nie zechcą, w takim razie innej rady niema, tylko uciec się do większości głosów: lepiej poświęcić jednomyślność, jak nie obrać króla. Obiera się więc powtórnie, z tych samych czterech kandydatów: posłowie dają po jednym głosie, senatorowie po dwa, prymas trzy.

A więc wolna kontradykcya, *Liberum Veto*? cóż się z niem stało? gdzie jest? Tam, gdzie je doprowadzić musiała logika rzeczy, tam gdzie rozum polityczny dawno powinien był je pogrzebać: w nicości. Od chwili, gdy można *Veto* ominąć, od chwili gdy się powie, że ono jest, jest zasadą, jest źrenicą wolności, ale w pewnych razach innym zasadom pola musi ustąpić, gdy się nad niem zawiesi zasadę większości jak miecz Damoklesa, i gdy mu powiedzieć można: albo ustąp, poddaj się, albo mam na ciebie sposób i potrafię cię przeskoczyć, od tej chwili *Veto* nie istnieje; od tej chwili także Rzeczpospolita może istnieć.

Autor usprawiedliwia się i tłómaczy pokornie z tego, że śmiał na pewne przypadki proponować zasadę, w której tkwią zarody zbawienia. Zasłania się tem na-

przód, że to w pewnych tylko wyjątkowych przypadkach; owszem, zaręcza, że przypadek taki nie zajdzie nigdy, bo oporna mniejszość, wiedząc z góry, że elekcya pomimo jej oporu dojść musi, nie dopuści nigdy do ostateczności, i będzie wolała ustąpić, niż narazić się na nieuniknioną porażkę; będzie wolała z tej powolności zrobić sobie zasługę przed nowym królem i Rzecząpospolitą, niż oporem jednego i drugą obrazić, a na swojem przecież nie postawić. To prawda, przynajmniej wszelkie za tem prawdopodobieństwo, ale jeżeli kontradykcya nigdy nie zajdzie dlatego, że byłaby daremną, a cóż to jest innego, jeżeli nie zniesienie kontradykcyi i *Veto*?

Do takiej konkluzyi, wbrew jego własnym zapowiedziom, a może i upodobaniom, poniekąd może nawet pomimo jego woli, doprowadza autora logika rzeczy, niedorzeczność i zgubność zasady, której chciał bronić. Siła rzeczy, logika wypadków, coraz silniej wali w *Veto* i osłabia je. Już Karwicki podcinał nogi i jemu i elekcyi; Leszczyński na przekór sobie samemu podkopuje je jeszcze bardziej—widocznie zaczyna ono chwiać się w opinii narodu, widocznie nadchodzi chwila, kiedy będzie można zadać mu cios śmiertelny—niestety, zapóźno; wtedy wskrzesi je Repnin.

Uprzedza jeszcze autor ten zarzut, jakoby wybór króla w sejmie przez posłów uwłaczał prawom każdego szlachcica, który odtąd elektorem być przestaje, i twierdzi, że przeciwnie, szlachcic każdy wybierając kandydatów, jakich chce na sejmiku, jest wolniejszym od posła, który z danych tylko kandydatów wybierać może, i że przy tym sposobie elekcyi, gdzie głos każdego policzony będzie, każdy prawo swoje daleko rzeczywiściej wykonywać będzie, aniżeli pod Wolą, gdzie głos jego prawie zawsze jest zagłuszony i pogwałcony. Gdyby ktoś zaś zarzucił, że zniesienie elekcyi *viritim* jest uszczerbkim i krzywdą dla każdego obywatela, temu autor odpowiedziałby krótko, że

zmiana ta jest największą właśnie korzyścią dla Rzeczypospolitej, która w ten sposób miałaby elekcye prawne, spokojne i prawdziwie wolne.

Kończąc uwagi nad tym rozdziałem, i raz jeszcze podnosząc mądrość pomysłu zamknięcia elekcyi w sejmie, dodać tylko musimy, że z niektóremi małemi różnicami (jako to: wybór króla na sejmie z czterech kandydatów, zamiast prostego obliczenia głosów danych na sejmikach), projekt króla Stanisława podobny jest bardzo w głównych swoich zarysach do tego, który przed laty trzydziestu podawał Karwicki. Tu i tam wyłączenie kandydatów zagranicznych, tu i tam przeniesienie głównej akcyi wyborczej do sejmików (w czem widoczna jest, jak obadwaj szanowali wolność wyboru i jak szczerze z porządkiem chcieli go pogodzić), tu i tam wreszcie zniesienie tej głównej przyczyny dezorganizacyi Rzeczypospolitej, która się nazywała elekcyą *viritim*. Czy Leszczyński pomysły te od Karwickiego przejął i tylko je nieco odmienił, czy się też z sobą w pomysłach spotkali, tego dziś rozstrzygnąć nie podobna, a wartości samych pomysłow zmienić to nie może.

Tak ukończywszy wszystkie materye, do poprawy Rzpltej należące, daje na końcu ich spis, ażeby każdy *uno ictu oculi* widzieć mógł niemoc praw naszych, naszych zasad niepewność, i co za tem idzie, niebezpieczeństwo ostatnie wolności i Rzeczypospolitej. Spis ten suchy, bez żadnych uwag, ułożony porządnie i liczbami opatrzony, robi wrażenie prawdziwie przerażające, i wymowniejszy jest, niżby być mogła najpatetyczniejsza wymowa. Stoi bowiem na tym rejestrze wszystko: wszystko co należy do pomyślności, siły, godności, do samego istnienia państwa. Zły użytek z dóbr kościelnych, źle opisana władza królewska, do dobrego bezsilna, ale szkodzić zdolna, władza ministrów nie wiele pomocna, a często szkodliwa, wolność gubiąca się przez sposoby, którymi się utrzymywać rozumie, wrodzone

zdolności narodu, leżące odłogiem, zbrodnie polityczne i inne, uchodzące bezkarnie, niestałość i nieład obrad publicznych, nadużywanie *Juris Vetandi*, prawa i uchwały bez wykonania, niedostateczność siły zbrojnej, ubóstwo skarbu, zła administracya sprawiedliwości, opresya pospolitego ludu, rzadkość pieniędzy i stagnacya handlu, zgubna forma elekcyi, nierząd powszechny w każdej części „gubernii", a więc wszystko, wszystko, od kościoła do wojska, od króla do chłopa, od moralnej godności do ekonomicznego gospodarstwa, władza prawodawcza i wykonawcza, sprawiedliwość i oświata, wszystko potrzebuje poprawy, wszystko w złym stanie, wszystko słabe, spróchniałe, niezdrowe, nie do użytku? Jeżeli to prawda, jeżeli on nie przesadza, to cóż się z tą Rzecząpospolitą stanie? Że mówił prawdę, że nie przesadzał i swój smutny katalog wedle prawdy ułożył, o tem przekona każdego studyum współczesnych dziejów, a jaki był skutek i koniec tego uczą dzieje niewiele późniejsze.

„A jakom zaczął tę pracę moją sub allegoria struktury, tak ją i kończę, nie mając już co do niej przydać, jeno tę inskrypcyą: *in spem melioris aevi*. Azaliż kiedy ten wiek szczęśliwy nastąpi, że Bóg sam będzie wszechmocnym architektem tego budynku? Bez tego, *nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laborat qui aedificat eam.*

Taki jest *Głos Wolny*, wolność ubezpieczający, o którym, jako najchwalebniejsze świadectwo, rzec można, że wysłuchany, byłby zapewne ubezpieczył nie wolność tylko, ale prawdziwą jej źrenicę, prawdziwe palladium i fundament: niepodległość.

Jeszcze jedna krótka, a niezbędna o nim uwaga. *Głos Wolny* jest ostatnią próbą reformy, Leszczyński ostatnim u nas politycznym pisarzem, z charakterem czysto, wyłącznie specyficznie polskim; ostatni, którego naturalną filiacyą związać można ze statystami szesnastego wieku. Po nim występuje już inna szkoła,

inne pojęcia, inni pisarze, inna Polska. Przez trzydzieści lat panowania Augusta III dokonała się wielka zmiana w duszy narodu. Dawna Rzeczpospolita republikańsko-szlachecka, zachwiana klęskami, zgubnymi skutkami swoich wypaczonych instytucyj, podana w dyskredyt, traci na powadze, naród przestaje w nią wierzyć, a choć są tacy co do ostatka galwanizować ją próbują, ona już jest odstąpiona, skazana, konająca. W miejsce tych pojęć, tych zasad, tych form czysto-polskich politycznego życia, zjawiają się nowe. Instynkt konserwacyi własnej, potrzeba obrony, każe szukać jej możliwości: możliwość tę podaje większa sprężystość rządu, oparta na większem skupieniu, na centralizacyi. Do tego zmierza, tego chce, reforma Czartoryskich. Za większą władzą, za centralizacyą, a raczej przed nią, jako jej warunek, idzie złamanie możnowładztwa, dążność do zrównania stanów. Do pojęcia silnej władzy i centralizacyi, przystępuje więc pojęcie trzecie, zrazu tylko negacyjne, a tem była demokracya w zarodzie. Ale te wszystkie pojęcia nie były polskie i w dawne formy życia polskiego wcisnąć się nie dały. Od chwili więc, gdy rozszerzyły się i zakorzeniły o tyle, że z dawnemi zasadami republikańsko-szlacheckiemi mogły podjąć walkę, musieli ich zwolennicy do pojęć szukać i form, i przykładów, i wzorów zagranicą. Leszczyński, jak wszyscy jego poprzednicy, widzi tylko Rzeczpospolitą polską i jej instytucye, o obce nie pyta; jego najbiższy następca, Konarski (nie licząc kilku pisarzy mniejszej wagi), już zna wszystkie konstytucye europejskie, wszystkie studyuje, ze wszystkich bierze wzory i pomysły. Tak jak z każdym dniem bardziej znika Rzplta szlachecka ze świadomości narodu, jak ogólnie europejskie pojęcia o rządzie i społeczeństwie biorą nad nią górę stopniowo, ale stanowczo, tak samo i w literaturze politycznej ukazuje się nowa szkoła pisarzy, których ideałem jest nie dawna polska forma rządu, ale regularnie funkcyonujące, nor-

malnie zbudowane państwo, podług prawideł i zasad zachodnich filozofów i statystów, na wzór Francyi, Anglii, Prus i t. p. Szkoła ta opiera się już nie na polskich, ale na zachodnich, europejskich pojęciach, i panowanie ich rozszerza, a zwycięstwo, przynajmniej w teoryi, zapewnia. Ze zmianą pojęć podstawnych, z tą moralną rewolucyą, którą w owej epoce naród przebył, musiała się zmienić i jego literatura polityczna, a ostatnim statystą dawnej Polski, ostatnim i jednym z najznamienitszych, jest król Stanisław Leszczyński *).

Sprawozdanie z pism Leszczyńskiego nie byłoby zupełnem, gdyby się na samym *Głosie Wolnym* kończyło. Pozostają jeszcze te pisma pomniejsze, ulotne, w znacznej przynajmniej części do druku nie przeznaczone: rezultat tych uwag i myśli, tej znajomości ludzi i świata, tych długich i różnorodnych, a nieraz gorzkich doświadczeń, które zebrał w ciągu życia tak pełnego przygód i zmiennych kolei.

Zebrane one są pod tytułem *Oeuvres du Philosophe bienfaisant*, a składają się z rzeczy rozmaitej treści. Są tam listy, raczej po naszemu broszury polityczne, jest obszerniejsza polityczna rozprawa niezbyt ozdobiona formą jakoby powieści; jest opis ucieczki z Gdańska, są znane powszechnie rady dla córki, kiedy ją za mąż wydawał; wreszcie, jest znaczna liczba krótkich uwag raczej, niż rozpraw z dziedziny filozofii moralnej, o szczęściu, o nadziei, o przyjaźni, o niebezpieczeństwach dowcipu, o wychowaniu dzieci, a przed innemi książąt, rozmowa króla z dworzaninem o trudnościach i przykrościach panowania, o pragnieniach, wszystko to jak

*) Stosunek *Głosu Wolnego* do dawniejszych statystów i reformatorów polskich, jak do dawniejszych lub współczesnych zagranicznych, miara jego oryginalności, oznaczone są w rozprawie Aleks. Rembowskiego *Stanisław Leszczyński jako statysta* (Warszawa, 1879). Do tej odsyłamy czytelnika, któryby chciał gruntowniej zapoznać się z tą kwestyą.

gdyby w całość zebrane, w najmniejszem z tych pisemek, które nosi tytuł *le Philosophe chrétien*.

Połowę blizko „Dzieł Filozofa" zajmuje tłómaczony na francuskie *Głos Wolny*, pod tytułem *Observations sur le Gouvernement de Pologne*. Obok niego grupują się drobniejsze pisma politycznej treści, z których największem i najważniejszem jest *Rozmowa Europejczyka z Obywatelem Wyspy Dumokala* (*Entretiens d'un Européen avec un Insulaire du Royaume de Dumocala*).

Co mogło natchnąć króla tą myślą, żeby swoje pojęcia o rządzie i społeczeństwie ubierał w formę opowiadania.

Ta moda była i trwała cały wiek z górą. Od dydaktyczno-moralnego Telemaka aż do Rasselas'a Johnsona, do Doświadczyńskiego i pana Podstolego, produkował wiek ów wiele pism treści obyczajowej, filozoficznej, nawet społecznej i politycznej, którym dawał pozory podróży lub powieści.

Tej modzie hołdował może i Leszczyński, kiedy rozbił okręt gdzieś na Indyjskich morzach, a cudem prawie ocalonego podróżnego Europejczyka wyrzucił na brzeg wyspy Dumokali.

Mówi on w przedmowie, że nie rości sobie żadnego prawa do zasługi autorskiej, bo dzieło to nie jest jego. W jakimś starym niemieckim klasztorze znalazł rękopis, datujący z roku 1630, a przeczytawszy, tak był uderzony instytucyami i pomyślnością szczęśliwych Dumokalijczyków, że postanowił rękopis przetłómaczyć i wydać, z wielkim żalem, „że szczęście ludzi mieszka tylko w krajach nieznanych i nam niedostępnych".

Dlaczego się zasłania niemieckim rękopisem, kiedy się jako autor nie podpisuje? Ostrożność zbyteczna a próżna, bo pomimo tej podwójnej maski, każdy poznać go musi odrazu.

Cóż bowiem znajduje ów rozbitek na nieznanej wyspie?

Co? *Głos Wolny* żywcem wcielony w rząd i społeczeństwo tej błogosławionej wyspy. Oprócz rzeczy specyficznie polskich, krytyki polskich stosunków i instytucyj, oprócz sejmów i elekcyj, wszystkie pomysły z *Głosu Wolnego* zastajemy tu powtórzone. Są czterej ministrowie z wybieranemi radami ministeryalnemi, są odpowiadające tymże rady podobne w każdej prowincyi i nieustanny między jednemi a drugiemi związek, jest ten sam system podatkowy, oparty na dziesiątym procencie od dochodu, jest to samo urządzenie wojska, którego połowa zostaje na urlopach, a fundusz na jej utrzymanie, z podatków ściągany, pożycza się miastom na hipotekę i za pewną prowizyą. Słowem, wszystkie główne myśli z *Głosu Wolnego* (z wyjątkiem tych, które do samej tylko Polski odnosić się musiały), wszystkie nawet podrzędne rozporządzenia i szczegóły, przedewszystkiem te same zacne i uczciwe zasady polityki, na których się reforma *Głosu Wolnego* opiera, to jest, co stanowi i zapewnia niezrównane i trwałe szczęście Dumokalijczyków.

Do rzędu politycznych pism „Dobroczynnego Filozofa" należą dwie broszury w sprawie własnej, pisane po ucieczce z Gdańska, w Królewcu, w roku 1735. Pierwsza z nich, List pewnego szlachcica, pisany z Królewca do przyjaciela w Warszawie (*Lettre d'un seigneur polonais à un de ses amis*), przeznaczona była widocznie na to, aby rozrzucona po kraju przed sejmem pacyfikacyjnym, wpłynęła na umysły i zachwiała zwycięzką sprawę elektora saskiego. Ostatnia to może rozpaczliwa próba pogwałconej dobrej sprawy Stanisława.

Broszura druga, *List Gdańszczanina do przyjaciela w Warszawie* (Grudzień 1735), *Lettre d'un habitant de Dantzic à un de ses amis demeurant à Varsovie*), jest dopełnieniem poprzedniej, i zbija jedną po drugiej nadzieje, jakie stronnicy Augusta III zakładać mogli na sejmie pacyfikacyjnym.

Istotnie, sejm pacyfikacyjny zalepił, zabielił szpa-

ry na trzydzieści lat letargicznego panowania drugiego Sasa, a potem, potem tynki istotnie odpadły.

Niepodobna jest przechodzić szczegółowo każdej z filozoficzno - moralnych rozprawek Leszczyńskiego; analizować jego uwagi o przyjaźni, o nadziei, o szczęściu, o troskach i zawodach, nieodłącznych od panowania; byłoby i trudno i zbytecznie, bo w ogóle są to myśli, na które zgodzić się musi każdy, które w różnych formach, ale w rzeczy zgodnie, powtórzone były tysiące razy. Można więc poprzestać na ogólnej charakterystyce jego pojęć.

Filozofia „Dobroczynnego Filozofa", niema w sobie nic umiejętnego ani systematycznego; źródłem jej jest doświadczenie i znajomość świata, rezultatem oderwane, nie ujęte bynajmniej w całość maksymy i reguły życia. Że jednak wszystkie te reguły i maksymy są skutkiem wrażeń, jakie to samo doświadczenie wywarło na tym samym umyśle, że wyrosły z tego samego gruntu, przeto muszą mieć jakieś cechy wspólne, jakiś wspólny kierunek.

Zastanawiając się nad niemi bliżej, poznać łatwo, że istotnie podstawa ich jest wspólna, że na dnie wszystkich tych rozmyślań o człowieku i społeczeństwie, o szczęściu lub niedoli, o koronie lub o dowcipie, leży myśl jedna, która je wszystkie na wskróś przenika i nad nimi panuje, a tą jest myśl chrześcijańska, głęboka, gorąca religijna wiara. Wszystko, co Leszczyński mówi, odnosi się zawsze i nieodmiennie do dwóch pojęć czysto chrześcijańskich, któremi są, zgodność życia człowieka z prawem Bożem, i wieczność, przyszłe życie. Godziwość lub niegodziwość uczynków, odpowiedzialność za nie, sprawiedliwość. której z nich kiedyś rachunek zdać przyjdzie, są to te trzy punkty stałe, na których się wspierają, około których krążą wszystkie jego myśli i uwagi; są mu one zawsze przytomne. Nawet kiedy o nich nie mówi i zdaje się nie myśleć nawet wtedy, pokazuje się, że on wszystko do nich od-

nosi i przymierza. Zjawisko dość dziwne w wieku Voltaira, a może tem szanowniejsze, tem bardziej ujmujące, że tak rzadkie. Jak szczególnie odbijać musiało to katolickie sumienie i przekonanie od współczesnego otoczenia? Jak trudno musiało być zacnemu staremu królowi, i tej córce, której dusza była powtórzeniem jego duszy, zrozumieć się z tym dworem Wersalskim, wśród którego ich los postawił.

Na tem zaś tle chrześcijańskich uczuć i zasad, które okazuje się zawsze jako samo rzetelne tło duszy Stanisława, rysują się dopiero (wnosząc z pism) pojęcia tak wysokie, uczucia tak szlachetne i delikatne, że uznać w nim trzeba naturę rzadkiej piękności. Kluczem, ostatniem słowem jego filozofii moralnej jest wyrzeczenie się siebie. Szczęście w każdem położeniu i stosunkach, od króla do najuboższego, o tyle jest na tym świecie możliwem, o ile, nie żądając go dla siebie, drugim staramy się je zapewnić; przyjaźń, o tyle stała i pewna, o ile wolna od egoizmu; rozum i dowcip o tyle dobry, o ile nie rozmiłowany w sobie, a dla drugich nie przykry, nie pogardliwy, nie złośliwy i krzywdzący; słowem, wszędzie i zawsze wzgląd na innych stoi na pierwszem miejscu, wzgląd na siebie na drugiem.

Naturalna tego konsekwencya, wielka wyrozumiałość, wielka pobłażliwość dla ludzi. Nie żeby filozof miał o nich wyobrażenie bardzo wysokie; owszem, przypatrzył im się z tylu punktów widzenia, poznał ich ze stron tak różnych, że wiele o nich złudzeń zachować nie mógł, że jego pogląd na świat i ludzi, choć bardzo spokojny i łagodny, ma na sobie jakiś cień melancholii, więcej może tęsknej, niż ponurej. Ale to, co widział i doświadczył, nie wchodzi u niego w rachunek. Ludzie błądzą, robią wiele złego, ale są stworzenia ograniczone, z któremi zbyt ściśle rachować się nie można, którym przebaczenie należy się najczęściej, pobłażanie zawsze.

Znajomość świata i wielki wrodzony rozsądek sto-

sują tę łagodną filozofię życia do jego praktyki, w sposób niezmiernie ujmujący. Czy mówi o wielkich obowiązkach, czy o drobnych stosunkach towarzyskiego życia, zawsze w każdem słowie znać sprawiedliwość i zacność, wyrozumiałość i dobroć, najzupełniejszy brak egoizmu i szlachetny, delikatny wzgląd na innych. Takie są cechy wspólne jego maksym i uwag.

Pozostaje jeszcze cała jedna piękna i wielka strona tego życia i tego charakteru, najważniejsza może dla naszej historyi, najbardziej cywilizacyjna, najbardziej w skutkach swoich dobroczynna. Ale kiedy historyk cywilizacyi w Polsce, mówiąc o królu Leszczyńskim, miałby przedewszystkiem na oku dwór w Nancy i szkołę kadetów, w których Stanisław wychował warstwę prawdziwie dobrych obywateli, wśród której błyszczeli ludzie niektórzy istotnie znakomici, to ten, którego skromniejszem zadaniem jest ocenić nie czyny, ale pisma, nie króla i obywatela, ale politycznego pisarza, ten skończył swoje, kiedy wypowiedział swoje słowa o *Głosie Wolnym* i *Dziełach Dobroczynnego Filozofa*. Tamte więc obszerniejsze, bujniejsze pole, zostawić wypada powołanym i uprawnionym do jego uprawy, i skończyć. Kończąc jednak, nie można wstrzymać się od ostatniego pytania, które nasuwało się nieraz każdemu, kto dzieje i losy swojej ojczyzny uważnie rozpamiętywał, kogo choć czasem budziło ze snu zagadnienie, co ją zbawić mogło: Czy król Leszczyński mógł nas zbawić, czy mógł niepodległość Rzeczypospolitej uratować?

Gdy pomyśleć, że on mógł, że był powinien zajmować nasz tron, przez te właśnie lat trzydzieści, przez które gnuśnie, bezwładnie siedział na nim ten ciężki, martwy ograniczony Sas bez myśli i sumienia, gdy pomyśleć, że przez te lat trzydzieści, zamiast coraz szybszego procesu rozkładu i zwietrzenia, mogliśmy mieć wprowadzone w życie, wcielone w instytucye zasady *Głosu Wolnego*, że sto tysięcy wojska byłoby może

strzegło naszych granic, kiedy w Warszawie obradowałby stale i spokojnie sejm regularny i od zerwania zabezpieczony, że do skarbu wpływałyby dochody pewne i stałe, że administracya i wykonanie praw byłyby może szły porządnie, że wreszcie król sprawiedliwy byłby wziął w opiekę swoją los i stanowisko nieuprzywilejowanych, wtedy doprawdy zdaje się, że gdyby można czas cofnąć, wrócić do powtórnej elekcyi Leszczyńskiego, utrzymać go na tronie przez te lat trzydzieści, kto wie, czy swoim rozumem, swoją sprawiedliwością, nie byłby i nas nawrócił i Rzpltej zbawił. Że byłby tak rządził jak myślał, jak wierzył, jak pisał, w to nie godzi się wątpić.

A przyszłość taka zdawała się możliwą, nawet blizką. Losy Rzpltej pod panowaniem Augusta II, niemoc jej coraz większa, oczywista jej abdykacya z własnej niepodległości w roku 1717, wewnętrzny rozkład i rozprzężenie, sejmy zrywane, prawa bez egzekucyi, kraj bez obrony, skarb bez pieniędzy, rząd bez władzy, Rzplta bez rządu, wszystkie te smutne wróżby ostatecznego upadku, nad któremi król Leszczyński bolał i rozmyślał, i pod których wpływem napisał *Głos Wolny*, wszystko i w Polsce wywarło jakieś, choć niedostateczne wrażenie, sprowadziło jakieś, choć nieszczęściem chwilowe tylko i częściowe otrzeźwienie i opamiętanie. August II umarł wreszcie, Rzplta uwolniona przecie od najgorszego ze swoich królów, mogła szukać lepszego, a w lepszym ratunku. I chciała. Wszystkie umysły zwróciły się ku temu, którego pamiętano młodym senatorem, „ozdobą i rozkoszą Polski”, później chwilowym królem, którego teraz widziano wiernym synem ojczyzny. Postanowiono pod przysięgą ekskluzyę cudzoziemców, ekskluzyę nienawistnego Sasa, elekcya 10 września 1733 r. stanęła jedna z najprawniejszych, najzgodniejszych w całej historyi Polski, Stanisław był królem. Przed nim i przed nami otwierało się trzydzieści lat rządów uczciwych, polskich, i mądrych;

trzydzieści lat w ciągu których *Głos Wolny* byłby przestał być głosem wołającego na puszczy, byłby został rzeczywistością, faktem, ocaleniem.

W tej samej chwili, nigdy zazdrość i ironia losu, nigdy historyczna zemsta nie wywarły się na żadnym narodzie w sposób bardziej upokarzający, w tej samej chwili, dwa mocarstwa ościenne pod groźbą wojny, wzbroniły wolnej Rzeczypospolitej wybierać królem, kogo chciała. Czterdzieści tysięcy Rosyan wkroczyło w jej granice na poparcie groźby.

Oprzeć się Polska nie mogła; w chwili, kiedy ratować się chciała, pomścił się na niej nierząd, bezwładność i bezradność. Bez wojska, bez skarbu, bez obrony, musiała uledz, musiała ustąpić, musiała uznać się zależną, związaną. Stanisław wrócił do Francyi. August nieprawnie zasiadł na jego tronie. Zamiast trzydziestu lat poprawy Rzpltej, w duchu *Głosu Wolnego*, nastało trzydzieści lat letargu, obumarłości..... dalsze ich skutki wiadome.

Ale dziś jeszcze patrzącemu w te czasy i dzieje, niepodobna bez tęsknoty i żalu myśleć o tem, co się stać mogło, gdyby Polska była miała siłę utrzymać Stanisława na tronie. Niestety i on, i jego *Głos Wolny*, i nasze opamiętanie, i wszystkie reformacyjne dążności XVIII wieku, przyszły za późno, a na nas i dziejach naszych, stwierdziła i wypisała historya wyraźniej niż kiedykolwiek, tę swoją wielką prawdę, że wszelki ratunek w chwili niebezpieczeństwa jest późny i próżny, że jedynym ratunkiem pewnym dla narodów i społeczeństw jest ciągłe i nieprzerwane życie, życia roztropne używanie i ustawiczne jego w sobie utrzymywanie.

IV.

Wystąpienie Konarskiego. Sprawa buław. Pisma w sprawie elekcyi z roku 1733.

W tym samym czasie, kiedy Leszczyński pisze, a potem wydaje *Głos Wolny*, powstają pierwsze pisma polityczne tego, który w naszej literaturze, był jego następcą i, jak on, słupem milowym przebytej drogi, dokonanego postępu.

W roku 1732, występuje Konarski.

Wrócił z podróży zagranicznej, już się był wiele nauczył w Nancy od Leszczyńskiego, już i sam był nauczał w Rzymie. Teraz daje lekcye retoryki w Collegium pijarskiem w Rzeszowie, i wydaje pierwszy tom *Voluminów Legum*; ale zarazem robi swój krok pierwszy w zawodzie politycznym, przynajmniej w zawodzie politycznego pisarza. Robi go w duchu i myśli tego stronnictwa Poprawy Rzpltej. do którego przez całe życie należał. Czy przez ciąg dalszego żywota zawsze był w zupełnem porozumieniu z Czartoryskimi? Czy ten stosunek nie zmienił się i nie zachwiał nigdy? Niejakie wskazówki mogłyby wprowadzić na taki domysł. Dowodów niema; kwestya nie jest zbadana i znana. Ale jeżeli nawet zmieniał się kiedy stosunek Konarskiego do osób, to nie zmienił się nigdy jego stosunek do zasad, do Poprawy Rzpltej. Może w archiwach Czartoryskich pozostały jakie ślady stosunku dwóch

starych książąt z Konarskim? Jeżeli gdzie zostać mogły, to tam, ale również dobrze mogły zaginąć; to pewna, że w druku nie mamy nic, coby nas pod tym względem zaspokoić mogło.

Za pierwszy krok Konarskiego na polu politycznem, uchodziła długo broszura ogłoszona w r. 1732, *Rozmowa Ziemianina z Sąsiadem*, wydaną bezimiennie, jak wszystkie jego broszury z tego czasu, a w skutku tego pociągana w wątpliwość, czy istotnie jest jego dziełem. Współcześni jednak jednogłośnie jemu ją przypisywali, a podobieństwo stylu, języka, zwrotów, sposobu dowodzenia, wreszcie dążność, mogły dać w braku materyalnego dowodu, moralne przekonanie, że *Rozmowa* jest pierwszem w szeregu politycznych pism Konarskiego. Wszelako nowsze dochodzenia (Estreicher, *Bibliografia*), przypisują ją stanowczo J. Lipskiemu. Treścią swoją, jak sposobem pisania, zasługuje ona na zaszczytną wzmiankę. Oto jej powód bytu i treści:

Od roku 1728, po śmierci Stanisława Mateusza Rzewuskiego. Chomentowskiego i Denhofa wakowały trzy, od roku 1730, śmierci Pocieja, wszystkie cztery buławy. Rozdane mogły być tylko na sejmie. Podczas wakansu zaś sprawował tymczasową władzę nad wojskiem regimentarz koronny. Regimentarzem tym mianował August II Stanisława Poniatowskiego, i jemu przeznaczał jednę z buław koronnych.

Ale dać ją mógł tylko na sejmie. Tymczasem sejm grodzieński r. 1729 zerwany, grodzieński r. 1730 zerwany, ekstraordynacyjny warszawski r. 1732 zerwany. Na styczeń 1733 r. zapowiedział król nowy. Prawdziwym powodem rwania były dwie rzeczy: naprzód to, że wszyscy możniejsi, Potoccy, Radziwiłłowie, Lubomirscy, Sapiehowie, Mniszchowie, pragnęli buławy dla siebie; powtóre, że wszyscy uwzięli się nie dopuścić do niej Poniatowskiego, jako jednego z Czartoryskich, w których widzieli już nieprzyjaciół, i dążność interesowi swojemu najprzeciwniejszą.

Czy zdołają tak samo zerwać i zapowiedziany sejm czwarty? Trzeba koniecznie, żeby ten doszedł, żeby buławy były na nim rozdane, i żeby wielka koronna dostała się Poniatowskiemu. Wszystkie usiłowania partyi wytężyły się w tym kierunku, a pomiędzy innymi środkami użyto także i działania na opinię szlachty, puszczono w świat broszurę.

Przekonać szlachtę, że sejm przyszły koniecznie dojść powinien, a zarazem, że interesem i ojczyzny i samego nawet stanu rycerskiego jest, aby buławę wziął Poniatowski, taki jest podwójny cel *Rozmowy Ziemianina z Sąsiadem*, cél zgodny zupełnie z myślą Czartoryskich, i z pojęciami, z jakiemi do kraju powrócił wychowaniec polityczny Leszczyńskiego. Pismo to dość obszerne, podzielone na trzy rozmowy, odznacza się przedewszystkiem wielką śmiałością.

Zaczyna się rozmowa o sejmie, i domysły, czy też po trzech zerwanych, dojdzie przynajmniej ten czwarty. Sąsiad, opinia publiczna, ubolewa wraz z Ziemianinem (autorem i jego stronnictwem) nad zrywaniem sejmów, ale dowodzi, że gdyby dwór chciał, toby sejm ten doszedł. Posądzenie naturalne, bo istotnie August II umaczał rękę w niejednem zerwaniu. Ale Ziemianin występuje w jego obronie i odpowiada, że doszedłby sejm, gdyby król oddał buławę nie temu komu chce, ale komu chcą inni; to jest powód, dla którego zerwały się trzy ostatnie sejmy. „Istotnie — odpowiada sąsiad — król dla samego spokoju i dla dobra Rzpltej powinien ustąpić: inaczej zerwie się i ten sejm z powszechną wszystkich szkodą i niesławą".

Na to rozumowanie: zrób co ja chcę, bo inaczej zaszkodzę Rzpltej—występuje Ziemianin z filipiką równie energiczną, jak zręczną. Podług prawa, mówi, król sam rozdaje buławy, z tem ograniczeniem, że ma je dawać, *terrigenis, indigenis, paritate juris gaudentibus, bene meritis, aetate ac discretione vigentibus.* Od roku zaś 1717

z tem jeszcze ograniczeniem, że ma je rozdawać tylko na sejmie, i to to prawo daje ambitnym możność zmuszenia króla przez rwanie sejmów, aby dygnitarstwa rozdawał tak, jak oni każą. Zamachy te na obalenie praw istniejących są niebezpieczniejsze Rzpltej, niż królowi, i nie można brać mu za złe, jeżeli praw kardynalnych i praw swoich broni. On ma prawo rozdawać buławy, byle zgodnie z prawem; przeszkadzać mu w tem może tylko prywata i intryga. Cały powód niedochodzenia sejmów jest ten, „że w Polsce, jako i w Litwie jeden drugiemu konkurencyi do buław ustąpić nie chce, a osobliwie, że niektórzy Poniatowskiego hetmanem cierpieć nie mogą. Dlaczego? Zkąd data?". Pozory, racye kursujące po kraju, są liczne. Mówi się, że Poniatowski w wojsku polskiem nie służył, to prawda; ale u obcych tak się odznaczył, że się w całej Europie wsławił. Mówi się, że ze Szwedem trzymał? A któż wtedy nie należał do jednej ze stron wojujących? wszyscyśmy wtedy z jednym lub drugim cudzoziemcem trzymali. Że nie ma zasług? A kto sprawił, że warunkiem Prutskiego traktatu Porta zobowiązała Rosyę do wyprowadzenia wojsk z Polski? Kto z Polaków w Europie sławniejszy i bardziej szanowany? O kogo do usług swoich starała się Szwecya, Anglia i Rejent francuski? Że nie ma prawa do urzędów i godności, bo nie rozciąga się na niego amnestya z roku 1717, skoro w trzechmiesięcznym terminie od daty amnestyi się nie stawił? Doprawdy? a czemuż bez amnestyi miał prawo być podskarbim i regimentarzem, a hetmanem być nie ma prawa człowiek, odpowiadający wszystkim warunków prawnym, a nad wszystkich innych zdolny? Wszystko to pozory, fałsze i wykręty, a prawda jest ta, że inni konkurenci do buławy zazdroszczą mu i z ambicyi szkodzą.

W końcu nie mniej zręcznie używa argumentu, któryby był godzien Sokratesa albo Pascala. „A gdyby— pyta — król rozdał buławy podług życzenia przeciwni-

ków Poniatowskiego, czyby sejm doszedł?" Tak rozumiem, odpowiada sąsiad.

A dlaczego? Czy my wtedy nie moglibyśmy zerwać sejmu? Czyby nam brakło sposobów, czy pieniędzy na przekupienie jakiego posła? Czy nie mielibyśmy prawa tak, jak i wy? Dlaczegoż się tego nie obawiacie? A gdy sąsiad zafrasowany milczy, przygniata go autor zwycięską odpowiedzią, której zawsze stronnictwo uczciwe przeciw nieuczciwemu użyć będzie mogło: „Nie boicie się od nas zerwania sejmu, bo wiecie, że nam więcej chodzi o Rzpltą niż o buławę i hetmana; bo wiecie, że ludzie dobrzy i kochający ojczyznę są zbyt sumienni, żeby oddawali wet za wet, i za porażkę swego stronnictwa mścili się na ojczyźnie". Jako zwrot w argumentacyi, sposób pobicia przeciwnika, jest to mistrzowskie, a psychologicznie i politycznie jest wiecznie prawdziwe. Źli zawsze dlatego tak śmiało złych środków używają, bo są pewni, że dobrzy podobnymi z nimi walczyć nie będą.

Ale i wtedy, gdyby nawet król ustąpił, jeszczeby sejm nie doszedł. Przeciw woli dworu zgadzają się wszystkie domy; ale jakby ją przemogły i jakby buława już w jeden z nich dostać się miała, obróciłyby się wszystkie przeciw sobie. Żaden nie chciałby ustąpić, Juliusze Fabiuszom, Korneliusze zazdrościliby Klaudyuszom, i znowu rwaliby sejmy, ażby król buławę na trzaski chyba połupał, żeby im wszystkim dogodzić.

Jakie wrażenie musiało to robić wtedy, kiedy każdy mógł palcem wskazać tych Juliuszów i Korneliuszów i znał wszystkie tajemnice ich zabiegów? Jak ci oskarżeni musieli być do żywego dotknięci. Rzadkie są w naszej literaturze przykłady walki równie ostrej i silnej, rzadkie zwłaszcza w połączeniu z taką miarą i z taką względem przeciwników uczciwością.

Dwie rozmowy następne toczą się około dwóch praw, które połączone z sobą nie dopuszczały do roz-

dania buław. Prawo z roku 1690 stanowiło porządek sejmowania, i przepisywało jako pierwszą czynność sejmu wybór marszałka. Przedtem sejm nie był ukonstytuowany, nie mógł nic prawomocnego uchwalić. Prawo z roku 1717 stanowiło, że buławy tylko na sejmie rozdane być mogą. Tymczasem od roku 1688 fakcye wynalazły łatwiejszy sposób zrywania sejmów: wnoszono jakąkolwiek materyę przed wyborem marszałka, a jeżeli ta nie była załatwioną w myśl nasadzonego zrywacza, następowała zaraz kontradykcya. Przeciw temu nadużyciu uchwalono prawo roku 1690, ponowione w 1699, ale kontradykcya była silniejsza od prawa. Tu trzeba prawo objaśnić i trzymać się jego litery. Prawo z roku 1717 mówi tylko, że buławy rozdane być mogą tylko na sejmie, *ad vota senatus*, i na instancye posłów; nie mówi wcale, czy na sejmie doszłym lub niedoszłym. A skoro posłowie przyznają sobie i sejmowi *activitatem* przed elekcyą marszałka, więc i król tak uważać może i buławę oddać, byle miał *vota senatus* i instancye posłów. Na tych mu nie zbywa. Są instrukcye województw, które nakazują posłom prosić króla o rozdanie buław; niech posłowie przed wyborem marszałka swoją instancyę wniosą, a król może buławy rozdać: nie w myśl prawa, ale w myśl zwyczaju tych, którzy przed tym wyborem rozpoczynają *activitatem* i zrywają sejmy. Wszakże wypadek taki był; na przeszłym sejmie poseł krakowski Ożarowski poszedł z instancyą do króla, a województwo powtórnie teraz obrało go posłem. Czegóż to dowodzi? Oto, że król znalazłby poparcie w kraju, gdyby, nie zważając na fakcye, a dbając o dobro Rzpltej, rozdał buławy na niedoszłym nawet sejmie.

To jest oczywiście groźba, miecz Damoklesa, zawieszony nad opozycyą: nie rwijcie sejmu, bo i mimo was Poniatowski buławę dostanie. Współczesnym, którzy wiedzieli, jak blizko tronu stał Poniatowski i Czartoryscy, musiała ta groźba wydawać się, jak gdyby wy-

chodziła od samego króla i dawać wiele do myślenia. „A gdybyście wreszcie — kończy autor — chcieli nas straszyć konfederacyą, to pamiętajcie rzecz jedną, że konfederacya tylko wtedy jest Rzpltą, kiedy do niej król przystąpi, bez niego i przeciw niemu jest rokoszem. Tego naród nie chce, i gdybyście rokosz podnieśli, on się zawiąże w przeciwną konfederacyę przy królu". Bez rozdania buław nie może dojść sejm żaden. bo go prywata zerwie, bez sejmu Rzplta obejść się nie może, a więc w tej kolizyi trzeba się dyspensować od prawa roku 1717 i rozdać buławy przed elekcyą marszałka.

Oczywiście program stronnictwa rządowego, program postępowania na przyszłym sejmie. Koniec stanowi ironiczna i wymowna prośba do króla, żeby rozdał buławy koniecznie na sejmie, choć my każdy sejm zerwiemy przed elekcyą marszałka, dopóki buławy po naszej myśli rozdane nie będą.

Jakiż był koniec sprawy? Sejm roku 1733 zaczął się 26 stycznia, 1 lutego umarł August II. Sejm skończył się *eo ipso*, buławy rozdane być nie mogły bez króla. Wakowały też aż do roku 1736, bo pierwszym sejmem, który doszedł, był pacyfikacyjny. Ale Poniatowski buławy nie dostał. Chciał ją dać August II stronnikowi swojemu w nadziei, że będzie popierał jego syna; nie dał August III temu, który ze śmiercią króla uczuł się znowu wolnym od zobowiązań i mógł z czystem sumieniem powrócić do tego, co od młodości uważał za najlepsze dla Polski: do Leszczyńskiego. Buławę W. Kor. wziął Józef Potocki, polną Klemens Branicki, litewską Michał Radziwiłł, wojewoda wileński.

Umarł tedy August II. Elekcya miała nastąpić 26 września, a 27 kwietnia rozpoczął się sejm konwokacyjny, na którym zaprzysiężono ekskluzyę cudzoziemców. Wtedy jedynym możliwym kandydatem był Leszczyński, sprawa jego zdawała się wygraną. Czar-

toryscy pewni, że z nim zmiana rządu przeprowadzić da się, widząc zresztą, że obstawać przy Sasie wbrew całej sprzysiężonej Rzpltej byłoby rzeczą próżną, przyłączyli się gorąco do jego sprawy. Wtedy to podczas sejmu konwokacyjnego, poseł austryacki Wilczek i rosyjski Löwenwold, wręczyli prymasowi (Teod. Potocki) notę, żądającą ekskluzyi Leszczyńskiego, jako odsądzonego od korony na sejmie roku 1710, a to „w obronie wolnej elekcyi".

Ta bezczelność, ta napaść na niepodległość wolnej Rzpltej, wywołała przecież oburzenie; wzgarda przebija nawet skorupę żółwia, a większej wzgardy żaden naród nie doznał. Odpowiedź prymasa była godna i piękna, zachowanie narodu takie, jak być było powinno. Pomimo wojsk austryackich, zebranych na granicy, pomimo wojsk rosyjskich wkraczających, Leszczyński przeszedł; udaremniło jego elekcyę, a z nią zbawienie Polski, przeklęte *Veto*, zawsze w zmowie z Rosyą. Można narodowi zarzucić, że wtedy jak za J. Kazimierza cały za broń nie chwycił w obronie swojej niepodległości; do tego, niestety, zdolnym już nie był; długa gnuśność i upadek mści się zawsze, staje się gangreną ducha. Ale nie można zaprzeczyć, że zachowanie się narodu podczas tego bezkrólewia było godne i szlachetne, stan jego duszy lepszy, niżeli był kiedykolwiek od wojny chocimskiej i wiedeńskiej.

Tego oburzenia, tego podniesionego ducha wyrazem, a wyrazem wprost z duszy narodu, stał się Konarski i jego broszura *Prawdziwe racye cudzoziemców oponujących się Najj. Stanisławowi.* Wszystko, co mogło przekonać, pociągnąć, dodać odwagi, wszystko tam jest powiedziane, a z każdego słowa znać, jak żywo i głęboko czuł Konarski krzywdę i obelgę ojczyzny, jak się obawiał, że to tylko pierwsza jej obelga i krzywda, za którą pójdzie nieskończony szereg innych. Zaczyna od przeglądu prawdziwych racyj tej bezprawnej i bez przykładnej interwencyi. Dla cesarza jest nią błaha

nadzieja że elektor, osadzony na tronie polskim, dotrzyma słowa i nie naruszy sankcyi pragmatycznej; drugą jest rywalizacya z Francyą; trzecią wreszcie—chęć dogodzenia aliantce austryackiej, Rosyi. Dla Rosyi zaś powody prawdziwe są, że pamięta przeszłość Leszczyńskiego, boi się ligi szwedzko-polsko-tureckiej, którąby on mógł odnowić, a wtedy może o Inflanty się upomnieć. Jedni i drudzy chcą nabyć prawo ekskluzyi przy elekcyi polskiej jak przy *Conclave*, żeby zawsze Polskę mieć od siebie zależną; nie chcą dopuścić, żeby się oparła o Francyę, wreszcie, chcą Polski słabej, żeby przechodowi wojsk rosyjskich, obiecanych na pomoc Austryi, oprzeć się nie mogła. A czwarta racya, najważniejsza, że się czują mocniejszymi. Gdybyśmy mieli więcej wojska, nie występowaliby z takiemi ekskluzyami.

Z tej samej chwili, tej samej treści, jest drugie pismo polityczne Konarskiego *Epistolae Familiares* (tłóm. polsk. Listy Przyjacielskie). *Racye* były dla Polski, to dla Europy, protest, skarga, krzyk na gwałt, krzyk oburzenia, krzyk o sumienie i sprawiedliwość. Nie dość było na groźbie dwóch dworów i ekskluzyi, trzeba było dodać do nich policzek, paszkwil. Rozeszły się po Warszawie dwa pisma, bezimienne, ale pochodzące jedno od posła saskiego, drugie od rosyjskiego i austryackiego, dowodzące, że wolność polska uciśniona na konwokacyi przez prymasa i jego stronnictwo, udała się pod opiekę cesarza i cesarzowej, którzy w obronie jej wystąpili.

Na to odpowiada Konarski listami Serenusa do Marcella, po łacinie, bo odpowiada Europie, nie Polsce. Udaje biedny, że nie wie, zkąd wyszedł paszkwil, i próbuje wmówić w oba dwory, może i w Polskę, żeby jej dodać ducha, to, w co sam oczywiście nie wierzy, że ani Austrya, ani Rosya na prawdę groźby swojej nie wykonają—zbyt są uczciwe, zbyt się znają na własnych interesach. Dowodzi dalej, że użyte w owej

broszurze słowo *na wybór Stanisława nigdy nie zezwolą*, jest obrazą wszystkich praw Boskich i ludzkich; że nie mają prawa mieszać się do elekcyi, że jeżeli to uczynią, to przeciw własnemu dobru, że od tej chwili i z ich winy nie będzie już w Europie prawa ani dobrej wiary, że nikt, żaden rząd, żaden naród nie będzie pewien życia, ani wolności. W drugiej części, obejmującej listów kilka dowodzi praw i tytułów Stanisława do tronu, dowodzi, że państwa zagraniczne sameby go we własnym interesie wspierać powinny, a że Rzeczpospolita powinna obrać go królem. „Gdyby żadnych innych nie miała powodów, to tylko dla tego samego, iż go obcy wyłączają. Im bardziej nam nie zezwalają, tem bardziej myśmy to sobie pozwolić powinni— Stanisław musi być królem dlatego, że na niego cudzoziemcy nie pozwalają".

Że takie odwołanie się do sumienia i prawa zostało grochem na ścianę, to nas już dziwić nie może. W owym wieku, jak w naszym *la raison du plus fort est toujours la meilleure.*

———

ROZDZIAŁ II.

(1733—1763).

I. Oznaki postępu. Drużbacka. Wacław Rzewuski. Radziwiłłowa. Literaci. Bibliografowie. Wydawnictwa. Józef Andrzej Załuski. Minasowicz. Komedya Bohomolca. II. Proza. Prace naukowe przygotowawcze. Niesiecki. Pamiętniki Matuszewicza. Geografia Łubieńskiego. Bielskiego *Widok Królestwa Polskiego*. Literatura religijna. *Matka Świętych Polska*. Powieści. *Nowe Ateny*. Pisma polityczne. *Anatomia Rzpltej* Garczyńskiego. III. Konarski. Wielostronność jego działania. Reforma wychowania. Reforma smaku. Wiersze łacińskie. Epominondas. Sprzeczne stronnictwa w Polsce. Przedmiot sporu. *O skutecznym Rad Sposobie*. Walka z *Liberum Veto*. Plan obrad sejmowych. Władza hetmańska. Walna elekcya. Koniec epoki. Początek innej.

I.

Oznaki postępu. Drużbacka. Wacław Rzewuski. Radziwiłłowa. Literaci. Bibliografowie. Wydawnictwa. Józef Andrzej Załuski. Minasowicz. Komedye Bohomolca.

Większa czynność na polu piśmiennictwa, większa liczba piszących, większa rozmaitość rodzajów, i w tych różnych rodzajach już przecie jakiś postęp ku lepszemu, daje się widzieć za czasów Augusta III. Do tego, co dobre, jeszcze nie blizko, ale to, co najgorsze, to się już przebyło. Po ciemnościach następuje znowu zmierzch w literaturze; ale nie smutny zmierzch przed nocą, tylko ten, który zapowiada, że kiedyś przecie przyjdzie dzień i będzie widno. Pisarze tych lat zaczynali zapewne swój zawód za poprzedniego panowania, ale nie było o nich słychać, nie było ich znać. Teraz pisma ich wychodzą w druku i mnożą się, oni sami dochodzą do wziętości i sławy. Martwość literatury ustępuje, zjawiają się na nowo pierwsze ruchy, słabe jeszcze, jak po długiej chorobie, ale oznaczające już przybytek sił.

Przychodzi nam teraz przypatrzyć się postaci ciekawej, postaci oryginalnej i wyjątkowej wśród swego społeczeństwa, a która dla tej swojej wyjątkowości, więcej, niż dla talentu, zachowa zawsze swoje miejsce w literaturze i zapomnianą nie będzie. Istotnie w ówczesnej Polsce, gdzie życie umysłowe było tak słabem,

gdzie mało kto czytał, a jeszcze mniej kto pisał, gdzie nie znać wcale zamiłowania w poezyi, jest kobieta pisząca zjawiskiem tak dziwnem, że trudno zrozumieć, zkąd się ono wzięło. Za naszych czasów, kiedy wyobraźnie wprawione w ruch, kiedy wrażenia przyjmujemy bardzo żywo, może zbyt żywo, i kiedy odbicie tych wrażeń jest tem samem prawie powszechną pokusą, a nieraz istotną potrzebą: kiedy wreszcie pisanie jest i daleko powszechniejszem i niezmiernie ułatwionem tymi zasobami wyobraźni, uczucia, pomysłów, nawet form i zwrotów gotowych, jakich nam dostarcza własne i obce piśmiennictwo, w naszych czasach kobieta pisząca nikogo dziwić nie może. W owej epoce byłaby mniej dziwną jeszcze jaka światowa dama, któraby się chwyciła była pisania romansów, jak panna Scudéry, lub pozazdrościła laurów pani Sévigné. Ale w tej Polsce sejmikującej, biesiadującej, i modlącej się, obojętnej dla literatury, poezyi i sztuki, naprzemian popuszczającej pasa i recytującej godzinki, kobieta autorka, poetka, i to jeszcze jaka kobieta, prosta szlachcianka o domowem wychowaniu i życiu, która młodość pędzi spokojnie na wsi przy swojem domowem gospodarstwie, a starość na dewocyi w klasztorze, i przytem pisze, pisze bardzo wiele, jest rzeczywiście zadziwiająca; a jak w swoim czasie wywoływała wielką ciekawość, tak i dziś budzi zajęcie. Radzibyśmy docieć, co jej pióro w rękę wetknęło, dlaczego pisała, chcielibyśmy poznać i tę postać dokładnie, w nadziei, że znajdziemy wytłómaczenie jej samej, i może jaki rys nowy do poznania tego społeczeństwa, w którem żyła.

Na pozór łatwo tę zagadkę rozwiązać. Po cóż pytać, dlaczego ktoś pisze? Pisze, bo go coś prze do pisania; pisze, bo ma talent, ma twórczość, która się nie daje zagrzebać i ukryć pod korcem, ale sama z siebie jakiemś przyrodzonem prawem swojej natury na wierzch wypłynąć musi. Otóż gdyby istotnie talent

potężny, gdyby bujna wyobraźnia, gdyby uczucie silne i spotęgowane wpływem wrażeń i wypadków, zagadka byłaby rozwiązaną. Ale tego właśnie niema. Jużciż Drużbacka talent jakiś mieć musiała, skoro tak z własnego popędu wzięła się do pisania; łatwość miała widoczną i wielką. Ale talentu w wyższem znaczeniu tego słowa nie miała; twórczą, oryginalną w swoich pomysłach nie jest wcale. Wyobraźnia jej ociężała, martwa, bezwładna. Uczucie? Zdawałoby się, że jako kobieta powinna była pisać właśnie przeważnie pod wpływem uczucia; tymczasem, i to właśnie najdziwniejsze, o wszystko u niej łatwiej, niż o to. Znajdzie się nieraz trafna i rozsądna myśl, niekiedy coś, co zakrawa na wdzięk i humor, ale nie znajdzie się ani jeden wiersz rzewny, nic czułego, nic miękkiego i delikatnego. Cóż więc dawało jej popęd do pisania? Co było tłem jej duszy i powodem jej pisarskiego zawodu? Zagadka zostaje zagadką.

Pisma jej nie rozwiążą. Szukając w nich odpowiedzi, znajduje się tylko same odpowiedzi przeczące; nie ma wyższego talentu, nie ma wyobraźni, ani uczucia, nie ma nadewszystko z góry powziętego zamiaru, sztucznej chętki pisania, pretensyi. Stoi się więc przed nią jak przed jakim Sfinksem; Sfinksem poczciwym, dobrodusznym, sympatycznym, ale którego żadnym sposobem odgadnąć nie można.

Nie mogąc zdać sobie należycie sprawy z pierwiastków jej natury i przyczyn jej pisarskiego zawodu, chciałoby się przynajmniej złożyć jaki taki obraz jej fizyognomii zewnętrznej. I to trudno. Jej życie, o ile znane, nie przedstawia nic uderzającego; nic tam nie wystaje, jedno nad drugiem nie góruje. W pismach o sobie mówi bardzo mało; a raczej, mówi o sobie naiwnie, nie unika wcale słowa *ja*, ale się w nich nie odbija. Właściwe jej znamiona, o ile je zebrać można, są te: Jest naprzód bardzo pobożna, wierząca, nieprzyjaciółka żydów i heretyków; ale nie jest tak ciasna, jak

było podówczas jeszcze wielu ludzi w jej położeniu. Nie wierzy w czarownice; winszuje biskupowi Załuskiemu, że nakazał wielką surowość i ostrożność w egzorcyzmach, mówiąc, że bardzo często księża egzorcyzmują ludzi chorych lub pijanych. Dalej jest bardzo rozsądna i trzeźwa, sądzi trafnie; mogłaby być satyryczką, gdyby miała dowcip, ale dowcipu wcale. Usposobienie zdaje się mieć pogodne i wesołe. Lubi nauki moralne, co chwila wpada w dygresye i rąbie prawdę każdemu, kto jej się nawinie; ale w tych kazaniach nie znać goryczy, ani złości. Prawda, że nie znać także przejęcia, ani powagi; najczęściej ton poufały, rubaszny, ton przypominający niekiedy kapucyna z pierwszej części Wallensteina lub ówczesnych polskich kwestarzy. Obok tego prosta i skromna. Ze wszystkich stron sypią jej pochwały i palą kadzidła, największe figury owego czasu zasypują ją listami i wierszami, ona dziękuje, ale przyjmuje to z ujmującą prostotą; chluby nie szuka, pokory nie udaje. Co dziwne, to, że się nigdy nie rozczula. Łaje, gromi, chwali, cieszy się, ale wszystko zimno; jak gdyby z urzędu; jak nauczycielka pełniąca obowiązek. Jeżeli się gdzieniegdzie ożywi i wpadnie w coś, co zakrawa na zapał, to chyba pod wpływem jakiegoś milszego i słodszego uczucia. Nie podchlebia nigdy; jej kadzą, ona nikomu. W stosunkach z największemi figurami nie jest uniżoną. Szanuje, chwali, jest wdzięczna, kiedy od kogo co dobrego doświadczy, ale nie przesadza nigdy, nie wpada ani razu w ton panegiryczny. Słowem, natura szczera i prawdziwa przedewszystkiem, z przymiotami rozsądku i pewnej jędrności.

Może ta szczerość właśnie jest powodem tego, co ją jako pisarza od innych odróżnia. Oto, nie jest nigdy napuszona, jest naturalna, i ten przymiot daje jej prawo do osobnego stanowiska między ówczesnymi pisarzami; kto wie nawet, czy, sama o tem nie wiedząc i nie marząc, nie dała początku nowemu i lepszemu

zwrotowi, czy nie za jej to przykładem wrócili inni do tonu prostszego i naturalniejszego. Nie można jej stawiać za wzór dobrego smaku i stylu, a o teoryi, o sztuce nie może przy niej być mowy; ale to pewna, że nie ma ona tych wad, które szpecą ówczesną literaturę. Domyślać się można, że uratowało ją od nich to, że była kobietą, że jej smaku nie wykrzywiono w szkołach, że bez pretensyi pisząc, jak umiała i nie marząc o stanowisku literackiem i sławie autorskiej, nie starała się podobać i nie wchodziła w kompromis z panującym smakiem. Została więc szczęśliwie sobą samą; a ta prostota i prawda daje jej stanowczą wyższość nad współczesnymi braćmi w Apollinie. Nawet odbija od nich korzystnie pod względem formy. Jej język nie jest pięknym, ale jest czystym. Wprawdzie nie jest jego panią, nie umie wydobyć z niego efektu, często trudno jej znaleźć rym dobry, czasem się sztukuje spolszczonemi włoskiemi lub francuskiemi słowami, które brzmią bardzo niezgrabnie, ale wszystko razem wziąwszy, pisze i wierszuje i nierównie lepiej, niż Jabłonowski naprzykład, lub niż jej protektor i wydawca dzieł, uczony biskup Załuski.

Z tych powodów nie godzi się jej lekceważyć, jak znowu z drugiej strony nie należy przeceniać. Sława jej u współczesnych była niezawodnie przesadzoną. Dziesiątą Muzą jak ją nazywa Załuski, nie była ona nigdy; nie była żadną Muzą, nie była poetą, ani nawet dobrym pisarzem, najmniej ze wszystkiego artystką. Jednak reputacya jej utrzymuje się do dziś dnia. Przypisać to można po części temu, że ta pierwsza i długo jedyna w Polsce pisząca kobieta, zwraca zawsze uwagę; a po części temu, że przykro jest przyznać, że się w jakiejś epoce nie miało prawdziwie znakomitych talentów, więc ogłasza się za znakomite te, które się miało. Ztąd owe utarte zdania, przyznające Drużbackiej bądź to talent opisowy i żywe uczucie natury, bądź dowcip i talent satyryczny, bądź wreszcie uczucie re-

ligijne albo dar opowiadania. Jakie są naprawdę te przyznawane jej rodzaje talentu? Zmysł satyryczny objawia się po największej części naganą trafną, rozsądną, ale bez dowcipu, rubaszną; uczucie religijne częstem cytowaniem katechizmu, częstemi naukami moralnemi, wreszcie oburzeniem na ateistów lub heretyków, ale wierność i pobożność nie jest jeszcze talentem. Wreszcie ten dar opisywania, to uczucie natury, które jej przypisują, kończy się na opowiadaniu o wiośnie lub jesieni, ale nie zdobywa się nigdy na obraz jednej ani drugiej.

Pisma jej dzielą się na cztery grupy; poematy religijne (Dawid, Marya Magdalena, Marya Eg., Dusza i Śmierć), dwie powieści świeckie — historya księżnej *Eufraty* i księcia *Adolfa*—poematy opisowe (Cztery pory roku i Cztery Elementy), wreszcie mniejsze wiersze okolicznościowe, z charakterem przeważnie satyrycznym.

Eufrata, księżna Elefantyny, owdowiała w rok po ślubie i już po śmierci męża powiła córkę, Astellę. Srogi tyran Kornut zabiera jej to dziecko, a samej grozi mękami, jeżeli nie złoży ofiar bożkom pogańskim. Dlatego historya nazywa się chrześcijańską. Na szczęście cnotliwy Moroxyt potrafił jakoś wykraść i matkę z więzienia i dziecko od tyrana i ukrył obie w bezpiecznem miejscu na odludnej wyspie. Zły Kornut umarł wkrótce, a po nim nastąpił jego syn dobry Roxol. Ten posłał zaraz po Eufratę, przywrócił ją do wszystkich praw i honorów, i zapowiedział, że będzie prosił o rękę Astelli, jak tylko ona dorośnie. Tymczasem ożenił Moroxyta ze swoją krewną Tespiną. I ci mieli córkę, ale w jakieś podróży wpadli w ręce korsarzy. Sami się jakoś uratowali, ale córka przepadła. Aż dopiero po wielu latach przypadkiem znalazł ją u rybaków młody hrabia Ryxydor, i ożenił się z nią, a Roxol z Astellą, ale pod tym koniecznym warunkiem, żeby Eufrata przy nich do śmierci mieszkała.

Jest to największy ze świeckich poematów Drużbackiej, naśladowanie tych rycersko-romansowych poematów, których pochodzenie odnieść trzeba do Ariosta; ależ jak następcom do niego daleko! Orlanda każdy będzie czytał, każdy się zainteresuje do tych przygód i ludzi; a kto nie zmuszony przeczyta Argenidę Barclaya? Eufrata zaś tak się ma do Argenidy jak ta do Orlanda.

Więcej inwencyi i zajęcia jest już w historyi księcia Adolfa, która opowiedziana dzieciom zajęłaby ich uwagę; która kwalifikuje się przynajmniej na taką powiastkę jak *Contes de Perraud*. Treść: „Zabłądził Adolf na polowaniu, zaszedł do jaskini wiatrów, przyjęty przez ich matkę. Opowiada mu Zefir o wyspie Fortuny i podróżują razem na płaszczu niewidzialności, przez który Adolf dostaje się do pałacu w koszu kwiatów. Oburzenie Fortuny, wreszcie ślub. Zapytanie Fortuny: ile lat u niej Adolf bawi? Pokazuje się, że trzysta. Adolf chce wrócić do swego kraju; w drodze Czas użył na niego podstępu i zabił. Zefir odnosi ciało do Bogini, która zapowiada, że odtąd już nikt nie będzie szczęśliwym".

Poematy treści religijnej, Marya Egipcyanka, Marya Magdalena i Dawid, nie mają ani źdźbła religijnego natchnienia, ani nawet powagi. Drużbacka była bardzo pobożna, znać to, modlić się musiała z uczuciem i przejęciem, ale pisała bez jednego i drugiego.

Dawid Drużbackiej obfituje w pobożne rady i zdrowe nauki, ale z pewnością nie przemówi nikomu do uczucia ani do wyobraźni. Co myśleć o jej zdolności poetyckiej i jej artystycznem uczuciu, jeżeli w poemacie, który wymaga poważnego tonu, i który ona poważnym mieć chciała, Ojciec Przedwieczny w ten sposób gromi Dawida i zapowiada mu śmierć pierwotnego syna z Bethsabei:

Dlatego że tak wiele Dawid dał zgorszenia....
Że go upodobano w pierworodnym synu
Z Bethsabe zrodzonym, już go śmierć z terminu
Nie spuści. [illegible] musi: [illegible] za płotem
[illegible] rodzą się pomiotem.

ale Dawid w [illegible] Saulowem tkwi kolącym głogiem.
Dawid Saula w pasztecie i w smacznym rosole
Nawet w miękkiej poduszce gniecie, bodzie, kole....

Rubaszność ma swoje prawa i swoje miejsce w poezyi, ale rubaszność źle użyta, w niewłaściwem miejscu i w niewłaściwych ustach, rubaszność nie z potrzeby, ale z niedołężności poety, który nic lepszego wymyślić nie umiał, razi okropnie. U Drużbackiej zaś o nic łatwiej jak o to. Częścią z usposobienia, a częścią z niewprawy i nieudolności wpada w nią co chwila, i wyznać trzeba, że ta rubaszność jest jedyną u niej stroną oryginalną. Zdaje się, że jeżeli do czego byłaby miała talent, to do satyry, ma po temu dwa przymioty, jest bardzo rozsądna i zawołana werydyczka. Rąbie, co jej przyjdzie do głowy, nic w bawełnę nie obwija. Dowcipu nie ma, ale ma pewien humor rubaszny i prostacki, sobie właściwy, który przypomina czasem Reya, a czasem, choć w gorszym rodzaju, sławny *polski* dowcip kasztelanowej Kamińskiej. Nie wiem, czy nie najlepszy ze wszystkiego, co napisała, jest ustęp o zaniedbaniu kościołów (w Dawidzie).

Cztery pory roku i *Cztery Elementa* stanowią osobną grupę pomiędzy jej poematami, i do dziś dnia zachowały pewną sławę. Autorka jest dziś prawie nieznana, jednak wiemy wszyscy tradycyjnie o *Opisie Żniw*, który uchodził za arcydzieło Drużbackiej. Czy jest to opis? Jest to obraz? Jest to talent? Słabsze jeszcze są *Elementa*, których treść zamyka się w wyliczeniu dobrych i złych własności każdego.

Gdyby forma nie była Drużbackiej stawiała tyle trudności, gdyby miała w swej mocy język i wiersz

być może, że ze swoją łatwością i powołaniem do pisania, byłaby w sobie rozwinęła talent. Tak jak jest, nie można o niej powiedzieć nic innego, jak że nic dobrego, nic ładnego nie napisała. Kierunkiem myśli, smakiem, konceptami, należy ona zupełnie do epoki Jezuickiej; polszczyznę ma czystą, bo żadnego obcego języka nie umiała, więc jej zepsuć nie mogła. Poetą nie jest, nie jest nawet pisarzem, artystką najmniej ze wszystkiego. Jest ciekawą w swoim rodzaju figurą, której żywot lub korespondencya byłyby ciekawsze, która trafnie uchwyconą fizyognomią mogłaby doskonale wyglądać w jakiej powieści. Ale popęd do poezyi, zamiłowanie jej, odradza się widocznie, bo Drużbacka nie jest sama.

Wacław Rzewuski, Hetman Brodaty, zanim był Brodatym, zanim był hetmanem zapewne, rwał się już do pióra, i pisywał wiersze może od młodości. Na starość, w Kałudze, parafrazował już tylko psalmy pokutne; ale dawniej, w szczęśliwszych czasach, bawił się świecką poezyą. Kto wie, czy jego tragedye i komedye nie grywały się na tym domowym teatrze w Podhorcach, którego dekoracye przetrwały i hetmana poetę i jego prawnuków, i przechowały się w całości do naszych czasów. Ile domyślać się można, musiał hetman mieć żyłkę literacką, chciał widzieć się drukowanym: a z drugiej strony sądził może, że jego powadze nie przystoi lekkiemi rzeczami się bawić, a zwłaszcza narażać się na ostre pazury Zoila, bo drukuje płody swojej Muzy w pobliskiej drukarni Poczajowskiego klasztoru, ale drukuje je nie pod własnem, tylko pod syna Józefa imieniem. Młodemu uchodziło to, co u starego mogłoby wydać się błahością.

Hetman nie jest bez talentu, i jest ciekawy. Oznacza lepiej od innych dyletantów i wielkich panów budzący się w owym czasie pociąg do sceny i dramatu; oznacza dalej wzrost francuskiego wpływu i smaku. Jest pierwszym podobno u nas jego teoretykiem, pier-

wszym „w tej armii grenadyerem", której strażą tylną będzie kiedyś Osiński.

Jego Zabawki Krasomowskie, które możnaby nazwać teoryą stylu, nie mają wartości dlatego, że są receptą na styl i formę. Recepta taka nie da się ani ułożyć, ani zachować. Podług niego nauka krasomówska dzieli się na cztery części, które są: 1. Piękność myśli. 2. Wybór słów. 3. Przystojne słów ułożenie. 4. Roztropne myśli ułożenie. Mówiąc o *piękności myśli*, rozróżnia trafnie piękności prawdziwe i obłudne, a do tych ostatnich zalicza wszystko, co przesadne, nienaturalne; napuszyste; „sposób mówienia i pisania nadęty, nieprzyrodzony, nudny, uszy obrażający, który, chwała Bogu, już teraz wyszedł ze zwyczaju". Część nauki krasomówskiej o piękności myśli, możnaby nazwać nie o piękności myśli, ale o używaniu figur, a i wtedy jeszcze nie byłaby szczególna. Przy *wyborze słów* uczy, że mowy sejmowe potrzebują słów poważnych, „wojskowe żywych, pogrzebowe żałobnych i *okropnych*". Oprócz tego, że słowa powinny być przyzwoite wiekowi i stanowi osób, które mówią lub o których się mówi, i tym podobne błahostki. *Roztropne słów ułożenie* polega znowu na tem między innemi, żeby ostatnie słowo okresu nie miało nigdy mniej jak dwie, a nigdy więcej jak pięć zgłosek. *Roztropne ułożenie myśli* jest to znany porządek Cicerona, Exordium i t. d.

Nierównie lepiej uprzedza o autorze krótki poemacik o Nauce Wierszopiskiej. Kto wie, czy nie jeden z najmilszych i najbardziej udatnych utworów tej jałowej epoki Ośmiowierszowe strofy idą jedna za drugą śmiało, łatwo, swobodnie, wiersz nigdzie nie kuleje, rym prawie nigdzie nie naciągany i nigdzie zbyt łatwy; słowem, forma wcale niezła, a ton swobodny, wesoły, wcale nie pedantyczny. Jest w tem jaki śwdzięk, dobrego humoru i pogodnego umysłu, choć, naturalnie niema wyższego natchnienia; a czasem trafi się i pomysł wcale oryginalny, któremu brak tylko cokolwiek

rozwinięcia, żeby się wydał prawdziwie poetycznym. Jest to oczywiście naśladowanie Horacego i Boileau, ale naśladowanie szczęśliwe, naśladowanie człowieka, który umiał obchodzić się z językiem i wierszem i właściwy ton utrafić. Reguły i pojęcia estetyczne, przejęte oczywiście od Boileau (trzy jedności, pięć aktów i t. d.), ale jest i zadziwiająca na ów czas restrykcya na korzyść Szekspira. Pierwszy to raz w naszej literaturze spotyka się jakąś o nim wiadomość i wzmiankę.

Słowem, od współczesnych poetów, nawet od Drużbackiej, różnica i postęp znaczny w języku i w wierszu. Forma staje się giętszą, szlachetniejszą, a naśladownictwo wzorów francuskich choć złe, było względnym postępem w stosunku do tego, co było przedtem.

Ale łatwiej pisać reguły, niż pisać podług reguł. Rzewuski jest tego przykładem. Napisał dwie tragedye, w których ściśle trzymał się przepisów: jedność miejsca, czasu, akcyi, wszystko jest, i aktów pięć, i osób nigdy więcej jak trzy na scenie, słowem wszystkie prawa zachowane, tylko dramatu niema. Co jest, to Aleksandryn wcale już poważny, płynny, majestatyczny, tak, że czytając Żółkiewskiego, możnaby myśleć, że się czyta jaki mniej wypracowany i efektowy ustęp z Barbary Felińskiego. Naprzykład: pierwsza tyrada Żółkiewskiego i Koniecpolskiego, albo opowiadanie Tomży w piątym akcie; ale dramatu niema. W historyi Żółkiewskiego nie brak żywiołu dramatycznego gdyby ktoś umiał wystawić ambicyę i zazdrość, jak gubią sprawy i bohaterów; ale Rzewuski inną wynalazł sprężynę, miłość. W obozie polskim są dwie córki wojewody Gracyana: Prakseda, zaręczona z Polakiem Złotopolskim, i zakochana w nim Salomea. Ta, gdy nie może zwyciężyć w jego sercu, przysięga zemstę i podmawia Tomżę (obiecując mu wzajemność), żeby w bitwie zdradził. Tak się też dzieje, i tragiczna katastrofa Cecorska jest skutkiem zemsty jednej Mołdawki, zakochanej w oficerze.

Konwencyonalność ówczesnej tragedyi francuskiej podniesiona tu do najwyższej potęgi. I tak: Żółkiewski przeprasza Złotopolskiego, że mu przerwał rozmowę z Praksedą; Prakseda protestuje, że się kocha w cnotach Złotopolskiego, nie w jego piękności, wreszcie, jak przystało na dobrze wychowaną pannę, idzie do klasztoru. Pełno naiwnych zwietrzałych dziś frazesów, laurów zwycięskich, miłosnych męczarni i t. d. Układ i ton Racina bez jego zalet. Wszystko razem wziąwszy, nie dramat tylko dyalog, dość nawet nudny, ale poprawnym wierszem i językiem napisany.

W formie więcej zaniedbany, a w dramatyczność jeszcze uboższy jest *Władysław pod Warną*. Co tu już dramatycznego? Epopeja byćby mogła, tragedya nigdy. Przez trzy akty namyśla się Władysław sam lub z innymi, czy ma wydać bitwę, w czwartym ją stacza, w piątym opowiada Korwin (jak Theramen) o jego śmierci. „Dla ułagodzenia przerażającej żalem tragedyi, przytoczyłem czystą miłość Emilianny z Władysławem i skłonność serca Faustyny do Zawiszy". Emilianna i Faustyna są to córki despoty Rascyi; w polskim obozie, bo wymaga tego jedność miejsca. Zawisza oświadcza się Emiliannie w sposób bardzo pompatyczny, a cna, wzór panny dobrze wychowanej, odpowiada, że go poważa, ale nie może mu nic odpowiedzieć bez ojca: Idź Pan do Papy. Za chwilę z takiem samem oświadczeniem przychodzi król, i dostaje tę samą odpowiedź. Ojciec radzi pannie iść za króla, a co więcej, pokazuje się, że panna sama na zabój w nim zakochana. Tylko wstyd nie pozwala jej wyznać tego przed ślubem. Odprawiony Zawisza sroży się, ale gdy mu Faustyna powiada, że go kocha, pociesza się i biecuje, że jeżeli wróci z bitwy, złoży u jej stóp swoje laury. Niestety, nie wraca, poległ obok króla.

W budowie pełno naiwności i niewprawy. Co moment monolog przygotowany nieodmiennie tym wierszem powiedzianym do interlokutora: „Teraz wyjdź, ja

się z memi zabawię myślami" (albo łzami). To znaczy, że muszę koniecznie powiedzieć monolog, a ty się domyśl i wynoś się. Środek dość pierwotny, ale nigdy nie chybia, bo druga osoba zawsze na to dyskretnie i posłusznie wychodzi.

O wiele jeszcze słabsze od tych tragedyj są dwie komedye: *Dziwak* i *Natręt*. *Dziwak*, najnieszczęśliwsza reminiscencya Mizantropa, jest niby Dziwakiem dlatego, że mówi prawdę bez ogródki. Mówi ją tylko raz, i to w sposób wcale nie szorstki, to jest pannie, o którą ojciec każe mu się starać, powiada, że jest bardzo ładna, ale że jej piękność, jak każda inna, ma swoje wady. W czem tu dziwactwo? Ojciec się gniewa, panna się martwi; każą mu się poprawić z tak nieznośnego defektu, on obiecuje poprawę i wszystko kończy się naturalnie małżeństwem.

Natręt jest to niemiły konkurent, który ciągle do domu powraca, choć go nie chcą. Ale czemuż mu tego raz wyraźnie nie powiedzą? W jednej, jak w drugiej komedyi te same figury, raczej lalki bez fizyognomii, charakteru i życia; w jednej i w drugiej ani zawikłania, ani rozwikłania, ani dowcipu, ani komiki. Bohaterowie, bohaterki, służący i subretki z obu komedyi nie różnią się od siebie niczem tylko imionami. Bo tu i tam jest niby frant służący i niby dowcipna służąca, którzy (jak u Moliera) prowadzą tę niby intrygę, a potem się żenią; ale jakżeż ciężcy i nie zabawni! Jeżeli w tragedyach jest przynajmniej wiersz pompatyczny miejscami, który na chwilę może złudzić, to w komedyach niema ani pozoru dowcipu, wesołości lub talentu.

Pisarz, który w porównaniu z poprzednikami oznacza już postęp, a przynajmniej dążenie do postępu, i stoi już na tej drodze (mylnej ale nieuniknionej), na której później znajdzie się Krasicki i cała poezya Stanisławowska.

Równocześnie mniej więcej z Rzewuskim, cokolwiek od niego wcześniej, piszą i grywają w Nieświeżu na dworskim teatrze, komedye, pisane już pod wpływem Moliera, jeszcze pod wpływem dawnych moralno-rycerskich powieści i romansów. Autorką ich była Franciszka Urszula z Wiśniowieckich Radziwiłłowa, wojewodzina wileńska, hetmanowa w. litewska. Jak trudno o szumniejsze nazwisko i tytuł, tak trudno o słabsze sztuki. Są tam rozmaite, są dramaty, komedye, pastorelle; ale dostojna autorka nie umiała nawet rozłożyć swego przedmiotu na akty i sceny. Przyznają jej niektórzy słusznie, że miała pewną łatwość wiersza, i że tłómaczenia udawały jej się nieźle, przełożyła n. p. *le Medecin malgré lui* z Moliera. Szkoda, że się nie ograniczyła na przekładach, bo własna inwencya nigdy jej nie dopisała. Jej dramaty poważne przypominają treścią i zawikłaniami powieści poetyczne Drużbackiej, Eufratę naprzykład i jej podobne smutne ostatnie echa poematów rycersko-awanturniczych jak Argenida, a dramatami są tak, jak Historya Eufraty jest epopeją. Komedye i pastorelle nie są szczęśliwsze. W jednej naprzykład jest trzynaście córek jednego pasterza; każda ma swojego kochanka, i wszystkie te pary wychodzą po kolei na scenę prawić sobie te same mniej więcej oświadczenia. To daje miarę, jak naiwne miała pojęcia o układzie sztuki. Komedye Rzewuskiego, choć same tak słabe, są w porównaniu do niej już jakimkolwiek postępem: on naśladuje bardzo niezręcznie, ale przynajmniej ma już poczucie tego, co naśladować trzeba, i jego Dziwak albo Natręt ma przynajmniej zewnętrzny zarys i pozór komedyi, kiedy Radziwiłłowa swoim komedyom nawet tego dać nie umie.

W wierszach urywkowych, których znalazła się w rękopisach liczba dość duża, zwłaszcza do męża, widocznie bardzo czule kochanego, okazuje księżna wojewodzina więcej talentu, niż w swoich dramatycznych zapędach.

Wszyscy, których widzieliśmy od początku XVIII wieku, byli to pisarze występujący sporadycznie, przypadkowo, piszący bądź to z wewnętrznego popędu, z którego sobie może sprawy nie zdawali, bądź w jakimś bezpośrednim, dobrze wiadomym celu. Teraz wypadnie nam spotkać się z takimi, którzy piszą dlatego, żeby pisać; nie żeby ich zmuszało do tego nieprzełamane prawo talentu, chcącego się na wierzch wydobyć, ale że zamiłowanie literatury rodzi w nich chęć do pisania. To co czytają tak im się podoba, że nie mogą oprzeć się pokusie, muszą spróbować, co też sami na tem polu dokazać potrafią. Po raz pierwszy od istnienia literatury piśmiennej, pojawiają się u nas literaci. Ludzie, których nie rodzimy talent i twórczość prą do pisania, ale zamiar, upodobanie, zamiłowanie w literaturze; zamiar i teorya pisania, poprzedzają pisanie i piśmiennictwo. Tworzą się kółka ludzi, których głównem zajęciem jest literatura, którzy pisząc, oglądają się wzajemnie na swój sąd, którzy nie napiszą nic, żeby przedtem i potem z sobą się nie naradzili, dla których pierwszem pytaniem przy pisaniu jest słowo *Jak*. Wyrabia się, a raczej przejmuje od obcych cała teorya reguł i prawideł, a wszystko, co się pisze, do niej się odnosi, stosuje i przymierza. Ludzie ci pracują w związku i porozumieniu; sądzą się, chwalą, piszą sobie przedmowy i krytyki, oceniają i wydają swoje dzieła, słowem, powstaje po raz pierwszy łączność i związek pomiędzy piszącymi, powstaje literacki zawód, a następnie i literackie bractwo, powstaje wzajemne oddziaływanie literatury na krytykę i krytyki na literaturę. Gdzie się co zjawi, gdzie się co napisze, już czyhają na to literaci, chwytają, drukują, sądzą, chwalą. Z luźnego, sporadycznego i przypadkowego dotąd piśmiennictwa, zaczyna się teraz wyrabiać piśmiennictwo oparte na teoryi, i ujęte w pewną organizacyę. Ta organizacya literatury, która się później rozwinęła w Towarzystwo Przyjaciół Nauk, zjawia się po raz pierwszy

w słabym zarodzie około połowy XVIII wieku. Wtedy po raz pierwszy spotykamy ludzi, dla których literatura staje się zawodem, umiejętnością, celem życia.

Przypuszczać trzeba, że tem co wprawiło w ruch te umysły i tę dążność literacką, było poczucie trafne i szanowne: poczucie, że należy zabezpieczyć literaturę od grożącego jej niebezpieczeństwa, upadku, a po części nawet od zatraty materyalnej. Od półtrzecia wieku pisano w Polsce, napisano rzeczy wiele, a między temi rzeczy nieśmiertelnej wartości, a nikt się nie czuł do obowiązku, żeby zrobić inwentarz tej narodowej własności. Książki wychodziły, obiegały Polskę, ginęły, a nikt się o to nie troszczył. Ztąd mnóstwo rzeczy wyszło z pamięci, mnóstwo innych zaginęło bez śladu; jeszcze inne były tak rzadkie, że ich istnienie i znajomość zależały od istnienia kilku egzemplarzy. A jednak te książki były wielkiem pamiętnikiem narodu, w którym on co dnia zapisywał swoje dzieje i wrażenia, w którym zostawił wierny wizerunek siebie i swoich przemian, trzeba było koniecznie zebrać tę całość razem, sporządzić jej inwentarz, i nadal prowadzić go porządnie, żeby się na przyszłość od szkód ubezpieczyć.

Myśl ta miała w sobie nasiona prawdy, skoro z niej wyniknęły wielkie rzeczy, skoro w ciągu jednego ludzkiego życia, poświęceniem dwóch ludzi i pracą kilku, złożyła bibliotekę Załuskich. Z tej myśli także wyszła praca druga, pokrewna zbieraniu ksiąg, to jest spisywanie ich i zbieranie o nich wiadomości, cała ta ogromna praca bibliograficzna, której dokonał Załuski z Janockim i Mitzlerem, a do której pomagał Minasowicz; wreszcie z tej samej myśli wyszło to skrzętne wyszukiwanie dzieł, to skwapliwe wydawnictwo, które oni prowadzili. Co znajdą, czy to rzecz dawniejszą, czy współczesną, czy mniej czy więcej ogłoszenia godną, zaraz ją wydają. Wydają niektóre dzieła Jabłonowskiego, pod ich opieką i powagą wychodzą poezye Drużbackiej, szukają nawet i drukują drobne wier-

szyki ludzi, którzy się bynajmniej za pisarzów nie mieli, słowem, poszukiwania na wielką skalę, nic ich oka nie ujdzie, wszystko odkryją, złapią i wydrukują.

Już w tym zapale bibliograficznym znać żyłkę literacką, ale nie poprzestali oni na wydaniu książek. W swoich przedmowach i dedykacyach sądzili je nadto, i są to pierwsze wyraźne ślady literackiej krytyki Wreszcie nie dość im było sądzić, ale zapragnęli praktycznie stosować swoje pojęcia i prawidła, pisali sami. Ta czynność bibliograficzna i wydawnicza z jednej strony, a z drugiej już cokolwiek krytyczna, dołączona do istotnego zamiłowania piśmiennictwa, czynność wspólna i łączna, wydaje pierwsze u nas grono literatów z profesyi.

Na jakich zasadach sformował się ten pierwszy zawiązek organizacyi literackiej? Jakie było wyznanie wiary pierwszych literatów? Oczywiście francuskie. Inaczej być nie mogło. Przyczyny ogólno-historyczne i szczególnie polskie zbyt są znane, żeby je trzeba powtarzać. Uniwersalne panowanie literatury francuskiej, dawny nałóg szukania tam wzorów, wreszcie ciągłe stosunki z Francyą przez Leszczyńskiego, tłómaczą dostatecznie naszych pierwszych literatów z profesyi, że swoje sądy i swoje utwory stosują do francuskiego smaku. Spotykamy też u nich pojęcia o trzech jednościach i tym podobnych warunkach doskonałości, ale wszystko dopiero w zarodzie, w zawiązku: w walce z dawnym smakiem jezuickim i jego nałogami. Sąd ich nie jest nigdy krytyką, choćby tylko krytyką z kodeksem Boileau w ręku, są to dopiero przeczucia potrzeby smaku i sądu, ale nie jest jeszcze ani jeden ani drugi.

Środkiem, z którego się ruch ten rozchodzi, a zarazem pierwszym w Polsce literatem w całem znaczeniu słowa, jest biskup Załuski. Zasługi jego około literatury ojczystej są ogromne; poświęcenie takie, że trzeba przed nim uchylić czoła. Musiała tam być żelazna

wola, i wielka miłość rzeczy ojczystych, kiedy ten jeden człowiek zdołał zebrać całą trzechwiekową literaturę rozproszoną, rozbitą, zapomnianą, kiedy potrafił dowiedzieć się o wszystkiem, wszystko wyszukać, wyśledzić, skonsygnować. Jakie łączyło się z tem zapomnienie siebie, jakie wyłączne oddanie ukochanej myśli, to wiadomo. Ten wielki pan, ten senator i książę Kościoła, odmawiał sobie najprostszych potrzeb życia, a zbierał, skupował, zgromadzał książki w arkę, która je miała od zatraty uchronić. Cokolwiek potem stało się z tą arką, zawsze korzyść była ogromna, bo przez tę bibliotekę i przez jego bibliograficzne prace, pierwszy raz dowiedział się naród co stanowi jego literaturę, co do niej należy. Ruch poszukiwań, badań, ocenień, któremu on nadał popęd, działalność Janockiego, Mitzlera i innych pomocników, stał się początkiem i podstawą wszystkich późniejszych prac w tym kierunku, i podstawą całej wiedzy, do jakiej doszliśmy w tym przedmiocie. Ten to ruch także wprowadził Polskę w ściślejsze, a od tak dawna zaniedbane stosunki umysłowe i literackie z zagranicą, i o Polsce obcym dał wiadomości.

Ale, schylając czoło przed tą wielką zasługą i poświęceniem, szanując uczonego, Polaka, patryotę, gorliwego i poważnego kapłana, tu gdzie mówimy o poetach tylko i poezyi, trzeba powiedzieć, że w tym człowieku obok tylu wielkich zalet, były dziwne słabości, były dziwactwa i śmieszności.

Słabością tą była właśnie poezya; wielki patryota jest dziwacznym pisarzem: pierwszy i największy nasz bibliograf jest, przykro to powiedzieć, nieledwie komicznym typem literata.

Niepohamowana chęć do pisania obok żadnego talentu; przekonanie, że przy nauce i znajomości wszystkiego, co było napisane, wszystko mu jest dostępnem, na wszystko może się zrywać; zarozumiała wiara w naukę, a brak twórczości; umysł zdolny wszystko wiedzieć

i zapamiętać, ale nie zdolny nic uszykować, ułożyć, przetworzyć; umysł suchy i pedantyczny, a pewny siebie; ciężki, sztywny, drewniany, a zrywający się do lotu; obładowany ogromnymi zasobami nauki, podżegany dyletantyzmem, a pozbawiony nie już fantazyi i twórczości, ale nawet tej najprostszej rutyny elegancyi i poprawności, którą można nabyć pracą; zapatrzony w pewne wzory, a tak pozbawiony twórczości, że nawet dobrze naśladować nie umie, że sobie nie potrafi przyswoić nawet zewnętrznych, najłatwiejszych do naśladowania zalet tego wzoru; umysł zaplątany jeszcze we wszystkie nałogi epoki panegirycznej i makaronicznej, a obok tego zajęty sobą, lubiący mówić o sobie, swoich, ich dostojeństwach, koligacyach i pochodzeniu, taki jest ten pierwszy polski literat z profesyi.

Mnogość jego pism doprowadza do rozpaczy tego, kto musi wszystkie przeczytać. Są tam tłómaczenia i rzeczy oryginalne, poezye duchowne i świeckie, liryczne i satyryczne, psalmy i fraszki, oratorya i tragedye, brak tylko epopei. Wszystko to pisze się w podróży, a autor nigdy nie omieszka dodać w jakiej

Pomiędzy dramatami tłómaczonymi, jest Metastazyusza *Clemenza di Tito*, *Temistokles*, *Cato*, są Oratorya śpiewane w królewskiej kaplicy na Wielki Piątek i Wielką Sobotę, jako to *Peregrynanci u Grobu Chrystusa*, *Grób Chrystusa Pana*, *Męka Chrystusa Pana*, *Złożenie z Krzyża*; są inne świeckie kantaty; jest *Catilina*, jedna z najsłabszych tragedyj Voltaira, *Józef* uznany z francuskiego, są wreszcie tragedye świeckie i duchowne własnego wymysłu.

Do tych należy przerobiony z angielskiego i z francuskiego (zapewne z dwóch wzorów źle zlatany) *Edward III, o Miłości Dobra Pospolitego Tragedya*; jest *Tragedya o św. Kazimierzu* i *Witenes, albo Tragedya o Pomście Bożej nad Zelżycielem Najświętszego Sakramentu, Witenesem, Wielkim Księciem Litewskim.*

Takich karykatur francuskiego teatru, jak Dra-

maty Załuskiego, nie wykaże żaden naród na świecie. Edward III jest z nich najmniej złym, zapewne dlatego, że nie wyszedł czysto z własnej fantazyi biskupa, ależ i on? Edward zawojował Szkocyę. Prawa dziedziczka tej korony, Alzonda, chcąc ją odzyskać, przybywa pod zmyślonem nazwiskiem na dwór Edwarda; ztąd prowadzi spiski, robi sobie partye w samej Anglii, już ma dać hasło do wybuchu i odjechać do Szkocyi, kiedy się pokazuje, że ją trzyma miłość do nieprzyjaciela.

Z drugiej strony, Worcester, kanclerz, radzi Edwardowi, że chcąc przywrócić pokój i tron szkocki sobie zapewnić, powinien ożenić się z Alzondą. Edward na to wyznaje, że kocha inną, z którą chce tron swój podzielić, a tą jest córka Wercestera, Eugenia.

Na takie wyznanie kanclerz, rzymskiej cnoty, oświadcza, że nigdy nie zezwoli na tak niepolityczne małżeństwo. Córka, wychowana w tych samych uczuciach, choć kocha króla zapamiętale, odpycha jego oświadczenia i gotuje się do wyjazdu. Król rozgniewany, aresztuje kanclerza. Spiskowi szkoccy, chcąc kanclerza usunąć, oskarżają go o zdradę. Kanclerz skazany na śmierć. Eugenia błaga i prosi, ale na darmo: ma wybór, albo śmierć ojca, albo małżeństwo z Edwardem. Przez wzgląd na godność korony, wybiera śmierć ojca—w tem jej bohaterstwo i Tragedya o Miłości Dobra Pospolitego. Kanclerz ma zginąć, kiedy na szczęście znajduje się dobry przyjaciel, który odkrywa zdradę i wyjawia królowi spisek szkocki. Uwalnia ją kanclerza, więżą Alzondę. Ta, widząc, że wszystko stracone, wyznaje swoją miłość do króla, potem się przebija; ale przedtem jeszcze otruła Eugenię. Eugenia przychodzi na scenę, żeby królowi wyznać swoją miłość i skonać.

Tragedya o św. Kazimierzu? Czy można z tego młodzieniaszka, który ze szkolnej ławki poszedł między aniołów, zrobić bohatera tragedyi? Co w tem życiu tragicznego? Zobaczymy, jak Załuski na to poradzi.

Tragedya zaczyna się od tego, że św. Kazimierz zakazuje swoim dworzanom zabaw, kart i kostek w Wielki Tydzień. Dworzanie się oburzają i przypisują ten zakaz Długoszowi; majordom Pełka poprzysięga mu zemstę. W drugim akcie przychodzą posłowie węgierscy i zapraszają królewicza na tron. Wielka radość między dworzanami, obiecują sobie raj w Węgrzech — w tem Kazimierz po namyśle odmawia korony. Dworzanie rozgniewani układają sobie otruć Długosza. Na szczęście jeden z nich, *Junosza* (oczywiście antenat autora), podsłuchał i ostrzegł królewicza. Następują wymówki św. Kazimierza, po tych przebaczenie, wreszcie wszyscy razem śpiewają godzinki o Męce Pańskiej, a wśród tego jakaś machina podnosi św. Kazimierza w górę, otacza go jasność, aniołowie podają mu insygnia Męki Pańskiej.

Ale *Witenes*? Tego nawet dobrze opowiedzieć trudno, taka tam komplikacya zamiarów niejasnych i uczynków nieusprawiedliwionych.

Witenes wraca ze zwycięskiej wyprawy na Krzyżaków, prowadzi z sobą jeńców, z którymi się dobrze obchodzi, ale żąda przejścia na wiarę pogańską. Gdy tego nie chcą, oddaje ich do więzienia. Wnukowie jego odwiedzają tam więźniów, a przy tej sposobności poznają się z Pelusą, więźniem, który prosi choć o jeden dzień wolności. Witenes na prośby wnuków zezwala na to, a sam zapytuje kapłanów, coby mógł bogom przyjemnego uczynić. Kapłani, naradziwszy się i naśmiawszy z siebie i ze swoich bogów, jak dwaj augurowie, oświadczają, że król powinien znieważyć naczynia kościelne katolickie. Przy uczcie tedy, w obecności swego ludu i płaczących chrześcijan, pije Witenes z kielicha mszalnego, ale niebawem wpada w szał.

Tymczasem zdrajca Pelusa, w porozumieniu z w. mistrzem Henrykiem (Wallenrod na wspak), spiskuje na zgubę Litwy. Ostrzega Gedymina, że go ojciec chce zgładzić, a Witenesowi zmyśla to samo o synu.

Obadwa wierzą i chcą się ratować zabójstwem, jeden ojca, drugi syna.

Kapłani tymczasem chcą spalić na ofiarę bogom jednego z jeńców chrześcijańskich, ale im ręce i nogi trętwieją tak, że ich ująć nie mogą.

Pelusa namawia szpiega, który ma udać, że zabija Witenesa, a pojmany ma powiedzieć, że był najętym przez Gedymina. Gedymin, widząc, że go ojciec śledzi i strzeże, przekonany o spisku na swoje życie, postanawia ojca zabić. Druga uczta — Witenes bluźni i znieważa Najśw. Sakrament, i wpada w letarg. Gedymin już go ma zabijać, kiedy ten się budzi i rozkazuje zabić Gedymina; Gedymin ma ginąć, kiedy wpadają Krzyżacy, rozruch, bitwa, w zamieszaniu Gedymin zabija ojca.

Co za nieporządek, co za nieład, co za brak logiki i sensu, nie już talentu! A przecież to człowiek, co znał Andromachę i Cyda, tłómaczył Voltaira, powinien był mieć pojęcie o dramacie. Że ktoś mógł takie rzeczy pisać w wieku Lessinga, a choćby Voltaira, jest okropne — że je chwalono, jest gorzej, a Załuski drukuje wszystkie pochwały. Musiano jednak i ganić i wyśmiewać, bo ostro odgraża się na Zoila w epigramie Dirae na Durnia.

Mnóstwo poematów lirycznych, religijnych, częścią tłómaczonych, częścią własnych, całe nabożeństwo pokutne, dziesięć Elegij, parafraza Psalmów, wreszcie Rozmyślania pokutne pani La Valliére nad Psalmem 50; przerobione na wiersz francuski przez królewiczową Maryę Antoninę, a przez Załuskiego na wiersz polski przerobione. Godzinki, Litanie, Koronki, Pieśni, Ody, Sonety religijne.

Jako wzór niesmacznego konceptu przytoczyć trzeba „Pytania ciekawe y odpowiedzi mądre ze Starego Testamentu, czyli rozmowy królowej Saby z królem Salomonem". Jest to szereg zagadek na pobożnym smaku, najniedowcipniejszych w świecie. Liczą się one

na tysiące—każda chce być dowcipną, w każdej sadzi się autor na koncept. Królowa Saba zadaje zagadkę, mądry Salomon rozwiązuje. Jest wreszcie poemat dydaktyczno - moralny, tłómaczony z francuskiego prozą przez królewicza Ksawerego, a ułożony wierszem przez Załuskiego: „Instrukcya Generalna podana Ludwikowi XV przez Salomona najmędrszego z królów".

Wreszcie *Juvenilia*, zbiór anegdot, dykteryjek, fraszek, żartów, wierszy pochwalnych, nagrobków, kulawych sonetów, wierszy łacińskich, francuskich, włoskich, nawet niemieckich, płody słodkich wczasów autora, tak grube, rubaszne, źle opowiedziane, że się je rzuca z niesmakiem. Rubaszność jak Reya, ale rubaszność nie z naiwności, tylko z nieudolności.

Na ostatku godzi się wspomnieć o dziele, które jedno pomiędzy jego dziełami, choć poetyczne, ma wielką wielką wartość, a dlatego, że poetyczne, jest potworne. *Biblioteka Historyków, Prawników, Polityków i innych autorów polskich lub o Polsce piszących*, jest owocem jego ogromnej pracy bibliograficznej, jest pierwszą w Polsce pracą tego rodzaju, i dowodem zdumiewającej pamięci, bo pisana była już w Kałudze, bez książek, bez źródeł, bez pomocy. Wszystko, co w Polsce było pisane lub wydane, wszystko co miał, znał, widział lub słyszał, wszystko tam jest skonsygnowane z wymienieniem wydań i ocenieniem ich wartości. Wymienia również wszystko to, co leżało w rękopisie słowem, jest to inwentarz literatury polskiej, który musi służyć za podstawę do studyów nad nią, i bez którego obejść się prawie niepodobna. Ale ten pomysł; żeby przedmiot taki traktować wierszami! Czy może coś lepiej charakteryzować uczoną pedantyczność tego umysłu! Musiał on myśleć, że bibliografia napisana wierszem łatwiej utkwi w pamięci, że się jej ludzie prędzej nauczą. I w tem przebija nieszczęśliwa skłonność do samochwalstwa; co chwila mówi o sobie: książę

brat, nie brat, ale książę brat i inni dostojni koligaci wychodzą najniewcześniej i najniepotrzebniej.

Obok Załuskiego, złączony z nim wspólną pracą i jednym tej pracy kierunkiem, stoi literat drugi, Minasowicz. I to także dyletant zamiłowany w literaturze, i to pisarz na urząd, z zamiaru, z postanowienia, i tu talentu rodzimego mało: ale jednak przewyższa on o wiele swego dostojnego protektora, mecenasa i zwierzchnika. Gdyby kto powiedział był Załuskiemu, że ten skromny pomocnik, którego on protekcyonalnie nazywa „swoim Minasowiczem, swoim kanonikiem", pisze daleko lepiej od niego, możeby temu nie był uwierzył: a Minasowicz, który skromnie kryje się i tuli pod powagę senatora, biskupa i mecenasa, który niewyczerpany jest w pochwałach jego i jego Muzy, zdziwiłby się wielce gdyby się był dowiedział, że najmniejsze z jego tłómaczeń jest więcej warte, jak wszystkie tomy „Lukubracyi" jego patrona. Nie wielka to wprawdzie sztuka, i nikt też nie twierdzi, żeby Minasowicz był wielkim talentem lub wielkim poetą, żeby był poetą zgoła. Nie — jest to suchy i poziomy literat, robiący swoje wiersze na kopycie, zrobionem przez innych, ale literat, któremu zamiłowanie w piśmiennictwie i pisaniu dało przynajmniej wyobrażenie o tem, jak pisać należy. Przestając całe życie z wzorami, przejmuje z nich tyle przynajmniej smaku i pojęcia, że nigdy nie razi, a w wyborze swoich wzorów kieruje się instynktem dość trafnym; tłómaczy naprzykład Horacego i Anakreonta. Formy nabiera też poprawnej; we wszystkiem, co pisze, jest ład i porządek, jest już pewna zgodność pomiędzy traktowanym przedmiotem a tonem, w jakim się traktuje, jest wreszcie styl i wiersz znacznie już giętszy i łatwiejszy, niż u Drużbackiej naprzykład. Język opanowany jest o tyle przynajmniej, że do woli pisarza się stosuje, i staje się poważniejszym lub lżejszym; wiersz z chropowatego i kulawego, jakim bywał dotąd, staje się gładszym, potoczystszym. Niema zre-

sztą tych niedorzeczności, tych gburowatości, które rażą w Jabłonowskim lub w Załuskim. Słowem, jest to mierność, pozbawiona wyższej zdolności, ale przyzwoita, nie rażąca, a tem samem przewyższająca poprzedników; jest to ten szczebel większej poprawności, większego wyrobienia języka, a względnie lepszego smaku, który był może przejściem do poezyi Stanisławoskiej i potrzebnem do niej przygotowaniem.

Jeżeli poprzednicy Minasowicza są Francuzami tylko z intencyi, a w rzeczy wychowańcami i przedstawicielami zepsutego smaku epoki panegirycznej, to Minasowicz jest już prawie zupełnie Francuzem. Z dotychczasowym kierunkiem poezyi polskiej łączy go tylko jedno, to, że pisze niektóre poezye religijne; ale te stosunkowo małe zajmują miejsce pomiędzy jego dziełami, a te lepsze są od podobnych poematów Jabłonowskiego, Drużbackiej lub Załuskiego. Lepsze o tyle, że, nie wznosząc się nigdy wysoko, nie wpadają przynajmniej w ton rubaszny i gburowaty. I to może jest skutkiem usilnego wpatrywania się we wzory, które Minasowicz wybiera i studyuje nie bez pewnego trafnego zmysłu, i którym zawdzięcza to, że wolnym jest od tych wad, które współczesnych jemu wystawiają na śmieszność. Musi on naprzykład czuć wdzięk i doskonałość formy Horacego, skoro próbuje go tłómaczyć; co dziwniejsze, to, że musiał się poznać na Anakreonie, skoro i tego, choć zapewne tylko z łacińskiego, tłómaczy. Zdaje się zaś, że musiał mieć i świadomość swoich sił i natury swego talentu, bo nie często porywa się na utwory oryginalne, a nigdy na utwory wielkich rozmiarów, i po największej części poprzestaje na tłómaczeniach. *Tron Ojczysty* i *Siedem cudów świata Sarmackiego*, z dodatkiem jeszcze *Życia św. Józefa Hymnopisa* i *Historyi o Walterze z Tyńca*—oto wszystkie większe poematy oryginalne. Tłómaczeń zaś mnóstwo; są całe tragedye z francuskiego, są urywki z Wirgiliusza, Horacego, Seneki, Owidyusza, z Petroniusza, z Lucya-

na, z Sarbiewskiego i innych łacinników nowożytnych, jest przetłómaczony polskim wierszem romans francuski *Le beau Polonais*, jest zbiór bajek z Ezopa i Fedra, są wreszcie tłómaczone z różnych języków wiersze pobożne. Są i z Petrarki.

Tron Ojczysty i *Siedem cudów świata Sarmackiego*, tytułami należące jeszcze do epoki panegirycznej, treścią są sobie blizkie, a charakterem podobne. Jedno i drugie znamionuje ta *aurea mediocritas*, która w poezyi złotą nie jest, ale która świeci pewnym blaskiem postawiona obok Załuskiego. Prawda, że i treść sama dość nieużyta, a cel, jaki sobie autor założył, dla poety niewdzięczny. W *Tronie Ojczystym* przechodzi on wszystkich królów polskich od Lecha do Augusta III, i dzieje każdego w kilkunastu lub kilkudziesięciu wierszach opowiada; *Siedem cudów* są pochwałą siedmiu królowych z domu austryackiego od żony Kazimierza IV do Maryi Józefy. Takie opowiadanie rejestrowe, taki katalog, nikogo natchnąć nie może; geniusz mógłby takiej sztuki dokazać, ale jemu nawet nie przyszłoby to łatwo i naturalnie. Jest to więc poemat suchy, zimny i prozaiczny, znać, że robiony na urząd. Ale zrobiony przyzwoicie.

Co do licznych tłómaczeń żałować tylko trzeba, że nie umiał lepiej wybierać. Gdyby był odważnie wziął się do tłómaczenia arcydzieł francuskiego teatru, zdolny przełożyć wcale nieźle, byłby zostawił rzecz pewnej wartości. On tymczasem tłómaczy tragedye Chapella, Pradona, Crébillona, Le Clerca, zapomniane produkcye zapomnianych pisarzy, którym nawet we własnym kraju nigdy nie przyznano większej i trwalszej wartości (Trojanki, Kleopatra, Radamist i Zenobia). Jakąż dopiero wartość może mieć przekład tych rzeczy zwietrzałych i zblakowanych? Tę chyba, że daje poznać jak ówcześni ludzie wyboru zrobić nie umieli, jak naiwnie i potulnie brali za dobrą monetę wszystko, co się we Francyi pisało. W tych tłómaczeniach jedna

tylko rzecz jest ciekawa, to język i wiersz, który nie dochodzi jeszcze piękności i powagi, nie jest zdolny wydać silniejszego wzruszenia, ale jest już swobodniejszy, nie wpada w rubaszność, i okazuje się właśnie na przejściu z dawnej swojej sztywności i niezgrabności do późniejszego wyrobienia i ogłady.

Trafniejszy instynkt prowadził Minasowicza do tłómaczeń z autorów starożytnych. I tu żałować trzeba, że zamiast mnóstwa fragmentów, nie zostawił ani jednego całkowitego przekładu; ale przynajmniej przyznać mu trzeba, że się zwrócił w dobrą stronę. Żadnemu z jego poprzedników nie przyszło do głowy kształcić się prawdziwie na wzorach starożytnych; starożytność i jej znajomość, służyła im tylko do cytowania mitologii i sentencyi. Ten już zdaje się rozumieć piękność literatury klasycznej, kiedy z nią tak wiele przestaje, kiedy próbuje ją przyswoić, a kto wie, czy właśnie nie dzięki temu obcowaniu z dobrymi wzorami, wyrabia sobie smak lepszy i formę poprawniejszą. W tych tłómaczeniach z klasyków dochodzi on już do niepośledniej wartości, już jego język i wiersz zbliża się do poezyi. Wszystko to ma już jakieś zacięcie, a nawet jakieś cieniowanie; tłómacz inaczej przekłada Horacyusza, a inaczej Homera, stara się zachować właściwy każdemu charakter, i nie można powiedzieć, tylko próbuje dość szczęśliwie. Tłómaczy prócz tego dyalogi Lucyana, mnóstwo epigramatów, wiele wierszy pobożnych z francuskiego i łacińskiego, wreszcie bajki Ezopa i Fedra. Bajki te także stoją na przejściu; jeszcze to nie Krasicki, niema lekkości i gracyi, ale już nie ciężkość i niezgrabność Jabłonowskiego.

Wszystko razem wziąwszy, jest to jeden z tych talentów drugiego rzędu, ale nie poślednich, które o własnej sile stać nie mogą, ale oparte o wielkie wzory i dobrze kierowane, mogą być bardzo pożyteczne. Epoka Mickiewicza ma takich talentów kilka, które same z siebie nic nie wydały; ale odznaczały się trafnym

instynktem, uczuciem formy, zmysłem artystycznym, oddawały niepospolite usługi. Jest to rodzaj poetów, przeznaczonych do tłómaczeń i mogących w tym zawodzie wiele zrobić. Gdyby Minasowicz był się urodził w epoce późniejszej, byłby niezawodnie, korzystając z tego, co się już w poezyi zrobiło, tłómaczył bardzo pięknie Schillera, albo Szekspira. Że tłómaczy Francuzów bez wartości, to szkoda, ale to nie jego wina; musiał podzielać wyobrażenia swego wieku. Zasługę zaś jego stanowi i odrębną cechę nadaje mu to, że wyzwala się z błędów swojej epoki, że do wzorów, które źle lub dobrze obiera, zbliżać się już może, że pod jego piórem język się oczyszcza, gładzi i nabiera giętkości. Słowem, literat, nie poeta, ale literat pożyteczny, opatrzony już warunkiem i smaku i estetycznego uczucia, zdolny pisać rzeczy przyzwoite, nie śmieszne, tu i owdzie zbliżające się już do dobroci i wdzięku.

Jeszcze za Augusta III (w roku 1758), wyszły w druku komedye Bohomolca. Dziś znane tylko z tradycyi, i wspominane z uśmiechem, kto wie czy wspominane nie dla tej szczególnej swojej własności, iż nie ma w nich wcale kobiet. Przez współczesnych musiały być dość cenione, skoro autor opowiada, że ich ogłaszać nie myślał, tylko ustąpił naleganiom wielu, którym się one podobały. Musiały być cenione i przez następnych, skoro Bogusławski mówi o nich z uszanowaniem i skoro je na swoim teatrze grywał. Autor sam wyraża się o nich tak skromnie, iż zdaje się, jakoby o ich wartości i swoim talencie nie miał wysokiego rozumienia, ani zarozumienia. Pisał je dla młodzieży jezuickich kolegiów, dla zwykłej używanej tam rozrywki, — drukować nie myślał. Chodziło mu więcej o to, żeby się ta młodzież zabawiła i w rolach swoich spektatorom dobrze wydała, aniżeli o doskonałość sztuk samych. Wie on, że im do tej doskonałości daleko, ale prosi, żeby zważono trudności, jakie miał do pokonania, pisząc komedye w języku, który ich prawie nie

miał wcale, a do tego wymyślając takie, któreby się bez ról kobiecych obejść mogły. To ostatnie wziął sobie za zasadę dlatego, iżby młodzi polskiej, zrodzonej do korda, nie rozmiękczać, przyzwyczajając ją do noszenia kobiecych ubiorów. To niebezpieczeństwo zniewieściałości, jeżeli nawet możliwe, to małe i dalekie, było oczywiście pretekstem; powód prawdziwy musiał być ten, że gdyby w komedyach występowały kobiety, to nie obeszłoby się bez miłości, a nie byłoby ani właściwem, iżby romansowe sceny odgrywały się w klasztornych teatrach, ani potrzebnie, żeby młodzież konwiktów zaprzątała sobie głowy słodkimi sentymentami i uczyła na pamięć ich mowy. Jakkolwiekbądź, Ojciec Franciszek Bohomolec Soc. Jezu wie dobrze, że jego komedye są gorsze od włoskich, hiszpańskich, a cóż dopiero od francuskich *Imć Pana de Molière* (albo *Muliera*), wyznaje, że niektóre z nich z francuskiego lub włoskiego przerobił (co jest trudniej jeszcze, niż z własnego wymysłu nową komedyę ułożyć), nie wyznaje tego, że w tych z własnego niby wymysłu ułożonych, są całe sceny, całe sytuacye, całe czasem osnowy, od *Imć Pana de Molière* pożyczone; i spodziewa się w końcu, że za jego przykładem pójdą inni zdolniejsi, i po tych, pierwszych, napiszą komedye tak dobre, jak włoskie i francuskie, na chwałę i pociechę polskiego narodu.

Nie można odmówić sympatyi tej dobrodusznej naiwności, i dałoby się wiele za to, żeby widzieć choć jedną komedyę Bohomolca, przedstawioną tak, jak bywały za jego czasów, pod jego dyrekcyą, w refektarzu klasztornym przez zgrabnych młodych aktorów w kontusikach, z krótko ostrzyżonemi głowami, przed parterem, złożonym z ojców Jezuitów i ojców, przybyłych ze wsi na uroczystą produkcyę synków. Ale ten wdzięk klasztorny i szkolny, ten wdzięk archeologiczny starego obyczaju i starego zabytku jest podobno jedynym, jaki komedyom tym pozostał. Czyta się je z zaję-

ciem, bo czytając, myśli się o dawnych czasach i ludziach; same przez się zajęcia takiego nie dostarczają.

Twierdzić, że autor nie miał zdolności wcale, byłoby może za śmiało. Z wspomnień, z wzorów, z przerabiań i tłómaczeń, łatał i sklejał on całości, częściej niezgrabne i polskim sposobem życia bynajmniej nie usprawiedliwione, ale niekiedy znowu dość żywe i nie gorsze, nie nudniejsze może od wielu zagranicznych francuskich komedyj, pisanych umyślnie dla dzieci lub wyrostków.

Pewną zręczność miał Bohomolec niezaprzeczenie; dowodzi jej choćby ta okoliczność, że wierny swojej zasadzie nie dopuścił w swoich sztukach ani jednej roli kobiecej, a umiał się bez nich obejść, tak, iż niektóre z tych sztuk są wesołe i żywe; tak, że się o tym dziwnym braku nie myśli. Czasem wprawdzie kiedy z wziętej od Moliera treści wyrzuci intrygę miłosną, to zastąpi ją jakąś inną, pozbawioną rozsądnych powodów działania, a przeto ani prawdopodobną, ani zabawną. Ale w innych razach, zdarzy się, że bez kobiet i romansów jego sztuka nie będzie bez wesołości i życia. Nie jego to zasługa zapewne; on sam dowcipu ani humoru niema, i zostawiony własnym siłom, zaraz upada; trzyma się jako tako, dopóki się trzyma Moliera. Ale choć nie zawsze, umie czasem dość zręcznie pomysł tamtego przerobić, przykroić, przyłatać jego sytuacyę do treści przez siebie wymyślonej, i *Scapina* lub *Pourceaugnaca*, przebrać w polskie suknie tak, że ów wyda się możliwym i prawdopodobnym w polskim świecie. Bo, oczywiście, wszystkie jego komedye są, jak się to za jego czasów już mówić zaczęło, spolszczone. Włoski Arlekin, czy Frontin lub Cassandre z francuskiej komedyi, przeniesiony jest do Warszawy, przebrany w kontusz i ozdobiony nazwiskiem na *ski* albo *wicz*. Czy komedya przez to staje się polską? Naprawdę nie. Ale jest czy w tych nazwiskach, czy w sposobie mówienia staroświeckim, a wcale naturalnym, jakiś łu-

dzący pozór. Arlekin pod Warszawą, jest oczywiście niemożliwy, nie ma sensu; ale Pourceaugnac, przerobiony na przybyłego do Poznania czy Kalisza Szlązaka, nie razi bynajmniej w tej metamorfozie polskiego czytelnika.

A jak nie ma wyobraźni do wymyślenia figur i sytuacyi, ani dowcipu do ich ożywienia, tak nie ma też obserwacyi i własnej swojej znajomości ludzi. Młodzieniec w kłopotach majątkowych, czyhający na zapis bogatego stryja, stary dziwak skąpy, a łatwowierny, frant służący, który jednemu pomaga, a drugiego wyprowadza w pole, oto jedyne gatunki człowieka, jakich on dostrzegł wśród nieskończonej rozmaitości ludzkich natur, przynajmniej jedyne, jakie wprowadził w swoją komedyę; a te, zbytecznie mówić, że nie dostrzegł ich własną obserwacyą w świecie, tylko zobaczył gotowe w sztukach Moliera.

Dodawszy do tego wielką naiwność w układzie sztuk, jak naprzykład to, że potrzebna osoba zjawia się zawsze na scenie przypadkiem, a druga winszuje sobie, że szczęśliwy traf zrządził potrzebne spotkanie, monologi, w których działające osoby opisują z góry swoje charaktery i zamiary, i różne podobne niezręczności komedyopisarza niewprawnego, a naiwnego, będziemy mieli z czego zrobić sobie wyobrażenie dość dokładne o wartości sztuk Bohomolca, o ich ogólnych cechach i wspólnych wszystkim własnościach.

Z kilkunastu komedyi, dwie pierwsze zdają się być własnego wynalazku. Obie mają za bohatera jednego i tego samego oszusta, a za tytuł jego nazwisko: Pierwsza i druga komedya o *Figlackim.* Tendencya pierwszej zwrócona jest przeciw nierzetelności i oszukaństwu pod pozorami uprzejmości, co autor nazywa *Polityką Wieku Teraźniejszego*; drugiej—przeciw rodzicielskiemu zaślepieniu, słabości, pobłażaniu i złemu wychowaniu synów. Dwóch oszustów, jeden już zupełnie w swojej sztuce biegły, Figlacki, drugi początkujący,

Pomocki, szukają czyim kosztem mogliby złowić trochę pieniędzy. Doświadczony Figlacki, ufny w swoją zręczność i płodną wyobraźnię, wie, że zawsze potrafi sobie poradzić; naiwny Pomocki ofiarowuje mu swoje usługi, byle za to nauczył polityki Wieku Teraźniejszego. Polityką tą jest oczywiście odrwić bez skrupułu każdego, kto się da, oszukać, obiecywać, a nie dotrzymywać, kłamać i t. p. Uczeń dobroduszny i mniej w polityce wyćwiczony od mistrza, ma jeszcze pewne wahania i wyrzuty sumienia; mianowicie boi się Pana Boga. Jakże będzie, kiedy na Wielkanoc przyjdzie się spowiadać i przyznać do kradzieży lub oszustwa? Mistrz, wyższy nad te przesądy, zaczyna kurs nowomodnej polityki od wyśmiania wiary i pobożności: to pierwsza zasada, to grunt Polityki Teraźniejszego Wieku. Żądło satyry, zwrócone oczywiście przeciw niedowiarstwu i filozofii XVIII wieku, i słusznie, godzi ono nietylko w Figlackiego, ale w Wielkiego Frydryka i jemu podobnych; jeden jak drugi stwierdza jasno i zupełnie tę prawdę, że zasadą i pierwszym warunkiem Polityki Teraźniejszego Wieku, jest brak sumienia i wyzwolenie się z jego krępujących praw i przesądów.

Figlacki za przedmiot swoich politycznych planów bierze dwóch kupców, przybyłych na jarmark do jakiegoś miasta. Kupcy ci, Zarobski i Towarski, nie znają się między sobą, ale są sobie nawzajem niechętni, bo interesy ich tak się krzyżują, że nieraz już jeden drugiego przyprawił o szkodę. Wiedząc to, oszust zawiązuje znajomość z obydwoma (z każdym pod innem nazwiskiem), każdemu donosi, że drugi odgraża się i czyha na jego życie, każdemu wmawia, że ujmował się za jego cześć i bezpieczeństwo, przyczem odniósł srogie razy, a nawet rany, i od każdego bierze nagrodę w pieniądzach i podarunkach. Usłużny Pomocki pomaga mu gorliwie; ale gdy przyszło do dzielenia łupów, wprawny oszust i jego oszukał, nie dał mu nic, prócz nauki, że to właśnie jest *Polityka Wieku Teraźniej-*

szego. Wreszcie, pomimo wszystkich jego podstępów, dwaj kupcy zeszli się z sobą i porozumieli; prawda się wydała, oszustwa wyszły na jaw, a oszust poszedł do turmy. Wszystko urozmaicone i ożywione środkami takimi, jak przebieranie się Figlackiego za dwie różne osoby, jak służący gadatliwy z natury, wiecznie upominany żeby milczał, a milczący, kiedy pan chce się od niego czegoś dowiedzieć; jak głośne krzyki obu kupców, z których każdemu oszust powiedział, że drugi jest głuchy, i o te krzyki jeden na drugiego się gniewa. Że oba kupcy musieli być bardzo nieroztropni, powiedzmy po prostu bardzo głupi, jeżeli mogli tak odrazu zawierzyć nieznajomemu człowiekowi i robić, co on im kazał, to widać autorowi nie przyszło do głowy. I nic dziwnego: Molière, z którego on czerpał, choć o tyle od niego większy, często pozwala sobie takich dowolności, nie podobnych do prawdy, kiedy z nich wyciągnąć może komiczną sytuacyę. Z jednego tylko względu komedya ta zdawałaby się mieć prawo do niejakiej uwagi, to że wprowadza na scenę kupców. Pierwszy to może raz występuje w literaturze polskiej mieszczanin, jego powołanie i zajęcie. Na pierwszy rzut oka wydaje się to godnem zastanowienia, może pierwszym w literaturze symptomatem tego przetwarzania się wyobrażeń i stosunków polskich, które już się było zaczynało, a za St. Augusta miało się objawić w życiu i w historyi. Ale, zapoznawszy się lepiej z autorem, z zakresem jego pojęć i pomysłów, przychodzi się do przekonania, że nie miał on wcale głębszego zamiaru wprowadzenia na scenę nieszlacheckich warstw narodu i ich życia, że Towarski i Zarobski są kupcami tylko przypadkiem.

W drugiej komedyi ten sam oszust Figlacki jest domowym preceptorem głupowatego syna bogatego Imć Pana Łakomskiego. Nauczyć go niczego ani myśli ani może, bo i sam nic nie umie, i chłopak tępy nad wszelkie pojęcie. Ale uczy go grać w karty, sam

grając oszukuje go i ogrywa, a potem różnemi kłamstwami uczy dostawać od ojca pieniądze, które chowa do własnej kieszeni. Służy mu i tu ten sam z pierwszej komedyi Pomocki, tak samo w końcu z niczem odprawiony. Zabawniejsza od pierwszej, komedya ta w wielkiej części wzięta z Moliera. Żeby wydrwić pieniądze od starego Łakomskiego, Figlacki zmyśla przed nim jakoby syn zaproszony podstępnie na turecką galerę, wzięty był w niewolę przez Turka, który teraz nie odda go bez wielkiego okupu; powtarza się wiele razy sławne Moliera: *Que diable allait-il faire dans cette galère*. Dalej znowu Figlacki chcąc się pozbyć swego pomocnika Pomockiego, udaje przed nim, że oba ścigani są przez żołnierzy; wylękłemu każe się schować w wór, a potem udając rozmowę między sobą a żołnierzem, wali w wór kijem jak Scapin. Trzeba jednak oddać autorowi tę sprawiedliwość, że nie kradnie, tylko uczciwie pożycza, bo ostrzega w przedmowie, że komedya ta jest przerobiona z Moliera.

Ojciec Nieroztropny ma przynajmniej tę zaletę, że jest szczerze i zupełnie komedyą dla dzieci, choć i dla tych zapewne nie bardzo zabawną. Zaślepiony ojciec psuje i pieści starszego syna zuchwałego i złego, a młodszego dobrego chłopczyka nie lubi i chce wyprawić do Ameryki. Nic nie może otworzyć mu oczu. Wreszcie, żeby wszystkich przekonać o dobrem sercu swego Benedysia i jego dla siebie przywiązania, a złej naturze Wojtusia, zmyśla śmierć swoją. Wtedy pokazuje się, ile wart który z chłopców; młodszy płacze za ojcem choć od niego nigdy nic dobrego nie doświadczył, starszy cieszy się, że będzie panem swojej woli, że nie będzie potrzebował udawać czułości i znosić pieszczot starego, które go nudzą.

Nic smutniejszego jak z włoskiego przerobiona komedya *Arlekin na świat urażony*. We Włoszech, gdzie ta figura znana każdemu z teatru i z życia, była narodowym typem błazna, gdzie była konieczną ingre-

dyencyą każdego widowiska, *Arlekin* zniechęcony do świata i udający się na puszczę, żeby tam żyć jak filozof lub Anachoreta, mógł dostarczyć wątku do śmiesznej krotochwili. Te wysokie pretensye tak niezgodne z jego naturą i powołaniem, jego skłonności żarłoka, przebijające się przez udany ascetyzm, mogły bawić bardzo publiczność włoską, która go doskonale znała. Ale *Arlekin* w Warszawie tracił wszelkie znaczenie i racyę bytu, bo go nikt nigdy w Warszawie ani w Polsce całej nie znał i nie widział. Ztąd też, czy schroniwszy się w lasy, wyrzeka na Warszawę, że się na nim poznać nie umiała, czy staje się ofiarą kilku młodych trzpiotów, którzy z niego żartują i płatają mu różne figle, *Arlekin* nie jest zdolny nikogo zająć ani zabawić, dla tej prostej przyczyny, że nikt w niego nie wierzy, że go nigdy u nas nie było.

Chytry Dziedzic jest prawie w całości przerobiony z Moliera, mianowicie z Mr. de Pourceaugnac. Pewien stary bogaty stryj, oddał był synowcowi Ernestowi część swoich dóbr, ale dawszy, chce je odebrać, a dać komu innemu, synowi swojej siostry, Szlązakowi Dreynarowi z Wrocławia. Przyciśnięty tym kłopotem młody Ernest, z pomocą Neapolitańczyka Sbriganiego (figura i nawet nazwisko wzięte żywcem z Moliera), bierze się na sposoby, żeby grożącą klęskę od siebie odwrócić. Jak Erast w Pourceaugnacu zaczepia naprzód świeżo przybyłego i nieświadomego miejsca Dreynara, wmawia w niego znajomość i przyjaźń, wypytuje o wszystkich jego krewnych, potem zabiera go do swego domu, gdzie go oddaje w ręce cyrulika, przekonanego, że go zawołano do waryata. Następuje ta sama, co u Moliera scena konsultacyi medycznej, zakończona ucieczką nieszczęśliwej ofiary, i pogonią cyrulików z istrumentem, który ma pacyentowi odciągnąć krew od głowy i rozrzedzić zgęszczone humory. Przebrania za kobietę i umizgów dwóch udanych szwajcarów do tak przebranego Dreynara, ani dwóch kobiet, upominają-

cych się o swoje prawa i wzywających litości ojca nad mniemanemi dziećmi, naturalnie niema w moralnej i przyzwoitej komedyi Bohomolca. Za to są inne psoty, wyrządzone łatwowiernemu ograniczonemu Szlązakowi, nie tak śmieszne jak tamte, ale dość przecie zabawne, jak naprzykład pokłócenie go ze starym wujem, udanie za złodzieja, i groźba szubienicy (jak w Pourceaugnacu za dwie żony) i t. p. Kończy się wszystko niespodzianie rozmową starego stryja z synowcem. Stary dziwak przysiągł, że nie zrobi tego o co go Ernest prosić będzie; ten, przestrzeżony, prosi żeby mu raczył odebrać darowane dobra. Stryj zagniewany bardzo, ale nastraszony pozwem o krzywoprzysięstwo, ran nie rad odmawia tej prośbie, Ernest zostaje przy majątku, Dreynar wraca z niczem do Wrocławia.

Z pomocą Moliera najzabawniejsza to komedya Bohomolca, a ciężki głupi Niemiec Dreynar ze swoją łamaną polszczyzną, musiał niepospolicie bawić klasztornych aktorów i widzów.

Natrętnicy są naśladowaniem bardzo słabem, i tak już dość słabej komedyi Moliera, *les Fâcheux*. *Pan do czasu*, stangret, który wygrał na loteryi, wydrwiony i okradziony przez oszustów, przypomina Pana Jourdain; jak tamten dziwi się i cieszy, że mówi prozą, jak tamten uczy się fechtować i tańcować, jak tamten woła zawsze swoich dwóch lokajów, popisując się sukniami. Nie wpada w sidła żadnej udanej markizy jak *Bourgeois Gentilhomme*, ale w sidła awanturnika, który mu przywozi dyplom na grafa i hetmana do króla holenderskiego, a sam znika z jego powozem, końmi i pieniędzmi.

Filozof Panujący mógłby być doskonałą komedyą, gdyby go przenieść w czasy dzisiejsze. Dowodzi, że co innego rząd krytykować lub pisać teoryę dobrego rządu, a co innego samemu rządzić w praktyce. Tysiące znanych w historyi nazwisk i wypadków teraźniejszych lub tylko co przeszłych, mogłyby wybornie słu-

żyć do komicznego przedstawienia tej starej prawdy. Bohomolec wykazuje ją na przykładzie, wziętym ze starożytności. Damokles (który u niego został filozofem) napisał księgę o sztuce rządzenia, i przyniósł ją Dyonizyuszowi. Krotochwilny pan Syrakuzy, chcąc filozofa przekonać, że teorya łatwiejsza od praktyki, udaje, że zdumiony jego mądrością, ustępuje mu tronu. Filozof uradowany zaczyna panować, ale niebawem nie może sobie dać rady. Kartago i Epir z sobą w wojnie, żądają niby jego przymierza i grożą wojną jedno i drugie, jeżeli im nie da posiłków. Napróżno filozof próbuje ich przekonać, że wojna jest nieszczęściem, a pokój i zgoda błogosławieństwem. Lud, przerażony mniemaną blizkością nieprzyjaciół, zaczyna się niby buntować i żąda śmierci nowego króla Nieszczęśliwy filozof w śmiertelnej trwodze prosi Dyonizyusza, żeby sobie państwo odebrał. O mieczu zawieszonym nad głową niema mowy. Komedya jest niedołężnie napisana i nie zabawna, ale wielu to publicystów, wielu mówców parlamentarnych, wielu przywódców różnych opozycyj w dzisiejszej Europie mogłoby tak jak ten Damokles Bohomolca figurować w komedyach, a nawet tragedyach!

Taka jest wspominana jeszcze często, nieznana już wcale, komedya Bohomolca. Bardzo poczciwa, bardzo naiwna, gdzie zabawniejsza nieco, to wzięta z obcego wzoru, nie własna, nawet we własnych pomysłach naśladująca i dość niedołężna, pozbawiona i humoru i głębszej obserwacyi, i dramatycznego pierwiastku, w formie słaba, jest bardzo pierwotnym zaledwo zawiązkiem na komedyę, zaledwie czemś lepszem od dawnych dyalogów.

Komedye pisane już nie dla uczniów, ale dla dorosłych, dla teatru, i w teatrze grywane, obracają się, naturalnie, zawsze około jakiejś zakochanej pary, ale z tą różnicą są do tamtych zupełnie podobne, i zaledwo od nich zabawniejsze. Za wzór służy zawsze Molier,

w tem, w czem go naśladować najłatwiej; na smutne położenie dwojga kochanków znajduje radę i sposób jakiś przebiegły służący, albo dowcipna służąca, albo oboje połączonemi siłami. Najczęściej mają oni do walczenia z dziwactwem i uporem, dochodzącym do głupowatości. Naprzykład: Pan Staruszkiewicz (*Małżeństwo z kalendarza*) ma córkę, o którą stara się Imć Pan Ernest, Niemiec z urodzenia, ale z indygenatu obywatel Rzpltej. Panna mu sprzyja, sprzyja i ciotka pani Bywalska. Ale ojciec nie wyda za niego córki pod żadnym warunkiem, bo nie wierzy cudzoziemcom, a tylko Polaków ma za godnych ludzi. Przyrzekł więc rękę córki Imć Panu Marnotrawskiemu i na to rady niema, tak być musi. Szczęściem Figlacki — znać ulubiona figura Bohomolca—wynalazł poszlaki i dowody, że pan Marnotrawski ma więcej długów, niż włosów na głowie i chce je płacić pieniędzmi przyszłego teścia. Końca zgadnąć nie trudno.

Ale trudniej przewidzieć ciąg dalszy. Pan Staruszkiewicz (komedya ma jego nazwisko za tytuł) ma drugą córkę. O tę stara się pan Bazprzywarski. Ale stary ojciec, raz zawiedziony na Polaku Marnotrawskim, nie chce teraz innego zięcia niż cudzoziemca. Napróżno pani Bywalska perswaduje: panna musi wyjść za Francuza, Imć Pana de la Corde. I znowu sprytny służący (nie Figlacki tym razem) doszedł, że Imć Pan de la Corde miał już trzy żony, które wszystko po kolei okradł. Pan Pourceaugnac miał tylko dwie, i to nie prawdziwe, tylko na niego nasadzone, a nie okradł żadnej. Dowód oczywisty, że Bohomolec nie pożyczał sytuacyi z Moliera.

Pani Umizgalska (*Staruszka Młoda*), bogata wdowa, chce gwałtem wydać się za pana Zacniewskiego, który woli jej siostrzenicę, pannę Agnieszkę. Figlacki (znowu) udaje Starostę eleganta, zaleca się do wdowy, otrzymuje jej rękę, ale udaje zazdrosnego; nie będzie miał spokoju, dopóki Zacniewski nie ożeni się z Agnie-

szką. Tak się też stało. Ale potem sam biedny Figlacki znajduje się w strasznym kłopocie. Napróżno wyznaje wdowie prawdę: nie jest starostą, jest tylko prostym masztalerzem u pana Zacniewskiego. Baba wierzy czy nie wierzy, puścić go nie chce. A on, choć mógłby zostać bogatym, woli być chudym pachołkiem, niż mężem starej baby, i ucieka.

Z tych różnych komedyj, najzabawniejszy dziś dla nas jednoaktowy *Monitor*; zemsta redaktora na krytykach i oszczercach pisma. W jakimś miasteczku na jarmarku, zjechało się dużo panów i pań, zawziętych na *Monitora*, że ich wyszydzał, wytykał palcami, kiedy pisał o pijakach, pieniaczach, utracyuszach, śmiesznych elegantkach i t. p. Dowiadują się, że do tegoż miasta zajechał redaktor *Monitora*, pan Ochotnicki. W pierwszej scenie służba tych wszystkich państwa wprowadza widza *in medias res*. „Przyjechał *Monitor*, mamy wszyscy iść bić *Monitora*". Ale przed zapadnięciem kurtyny pan Ochotnicki wytłómaczył tym panom, że ganił pijaków, lichwiarzy, marnotrawców w ogólności, a nie ich godne osoby; paniom, że wyśmiewał śmieszne elegantki, ale nie takie *dystyngowane* damy jak one, i nastała zgoda. Kiedy artykuły *Monitora*, i gniewy o nie, były nowością i zajmowały całą Warszawę, ta mała sztuczka mogła ludzi bawić w teatrze.

Wszystko to bardzo słabe, ale przecież było potrzebne. To pierwszy krok, najniższy stopień, który musiał być przebytym, żeby komedya wydobyła się na wyższy. Musiał być Bohomolec, na to, żeby po nim mógł być Zabłocki, a po tym kiedyś Fredro.

II.

Proza. Prace naukowe przygotowawcze. Niesiecki. Pamiętniki Matuszewicza. Geografia Łubieńskiego. Bielskiego *Widok Królestwa Polskiego*. Literatura religijna. *Matka Świętych Polska*. Powieści. *Nowe Ateny*. Pisma polityczne. *Anatomia Rzpltej Garczyńskiego*.

Ogólne zniedołężnienie narodu, które wydało smutną jego historyę pod panowaniem dwóch Sasów, które w literaturze poetycznej zostawiło tyle pomników głębokiego upadku, widocznem jest także i na prozaikach tej epoki. Z natury rzeczy wynika, że dzieła ich mają dziś dla nas więcej praktycznej wartości, bo wartość ich nie jest tak ściśle związaną z formą, i tak od niej zależną jak w poezyi, zatem jeżeli na to ostatnie patrzymy tylko jak na archeologiczne ciekawości, z których ani pożytku, ani przyjemości odnieść nie możemy, to w prozie, pomiędzy dziełami, czy to treści historycznej, czy religijnej, czy wreszcie naukowej, jakąś naukę zawsze znajdziemy. Książka naukowa, naprzykład, która zkądinąd niema dla nas żadnej wartości, która traktuje rzecz i płytko i z fałszywego stanowiska, którą nauka nietylko dzisiejsza, ale ówczesna daleko za sobą zostawiła, jeszcze może mieć dla nas wartość i znaczenie, bo dowiadujemy się z niej, na jakim stopniu była ówczesna wiedza, jakie pojęcia, jaka znajomość dotyczącego przedmiotu. Inna znowa najsuchsza i najbardziej jałowa, pisana bez myśli i sądu, może

przecież być źródłem historycznem i mieć swoją względną wartość; każda mniej więcej daje wyobrażenie o pojęciach, o obyczajach, o oświacie, i dostarczy jakiegoś rysu do ogólnego obrazu, z każdej można się czegoś nauczyć.

Z tych więc powodów literatura prozaiczna, czcza i jałowa, ma więcej wartości, niżeli zła i czcza poezya.

Ale prócz tej wartości względnej, ma proza tego czasu wartość rzetelną, nie przez talent i sztukę pisania, ale przez pracę, dokonaną ze świadomym i dobrze pojętym celem pożytku: pracę taką jak bibliograficzna Załuskiego, lub statystyczno-geograficzna Łubieńskiego, lub wydawnictwo Voluminów Legum, lub kodeks dyplomatyczny Dogiela. Oprócz wymienionych, jest naprzykład przedsięwzięcie tak pożyteczne i na tak wielką skalę, jak wydawnictwo wszystkich historyków polskich, ale przedsięwzięcie to spełnia Niemiec, Mitzler. Zebrać Prawo Publiczne Polskie i przedstawić całość instytucyj i urzędów, opisać wewnętrzną strukturę Państwa, przecież to rzecz największej wagi, a rzecz ta dokonywa się w tej epoce: ale dokonywa jej Niemiec, Lengnich. Inny Niemiec, Schultz, opracowuje jednę gałąź tego prawa publicznego i pisze komentarz *De Cancellariis, Mareschalcis et succamerariis*. Zebrać wiadomość o polskich pisarzach i ich dziełach od najdawniejszych czasów, i to także wielkie zadanie, i to wielka zasługa. Kto się tego zadania podjął, kto się pokusił o tę zasługę, znowu Niemcy, Braun i Janocki. Doznaje się uczucia wdzięczności i uszanowania dla tych Prusaków, czujących się obywatelami Polski i oddających jej tak znakomite usługi; ale zarazem doznaje się i upokorzenia, że trzeba było Niemców, żeby nam zrobili to, na cośmy sami zdobyć się byli powinni.

Ma ten czas dużo zasługi około historyografii, ale przez to co zbiera, lub co wydaje, co przygotowuje dla późniejszych. To, co sam zrobił na polu ściśle historycznem, jest i na ilość i na jakość małe. Zawsze

to samo pojęcie i stanowisko; te katalogi imion królewskich, i suche, często niedokładne zapiski. Dzieło tylko jedno, nie historyczne, ale do historyi pośrednio należące, które przydatnem może być zawsze, a jest istotnie i charakterystyczne i oryginalne, produkt polskiego społeczeństwa, jakiem podówczas było, to Niesieckiego *Korona Polska*. Ale to ma co najwięcej związek daleki z historyą, jako uboczna jej pomoc w tym lub owym szczególe, albo jako świadectwo czasu, i jego wyobrażeń, jego ducha. Dzieła historycznego w ścisłem znaczeniu tego słowa, a z wartością, w tych latach niema.

Jest tylko jedna książka historyczna, wartości istotnie wielkiej, a ta, przez wiek z górą nieznana, wyszła na jaw w niedawnych dopiero czasach. Są to Marcina Matuszewicza, kasztelana brzeskiego Pamiętniki, wydane przez Pawińskiego, w roku 1878.

Są one niezwykle bogate w materyał informacyjny, niezwykle nauczające Autor zaczyna od roku swego urodzenia, 1714, a kończy na roku 1765. Ale że w latach dzieciństwa i pierwszej młodości, może mieć tylko wspomnienia domowe, rodzinne, więc treść historyczna pamiętników zaczyna się ze śmiercią Augusta II; że zaś kończą się one w samych początkach Stanisława Augusta, więc właściwie odnoszą się, i służą, do czasów Augusta III. Chociaż i w tej pierwszej części opowiada Matuszewicz obszernie i ciekawie niektóre historyczne wypadki, naprzykład litewskie zaburzenia między Sapiehami a szlachtą, i ich bitwę Olkienicką.

Sam jest w bezkrólewiu po Auguście II, stronnikiem Leszczyńskiego; w początkach Augusta III, stronnikiem Czartoryskich. Później, obrażony boleśnie przez kanclerza litewskiego, przechodzi namiętnie na stronę Radziwiłłów i Klemensa Branickiego. Powodem urazy było staranie się o pannę, którą Michał Czartoryski chciał swatać innemu, której Matuszewicz także nie

dostał, ale kanclerz zachował złość do niego, i przez zemstę zarzucił mu niepewne szlachectwo. Że Matuszewicz z tego powodu zmienił swoją poprzednią polityczną drogę, to może jeszcze być poniekąd wytłómaczonem; ale że tą drogą doszedł aż do konfederacyi Radomskiej, że był w niej czynnym, że niektóre jej akta sam pisał, a korespondencye w znacznej części prowadził, to już świadczy za nim gorzej, i przyjaźnie dla niego usposobić nie może.

Jako pamiętnikarz, należy on niewątpliwie do naszych najlepszych. Ma w swoim wieku takie znaczenie, jak w przeszłym Albrycht Radziwiłł; z tą wszakże na jego korzyść różnicą, że napisał Pamiętniki nietylko obszerniejsze o wiele, obfitsze w szczegóły, ale że pisał je lepiej, niż tamten, z większym talentem.

Ciekawość i wartość główna tych Pamiętników, tkwi w politycznej stronie ówczesnych wypadków. Walka dwóch stronnictw, i z nią na nieszczęście złączona walka kilku domów, oto co przewija się przez cały ciąg książki. Zamiary tych partyj, ich wzajemne stosunki, zachodzące w tych stosunkach zmiany; powody tych zamiarów i tych działań, stosunki z dworami zagranicznymi, wreszcie naczelnicy partyj, ze swoimi charakterami, zamysłami i widokami, występują w Pamiętnikach tak wyraźnie, że historyk tych czasów od Matuszewicza dowie się bardzo wiele, bez niego nie będzie mógł się obejść. Ale oprócz wypadków politycznych, rzucają one bardzo wiele światła na cały stan moralny i obyczajowy ówczesnej Polski. Życie publiczne w województwach (sejmiki), i życie domowe (obyczaj), stosunki prawne, sądy, procesy, wszystko jest tam objaśnione znaczną liczbą przykładów, przypadków. Że czas w tem oświetleniu nie wydaje się dobrze, to, niestety, prawda. Często, bardzo często, czytelnik musi się dziwić i oburzać, że tak być mogło; że i rozum, i zmysł moralny, spadł tak nizko, w publicznych, jak i w prywatnych (przedewszystkiem prawnych i są-

dowych) stosunkach. Czytanie jest przykre bardzo, ale nie mniej nauczające. Czy pisarz jest pesymistą, albo zgryźliwym mizantropem? Nie zdaje się. Robi on raczej wrażenie człowieka dobrego, który mówi szczerze co myśli, dla nauki i przestrogi swoich, a nikomu szkodzić nie chce, bo mówi wyraźnie, że Pamiętniki swoje przeznacza dla swoich dzieci tylko, a do wiadomości publicznej podawać ich nie myśli. W każdym razie ma on zasługę, i tę w sto lat po śmierci chwałę, że jeden w Polsce swojego czasu, zdobył się na książkę historycznej treści, a rzetelnej i nawet niezwykłej wartości.

Epoka ta zrobiła dla historyi wiele, przygotowała materyały, zebrała dużo źródeł, ułatwiła pracę historykom późniejszym, ale sama nie wydała historyków prawdziwych. Wydawnictwo dawnych kronikarzy, bibliografia, wydawnictwo statutów i konstytucyj, wreszcie zbiór całkowitego prawa publicznego, wszystko to są materyały, prace przygotowawcze: ale budynku nie ma, nie ma historyi. Geografia za to, rzecz dziwna, może się pochwalić dziełem kompletnem i wyczerpującem, zbyt kompletnem, bo przekraczającem nawet swoje zadanie i granice.

Nieraz wypadło napomknąć, że w epoce tej natrafiamy na ludzi dobrej woli, gorliwej pracy i istotnego zapału do nauk, tylko ludzie ci pozostają wyjątkami. Do ich rzędu należy Władysław Łubieński, scholastyk krakowski, później pisarz koronny, wreszcie Prymas, zmarły w roku 1768, który nas tu obchodzi, jako najznakomitszy ówczesny, a ze wszech miar poważny i wcale nie pośledni geograf. Wydał on foliant ogromny, w którym zamknął geografię powszechną, a do geografii dołączył dwie jeszcze nauki blizko z nią złączone, historyę i statystykę; nie osobno, ale tak, że wiadomości historyczne i statystyczne wchodzą w skład tej geografii i do niej należą. Powstaje ztąd pewna mieszanina przedmiotów, pewne zawikłanie; nieraz ma się to wrażenie, że autor byłby lepiej zrobił, gdyby

był te różne nauki rozgatunkował i obrobił osobno; przynajmniej żeby to był zrobił dla historyi, bo wiadomości statystyczne, nie zbyt obfite i wyczerpujące, nie starczyłyby zapewne na dzieło osobne, a zasługują tylko na uwagę i na pochwałę przez to, że są, że autor czuł ich potrzebę i rozumiał pożytek. Ale jakkolwiek plan dzieła, jako geografii, jest zakreślony może zbyt szeroko, a wykonany, co do pierwiastku historycznego zwłaszcza, nie dość dokładnie i umiejętnie, to jednak dzieło ma wartość rzeczywistą, nie tylko przez porównanie z innemi dziełami tej epoki, pozbawionemi treści i pożytku, ale bezwzględnie, samo w sobie. Autor powiada w przedmowie, że nie masz ani rządu, ani polityki, ani pomyślności, ani potęgi, ani oświaty w narodzie, który nie zna dokładnie natury, zasobów etc., swojego kraju i krajów obcych, który nie wie jak sam stoi i jak stoją inni. Dlatego też we wszystkich krajach cywilizowanych, wszędzie największą przykładają wagę do nauk tego rodzaju, uczą ich we, wszystkich akademiach; u nas tylko o to nie dbają, żyją bez wiadomości i wiedzy, o sobie i drugich. Podróżując wiele po Francyi, Niemczech i Włoszech, uderzony był autor tą gorliwością innych, a naszą niedbałością, i za powrotem, wydał owoc dwunastoletniej pracy: „*Swiat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych*, t. j. w Europie, Azyi, Afryce i Ameryce, w monarchiach, królestwach, księstwach, prowincyach, wyspach i miastach geograficznie, chronologicznie i historycznie określony, opisaniem religii, rządów, rewolucyi, praw, zwyczajów, skarbów, ciekawości i granic każdego kraju *przyozdobiony*".

Tytuł zarywa jeszcze złego smaku, szumności i wyszukania owej epoki. Oprócz tytułu, znajdują się tam i inne rzeczy, które dowodzą, że był jej synem, naprzykład to, że geografię swoją zaczyna od stworzenia świata, mówi o pierwszym jego rządzie za Adama, później opowiada, że Noe podzielił świat między swo-

ich synów, co któremu przeznaczył, jak się ich potomkowie rozrodzili, i od którego z nich pochodzi każdy z dzisiejszych narodów: wszystko rzeczy, które w umiejętnej książce znajdować się powinny. Ale pomimo tych kilku widocznych śladów wpólności z zacofaną epoką, nie należy ani jego lekceważyć, ani dzieła na mocy tych kilku naiwności potępiać.

Plan dzieła jest następujący:

Naprzód idzie krótkie, ogólne opisanie Europy, jej granic, krajów w niej zawartych, ogólne cechy zamieszkujących ją ludów, oraz form rządu, jakie europejskie społeczeństwa sobie wyrobiły: „wszystkie—zdaniem autora—przewyższałaby wolność polska, rządząca się wolnem zdaniem stanów rycerskich gdyby nie *abusive*". Po takim wstępie przystępuje do szczególnych krajów.

Naprzód idzie historya każdego kraju, krótko; po niej następuje rys konstytucyi i szczegóły o obyczajach, potem dopiero opis już ściśle geograficzny; miasta, góry, rzeki, stosunki klimatyczne, produkty, ludność, handel. Przy każdem znaczniejszem mieście jego historya w krótkości, instytuty które mu przynoszą zaszczyt, właściwa mu gałęź przemysłu i handlu, nierzadko jego dochody. Wspomnieć warto, że bardzo skrzętnie zwraca uwagę na dzieła sztuki, gdzie się one znajdują. Opisy jego są bardzo dokładne, tak, że mógłby służyć za przewodnika podróży. Na ostatku przychodzą stosunki religijne i kościelne; liczba biskupstw, ich dochody, czas założenia, stanowisko w państwie i t. d. Wszystkie te informacye są bardzo dobre, obszerne, jasne, wyczerpujące, mogące dać wyobrażenie o politycznym, ekonomicznym i geograficznym stanie każdego kraju a dzieło zupełnie odpowiada celowi i jest bardzo nauczające.

Geografia Polski, jej historya i instytucye, oczywiście traktowane są najobszerniej, i zajmują znaczną część foliału. I tu zaczyna się rzecz od historyi, i tu

historya bajeczna, doprowadzona jest aż do Noego, przez Negnona, wnuka Jafeta, który to Negnon ma być naszym protoplastą. Dzieje bajeczne opowiedziane wiernie podług kronik. W czasach późniejszych opuszcza wprawdzie nie jeden fakt stanowczy, ale w ogóle pamięta o tem, żeby przypomnieć główne chwile przemian i zwrotów w konstytucyi, i z małemi poprawkami mógłby jeszcze dziś służyć za książkę podręczną. Potem następuje rząd w Polsce, czyli polityczna i społeczna jej konstytucya. Pierwsze miejsce mają tu dysydenci: jacy są, i jakie ich stanowisko i prawa. Dalej bezkrólewie: jak się ma odbywać, kaptury, elekcya, koronacya, wszystkie prawa, przepisy, obrzędy, zwyczaje. Potem dopiero król, jego prerogatywy, obowiązki, prawa, dochody; po królu królowa i dzieci, dobra królewskie stołowe, dobra dla zasłużonych, kwarta.

Senatorowie duchowni, senatorowie świeccy po starszeństwie; ministrowie, urzędnicy koronni, opisani w swoich obowiązkach, atrybucyach, etc. Po tych idą urzędnicy i urzędy ziemskie po województwach, sposób ich wyborów.

Rozdział dalszy stan rycerski—sejmy i sejmiki— na ostatku pospolite ruszenie i trybunały. Rys dość zupełny całej machiny państwa, nie krytyczny bynajmniej, ale opisujący.

Potem dopiero idzie geografia sama, prowincyami i województwami — Wielkopolska, Małopolska, Litwa. Przy każdem województwie wylicza jego senatorów i urzędników ziemskich; potem przechodzi do miast, i tu jest istotnie bardzo dokładny, tak co do wyliczenia miejsc jak i rzeczy godnych wspomnienia. Trafiają mu się wprawdzie pomyłki, naprzykład Morskie Oko na Babiej Górze, ale Karpat nikt wtedy nie znał; wogóle nie pomija nawet miejsc nic nie znaczących i daje o nich wiadomość dokładną.

Litwa ma opis osobny, poczynający się znowu od historyi (od czasów Palemona), a na ostatku przycho-

dzą Inflanty, Kurlandya i hołdownicze, niegdyś Prusy i Multany.

Widać, że książka ta zwróciła na siebie uwagę, że zwłaszcza opis Polski musiał wydać się potrzebnym i przydatnym, kiedy wkrótce został osobno przedrukowanym. Ks. Franciszek Paprocki ułożył go w pytania i odpowiedzi, tekstu nie zmieniając bynajmniej, i wydał jako Historyę Polską. Tytuł niewłaściwy, jest to bowiem i historya, i geografia, i prawo publiczne, słowem, podręczny zbiór najpotrzebniejszych elementarnych wiadomości o Polsce.

W podobnym rodzaju i w podobnym celu, jak ten wyciąg z Łubieńskiego, jako podręczna książka dla użytku szkół, napisana była książka wyższej wartości: *Widok Królestwa Polskiego szkolnej polskiej młodzieży wystawiony przez ks. Jana Bielskiego S. J.*

Autor zakreślił sobie cel więcej ograniczony niż Łubieński; nie wdaje się w geograficzny opis Polski, nie troszczy się o jej historyę, przestaje na opisaniu jej stosunków i instytucyj politycznych, konstytucyi i rządu; ale może dlatego, że cel zamierzył ciaśniejszy, wykonał go lepiej, dokładniej, systematyczniej. Książka jego wygląda zupełnie, jak gdyby była streszczeniem Lengnicha *Jus Publicum*, na które zresztą Bielski co chwila się powołuje. Co zaś nadaje jej osobne znaczenie i wartość, to, że jest książką szkolną, przeznaczoną z całą świadomością dla użytku szkół niższych, a ułożoną przez pytania i odpowiedzi. Czy kiedykolwiek do użytku tego służyła? Nie wiem, ale pomysł ten wydaje mi się bardzo trafnym. Dziś jeszcze nauka taka krótka o dawnem prawie publicznem polskiem, udzielana młodzieży w szkołach, byłaby bardzo pożądaną. Rzeczy te, tak nam są dziś obce, że tylko z trudem i pracą dochodzimy do wyobrażenia o całości stosunków politycznych polskich; znamy instytucye z nazwiska, ale ich przeznaczenia, ich granic, ich wzajemnego stosunku nie rozumiemy, i dopiero pracą musimy sobie

całość taką składać, a nie każdy pracę tę chce sobie zadać. Dawniej uczono się tego praktycznie, z życia, dziś tylko z książek nauczyć się można; a gdyby nas tego za młodu uczono, gdyby od dzieciństwa oswajano nasze umysły z formami dawnego publicznego życia narodu, gdyby treść i znaczenie każdej instytucyi i urzędu były nam znane od dzieciństwa, jako konieczny przedmiot nauki i część naszego wychowania, niezawodnie lepiejbyśmy znali i rozumieli naszą przeszłość, znajomość dziejów byłaby wielce ułatwioną, związek pomiędzy nami, a przeszłością ściślejszy.

Książeczka Bielskiego tak jak jest, bez zmiany, mogłaby służyć doskonale do takiego celu. Jest treściwa, krótka, a zupełna; nie jest narażona na to, że późniejsza nauka da jej zaprzeczenie, bo nic nie sądzi, tylko opisuje stan faktyczny; jest pewna, bo oparta na najniewątpliwszych źródłach, statutach, kostytucyach, dyaryuszach sejmowych i *Volum. Legum*; a że jest jasna, porządnie uszykowana i łatwa do pojęcia, przeto może być doskonałą pomocniczą książką dla każdego kto uczy historyi polskiej, gdyby nawet objęte w niej materye nie stały się nigdy osobnym przedmiotem nauki w szkołach.

Co można powiedzieć o literaturze religijnej? W dawnych wiekach stanowi ona świetną stronę naszego piśmiennictwa. Teraz jakże inaczej. Ta sama gałąź literatury, którą niegdyś reprezentował Skarga i Birkowski, europejskiej sławy Hozyusz lub Karnkowski, ta która była zaszczytem narodu i kraju, dziś popadła w ręce rubasznych kwestarzów, teologów subtelnie, a bez myśli traktujących kwestye bez wagi i treści, wynajduje i krzewi te koncepty, tę herbową symbolikę, niesmaczną w panegirykach świeckich, nieznośną w literaturze religijnej. Jądro tej armii stanowi kaznodziejstwo, ale jakie: na mównicy Skargi— Saceccy, Dziewulscy, Wysoccy, których strona teologiczna subtelna a czcza, strona moralna zeszpecona ja-

kąś niby potocznością i poufałością; mówcy bez powagi i uczucia, pisarze bez myśli, gromiący grzeszników i heretyków, zgraja niegodna swego powołania, mająca smutny talent zbłaźnienia rzeczy napoważniejszych i najświętszych, a pod ich scholastycznemi subtelnościami i konceptami, myśli, natchnienia, uczucia nie szukać. Nawet najpoważniejsi i najrozumniejsi biorą napuszystość za zapał, wykrzyknik za uczucie. Ogół, *non raggioniam di lor.*

Jednak z tego szczerego i naiwnego religijnego uczucia, które tkwiło w duszy narodu, z tej wiary czystej, dziecinnej, jaka została pomimo upadku teologii i kaznodziejstwa z jednej strony, pomimo poczynającego się zepsucia i niewiary z drugiej, wyszło zajmujące i piękne świadectwo owych czasów, książeczka prosta, skromna, zakonna, a mająca wiele wdzięku i wartości, odkupująca wiele smutnych pomników owego czasu, przedstawiająca ówczesną pobożność pod formą naturalną i ujmującą. Jest nią *Matka Świętych Polska*, ks. Floryana Jaroszewicza, Reformata. Jest to na każdy dzień roku krótki żywot jakiegoś świątobliwego Polaka lub Polki, myśl piękna i sympatyczna. Wykonanie pełne prostoty, pełne klasztornej pokory i skromności. Pisał widocznie dla zbudowania, o czem innem nie myślał; a zrobił książkę, która jedna z całej ówczesnej literatury religijnej ma wartość, jedną, która wzbudza uszanowanie.

Ma ona wdzięk właściwy każdej prostocie, każdej szczerej nieświadomości siebie, a zajmuje różnymi ciekawymi rysami życia i obyczajów, zwłaszcza kiedy się autor zbliża do czasów swoich, i rzuca wiele światła na religijne uczucia i pojęcia ówczesnej Polski. Wieje z tego jakiś duch średniowiecznej prostoty i naiwnej wiary, przypominający legendy św. Franciszka lub pierwszych religijnych malarzy. Autor sam, i wielu z tych, których życie opowiada, mają całą tę świeżość i prostotę. Pełno tam zjawień, cudów, legend, opowie-

dzianych po prostu jak rzeczy najnaturalniejsze; pełno dziwnych mortyfikacyj, odbijających od wysokiego stanowiska osób; pełno cnót, o których czyta się ze zdziwieniem i wzruszeniem. Są rzeczy dziwne, naprzykład między świętymi Bolesław Chrobry, mnóstwo hetmanów, kanclerzy etc., a co dziwniejsze Gamrat. Wiele naiwności, ale właśnie ta naiwność stanowi może największy powab książki i daje jej cechę. Ciekawe szczegóły o polskich misyonarzach (Męciński), o różnych paniach, rycerzach, senatorach; wszystko to przesuwa się jak w latarni magicznej, pokazane przez szkło bardzo pierwotne, klasztorne, do którego nie jesteśmy przyzwyczajeni, ale wszystko jest ciekawym, wiernym, a zarazem najładniejszym obrazem religijnego usposobienia i życia w Polsce, obrazem, który życie to ukazuje ze strony najprostszej, najpoważniejszej i najczcigodniejszej.

A powieść? Czy jest w tych latach? i jaka? jak się zmienia księżna Eufrata Drużbackiej? W jakiem przebraniu występuje teraz *Nadobna Pasqualina* i *Królewna Banialuka*? Przecież jakieś powieści ówczesny świat polski czytać musi; musi się rozczulać nad wzniosłymi bahaterami i nieszczęśliwemi heroinami? Rozczula się istotnie, czyta z zapałem, ale (jak jeszcze Krasicki wyśmiewa), czyta *Koloandra*; a na polskim gruncie nie rodzi się w tym czasie nic, chyba jedne tylko powieści Drużbackiej.

Koloander Leonildzie wiernie przyjaźni dotrzymujący, który był ulubionym romansem aż do Krasickiego czasów, nie jest, niestety, oryginalnym, ale z niemieckiego tłómaczonym. Pod względem treści, przygód, awantur, zawikłań, podobny do Argenid i Syloretów przeszłego wieku. Zawikłania te pochodzą głównie ztąd, że Koloander i Leonilda są do siebie tak podobni, iż rozpoznać ich nie można, przez co często brani są jedno za drugie. Wartości oczywiście żadnej, nawet względnej. Z czasem jednak zaczyna się budzić potrzeba powieści

więcej zbliżonej do rzeczywistości, skoro Minasowicz tłómaczy (wierszem) francuską powieść *Le beau Polonais*. Ta historya pięknego wojewodzica Walewskiego i pięknej Beraldy, nie odbywa się już w jakichś fantastycznych krajach, ale w Polsce, na Węgrzech, na Morawach; bohater jest wojewodzicem, bohaterka panną z dworu królowej Eleonory. Ale w tych pozorach rzeczywistego życia, przygody prawie tak dziwne, jak w starych rycerskich romansach. Piękny Walewski, zakochany w Beraldzie, ucieka z Polski, bo ojciec chce go ożenić z jakąś panną. W przebraniu kobiecem dostaje się Węgry, gdzie jakiś bardzo wielki pan robi go towarzyszką i guwernantką swojej córki, a potem chce się z nim żenić. Po niezliczonych i nieskończonych przygodach, pokazuje się, że tą panną, z którą ojciec chciał wojewodzica swatać, była właśnie ta sama Beralda. Ale *Piękny Walewski* nie miał zdaje się wielkiego u polskich czytelników powodzenia, a bez podziału i współzawodników panował u nas na tem polu od pierwszych lat XVIII wieku „Koloander kochany Leonildzie wierny”.

Obraz umysłowego stanu Polski za Sasów nie byłby zupełnym, gdyby pominąć w nim dzieło, które jest zebranem w jedno odbiciem rozmaitych jego stron, które charakteryzuje ówczesną umiejętność we wszystkich niemal jej gałęziach, i ówczesną religijność, i pojęcia polityczne, i smak, i rodzaj pisania, a wszystko ze strony najsmutniejszej i najgorszej. Dziś ma ono ogromną reputacyę śmieszności; nie czyta go nikt, ale może nie ma takiego, coby o *Nowych Atenach* nie słyszał, kto na ich nazwisko i wspomnienie nie wyobraziłby sobie jakiejś potwornej mieszaniny pedantycznej erudycyi i niepojętej ignoracyi, średniowiecznej naiwności w połączeniu z niemałemi pretensyami, w przyozdobieniu najwyszukańszych i najdziwniejszych konceptów. Dziś książka ta stała się typem literackiej i naukowej śmieszności, jej autor postacią legendarną

a komiczną; i w istocie choć nad jednem i drugiem należałoby raczej płakać, a zwłaszcza nad społeczeństwem, które w wieku oświeconym takie rzeczy mogło wydawać, to jednak niepodobna wstrzymać się od śmiechu. A w swoim czasie była to książka wielkiej wziętości i sławy, skarbiec, w którym jedzący, pijący i popuszczający pasa szlachcic z epoki saskiej, znajdował zasiłek na wszystkie swoje umysłowe potrzeby, studnia mądrości, z której czerpał swoją wiedzę, ulubiona lektura, która mu wystarczała na całe życie, książka, w której miał wszystko, co dla niego było ciekawem lub potrzebnem, zwierciadło jego wykształcenia, pojęć i wiadomości, mapa jego umysłowego widnokręgu. Generacye całe kształciły się na tej książce, ją przez całe życie czytały, przy niej umierały, niczego więcej po za nią nie pragnąc.

Co są *Nowe Ateny* księdza Benedykta Chmielowskiego, proboszcza rohatyńskiego? Jest to rodzaj encyklopedyi, z którego ówczesny szlachcic dowiadywał się o wszystkiem i wszystkiego. Encyklopedya współczesna temu dziełu, które dało swoje nazwisko całej szkole filozofów, ale myliłby się, ktoby pomiędzy niemi szukał pokrewieństwa. Tamta, przewrotna w dążności, sofistyczna w rozumowaniu, jest dziełem ludzi, których wiek uważał za najmędrszych, i wyskokiem ich mądrości; tamta filozofuje, tłómaczy, tamta jest umiejętnie błędną, ale jest i owocem i nabytkiem umiejętności. Ta, uczciwa w gruncie i nikogo zepsuć nie zdolna, jest jej przeciwnym biegunem, i reprezentuje to, co było w owym wieku najciemniejszem, najbardziej zacofanem; tamta filozofuje nad prawami człowieka, ta roztrząsa najbłahsze kwestye filozofii scholastycznej, słowem encyklopedya, którą można pojąć, gdyby była napisaną w wieku XIII, a która napisana i z zapałem czytana w wieku XVIII, dowodzi tylko, jak długo Polska żyła w jakimś przedwiecznym świecie ducha, który dla wszystkich się zmienił, a dla niej pozostał czem

był przed trzystu laty. Gorzej, bo w wieku XVI, ta szlachta, której typem najszlachetniejszym, ale typem zawsze był Kochanowski, której typem zwyczajnem był Rey, tak sprytny i tak trafnym zmysłem obdarzony, nie chciałaby czytać *Nowych Aten*: Polska nie została tak daleko w tyle, ale się tak daleko w tył cofnęła.

Materyj tu traktowanych trudno wyliczyć. Jest teologia i matematyka, astrologia i polityka, historya i fizyka, muzyka i symbolika, geografia, botanika, mineralogia, zoologia, literatura, statystyka, recepty na styl i koncepty, subtelne kwestye historyczne i filozoficzne, słowem, wszystko, *omia in omhnibus!* wszystko pojęte i opisane tak, jak pojąć i opisać mógł umysł, w którym mądrość scholastyczna przebija przez grubą powłokę niewiadomości, a upstrzone najfantastyczniejszymi, najpotworniejszymi konceptami, na jakie tylko zdobyć się mogła ta płodna w koncepty epoka. Wielkie Mauzoleum ciemnoty, niedorzeczności i złego smaku uczonych owego czasu, wystawione przez godnego ucznia, towarzysza i wielbiciela.

Rzecz cała, w czterech ogromnych tomach zawarta, dzieli się na mnóstwo rozdziałów, z których każdy traktuje o osobnym przedmiocie, a każdy opatrzony jest osobnym tytułem, coraz nowej i coraz dowcipniejszej inwencyi. Żadne opisy nie dadzą o niej wyobrażenia, trzeba ją poznać choćby tylko w wyjątkach.

Wszystkie wyrzuty i narzekania, wszystkie pogardliwe śmiechy, jakie kiedykolwiek spadały na niewiadomość i ciemnotę, na ciasnotę pojęć, na skażenie języka i smaku, wszystkie szyderstwa jakich nowsza umiejętność nie szczędziła filozofii scholastycznej, jezuickim naukom, na wszystko to zasługuje ta nieszczęśliwa książka. Nie wiedzieć, co w niej bardziej podziwiać, czy tę naiwność, która wierzy w bazyliszki i smoki? Czy tę pedantyczną subtelność, która się zajmuje pytaniem, czy Arystoteles jest zbawiony? Czy tę

grubą niewiadomość w jakiejkolwiek gałęzi nauki, tę rozczulającą wierność stanowisku zajętemu przez nauki przyrodzone w wiekach średnich? Czy wreszcie ten wyskok złego smaku i złego pisania, który się sam broni tak uporczywie i z takiem przekonaniem? I taka książka była codziennym, niezmiennym, często jedynym pokarmem duchowym pokoleń!

Jak sobie wytłómaczyć jej niesłychaną w swoim czasie wziętość i powodzenie? Nie trudno. Tłómaczy się ono naprzód tem, że my jesteśmy z natury ciekawi, radzi coś wiedzieć, ale leniwi, chcący dowiedzieć się łatwo i bez trudu. Ztąd każda książka, która nam powie wiele, a mozolić się i myśleć nie każe, będzie zawsze miała sukces. Już więc encyklopedyczny charakter *Nowych Aten* zapewniał im sukces. Oprócz tego, trudno to pojąć nam, którzy przez mnóstwo książek, gazet, publikacyj wszelkiego rodzaju, przez nadzwyczajne skrócenie przestrzeni i czasu, bez nauki i szukania wiemy każdej chwili wszystko, co na świecie jest lub się dzieje, trudno nam pojąć, że w owym czasie książka, podająca wiadomość o wszystkiem, musiała być niezmiernie ciekawą i pożądaną. Dla tej szlachty, która całe życie siedziała w swojej zagrodzie, a wyjeżdżała tylko na odpust, na sejmik, co najwięcej na kadencyę trybunału, świat zabity deskami, musiał być pełnym dziwów i tajemnic. My z dziecinnych książek znamy słonie i krokodyle, piramidy i okręty, porty i budynki, znamy z obrazków, zanim jeszcze umiemy myśleć. Ale pomyślmy, jak te wyobraźnie, które przez całe życie zostawały dziecinnemi i dziewiczemi, skwapliwie musiały się rzucać na książkę, która im odsłaniała tajemnice tego świata, opisywała dziwną i nieznaną naturę, miasta i dwory, obyczaje zwierząt i królów, Rzym i kraje podzwrotnikowe, elekcyę, Papieża, *Conclave*, i zaślubiny Adryatyku, jak to wszystko musiało działać na fantazyę, jak taki szlachcic musiał się dziwić i delektować, czytać i znowu do tego samego wracać,

i tak przez całe życie. W braku ludzi owego czasu, weźmy za przykład postacie z poezyi, które do niego należą: wyobraźmy sobie Wojskiego z *Pana Tadeusza* lub jeszcze lepiej Jowialskiego, z *Atenami* w ręku. Czy nie zrozumiemy odrazu, że mu się to w najwyższym stopniu podobać musi, że się od tej książki oderwać nie zdoła, że do niej przylgnie i zrobi z niej swoją najulubieńszą uprzywilejowaną lekturę. Albo jeszcze inaczej, wystawmy sobie *Ateny* rozrzucone dziś po wsiach między chłopów, czy nie czytanoby ich tam przez całe lata, każdej zimy z największym zapałem? Jest w nich coś zastosowanego do naszego rodzaju umysłów, jest w nich ta forma, pod którą my najbardziej naukę lubimy, nie natężająca a przemawiająca do wyobraźni, tłómaczy to jej sukces i sławę; a że tak jest, tego dowodzi choćby to, że dla nas samych oświeconych synów XX wieku jest ona zajmującą. Nietylko przez swoje śmieszności i potworności, nie: są tam całe rozdziały, gdzie ich niema, ale, czytając, spostrzega się człowiek, że zrazu śmiał się pogardliwie, a pomału zaczął znajdować przyjemność. Książka dla ludu, napisana podług tego wzoru, mogłaby stać się wielce pożyteczną, a byłaby więcej czytaną, niż wszystkie na urząd robione książki ludowe.

A do tego jeszcze powiedzieć trzeba, że *Nowe Ateny* są bardzo śmieszne, ale nie są głupie. Wydają się nam takiemi, kiedy roztrząsają poważne kwestye wątpliwe o żonie Lota, zamienionej w słup soli, czy jest dotąd, albo czy ją deszcze roztopiły, i wiele podobnych. Ale nie są *Ateny* głupie, kiedy podają elementarne wiadomości z historyi, geografii, albo zoologii i botaniki. Nie są głupie, kiedy podają zarys ogólny różnych form rządu w europejskich państwach. Nie są głupie, zwłaszcza, kiedy mówiąc o polskich stosunkach i sprawach napominają, że źle będzie z Rzecząpospolitą, jeżeli jej rychło nie naprawimy. Przez swoje śmieszności są *Nowe Ateny* dla nas dzisiejszych ciekawe do przejrzenia

i zabawne; przez swój cel, swój dobry zamiar, i przez swój niezaprzeczony zdrowy rozsądek, są szanowne.

Na polu literatury politycznej, Konarski już jest, już wydał swoje pierwsze broszury, a z pewnością przygotowuje się do swego wielkiego dzieła; ale zanim ono się ukaże, dziwny na tem polu nieurodzaj. To zaś co jest, to tak czcze i jałowe, że wolałoby się wcale tego nie widzieć. Oznaką tej czczości i płytkości pojęć, są naprzykład Poklatockiego *Kwestye Obojętne* (1743). Nie są one wcale obojętne, są owszem ważne; tylko jemu jest wszystko jedno, co ma o nich myśleć sam i jego czytelnik. Wypisuje różne argumenty za tem lub owem rozwiązaniem każdej kwestyi: ale który jest lepszy, tego nie mówi; a te argumenty, które przytacza, są po większej części dziwnie błahe. Mała ta książeczka może ujść za typ opinii nie myślącej, prawdziwie *obojętnej* na złe jak na dobre. Nie jest zaś ona najsmutniejszą z ówczesnych pism niby politycznej treści.

Jeżeli i słuszna chęć poznania rzeczy ojczystych i sprawiedliwe uczucie wdzięczności, prowadzi nas do przejrzenia tych pism, w których zamknięta jest dobroczynna myśl poprawy Rzpltej, to z drugiej strony błądzilibyśmy znacznie, gdybyśmy, wyszukując samych tylko trafnych i dodatnich pomysłów, te na jaw wydobywali, pomijając i trzymając w tajemnicy tych autorów i te dzieła, w których postawiły sobie pomnik wszystkie najpotworniejsze i najzgubniejsze wyobrażenia.

Trzeba więc poznać odwrotną stronę medalu, trzeba poznać ten opór ślepy, zacięty, wściekły, który część liczniejsza, niestety, opinii stawiała zawsze każdej próbie, każdemu usiłowaniu zmiany i poprawy.

Znany on jest dostatecznie z historyi. Naprzeciw mniejszości, która zawsze chce ratować, jest zawsze większość, która się upiera, żeby zginąć i zgubić Rzeczpospolitą, i zawsze zwycięża. Pierwsze zwycięstwo odnosi ona pode Lwowem w roku 1537, ostatnie, choć już

na uratowanie naszego honoru powiedzieć można, że to nie było zwycięstwem większości, ostatniem była konfederacya Targowicka.

Rzecz prosta, że ten upór i ten konserwatyzm, zabiera głos i w literaturze, że broni swojej sprawy. Sposób, w jaki to czyni, w nas budzi dziś tylko wstręt i odrazę. Brzydzą nas po prostu te szumne trybuńskie frazesy o wolności i równości, o doskonałości polskiej konstytucyi i niezrównanej wartości polskich swobód, których tknąć sią nie godzi, kiedy widzimy, że dzięki tej wolności, temu błędnemu jej pojęciu i temu ślepemu do niej przywiązaniu, ci ludzie zatracili nam prawdziwą źrenicę wolności, rzucili w błoto prawdziwy jej klejnot, jej paladium, rdzeń i podstawę: niepodległość. Ale za owych czasów, musiała ta frazeologia, pełna pochlebstw i nieprawdy, łechtać przyjemnie miłość własną słuchacza lub czytelnika i wszystkie jego uprzedzenia, musiała go przekonywać i pozyskiwać, podobać się; i przyjąć można za pewne, owszem historya nieraz sama to zapisuje, że o taką frazeologię rozbiły się nieraz myśli i zamiary, w których tkwiły nasiona zmian zbawiennych, a może lepszej przyszłości.

Z dzieł tego rodzaju wybieramy jedno, jako bardzo charakterystyczne. Jest niem *Domina Palatii Regina Libertas*, bezimienna, przypisywana przez uczonych różnym. Co to jest? Trudno powiedzieć. Nie wie się nawet dobrze, w jakim to języku ma być pisane, i czy się ma liczyć do książek polskich czy do łacińskich. Taka przytem zupełna nieobecność wszelkiego politycznego sądu, taki brak najelementarniejszych wiadomości, w czem sprawy polityczne polegają i jak się traktują, takie czcze, bezmyślne powtarzanie starych zużytych haseł, które się wykrzykuje, nie rozumiejąc ich i nawet nie starając się rozumieć: że czyta się tę książkę z wielkiem zajęciem, a kończąc ją mówi się raz jeszcze te słowa tylekroć powtarzane: *Nil novi sub sole!*

Nie podobna jest wchodzić w rozbiór wszystkich tych kwestyj, które szanowny autor porusza i rozstrzyga. Ale trzeba się zatrzymać nieco nad kwestyą *quid sentiendum de firmitate diuturnitateque Libertatis Polonae?*

Dowodzi tedy z historyi, i to z największą flegmą i rezygnacyą, że, co ma początek, musi mieć i koniec, że dla państw i narodów są pewne epoki klimatyczne i fatalne, a te przychodzą co lat 200, 500 i 700. W epokach takich ukazują się pewne niemylne symptomaty zguby, którymi są: niezgody wewnętrzne, niemoc praw, konszachty z postronnymi i t. d. Wszystko to prawda, i to opisawszy konkluduje najspokojniej w świecie: „Czego się nasza Polska ma spodziewać, niech jakie kto chce czyni auguria".

Co on wróży, to jasne; a ta podła rezygnacya, przy tem niby wielkiem przywiązaniu do ojczyzny i do jej wolności, jest w najwyższym stopniu oburzająca.

Nie bez racyi mówi, że wolność polska najbardziej ma się obawiać burzliwych i gwałtownych elekcyj; ale zbywszy krótko tę materyę, wpada znowu w zwykłe swoje koncepty i wystawia Rzpltą jako bróg, na czterech słupach wsparty. Jednym z nich jest równość, drugim *Eligendi, Sentiendi, Vetandi Libertus*, trzecim *nobilitatis bonorum conservatio*, czwartym *partium cum corpore unio.* Pod tym brogiem leży złote runo wolności.

Równość zdaje mu się polegać jedynie na zniesieniu tytułów. Pojęcie dość ciasne. Możnaby mu odpowiedzieć, że nie tytuły lub herby ale prawa stanowią równość, ale nie warto się z nim spierać. *Veto* jest najdroższym klejnotem wolności, tego dowodem, że przeciwnicy nasi, jak tylko górę nad nami wezmą, zaraz nam je odebrać chcą. Szkoda, że było właśnie przeciwnie, że oni *Veto* utrzymali, a tym sposobem najlepiej pokazali, co ono warte.

Dziwimy się, jak nizko Polska upadła, dziwimy się, że nie czuła swego upadku i nie próbowała się podnosić. A jakże mogła, jeżeli na sta tysięcy liczyli się tacy, którzy sobie winszowali, że Rzplta może się jeszcze ratować, bo szczęśliwie zamknęła wolność na łonie samej tylko szlachty, którzy się cieszą i zaspakajają tem, że polski nierząd zupełnie się niebieskiemu akkomoduje i że Pan Bóg chowa sobie Polskę dla krotochwili! A kiedy zaczyna patrzeć trzeźwiej i mówić rozsądnie, to zakłada ręce za pas i pyta flegmatycznie: A co wiedzieć, co się tam z naszą Rzpltą stanie! A nieszczęściem były istnie sta tysięcy takich, co tak myśleli, tak patrzali, tak pojmowali sprawy publiczne; i jako typ politycznego ogłupienia i patryotycznego zobojętnienia, ta książka ze swoim autorem zasługuje na wielką sławę. Przeciwstawić jedną i drugiego pomysłom rozumnym i uczciwym usiłowaniom, było rzeczą konieczną, żeby obok prądu dodatniego dać poznać i ujemny, obok inicyatywy bezwładność i gnuśność; żeby scharakteryzować ten wał gliniany, tę *vis intertiae*, o którą rozbijały się najlepsze chęci, najsilniejsze postanowienia, i najrozumniejsze dążności.

Jest jedna z tych czasów książka, treścią swoją tak rzadka i tak szanowna, że miałaby prawo liczyć się między prawdziwe ozdoby naszej literatury, gdyby była pisana nie już dobrze, ale choćby tylko cokolwiek nieźle. *Anatomia Rzeczypospolitej*, Stefana Garczyńskiego, wojewody poznańskiego (wydana w roku 1753), poświęcona jest wyłącznie kwestyom ekonomicznym i społecznym. Pierwsze traktują się u nas zazwyczaj pobieżnie, nawiasowym sposobem; drugich od Modrzewskiego czasów nikt nie dotykał obszerniej i głębiej. Jest więc książka wojewody w każdym razie oznaką, że ta strona naszego stanu i położenia zaczyna zwracać na siebie uwagę; że ta druga połowa poprawy Rzeczypospolitej, oddawna leżąca odłogiem, dopomina się o swoje prawa, wydobywa się na wierzch, i chce się

złączyć w potrzebną całość i poprawę polityczną. Mogłaby zaś *Anatomia* być i dziełem wielkiej wartości, może choć jakiego małego skutku, gdyby autor miał jeżeli nie talent, to przynajmniej tyle w pisaniu ładu i jasności, ile ma dobrej myśli i dobrej woli. Czytając go, szanuje się jego szlachetne uczucie, widzi się i rozsądek i wykształcenie, prawie zawsze przyznaje mu się słuszność, nieraz żałuje się, że dziś nie jest u nas tak, jak on pragnął i uczył; ale w nieskończonej gadatliwości i powtarzaniu, w choatycznym nieporządku materyi, gubi się dobra treść, a wrażenie, zapamiętanie, zatem dobry skutek, staje się prawie niepodobnym.

Pisze on w przedmowie, że ułożył to dzieło dawno, bo jeszcze niegdyś między podwójną elekcyą Augusta III i Leszczyńskiego, a sejmem pacyfikacyjnym, tylko nie mógł wydać dla jakichś przeszkód, których bliżej nie tłómaczy. Chronologicznie więc sąsiaduje *Anatomia* najbliżej z *Głosem Wolności* króla Stanisława, którego autor jej jest przeciwnikiem, stronnikiem zaś Sasów tak gorącym i zapamiętałym, że podług niego, nigdy nie było królów lepszych, jak August II i III, i nigdy Polska szczęśliwszą, jak za nich. Ten zapał musi przeciw niemu uprzedzać; albo jego szczerość i dobra wiara, albo jego rozum, narażone są na niedowierzanie. O dobrej wierze wątpić jednak nie mamy powodu, dopóki się jakiś przeciw niej dowód nie znajdzie. Rozum zaś musiał być podobny jak u wielu współczesnych, którym błogi spokój za Augusta III wydawał się szczęściem ojczyzny; ale w tych rzeczach, ekonomicznych i społecznych, rozum ten był widocznie i znacznie lepszy, niż w naszem ówczesnem społeczeństwie.

Za punkt wyjścia służy zapytanie Konarskiego (w broszurze *Prawdziwe Racye*): „Taż to jest Polska, co była za Jagiellonów i za Batorego?” Garczyński odpowiada temu przeciwnikowi (nie bez przekąsu), że Polska ta sama, ale jej sąsiedzi inni, bo mocniejsi w wojsku

i skarbie, niż byli przed dwoma wiekami. A Polska jest tylko niby ta sama, a naprawdę nie taka sama. Kto przez nią przejdzie, a popatrzy uważnie, ten znajdzie wszędzie ślady zagonów, ślady uprawy, tam, gdzie dziś są pustkowia i nieużytki. Znajdzie ślady grobel, rowów, śluz, tam, gdzie dziś są moczary i bagna. Znajdzie po miastach, nawet po miasteczkach, ślady obronnych murów i wałów, ślady zamożności, nawet okazałości, na domach dziś obdartych i walących się. A więc niegdyś było tu więcej uprawy i więcej produkcyi? A więc niegdyś te miasta były bogatsze i szczęśliwsze? Co się stało? Dlaczego dziś jest o tyle gorzej? Dlaczego wjechawszy od zachodu w polskie kraje, musimy doznawać wstydu, żałości i zazdrości?

Uprawialiśmy dawniej więcej ziemi i więcej mieliśmy z niej plonu, bo mieliśmy więcej ludności. Ta ludność, robocizną nie przeciążona, miała się lepiej, żyła wygodniej, dbała o siebie więcej. Podupadła na dobrym bycie, podupadła na energii i chęci do pracy, podupadła moralnie, a w następstwie zmniejszyła się liczebnie. Chłop nędzny, źle mieszkający, źle żywiony, ani może, ani chce myśleć o zdrowem chowaniu swoich dzieci. Przez niedozór, przez niedbalstwo i niechlujstwo, przez niedostatek wreszcie, setki tysięcy dzieci ginie marnie. My zaś, którzy się za chrześcijan i za dobrych ludzi mamy, nie zważamy na to wcale, nie pomyślimy nawet, żeśmy jakoś na to zaradzić powinni. Nie myślą o tem nawet księża, choć ich to pierwszy obowiązek roztrząsnąć sumienie i tych rodziców, którzy narażają dzieci na chorobę i śmierć, i tych dziedziców, którzy nie dbają o swoich poddanych. Dla duchownych zwłaszcza jest autor wcale surowym; a obrazy tych chat mizernych, tego w nich niechlujstwa i niezdrowia, tych dzieci zaledwo odzianych lub całkiem nagich na słocie i mrozie, te porównania z mieszkaniem, pożywieniem, odzieżą i pościelą, włościanina choćby tylko na blizkim Ślązku, robią na dzisiej-

szym czytelniku takie wrażenie, jak gdyby do niego były wymierzone.

Jaka więc na to rada? Byłaby nie jedna. Pierwsza ta, żeby poddany robił co najwięcej trzy dni w tygodniu pańszczyzny. Druga, żeby każda wieś miała najętego pastucha, a dzieci żeby bydła na paszę nie wyganiały, ale żeby w każdej wsi miały bakałarza, któryby młodszych doglądał, a starsze uczył. Gdyby prócz tego włościanin miał i sprawiedliwość pewniejszą, a prędszą, gdyby nie miał takiej jak dziś łatwości dostania wódki, to w niedługim czasie Rzeczpospolita miałaby więcej żołnierza, i więcej środków na jego utrzymanie. Dzieci nie marłyby jak muchy. Ich rodzice zarabialiby więcej; schludniejsi koło siebie, żyliby wygodniej, i znowu dawaliby więcej zarobku rzemieślnikom i kramarzom po małych miasteczkach. Pustki i nieużytki zaczęłyby znowu rodzić zboże; dziedzic miałby więcej dochodu. Kraj cały obudziłby się z tej ospałości, z tego lenistwa i niedbalstwa, w którem ginie. A dopieroż te miliony dusz ludzkich, bez znajomości Pana Boga, bez katechizmu, bez pacierza! to gorsze jeszcze, niż dzieci, ginące z braku starania. Kościołów po miastach dużo, i okazałe, i coraz nowe: a na wsi ledwo co kilka mil kościół, i biedny, i opuszczony, i z jednym księdzem, który potrzebom parafii nie może nastarczyć. To znowu wielki grzech i powszechny; ale przed wszystkimi grzech biskupów, którzy o swoje dyecezye nie dość dbają.

Ludność maleje i między szlachtą także. Zwłaszcza wielcy panowie wolą wielki majątek zostawić jednemu synowi i nie chcą mieć dużo dzieci. Za to ich Bóg często karze, tego jedynego syna zabiera, a ów majątek idzie w obcy dom. Zagranicą rodzice szczęśliwi są, kiedy mają dużo synów, i umieją im i sobie radzić. Oddają do szkół wojskowych, potem do służby, innych do urzędu, i zapewniają każdemu dostatni, pożyteczny żywot, nieraz świetny zawód.

A miasta? Te z braku zarobku, z braku odbytu, popadły w gnuśność, w nieumiejętność rzemiosł i handlu, w rozpróżniaczenie i pijaństwo nader w nich częste. Dlaczego dawniej były bogate? Bo rzemieślnik sprzedawał swój wyrób, a kupiec swój towar; bo i wyrób i towar był cłem ochroniony od konkurencyi. Teraz każdy szlachcic sprowadza bez cła, co tylko chce, a handel w ręku żydów. Wszystko, co należy do życia cokolwiek wykwintniejszego, wina, korzenie, sukna, bławaty, galony, futra, zbroje, wyroby srebrne i złote, sprzęty, nawet skóry, sprowadzamy ze wszystkich stron świata. Miliony i miliony polskich pieniędzy, płyną w ten sposób zagranicę i ją bogacą, a my się uspakajamy i pocieszamy marną racyą, że ztamtąd przychodzą do nas pieniądze za nasze zboża, drzewa, potasze, skóry, woski i t. d. Ale to nieprawda, bo te co przychodzą, zaraz do obcych krajów za ich wyroby odsyłamy. Tam i dworski przepych, i pałace wielkich panów i kosztowne stroje damskie, obracają się na pożytek ludności, bo od budowniczego aż do szwaczki i szewca, wszystko krajowi ludzie robią, i wszystkiego oni dostarczają. Samo wojsko kosztuje wiele, to prawda: ale jego mundury, rynsztunki, bronie, buty, guziki, wszystko opłaca się krajowym fabrykantom i robotnikom; pieniądze zostają w kraju. U nas to, co zbytkowne, jak to co konieczne, uboży nas, a bogaci obcych.

Właściwej konkluzyi niema. Autor powinien był na końcu rekapitulować swoje uwagi i żądania, i zamknąć je wnioskiem: więc trzeba zrobić, uchwalić to i to. Nieporządny w pisaniu, tego nie zrobił. Ale baczny czytelnik może dojść, czego on chce, a musi przyznać, że to, czego chce, jest słuszne i dobre. Wycisnęliśmy tu esencyę z jego książki, ile się wycisnąć dała z mnóstwa długich i gadatliwych wywodów, przeplatanych gęsto kilkunastu kartkami samych tekstów z Pisma św. i Ojców Kościoła. Sposób pisania jest nie-

porządny i niedołężny: ale treść książki świadczy, że sposób myślenia był szlachetny i rozumny. Przez to, i przez to, że treść jego dzieła jest rzadkiem i wyjątkowem u nas zjawiskiem, Garczyński godzien jest dobrego wspomnienia, a zasługiwałby na szczegółowe głębsze zbadanie.

III.

Konarski. Wielostronność jego działania. Reforma wychowania. Reforma smaku. Wiersze łacińskie. Epaminondas. Sprzeczne stronnictwa w Polsce. Przedmiot sporu. *O skutecznym Rad Sposobie.* Walka z *Liberum Veto.* Plan obrad sejmowych. Władza hetmańska. Wolna elekcya. Koniec epoki. Początek innej.

Konarski jest ostatnim z pisarzy politycznych przed Stanisławem Augustem, i tym, któremu było danem odnieść zwycięstwo w teoryi przynajmniej, w opinii znacznej większości narodu. Na nim też zamyka się ta epoka, od niego, od jego dzieła, rozpoczyna się chronologicznie, umysłowo i politycznie Polska Stanisławowska. Powiedział Mickiewicz o Skardze, że stojąc na granicy dwóch wieków, dwóch epok w życiu narodu, skupia w sobie i przedstawia obiedwie; sam należy do jednej, w drugą patrzy proroczym wzrokiem. Coś podobnego możnaby rzec i o Konarskim. Nie natchniony ani proroczy jak tamten, owszem, pozbawiony natchnienia, nie dający się nigdy porwać ani porywający, trzeźwy, krytyczny, ścisły, prawie możnaby powiedzieć suchy, zatem istne przeciwieństwo Skargi, jest on przecież, jak tamten, tą postacią, która rozgranicza dwie epoki, dwie Polski. W chwili, kiedy się kończy piękna i szczęśliwa Polska Jagiellonów, a kiedy się ma zacząć walenie się Rzpltej, występuje Skarga, nie jako reprezentant tego smutnego zwrotu, ale jako jego prorok. W chwili znowu, kiedy proroctwa jego się speł-

niły, kiedy umysłowy i moralny upadek doszedł do ostatecznego swego kresu, i tem samem obudził przeciwdziałanie sumienia i patryotyzmu, zjawia się Konarski jako sędzia tego, co jest, i założyciel tego, co być ma. Jeden, patrzący w przyszłość, upominający i grożący, musi być przedewszystkiem natchnionym i odzywać się do uczucia; drugi, którego powołaniem było walczyć ze złem, odziedziczonem po przeszłości, musi być przeważnie krytykiem, sędzią, działać na rozumy i przekonania. Proroczym być nie potrzebuje, wystarcza mu być ścisłym i logicznym. Takim też jest Konarski, i dlatego rzec można, że był właśnie tak obdarzonym, jak trzeba było do spełnienia misyi, która mu przypadła. Izajasz, Jeremiasz nie przerazi Izraela, nie powstrzyma go od zguby bez nadludzkiego podniesienia ducha; ale Ezdrasz, który chodzi wśród gruzów i zwalisk już gotowych i przemyśliwa nad tem, jakby z nich miasto podźwignąć, nie potrzebuje być prorokiem, a będzie w swojej chwili, do swojej czynności tak stosownym, tak pożytecznym, jak tamci. To też pomimo całej różnicy życia, powołania, zdolności i ducha, pomimo, że nikt się nie odważy postawić kogoś drugiego obok kolosalnej postaci Skargi, można mówić, że ci dwaj ludzie jako reprezentanci dwóch stanowczych chwil i zwrotów, zajmują stanowisko nieco podobne w naszej historyi i literaturze, bo obadwa, jak soczewki promienie, zbierają w sobie wszystkie dobre, zdrowe, szlachetne myśli, uczucia, i chęci narodu, i odstrzeliwają je z siebie na drugich.

Czy powiemy, że Konarski jest jedynym początkiem i źródłem tej dążności odrodzenia, jaka się objawiła w Polsce w drugiej połowie XVIII wieku, że z niego jednego ta dążność wyszła, że sam jeden czuł i rozumiał to, czego nikt inny nie rozumiał i nie czuł? Nie. Tego powiedzieć nie można o żadnym z ludzi, choćby największych. Każdy z nich jest nie przyczyną, ale skutkiem; nie jakąś siłą pierwszą, która wszystko w ruch

wprawia, ale wypadkową siłą wielu dawniej działających, która je tylko reasumuje w sobie, potęguje, i w dalszy ruch wprawia. Człowiek, nawet największy geniusz, nie jest nigdy twórcą historycznej myśli, dążności, potrzeby, ale jej wyrazem i wcieleniem: wyrazem tego, co tkwiło w tylu sercach i głowach od niego słabszych, że musiało objawić się jako historyczny prąd i kierunek. Taką wypadkową, takim wyrazem był i Konarski. Nie był on sam; było wielu, którzy więcej lub mniej wyraźnie i jasno, w różnych stopniach, jedni instynktem przeczuwali to samo, inni rozumowaniem zbliżali się do tej samej prawdy. Literatura polityczna owej epoki od początku wieku dowodzi, że takie poczucia były, i to coraz jaśniejsze, coraz silniejsze; Konarski więc skupił w sobie tylko to, co było, i ze siebie rozstrzelił. W nim i przez niego doszło do zupełnej dojrzałości to, co przez długie lata rozwijało się i dojrzewało; a że myśl historyczna, kiedy do takiej dojrzałości dojdzie, prędzej lub później musi sobie znaleźć formę i odnieść zwycięstwo, więc też i owa dążność do odrodzenia w Polsce, zakorzeniwszy i rozrósłszy się, musiała znaleźć narzędzie, człowieka, przez którego doszła do częściowego przynajmniej zwycięstwa. Praca Konarskiego, jego poświęcenie, jego rozumny patryotyzm, są jego zasługą; to, że przyszedł w chwili, kiedy przez jego poprzedników i przez smutne nauki historyi, rola była już przysposobioną do przyjęcia dobrego ziarna, to było jego szczęściem, trafem, który jak padł na niego, tak mógł paść na każdego innego.

Co w nim przedewszystkiem uderza, to ta pełność, wielostronność jego czynności reformatorskiej. Że człowiek polityczny zwraca uwagę na wychowanie publiczne, to nic dziwnego; że człowiek, poświęcony wychowaniu, poprawia i system uczenia i nawet smak, to jest także naturalne i jedno blizkie drugiego. Ale żeby jeden człowiek był razem reformatorem i w polityce,

i w nauce, i w literaturze, żeby wszystkim trzem zdołał nadać podstawę pojęć prawdziwszych, zdrowszych, a nieraz zupełnie prawdziwych i zbawiennych, żeby zdołał wprowadzić na lepszą drogę i życie publiczne narodu, i jego oświatę, i jego literaturę, to jest zjawisko rzadkie i połączenie istotnie dziwne. Jako pisarz polityczny Staszic, z poprzedników Leszczyński, nietylko nie ustępują Konarskiemu, ale go przewyższają. Jako reformator szkół przewyższa go Kołłątaj i Czacki; wreszcie pod względem smaku i estetycznego wykształcenia, prześcignęli go literaci Stanisławowscy i późniejsi. Ale nikt prócz niego nie połączył tych wszystkich kierunków razem; w każdym z osobna znajdziemy równych jemu i wyższych, ale nie znajdziemy takiego, któryby miał równie szeroki, równie wiele obejmujący zakres czynności.

W zawodzie politycznym łatwo wykazać jego poprzedników i towarzyszy; jest pewna liczba pisarzy z podobną dążnością, nad którymi sterczy Karwicki i król Stanisław. Trudniej wynaleźć mu przodków moralnych w literackiej i naukowej reformie. Nie brak wprawdzie piszących, ani mecenasów, powstaje nawet jako nowość w naszym kraju literackie rzemiosło: ale wszyscy ci ludzie, pomimo nauki i usiłowania, nie byli zdolni wykorzenić dawnego złego smaku i zaprowadzić lepszy. Biskup Załuski, pomimo ogromnej erudycyi, jest najnędzniejszym pisarzem; Wacław Rzewuski i Minasowicz reprezentują wprawdzie pewien postęp ku lepszemu, mają i język czystszy i wiersz jako tako zbudowany, ale próby te, nie oparte na wyższym talencie, pozostają próbami bezskutecznemi i nie służą za przykład innym. Jaki panował smak i styl, jaki był język aż do ostatnich lat Augusta III, tego dowodzą prozaicy owego czasu, i same nawet tytuły ich książek. Pod tym więc względem przed Konarskim zrobiono mało, i tu rzec można, że pierwszy wziął się do wyczyszczenia stajni Augiasza, że popęd wyszedł od niego.

Ale w tym kierunku jego czynności były może jakieś słabe początki, a przynajmniej symptomy odmiany. Jest inny, w którym nie było żadnych, w którym od wieku XVI był pierwszym, a tym kierunkiem działalności i reformy było wychowanie publiczne. Tu Konarski był niewątpliwie, niezawodnie pierwszym, tu go nikt nie wyprzedził, nikt przed nim nie pojął, że należało ratować kraj przez oświatę, przez wychowanie.

To jest jego wielka zasługa i wielkie dzieło jego życia, wobec którego maleje wielkość dzieł innych. Ani poprawa wad wymowy, ani wydawnictwo *Voluminów Legum*, ani nawet *O skutecznym rad sposobie*, choć tak znakomite i płodne w dobre skutki, nie przeważy tej wielkiej zasługi, przez którą Polska z epoki zupełnej ciemnoty, przeszła w bardzo krótkim czasie w epokę jedną z najoświeceńszych, jakie liczy w swoich dziejach.

Konarski w bardzo jeszcze młodym wieku wstąpił do zakonu Pijarów, u których pobierał był nauki. Które powołanie przeważało u niego? Duchowne czy nauczycielskie, to tajemnica jego duszy, na której odgadnienie próżno się dziś silić. To pewna, przynajmniej prawdopodobna, że gdyby szedł był za samem powołaniem kapłańskiem, byłby zapewne obrał zakon inny, nie ten, którego celem, zadaniem, regułą, racyą bytu, nadaną przez założyciela, było wychowywanie młodzieży. Ale niema też powodu sądzić, że został księdzem dlatego tylko, żeby zostać nauczycielem. Owszem, zdaje się, że miał oba powołania równie szczere i silne, że w obu była prawda. Reformator wychowania był przez całe życie wzorowym księdzem, zakonnikiem wiernym swoim ślubom, prawdziwie wierzącym katolikiem. Ta prawda powołania, ta zgodność stanu obranego z wewnętrznym stanem duszy, stawia go jako charakter wyżej nad wielu współczesnych duchownych.

W nowicyacie jeszcze ćwiczył się z zapałem w filozofii, wymowie i poezyi, których po wyświęceniu zo-

stał profesorem. W r. 1725 Pijarzy, którzy znać umieli się poznać na jego zdolnościach, wyprawili go w podróż do Włoch i Francyi dla wykształcenia. Podróż ta była stanowczą chwilą jego życia, utwierdziła jego powołanie, wyrobiła ostatecznie jego sposób myślenia. We Francyi przesiadywał na dworze Leszczyńskiego, i tam odbył swoje wychowanie polityczne; tam, pod wpływem autora *Głosu Wolnego* stał się tem, czem miał być autor *Skutecznego Rad Sposobu*. W Rzymie, jako nauczyciel retoryki (przez dwa lata) w konwikcie pijarskim (*Collegium Nazarenum*), a przez czas niejaki nawet w Sapienzy, wyrobił się na reformatora smaku i wychowania. Tak przysposobiony wrócił do kraju w roku 1730, na lat trzy przed nową elekcyą, jako uczeń i przyjaciel polityczny Leszczyńskiego, i z powziętym już zamiarem, żeby „przyłożyć siekierę do korzenia”.

Okoliczności miały niebawem wywieść go na pole pisarstwa politycznego, a tymczasem Pijarzy przeznaczyli go do swojej szkoły rzeszowskiej. Tak skromne były początki tego zawodu. Ale w tem ustroniu i zapomnieniu wielki umysł przygotowywał wielkie rzeczy. W Rzeszowie przygotował do druku pierwszy tom *Voluminum Legum*, *Rozmowy Ziemianina z Sąsiadem* (rok 1732), *Prawdziwe Racye* (1733) i *Epistolae Familiares*. Początki politycznego zawodu tam były napisane, a praktyka nauczycielska przekonała go ostatecznie o potrzebie zmiany systemu wychowania.

Wypadki polityczne nie dały mu jednak wziąć się odrazu do dzieła. W r. 1734 pojechał do Francyi z bezskutecznem poselstwem Ożarowskiego, i przez lat kilka zostawał za granicą, czy to jako jeden z bardziej skompromitowanych w sprawie Leszczyńskiego, czy też dlatego, żeby plan swój lepiej na gotowych wzorach wyrobić.

Wreszcie w roku 1740 założył *Collegium Nobilium*, pierwszy kamień w budowie reformy wychowania.

Zakorzeniony jest u nas zwyczaj, że całą odpo-

wiedzialność za upadek oświaty zwalamy zawsze na Jezuitów. Szkoły jezuickie, edukacya jezuicka, smak jezuicki, i rzecz skończona. Tymczasem odpowiedzialność ta, która obciąża i Jezuitów, nie obciąża ich samych, ale dzieli się pomiędzy nich a naród, który o swoje wychowanie nie dbał, i wszystkie inne uczące zakony. Ze stanowiska ściśle zakonnego, ze stanowiska Jezuitów samych, byli oni może mniej winni od innych. Każdy zakon, powstając pod wpływem jakiejś szczególnej potrzeby, ma cel tą potrzebą określony, i to stanowi jego racyę bytu, jego duszę. Odpowiedzieć tej potrzebie jest jego głównem zadaniem. Jezuici powstali w chwili reformy: potrzebą, która ich stworzyła, a zatem ich celem, ich głównem zadaniem, było utrzymanie prawowierności katolickiej. Pod tym względem odnieśli w Polsce najzupełniejsze zwycięstwo, spełnili swoje zadanie; ze swego więc stanowiska, w swoim sposobie widzenia rzeczy byli więc może zupełnie usprawiedliwieni. Dla nich edukacya była rzeczą podrzędną, środkiem; kiedy przeciwnie dla Pijarów była rzeczą główną, pierwszym obowiązkiem i celem istnienia, a szkoły pijarskie, choć były zawsze z jezuickiemi w walce, nie były od nich na włos lepsze. Owszem, skażenie języka, stylu i smaku było początkowo, około połowy wieku XVII, w większej mierze winą Pijarów niż Jezuitów.

Konarski po swoim powtórnym powrocie z zagranicy, założył wreszcie sławny konwikt na Żoliborzu: Collegium Nobilium. Przedmioty nauczane były: języki klasyczne, geografia, historya, matematyka, fizyka, filozofia, ale taka, która już znała i uznawała Descart'a i Leibnitza, wreszcie prawo natury, prawo rzymskie i prawo polskie. Cechą tego zakładu, cechą całego wychowania pijarskiego, całej reformy Konarskiego, i jego stroną niebezpieczną, była francuszczyzna. Wiele nauki samego języka, a wszystkie pojęcia, cały stan umiejętności, smak, wszystko ztamtąd żywcem wzięte.

odbiło się szkodliwie w czasach późniejszych. Zaszczepienie francuskiego smaku, jego ślepe wyznawanie i naśladownictwo, które dopiero Mickiewicz pokonał, przyjęło się i rozeszło głównie przez młodzież, przesiąkłą francuskiemi pojęciami w szkołach pijarskich. Prawdopodobnie poszło zatem i przejęcie tych filozoficznych pojęć francuskich, których Pijarzy nie uczyli. Były więc złe skutki; ale czy można Konarskiego winić? Francuska cywilizacya wydawała się jemu, jak całej Europie, najwyższą: cóż dziwnego, że ją brał za wzór tej, którą chciał w Polsce zaszczepić? A potem, jeżeli były złe skutki, to dobre były większe. Złem wydaje się nam dziś francuska estetyka i pedantyczny fanatyzm, z jakim strzegli jej fanatycy, Boileau i La Harpa, Dmochowski, Osiński, ks. Golański, zapewne, że to było złe. Ale porównajmy to złe, sprowadzone przez Konarskiego, a które to złe nazywa się Krasicki, Trembecki, Węgierski, nie z Mickiewiczem, ale z tem, co było przedtem, z Ezopem Jabłonowskiego, Dawidem Drużbackiej, z wierszami Załuskiego, nawet z Wacławem Rzewuskim? Wprowadzenie obcego smaku, gdzie nie było żadnego, było koniecznością; ten zdawał się najlepszym, wprowadził go Konarski, a choć złożył przez to w literaturze niezaprzeczone zarody złego, to równie niezaprzeczenie wyrwał ją z tego stanu zdziczenia, w które była popadła.

Papieżem był podówczas Benedykt XIV, pełen rozumu i dobroci, umiejący każdą myśl użyteczną ocenić i lubiący ją poprzeć, Konarskiemu dobrze znajomy z pobytu we Włoszech; tego postanowił wezwać do pomocy w swojem przedsięwzięciu. Posłał mu reformę reguły pijarskiej, dla prowincyi polskiej, do zatwierdzenia. Papież natychmiast zatwierdził. Z tem w ręku, był Konarski silnym, i wziął się do dzieła. Reguła ta robiła z zakonu bractwo nauczycielskie; każdy Pijar musiał być nauczycielem, lata nowicyatu trawił na przysposobieniu się do tego zawodu. Wtedy, pewien, że

co roku będzie miał nową warstwę dobrych nauczycieli, wziął się do reformy wszystkich szkół pijarskich w Koronie, na wzór konwiktu *nobilium*. Jeżeli tamten był szkołą paniczów, te były dla wszystkich, szkoły pospolite, jak je nazywa Kołłątaj. Podzielone były jak dotychczas na sześć klas, z temi samemi nazwiskami (*Infima etc. Retoryka*), ale pod tą samą formą była treść inna. Przedmioty nauczane i sposób nauczania były te same co na Żoliborzu, powstało więc naraz tyle porządnych gimnazyów, ile było konwiktów pijarskich, i to nie dla szlachty, ale dla wszystkich. Odrodzenie nauk klasycznych, nauki przyrodnicze, historya, zaczęły się szerzyć na wszystkich punktach.

Zazdrość i współzawodnictwo, wybuchły naprzód swoją najulubieńszą bronią: potwarzą. Okrzyczano szkoły pijarskie za heretyckie, bo uczono w nich rzeczy tak bezbożnych, jak fizyka, niezgodna z Pismem św., etc. Ale niedorzeczności te długo utrzymać się w opinii nie mogły, a kiedy szkoły pijarskie zaczęły przepełniać się młodzieżą, nie było rady: trzeba było inne na ich wzór urządzić. Pierwsi w tem naśladowaniu byli Jezuici. Przyjęli zupełnie żywcem system Konarskiego, a nierównie od Pijarów bogatsi, oparci o możnych protektorów, postawili niebawem swoje zakłady na stopie świetniejszej, a może i lepszej. Skasowanie zakonu we Francyi sprowadziło do Polski wielu Jezuitów, którzy niebawem zostali wybornymi nauczycielami; gabinety, biblioteki wzrastały w oczach. Wojewodzina mścisławska, Puzynina, dała Jezuitom fundusz, na założenie obserwatoryum w Wilnie, Marya Leszczyńska, przysłała Jezuitom poznańskim fundusz na gabinet fizyczny i historyi naturalnej. Jednem słowem, w mgnieniu oka szkoły jezuickie, chcąc dorównać pijarskim i młodzież przy sobie zatrzymać, stały się równie dobremi jak tamte.

Dwa inne zakony uczące, Teatyni i Bazylianie, musieli pójść za tym przykładem. Pierwsi, osiedli po mia-

stach, nie mogli pozostać w tyle, i swój alumnat warszawski zamienili na szkołę pańską, na wzór Żoliborza. Na drugich, osiadłych na Rusi, a oddanych przeważnie edukacyi początkowej, i to edukacyi biedniejnych (co było ich wielką i główną zasługą), wpływ ten, nie mógł odbić się tak silnie, ale i oni dostawali lepsze książki, zaczęli uczyć lepiej. Słowem w przeciągu lat kilkunastu lub dwudziestu, li tylko skutkiem śmiałej inicyatywy Konarskiego, były zreformowane i postawione na dobrej stopie wszystkie szkoły i średnie i niższe w Polsce. Akademie tylko nie chciały wyjść ze swego letargu, i dotrwały w nim aż do czasu, kiedy je z niego komisya edukacyjna otrząsła.

Z zawodem nauczycielkim i szkolnym Konarskiego, łączy się reforma smaku, i dzieło, w którem wypowiedział wojnę dawnemu nadętemu stylowi, którem mu zadał cios śmiertelny. Dzieło to ma tytuł *de emendandis Eloquentiae Vitiis* 1741. Jest to rozmowa trzech przyjaciół, *Cassius*, *Navianus* i *Laurenus*. Kto są dwaj pierwsi nie wiedzieć, ostatnim jest sam autor. Rozprawiają oni we trzech o błędach stylu i wymowy, o napuszystości, przesadzie pochwał, o niejasności argumentów, o barbaryzmach i potwornych konceptach, a jako przykład wyciąga i pokazuje jeden książeczkę pod tytułem *Anima consiliorum* i czyta z niej wyjątek prawdziwie monstrualny. Na to Laurenus (Konarski), wybucha wielkim śmiechem, poznał swoje własne dzieło! Oracya pogrzebowa, grzech młodości! Rozpoczyna potem krytykę: myśli, szyk, styl, figury, same nawet słowa, wszystko nicuje, wszystko grzeszy przeciw językowi, smakowi i rozsądkowi, słowem, nie zostawia suchej nitki na tym swoim utworze; a w końcu przerabia go tak, jak być powinien, jak by go dzisiaj napisał.

Zasługą jego jest, że uderza na wszystko, co sztuczne, nienaturalne, naciągnięte, że występuje jako obrońca prostoty, natury i prawdy w myśli, w stylu,

w rozumowaniu, czystości języka samego. Potrzeba było tego, żeby nasz smak i sposób pisania, mógł dojść do poprawności, przez poprawność do prawdziwego wyrobienia i piękności. Książka też ta w swoim czasie bardzo czytana, wywarła wpływ bardzo szczęśliwy. Jedno tylko zarzucić jej można, a nawet trzeba, że jest łacińską, nie polską.

Dlaczego napisał ją Konarski po łacinie? Czy rzeczy naukowe jeszcze podówczas potrzebowały sankcyi i powagi łaciny, żeby im wierzono? Czy przeznaczał ją nie dla samej tylko Polski? Gdyby to ostatnie było prawdą, byłby zapewne przytaczał mniej polskich, a więcej obcych przykładów. Najprawdopodobniejsze jest to, że rozmiłowany w literaturach starożytnych, powołany do odrodzenia smaku, przez lepsze, prawdziwe studya języków klasycznych, nie mógł się wyrzec i pisania po łacinie. Zamiłowania tego dowodzą jego wiersze łacińskie, których znaczną ilość składał w poprawnej, eleganckiej łacinie, na wzór Horacego lub Sarbiewskiego. Ostatni to u nas łaciński poeta, w ogóle ostatni człowiek, po łacinie piszący. I pod tym także względem zamyka on epokę, dzieli Polskę łacińską od Polski francuskiej, tradycyę wieku XVI, od tradycyi XVIII. Szkoda, że dzieła tego nie napisał po polsku, ale dzięki Bogu, że je napisał. Te pojęcia zdrowe i trafne o stylu, o wymowie i pisaniu, ten zwrot do naturalności i prawdy, do którego zaprawiano młodzież we wszystkich szkołach pijarskich, a potem innych, to umożebniło i przygotowało tę czystość i poprawność, jaką odznaczają się nasi pisarze Stanisławowscy, to sprawiło, że epoka ich może poniekąd nazwać się epoką odrodzenia literatury, jak wiek XVI był epoką jej narodzenia.

Książka *de emendandis* jest jedyną, jaką Konarski w przedmiocie literacko-naukowym napisał, ale nie jest jedynem, raczej jest najmniejszem jego dziełem w tym kierunku. Ludzie prawdziwego powołania i silnych prze-

konań, umysły organizacyjne mają ten dar, że na około siebie umieją drugich poruszyć, zużytkować, każdemu wskazać pracę, do której jest najlepiej usposobiony i którą najlepiej może wykonać, słowem, nie sami tylko robią, ale stają się osią wielu prac i przedsięwzięć, podejmowanych zbiorowemi siłami. Konarski stał się niebawem środkiem takiego ruchu, a można powiedzieć, że żadna z wielkich prac jakie się dokonały za Augusta III, nie była mu obcą, że do każdej należał przynajmniej pośrednio, radą i wpływem, jeżeli się do niej wprost nie przyczyniał. Zapewne, że nie on zebrał bibliotekę Załuskich, ale i z Załuskim łączyła go wspólna praca. Nauka, biblioteka, a podobno i fundusze szanownego mecenasa, wielką były pomocą przy przedsięwzięciu, wymagającem tyle mozołu, szperania i nakładu, jak wydawnictwo Voluminów Legum. Dopomagali w tej pracy ogromnej Pijarzy, a niebawem zaczęli na własną rękę podobnemi się trudnić. Czy przykład tylko, czy też wprost namowa Konarskiego, skłoniły Dogiela do zebrania i wydania kodeksu dyplomatycznego, dość, że ważny ten zbiór, zródło historyczne pierwszorzędnej wartości, wyszedł na świat pijarskim staraniem, a godzi się domyślać, że się przy tem bez pomocy Konarskiego nie obeszło. A podczas kiedy to działo się w Wilnie, wydają Pijarzy w Warszawie *Kuryera Polskiego* i *Merkuryusza* historyczno-politycznego; zbierają więc jedną ręką dawne statuty i dokumenty, drugą chwytają codzienną prasę, która podówczas nie miała zapewne takiego znaczenia jak dzisiaj, ale środkiem działania na umysły przecież była. Inny Pijar, Wiśniewski, wydaje tablice chronologiczne do historyi polskiej. Byłoby to przesadą, przypisywać w tem wszystkiem tylko Konarskiemu zasługę; oczywiście było więcej ludzi dobrej woli i pracy, ale ruch nadany był przez niego, a przynajmniej przez niego ożywiony. Kto wie, czy względna czystość i poprawność języka u Minasowicza, czy ten brak ozdób

i dodatków, ta oszczędność i miara w stylu, która dochodzi do suchości, nie jest po części skutkiem uwag Konarskiego, który w stosunkach swoich z ówczesnymi literatami, musiał być apostołem tych zasad, które wyłożył w swojem dziele. Z tej części jego prac niezawodnie najpożyteczniejszą było wydanie Statutów i Konstytucyj, które dotąd rozproszone, nigdy w jeden zbiór ułożone nie były. Ważność tego dzieła, dla praktyki podówczas, dziś dla historyi, nie potrzebuje objaśnienia; ale cały ten ruch naukowy i wydawniczy, który się od wystąpienia Konarskiego obudził, usiłowania jego około poprawy stylu i smaku, wszystko to są działania zbawienne, prawdziwie cywilizujące, i obfite w najlepsze, a nawet bardzo rychłe skutki.

Wiersze łacińskie Konarskiego, ostatni odblask dawnej łacińsko-polskiej poezyi, są to po większej części wiersze okolicznościowe, poprawne, rozumne, ożywione tym samym zawsze patryotycznym duchem, ale bez wyższego poetycznego talentu. Musiały jednak być wysoko cenione, skoro każdy z tych wierszy przełożony jest na język polski, a nie jeden przez kilku różnych tłómaczów.

Tragedya Epaminondy, napisana dla młodzieży pijarskich konwiktów, przeznaczona była na to, by w nich budzić ducha bohaterstwa i poświęceń. Ale dobremu zamiarowi talent poetyczny nie dopisał; tragedya jest ciężka i martwa.

Za Augusta III trzydzieści lat spokoju. Żadnej wojny postronnej, żadnej domowej, co za błogosławiona sposobność do poprawy Rzpltej, co za długi okres czasu przed sobą, gdyby inny król, gdyby—powiedzieć trzeba, niestety,—gdyby naród inny. Tymczasem przez te lat trzydzieści nie zrobiło się nic, zostawiło się wszystko *in statu quo*, i w skutku tego dawna Polska, nie ratowana przez nikogo, próchniała i rozkładała się do reszty.

*

Jednak pod tym pozornym spokojem, raczej letargiem, krył się zaród przyszłych burz i zapasów, a w cichości i tajemnicy rozwijał się zaród nowej formacyi, wzmagał się ten kierunek, którego ostatnim wyrazem miała być konstytucya 3-go Maja; po prostu, w tej epoce głuchej ciszy i chaosu, oddzielały się jak w pierwszym dniu stworzenia ciemności i światło, a niebawem miały się zmierzyć z sobą, kto kogo przemoże. Panowanie Stanisława Augusta jest historyą tej walki, panowanie jego poprzednika jej przygotowaniem. Pierwiastki Polski nowożytnej, europejskiej, możliwej jednem słowem w nowszych wiekach, oddzielały się coraz bardziej od pierwiastków dawnej Polski oligarchicznej i szlacheckiej, zbyt zużytych i przetrawionych, żeby mogły żyć dłużej i organizm przy życiu utrzymać, skazanych na zagładę, ale zbyt jeszcze silnych. żeby się bronić nie miały. Nieszczęściem Polski było to, że oba te stronnictwa były dość silne, żeby walczyć, żadne dość, by zwyciężyć. Gdyby stronnictwo republikańsko-szlacheckie, choć zarodów przyszłości w sobie nie nosiło, było zdołało zwyciężyć w tem, co było jego najszlachetniejszym wyrazem, w konfederacyi Barskiej, byłoby może zdołało ocalić istnienie dawnej Rzpltej aż do rewolucyi francuskiej i wynikłych z niej wojen, a potem nowa byłaby się zrobiła sama z siebie. Gdyby stronnictwo zmiany rządu było dość silnem, by zmusić opozycyę do milczenia, nie dopuścić do konfederacyi B rskiej ani do Radomskiej, wtedy nie byłoby przyszło do Targowickiej. Z tych przeciwników żaden nie mógł przemódz drugiego, zwycięstwo musiał odnieść ktoś trzeci.

Czy można tak śmiało powiedzieć, że po jednej stronie było samo światło, po drugiej same ciemności, po jednej wszystek rozum, wszystka miłość ojczyzny, po drugiej samo złe, sam duch prywaty i fakcyi? Nie—absolutnie Bóg tylko może złe od dobrego oddzielić, w rzeczach ludzkich, osobistych czy zbiorowych, oka-

zują się one zawsze pomieszane. Dla nas, którzy sądzimy po owocach tych ludzi i ich sprawy, dla nas oczywiście ci lepsi, których zwycięstwo byłoby zostawiło kraj odrodzonym, żyjącym trwałem i silnem życiem innych europejskich narodów. Ale stronnik po stu latach ludzi reformy, nie może zapomnieć elekcyi Stanisława Augusta, która była gwałtem, dokonanym na Rzpltej, a zamach ten, musiał albo się udać albo podkopać ją tem bardziej. Z drugiej strony również zapominać nie powinien, że strona przeciwna, choć winniejsza, pod koniec wieku nierównie winniejsza, choć zaślepiona i przyszłości zabezpieczyć nie zdolna, kryła w sobie wiele patryotyzmu, wiele poświęcenia, wiele dobrej wiary. W tej największej tragedyi, jaka się odegrała w historyi chrześcijańskiego świata, pośrodku tych dwóch stronnictw, które w walce gubią wzajemnie siebie i to co obie uratować chciały, historya, choć to trudno, powinna się starać utrzymać rolę chóru.

Jakiż był przedmiot sporu? O co toczyła się ta walka, która się teraz podczas pozornego spokoju gotuje? Hetman Stanisław Mateusz Rzewuski, umierając, zostawił synowi Wacławowi takie przykazanie: „Zostawiam cię w Rzpltej wolnej i mądremi rządzącej się prawami. Taką wnukom przekazać, jaką ojcowie ustanowili, niechaj życia twojego będzie zadaniem. Równość szlachecką szanuj, wolności broń. Bądź zawsze gotów całą krew swoją przelać za wiarę św., za wolność elekcyi, za hetmańskiej władzy całość i za *Liberum Veto*. Są to cztery kardynalne podstawy Rzpltej“.

Oto jedni; oto polityczne *credo*, którego się trzymali Rzewuscy, Potoccy, Radziwiłłowie, Klem. Branicki, a z nimi cała rzesza szlachecka. A teraz naprzeciw tych czterech kardynalnych podstaw dawnej Rzpltej, dawnej konstytucyi stawia strona druga, Czartoryscy, Poniatowski, Fleming, później ludzie Czteroletniego Sejmu cztery inne, któremi są: Tron dzie-

dziczny, zniesienie *Veto*, a zaprowadzenie większości, wzmocnienie władzy królewskiej, obalenie potęgi możnowładztwa. Są to więc poprostu rzeczy absolutnie sobie przeciwne; pierwsze znajdziemy we wszystkich działaniach stronnictwa staro-republikańskiego, usprawiedliwionych czy potępionych, w konfederacyi Barskiej i w Targowickiej: drugie we wszystkich postępkach partyi przeciwnej, złych czy dobrych, w konstytucyi Trzeciego Maja i w elekcyi Stan. Augusta. Jakiekolwiek przebywa walka formy i koleje, i ktokolwiek w jakiej jej fazie ma po sobie słuszność i prawo, walka zawsze, stale, nieodmiennie toczy się o te cztery rzeczy.

Do tej walki miesza się i Konarski; uderza on na jedną z owych czterech kardynalnych podstaw Rzpltej, tylko na jedną. ale na sam kamień węgielny, na *Veto*.

Dzieło *O Skutecznym Rad Sposobie* wyszło dopiero w roku 1760, i to tylko część jego pierwsza, trzy dalsze w latach następnych. Czy nie zapóżno? Zapewne nigdy ratunek nie jest dość śpiesznym i wczesnym; ale prawda, powiedziana za wcześnie, może przebrzmieć bez skutku; właściwą dla niej chwilą jest ta, kiedy ludzie mogą ją zrozumieć i przyjąć. Uderzyć na źrenicę wolności w roku 1733, kiedy tej źrenicy bronili nawet tacy jak Leszczyński, nie byłożby to na darmo? Ale kiedy przez trzydzieści lat Augusta III żaden sejm ordynaryjny nie doszedł, kiedy *Veto* przez taki ciąg czasu pozbawiało Rzpltą rządu, rady, bezpieczeństwa, wykonania praw, to przecież może otworzą się oczy i głowy, może ziarno prawdy przyjmie się w umysłach i sumieniach.

Czy mamy dziś dowodzić, że Konarski miał słuszność? że *Veto* było zgubą, absurdem, przy którym dziwno, że Rzplta dziesięć lat istnieć mogła? Po cóż! Skutki dowiodły, co ono było warte i do czego wiodło.

Byłoby więc zbytecznem chwalić autora albo go bronić, a żeby go dać poznać, wystarczy treść dzieła przytoczyć.

Wstęp do *Rad Sposobu* daje rozpaczliwy obraz tej wieży Babel, tego istnego potopu, z którego każdy ratować się chce, a każdy inaczej, nikt tak, jakby potrzeba. Jeden chce reformować trybunały, drugi stawiać wojsko, trzeci nakładać podatki, cła, monopole, ratować skarb; jeszcze inny ulżyć poddanym.—Dobrze, wszystko dobrze! wszyscy mają słuszność, ale nikt nie poprawi niczego, dopóki podstawa poprawioną nie będzie: dopóki sejmy mogą i będą się zrywać, nic przeprowadzić się nie da. To jest *caput anguli*, na tem wszystko się zasadza, od tego wszystko zależy, a nie tak, żeby przypadkiem czasem niektóre sejmy dochodziły, ale żeby żaden nigdy nie dojść nie mógł, żeby każdy dojść zawsze musiał.

Godzą się nasi politycy na to, że *liberum rumpo* gubi Rzpltą, myślą nad sposobem jakby sejmy utrzymać się mogły, wymyślili ich wiele, aż trzynaście, ale cóż, kiedy żaden do celu nie wiedzie.

Następuje tedy rozprawa z trzynastu po kolei zdaniami, zebranemi z pism, z rozmów, z dyskusyi sejmikowych, zbijająca wszystko co w całej Polsce o sposobie utrzymania sejmów myślano.

Jeden z takich, *konfederacye*, jako środek jednorazowy mogą być dobre; owszem, ten sejm, którýby zmiany tak kardynalne miał zaprowadzić, musiałby odbyć się pod konfederacyą (Czteroletni): ale w zasadzie, w regule, są zgubne, bo są właśnie negacyą tych sejmów ordynaryjnych, o których utrzymanie chodzi.

Wszystkie więc sposoby złe, wszystkie, oprócz tego jednego, żeby sejmy zawsze dochodzić musiały.

Tu wtrącona jest, może cokolwiek bez związku, polemika ze zdaniem, że należy Rzpltą losowi zostawić, bo ona nierządem stoi, a sąsiedzi upaść jej nie

dadzą. Argumenty są łatwe, ale silne. Stoi ona, ale stoi tylko ciężarem swoim; stoi, bo jej nikt nie przewrócił. Wloką żywot czas niejaki państwa upadające jak człowiek, zepsowane mający wnętrzności, jakiś czas cherlać może, aż z tajemnych defektów umrzeć musi. Przykłady symptomów upadku z Monteskiusza *Grandeur et Décadence*, temi są: kłótnie patrycyuszów z ludem, prepotencya hetmanów, zepsucie obyczajów przez łakomstwo, zbytek i brak religii, wreszcie zazdrość i ambicya trybunów. Wszystko rzeczy, które były i w Polsce, a niektóre z nich, te właśnie, które partya przeciwna uważała za kardynalne podstawy Rzeczypospolitej. Jeżeli Rzym przy nich upadł, czegoż Polska spodziewać się może? A co do owych sąsiadów, kiedyby do równego podziału przyszło, co już nieraz projektowali, zobaczylibyśmy, jakby nam upaść nie dali.

Niema więc ratunku tylko w sejmach; sejm jest u nas rządem i władzą; bez niego anarchia. W tym jednym punkcie wszystko złe i cały ratunek. Powody, które nas skłonić powinny do zabezpieczenia sejmów od zrywania są: 1) Interes ojczyzny i zasada władzy (naszą jedyną władzą jest sejm), 2) Niebezpieczeństwo, że król, rządząc sam bez sejmu, łatwo pokusić się może o despotyczną władzę, a drugie, że bez sejmów sami od życia publicznego odwykamy i stajemy się do niego niezdolni. 3) Egzekucya praw, której bez sajmu być nie może. 4) Wzgarda i urąganie obcych narodów. 5) Wreszcie nadzieja lepszej przyszłości.

Na tem kończy się część pierwsza. Konkluzyi jej brak. Wiemy dotąd, ze utrzymanie sejmów jest konieczne, i że wszystkie podawane na to środki nie są niczem. Tego jednego dobrego środka, o którym autor ciągle mówi, nie mamy — co sejmy od zerwania zabezpieczyć może, nie wiemy. Autor sam to przyznaje. Zerwawszy się na rzecz tak śmiałą, jak krytyka źrenicy wolności zatrzymał się, chciał zobaczyć

i przekonać się, jak naród tę krytykę przyjmie, ażeby wiedzieć, czy przyda się na co powiedzieć mu, że niema rady tylko wydrzeć tę źrenicę, która go gorszy. Sam powiada, że wstrzymuje się ze swoją konkluzyą, aż zobaczy, jak pierwszą część przyjmą najlepsi i najmędrsi patryotowie, po tem pozna, czy ma dalsze ogłaszać.

Przyjęli dobrze. Przy części drugiej drukuje autor pięćdziesiąt kilka listów od najpoważniejszych osób; wszyscy wyznają się przekonanymi jego racyami, w liczbie tej jest więcej imion przeciwników aniżeli stronników reformy. Jedni oświadczają, że część pierwsza nawróciła ich z dawnych błędów, inni proszą o wydanie dalszych, jeszcze inni ręczą, że przekonał wszystkich. Jest tam Adam Krasiński i Wacław Rzewuski, Andrzej Zamoyski i Sołtyk, Załuski, Klemens Branicki, Lubomirski (marsz.), Ogiński. Rozgłos był ogromny, wrażenie silne. Tem poparty Konarski, w następnym roku wydał część drugą, w której mieści się konkluzya pierwszej, ów jedyny sposób utrzymywania sejmów, ów wielki sekret, którego odrazu nie chciał wyjawić.

Jakież więc będzie owo cudowne słowo zbawienia?

Było takie za bałwochwalczych czasów bożyszcze, któreśmy czcili: zwalił je Mieczysław i przekonał naszych przodków o jego nicości. Podobnie jest i teraz. Bałwana zwalić należy, do niego przyłożyć siekierę: tem fałszywem bożyszczem jest *Veto*.

Widoczne i niezaprzeczone są u nas oznaki, że coś w Danii zgniło, że zaczęła się u nas anarchia i korupcya. Czy nie narzekamy na sądy przedajne, na wojsko niedostateczne, na to, że podłość jakaś generalna opanowała umysły? Skarb uboższy, niż zagranicą u niejednego miasta, poddaństwo w ucisku, cudzoziemców opresye nieznośne, niesława, hańba, słabość całego narodu, a to wszystko czemu przypisać?

Tylko temu, że nie mamy rady, że sejmy rwą się ustawicznie.

Czy zawsze byliśmy w tak opłakanym stanie? Oj, nie. Dopóki większość nie straciła powagi w radach, bywało inaczej; straciła ją zaś po raz pierwszy na sejmie 1536, kiedy się posłowie rozjechali, nie chcąc uchwalić podatków na wojnę wołoską. Aż do tego czasu większość stanowiła o wszystkiem, mniejszość się poddawała; odtąd dopiero mówi Kromer, „starsi, powagą, mądrością i eksperyencyą zaszczyceni, musieli ustępować niewstydowi i natarczywości mniej umiejących a śmielszych, i odtąd poszło, że się nie to utrzymuje, co najsłuszniejszym ludziom i największej liczbie się podoba, ale to, co najgadatliwszym i najgłośniej krzyczącym". Jednak i po tym smutnym przykładzie, choć się sejmy rozchodziły, nikt rwać ich się nie ośmielał. Siciński pierwszy zdobył sobie tę sławę, a jak Rzplta to przyjęła, dowodzi rzucone na niego przekleństwo stanów i *amen* biskupów. I odtąd to jeden poseł zrywa sejmy, ale jakiem prawem? Żadnem. Niema prawa, niema konstytucyi, któraby na to pozwalała.

Wydaje się nie do pojęcia, żeby rzecz tak zgubna, przeklęta przy pierwszem pojawieniu, wbrew prawu utrzymać się mogła; nie do pojęcia, że zwyczaj mógł być tak mocnym, a prawo tak słabem. A jednak tak jest, zrywanie sejmów, tamowanie *activitatis* nie opierało się na żadnem prawie, było ciągłem i ciągle posłusznie znoszonem bezprawiem. Gdzież bowiem jest jego tytuł prawny?

Tu przechodzi wszystkie po kolei konstytucye sejmowe, od roku 1454 aż do 1718, i nigdzie nie znajduje prawa, któreby pozwalało sejmy zrywać.

Nie dla złego prawa więc, bo tego prawa niema, ale dla złej formy rad naszych nie dochodzą sejmy. Żądamy od siebie jednomyślności w uchwałach, która byłaby niepodobną nawet, gdybyśmy byli aniołami, nie

ludźmi; żądamy jej kiedy nie żąda żaden inny naród, jak gdybyśmy byli nie ludźmi, jak gdyby Bóg był nam dał inną naturę; a tymczasem jedyny sposób konkludowania obrad jest radzić tak, jak wszystkie narody na świecie, jak my sami za lepszych czasów: konkludować obrady *większością.*

Owóż obiecana w części pierwszej konkluzya, otóż owa tajemnica dochodzenia obrad, oto zarazem antidot na jedną z tych zasad, które partya republikańska uważała za kardynalne podstawy Rzpltej. Znieść *Veto*, zaprowadzić większość.

Jeden znowu z podstawnych punktów reformy, zamierzonej przez Czartoryskich, jeden z tych, przeciwko którym najpierwej zaprotestował Repnin. Ale jakże przekonać całą rzeszę szlachecką, że choć straci swoją kochaną źrenicę wolności, to wolności samej nie straci?

Są tacy, mówi, którzy sią boją większosci i myślą, że przy niej zginęłaby wolność. To fałsz, to przesąd. Niech się raz o tem szlachta przekona. Niech rozważy, że dawniej nie było mocy rwania sejmów, a wolność przecie była, i że Rzplta upadać zaczęła właśnie od czasu, kiedy upadła zasada większości. A co za upadek! Po tem rozważy szlachta, że to, co ma za perłę praw swoich, jest tylko bezprawiem; każdy ma prawo wolnego głosu, to prawda, i tego prawa nikt zabierać nie myśli, ale nikt nie ma prawa konkludowania, uchwalania za wszystkich Niech rozważy szlachta, że większością rządzą się wszystkie narody; wreszcie niech uważy, czem jest sejm i jego większość. Nie jest że to treść narodu, nie jest wola jego przez posłów wyrażona? Wreszcie niech pamiętają i o tem, że jednego przekupić można zawsze, czy dwór, czy panowie, czy zagraniczne mocarstwa: większości nigdy. Niech to szlachta dobrze rozważy, a wtedy uzna, że trzeba albo przyjąć zasadę więk-

szości, albo zginąć, nic trzeciego pomyśleć się nie da, nic trzeciego niema.

Zasada prawdziwa, jedyna prawdziwa, wyraz poddania się człowieka pod społeczeństwo. Przyjąwszy ją, natrafia się na trudność, na kwestyę dotąd nie rozwiązaną: jak zrobić, żeby ta większość była prawdziwym a nie sztucznym, nie dowolnym, nie złudnym wyrazem narodu? Po prostu przyjąwszy tę zasadę, nasuwają się wszystkie trudności i wątpliwości prawa wyborczego. Ale zasada była, jest i będzie zawsze prawdziwą, jedną prawdziwą.

Ale mówią niektórzy, że większość sprzeciwia się wolności. Czy słusznie? Czy nie byliśmy wolnymi za Jagiellonów, kiedy wszystko uchwalało się większością? Czy dziś jesteśmy ograniczeni w wyborach, które się tak odbywają? Czy nie jest wolnym senat choć tam większość głosów rozstrzyga? Konfederacye, z natury i prawa *sub pluralitate*, czy nie są wolne? Owszem są, a nie wolne, zawsze gwałcone i przymuszane są nasze sejmiki i sejmy, na których jednomyślności żądamy. Kontradycent słabszy zawsze musi ustąpić.

Co więcej, bez większości wolności niema i być nie może, jest tylko tyrania jednego: boimy się despotyzmu, a czyż prawdziwszy i gorszy być może jak ten, kiedy ojczyzna jest na łasce jednego i jego musi słuchać? Niema większej nad tę niewoli, a słaba jest pociecha, że jak dziś drugiego, tak jutro mnie słuchać może. A równość, ta równość, o którą tak jesteśmy zazdrośni, cóż się z nią dzieje, kiedy stu kilkudziesięciu posłów uledz muszą jednemu? Czy to równość praw, czy to polityczna równość, czy to nie despotyzm? Jak długo to prawo istnieje, jak długo jeden ma moc nad wszystkimi i nad ojczyzną, nie prawda, żeśmy wolni, nie prawda, żeśmy równi!

Autor, lubiący w ogóle stosować rzymskie przykłady do polskich rzeczy i uciekać się pod powagę

Monteskiusza, kończy część drugą swego dzieła takiem przystosowaniem.

Przyczyną upadku Rzpltej rzymskiej, mówi Monteskiusz w *Grandeur et Décandence*, było *Veto* trybuńskie, wyzyskane przez dążności absolutne; despotyzm połączył się z demagogią, żeby zgubić wolność. Trybuni, stawszy się panami ludu i Rzpltej, doprowadzili do takiej anarchii, że najcnotliwsi nawet, nawet Cato, godzili się oddać władzę jednemu, Pompejuszowi, byle przywrócić porządek.

Wtedy demagogia rzymska weszła w spisek z cezaryzmem. Trybuni, wypędzeni z Rzymu (Antoniusz i Curio) udali się do obozu Cezara ze skargą o gwałt, dokonany na Rzeczypospolitej. Cezar znalazł w tem dobry pozór, i przeszedł Rubikon.

Dotąd Monteskiusz. A w Rzymie, mówi dalej Konarski, dziesięciu tylko ludzi miało *Jus Vetandi et Intercessionis*, u nas wszyscy. Jeżeli to prawo w rękach dziesięciu zgubiło wolność i Rzpltą Rzymską, czegoż nasza spodziewać się może? Tamci zatrzymywali tylko jedno prawo, comitiów nie rwali: nasi rwą sejmy. Cóż z tego będzie? Oto, że „jeżeli sami tej nie pomiarkujemy wolności, zginie ta, nie wolność ale zapamiętała na ojczyznę i jej prawdziwe swobody licencya, nierząd nasz zgubi ją pewnie i nieochybnie przez czyje insze ręce, nie przez domowego Cezara, ale pewnie na ten czas zgubi z nią (bodajem nie domówił) i nieszczęśliwą ojczyznę. Rozerwą ją sąsiedzi na kawałki i na podział między sobą, jako kraj nierządny, kłótliwy i bezbronny, a potem zaczną się wygnania, więzienia, konfiskaty dóbr, i głowy jak makówki spadać będą. Nas ten zgubi sposób; dobrowolny i coraz gorszy nierząd, na taki wyjdzie nam koniec".

Porównanie z Rzymem okazało się prawdziwem do końca: do Cesarzowej Katarzyny II-ej, jak tam do Cezara poszli ze skargą o pogwałconą wolność Rzpltej w roku 1792 właśnie trybuni, obrońcy intercesyi *Veto*.

W roku następnym (1762) ukazała się trzecia część *Skutecznego Rad Sposobu*, najmniej ze wszystkich ważna i zajmująca. Po gruntownem roztrząśnieniu niebezpieczeństw jednomyślności w pierwszej części, po postawieniu zasady większości i wykazaniu jej korzyści w części drugiej, pozostawało autorowi powiedzieć, jak ta zasada ma być wprowadzoną w życie, pozostawała zatem rzecz może najważniejsza. To atoli stanowi treść czwartej dopiero części i konkluzyę całego dzieła. Trzecia przeznaczona jest w połowie na to, aby pomieścić te jeszcze argumenty przeciw zrywaniu sejmów, które w dwóch pierwszych miejsca nie znalazły, w drugiej połowie na to, aby dla myśli autora pozyskać jak najwięcej stronników, aby perswazyą i ustępstwami zbliżyć się do tych, po których mógł sobie obiecywać poparcie.

Żeby więc do reszty przekonać upartych i wątpiących o zgubności rwania sejmów, przywołuje autor na pomoc całą historyę polską, historyę wszystkich sejmów od pierwszego niedoszłego (1536). Przechodzi jeden po drugim i wykazuje faktami, że każdy bez jednego wyjątku zerwany był czysto tylko przez intrygę, i że każde zerwanie pomściło się na Rzpltej, bądź to oczywistemi klęskami, bądź utratą korzyści, jakie mogła była osiągnąć. Nieraz od dojścia sejmu zależało wzmocnienie jej stanowiska w Europie, utrzymanie prowincyj hołdowniczych, nieraz przez dojście sejmu mogła Polska znaleźć się w takich warunkach, któreby ją były zrobiły mocarstwem pierwszego rzędu, nieraz mogła uratować się od klęsk, które ją do upadku doprowadziły: ale w takiej stanowczej chwili zawsze sejm został zerwany.

Pomimo tych wszystkich dowodów, pomimo, że rzecz jest jasna jak dzień, są tacy, którzy większości zawsze opierać się będą, do których ani rozum, ani oczywistość przemówić nie mogą: na upór rady niema, i takich próżno nawracać. Ale oprócz nich, naj-

głośniejszych i najkrzykliwszych zelantów, są w kraju dwa zdania, dwa odcienie opinii, dwa stronnictwa zgodne z sobą co do celu, t. j. chcące sejmy od rwania zabezpieczyć, niezgodne jednak co do środków. Jedni, nietylko się większości nie boją, ale owszem widzą w niej jedyny ratunek; drudzy nie ufają większości, boją się, żeby jej dwór zawsze na swoją stronę nie przeciągnął, ale szukają także jakiegoś pewnego sposobu na dochodzenie sejmów. Otóż, z tymi, skoro tego samego chcą, warto poszukać zbliżenia i porozumienia.

Otóż ci najgorliwsi z republikanów, o potrzebie sejmów szczerze przekonani, zgodziliby się na *większość*, gdyby mieli pewność, że dwór jej do swoich widoków nigdy użyć nie potrafi. Pod warunkiem więc wybieralności wszystkich urzędów i dostojeństw, przystaliby republikanie na zaprowadzenie większości.

Naprzeciw nich jest opinia druga, która większości chce tak samo, ale nie chce odbierać królowi rozdawnictwa urzędów, bo twierdzi, naprzód, że byłoby to niesłusznem ograniczeniem władzy królewskiej i zupełną zmianą dzisiejszej formy rządu; powtóre, że ministrowie nie przystaliby na to, z powodu, iż wybieralnych organów podwładnych nie mieliby w ręku; wreszcie, że w praktyce byłaby to rzecz arcy-trudna, bo każdy wybór stałby się zawsze w każdem województwie powodem wojny domowej. Ci więc chcą większości, ale odrzucają elekcyę wszystkich urzędów.

Pomiędzy jednymi a drugimi staje Konarski i jego opinia (republikanci pośredni), i usiłuje wynaleść jakiś grunt wspólny, na którym obie strony mogłyby się spotkać, szuka programu, któryby obie zaspokoił tak, żeby obie potem w zupełnem porozumieniu dla *większości* mogly pracować.

Oczywiście program taki może się opierać tylko na obustronnych ustępstwach, musi nosić cechę kompromisu, a w rezultacie mieć i jego złe strony.

Zatem od jednych, od republikantów w sensie Kar-

wickiego żąda Konarski, żeby się zgodzili na zaprowadzenie większości zaraz, a przeniesienie *Justitiae Distributivae* na Rzpltą, pozwolili odłożyć do bezkrólewia. Nie sprzeciwia się wybieralności, owszem, gotów jest ją przyjąć; ale z natury rzeczy, z tysiącznych względów wynika, że nie można zaprowadzić jej za życia króla, odbierać mu to, co paktami było mu dane, lecz dopiero po jego śmierci. Tymczasem wprowadzenie większości jest ze względu na dochodzenie sejmów rzeczą tak nagłą i tak konieczną, że nie można się z niem ociągać ani chwili. Gdyby zatem republikanci chcieli się na nie zgodzić, to strona przeciwna powinnaby przy rzec im ze swojej strony, że podczas bezkrólewia poprze sprawę wakansów. Żeby zaś do reszty uspokoić ich obawy i podejrzenia przeciwko większości, możnaby postanowić, że każda uchwała zapadać ma większością trzech czwartych części głosów.

Taki jest plan kompromisu, *planta pośrednich*: błędny oczywiście w tem, że chce zaprowadzić większość tak trudną do otrzymania, jak trzech czwartych części głosów. Przy takim warunku żadna strona nie mogłaby wiele przeprowadzić; sejmyby dochodziły, ale rzadko kiedy stanęłaby uchwała. Godząc się na to, o co republikantom najbardziej chodziło, na sprawę wakansów, powinien był Konarski okazać się w tym punkcie twardszym, i uprzeć się przy prostej większości głosów, do której też w części czwartej sam powraca i innych zachęca.

Pozostaje mu jeszcze zbić jeden zarzut przeciwko większości, ten mianowicie, że gdyby Rzplta zaprowadzić ją chciała, spotka się z takim oporem państw sąsiednich, którego przełamać nie zdoła; lepiej więc nie próbować, niż się potem ze wstydem cofać. Że przewidywania te były słuszne, dowiodły fakty, a Konarski, usiłując uspokoić pod tym względem opinię, wpada w argumentacyę błahą i naiwną, tak, że trzeba chyba przypuścić, iż sam niezupełnie wierzył w swoje racye.

i szafował niemi dlatego tylko, żeby uśpić obawy innych. Twierdzi bowiem, że sąsiedzi nasi nie mogą życzyć sobie utrzymania nierządu w Polsce (*Veto*), gdyż nierząd ten przez anarchię doprowadzić musi do despotyzmu, do monarchii dziedzicznej. Ta byłaby nie równie silniejsza i sprężystsza od Rzpltej; sąsiedzi zaś Polski silnej nie chcą; nie chcą w Polsce monarchii, chcą Rzpltej. Że zaś ta bez sejmów istnieć nie może, przeto im samym zależy na tem, żeby sejmy dochodziły, żeby *Veto* było zniesione. Rozumowanie to jest bardzo słabe. Sąsiedzi wiedzieli dobrze, że po anarchii despotyzm musi nastąpić, ale wiedzieli równie, że nie będzie to despotyzm swojski i polski, ale ich własny; do tego dążąc, chcąc Rzpltą zdławić, musieli utrzymywać nierząd, musieli bronić *Veto*, jako najgłówniejszego dla siebie warunku sukcesu, i tak też robili.

Po trzech tomach dowodów, długich nieraz i powtarzanych, tak, że książka jest dość męcząca, dobijamy się wreszcie w części czwartej do rzeczy najważniejszej, do projektu: żeby zaś ten projekt nowej konstytucyi dla Polski poprzeć jeszcze przykładami, poprzedza go autor przeglądem wszystkich konstytucyj państw nie absolutnych w Europie. Jest więc *Forma Rad* w dawnej Rzpltej Rzymskiej, potem w Rzeszy Niemieckiej, w Anglii, Szwecyi, w Wenecyi, w Genuy, w Szwajcaryi i w Holandyi, a z całego tego szeregu różnych konstytucyj pokazuje się, że wszędzie jest większość i wszędzie przez większość wolność. Zestawienie to prawa publicznego różnych krajów, zrobione jest bardzo sumiennie, z odwoływaniem się do źródeł, z pociąganiem do pomocy ludzi świadomszych, niż autor, niektórych szczegółów. I tak cytuje co chwila *Vatela Droit des gens*, *de Réala Science du gouvernement*, *Amelota o Wenecyi*; jeżeli z książek nie może się dostatecznie oświecić, zapytuje ludzi. I tak naprzykład, żeby się dowiedzieć dokładnie o konstytucyi szwedzkiej, podaje szereg pytań posłowi szwedzkiemu, panu baronowi

Hoepken, który na wszystko na piśmie daje odpowiedź. O Anglii znowu zadaje pytania podobne księciu generałowi Czartoryskiemu, jako z tym krajem obeznanemu, i chwali go z rozumnych odpowiedzi. Istotnie odpowiedzi są doskonałe, jasne, wyraźne i wyczerpujące; ale bardziej od nich uderzają pytania. Nie pyta bowiem Konarski tylko o takie rzeczy, które stanowią samą istotę konstytucyi; nie ujmując nic odpowiadającemu, trzeba powiedzieć, że pytania same tak go prowadziły, iż w odpowiedziach musiał dać zarys bardzo wystarczający systemu reprezentacyjnego w Anglii.

Zdaje się, że ta konstytucya była ideałem Konarskiego, bo i najdłużej się nad nią zatrzymuje, i co może stosuje z niej do swego pomysłu o sejmach polskich. Plan jego jest połączeniem dawnych pomysłów Leszczyńskiego, a nawet Karwickiego z tymi wzorami, których dostarczyły konstytucye obce, a głównie angielska

Otóż owa *planta* skoncertowana z najpoważniejszymi ludźmi, przerabiana kilkadziesiąt razy, owoc zapewne długich, trzydziestoletnich rozmów i namysłów stronictwa.

Sejm ma trwać zawsze. Wybierany jest na lat dwa, a sam na przeciąg swojej kadencyi wybiera sobie marszałka. Otwiera się regularnie w Oktobrze, a obraduje, dopóki czynności swoich nie ukończy. Jeżeli jest potrzeba, król może go zawsze zwołać przed prawem oznaczonym terminem.

Sejmików miałoby być tyle, ile jest w którem województwie ziem i powiatów, a sejmik każdy wybiera na sejm czterech posłów, oraz, na przypadek śmierci dwóch zastępców. Każdy powiat lub ziemia ma prócz tego cały komplet swoich urzędników, taki jak dziś województwo, z jednym senatorem (kasztelanem). Wszystkie te urzędy są wybieralne, senatorowie także. Jest to dotrzymanie słowa republikantom, ale zarazem jest i coś innego, zmiana zamierzona terytoryalnego

podziału, dążenie do zatarcia województwa jako jedności terytoryalnej, a postawienia w jego miejscu powiatu, w celu oczywiście łatwiejszej potem centralizacyi. Coś podobnego, tylko nierównie łagodniejszego, jak zrobiła rewolucya francuska, kiedy zniosła prowincye, a zaprowadziła departamenty. Powód tej wielkiej liczby posłów jest ten, że przy ciągłym sejmie zawsze jeden by nie wystarczył—we czterech mogą się luzować, najmniej dwóch musi zawsze być na sejmie. Sejmiki same wyznaczają płacę swoich posłów.

Również powiększona ma być liczba senatorów na 240, i to z tego samego powodu, żeby prawem przepisany komplet senatu zawsze mógł znajdować się w Warszawie. Komplet ten oznacza się na 60.

W przerwach między sejmami ma być przy królu rada z władzą wykonawczą, do egzekwowania uchwał sejmu i załatwiania bieżących czynności. Jest to istniejąca instytucya rezydentów, tylko zmieniona, poprawiona. Składa się rada z ministrów, z dwunastu senatorów i 24 posłów. Pierwszych wybiera król z senatem, drugich izba poselska. Rada ta nie urzęduje przez cały czas kadencyi sejmowej, ale zmienia się co roku.

Dzieli się ona (w myśl króla Stanisława) na cztery departamenty: sprawiedliwości, wojny, skarbu, policyi. W każdym departamencie po trzech senatorów i sześciu posłów. Prymas ma przywilej należenia do wszystkich departamentów. Że zaś hetman z natury swego urzędu nie może znajdować się w Warszawie, ale musi być przy wojsku, przeto w jego zastępstwie w departamencie wojny zasiadałby minister *Consilii Bellici*.

Rzucone to tak nieznacznie i z cicha, jak gdyby rzecz najprostsza i najobojętniejsza, a jednak nie jest to nic innego jak zamach na władzę hetmańską. Oczywiście ten minister wojny w Warszawie byłby przełożonym wodza, stojącego na czele wojska. Zmiany tej nie poprzedza autor żadnym wywodem, nie zapowiada,

że chce cokolwiek zmienić, nie wspomina ani słowem o władzy hetmańskiej, tylko milczkiem, krytym sztychem zadaje jej cios śmiertelny. Druga to już z owych zasad, które stary Rzewuski uważał za kardynalne podstawy Rzeczypospolitej. Czy Konarski nie czuł i nie wiedział jak daleko sięga ta zmiana, że o niej mówi tak mało i nie zwraca na nią uwagi? To się nie da pomyśleć. Wie on dobrze, co wnosi i proponuje, a milczy dlatego, żeby się inni nie spostrzegli—wie, że tej ogromnej reformy wprost i otwarcie nie przeprowadzi, i próbuje, czy jej nie zdoła przemycić.

Ile razy król zażąda, mają się zebrać wszystkie departamenty na radę ministeryalną; że zaś osobnego departamentu spraw zagranicznych niema, przeto do traktowania z ministrami państw obcych przeznacza król po jednym senatorze i po jednym pośle z każdego departamentu.

Pierwszą czynnością po otwarciu sejmu, jeszcze przed wyborem nowego marszałka, mają być rugi, a to z powodu, żeby żaden poseł nieprawnie wybrany do żadnej czynności nie należał. Potem dopiero następuje wybór marszałka przez tajne głosowanie.

Porządek materyj i rozpraw, porządek dzienny, oznacza sam marszałek, a wybiera materye z dwóch sumaryuszów: jeden sumaryusz rady obejmuje wnioski rządowe, drugi sumaryusz marszałka, propozycye województw i sejmików. Wnioski osobiste posłów nie wchodzą w sumaryusz, ale podają się marszałkowi osobno na piśmie. Marszałek wtedy zapytuje, czy izba chce ten wniosek wziąć pod obrady; jeżeli tak, w swoim czasie przychodzi na porządek dzienny; jeżeli nie, wolno wnioskodawcy jeszcze dwa razy na tej samej sesyi go powtórzyć. Każdy wniosek ma być zredagowany jako projekt do konstytucyi; każdy musi być wydrukowany i rozdany, i nie może przyjść pod obrady prędzej, niż w 24 godziny po rozdaniu. Każdy przed głosowaniem musi być trzy razy czytany. Potem do-

piero można głosować. Ale jak? Oczywiście rozstrzygać musi większość, tylko jaka? Autor, który poprzednio dla zaspokojenia przeciwników większości, godził się na większość trzech czwartych części głosów, teraz odstępuje od tej myśli. Przekonał się, że większość tak znaczna wychodzi tylko na korzyść fakcyi, żadna uchwała nie byłaby pewną przejścia, bo do takiej większości bardzo łatwo jest nie dopuścić; a zatem zaleca stanowczo, iżby wszystko uchwalało się prostą większością głosów. Żadna materya nie może być wyjętą z pod zasady większości, żadna nie potrzebuje jednomyślności, przy żadnej nie ma kontradykcyi, ani protestacyi.

Zaprowadzenie porządku obrad tam, gdzie go nigdy nie było, jest samo w sobie zmianą wielką i bardzo pożyteczną; ale pod tym płaszczykiem próbuje Konarski ukryć i przemycić zmiany daleko jeszcze znaczniejsze. Widzieliśmy już jedną taką, kiedy wprowadzał ministra wojny obok hetmana; teraz zjawia się druga, pod pozorami równie skromnymi, sięgająca może jeszcze dalej. Tycze się ona stanowiska senatu i stosunku jego do izby poselskiej. W teoryi zajmował niby senat stanowisko wyższe od izby poselskiej, w praktyce nie miał najmniejszego wpływu, był teoretycznym czynnikiem władzy prawodawczej, ale naprawdę miał w niej udział nader mały. Na końcu każdego sejmu było pięć dni, przeznaczonych na połączenie obu izb, i wtedy to wszystkie konstytucye, uchwalone w izbie poselskiej, przedstawiały się senatowi. Rzecz prosta, że nie miał on czasu nietylko ich przedyskutować, ale nawet porządnie przeczytać, i że wpływ jego na uchwały był czysto nominalny, a odwołanie się do niego ceremonią bez treści i skutków.

Konarski żąda dla senatu takich praw, jakie ma izba lordów w Anglii. Jak tam każdy bill, tak tu każda konstytucya, uchwalona przez posłów, musiałaby iść do izby wyższej. Ta po rozprawach mogłaby ją przyjąć

lub odrzucić; dla uspokojenia jednak podejrzliwości stanu rycerskiego, możnaby postanowić, że senat odrzucić może konstytucyę tylko $^9/_{10}$ częściami głosów. Tylko taka konstytucya jest ważna, na którą się obie izby zgodzą. Jeżeli więc senat odrzuci ją lub zmodyfikuje, mają nastąpić konferencye pomiędzy nim a izbą poselską w celu porozumienia. Żadna konstytucya nie ma mocy prawa, dopóki nie dostała sankcyi królewskiej. Czy król ma prawo sankcyi odmówić lub ją wstrzymać, tego autor nie mówi.

Charakterystyczne jest to dążenie do reorganizacyi senatu na wzór angielski. Racye, jakie się podaje, są dość powierzchowne, ale niewinne, niezdolne obudzić niczyjego podejrzenia; rozprawy będą gruntowniejsze, uchwały dojrzalsze. Na dnie tej dążności zaś leżą widocznie dwie rzeczy: chęć urządzenia Polski na wzór państw zagranicznych, i znajomość tej filozofii angielskiego systemu parlamentarnego jak ją odkrył i wyłożył Monteskiusz (*Esprit des Lois*). Tam stronnictwo reformy musiało czerpać swoje pomysły i szukać dla nich teoretycznej, filozoficznej podstawy. I to znowu zjawisko całkiem nowe w naszej literaturze, która albo dążności filozoficznej nie miała wcale, albo aż do ostatnich czasów nie wychodziła po za filozofów starożytnych.

Po krótkim projekcie reorganizacyi sejmików, autor, chcąc czy to ułatwić innym robotę, czy też dać przykład w tem, czego żądał od innych, układa swój projekt sejmowego porządku w formę konstytucyi. Zważywszy: (motywy wyjęte z treści całego dzieła) „My Stany Rzpltej zgromadzone etc. etc., abrogujemy raz na zawsze *Liberum Veto*, postanawiamy, że na wszystkich sejmikach i sejmach rozstrzygać ma większość, wreszcie przepisujemy porządek obrad sejmowych i t. d.

Czy już koniec? Zostaje jeszcze jedno, prawdziwie *in cauda venenum*. Na ostatku, nieśmiało, z ogródki rzucona myśl dziedziczności tronu. „Zda mi się, mówi,

żem już do lądu przypłynął, a jeszcze mnie coś od niego odpycha; świeża z jednym przyjacielem rozmowa zmusza mnie, abym jej czytelnikom uczynił choć krótką relacyę".

Przyjaciel, który przeczytał pilnie całe dzieło, zapytuje autora, czyli zasadę głosowania większością stosować trzeba i do elekcyi królów, jakoteż, co w ogóle o elekcyi myśleć należy. Autor odpowiada, że to wielka kwestya, której rozstrzygnąć nie czuje się na siłach, że jednak sądzi, iż przy tych elekcyach właśnie, większość jest najkonieczniejsza, bo nie było dotąd żadnej elekcyi, na którejby owa chimera *unanimitais* była rzeczywiście zachowaną; nie było więc ani jednej prawnej i porządnej, a scysyi i wojen z tego powodu nacierpieliśmy się dosyć i my i nasi przodkowie. Oświadcza się zatem przeciw elekcyi *Viritim*. Czytelnik dziwi się, dlaczego tak nieśmiało i jak gdyby półgębkiem, kiedy Karwicki i Leszczyński nie bali się mówić o tem otwarcie, kiedy niebawem pokazuje się, że idzie on nierównie dalej od nich obudwóch. Przerywa mu bowiem mowę przyjaciel, i mówi, że tak się boi scysyi i wojen podczas *Interregnum*, „że wolałby już naśladować w tej mierze dawne naszych przodków za Piastów i Jagiellonów, i dzisiejsze Anglii i Szwecyi przykłady, gdyby się nie bał absolutności w dystrybucyi wakansów".

Tę koncesyę robi mu autor natychmiast; i owszem! nic słuszniejszego jak odebrać królowi dystrybucyę wakansów, starostw i królewszczyzn, byle mu hojny dochód zapewnić. Król nie szkodowałby na tem wcale, a i naród źleby na tem nie wyszedł „gdyby przywrócił dawny zwyczaj przodków i owo nieprzerwane ich przywiązanie do Piastów i Jagiellonów, a nieszczęścia i klęski *Interregnów* na długie wieki odwrócił".

Co znaczy ta myśl najważniejsza, wtrącona mimochodem na samym końcu dzieła, kiedy o niej samej możnaby tomy napisać? Oczywiście jest to próba, do-

świadczenie, jak też ta próba będzie przyjętą, czy odjęcie królowi rozdawnictwa wakansów wydałoby się rękojmią dostateczną i dostateczną kompensatą, za utratę wolnej elekcyi? To gołąb wypuszczony z arki: po każe się z czem wróci, co przyniesie, czy można lub nie, odezwać się głośno i śmiało z myślą dziedzictwa tronu. To znowu jedna sprzeczność z politycznem *credo* partyi oligarchiczno-republikańskiej. Atakował *Liberum Veto*, zamierzył się na władzę hetmańską, teraz próbuje, czy można z nadzieją powodzenia uderzyć na elekcyę. Znowu jedna z tych zasad, na których oprzeć się miała reforma Czartoryskich, najtrudniejsza do przeprowadzenia, a jednak tak jak tamte doprowadzona do tryumfu w konstytucyi 3-go Maja

W ogóle ostatnia część dzieła, to co stanowi jego konkluzyę i część praktyczną, projekty do zmian w konstytucyi, to przechodzi o wiele pierwotne założenie i obejmuje więcej, niż autor z góry zapowiadał. Zdaje się ciągle, że chodzi mu tylko o rzecz jedną, o zniesienie *Veto* i zaprowadzenie większości, a tymczasem pod tą flagą kryje się towarów więcej. Projekt urządzenia obrad sejmowych nie poprzestaje na prostem wprowadzeniu większości głosów, ale żądając ciągłego sejmu, żądając rad ministeryalnych, posuwa się do całkowitej reformy konstytucyi. W tych pomysłach, ministerya i sejm, idzie Konarski za tem, co przed nim powiedział był Leszczyński, nawet Karwicki. *Veto*, którego złe skutki tamci przeczuwali raczej, niż jasno rozumieli, które ograniczali, a właściwie mimo swojej woli znosili, u tego potępione jest stanowczo z całą siłą świadomości i przekonania. To ma z nimi wspólnego i tem ich w tej wspólności przewyższa. Ale zarazem ma on pojęcie i dążności, należące już do innej epoki; wzoru i ideału swego szuka już po za Polską, stara się przypodobnić ją do państw zagranicznych, studyuje wszystkie konstytucye, przemienia senat na wzór angielskiej izby lordów, wreszcie stawia choć

niewyraźnie i nieśmiało dwie myśli, o których się tamtym nie śniło: ustanowienie w rządzie władzy, któ-ra *de facto* byłaby od hetmańskiej wyższą, i tron dziedziczny. To połączenie pojęć i dążności reformatorów dawniejszych, z temi które dopiero w sejmie czteroletnim znalazły swój wyraz, miałem na myśli, mówiąc na wstępie, że w Konarskim schodzą się dwie epoki, a on stoi na ich pograniczu.

Z rokiem ukazania się ostatniej części *Skutecznego Rad Sposobu*, z rokiem śmierci Augusta III, kończy się pierwszy z tych okresów, na które rozpada się nasz wiek XVIII pod względem literackim, równie jak historycznym. Przebrnęliśmy przez najsmutniejszą epokę ciemnoty i upadku, przez tę, która zostawiła po sobie najgorsze i najmniej chwalebne wspomnienia; w chwili kiedy mamy się od niej odwrócić, obejrzyjmy się jeszcze raz za siebie, żeby wbić sobie w pamięć jej obraz, i jeszcze raz rozważyć dlaczego i jakim sposobem, po początkach bardzo świetnych, mogliśmy tak zubożeć i podupaść.

A więc ten powód? w czemże on leży? Oto w tem, że Polska nie dość ściśle, nie dość pilnie przestrzegała tej reguły i prawa: żyć tem, czem się powstało, a pełnić pilnie i ściśle obowiązek utrzymywania swego życia. Nie wyparła się Polska nigdy cywilizacyi zachodniej i łacińskiej, nie sprzeniewierzyła się jej, to jej zasługa i jej jedyny ratunek. Ale obowiązków, jakie ztąd na nią spadły, nie umiała pilnować, i dlatego umysłowo upadła tak nizko, dlatego może upadła politycznie.

Obowiązek zasłaniania Europy i siebie przed wdarciem Wschodu, pod jakąkolwiek postacią, wypełnialiśmy różnie: raz świetnie, po rycersku, po bohatersku, to znowu miękko, niedołężnie, niezupełnie, a zatem źle, tak, że nieraz mogliśmy raz na zawsze spełnić ten obowiązek i zakończyć tę misyę, a nie zrobiliśmy tego przez gnuśność, przez ciężkość, przez miłość wczasu, przez nadużycie wolności,—czasem przez krótki wzrok

lub osobiste powody. Jednak na tem polu robiliśmy, i wszystko razem wziąwszy, zrobiliśmy wiele.

Ale mieliśmy drugą konieczność i drugi obowiązek, więcej względem siebie samych, niż względem innych, wynikający zawsze z tego samego prawa, i w tem zaniedbywaliśmy się bardzo. Żyć tem, czem się powstało, to znaczy żyć ustawicznie, ciągle, bez przerwy, i zupełnie, jak może być po ludzku najwszechstronniej; zatem dla nas, którzyśmy z cywilizacyi europejskiej powstali, znaczyło to iść z nią zawsze równym krokiem, nigdy w tyle nie przyzostać, nigdy nie zaspać, i to we wszystkich kierunkach jej życia. Zatem, na polu politycznem pilnować swego miejsca między innymi, nie dać się z niego wypchnąć, nie dać o sobie zapomnieć, należeć do wszystkich spraw, obchodzących Europę, wchodzić w systemy aliansów, tak, żeby nikomu nie mogło nawet przyjść na myśl, że w załatwieniu jakiejś wielkiej sprawy można się obejść bez Polski. Czyśmy o tem pamiętali?

W umiejętności, powinniśmy byli tak jak w wieku XV i XVI i sami pracować, i przyswajać sobie owoce pracy innych; tymczasem stanęliśmy na miejscu i zagrzęźliśmy w średnich wiekach. W wojskowości, w rolnictwie, w pojęciach i urządzeniach ekonomicznych, zamiast, jeżeli już nie odkrywać nowe prawdy, to przynajmniej żądać ich, i przyjmować je; my znowu nie troszczyliśmy się wcale o to, co się w koło nas działo, mówiliśmy jak dziś jeszcze mówi chłop, któremu radzą, żeby poprawił chałupę lub lepiej ziemię uprawiał, „Było tak za ojca i dziada i było dobrze, może być i teraz". W literaturze wreszcie, nie mówiąc o poezyi, bo tej stan zależy od wielkich talentów, które naród w kwitnącym nawet stanie nie zawsze wydaje, w literaturze choć się nie urodził u nas Milton ani Molière, mogliśmy przecie korzystać z Bossueta, z Pascala, z Fenelona, z Leibnitza, później z Monteskiusza, z Herdera, z Lessinga. Zamiast tego my aniśmy wie-

dzieli, ani chcieli wiedzieć o tem, co się działo w Europie, własną siłą nie szliśmy naprzód, więc musieliśmy wypaść z tego porządku, dojść do zdziczenia u siebie, do zapomnienia u innych.

Czyż trzeba dodawać, że cywilizacya ma tę własność, co perły, które trzeba nosić ciągle, bo inaczej tracą blask i zamierają? Pierwszym jej warunkiem jest ciągłość, nieprzerwalność pracy i działalności. Jest to ogień, który potrzebuje być strzeżonym i podżeganym zawsze, jak ogień Westalek. My strzegliśmy go zawsze tylko sposobem przerywanym, paroksyzmowym. Nie można o nas powiedzieć, żebyśmy nie mieli upodobania w oświacie, owszem, mamy do niej i zmysł i pociąg, który niekiedy staje się zapałem; ale tego nie mamy w naturze, czy nie chcemy rozumieć, że żaden postęp w żadnym kierunku, w rolnictwie, w przemyśle, w umiejętności, we wszystkiem, nie da się osiągnąć stale i pewnie bez ciągłego ćwiczenia i używania sił i zasobów. My od czasu do czasu zdobywamy się na skok duży, niekiedy zadziwiający, ale po tym skoku odpoczywamy; zamiast patrzeć przed siebie na ten kawał drogi, który przed nami zostaje, oglądamy się w tył, i z upodobaniem podziwiamy swój ostatni skok. Gnuśności, skłonności do spokojnego używania, nieszczęściem nie możemy się wyprzeć. Słowacki z genialną intuicyą scharakteryzował naszą naturę w tym Lechu, którego sam nazywa „praszczurem Sobieskiego". Żona mu mówi, „ty masz lwią naturę, bić się, albo spać" — my wszyscy jesteśmy i zawsze byliśmy tacy: przyciśnieni gwałtowną potrzebą, znajdujemy energię i myślimy o sobie, zaspokojeni—usypiamy. Po tym skoku, jakiśmy zrobili w wieku XVI, zdawało nam się, że możemy wypocząć, że stanąwszy na pewnej wysokości, już się z niej nie schodzi, i stanęliśmy: zaniedbaliśmy tych ciągłych związków z Francyą i Włochami, którym tyle zawdzięczaliśmy, zatrzymaliśmy ten nieprzerwany prąd umysłowy, który przedtem szedł

ztamtąd do nas i na odwrót, poprzestaliśmy na tem co już było nasze, i zupełnie jak najedzony lew poszliśmy spać. Coś podobnego zrobiliśmy i później. Skok zro biony w połowie XVIII wieku, ta literatura, która się po nim zjawiła, znowu tak nas zaspokoiła czy wyczerpała, żeśmy znowu stanęli. Cała Europa weszła na nowe drogi, nawet Francya przestała wierzyć w swój estetyczno-literacki i poetyczny monopol, a u nas Towarzystwo Przyjaciół Nauk żadnym sposobem nie chciało wyprzeć się La Harpa i Racina, ani pozwolić na Szekspira i Lessinga. Znowu byliśmy spóźnieni o lat kilkadziesiąt; dlaczego? bo zamiast iść ciągle, skaczemy.

A jakież były skutki? Skutki wykazuje historya, wykazuje także ta literatura, której przegląd kończymy. Przypomnijmy sobie tę poezyę zdziczałą, która zatraciła razem i piętno natchnienia i doskonałość formy, która przestała wiedzieć o tem, że jest i powinna być sztuką. Kiedy się widzi rzeźby rzymskie z epoki późniejszych cesarzów, zdaje się, że to pierwsze niezgrabne próby dzikich ludzi, Indyan, Nowo-Zelandczyków, lub tym podobnych; tak samo, czytając te ciężkie niezgrabne poematy Jabłonowskiego, pozbawione natchnienia, uczucia, harmonii, formy, nawet wiersza, te potworne dramaty Załuskiego, możnaby myśleć, że to ludzie jacyś pierwotni, bez żadnej tradycyi wykształcenia i oświaty, którzy po raz pierwszy próbują lepić formy poetyczne, i zdobywają się na monstra. Tymczasem, przed rzeźbami z epoki Konstantyna, były piękne dzieła epoki Augusta; przed Jabłonowskim i Drużbacką, był Kochanowski, więc to nie pierwotna dzikość, ale cywilizacya zepsuta i zdziczała, tak zdziczała, że straciła aż do pamięci, aż do nocyi dobrego, aż do instynktu. A w tym czasie kiedy u nas Załuski, więcej z dyletantyzmu, z popędu krytycznego i literackiego pisze swoje dramaty, obok nas, z podobnego także popędu bierze początek *Emilia Galotti* i *Natan*. Czy może

być większa odległość, większa przepaść, czy może coś lepiej charakteryzować nasz upadek i zacofanie, jak proste zestawienie tych dwóch ludzi i ich produkcyj? I Lessing nie był poetą, i on pisał dlatego, żeby naukę, którą szerzył, objaśnić przykładami, żeby pokazać jak pisać trzeba; ale różnica pomiędzy pojęciami jego a naszych literatów i mecenasów, zatem pomiędzy pojęciami Niemców, a naszemi, jest taka, jak pomiędzy obrazem dobrego malarza a figurami, które dzieci wiejskie rysują na ścianach karczem. Później, kiedy my zmuszeni jesteśmy pocieszać się tem, że lepszy język i wiersz Rzewuskiego naprzykład jest postępem, że wprowadzenie smaku francuskiego jest postępem, wtedy już ten nasz wzór jest osądzony i skazany, wtedy Göthe już cierpi prześladowanie za swój zapał dla Klopstocka; jeszcze kilka lat, a zaczną w jego głowie powstawać *die schwankenden Gestalten*, z których złoży się Faust, Egmont gotowy i skończony ukaże się niezadługo. Zróbmy porównanie. I ta sama różnica we wszystkiem. Historya nie jest może najsilniejszą stroną XVIII wieku, a jednak jest to epoka, w której Monteskiusz tłómaczy upadek Rzymu, a Gibbon go opisuje; u nas, przypomnijmy sobie te suche kompendia, te katalogi królów, te historye wielkich domów, u nas najlepszem dziełem historycznem z tego czasu jest kronika, rzecz o lat dwieście spóźniona. W naukach? Nauk niema. Cały ten ruch umysłowy, krytyczny XVIII wieku, tak różnorodny, wnoszący tyle światła we wszystkie stosunki przeszłości i teraźniejszości, cały ruch filozoficzny, zgubny i fałszywy, ale silny i ostrzący myśl, odbywa się bez nas: w Europie powstaje Encyklopedya francuska, a u nas *Nowe Ateny*.

Literatura polityczna, jedna może nas choć trochę pocieszyć. Ona jedna wykazuje dwóch lub trzech ludzi myślących, rozumnych; ona jedna ma życie i usiłuje życie utrzymać. Stworzyły ją niebezpieczeństwa kraju, one ją powołały do życia, i pod tym wpływem

ona sama wpływa, działa, wywiera skutki. Ale i pod tym względem nawet, czy możemy być z siebie kontenci? Czy możemy równać, a choćby tylko przybliżyć naszego Leszczyńskiego lub Konarskiego do największego może obok Macchiavela z teoretycznych polityków, do Monteskiusza? Nawet to, co u nas najwyższe i najlepsze, byłoby gdzie indziej zaledwie drugorzędnem.

A więc stan polityczny, który niebawem miał się zakończyć utratą niepodległego bytu, stan społeczny przygotowany do rozkładu, stan umysłowy, oświata i literatura w najgłębszym upadku, stan ekonomiczny taki, że drugorzędne miasta w Europie były bogatsze, niż Rzplta polska, te są znamiona epoki, którą kończymy, i skutki tego, żeśmy zaniedbali żyć tem, co było pierwiastkiem naszego umysłowego i politycznego życia.

Teraz zacznie się epoka inna, epoka nawrotu. Cała jej praca, wszystkie jej usiłowania wytężone do tego, żeby Polsce przywrócić to stanowisko pomiędzy europejskimi narodami, które była straciła. Praca ogromna, tytaniczna, praca na wszystkich punktach i we wszystkich kierunkach. W polityce rozpaczliwe, tragiczne usiłowania ratunku; warunki jego pojęte rozmaicie, po części błędnie, ale ostatecznie, przez ogromną większość narodu trafnie. W literaturze naraz czynność ogromna, wielostronna; niema tej nauki, któraby była zaniedbaną, tego pola, któreby leżało odłogiem; zjawiają się poeci i uczeni, po raz pierwszy od XVI wieku prawdziwi w Polsce uczeni w całem znaczeniu słowa. Historycy i statyści, ludzie czynu i ludzie pióra, a wszystko to pracuje i dobija się dla Polski miejsca w ogólnej europejskiej oświacie.

I nie była to praca próżna, nie praca Danaid. Owszem, skutki jej ogromne, dobroczynne, do dziś dnia widoczne. Światło od tego czasu i przez tych ludzi

wróciło do Polski i zostało w niej; jacykolwiek dziś jesteśmy, nie można powiedzieć, żebyśmy byli dzikimi. Żyjemy na nowo tymi samymi sokami, którymi żyliśmy w wieku XV i XVI, i krążą one w nas żywiej i energiczniej, niż przez ciąg XVII i XVIII wieku. Oświatę w Polsce uratowała, zatrzymała, odrodziła druga połowa XVIII wieku, a przez to wzmocniła, ożywiła i duszę narodu, dodała jej sil, zapewniła jej życie. Tę część zadania spełniła ta epoka; jakimi sposobami spełniła tę, dlaczego drugiej spełnić nie mogła, to się pokaże w dalszym ciągu.

ROZDZIAŁ III.

(1764—1772).

I. Stanisław August. Wyobraźnia. Brak ambicyi. Brak politycznej namiętności. Pokusa korony. Uspokojenie własnego sumienia. Rzetelne zalety. Wady. Brak charakteru i godności. Porwanie senatorów. Wyjazd do Petersburga. Tragiczność położenia. Potrzeba, a niemożność zaufania do króla. Jego zamiłowanie do oświaty. Wpływ na literaturę. Jej charakter. Trzy okresy. II. Pierwsze lata Stanisława Augusta. Poezya konfederacka. Zdanie Mickiewicza. Treść i charakter poezyi XIX wieku. Podobieństwo. Te same pierwiastki. Charakter patryotyczny, uczuciowy i religijny. Pieśni pobożne. Pieśni żołnierskie. Książka do nabożeństwa. Proroctwo księdza Marka. Pamflety z tych lat. *Suum cuique.*

I.

Stanisław August. Wyobraźnia. Brak ambicyi Brak politycznej namiętności. Pokusa korony. Uspokojenie własnego sumienia. Rzetelne zalety. Wady. Brak charakteru i godności. Porwanie senatorów. Tragiczność położenia. Potrzeba, a niemożność zaufania do króla. Jego zamiłowanie oświaty. Wpływ na literaturę. Jej charakter. Trzy okresy.

Otwiera tę epokę obraz smutny: ostatnia elekcya, ostatnia koronacya, a wybranym i koronowanym ostatnim królem jest człowiek, który epoce tej dał swoje imię: Stanisław August. Z mocy swego stanowiska główny bohater naszej ówczesnej tragedyi; a tem najsmutniejszy, że nie bohaterski, nie tragiczny.

Stanisław August nie jest typem polskiej natury i za taki nie uchodzi, jego wychowanie bardzo francuskie nadało piętno kosmopolityczne naturze, która sama z siebie miała mało specyficznie polskich właściwości. A jednak były w tej naturze pierwiastki dość u nas powszechne, tak, że pod pewnym względem, patrząc na pewną stronę tej natury, pokaże się Stanisław August, jeżeli nie jako typ polskiego charakteru, to przynajmniej jako wielka dla niego przestroga i nauka.

Mamy w naturze naszej jedną właściwość, która nas nieraz przyprawiła o wielkie nieszczęścia, a tą jest, że nie umiemy się opierać pokusom wyobraźni. Dopóki się to zamyka w życiu prywatnem, mniejsze złe; ale

nieraz zdarza się i w publicznem, w rzeczach najważniejszych, rozstrzygających o życiu lub śmierci, że nad rozumem, nad sumieniem, nad tą polityczną rzetelnością, która polega na obliczeniu się ze swemi siłami, bierze górę wyobraźnia, że jej obietnicom zawierzamy i przyjmujemy je, jak niezawodne weksle na przyszłość. Ona oczywiście dotrzymać nie może, bo nie ona tworzy wypadki, nie ona decyduje o powodzeniu, a wtedy weksle zostają nie spłacone, naród bankrutuje.

We wszystkich naszych porozbiorowych działaniach, naprzykład, grała wyobraźnia rolę nierównie większą, niżby na to rozum polityczny pozwalał. Nie była od niej zupełnie wolną nasza nadzieja ślepo położona w Napoleonie; ona to obiecywała nam wielkie rzeczy po spiskach za Królestwa kongresowego, spiskach, opartych na nadziei tak błahej jak podniesienie wojska rosyjskiego przeciw rządowi. W późniejszych, zwłaszcza emigracyjnych, była niestety głównym działaczem; ona i ona jedna tylko mogła przedstawić zamierzone partyzantki, jako rzeczy mogące się udać, ona jedna mogła wmówić w ludzi możliwość powstanie ludu w Galicyi w roku 1846. Wreszcie, w ostatnich wypadkach w Warszawie, ona głównie rozkoszowała się w widoku zewnętrznych scen, strony obrazowej ówczesnego ruchu, a zaślepiała umysły na jego rzeczywistą słabość. Potężna w takich wypadkach, a nieraz pożyteczna jako posiłkujący sprzymierzeniec, staje się zgubną, kiedy schodzi z tego stanowiska podrzędnego na wyższe, bo nic łatwiej jak ona nie oszukuje ludzkich rozumów i sumień, a to tym sposobem, że ona jedna umie udawać się za uczucie; tak jak nadaje nieraz rozmiary nieprawdziwe innym uczuciom, jak może udać za większą, niż jest, miłość, naprzykład i nawet przyjaźń, tak samo i w miłości ojczyzny pokazuje przez szkło powiększające zapał i nadzieje, a złe warunki położenia przez odwrotną stronę perspektywy. W ludzi nieraz wmówi uczucie, którego niema lub je

sztucznie powiększy; przedstawia ona chwilowe zachcenie za powołanie, nieraz wmówi w człowieka, że jego proste uczucie, takie jak u wszystkich, jest wyższem natchnieniem i zapałem: nieraz także zamąci głowę najponętniejszymi obrazami sławy, bohaterstwa, poświęcenia, i uniesie człowieka w sfery, do których nie jest stworzonym i z których spada na łeb, bo jego skrzydła były przyprawne. Nigdzie niema tylu Ikarów, co u nas, nigdzie ludzie nie obchodzą się tak nieostrożnie i tak łatwowiernie z pokusami wyobraźni; a gdzie idzie o rzecz publiczną, tam nieostrożność i łatwowierność jest zawsze grzechem, a najczęściej klęską.

Największą klęską ze wszystkich tego rodzaju była nieostrożność i łatwowierność Stanisława Augusta. Ten grzech dość zwyczajny był i jego grzechem, i dlatego możemy go brać za przestrogę i przykład. Nie oparł się pokusie wyobraźni, dał się jej porwać, został królem.

Co go skusiło do tej nieszczęsnej korony? Ambicya? Miłość władzy? Poczucie się na siłach, że dokaże wielkich rzeczy? Wierna, fanatyczna służba jakiejś idei? Przywiązanie do stronnictwa lub systemu? Nie. Naprzód ambicya prawdziwa, miłość władzy, jest u nas rzeczą nader rzadką. Przejrzyjmy całą historyę, ilu tam znajdziemy ludzi prawdziwie ambitnych, dbających o rzeczywistość władzy, nie o jej pozory? Zamoyski, to jeden; Marya Ludwika, nie Polka; Czartoryscy August i Michał, zwłaszcza Michał; wreszcie Kołłątaj, i koniec. Inni, nawet ci najbardziej za ambitnych i wichrzycieli okrzyczeni, nie byli ambitni, ale tylko próżni, nie o władzę im chodziło ale o jej pozór, o znaczenie; a najlepszy tego dowód, że każdy z nich, kiedy swego dopiął i stanął u celu, nie wiedział, co miał wtedy począć, i nie poczynał nic. Pokazywało się, że do władzy dążył nie jako sługa jakiejś myśli i reprezentant systemu, ale jako ten lub ów *ski* albo *cki*, który

chciał na swojem postawić i pobawić się pieczęcią lub popieścić z buławą. Głęboko ich ambicya nie sięgała, przestawała na pozorach. Lubomirski, kiedy swoją siłę dał uczuć królowi, nie wiedział potem, co z nią ma robić. Zborowscy nie mieli żadnej myśli politycznej; Targowiczanie chcieli utrzymania dawnej formy rządu, ale osią i celem ich polityki były buławy. Ta rzadkość ambicyi prawdziwej przy niesłychanej liczbie większych i mniejszych próżności, jest u nas rzeczą wielce ciekawą i charakterystyczną, a utrzymuje się do dziś dnia.

Stanisław August ambicyi nie miał, nie miał nawet silnych namiętności politycznych; był stronnikiem swoich wujów, ale z mocy rodzinnych stosunków, nie z zapału dla ich systemu. Był też stronnikiem chłodnym i nie zbyt uważnym, jedną głową w stronnictwie, nie jedną z głów stronnictwa jak jego ojciec. Gdyby był miał zdolność i stateczną konsekwencyę ojca, gdyby przynajmniej energiczną i zawziętą naturę matki, byłby inaczej nosił koronę. Ale człowiek bez namiętności, bez przekonań, bez godności i bez prawdziwej ambicyi, nie mógł ani dobrze korony nosić (przynajmniej w czasach tak trudnych), ani się jej wyrzec, kiedy ją ujrzał nad swoją głową. Z godnością w charakterze, z tą rzetelnością sumienną, która się rachuje z własnemi siłami, byłby Stanisław August zrozumiał, że mu się korony brać nie godziło; z energią matki, ze statecznością i zdolnością ojca, i z prawdziwą ambicyą, byłby do niej doszedł może jakimbądź sposobem, ale po dojściu do niej, inaczej by postępował. Ale nie miał ani jednego ani drugiego; a tymczasem korona, przepowiedziana w dzieciństwie, podaną mu została. Czyż można się oprzeć? Wyobraźnia, ta żywa wyobraźnia Stanisława, drażniona od dzieciństwa ową wróżbą korony, szeptała, że przeznaczenie tak chce. Stanisław August łudził się zawsze; myślał, że znaczył coś w życiu Cesarzowej Katarzyny II-ej, jak ona w jego życiu,

że w niem znaczył choć trochę. Tymczasem ona dała mu koronę, jak innym dawała tytuły, ordery i majątki; że ją dać mogła, schlebiało to jej dumie tyle, ile dogadzało jej polityce. Ale kiedy ona osadzała na tronie wasala i sługę, Stanisław myślał, że zasiada na nim, jako równy. Zrównać Katarzynie w randze i godności, nosić koronę jak ona, co za pokusa! I nietylko Katarzynie. Stworzyć w Polsce mały Wersal i być jego Ludwikiem XV, królem o manierach tak pięknych, że nikt w Europie podobnemi nie mógł się pochwalić! Stanisław napatrzył się im dosyć, i z pewnem upodobaniem mówił sobie, że prócz Ludwika XV, żaden król w Europie nie będzie umiał równie pięknie jak on odgrywać roli królewskiej. Oprócz tego, czy nie obowiązek, czy nie zasługa osadzić światło na tronie zaniedbanej Polski? Był to wiek królów filozofów, Fryderyk, Katarzyna II, Józef II, korespondowali z gwiazdami ówczesnego uczonego świata, byli przecież wszyscy krzewicielami oświaty i filozofii; cóż można zrobić lepszego, jak próbować tego samego na tronie polskim, wspierać nauki, opiekować się uczonymi, zaszczepić w Polsce sztukę, otoczyć się ludźmi rozumu i zasługi, stać się dobroczyńcą, założycielem oświaty, ojcem ojczyzny.

Wszystko to wyobraźnia wystawiała stolnikowi litewskiemu i tak go umiała kusić i łudzić, że wziął koronę bez wahania, w dobrej wierze, pewien, że spełnia powinność, i że wszystkie obowiązki królowania wypełni.

Bo i dlaczegoż nie? Naprzód, jest jedynym kandydatem możliwym. Najistotniejszy interes Rzpltej wymaga, żeby na tronie zasiadł jeden z ludzi reformy, a pomiędzy tymi on jeden mógł dojść do tronu. Zaraz jedno uspokojenie dla sumienia. Potem, dlaczegożby nie miał być dobrym królem, najlepszym z królów? Rozum miał, bystry i ćwiczony: odbył przy wujach szkołę polityczną, miał biegłość i doświadczenie w spra-

wach, miał wielką zdolność pracy i nie lenił się nigdy; to już daleko więcej zalet niż zazwyczaj miewają królowie. Oprócz tego był ujmujący i zręczny; swojem obejściem, swoją przystępnością potrafi wielu zniewolić, pozyskać. Niesprawiedliwym, złym nie będzie, owszem, ma przecież serce dobre, nic nie jest mu tak przykrem, jak widok zasmuconej twarzy. Że dla nauk, dla sztuki zdziała wiele, to pewna. A nadewszystko przecież chce dobrze, przecież kocha ojczyznę, przecież pragnie ją widzieć silną, szczęśliwą, sławną. Skoro tego chce, skoro lepiej od tylu wie, jak do tego dążyć, skoro ma i dobrą wolę, i rozum, i zręczność, skoro dla rodaków swoich a przyszłych poddanych, pełen jest życzliwości serdecznej, dlaczegoż się ma wahać, dlaczego korony nie wziąć, czyż się znajdzie lepszy od niego?

Tak rozumował Stanisław August, takiemi racyami przekonywała jego wyobraźnia jego sumienie i rozum. Czy się zupełnie mylił? Nie; w tym jego rachunku sumienia było wiele prawdy. Miał rzeczywiście te wszystkie przymioty, na które w sobie rachował. Miał i rozum, i dobre serce, i miłość ojczyzny, i znajomość spraw, i znajomość ludzi, i żywe pragnienie oświaty, i zamiłowanie w naukach, i pilność, i przekonanie o potrzebie zmian politycznych i społecznych, i zamiar wprowadzenia ich w życie, i trafne pojęcie stanu Polski, słowem, całem swojem usposobieniem i wykształceniem przechodził zwykłą miarę głów koronowanych, przechodził i nie jednego z naszych królów. W innym czasie, po Kazimierzu IV, po Zygmuncie III, może nawet jeszcze po Sobieskim, mógł był być bardzo odpowiednim na swojem stanowisku. Byłby był królem zupełnie w rodzaju hiszpańskiego Karola III; dziś, w jakimkolwiek kraju Europy, jako król konstytucyjny, niezawodnie byłby gwiazdą, i pierwszym między współczesnymi i zazdroszczonoby narodowi, mającemu króla tak oświeconego, rozumnego, i zręcznego.

Tylko Polsce ówczesnej trzeba było nie króla ro-

zumnego, ani zręcznego, ani dobrego, ale jednego z tych Tytanów, którzy zakładają państwa: dzielnego jak Chrobry, mądrego jak Fryderyk, bezwzględnego jak Piotr W. Potrzeba było człowieka tej miary co Cromwell przynajmniej,—a Stanisław August był człowiekiem i królem tej miary co Ludwik Filip, albo co pierwszy król belgijski.

Sądzono go bardzo różnie i bardzo surowo. Był czas, że na niego walono całą odpowiedzialność za wszystko, co się stało pod jego panowaniem, że go uważano za zdrajcę, którym nie był, za charakter przewrotny, którym nie był, za człowieka nawskróś zepsutego, niedołężnego, niezdolnego, którym nie był. Historya, zwłaszcza w ostatnich latach, przebrakowała te zarzuty, i postawiła go w świetle prawdziwem, tak, że dziś patrzymy na niego bez nienawiści, z pożałowaniem i politowaniem. Usprawiedliwionym nie może być i nie będzie nigdy,—wytłómaczonym jest w wielkiej części. W życiu Stanisława Augusta są rzeczy, których żadne polskie sumienie, nawet żadne uczucie honoru nie pojmie. Wielkim brakiem w jego naturze był brak godności; król o królewskich pozorach nie był *w każdym calu królem*, nie umiał nakazać szanować, bo sam nie szanował, jak należy, ani swojej osoby, ani swojej korony, ani swego państwa. Prawda, że był synem swego wieku, synem, który wziął wszystkie własności ojca. A w tym wieku pełnym rozumu, dowcipu, wyrafinowanej elegancyi, jedną rzeczą, którą się bardzo rzadko spotyka, jest moralna godność. Gdzie są wielkie charaktery tego wieku? Nie jest takim, nie mówiąc o ludziach jak Voltaire lub Fryderyk, nie jest takim Choiseul, choć lepszy od swoich następców, ani Marya Teresa, choć zkądinąd szanowna, ani nikt ze współczesnych monarchów, mężów stanu, ministrów, dyplomatów etc. Chatham jeden stanowi wyjątek. Później jest zmiana pod tym względem. Rewolucya francuska wydaje wiele pięknych charakterów: pomiędzy ofiarami;

Ameryka ma Washingtona, u nas po Kazimierzu Pułaskim jest Kościuszko. Ale i to procent bardzo mały. Przypisać to trzeba ówczesnej filozofii, która, podając w wątpliwość wszystkie prawa moralne i wszystkie obowiązki, nie zostawiła żadnej reguły życia prócz honoru, tego honoru, który się zasadza na pojedynkach, a który moralnego charakteru zastąpić nie potrafi. Stanisław August należał i pod tym względem do swego wieku; przymioty i zdolności jego, nie połączone w jedną harmonijną całość za pomocą moralnej godności, nie złożyły nigdy całkowitego i jednolitego charakteru. Nic zaś zgubniejszego w skutkach, nic bardziej rażącego, jak brak godności w ludziach publicznych, zwłaszcza jeżeli są słabsi i prześladowani. Instynkt publiczny czuje ten brak zawsze i najtrudniej go przebacza, i słusznie. Każdy człowiek najskromniejszy, jak powinien szanować w sobie obraz i podobieństwo Boga, tak powinien także szanować i godność narodu, do którego należy. Każdy z nas jest tym osłem z bajki, który niesie na sobie relikwie; i każdy winien szanować relikwie na swoim grzbiecie. Osieł taki, jeżeli się przewróci w błoto lub rynsztok, tarza i poniewiera w nich coś więcej, niż siebie. I dlatego wszystkie, ile razy wybuchną nie piękne sprawy domowe między Polakami zagranicą, ztąd każda burda, każda kłótnia między nimi, każdy polski oszust, każda kobieta obwożąca po Europie wątpliwą reputacyę, tak nam szkodzą i tak nas bolą — nie o osła nam chodzi, o jego poniewierkę, ale o relikwie.

Stanisław August nosił ich na sobie część największą, a, niestety, nie zawsze strzegł ich od zniewagi. Można wiele pojąć, wiele tłomaczyć, wiele przebaczyć; można dowodzić nawet, że przystępując do konfederacyi Targowickiej, podpisując drugi rozbiór, Stanisław August jeszcze się łudził, że robił to, co w tych okolicznościach miał za najmniej złe. Ale jak wytłómaczyć, że król niepodległy pozwolił obcemu posłowi

z własnej stolicy wywozić poddanych? Wytłómaczyć tem, że chwilowo widział w tem swój interes! Otóż właśnie brak godności: gdyby ją był miał, byłby uczuł, że pierwszym z interesów było bronić swoich praw zwierzchniczych, na korzyść przyjaciół czy przeciwników, wszystko jedno.

Wyobraźnia, która mu obiecywała wyniesienie przez koronę, dokąd go doprowadziła! A jednak nieszczęściem tych czasów i naszem był brak porozumienia i zaufania między tym królem a lepszą częścią jego poddanych. Brak nieunikniony, konieczny, wypływający właśnie z szanownych i dobrych uczuć, a jednak fatalny w swoich skutkach, bo gdyby nie on, sprawy nasze mogły były wziąć inny obrót. W tem tkwi tragiczność ówczesnego położenia, że porozumienie i ufność między narodem a jego królem były potrzebne, a były tak trudne, że aż niepodobne. Czy oni mogli temu królowi wierzyć? Czy on mógł mieć powagę w ich oczach? Nie; bo wstydliwym zaułkiem, a nie prostą drogą dostał się na tron, bo pozwolił ze swojej stolicy porwać swoich poddanych i o nich się nie upomniał, bo podpisał rozbiór.... nie, ten król ufności i powagi mieć nie mógł, i było to skutkiem i dowodem honoru i godności w narodzie, że się tym królem czuł upokorzony. A tymczasem ten król miał więcej rozumu, więcej politycznego zmysłu i doświadczenia, niż wielu z pomiędzy nich. Prócz tego on był królem; jego słowo, jego podpis, były potrzebne w każdej sprawie. Dla dobra Rzpltej było koniecznem, żeby mu ufano i z nim działano zgodnie, a oni ufać mu nie mogli. Cokolwiek radził, choć najszczerzej i najroztropniej, to im było podejrzane. Bali się w tem podejścia, zdrady. Rozumie się, że inaczej być nie mogło, że oni musieli tak czuć i myśleć; ale żałuje się, że tak było, bo więcej ufności do króla i porozumienia z nim, byłoby ułatwiło niejedną poprawę, byłoby nie dopuściło do wstydu i nieszczęścia konfederacyi Radomskiej, byłoby sam sejm

czteroletni od niejednego błędu (przedewszystkiem od zaufania królowi pruskiemu) ustrzegło *).

Pomiędzy temi marzeniami o królewskiej przyszłości, z któremi Stanisław August zasiadał na tronie, jednem z tych, które go najbardziej nęciło, było to, że zostanie opiekunem, odrodzicielem oświaty, literatury i sztuki. Żywy umysł, wysokie wykształcenie, wrodzony zmysł artystyczny, podniesiony do wysokości bardzo wykwintnego smaku, wszystko to czyniło go zdolnym do tej roli i bardzo w niej rozmiłowanym. Stanisław August dbał może mniej o umysły wzniosłe i szlachetne, ale bardzo o wykwintne, ozdobne, wykształcone. Pewien intelektualny sybarytyzm był jego największą rozkoszą i namiętnością, a laury Augusta, Medyceuszów, Ludwika XIV budziły w nim chęć naśladowania tych wzorów. Otoczyć się dziełami sztuki, wyborowemi książkami, skupić około siebie wybrane koło uczonych i dowcipów, podżegać ich do tworzenia, używać na tem co napiszą, smakować te świeże piękności, roztrząsać ich zalety, dyskutować usterki, słowem, być Mecenasem, Agryppą, Augustem tych dotąd nieodkrytych Wirgilów i Horacych, przestawać z nimi i trawić dnie na uczonych rozmowach jak Lorenzo Magnifico z Politianem i z Marsilio Ficino, protegować ich łaskawie jak Ludwik XIV Moliera, a czasem zmarszczyć się na nich jak tamten na Racina, wszystko to podobało się niezmiernie jego wyobraźni. I w tem sobie dogodził; jedyną rzeczą, która mu przeszkadzała, był skarb. Łatwo wystawić Wersal i kopułę Inwalidów, jak się ma dochody całej Francyi na rozkazy; ale król polski ledwo mógł się zdobyć na Łazienki. Łatwo mieć obrazy Rafaela, Michała Anioła lub Tycyana, jak się żyje w XVI wieku i jest Juliuszem II, Leonem X, Franciszkiem I, albo cesarzem Karolem. Ale w wieku XVIII w Warszawie, trzeba poprzestać skromnie na sprowadzeniu jakiego Włocha,

*) Ostatni ustęp z książki *Ksiądz Waleryan Kalinka.*

utalentowanego rutynisty Bacciarellego, i próbować, czy w której z tych głów polskich nie da się rozdmuchać jaka iskierka świętego ognia, posłać naprzykład Smuglewicza do Włoch, a ustawicznie w tem wszystkiem jeszcze się ograniczać i rachować.

Najłatwiej i najtaniej przyszło zgromadzić koło siebie literatów, pisarzy, uczonych, i tu sybarytyzm intelektualny Stanisława Augusta okazał się bardzo pożytecznym. Talenty, zachęcone i ośmielone, kupiły się około niego, ostrzyły się nawzajem rozumną rozmową i smakiem, dostawały bodźca do pisania i tworzenia, i dokazały wielkich rzeczy. Z pomiędzy nich wychodzi pierwsza w Polsce historya krytyczna, oparta na źródłach, prawdziwa, umiejętna. Pomiędzy nimi powstają poematy doskonałej formy, wdzięcznej treści, które naród odwykły od widoku rzeczy dobrych, wita z zapałem, jak arcydzieła; tak jak w naszym wieku witał arcydzieła prawdziwe naszej wielkiej epoki poetycznej. Każda nauka znajduje tu miejsce, każdy uczony zachętę, nieraz wsparcie. Bohomolec, Trembecki, czy Wyrwicz, wszystko się tam garnie i wszystko odbiera popęd do pracy. Naruszewicz jest na prawdę przyjacielem Augusta. Wogóle nie można bardzo dowierzać wpływom dworów na literaturę: częściej jej one szkodzą niż pomogą, wciskają ją despotycznie w formy dworskie, nieraz naginają do dworactwa, a nigdy nie potrafią zbudzić jej naprawdę, jeżeli niema gotowych jej zarodów w narodzie. Z niczego nic stworzyć nie można; w wieku XVII i XVIII trzymały poetów i uczonych wszystkie dwory i dworki niemieckie i włoskie, a przecie ich protekcya nie wydała nic, coby jeden dzień było przeżyło. Ale rozumny dyletantyzm małego dworu Wejmarskiego, więcej się przysłużył Niemcom i Europie jak wszystko, co dla literatury chciał robić Ludwik XIV.

Stanisław August nie wywołał literatury XVIII wieku, bo pierwiastki jej były już zasiane, ale się nie-

wątpliwie przyczynił do jej rozwoju. Naprzód przez swój przykład, przez to, że wprowadził w modę *nobiles libellos*, ich czytanie i zamiłowanie. Za przykładem jego Warszawa uczuła po raz pierwszy zapał literacki, i stała się niebawem miastem pełnem umysłowego życia, wykształconem w smaku i w sądzeniu. Za tym wzorem tworzą się na całej przestrzeni Rzpltej kółka rozumnych ludzi, uprawiających literaturę lub przynajmniej oddanych jej z zapałem; tyleż rozrzuconych po kraju szkół smaku i ognisk światła. Powązki a później Puławy, były pod tym względem małą Warszawą, ale nie były jedyne: Ogiński, Chreptowicz, Ignacy Potocki i jego brat Stanisław, wszystko to były takie mniejsze ogniska światła. Że to wszystko nadało bogatszemu światu polskiemu polor dawno niewidziany, że dowcipy rodziły się jak grzyby, że pod wpływem tej legii kobiet może nie zawsze przykładnych, ale do dziś dnia słynnych z rozumu i dowcipu, formy towarzyskie gładziły się aż do najbardziej wyrafinowanej wykwintności, i że zyskiwały rozumy na tem, że wstyd było być głupim i nieoświeconym, to widoczne i naturalne. Że ten sam świat w tej epoce zniszczył dawne czysto polskie formy towarzyskiego życia, a wprowadził francuskie czy kosmopolityczne, to także prawda, i rzecz godna choćby pobieżnej wzmianki.

O ile ta literatura powstała pod wpływem przeniesionego do Polski świata francuskiego była sama obcą i francuską? Pytanie dość zawiłe. Wszystkie jej formy były francuskie, nieraz i jej pojęcia; ale dziwić się trzeba, że będąc o tyle francuską nie była nią więcej, że tyle w niej zostało rodzimego, polskiego pierwiastku. Weźmy Krasickiego naprzykład. Nic łatwiejszego jak odnieść jego bajki do Lafontaina, satyry przez Boileau do Horacego, Wojnę Chocimską przez Henriadę do Eneidy, i tak dalej; ale w tych wszystkich formach przyjętych i pożyczonych, siedzi nieraz myśl własna, oryginalna, a tak szczerze polska, że zo-

stała na zawsze nie jedna jako *adagium* nieustannie i powszechnie powtarzane. Humor i dowcip tych ludzi, choć obudzony zapewne przykładem Voltaira, częściej jest podobny do humoru Kochanowskiego lub Paska, niż do dowcipu Voltaira. Nawet ten, który z nich wszystkich najbardziej może jest Francuzem, który przesiąkł gorzej niż Voltairem, bo Diderotem, Trembecki, nawet w tym szambelanie, filozofie, zabójcy markizów, pokutuje fantazya i humor szlachcica polskiego. Naśladują oni, to prawda; ale w tem naśladownictwie niema pedantyzmu, ani zasady, ani z góry powziętego postanowienia. Naśladują bo im to rzecz ułatwia ale naśladują swobodnie. Nie jest to owo późniejsze naśladowanie dogmatyczne, wyrozumowane, uparte i zasadnicze, w którem kostniała późniejsza poezya Przyjaciół Nauk; jest swobodne i żywe. bierze formy, ale myśl wkłada w nie własną. Powodem tego jest oczywiście to, że talenty były istotnie bardzo rzeczywiste, bardzo prawdziwe; tylko przez takie mogła literatura naśladownicza pozostać swojską i rodzimą.

Że taką była, dowodzi jej popularność, jej nad zwyczaj szybkie rozejście się po kraju i przyjęcie jej przez cały naród, przez wszystko, co czytać umiało. Literatura tylko naśladownicza byłaby się zatrzymała na świecie stołecznym i eleganckim, nie byłaby przeniknęła do najskromniejszego dworku w najdalszym kącie Polski, zwłaszcza nie byłaby zdołała utrzymać się długo. Tymczasem ta dostała się wszędzie i była pokarmem, rozkoszą, wyrocznią wszystkich warstw społeczeństwa, wszystkich stopni umysłowego wykształcenia, przez czas jednak paru pokoleń. I dziś jeszcze pierwszą rzeczą, której każda stara piastunka dziecko uczy, jest bajka Krasickiego; może jeszcze płącze się gdzie jaki stary profesor, który za wzór doskonałości stawia porównanie Osmana do Żubra — więcej, wszyscy dziś używamy sto razy na dzień tego lub owego ówczesnego wiersza, jak gdyby był przysłowiem.

Ta trwałość, ta popularność tej literatury dowodzi, że odpowiadała ona rzeczywiście instynktom narodu, że choć naśladownicza w formie, w rzeczy była rodzimą i swojską. Ale to samo dowodzi także innej jej zalety: oto że choć pod wpływem dworu powstała, nie była dworską. Wszyscy ci poeci i pisarze, kochają Stanisława Augusta, a zwłaszcza lubią go, chwalą go, poświęcają mu swoje dzieła, nieraz mu kadzą, ale nie można powiedzieć, żeby ta dworskość była dworactwem. Podchlebstwo się trafia niekiedy, podłości niema. I znowu gdyby to była literatura tylko dworska, byłaby się zatrzymała na dworskich progach, nie byłaby poszła głębiej, nie mogłaby powiedzieć o sobie jak Mickiewicz „w folwarku wzięcie mam u ochmistrzyni cór": a przecież, choć jej wzięcie dziś nie takie, jak bywało, pamięć jej została i na folwarku, i we dworze, i w izbie szkolnej, i w salonie — jedynem miejscem w którem jej się nie spotyka, jest kościół.

Ludzie, którzy tę literaturę reprezentują i którzy grupują się koło Stanisława Augusta jak rycerze Okrągłego Stołu około króla Artura, to Krasicki pod którego dowcipem nakształt Voltaira, kryje się taki wyborny chłopski rozum polski. Naruszewicz poeta przyciężki, historyk wielkiej wartości, a zasługi ogromnej; Trembecki przeznaczony na to, by językowi i wierszowi dać ostatnie wykończenie; Węgierski, pół figlarz, pół cynik, którego figle kryją nieraz ironię trafną a cynizm nieraz gorzkie resztki lepszego uczucia. Później przychodzą tacy, którzy grają już na smutniejszą nutę, Karpiński, Kniaźnin, Woronicz; później jeszcze młody poseł inflancki próbuje pierwszych wierszy i ostrzy dowcip, którego się cała Polska bała przez lat sześćdziesiąt. A za nimi cały zastęp prozaików, historyków, naturalistów, matematyków, statystów, publicystów, znajdują się nawet filozofowie i powieściopisarze. Znowu tylko jednych niema, teologów i kaznodziei. Słowem, zbiór ogromny pisarzy rozumnych, zdolnych, płodnych, i przynoszących zaszczyt swemu krajowi.

W literaturze tego czasu można rozróżnić trzy okresy. Pierwsze lata Stanisława Augusta, to przygotowanie i wstęp. Młodzi pisarze zaczynają, próbują, znajdują zapewne powodzenie i już jakąś sławę, ale talenty jeszcze niezupełnie dojrzałe, ich dzieła drobne formą, a treścią nie ważne. Stan niepewności, wzburzenia i troski, przez cztery lata konfederacyi Barskiej, musiał także wstrzymać popęd do literackiej pracy.

Ale po konfederacyi Barskiej przyszedł pierwszy rozbiór. Ten zrobił wrażenie, wstrząsnął, przeraził. Myśl ratunku, uczucie obowiązku, miłość ojczyzny, zjawia się w stopniu i sile, dawno u nas nie widzianej. Spieszy się, chce tego ratunku, chce skutku, rychło, namiętnie; i na wszystkich polach, we wszystkich kierunkach zjawia się usiłowanie, rzeczywiste, energiczne i skuteczne. O lekkości tych umysłów i charakterów mówi się zawsze, i zaprzeczyć jej nie można; a jednak dobywa się z pod niej, i pomimo niej dokonywa wiele, ta miłość ojczyzny i ta myśl ratunku, która teraz ogarnia coraz większą liczbę głów, i zapala coraz większą liczbę serc. Na polu praktycznego działania, popęd ten wydaje departament wojskowy, szkołę kadetów, komisyę edukacyjną, a dochodzi do reformy Trzeciego Maja. Na polu myśli wydaje wszystko co najlepszego i najwyższego w literaturze Stanisławowskiej. Historya Naruszewicza, cały niemal Krasicki, urywkowe (najlepsze) wiersze Trembeckiego, Staszic i Kołłątaj, cały Kniaźnin, Karpińskiego i Woronicza dojrzałość, Niemcewicza początki, przypadają na czas pomiędzy pierwszym a drugim rozbiorem.

Po tym, a dopieroż po trzecim, pisze się już bardzo mało. Tu i owdzie jakiś krzyk, raczej tylko jęk, albo słowo protestu rzucone w świat dla honoru, żeby było, nie żeby mogło wydać skutek. To wszystko, co mamy z ostatnich ośmiu lat owego wieku.

II.

Pierwsze lata Stanisława Augusta. Poezya konfederacka. Zdanie Mickiewicza. Treść i charakter poezyi XIX wieku. Podobieństwo. Te same pierwiastki. Charakter patryotyczny, uczuciowy i religijny. Forma. Pieśni pobożne. Pieśni żołnierskie. Książka do nabożeństwa. Proroctwo księdza Marka. Pamflety z tych lat. *Suum cuique.*

Początki Krasickiego, Naruszewicza, Trembeckiego, kryją się po ówczesnych pismach peryodycznych *Monitorach* i *Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych*, pomieszczane zgodnie z wierszami schodzących z pola, ale zapewne zawsze jeszcze cenionych poetów, jak Minasowicz. Samo zjawienie się pism peryodycznych, literackiej treści, jest ciekawą a nieomylną oznaką, że piśmiennictwo się rozwija, i rozwijać chce. Potrzeba czytania i zamiar starannego pilnego pisania, zaświadczone są tem zjawiskiem. Drugim, równie niewątpliwym dowodem, że literatura chce się dźwigać, i że ludzie chcą ją dźwigać, jest stały teatr pierwszy raz w Warszawie założony i dla publiczności otwarty. Jednak przez pierwszych kilka lat Stanisława Augusta, plon z tych usiłowań jest jeszcze dość ubogi, pomimo, że są już talenty, które niebawem wzniosą wyżej całą tę literaturę.

Ale po za tą poezyą pisaną, drukowaną, literacką i urzędową, jest jeszcze inna, bezimienna; wiersze,

*

z których żaden nie ma wiadomego autora, które wyrastają same, nie uprawiane ani hodowane, ale z gruntu bujniejszego może, niż ten, na którym rosła oficyalna literatura ówczesna. Mickiewicz mówi, że ta poezya składa się z niewielu kawałków, ale ma wagę niezmierną, że „przeleciała niewidomie nad piśmiennictwem epoki Stanisława Augusta, padła później między legiony i tam odezwała się parę razy, a później rozpromieniła się w najznakomitszych dziełach nowoczesnych, których jest zarodkiem". A dalej mówi, że w tej poezyi „zamyka się nasienie nowej literatury polskiej".

Tą poezyą są podług niego owe pieśni religijne i patryotyczne, które powstają za konfederacyi Barskiej.

Jeżeli one istotnie są tem nasieniem poezyi XIX wieku, to niema w tem nic, coby nie było naturalnem. Jaki jest moment dominujący naszego życia w tym wieku? Jaki jest ten wpływ, który kształci u nas wszystko: dusze, uczucia, wypadki, który jest tłem tego życia i rzeźbiarzem, co wykuwa żywot cały? Oczywiście nic innego tylko fakt utraty niepodległości. Gdzie się obrócić i na co spojrzeć, na stosunki społeczne, ekonomiczne, na wypadki polityczne, na wyobrażenia religijne nierzadko, na życie każdego z osobna człowieka i jego zawód, wszędzie, zawsze i we wszystkiem, w wypadkach europejskiego znaczenia i w najskromniejszej historyi jednej duszy, wszędzie dojdzie się do tego samego początku, który wszystko tworzy, wszystko postanawia i wszystko tłómaczy, koło tego obraca się cała Polska i każdy w niej jak ziemia koło swojej osi. A z całą Polską oczywiście jej literatura, wyraz jej myśli i odbicie jej uczuć. W tę zaś opłakaną sferę, której słońcem i punktem środkowym jest podział kraju, kiedy Polska weszła, kiedy się po raz pierwszy spostrzegła, że w niej jest? Oczywiście z pierwszym rozbiorem Rzpltej jeszcze wolnej, kiedy ta Rzeczpospolita nie odparła sąsiadów i uległa. W takiej chwili zro-

dziły się te uczucia, te stosunki i wpływy, któremi my w naszym wieku niezmiennie oddychamy, pod którymi żyjemy. Otóż, jeżeli w takiej chwili powstać miała jakaś poezya, to musiała zawierać w sobie *in potentia* te wszystkie uczucia, które są tłem i treścią poezyi naszego wieku, zrodzonej pod tą samą konstelacyą; musiała tak mieścić ją w sobie, jak ziarno mieści roślinę. Nie trzeba tego rozumieć tak jakoby nowsza nasza poezya była materyalnie lub historycznie dalszym ciągiem i wyższym stopniem poezyi konfederackiej; takiego związku przyczyny i skutku między niemi niema. Jest tylko to pomiędzy niemi zbliżenie, że choć różna jest ich skala, ich wartość i proporcya, to ich istota składa się z tych samych pierwiastków, tak jak drobny okiem niedojrzany molekuł zawiera w sobie te same pierwiastki, które składają największe ciała fizyczne.

Jakiż jest ten pierwiastek główny? Mickiewicz opisuje go znowu jako religijną ideę przemienienia. I rzeczywiście, na dnie poezyi jego własnej, na dnie poezyi Krasińskiego, po części Słowackiego, i wszystkich mniejszych bogów, tkwi ta sama myśl, to samo uczucie zmąconej i zerwanej harmonii świata, sprawiedliwości Boga i historyi, która znowu do harmonii i równowagi, do tryumfu sprawiedliwości dojść musi. To jest ta idea przemienienia w swoim wyrazie najprostszym i najprawdziwszym. W dalszym swoim rozwoju, u Mickiewicza i Krasińskiego, dochodzi ona do konkluzyi w części błędnych, dochodzi do tej wiary, że Polska jest narodem wybranym i ofiarą zadośćuczynienia i odkupienia za grzechy świata. Ta wiara jest błędną: żeby być ofiarą wybraną, trzeba być ofiarą świętą, a taką nie była Polska w chwili rozbiorów i dzisiaj nie jest; żeby być ofiarą odkupienia i zadośćuczynienia, trzeba być ofiarą dobrowolną, a nasza pokuta taką nie jest. Ale ta idea przemienienia, polegająca na zepsutym porządku świata, wierząca w jego przywrócenie

i do niego dążąca, ta jest moralnie, w abstrakcyi prawdziwą. Czy się okaże prawdziwą historycznie, czy to przywrócenie harmonii i porządku, ten tryumf sprawiedliwości nastąpi w rzeczywistości, *in actu*, to zależy właśnie od tego *przemienienia*, którego proces jest historyą naszego wieku, w którym każdy z nas jest jednym atomem.

Otóż, ten moralny porządek świata, na którego zupełnie już dokonane rozprzężenie patrzał Mickiewicz i Krasiński, to, na co z taką zgrozą i rozpaczą patrzał młodzieniec z Niedokończonego Poematu, kiedy mu Aligier rozwój dziejów we śnie tłómaczył, to wielkie trzęsienie gorzej niż ziemi, bo wszystkich zasad, wszystkich praw, wszystkich prawd i wszystkich wiar, które czuć się daje w całej Europie, które stworzyło wszystkich poetów naszego wieku i jest jego historyą, u nas dało się uczuć silniej, niż gdzieindziej, u nas najwięcej narobiło zwalisk i zniszczenia, u nas najpierw się dało uczuć i objawiło. Pierwszem jego drgnięciem były wypadki, które poprzedziły konfederacyę Barską, ona sama i jej następstwa. Wtedy zaczęła się ta kolej historyi, w której my żyjemy, nasz świat moralny, świat uczuć, pragnień, cierpień, nadziei, już się począł. Zatem jest rzeczą naturalną i konieczną, że w poezyi, która odpowiada owej chwili poczęcia, muszą się już znajdować te uczucia, które odpowiadają w poezyi późniejszej zupełnemu rozwojowi i dojrzałości tych samych historycznych i moralnych działaczy.

Dla czego nie objawiły się one odrazu w literaturze artystycznej, ale po za nią w tej poezyi bezimiennej? z dwóch zapewne powodów. Poezya taka, zwłaszcza zrodzona pod wpływem pierwszego wrażenia, nie mogła być czem innem jak czystą poezyą uczucia. Rozumowanie, względy praktyczne politycznego życia, wszystkie konieczności, kompromisy i zrzeczenia, jakie polityka nakłada wszystkim, a zwłaszcza słabym, to wszystko nie mogło wchodzić w rachubę, nie

istniało; jedna tylko rzecz padła silnie w dusze i utkwiła w uczuciu, a tą był fakt gwałtu. Jak ten gwałt odeprzeć, o ile mu się poddać trzeba i na jak długo, żeby się z pod niego wyzwolić, to były rozumowania naprzód nie dla wielu przystępne, a powtóre dla rozbudzonego uczucia niemożliwe. Wszyscy zaś pisarze i poeci z profesyi, literatura urzędowa, obracali się w sferach, w których to rozumowanie stało na pierwszem miejscu; wszyscy bliżej lub dalej, ale wszyscy stali w tem kole polityki czynnej, która z natury rozumować musi i powinna, która nie rozwodzi się nad tem, co się stało, ale przemyśliwa nad tem co się stać ma. Była więc władza uczucia samą siłą rzeczy u takich ludzi nieco przygłuszona, a wrażenia zawsze stosunkowo silniej przyjmował rozum niż uczucie. Przy takich warunkach niepodobieństwem było, żeby taka poezya, która z natury rzeczy musiała być uczuciową, wyrosła na tym gruncie: musiała wyrość na takim, gdzie refleksyi było mniej lub nie wcale, a uczucie zupełnie swobodne i niczem nie krępowane. Oprócz tego powód drugi: ludzie, stojący na szczycie ówczesnej oświaty, nie mogli oddać uczuć jakie w tej chwili budzić się zaczynały, a to dla tego, że ich ani przejąć ani pojąć nie mogli. Jakież to uczucia bowiem? Uczucia pokrzywdzenia sprawiedliwości, wiary w Boga, nadziei zmiany, coś mistycznego, głęboko religijnego, jakiś optymizm pobożny i liczący na sprawiedliwość Boską jak na weksel, wszystko to nie miało miejsca w duszy np. Trembeckiego, nie mogło więc mieć go w jego poezyi. Odwoływanie się do sprawiedliwości, wzywanie czy to kary czy łaski, ale ratunku, cudu, wszystkie to uczucia albo wyłącznie religijne, albo przynajmniej takiemi zaprawione, nie mogły się odezwać w duszy ludzi wychowanych na sceptycznej oświacie tego wieku; ci ludzie mogli umierać lub tracić rozum z żalu, ale takiego tonu ani pojąć ani wydać nie mogli.

Musiała ta poezya zrodzić się pośród ludzi mniej

oświeconych i mniej myślących, prostszych. Nie chcę przez to stawiać tych ostatnich wyżej nad tych, co więcej myślą i uczą się, nie chcę powiedzieć, żeby dusza oświatą nie dotknięta zachowywała jakieś władze nieznane duszy kształconej—tylko sądzę, że jest pewien rodzaj uczuć, który w takich duszach łatwiej powstaje i łatwiej znajdzie w nich wyraz, może właśnie dlatego, że, nie mając pojęcia o poezyi artystycznej, umysł taki nie szuka dla swego uczucia wyrazu doskonałego, ale przestaje na tym, jaki mu się sam naturalnie nasunął. Do rzędu takich uczuć należy przedewszystkiem wiara (w najogólniejszem swojem pojęciu), nie koniecznie jako wiara religijna, tylko po prostu jako zdolność wierzenia: zaś w całej tej poezyi dominuje właśnie ten pierwiastek, wiara w Boga, w sprawiedliwość, w przyszłość, w siebie. Oburzenie, zgroza i żal, także łatwiej wybuchną, jeżeli raz nie wiedzą i nie pytają jak wybuchnąć mają, powtóre jeżeli nie trzyma ich na wodzy refleksya, gruntowna znajomość wszystkich sprężyn i przyczyn, i połączona koniecznie z tą znajomością obawa następstw i skutków. Człowiek, który te wszystkie warunki posiada nie oburzy się mniej, ale się namyśli dobrze, zanim się z tem oburzeniem odezwie, bo go wstrzyma wątpliwość naprzód, czy w tym fakcie niema okoliczności łagodzących i czy jego oburzenie trafi tego i tak jak powinno, powtóre, czy nie zaszkodzi, nie narazi tej rzeczy lub sprawy, o którą chodzi. Człowiek prostszy tych wszystkich względów ubocznych nie zna i nie widzi, i dlatego nie wstrzymuje wolnego wybuchu swego uczucia; nie czuje on więcej ani silniej, ale widzi tylko sam jeden fakt, przedmiot czy miłości, czy wiary, czy żalu, czy oburzenia, tylko ten jeden rozumie, a nie krępowany refleksyą i doznaje silniejszego popędu do wyrażenia tego co na sercu, i łatwiej znajduje na to wyraz.

Z tych powodów ta poezya żalu, oburzenia i wiary nie mogła zrodzić się w tych warstwach, które były

najwyżej oświecone, ale musiała i począć i wyrazić się przez ludzi, których zakres myśli był ciaśniejszym, a działanie uczucia zupełnie wolnem i niczem nie krępowanem. Z tego znów poszło, że wyraz tych uczuć nie mógł być artystycznym i literackim, ale czysto popędowym, naiwnym, że ta poezya choć nie przez lud układana, ma wszystkie cechy samorodnej poezyi ludu.

Zamyka się ta poezya w samych pieśniach, religijnych lub żołnierskich, najwięcej jednak religijnych. Kto je układał? Próżno pytać. Jakżebyśmy pytali, kto pisał kolędy i pieśni śpiewane po kościołach; ułożyły się same, nie wiedzieć jak i kiedy. Są, bo je wydało uczucie ludzkie wrodzone i powszechne, a wydało je, bo ich potrzebowało, chciało się wylać na zewnątrz. Podobna samorodność i w tych śpiewach, i tak samo nieznane jest imię tego księdza lub żołnierza, który je pisał; czasem może improwizował. Podobny także i charakter co w pieśniach ludowych: nic literackiego, nic robionego i sztucznego. Zdarza się często, że bezimienny autor, ksiądz czy szlachcic, miesza łacinę i używa zwrotów, przypominających epokę makaroniczną, Alwara i ławkę szkolną, ale nawet tam, gdzie się znajdzie takie skażenie języka lub takie zacięcie pedantycznej erudycyi, zostaje nietknięta świeżość i naiwność uczucia. Znać, że ten poeta nie myślał o poezyi ani o estetyce, brał tę formę, bo tę pamiętał, a innej nie miał pod ręką; i dlatego jak się spotka w jednym wierszu Bellonę i Najświętszą Pannę, to to połączenie, które w każdym innym wierszu byłoby śmieszne, tu nietylko nie razi, lecz owszem podoba się jakimś naiwnym wdziękiem. A przytem mają te pieśni jeden przymiot, właściwy rzeczom prostym, ale rzadki, a dla poezyi lirycznej, zwłaszcza religijnej, konieczny, mają ton poważny. Nie wzbijają się w górę jak Ody Naruszewicza, nie pytają Muzy, dokąd je porywa, Szymanowski znalazłby w nich nie jedno słowo grube i podłe, a Karpiński ruszyłby może ramionami na brak tkliwości i de-

likatnego uczucia: ale ani jeden ani drugi nigdy nie znalazł takiego poważnego, głębokiego tonu, żaden nie był nigdy tak uczuciem przejęty i żaden tak drugiego uczucia nie poruszy, jak te pieśni, pisane bez wiedzy i myśli, żeby miały być poezyą. W całej epoce Stanisława Augusta charakterystyczny i uderzający jest brak uczuć religijnych w literaturze; hymny Naruszewicza i Krasickiego pisane z obowiązku i dla przyzwoitości, nie mają prawa do nazwy poezyi religijnej; pieśni Karpińskiego, a zwłaszcza niektóre wiersze Kniaźnina mają go więcej, ale ich zbyteczna tkliwość musi dziś razić, bo uczucie wtedy wykrzywione znacznie się naprostowało. W poezyi religijnej, w słowie od człowieka do Boga, żądamy tylko dwóch rzeczy, największej prostoty, i powagi. Pod tym względem konfederackie pieśni i modlitwy przewyższają wszystko, co wydała poezya literacka tej epoki, i można o nich powiedzieć, że zapełniają tę lukę w poezyi owej epoki, że one jedne są prawdziwą poezyą religijną XVIII wieku.

Nie są jedyną jego poezyą patryotyczną, bo pierwiastki tej poezyi, rozrzucone są po pismach wszystkich poetów Stanisławowskich, tylko wcielone w formę satyryczną częściej niż liryczną. Ale pomiędzy patryotycznym liryzmem tego czasu, możeby pieśni konfederackie stanęły najwyżej, w każdym razie nikt ze współczesnych wyżej nad niemi. Są więc one jedyną poezyą religijną tego wieku, są może jego poezyą najbardziej liryczną, a zarazem, ze względu na ducha, jakim są ożywione, są nasieniem poezyi polskiej XIX wieku.

Co do formy, trafia się w nich coś, co trąci dawnym makaronicznym stylem, ale to rzadko, a jak się trafi, robi wrażenie nie tyle błędu, jak raczej charakterystycznego naiwnego i sympatycznego świadectwa czasu. Zresztą, choć ci ludzie oczywiście wybredni nie byli, a o doskonałości formy ani nie śnili, znajdują

ją instynktem. Ich wiersz, ułożony zwykle na wzór i rytm jakiej znanej kościelnej pieśni, jest często jędrny, silny i śmiały. Pewne gdzieniegdzie chropowatości nietylko mu nie szkodzą, ale owszem zdobią go, bo świadczą o jego żołnierskiem lub klasztornem pochodzeniu, a powaga jest w nich zawsze, i zawszo uczucie. Uczucie naturalnie nieodmiennie to samo, prośba o ratunek, skarga na sąsiadów, niekiedy na Polaków, często to przypomnienie, że konfederat broni sprawy Boga i wiary, prawie zawsze prośba do Boga, żeby się zmiłował nad duszą żołnierza, jeżeli ten za Niego padnie, a nadewszystko wiara silna, gorąca, szturmująca do Nieba, nie przypuszczająca, żeby tam nie uprosiła ratunku, sprawiedliwości i cudu, i zaufana w swojem dobrem prawie skarga na niesprawiedliwość, to jest, co się powtarza we wszystkich pieśniach religijnych.

Świeckich jest nierównie mniej, a i te często kończą się modlitwą, n. p. Przebóg. A najsławniejsza z nich „Stawam na placu z Boga ordynansu", zaledwo może uchodzić za pieśń świecką; przystałaby ona krzyżowcom lub rycerskim zakonom, idącym do boju pod wpływem religijnego zapału. Nawet w tej pieśni o Puławskim, którą zaliczyć można do rzędu dawnych dum kozackich, i która jest czysto pieśnią rycerską, i tam jest porównanie, które dowodzi, jak ten pierwiastek religijny musiał tkwić głęboko, kiedy się zawsze odzywał. Co więcej, w pieśni o Drewiczu, jedynej wesołej, jedynej humorystycznej, i tam się ta struna odzywa; nawet Drewiczowi każe pobożny konfederat pamiętać o zbawieniu duszy.

Pieśni takich jest mało, a te, co są, to smutne wspomnienia o poległym wodzu, lub towarzyszu, krótkie dumy do śpiewania w marszu z akompianiamentem końskich kopyt. Opisowego nic, śladu nigdzie kompozycyi. Ci ludzie zrodzeni na bohaterów heroicznego poematu, Puławski, Sawa, wspomnieni są nieraz, żyw-

cem wprowadzeni nigdy. Nic dziwnego, śpiew bohaterski może się zacząć dopiero, gdy się czyn bohaterski skończył, a oni robili epopeję. Dla Sawy jest nagrobek w kilkunastu wierszach. Jedyny dłuższy, z wiadomem nazwiskiem autora, a przytem najsłabszy ze świeckich utworów konfederackiej Muzy, to *Stacye konfederackie*, w których Kazimierz Dunin opisuje podróż jeńców wziętych po kapitulacyi Krakowa. Na każdej stacyi pisze kilka wierszy, najczęściej to samo. Różnica w tych strofkach cała, że na jednym noclegu lepiej i wygodniej, na drugim gorzej, niekiedy jakiś wypadek, spotkanie drugiej partyi wygnanych lub coś podobnego, czasem pogróżka królowi i jego stronnikom, i tak ciągle przez trzydzieści jeden stacyj. W formie jest to dość niedołężne, ale rozrzewniające tęsknotą i poczciwem uczuciem, mianowicie wstęp, pożegnanie z Krakowem, gdzie wywożony więzień wszystkich i wszystko żegna po kolei, jak gdyby wszystkiemu na wszystkiem, chciał zostawić swoją pamięć i pamięć wszystkiego wziąć z sobą.

Pieśni religijno - patryotyczne zebrane są prawie wszystkie z małymi wyjątkami w konfederackiej książce do nabożeństwa, a ten zbiór litanij, godzinek i hymnów jest najpiękniejszą książką religijną, jaką wiek XVIII u nas wydał, może w ogóle jedną z najpiękniejszych książek do nabożeństwa. Niejedna modlitwa Ołtarzyka Polskiego ztamtąd jest wzięta. Układ zwyczajny książek do nabożeństwa, i wiele rzeczy, które znajdują się wszędzie; ale obok tego inne zastosowane do chwili i do położenia żołnierza. Są naprzykład godzinki podczas wojny, których każdy hymn jest prośbą o zwycięstwo, albo prośbą o miłosierdzie w godzinie śmierci, albo przypomnieniem cudownych pomocy, udzielanych Izraelowi w jego bitwach. W litaniach znowu są powtrącane prośby tego rodzaju: abyś nas i wszystkie nasze wojsko w swojej opiece mieć raczył i t. p. Ta myśl o śmierci ciągle przytomna, a przytem

spokój, zapomnienie o sobie i miłość ojczyzny, jaką tchną te modlitwy, mają prawdziwie wielkiego chrześcijańskiego i bohaterskiego ducha. Charakterystyczny, bardzo ciekawy, a w swojej prostocie dowodzący głębokiej znajomości serca ludzkiego i słabości polskich, jest rachunek sumienia, ułożony ze stanowiska powinności i grzechów żołnierskich, konfederackich, i to według stopni wojskowych, grzechy marszałków, oficerów, żołnierzy; z niektóremi zmianami mógłby z korzyścią być rozpamiętywany przez całą Polskę.

Psalmy wzięte są nie z Wujka, ale z Kochanowskiego, a wybierane te tylko, które się do ówczesnego położenia Polski stosują. Pieśni wreszcie, które jako poezya najwięcej nas obchodzą, mają tyle ducha, takie czasem zwroty śmiałe, niespodziane, naiwne, a silne, kiedy indziej znowu ton żałości tak głębokiej i tak gorącej prośby, że niezawodnie mogą się liczyć pomiędzy najpiękniejsze pieśni kościelne (Lament — Wszechmocny Boże Ojcze, Synu, Duchu), pieśń do Najśw. Panny (Lachu, oddaj się w Maryi obronę) etc. W pieśniach do Świętych patronów polskich są takie zwroty, taka pewność, że ten Święty jako Polak powinien i musi przyjść na pomoc, taka jakaś mowa śmiała i pewna skutku, jak gdyby do przyjaciela, do brata, że nie wiedzieć, jakie to wrażenie robiło w Niebie, ale na ziemi robi ogromne.

Mickiewicz wspomina jeszcze znane proroctwo księdza Marka, jako szczyt tego natchnienia, i mówi, że Skarga nigdy nie wzniósł się tak wysoko. Różnica jest taka, że porównywać nie można. Skarga przewiduje przyszłość z intuicyą istnie proroczą, ale przewiduje ją, żeby tak rzec po ludzku, przewiduje logiczne skutki danych przyczyn, nie przypisując sobie daru proroctwa. Ksiądz Marek przepowiada przyszłość, której rozum przewidzieć nie może, jego proroctwo wychodzi z ludzkiej i przyrodzonej sfery. I dlatego wła-

śnie mówić o niem nie można, bo nie wiedzieć, jak mówić. Jeżeli to istotnie objawienie, proroctwo w znaczeniu proroctw Starego Zakonu, wtedy mówić o tem razem z dziełami ducha ludzkiego, sądzić jak jedno z nich, nie można. Jeżeli zaś jest tylko egzaltacyą i złudzeniem, w takim razie nie mogłoby mieć tego mistycznego znaczenia, jakie mu Mickiewicz przypisuje, ale i wtedy jeszcze nie mogłoby należeć pod sąd krytyczny i umiejętny, i wtedy najlepiej, najwłaściwiej szanować takie religijno-patryotyczne złudzenie, i nie roztrząsać go. Czy jest jednem czy drugiem, to przed nami zakryte, dlatego, w niepewności, czy to jest wyższe lub ludzkie natchnienie, najlepiej milczeć i nie uważać tego za rzecz literatury, za przedmiot krytyki, a wszystko, co o niem powiedzieć można, to, że wpływ tego proroctwa na poezyę późniejszą, zwłaszcza na Mickiewicza, jest niewątpliwy, i że ta tajemnicza obietnica zmartwychwstania, która się tam znajduje, jest może jednem ze źródeł całej późniejszej wiary w ofiarę Polski za postęp i wyszlachetnienie ludzkości, wiary, którą nasi poeci tłómaczyli sobie te krzywdy i pocieszali się w tych cierpieniach, których pierwszym w literaturze wyrazem jest poezya konfederacka.

W czasach wielkich zaburzeń i nieszczęść, kiedy namiętności polityczne do najwyższego stopnia rozjątrzone, kiedy każdy czuje, że dźwiga część odpowiedzialności za klęski publiczne, każdy chce pomódz swojej stronie do zwycięstwa, albo przynajmniej ją usprawiedliwić, albo, jeżeli i tego nie można, ocalić przynajmniej własną osobistą odpowiedzialność, a winę zwalić na przeciwników, zjawia się zawsze mnóstwo pism i pisemek, broszur, artykułów, satyr, paszkwilów, które do tych wszystkich celów służą. Za naszych czasów, kiedy nie każde zdanie, ale każda namiętność znajdzie zawsze jakieś pismo publiczne, które w ton ich trafia, zamknęła się ta cała literatura w dziennikach humorystycznych i niehumorystycznych; a pamflet

osobny na własną rękę stał się rzeczą rzadszą. Jest mniej potrzebnym, bo wszystko, istotna prawda czy potwarz, słuszne oskarżenie, czy zdradliwe posądzenie, wszystko znajdzie dziennik, którego opiniom lub namiętnościom będzie odpowiadał, który przyjmie, wydrukuje i rozniesie po świecie wszystko, co wchodzi w zakres jego przyjaźni i jego nienawiści. Przed stu laty, kiedy dziennikarstwo zaledwo istnieć zaczynało, musiały wszystkie nienawiści i zawziętości, wszystkie zażalenia słuszne i wszystkie kłamliwe oskarżenia, wychodzić w świat o własnej sile pod formą samoistnego pamfletu.

Dla tych podejrzanych płodów piśmiennictwa nie było może nigdy przyjaźniejszych czasów i stosowniejszego gruntu jak Polska Stanisława Augusta, stek zdrożności i nieszczęścia, w którym rozum i dobry zamiar nieraz musiał używać złych środków lub przyjmować na siebie złe pozory, w którym naodwrót złe występowało pod pozorami najświętszymi, chaos, w którym dobre chęci wydają złe skutki dzięki płytkim rozumom, w którym rozumy tęgie i patryotyzmy szczere, zdecydowane na wszelkie środki, znowu tylko złe skutki sprowadzają, a w którym wielka masa ludności widzi tylko to, że ginie, a sama nie wie komu swoją zgubę przypisać, i wini o nią wszystkich naprzemian; raz tych, co dawne instytucye chcą zwalić i poprawić, to znowu tych, którzy je podpierają. Nie wie, jak kogo ma sądzić, bo wszystkich naprzemian widzi w związku z sąsiadem, zrazu króla i Czartoryskich, potem opozycyę, która w Radomiu prosi Cesarzowej o gwarancyę, potem znowu króla, potem, za Sejmu Czteroletniego, znowu opozycyę; podejrzywa wszystkich i wszystkim płocho wierzy, na wszystkich się rzuca i żali, a nie umie rozeznać, kto dobrze, a kto źle chce i radzi. Dodajmy do tego gorszące, skandaliczne targi, ambicye, egoizmy i konszachty osób, zbiór takich figur podłych, jak Podoski, Młodziejowski, Poniński, Kossakowscy,

a nie będziemy się dziwili, że pamflet miał materyał, że jego dwa pierwiastki, słuszna zgroza i niesłuszne posądzenie, potwarz, miały się na czem rozwijać.

Powstawały też pamflety i paszkwile przez cały ciąg panowania Stanisława Augusta, ale drukowane na luźnych kartkach lub nie drukowane wcale, doszły do nas w wyjątkach tylko i przypadkiem. Jeżeli gdzieś w odległem województwie przepisał szlachcic w swojej *Silvie Rerum* wierszyk jaki przywieziony z Warszawy, a trafiający do jego przekonań i namiętności, a ta *Silva* szczęśliwym przypadkiem dochowała się do naszych czasów, lub jeżeli trafem ocalała gdzieś jaka drukowana oderwana kartka, to jedyne źródła do poznania tych śladów ówczesnych pojęć i namiętności; ale łatwo przypuścić, że tylko mała część tym sposobem została uratowaną, a i ta nie jest nigdzie razem zebrana i kryje się do dziś dnia po licznych *Silvach*. Poznaje się ją więc tylko znowu w setnej części, jeżeli przypadek komuś jeden lub drugi taki pamflet podsunął. Nie można więc nawet mówić o pamflecie w ogólności, ale tylko o jego próbkach i przykładach. Jednak i te, choć po większej części pisane bez zdolności, bez większego dowcipu, choć nie mogły ani w swoim czasie być takim środkiem działania, ani takim pomnikiem w literaturze, jak współczesne prawie Listy Juniusza, godne są poznania i wzmianki, bo zawsze rzucają nieco światła na ówczesne stronnictwa i ludzi.

Pamfletów takich jest wiele, od pierwszych lat Stanisława Augusta aż do trzeciego rozbioru, są wierszem i prozą, epigramaty i dyalogi, są na dążności i wprost na osoby, są na reformatorską i na staro-republikańską partyę. Cechą niemal wszystkim wspólną jest brak dowcipu i zdolności, a w innych znowu, w liryczno-patetycznych wierszach, brak siły i polotu. Wszystkie pisane są sposobem zbyt pierwotnym, i poprzestają na powiedzeniu, że ten jest zły, a ten gor-

szy, że temu chodzi o pieniądze, tamtemu o jaki inny interes, ale pomimo małej lub żadnej wartości literackiej ciekawe są nieraz samemi swojemi uprzedzeniami i niesprawiedliwością.

Większa liczba tych, które mi są znane, pisana jest przez kogoś z partyi hetmańskiej; wogóle można powiedzieć, że do pierwszego rozbioru ofiarami i bohaterami pamfletów są Czartoryscy i król; później, za Sejmu Czteroletniego, kiedy już się dokonał zwrot w opinii, godzi pamflet więcej w opozycyę—w końcu zwraca się zupełnie przeciw konfederacyi Targowickiej. Niektóre takie brukowe wiersze poświęcone są czci Kościuszki.

Najdawniejszy pisany jest podczas elekcyi Stanisława Augusta, a wymierzony przeciw Familii. Oburzenie na Czartoryskich, którzy się połączyli z Rosyą, żeby absolutnie zawładnąć Rzpltą, zalecenie kandydata saskiego, nadzieja w dzielności i stałości hetmanów i w *Krzyżu* Potockich, dowodzą dostatecznie, z jakiego źródła wyszła ta *Rozmowa Statysty z Ojczyzną*. Statysta chce przekonać ojczyznę o pożytkach reform i elekcyi Ciołka (ironicznie), ojczyzna się broni i mówi kilka rzeczy dość złośliwych.

Dziwne wrażenie w ustach tej partyi robi zakończenie wiersza, w którym Ojczyzna mówi, że elekcya Piasta, mogłaby być dobra, ale wtedy trzebaby mniej prywaty, a więcej jedności. Statysta mógłby odpowiedzieć: „Czyńcie, prałacie, jak nauczacie".

Później, kiedy się zaczynały pierwsze zawody króla i Czartoryskich, sprawa dysydentów, wypada z tej samej strony *Rozmowa Katolika z Dysydentem* wierszem, i *Rozmowa Króla z Ks. Kanclerzem Litewskim*, w której oba przedstawieni są jako wolni mularze zobowiązani przysięgą działać na zgubę chrześcijaństwa, a można sobie wyobrazić, jak pamflet tego rodzaju musiał działać na szlachtę po województwach. Są inne

natury więcej prywatnej, wyświecające charaktery i pobudki działania osób, n. p. Dyalog między biskupem kujawskim Ostrowskim a przyszłym kanclerzem Młodziejowskim. Jeden występuje jak cynik, który się brać nie wstydzi i do swojej chciwości i przedajności przyznaje, drugi jako hypokryta, który bierze tak samo, tylko zawsze *pro publico bono.* Najobszerniejszym i najciekawszym paszkwilem z pierwszych lat Stanisława Augusta jest *Cnota Uciemiężona Wolność Obarczona, Dyalog czyli Komedya w Siedmiu Aktach*, rzecz napisana bez żadnego talentu, po części albo z wielką łatwowiernością i nieznajomością rzeczy, albo wprost ze złą wiarą, ale ciekawe świadectwo sądu ówczesnej szlacheckiej opinii o osobach i wypadkach. Obejmuje ten dyalog dzieje konfederacyi Radomskiej, a kończy się porwaniem senatorów z Warszawy. Występują w nim wszystkie działające osobistości czasu, król (Despota), Repnin (Przemocki), Mich. Czartoryski (Wymyślicki), Andrzej Zamoyski (Wielkomyski) — intryganci i szachraje Podoski i Młodziejowski, cała oligarchia ówczesna z księciem Panie Kochanku (Odstępski) i Salezym Potockim (Prywatowski) na czele; a dla wszystkich bez wyjątku autor jest niemiłosiernym. *Odstępski* jest słaby i płytki, sam nie wie co robi, łatwo go zastraszyc i przekonać — *Prywatowski* myśli tylko o konsensach i nominacyach dla jedynaka syna, mówi wiele o patryotyzmie i przywiązaniu do wolności, ale w chwili gdy oporem czy to królowi czy Repninowi można się narazić na niebezpieczeństwo, w sam czas przychodzi mu choroba. *Sobiebierski* (podskarbi Wessel) należy do opozycyi, bo chce zniesienia komisyi skarbu, a oddania tego skarbu pod wyłączną władzę podskarbiego; i tak wszyscy. Naprzeciw nich stoją senatorowie patryotycznego ducha, Sołtyk, Załuski, Wacław Rzewuski (i jego dwaj synowie). Seweryn *Obroński*, Józef *Zażaliński* i Andrzej Zamoyski.

Komedya opiera się na tem, że ta cała oligarchia

złudzona przez Repnina (za pośrednictwem Podoskiego, *Perekińczyk*) nadzieją detronizacyi króla, zjechała się do Radomia, zawiązała konfederacyę, tam ujrzała się omyloną w nadziejach, zmuszoną do podpisania podanego przez Repnina manifestu i wysłania do Petersburga z prośbą o gwarancyę. Przedmiot paszkwilu jedyny, bo pomijając stronę okropną i tragiczną wypadku, głupstwo tych ludzi i ich zawiedzione nadzieje dawały sposobność do sarkastycznego i komicznego przedstawienia. Na nieszczęście, wykonanie jest zupełnie nieudolne. Całą zaś sprawą kieruje król i Czartoryski, i oni są autorami radomskiej roboty. Dążąc do absolutnej władzy (jak nazywano zamierzoną naprawę rządu), a nie chcąc na siebie ściągnąć *odium*, układają z Repninem intrygę, że ten uda się za ich nieprzyjaciela, zwabi opozycyę do Radomia i zmusi ją przemocą do podpisania manifestu. Czy to zła wiara i nienawiść do króla i Czartoryskich? Raczej tylko naiwny sąd człowieka źle poinformowanego, ale sąd dość w swoim czasie rozpowszechniony. Konfederacya Radomska była dowiedzioną robotą Repnina na szkodę króla i Czartoryskich, a poróżnienie między królem a Repninem było prawdą. Opinia jednak, widząc się omyloną w nadziejach, widząc, że Repnin nie myśli o tej detronizacyi, którą obiecywał, i że król w końcu do Radomskiej roboty przystąpił, podejrzliwa jak zawsze w Polsce, wniosła ztąd i przez jakiś czas wierzyła, że cała konfederacya wyszła z inicyatywy króla. Tego niedorzecznego mniemania odbiciem może być i ta komedya. Kończy się ona w Warszawie oporem Sołtyka, Załuskiego i Rzewuskich przeciw projektowanej delegacyi, wywiezieniem ich do Kaługi, i dymisyą Andrzeja Zamoyskiego, po którym pieczęć bierze Zausznikowski (Młodziejowski).

Z czasów pierwszego podziału i sejmu roku 1775 nie znam ani jednego wierszyka, choć czas ten dostarczyć mógł obfitego żywiołu paszkwilom. Jedna tylko

karteczka, urywek niedokończony, wymierzony, zda się, przeciwko Radzie Nieustającej; nosi to napis: „Katechizm polski” i zawiera kilkanaście pytań i odpowiedzi, jak naprzykład: Kto stworzył Radę? Gwarancya. Co jest Gwarancya? Jest to twórca nierządu i niewoli w Polsce i t. d.

Do tego czasu wreszcie należy *Suum Cuique*, uważana dawnej za ostatnie pismo Konarskiego: napisane na prawdę (bezimiennie) przez ks. Adama Czartoryskiego (generała ziem Podolskich).

W takich nieszczęściach nie może być inaczej, jak że przeciwne stronnictwa rzucają się na siebie wzajemnie zapamiętale i całą winę jedno na drugie zwalają. Takiem oskarżeniem strony przeciwnej, takiem zwaleniem na nią odpowiedzialności jest *Suum Cuique*. Jest to rzut oka na historyę od śmierci Zygm. Augusta, wykazanie, jak rozkład wewnętrzny postępował z każdem panowaniem, jak ratunek stawał się coraz trudniejszym, a coraz naglejszym. Wreszcie dochodzimy do Augusta III. Był to czas sposobny do ratunku, byli tacy, którzy ratować chcieli, ale jakże kiedy „wszyscy ważniejszemi zajmowali się rzeczami”. Mniszech i jego partya nie mogli ścierpieć, kiedy jaki stronnik Czartoryskich został deputatem, a cóż dopiero posłem na sejm — sejmy pełzły na osobistościach, a chwila sposobna niknęła bez ratunku. Umarł król, nadeszła konwokacya, żołnierz rosyjski znajdował się wszędzie za Warszawą i w Warszawie, pomimo to dało się wiele rzeczy dobrych zrobić na tym sejmie: partya przeciwna zmianom założyła protestacyę, jednak mimo to opisano hetmanów i podskarbich—wreszcie stanęła elekcya Stanisława Augusta.

Mówiąc o tych wypadkach, pomija autor to, co stronnictwu Czartoryskich zarzucano i co zostanie zawsze zarzutem słusznym, przesuwa zlekka i powierzchu bo czuje, że gruntowne zbadanie sprawy byłoby nie-

bezpieczne. Ale kiedy przychodzi do tych faktów, gdzie wina rzeczywiście spadała na przeciwników, wtedy krytyka jego schodzi do samego dna rzeczy.

Na sejmie 1766 roku stanęła Rosya w obronie dysydentów. Ustępując w rzeczy tak drobnej można było odebrać jej pretekst mieszania się w nasze sprawy; zamiast tego odrzuciliśmy żądania niebacznie, niezręcznie, odrzuciliśmy w sposób obraźliwy, obostrzyliśmy rygory prawa na dysendentów, zapomnieliśmy, że ludzie rozumni opierają się mocniejszemu, ale go nie lżą i nie wyzywają, jak dzieci, żeby potem ustąpić.

Potem nastąpiły rzeczy gorsze, układy zelantów z Repninem, który im obiecywał, że zwalą króla, utrzymają hetmaństwo, że dochody Rzpltej wpływać będą do kieszeni podskarbiego jak dawniej — konfederacya Radomska, poselstwo do Cesarzowej Katarzyny z prośbą o gwarancyę praw stanowić się mających — i któż to wszystko zrobił? Nie król, nie jego stronnictwo, ale zelanci, republikanie, wielcy patryoci, książę prymas, Mniszech, Radziwiłł, Wielhorski, sami trybuni, sami ludzie starego autoramentu. A potem, potem już było za późno ratować się mowami i deklamatorskim patryotyzmem! Trzeba było zawczasu Rosyi nie drażnić i nie dać jej wziąć góry, a nie byłoby przyszło do porwania senatorów.

Potem nastąpiła konfederacya Barska, *pejor medicina morbo.*—Poruszywszy naród, należało prowadzić go mądrze; ale zamiast tego, generalność dawała tylko przykłady gorszących swarów i rozdwojeń — ale czyż mogło być inaczej, kiedy na czele jej robót stali tacy ludzie jak Pac, Wessel etc.?

„Nie szlachcie, nie narodowi, ale tym, którzy tak nieroztropnie wciągnęli w źle ułożoną robotę, tym, którzy dotąd łudzą kłamliwemi wieściami, tym przypisać trzeba wszystkie klęski i to co nas jeszcze czeka".

Jednak ostatnie słowa tego pisma, są słowami po-

jednania i pokoju: „Przestańmy szukać, kto jest autorem tych nieszczęść, przestańmy zwalać winę jedni na drugich, wszyscyśmy winni *nenime excepto*, niema tego niewinnego, któryby drugiemu mógł rzucić kamień. Przestańmy więc szarpać ojczyznę, matkę naszą, a niech przynajmniej po tej szkodzie, jeżeli to być może, Polak będzie mądrym".

ROZDZIAŁ IV.

(1773 — 1780).

I. Krasicki. Charakterystyka. Myszeis. Powieść w wieku XVIII Powieść dydaktyczna. Doświadczyński. Epopeja heroikomiczna. Monachomachia. Satyry i Listy. Pan Podstoli. Widoczne wady. Wielkie zalety. Podstoli i *Żywot* Reya. II. Początki Naruszewicza. Jego poezya. Jego przekonania. Ody. *Głos Umarłych.* Satyry. Sielanki. Początki Trembeckiego. Drobne wiersze. Powązki. Polanka. Wiersze polityczne. Wyobrażenia i pociągi. Bajki Krasickiego. III. Pisma polityczne. Obrona *Liberi Veto.* Sejm roku 1768. Konfederacya Barska. Rousseau: *Uwagi o Rządzie Polskim.* Mably *o Położeniu Polski.* Wielhorski. Po pierwszym rozbiorze. Zmiana w pojęciach. Wybickiego *Listy Patryotyczne.*

I.

Krasicki. Charakterystyka. Myszeis. Powieść w XVIII wieku. Powieść dydaktyczna Doświadczyński. Epopeja he oi komiczna. Monachomachia. Satyry i Listy. Pan Podstoli. Widoczne wady. Wielkie zalety. Podstoli i *Żywot* Reya.

Po pierwszym rozbiorze, w roku jeszcze ohydnej pamięci sejmu podziałowego (1773), wychodzi pierwsze większe dzieło Krasickiego, i odtąd wychodzić będą szybko, jedne po drugich.

Przedmiot uwielbienia i podziwu współczesnych, imię, nad które, jak sądzono, większego być nie może, większego nie trzeba, między współczesnymi bezsprzecznie pierwszy, w lat trzydzieści po śmierci, biedny *Książę Poezyi*, zdetronizowany, ogłoszony za samozwańca i uzurpatora, stracił miłość ludzką, wziętość i sławę, stał się biedny celem niechęci, lekceważenia, nieledwie wzgardy. Romantyczność wyrzekła nad jego głową wyrok potępienia, a choć najmniej był winien, choć na względy zwycięzców najbardziej zasługiwał, przecież biedny biskup warmiński, jako król i reprezentant dawnego porządku rzeczy, skazany został bez miłosierdzia. Namiętność walki trwała jeszcze długo po zwycięstwie, a była, jak zwykle namiętność, niesprawiedliwą. Czy słusznie było poniewierać Krasickim za to, że Dmochowski i Osiński posunęli swój fanatyczny upór do śmieszności? Inaczej rozumiał to

Mickiewicz—on sądził Krasickiego wielkim poetą. Ale namiętność nie rozumuje, lubi dać uczuć swój tryumf i pastwi się nad zwyciężonymi.

Dziś to przeszło. Działał sam czas; więcej od niego sprawili może ci, którzy zajęli się rozpoznaniem Krasickiego, i nam ukazali go w prawdziwem świetle jego zalet i jego braków (Kraszewski, Chmielowski, Nehring, Bartoszewicz, Kurpiel etc.).

Powodem tej niełaski Krasickiego było, że nie czynił zadość tym potrzebom naszego uczucia, których zaspokojenia przyzwyczailiśmy się przedewszystkiem żądać od poezyi. Wzrośli i wychowani w czasie, kiedy całe niemal życie narodu zbiegło się w poezyi i w niej tylko mogło się objawiać, nauczyliśmy się szukać w niej naprzód strony patryotycznej, potem dopiero innych, a jeżeli tej nie było, poezya nie odpowiadała naszemu uczuciu, poeta dostawał wyrok potępienia. Nie rozumiejąc bez tego poezyi wogóle, dopieroż nie mogliśmy pojąć tego, że poeta, żyjący za Stanisława Augusta, patrzący na rozbiory, mógł być poetą swobodnym i wesołym, pisać bajki jak Lafontaine, kiedy ponura energia Danta ledwie byłaby dorównała tragiczności chwili; pisać satyry lekkie i zaledwo złośliwe, kiedy nie byłoby zanadto zmaczanego we krwi i żółci rylca Juwenala, żeby chłostać ówczesne prywatne i publiczne stosunki; że pisał humorystyczne poematy, kiedy lamentacye Jeremiasza jedne powinny były zgodzić się w tonie z uczuciem narodu. Gdyby ten sam Krasicki był żył i pisał te same rzeczy w epoce innej, szczęśliwszej, sława jego i wziętość nie byłaby upadła, byłby pozostał sympatycznym; że, żyjąc w swojej epoce, mógł pisać rzeczy tego rodzaju, tego nie możemy mu darować.

I podobno nie błądzimy. Błądzą ci, którzy mu odmawiają wszelkiego uczucia polskiego i współczucia dla ojczyzny. Naprzód nic zuchwalszego, jak tak kogoś od tego uczucia odsądzić; powtóre, że je Krasicki

miał, dowodzi wiele ustępów z pism jego. Bajka o czyżyku albo wzmianka o słupie granicznym na wjeździe do Galicyi już austryackiej, nie są wyjątkami; ustępów takich jest wiele. Zresztą, wieleż to rzeczy pisał z widocznym celem przysłużenia się krajowi. Nie godzi się odsądzać go od miłości ojczyzny, hypoteza dowolna i krzywda. Ale to można powiedzieć śmiało, że uczucia gorącego, żywego, wzniosłego tam nie było. Schiller, gdyby był Polakiem, byłby zapewne nic nie napisał, byłby umarł: Krasicki żył i „nie wcielił się w to ciało, co tak cierpieć miało".

Dlaczego on, dlaczego cała wogóle poezya Stanisławowska nie umie się do tego tonu dostroić? Dlaczego w chwili nieszczęśliwszej, dramatyczniejszej nie znajdzie ani jednego słowa, któreby nam szło do serca? Dlaczego nie natchnie jej ani rozpacz ani zgroza, dlaczego nie umie się zdobyć ani na *Pieśń Wajdeloty*, ani na żaden *Psalm*? Dlaczego?

A dlaczego sejm konstytucyjny nie umiał zdobyć się na działanie energiczniejsze i szybsze? Dlaczego powstanie Kościuszki było militarnie tak słabem, nie popartem przez ochotników z całego kraju? Dlaczego wymowa sejmowa w tej najstraszniejszej chwili tak rzadko kiedy zdobywa się na słowo jędrne, silne, słowo wielkiego uczucia? Bo poziom narodu był zniżony i zniżony oddawna: on się podnosił, ale się nie podniósł zbyt wysoko. Smutny jest obraz tych czasów, smutno powiedzieć, że nawet najlepsi pomiędzy ówczesnymi ludźmi, nie dorośli tej miary, która była potrzebna, że jednym zbywało na energii, drugim na poświęceniu, innym na zdolności, że właściwie o nikim nie można powiedzieć, iż był zupełnie na wysokości położenia. Tak jak nas nie może zaspokoić działanie sejmu, jak czujemy, że czegoś tam brak, tak nie może zaspokoić nas i poezya; z jednej i tej samej duszy narodu wyszło jedno i drugie; poezya nie mogła dać narodowi więcej, niż z niego wzięła.

Krasicki i inni poeci byli zanadto reprezentantami swego społeczeństwa, żeby mogli być takiem odbiciem owej chwili, jakiegobyśmy żądali, jakieby nas zaspokoić mogło. Ale oprócz tej przyczyny ogólnej, są inne osobiste, wypływające z jego natury, które sprawiały, że mógł być poetą pełnym talentu, miłym, wdzięcznym, ale nigdy wielkim; Horacym, ale nie Eschylem ani Dantem. Zwłaszcza, że nie mógł być rozpaczającym Jeremiaszem naszej Jerozolimy.

Usposobienie spokojne, cokolwiek egoistyczne; bez silnych uczuć, bez namiętności, serce zdolne żywo czuć przyjemność, nie tęskniące za idealnem szczęściem. nawet za rozkoszą, nie mogące znać rozpaczy. Umysł podobny do serca, żywy, bystry, nie mogący bardzo zboczyć i pobłądzić, ale poprzestający na średniej sferze, nie zdolny oddać się całkiem na usługi jakiejś idei; pojętny i łatwo wszystko obejmujący, nie skłonny do trudu i walki. Wyobraźni tyle, ile potrzeba, żeby człowiek nie był suchym, żeby każde jego słowo było żywe, a każda myśl ozdobnie i ponętnie wyrażona: nie dosyć, żeby poczęła jakąś koncepcyę większych rozmiarów i głębszego znaczenia; dość, żeby wymyślać bardzo trafny apolog, nie dość, żeby stworzyć jakąś wielką postać lub dramatyczną sytuacyę. Dowcipu bardzo wiele, zdrowego rozsądku jeszcze więcej, żółci prawie nic, dobroduszności dużo. Najlepiej w kilku słowach opisuje go Mickiewicz (Kurs II. Lekcya XVI).

Ludzie tego rodzaju mają ten przywilej, że są bardzo mili, są nawet dobrzy, gotowi zawsze do małych usług; rzadko do poświęceń. Każdy ich lubi, mało kto kocha; wielkie poświęcenie, wielki żal, wielkie szczęście, wielkie uczucie, wszystko to nie dla nich, to przechodzi miarę ich możności i zdolności ich natury, której wszystkie pragnienia i instynkty zamykają się w maksymie, *leben und leben lassen*. Z taką naturą można być najmilszym z ludzi, można być usłużnym do

pewnej granicy przyjacielem, można być pisarzem pełnym wdzięku; wielkim poetą być nie można.

Jednak było poetów wielu z podobną naturą. Zdaje się, że swobodny pogląd na świat, żywe uczucie wszystkiego, co miłe, usposobienie pogodne, żywy zazwyczaj u takich ludzi zmysł artystyczny, dowcip wreszcie, składają u nich pewną całość nie zdolną zastąpić wyobraźni twórczej i natchnienia, ale zdolną tworzyć rzeczy, które świeżością i lekkością podobać się muszą. Typem poetów tego rodzaju jest Horacy, ich cechą, miara, elegancya i przyjemność; a Krasicki kiedy w swoim zawodzie stawał pod chorągwią Virgila, zabłąkał się, bo główna kwatera jego chorągwi jest w Sabinum, gdzie kwitnie spóźniona róża i dobry humor, gdzie chłodne wino smakuje przy swobodnej rozmowie. Jest on prawdziwie Horacym, jedynym Horacym jakiego mamy w literaturze polskiej; podobny do tamtego nie tylko rodzajem talentu i usposobienia, ale nawet stosunkiem swoim do Augusta. Że w czasach, kiedy tragiczny Dant byłby ledwo odpowiedział położeniu narodu, największy z naszych poetów był tylko synem Horacego, to świadczyłoby przeciw nam bardzo, gdybyśmy później nie byli się zdobyli na innych poetów; ale kiedy ich dzięki Bogu mamy, możemy się i sami pocieszyć i jemu przebaczyć, że był tylko Horacym.

Jednak myliłby się bardzo, ktoby poważniejszej myśli w pismach i w życiu Krasickiego zaprzeczał. Nie bohater to, nie mąż Plutarcha w życiu, jak nie Dant ani Szekspir w poezyi; ale pod lekkością człowieka XVIII wieku, pod wygodną i wyrozumiałą filozofią życia, pod darem łatwego pogodzenia się ze złem, jest przecież u niego znajomość, miłość, i pragnienie dobrego. Wszystko, prawda, bez zapału, ale wszystko jest: a im dalej w lata, im w kraju gorzej, tem to wszystko występuje wyraźniej. Pod tym względem możnaby rozróżnić dwie epoki w życiu Krasickiego. W pierw-

szej, człowiek młody, wychowany do ludzi i świata więcej, niż do Boga i społeczeństwa, kontent z życia w którem mu dobrze, kontent z siebie, ze swego talentu, dowcipu, powodzenia, używa tych darów i o tem tylko zdaje się myśleć, jakby ich używać, jakby dowcipem bawić siebie i drugich, a talentem błyszczeć i nowe sobie nadal powodzenia zapewniać. Pisze *Myszeidę* i *Monachomachię*, w których na próbkę tylko, jak gdyby dla uspokojenia własnego sumienia, jest trochę poważniejszej dążności, i to powtórzonej, już cokolwiek oklepanej. Po Konarskim łatwo było powstawać na nieporządne sejmy w *Myszeidzie*; łatwo było zwłaszcza w XVIII wieku zafarbować *Monachomachię* jakiemiś aspiracyami do oświaty; wszak ta zdawkowa moneta była podówczas w ręku wszystkich. Ale z czasem poważnieje Krasicki. Już pierwsze bajki mają bardzo wyraźną i bardzo dobrą tendencyę moralną i obywatelską w swoich przystosowaniach, a im dalej, tem lepiej, Zdawałoby się, że jak od roku 1775 do końca wieku podnosił się istotnie poziom patryotycznych i obywatelskich uczuć w narodzie, tak z nim razem podnosił się wyżej i Krasicki. Jest on zawsze, jak wszyscy współcześni, reformatorem z XVIII wieku, reformatorem chłodnym, przywiązanym nieco naiwnie, a pedantycznie do najnowszych formulek filozofów i statystów; ale z postępem lat i złego, ta dążność reformatorska staje się u niego nie tylko coraz wyraźniejszą, ale coraz głębszą. Bardzo poważna i szanowna w *Satyrach*, nie mniej trafna, a idąca do początków złego w *Doświadczyńskim*, w *Podstolim* bierze ona górę nad wszystkiem i wydaje dzieło, jako powieść słabe, ale jako traktat moralny, jako obraz umysłowego i obyczajowego stanu Polski, tak poważne i dobre, że autorowi ani gorliwego zajęcia się swoim narodem, ani istotnej względem niego zasługi odmówić nie można. Dałoby się prawie powiedzieć, że w Krasickim walczy Polak bardzo oświecony i ożywiony najlepszemi chęciami, z pło-

chym i powierzchownym produktem XVIII wieku i że ten ostatni przeszkadza pierwszemu tak żywo i głęboko czuć, tak poważnie myśleć i działać, jakby chciał i jakby mógł. Jeden z nich pisze *Monachomachię* i przesiaduje w *Sans-Souci*, drugi pisze *Podstolego*. Ten ostatni żył dłużej, zrobił więcej; a jeżeli wyrozumiałość dla błędów nie powinna przechodzić w pobłażliwość niesprawiedliwą i wszystko uniewinniającą, to na odwrót i zasługom także należy się sprawiedliwość, i nie godziłoby się nie widzieć tych, które są, dlatego, że nie są większe lub liczniejsze.

We wszystkich dziełach Krasickiego, dostrzeżemy zawsze dwa braki: silniejszego uczucia i twórczej inwencyi. Uczucie, jak dowodzą jego poezye liryczne, nie przechodzi nigdy pewnej miary średniej Wyobraźnia, w poematach większych rozmiarów, tworzy tu i owdzie ładny i żywy obrazek, nigdy charakteru, nigdy postaci którąby się wbiła w pamięć; żadna z jego postaci nie zdobyła sobie prawa obywatelstwa,- żadnej nie nadał własnego życia i piętna. Dostrzegał doskonale; ale gdzie trzeba było opuścić tę stałą podstawę, tam już jego siła nie wystarczała; ztąd znakomity w satyrach, słabym jest we wszystkich rodzajach, wymagających inwencyi.

Kto wie, czy sam nie czuł tego instynktem, kiedy się puścił na rodzaj poematów alegoryczno-satyrycznych. Musiał czuć, że mu to będzie łatwiejszem, i że nadstawi dowcipem, jeżeli gdzie braknie wyobraźni. Pierwsze jego poematy, i te, które może najgłośniejszą zrobiły mu sławę, należą do tej kategoryi. Bo nie *Wojna Chocimska*, nie *Pan Podstoli*, nawet nie *Bajki*, *Satyry* i *Listy* zrobiły sławę swojemu autorowi. Znany był tylko z rozmowy, z drobnych rzeczy drukowanych w *Monitorze*, z mowy koronacyjnej, bo Horacy miał mowę przy koronacyi Augusta, mowę ładną, skończoną, gładką, w której naucza wiernych, że króla szanować powinni, a zarazem daje poznać, że do królew-

skiego stronnictwa należy i boi się, żeby opozycya nie przeszkadzała w zamierzonem dziele odmian. Pierwszem jego dziełem większem, była *Myszeida*, ogłoszona w roku 1775.

Fr. Sal. Dmochowski, w znanej pochwale Krasickiego świadczy, że naród, który od tak dawna poezyi artystycznej nie widział, porwany był pięknością formy, lekkością tonu, elegancyą zwrotów i żywością opisów,—zdziwił się, nie sądził się tak bogatym, nie myślał, znając tylko sztywny i zardzewiały język, niezgrabny wiersz Drużbackiej i jej współczesnych, żeby mógł się zdobyć na rzecz tak udatną i wdzięczną. — Zapomniał, że nie mówiąc już o pięknościach wyższego rodzaju, ale nawet pod względem tej lekkości, swobody i wesołości, miał rzeczy stokroć piękniejsze, w Sobótce Kochanowskiego lub Sielankach Szymonowicza. Ale że po Drużbackich, Minasowiczach i podobnych, wiersz i pomysły Krasickiego musiały się podobać, to bardzo naturalne. Dziś *Myszeis* nie może nas zachwycać, ani nawet bawić; jako poemat komiczny, nie jest dość komiczna, jako alegorya, niestety nie dość wyaźna. Gdyby była wyraźną, gdyby Krasicki był rzeczywiście przeprowadził do ostatka zamiar, który zdaje się miał z początku, gdybyśmy mogli wiedzieć, kto się kryje pod tymi Gryzomirami i Mruczysławami, jaki fakt historyczny jest treścią tej alegoryi, miałaby *Myszeida* wartość nieopłaconą. Niestety, do tej alegoryi brak nam klucza. Dmochowski mówi, że „poema to pisane było początkowo w celu satyrycznym, później jednak chciał Krasicki zatrzeć ślady tego zamiaru. Mimo to przecież, ktokolwiek wczyta się w to poema, odkryje, kogo autor przez Popiela, kogo przez myszy i szczury, kogo przez koty i naczelnika ich Mruczysława, kogo przez dysgracyowanego ministra chciał oznaczyć”.

Czemuż nie powiedział, jeżeli się domyślał lub wiedział! Współcześni może znali zamiar autora, my mo-

glibyśmy go odgadnąć, gdyby go nie był umyślnie zatarł; ale dziś napróżno się silimy, nie możemy uchwycić nitki, z którejby się ten kłębek dał rozwinąć. Że cel satyryczny był, to niewątpliwe. Dowodzi tego ustępów wiele, naprzykład Rada Senatu w pieśni drugiej; widoczne jest, że walka myszy z kotem, jest walką dwóch stronnictw, ale jakich? Dziś przeważa i za pewne uchodzi zdanie, że myszy i szczury to szlachta i senatorowie ze stronnictwa opozycyjnego, a koty stronnictwo dworskie. Popiel ma wyobrażać Stanisława Augusta; ale wizerunek podobniejszy do Sasów, niż do niego.

Gdyby tak było, gdyby Popielem był Stanisław August, Gryzomiry, Gryzandy, i tak dalej, znaczyłyby zapewne Radziwiłła, Branickiego, Mokronowskiego i t. d., a walka, miałaby chyba znaczyć konfederacyę Barską; kłótnie myszy i szczurów—swary generalicyi; wyprawa Gryzomira nad Ren po ratunek—jej stosunki z Francyą; czarownicą, która Gryzomira bierze w opiekę i wojnę na nowo zapala, byłaby Francya; senatorem, który jeden zostaje wiernym Popielowi, choć niewdzięcznemu, może Andrzej Zamoyski; a wreszcie śmierć Popiela, zagryzionego przez myszy, miałaby znaczyć porwanie króla przez konfederatów. W każdym razie ta alegorya przyjemną nie jest. Dziwnem jest, że Krasicki mógł w ten sposób mówić o wojnie domowej, którą mógł sądzić, jak chciał, ale z której żartować się nie godziło; powtóre w poemacie samym są rzeczy, które tym kluczem otworzyć się nie dadzą. Koty oznaczałyby stronnictwo rządowe; ale cóż począć z księżniczką Duchną? ze śmiercią i pogrzebem Filusia? z zemstą którą ona myszom zaprzysięga i z której wysnuwa się dalszy wątek fabuły? Czy to jest właśnie owo umyślne zatarcie podobieństwa w alegoryi i przerobienie poematu na czysto komiczny? Rzucam pytania i przypuszczenia, nie mogąc żadnego rozwiązać, ani dowieść.

To pewna, że jeżeli pod Myszeidą nie kryje się alegorya żadna, to wartość jej jest bardzo mała. W poemacie komicznym, żeby był dobrym, musi być i treść komiczna; tutaj cała komika polega na poważnym tonie, którym się opisuje rady i wojny kotów i myszy. Humor i dowcip się trafi, komiczności ciągłej, a zwłaszcza żywej akcyi niema. Epopeja zwierzęca zresztą, jeżeli ma być dobrą, musi posiadać dwa warunki. Naprzód każde zwierzę musi być wcieleniem, satyrą lub karykaturą jakiejś skłonności, śmieszności lub namiętności ludzkiej, każde powinno mieć swoją odrębną fizyognomię i swój charakter konsekwentnie przeprowadzony, dowodem „Reinecke Fuchs”. Krasickiego Gryzomiry i Mruczysławy, różnią się od siebie tylko nazwiskami, a zresztą są tak bez fizyognomii i bez treści, że szczury do kotów i między sobą podobniusieńkie. Drugi warunek jest, żeby poemat zwierzęcy był czysto zwierzęcym, żeby nie było nieprawdopodobnej mieszaniny ludzi i zwierząt. Dopóki występują zwierzęta same, każdy wie, że jesteśmy w świecie fikcyi lub alegoryi i wierzy we wszystko, *quia absurdum*. Ale jak w jednej akcyi spotyka się człowiek i zwierzę, Popiel i Gryzomir, fikcya przechodzi oczywiście pozwolone granice; czytelnik musi stać jedną nogą na świecie rzeczywistym ludzkim, drugą na imaginacyjnym zwierzęcym; te dwa światy nie dadzą się żadną miarą sprowadzić na jakiś grunt wspólny, z jakim takim pozorem logiki — i poemat, zamiast bawić, nuży, choć nie jest ani długi, ani ciężki.

W Myszeidzie, — znowu dziwnie, że w poemacie komicznym—znajduje się sławny wiersz „Święta miłości kochanej ojczyzny”. Wiersz wydaje nam się dość zimnym, a jego umieszczenie niewłaściwem. Ale przed stu laty, i dłużej jeszcze, on uchodził za najwznioślejszy wyraz patryotyzmu w poezyi. Powtarzano go ze łzami, a każdy umiał go na pamięć. Przez wzgląd na

to, że takie robił wrażenie, godzien jest, żeby o nim pamiętać i mówić z uszanowaniem.

W rok po *Myszeidzie* ukazał się *Doświadczyński.*

W historyi romansu stanowiłby wiek XVIII epokę bardzo ciekawą. Musiała w owym czasie odbywać się jakaś wielka rewolucya w samem uczuciu, skoro się odbywała w jego odbiciu literackiem, w romansie. Właściwie romans w dzisiejszem znaczeniu słowa jest dzieckiem tego wieku. Dawniejsze żyły resztkami dawnego romansu rycerskiego, romansu wielkich przygód i awantur, który tracił wdzięk, świeżość i prawdopodobieństwo w miarę, jak przygody i awantury stawały się coraz rzadszemi, ale trwał dużo dłużej, niż ta rzeczywistość, której odpowiadał. Jeszcze romanse panny Scudéry, *Wielki Cyrus* i *Klelia*, są resztkami tego romansu; jest taką nawet Historya Eufraty i księcia Adolfa Drużbackiej. Tylko pozbawiony wszelkiej podstawy w rzeczywistości, romans rycerski albo dworszczeje, jak u panny Scudéry, albo się staje tak czczym i nic nie mówiącym, jak u Drużbackiej. A że myśl ludzka zawsze formy zużyte umie zastąpić nowemi, które jej lepiej odpowiadają, więc też, skoro dawna forma romansu stała się anomalią wśród nowych stosunków, niebawem zaczęły się dla niego wyrabiać formy nowe. Było tych form trzy. Naprzód, romans lekki, rozpustny, potomek Decamerona i Brantôma, bez wdzięku i naiwności tamtych, sztuczny, dowcipny, daleko więcej zepsuty. Zrazu trzymał się on w rozmiarach dość drobnych, jako nowele. We Włoszech Casti i Pulci, we Francyi powiastki Voltaira, a przed nim jeszcze niektóre Lafontaina, reprezentują ten rodzaj. Ale w miarę jak zepsucie zaczęło się szerzyć i ścierać z siebie nawet polor dowcipu i elegancyi, a coraz mniej ukrywać cyniczną i grubą zmysłowość, rodzaj ten wydał romanse brudne, jak *Bijoux Indiscrets* i *Religieuse*, jak *Pamiętniki Margr. de Sade.*

*

Zdaje się, jak gdyby zbytek cynizmu sprowadził był dziwną reakcyę pod koniec XVII wieku. Tak jak przesyt życia dworskiego, etykiety i pompy sprzykrzył się i wydał ten zwrot w upodobaniach, ten gust dworsko-idyliczny, którym się bawiła Marya Antonina, tak zdaje się, że cynizm rozpusty, Ludwik XV, Richelieu, pani Dubarry, Fronsac i cały ten rodzaj rozpusty wyuzdanej wywołał reakcyę. Zepsucie nie ustało, ale zmieniło charakter. Stało się sentymentalnem i romansowem; potrzebowało zasłon, wymówek, maski, może innej przyprawy; potrzebowało czułych wrażeń, wzniosłych uczuć, wielkiej tkliwości, namiętności i t. d. Miłość chciała mieć pozory idealne. Temu zwrotowi w uczuciach odpowiada zwrot i w literaturze; zjawiają się romanse namiętności jak *Manon Lescaut*, namiętności pod figurami wzniosłego i sentymentalnego uczucia, *Nowa Heloiza*; wreszcie, na samym końcu, romanse uczucia prawdziwie oczyszczonego i idealnego jak *Paul et Virginie*, a na ostatku uczucia chorobliwego, nerwowego, przerafinowanego, jak *Werther*.

Wreszcie trzecim rodzajem romansu, tym, który jako forma był mu najmniej właściwym, był romans nauczający, dydaktyczno-moralny i tendencyjny. Powieść, fikcya, osoby, służyły tu tylko za pretekst i okrasę; istota rzeczy polegała w jakiejś moralnej tendencyi i nauce. Były to pod formą dzieła imaginacyjnego, traktaty i dysertacye o jakichkolwiek zagadnieniach moralnych, filozoficznych, politycznych i t. d. Protoplastą rodzaju był zapewne Telemak, i pozostał jego typem. We wszystkich powieściach tego rodzaju odnajdujemy jego charakterystyczne cechy, naturalne defekty ojca i potomków. Sama natura rzeczy wskazuje, że dzieło wyobraźni nie może być dobrem, jeżeli się je obciąży naukowemi lub moralnemi rozprawami, a rozprawa naukowa lub moralna musi tracić na wartości, jeżeli się ją upstrzy wymysłami wyobraźni. Złe powieści i złe rozprawy; powieści złe, bo nudne, roz-

prawy nieraz doskonałe, pełne prawd i rozumu, ale zepsute tem, że prawd tych szukać trzeba.

Modny niezmiernie był ten rodzaj w owym czasie, kiedy umysły poważne, widząc około siebie mnóstwo umysłów lekkich, sądziły że trzeba postępować z nimi jak z dziećmi i uczyć, bawiąc. Czy to bawiło? Ale to pewna, że romans dydaktyczny przyjął się w całej Europie. Kwestye moralne, kwestye polityczne, filozoficzne, umiejętne, wszystkie lubiły występować pod tą formą; Leszczyński żegluje aż do wyspy Dumokala, żeby okrasić pomysły *Głosu Wolnego*, Rousseau potrzebuje wymyślać najnudniejszą z powieści, Emila, żeby wypowiedzieć swoje pojęcia o wychowaniu.

Krajem, w którym romans w tej epoce najprędszą i najradykalniejszą przebył rewolucyę, była Anglia. Można powiedzieć, że tam on się zdemokratyzował. Dawny romans przygód i awantur był rycerskim, dworskim, arystokratycznym; teraz zeszedł on we wszystkie warstwy życia i społeczeństwa. Romans domowy, z potocznego życia, to co dziś nazywamy obyczajowym, to produkt daleko więcej angielski, niż francuski; rodzaj, który tam dowiódł wielkiej żywotności i wydał dzieła, z których wypłynął jak ze źródła cały romans późniejszy we wszystkich swoich kierunkach. Tu poraz pierwszy romans staje się psychologicznym i charakterowym; tu, czy to pod formą satyryczną, jak u Smoletta i Fieldinga, czy pod dydaktyczną, jak Vicar of Wakefield, czy wreszcie pod czysto romansową, jak u Richardsona, schodzi w życie potoczne, ziemianina, księdza, mieszczanina etc., a wszędzie jest pełnym życia, natury i prawdy. Tu także w Anglii, kwitnie i romas tendencyjno-dydaktyczny, i także na odwrót tego, co się dzieje gdzieindziej, staje się pełnym życia. Telemaka czyta się tylko przy lekcyach francuskich, ale Robinsona czytamy dotąd wszyscy, i może go nigdy ludzie czytać nie przestaną. Romans ten był tu tak uprawianym, że wykształciły się nawet różne

jego rodzaje. Od Gullivera, tej satyry zjadliwej i złej, aż do poważnego i pompatycznego Rasselasa Johnsona, w którym Abisynia wygląda tak, jak Europa wyglądaćby powinna, odstęp jest ogromny. Zapełnia go Robinson, prosta powiastka dla dzieci, powieść nauczająca, dydaktyczna dla starszych, Robinson od obu bardziej zajmujący i bardziej nauczający, dlatego zapewne, że z codziennego zwyczajnego życia wzięty, i że wszystkie jego przygody do tego życia się stosują. Dość, że od dworsko-pompatycznej powieści w guście Telemaka, aż do satyrycznej alegoryi pełnej żółci i nienawiści i do powieści na tle życia i wyobrażeń klas średnich, romans dydaktyczny angielski objął i przedstawił wszystko.

Czy bardzo śmiałem będzie przypuszczenie, że Krasicki w swoich powieściach tego rodzaju poszedł właśnie za wzorem Anglików? Że ich znał, czytał i cenił, to jest wiadome, a czytając *Doświadczyńskiego*, trudno jest oprzeć się wrażeniu, że on był w blizkiem pokrewieństwie z *Robinsonem*. Obadwa zaczynają od najgorszego wychowania, obadwa puszczają się w świat, obadwa wracają przemienieni na innych ludzi przez doświadczenie i biedę. Wprawdzie Robinson dostaje się na odludną wyspę i tam sam przez się, własną pracą wyrabia się na człowieka: Doświadczyński dostaje się do swego Xaoo i reformuje się pod wpływem jego mądrości i cnoty. W tem leży wyższość powieści angielskiej nad naszą; przygody Robinsona są niezawodnie ciekawsze i zabawniejsze, niż nieskończone perory Xaoo, w tem także jest wyższość charakterów, nawet może różnica charakterów narodowych. Anglik podnosi się sam, własną pracą, energią i wolą. Doświadczyński, Polak niewprawny w Selp-help, zginąłby może na wyspie, gdyby tam ludzi nie był znalazł, ale za to łatwo przyjmuje radę, wpływowi ulega, na jego przekonanie i wolę działać łatwo. Tamten jest twardy jak stal, ten miękki, i Krasicki sam może nie wiedział,

jak utrafił podobieństwo polskiej natury, kiedy jej się kazał podnieść nie za własną inicyatywą, nie z własnej woli i energii, ale z pomocą zewnętrzną: kiedy w tej reformie gra największą rolę nie wola i przemysł, ale uczucie i dobre serce. Pomimo tej ogromnej różnicy, pomimo, że cały pobyt Doświadczyńskiego na wyspie zdaje się wyjętym raczej z Rasselasa, niż z Robinsona, jednak, bez stanowczych dowodów prawda, ale nie mogę obronić się myśli, jakoby Doświadczyński był poniekąd polskim Robinsonem.

Naprzód sama treść jest dość podobna; tu i tam bohaterem jest młodzieniec, zepsuty przez złe wychowanie, poprawiony przez twarde życie; tu i tam cel jest jeden: krytyka złego wychowania, wykazanie jego skutków, i trudności, z jakiemi człowiek śladów jego pozbyć się może. Sposób, którym każdy z autorów bohatera swego do poprawy doprowadza, jest zupełnie różny, ale czy w tych przygodach, które przebywa Doświadczyński po ucieczce swojej z wyspy Nipuanów, uwięzienie jego na hiszpańskim okręcie, niespodziewane oswobodzenie, niewola w kopalniach złota, powtórne uwięzienie w Hiszpanii, wreszcie ratunek przez przyjaciela Francuza, czy wszystko to, z treścią związane dość słabo i bynajmniej nie konieczne, nie wygląda na z góry powzięty zamiar, żeby, bądź co bądź, przeprowadzić bohatera przez awantury, i... nie zakrawa na Robinsona?

Jeżeli się zapytamy, która z tych dwóch powieści jest ładniejsza, odpowiedź wypadnie oczywiście na korzyść Robinsona. Tego wszyscy czytają i czytać będą, na Doświadczyńskim dziś ledwo uczymy się stylu, łatwego, prostego sposobu pisania, a przytem tak doskonałego i poprawnego, że każdy frazes jest małem arcydziełem. Porównywać trzecią księgę Doświadczyńskiego, księgę przygód, najsłabszą właśnie, z przygodami Robinsona, byłoby łatwym dla tego ostatniego tryumfem. Ale czy pod innym znowu względem Do-

świadczyński nie miałby wyższości nad Robinsonem, inna rzecz. Robinson na początku powieści okazuje się już gotowym, zepsutym: widzimy łzy i namowy ojca, lekkomyślność i upór syna, dowiadujemy się ogólnie, że przyczyną takiego skutku było złe wychowanie, ale na to wychowanie nie patrzymy. De Foe miał za cel przedstawić odrodzenie człowieka przez trud i pracę: wszystko inne było dla niego podrzędnym dodatkiem. Krasicki przeciwnie, chciał swego bohatera poprawić i wykierować na porządnego człowieka, ale przedewszystkiem chodziło mu o pokazanie, jaką drogą dochodzi się do utraty czasu, majątku, a nawet honoru. Dlatego zapoznaje on nas z Doświadczyńskim zaraz po jego urodzeniu. Od pierwszych lat zasiewa nierozsądna słabość macierzyńska zarody złego; dziecko się nie uczy, żeby nie straciło fantazyi, że dobrego nauczyciela dostać trudno, i sto podobnych wymówek, a na prawdę przez słabość, ten jedyny egoizm macierzyńskiego uczucia, żeby dziecku nie dokuczyć i łez jego nie widzieć. Zaczyna się uczyć z największym wstrętem, bo od kolebki nauczono go wyobrażać sobie naukę jak karę, nauczyciela jak wroga; nauczyciel, pod wpływem sprzecznych rozkazów ojca i matki, bije, kiedy nie ma za co, a pieści, kiedyby raczej karać należało. Ojciec umiera, szesnastoletni chłopiec osiada na wsi, jako pan swojej woli i majątku; dla formy, dla oka świata dostaje guwernera Francuza, oszusta, i teraz zaczyna się drugi system wychowania, niezmiernie u nas pospolity, wychowanie na pokaz, dla oka ludzkiego. Niebawem młodzieniec zaczyna romansować z pierwszą parą czarnych czy niebieskich oczu, jaką spotkał na swojej drodze; Julianna brała wszystko za prawdę i przywiązała się stale, Doświadczyńskiemu wszystko jedno; ta czy inna, w każdej byłby się tak samo zakochał i o każdej tak samo zapomniał. Żeby to ułatwić, wyprawia matka panicza do miasta: tu robią się niepotrzebne znajomości, pierwsze karty, pierwsze długi,

pierwsze nadweręźenia dobrego imienia chłopaka; już go widziano z podejrzanymi ludźmi, już był wmieszany w nieczyste sprawy, już nie jest zupełnie porządnym człowiekiem. Po krótkiej pokucie na wsi, przez której czas matka płaci, jak może, długi wekslowe, wylatuje młodzieniec na świat szerszy do Warszawy; tu wpada pomiędzy młodzież, która chcąc go zrobić „galantomem, junakiem i filozofem", a widząc bogatym, korzysta z łatwowierności i kieszeni: nowe straty, nowe długi, nowe hulanki (proces w trybunale lubelskim z osobistych wspomnień autora, kiedy prezydował Rudomski). Wreszcie po śmierci matki, wolny zupełnie i modny kawaler śpieszy do Paryża, wpada między oszustów i wydrwigroszów, dobroć serca sama go gubi, ręczy za długi swoich przyjaciół, żyje dobrze, w końcu zapłacić nie może za innych ani za siebie, bez grosza, ze straconą sławą, ze wstydu i rozpaczy ucieka na okręt, przeznaczony do Batawii.

Otóż to wychowanie, to wychowanie tysięcy ludzi: ten rezultat jego, to rzecz codzienna, dziś jak przed stu laty, i można powiedzieć, że niema rodziny bez choćby jednego Doświadczyńskiego. Fakt to smutny, ale jego wychowanie i młodość są typowe; i w tym to pomyśle, wykonanym z właściwą Krasickiemu trafnością spostrzeżeń i dowcipem, tkwi zaleta powieści, jej wartość trwała i jej wyższość nad Robinsonem, który daje rezultat gotowy, ale nie pokazuje procesu, przez który się do takiego rezultatu dochodzi.

Mniej udała się księga druga, pobyt bohatera na wyspie Nipu. Jedna z tych nieprawdopodobnych Arkadyj, wprowadzonych w modę przez Tomasza Morusa, które tak wyśmiał Macaulay właściwym sobie trochę szorstkim i bezwzględnym sposobem, mówiąc o Rasselasie w szkicu o Johnsonie. Nipuanie Krasickiego nie są filozofami XVIII wieku jak Abisyńczyki Johnsona, są to raczej szczęśliwe dzieci natury podług ideału Rousseau. Niema u nich ani wojen, ani zbytków, ani

kłótni, ani procesów, ani nadewszystko pieniędzy. Człowiek, który je tam chciał wprowadzić, ukamienowany, jest do dziś dnia celem przekleństw i zgrozy. Ich obyczaje, formy życia domowego, towarzyskiego i społecznego są pierwotne i proste. Zwaśnionych rozsądza starszy, i godzi, strony zawsze wyrok przyjmują, namiętności nie znają żadnych, ani chciwości, ani dumy, ani ambicyi, zgoła żadnej. Nie sztuka wtedy żyć szczęśliwie. Zapomniał tylko Krasicki jak tylu innych przed nim, że taki stan człowieka możliwy jest tylko na tamtym a nie na tym świecie, i że dlatego wszystkie te idealne społeczeństwa prześlicznie wymyślone, począwszy od Utopii aż do Dumokali Leszczyńskiego, opierają się na jednej tylko rzeczy dowolnej i fantastycznej, na fantastycznej i dowolnej naturze człowieka, i dlatego wszystkie razem są tylko mrzonkami bez wartości, bez możliwego skutku. Utopia Krasickiego nie jest przytem, nawet z ówczesnego punktu widzenia, jedną z lepszych utopij. Leszczyński przynajmniej rozwija w Dumokali cały system politycznych pomysłów i urządzeń; Xaoo Krasickiego, poprzestaje na bardzo prawdziwych ale bardzo oklepanych ogólnikach, do których nic nowego nie dodaje. Gdyby Doświadczyński, zamiast terminować w mądrości i cnocie u Xaoo, był powrócił do Polski, i tu, wśród rodzimych stosunków, z człowieka wyszarzanego był się stał na nowo takim, jak być powinien, powieść o nim byłaby niezawodnie i bardziej zajmującą, i bardziej nauczającą.

Przypisywana Homerowi Batrachomyomachia, służyła za pretekst, za rekomendacyę mnóstwu w całej Europie poematów heroi komicznych. A właśnie w czasach, kiedy twórczość poetyczna zaczęła wysychać w Europie, naturalnie bardzo zaczął się krzewić ten rodzaj fałszywy i niesmaczny. Ludzie, których na poemat bohaterski stać nie było, obiecywali sobie sławę, powodzenia, poklask lub zarobek, z parodyi, z naślado-

wania epickiej formy, w którą kładli treść umyślnie jaknajmniejszą i śmieszną; ta sprzeczność zaś, dla nas nieznośna, miała sprawiać efekt bardzo komiczny, i istotnie się podobała. *Wiadro Porwane* Tassoniego dało podobno hasło i początek; niebawem przykład znalazł naśladowców. Boileau napisał sławny *Lutrin*, w którym doprawdy nie wiedzieć, co jest zabawnego, ale który przez sto lat uchodził, jak się wyraża jego naśladowca Węgierski, za „poema najdowcipniejsze, jakie jest na świecie". Pope zbierał laury za *Pukiel Włosów* i za *Dunciadę*, zabawniejszym, bo szczerzej żartobliwym był *Vert-Vert* Gresseta. Wreszcie rodzaj cały dostał się do Niemiec, wydał ciężką *Jobsiadę*, i tam skonał, doprowadzony do ostatniej niedorzeczności przez Blumanera, który już nie poemat heroi-komiczny pisać, ale prawdziwy poemat bohaterski chciał trawestować, myśląc, że to dopiero będzie zabawne. Za czasów Krasickiego epopeja komiczna stała na szczycie sławy i wziętości, nic więc dziwnego, że zwłaszcza czując w sobie dowcip, chciał się i on w tym rodzaju popisać. Cóż dopiero, kiedy go zachęcił przykład wielkiego proroka wieku, arcykapłana poezyi, Voltaira! Bo i Voltaire pisał poemat heroi-komiczny; tylko, że ten rodzaj z natury swojej niesmaczny, z postępem czasu i zepsucia obyczajów, pod piórem nowelistów włoskich coraz bardziej nieprzyzwoity, w rękach jego stał się po prostu cynicznym i obrzydliwym.

Krasicki szedł więc za modą, a zapewne i za trafnym instynktem, że na wielkie rzeczy zrywać się nie jest dla niego bezpiecznie, kiedy pisał heroi-komiczne poematy: kiedy napisał *Monachomachię*.

Są dwa względy, dla których jej bardzo szanować nie możemy. Naprzód, nie można zaprzeczyć, że jeżeli zakony były złe, ciemne, próżniackie, pijackie, to biskupowi przystało je karcić i poprawiać, nie wydrwiwać; a jeżeli biskupowi nie przystało stawać przeciw zakonom po stronie filozofów, to nie więcej przystało

Polakowi po rozbiorze robić cokolwiek dla zabawy i przyjemności starego Frydryka. Że Krasicki, jako biskup, ze względu na swoją dyecezyę, musiał utrzymywać stosunki z dworem, od którego jej sprawy zależały, dobrze, niema nic do powiedzenia. Ale każdy więcej niż konieczny krok uprzejmości, każde staranie, żeby przypodobać się Fryderykowi, było przekroczeniem granicy godności, którą powinien był zachować. Uznawać go musiał, ale poufalić się z nim, bawić go, przyjmować jego grzeczności i podchlebstwa, to było nadto; to znowu jeden z przykładów, jak ludzie tego wieku nie umieli się szanować.

Od Myszeidy jest *Monachomachia* (1778) artystycznie lepsza, choć ma wady podobne. Zabrakło wyobraźni, i ani treść, akcya, nie jest żywą i zabawną, ani figury prawdziwie żyjące. Treść cała zasadza się na tem, że Niezgoda wszczyna spór między zakonem Dominikanów a Karmelitów. Klasztory wyzywają się na dysputę uczoną, która niebawem zamienia się w dysputę na pięści, którą, żeby przerwać, wnosi sędzia dysputy kolosalny kielich, *Vitrum gloriosum*, i cała wojna mnichów kończy się pod stołami i ławami refektarza. Treść tę ubogą podnieść mógł tylko dowcip nieustający, a dowcip jest kapryśny, i długo na jednym stopniu utrzymać się nie lubi, zwłaszcza, kiedy go krępuje mimowolne uczucie, że nie jest dowcipem zupełnie godziwym. Ztąd też, choć Fryderyk śmiał się do łez z *Monachomachii*, nie można powiedzieć, że humor nigdy w niej nie słabnie i nie ciężeje. Figury i epizody nie mają właściwego życia i ruchu. Ojciec Gaudenty gruby i opasły, ojciec Remigiusz chudy, inny łysy, czwarty kulawy, ale ostatecznie jak tam myszy i szczury tak i tu Karmelici i Dominikanie zupełnie jednakowi. W epizodach także ten sam brak prawdziwego opisowego talentu, nadania ruchu i życia figurom; Hiacynt podczas bitwy ma konferencyę z dewotką, ale ta konferencya nikogo nie rozśmieszy, bo i Hiacynt i de-

wotka wyglądają jak drewniane lalki. Jednak niezaprzeczenie są rzeczy ładne i pełne humoru, jak początek pierwszej pieśni lub oracya, parodyująca wybornie wymowę panegiryczną, niedawno jeszcze powszechną. Wreszcie tu się znajduje wiersz klasyczny „Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!" — ależ za to jak niesmaczne jest powtórzenie wiersza o świętej miłości kochanej ojczyzny z zastosowaniem do butelki!

Monachomachia zrobiła pewne zgorszenie, takie, że aż autor uznał za potrzebne cofać się i bronić. W cztery więc lata po niej wyszła *Antimonachomachia*, tych samych, co tamta wad i przymiotów, te same nawet występują w niej figury. Ta sama Niezgoda rzuca do klasztoru Monachomachię; mnichy łączą się przeciw autorowi, wielka narada, jak go ukarać, co zrobić, proces czy konfederacyę, aż ksiądz proboszcz, oświecony i umiarkowany, przekonał oburzonych, że poemat nie jest bezbożnym ani wymierzonym przeciw zakonom, ale tylko przeciw złym zakonnikom, a słowa jego potwierdza Prawda, znaleziona na dnie przyniesionego na zgodę kielicha. W tych słowach autor daje zadośćuczynienie klasztorom i zgorszonej opinii.

Rok to (1778) szczególnie dla Krasickiego urodzajny, a zarazem oznaczający rozwój i dojrzałość jego talentu. *Monachomachię* można uważać za epilog jego młodości; *Satyry* i *Pan Podstoli* (część pierwsza 1778), to już rzeczy jak lepszych nie napisał nigdy.

Dość rozpowszechnione zdanie o „Satyrach" jest to, że mają one wprawdzie bardzo wiele wartości artystycznej, lekkość, dowcip etc., ale głębszej wartości moralnej nie mają. Chcielibyśmy więcej oburzenia, mniej litości, mniej względu na osoby, więcej surowej i niemiłosiernej, nieubłaganej cnoty; chcielibyśmy, żeby poeta najzepsutszego wieku Polski, mówił o tem zepsuciu ze zgrozą, a nie z lekką i swobodną ironią.

To prawda, że Krasicki pisze Satyry swoje tak, jak niegdyś pisywał swoje Horacy. Tak jak tamten

zbijał bruki na *Via secera, nescio quid meditans nugarum*, i tam w lot chwytał śmieszności i słabości ludzkie i od niechcenia opisywał je w Satyrach, a głębiej, do szpiku kości, do gruntu złego się nie dobierał, tak i Krasicki zbiera wzory po Warszawie i po prowincyi, więcej się z nich śmieje niż gorszy, i z humorem raczej niż oburzeniem kładzie je w swoje Satyry. Może być, że ten ton nie jest odpowiedni temu stopniowi złego. Ale przypatrzywszy się bliżej jego Satyrom, a dziś mało kto zadaje sobie tę pracę, dostrzeżemy pod tym dowcipem, humorem i swobodą zamiar bardzo poważny. Satyry te są liczne, a każda z nich poświęcona jest innej zdrożności, innemu złemu nałogowi; czytając każdą z osobna nie widzi się tego, ale biorąc je razem poznaje się, że składają pewną całość, każda ma za przedmiot jedną wadę ówczesnego społeczeństwa, wszystkie razem stanowią jego krytykę niemal zupełną, jego rachunek sumienia wyczerpujący, i zrobiony, może bez wyraźnego zamiaru, prawie systematycznie. Częste zwroty i przystosowania, częste refleksye i odwoływanie się do Polski ówczesnej, dowodzą, że w myśli autora Satyry te miały być czemś więcej, niż zabawką i ćwiczeniem dowcipu, że mu chodziło głównie o sens moralny, o naukę.

Dla przekonania przejrzyjmy choćby tylko same tytuły i treści. Pierwszą z rzędu spotykamy Satyrę do króla: nie na króla, ale do króla, Satyrę jedną z najbardziej wykończonych, eleganckich, horacyuszowskich, a wymierzoną na tych, którzy, podejrzywając króla we wszystkiem, co robił, nawet z samych jego dobrych przymiotów robili broń przeciw niemu. Mniejsza o to, że chodzi o Stanisława Augusta, i że taka odpowiedź na zarzuty niechętnych jest najmilszem i najdelikatniejszem kadzidłem dla oskarżonego; ważniejsze jest to, że ta Satyra odpowiada rzeczywistej skłonności i jednej z brzydszych skłonności narodu: podejrzliwości, niechęci do ludzi wyniesionych nad zwykły po-

ziom. Jest w niej więc prawda, jest racya bytu, są aluzye aż nadto trafne i słuszne; a że przytem jest dowcip, humor i wdzięk formy, tego poecie za grzech wziąć nie możemy.

Po tej dedykacyi, jak gdyby prolog i przedmowa do dzieła, następuje Satyra, *Świat zepsuty*. Nie uderza ona na żadną zdrożność w szczególności, ale robi jak gdyby przegląd ogólny wszystkich, spis tego, co będzie dalej traktować się szczegółowo, i oznacza bardzo poważnie stanowisko autora; zakończenie jest może najpiękniejszem z jego wierszy.

Potem następują, jak w kalejdoskopie, krętacze i filuty, hypokryci i oszuści, pieniacze, fałszywi sędziowie, dwujęzyczni adwokaci, świętoszki, za nimi rozpustnicy jawni, arystokraci nadęci dumą rodową, dorobkowicze pyszni z majątku, typy ogólnie ludzkie wprawdzie, ale i typy, w które obfitowała ówczesna Polska. Dalej, rodzaj ludzi nadzwyczaj podówczas częsty, ci ludzie wychodzący z pod ziemi jak grzyby, we wszystko wmieszani, świecący blaskiem i bogactwem, ludzie niepewnej przeszłości, podejrzanej uczciwości, a witani, uznawani przez wszystkich, to tak pospolici wówczas zagraniczni i swoi awanturnicy, od których roiła się Warszawa, którzy olśniewali dwór i miasto. Dalej jeszcze, w tej samej zawsze sferze, majątkowej i pieniężnej, marnotrawstwo, nieład, brak rachunkowości, porządku, trwonienie grosza przez lenistwo, przez głupstwo, przez chęć popisu: to już typ polski, niestety, i jeden z najczęstszych, a zarazem jeden z najlepiej, najdowcipniej opisanych.

Ale marnotrawstwo, zbytek, to wada nie powszechna, to wada możniejszych. Ubożsi nie tracą na fałszywe Vandyki. Czy dlatego nie kradną sami siebie i nie mają winy? W Warszawie, po pałacach próżniactwo, zbytki, karty, rozpusta: na prowincyi za to częsty nałóg fatalny, nałóg, który ogłupia człowieka, a jeżeli powszechny, ogłupia naród, pijaństwo, owo nieszczęsne

saskie pijaństwo, wielkie nieszczęście i wielki wstyd dawnej Polski. Do niego zwraca się Satyra szósta.

Ma swój cel i znaczenie i ta *Przestroga młodemu*, która upomina, żeby nie wierzył i nie uległ antireligijnemu kierunkowi wieku. Jedna z rzeczy, która wyobrażenia autora w tej mierze najlepiej daje poznać. *Żona modna*, najulubieńsza w swoim w czasie ze wszystkich Satyr, jest znowu bardzo dowcipną charakterystyką kontrastu ówczesnej Warszawy i ówczesnej Polski, życia modnego i życia wiejskiego. Nas ona nie tak bawi; wapory, migreny, ckliwa romansowość modnej żony, jej koty, psy, papugi, mysz na łańcuszku, wszystko to dla nas nie jest rzeczywiste. Ale bo moda się zmieniła. Modna żona dzisiejsza miałaby inne upodobania i kaprysy; wówczas ta, z papugą, z myszą, rozmyślająca o nieszczęściach Heloizy była codziennym typem, każdy ją znał, każdy ją miał w swojem sąsiedztwie, prosta rzecz, że obiegła całą Polskę dokoła i miała szalone powodzenie. *Życie Dworskie* jest nową znowu stroną życia warszawskiego, a *Gracz* jest ostrą chłostą na tę szaloną grę, z której podówczas słynęła stolica. A potem znowu coś nowego, i coś, co doskonale odpowiada nieprzyjaciołom Krasickiego, tym, co mu zarzucają brak powagi, uczucia i głębszego wejrzenia w rzeczy: *Pan nie wart sługi*.

Pochwała wieku bardzo stosowna na dziś; *Mędrek*, to znowu napaść na filozofię i na zarozumiałą półuczoność; *Wziętość* uderza na zdzierców publicznego skarbu. Co zaś dowodzi, że to wszystko ze świadomością i zamiarem autora ma stanowić całość, że te Satyry nie są luźne, że są jednem dziełem, to owa ich dowcipna konkluzya, w której autor odwołuje wszystko, co powiedział, przeprasza, i jeszcze raz wszystko reasumuje, wszystkie swoje typy zgromadza. Tam dopiero widzi się jak na dłoni, że od dworu aż do sługi przeszedł w swoich Satyrach wszystkie polskie stosunki i wielką liczbę polskich przywar. Tak trzeba na Satyry patrzeć:

trzeba je uważać razem, jako całość, jako obraz obyczajów i moralnego stanu owego wieku, a wartość ich wzrośnie w naszych oczach ogromnie. Gdyby ktoś, co o Polakach i Polsce nigdy nie słyszał, dostał do ręki te Satyry, i gdyby miał z nich odgadywać usposobienie i wady tego zapomnianego, nieznanego narodu, niezawodnie na tej jednej podstawie, z tą jedną pomocą, mógłby złożyć dość podobny obraz Polski Stanisława Augusta.

A teraz wartość Satyr literacka i artystyczna? Tej im nikt nie odmawiał, przyznawano przynajmniej doskonałość formy. Ale zupełnej sprawiedliwości jednak doczekać się nie mogą. Wiersz piękny. dużo dowcipu, i na tem koniec. Przestajemy na tym wyroku i nigdy do Satyr Krasickiego nie zaglądamy. Źle robimy; źle wychodzimy na tej pogardzie; bo pomijając ich niezaprzeczoną wartość moralną, dobry zamiar, który je zrodził, stosowność ich dla ówczesnego społeczeństwa, pomijając to, że w nich poezya polska ukazuje się już rzeczywiście odrodzoną, że odzyskała właściwy sobie język, formę i t. d., pomijając to, mają one tyle życia, tyle wdzięku, tyle rodzimego humoru, że kto je dziś zaczyna czytać z uprzedzeniem i niechęcią, nieznacznie dochodzi do tego, że ich porzucić nie chce i wraca do nich z coraz nowem upodobaniem. Oprócz tego mają one jedną jeszcze stronę ciekawą, a Krasicki jedną zaletę. Dotąd nasz język i literatura, nawet w złotym wieku, nie miały dwóch własności, któremi gardzić nie można, nie znały tonu lekkiego, ironii i dowcipu. Język XVI wieku jest niezrównanej nigdy piękności, ale jego znamieniem jest powaga i majestat—nasi klasyczni pisarze nigdy tonu nie zniżają, humor miewają nieraz, dowcipu mało, a ironii nie znajdzie się u nich prawie. Powaga ich języka jest taka, że trudno sobie wyobrazić, jak ludzie w potocznej mowie używać go mogli. Język XVIII wieku i nasz dzisiejszy, nie jest wspaniały, ale jest niezawodnie giętszy,

ma więcej odcieni i tonów, jest elastyczniejszy, w użytku nietylko łatwiejszy, ale wdzięczniejszy i lżejszy. Nie stracił on swego wielkiego piętna, tego dowodzą wielcy pisarze naszego wieku: ale nabył miękkości, lekkości, zgrabności, jak ciało ludzkie przez gimnastykę, i stał się zdolnym do wszelkich zwrotów. Otóż tę gimnastykę robił z nim pierwszy Krasicki, a jak się udała, to pokazuje porównanie jego Satyr z tym bezwładnym, niedołężnym paralitykiem, którym był język poetów pierwszej połowy tego wieku.

Do Satyr rodzajem i zaletami zbliżone są Listy, chwała Voltaira; nikt nie pisał piękniejszych, dowcipniejszych od niego. Z natury swojej lżejszy od Satyry, list zdaje się nie wymagać już niczego, tylko humoru i gładkiej, eleganckiej formy. U nas i on poszedł w poniewierkę, wyszedł z mody, a kto wie, czy nie dlatego, że nas nie stać na to, czego on wymaga. Nasi pisarze nowsi dawno już oduczyli się dbać, jak należy, o formę, a humoru i swobody nie mamy, nic dziwnego. Zaginął więc list poetyczny, ten płód wesołej i pogodnej myśli, a ostatni, jaki posiadamy, wylągł się na Nilu pod dobroczynnem ciepłem egipskiego słońca, z wypoczętej i ruchem łódki ukołysanej myśli Słowackiego. List do Aleksandra H. jest prześliczny, prawdziwy promień słońca wśród burz i chmur zakrywających horyzont poezyi Słowackiego; początek jego należy do rzeczy najwdzięczniej pogodnych, jakie można spotkać, pod koniec staje się smutniejszym, ale wdzięku nie traci. Krasickiego listy są śliczne, doskonałe, w swoim rodzaju klasyczne. Nie mówiąc już o tych, aż nadto sławnych, które każdy w wyjątkach umie i powtarza, którym mieszanina wiersza z prozą nadaje taki pozór figlarny i kapryśny, jak „Podróż z Warszawy na wieś”, jest kilkanaście listów samym wierszem, które zostaną zawsze wzorami rodzaju i języka, a których treść uczy autora bardziej szanować, niżeśmy to czynić zwykli. Do najpiękniejszych należą: List do Brata

o obowiązkach obywatela, do Naruszewicza o pisaniu historyi, a nadewszystko do księcia Stanisława Poniatowskiego o Podróżach. Ten ostatni, zaczęty z ujmującym humorem, wyszydzający jeden z powszechniejszych i śmieszniejszych naszych nałogów, kończy się w sposób, który musi zamknąć usta wszystkim, którzy w Krasickim widzą tylko lekkiego i dowcipnego człowieka, a pokazuje go prawdziwie szlachetnym i rozumnym.

Większą nierównie wartość moralną i historyczną aniżeli Doświadczyński, ma Pan Podstoli, najważniejsze z prozaicznych dzieł Krasickiego. Literacką za to może mniejszą. Doświadczyński pisany był z planem, odrazu, i jest skończony. Podstoli zakończenia nie ma, a pisany częściami w odstępach lat kilku. Autor sam nie wiedział może zrazu, jakie będą rozmiary dzieła, a w miarę jak pisał, dopiero materya rosła mu pod ręką, jedna kwestya dotknięta nasuwała dziesięć innych, słowem, pisany bez planu, nie mógł być wolnym od powtarzań ani mieć dobrej wewnętrznej budowy. To już jeden powód. Powtóre, Doświadczyński przedstawiony jest satyrycznie, ze strony komicznej; Podstoli z całą prozopeją i w całem jaskrawem świetle doskonałości. Zawsze łatwiej jest zrobić typ komiczny, niż typ perfekcyi, karykaturę niż ideał, a zwłaszcza było to łatwiejszem dla Krasickiego, który miał rozsądek, dowcip i dar obserwacyi, ale nie miał wyobraźni wzniosłej i poetycznej. Ztąd też postacie, które rysuje z ironią, mają życie i prawdę, przykład Doświadczyński; ideały w poezyi czy w prozie, Chodkiewicz czy Podstoli są martwe, drewniane, nieznośne. Ta regularnie zbudowana i regularnie funkcyonująca maszyna wszechdoskonałości, tak człowieka męczy, nuży i niecierpliwi, że się tęskni za hulakami i łotrami; miałoby się ochotę powiedzieć mu: Kradnij, zabijaj, pal, ale żyj, miej duszę, nie mechanikę w ciele, bądź człowiekiem, nie zegarem, wycinającym kazania, jak kuranty za każ-

dem pociągnięciem sznurka. Sznurków takich jest liczba nieskończona; co chwila autor jeden pociąga, a posłuszny pozytywek gra swoją sztukę i recytuje perorę o jakimkolwiek obowiązku rodzinnym lub obywatelskim. Wszystko w tej głowie jest i wszystko w najlepszym gatunku, najporządniej ułożone, wszystko ma swoje miejsce, numer i etykietę. O czemkolwiek zacząć mówić, zaraz Podstoli sięga do jednej z numerowanych szufladek, dobywa z niej materyę gotowiusieńką i rozciąga przed oczyma zbudowanego i ziewającego czytelnika. Jego żona o tyle tylko od niego znośniejsza, że się mniej odzywa, ale jak się odezwie, to tym samym sposobem; ksiądz proboszcz taki sam, dzieci godne rodziców, wszystko doskonałe, a wszystko takie, że się człowiek dusi od doskonałości.

Figury są drewniane lalki, zrobione podług wszelkich reguł cnoty i moralności, a wątek jest zbiorem nieskończonych rozpraw filozoficzno moralnych. Łatwo sobie wyobrazić, jaką te dwie ingredyencye złożyć mogą powieść. Powieści równie ciężkiej, równie śmiertelnie nudnej niema na całym świecie, to jest są może równe, Telemak, ale nudniejszych niema. Ktoby chciał pojmować Podstolego jak powieść, musiałby go rzucić pod stół bez dyskusyi. Ale kto spróbuje zrobić na nim w myśli amputacyę, wyrzucić wszystkie figury, zapomnieć, że to mówią figury powieści, a uważać tylko na to, co mówią, temu Podstoli wyda się inaczej: i jako traktat filozoficzno-moralny, jako kurs praktycznej filozofii życia, wyda się rzeczą nietylko dobrą i mającą wartość, ale nawet pełną niepospolitych zalet i wdzięku. Nieszczęsna moda dydaktycznych romansów uwiodła Krasickiego i zgubiła jego dzieło. Gdyby w Podstolim nie było Podstolego, gdyby to był tylko zbiór uwag, studyum nad polskim charakterem i życiem, podzielone poprostu na rozdziały: o rozrzutności, o próżniactwie, o złem gospodarowaniu, o wychowaniu dzieci, o zabawach i gościnności, o grzeczności, o pijaństwie,

o pobożności etc.... i gdyby autor był poprostu powiedział nie przez usta swego bohatera, ale od siebie, jak każda z tych rzeczy pojmowaną być winna, a jak jest w Polsce za jego czasów, byłby zostawił dzieło klasyczne może obyczajowej treści. Nieszczęściem, chciał przedmiot swój okrasić i ozłocić fikcyą, nie chciał być suchym moralistą, i został najsuchszym z powieściarzy; a że jako moralista nie byłby był suchym, tego dowodzi choćby tylko sam Pan Podstoli.

Podstoli bowiem jest nieznośny pedant, ale rzeczy, które mówi, są doskonałe. Naprzód są tak słuszne, tak prawdziwe, tak zacne i szlachetne, że prawie niema tego pojęcia, tej zasady, na którąby można się nie zgodzić. Powie kto na to, że nie sztuka: prawdy moralne są ogólne i zawsze te same, i wszyscy się na nie dawno zgodzili. Być może; ale nie jest to przecież fenomen codzienny, żeby jeden człowiek mówił o Bogu i o hodowaniu bydła, o jedwabnikach i o sposobie obchodzenia się z ludźmi, o urządzeniu służby domowej i o przywarach narodu, o gościnnych pokojach i o medycynie, o tańcu i o prawie publicznem, i żeby nigdy, prawie nigdy, uczucie i pojęcie czytelnika, o wiek cały oddalonego, nie było w sprzeczności z jego uczuciem i pojęciem. Tymczasem z Podstolim jest tak: na wszystko, co on mówi, trzeba zawsze odpowiedzieć *prawda, masz słuszność.* I dlatego, choć bohatera samego można uważać za najmniej udaną z imaginacyjnych kreacyj, to autora trzeba mieć za jeden z umysłów najprostszych, najzdrowszych, najtrzeźwiejszych, jakie Pan Bóg stworzył i jako taki go podziwiać.

Kiedy Dmochowski mówi, że Pan Podstoli jest to dzieło najpiękniejsze i najpożyteczniejsze, jakie w którymkolwiek języku czytać można, i że trudno obrać sobie kształt szczęśliwszy, aby w nim tyle dobrych rzeczy powiedzieć, oczywiście unosi się za daleko Przeciwnie, trudno kształtu mniej szczęśliwego dla tylu dobrych

rzeczy; ale że trudno znaleźć tyle dobrych rzeczy w jednej książce, to także prawda.

Pierwsza uwaga, która się nasuwa po przeczytaniu Pana Podstolego, jest ta, że ten nieraz lekceważony Krasicki znał swój naród na wylot, że chyba całe życie strawił na badaniu jego natury, tak zna wszystkie jego słabe strony, od gorszych i niebezpiecznych, aż do zupełnie drobnych, tak umie doskonale wytłómaczyć, zkąd która z nich pochodzi, w jakiem uczuciu ma źródło. Już to nakazuje szacunek dla niego; a nie mniej wymaga go i myśl, z której Pan Podstoli wypłynął. Celem jego jest widocznie pożytek publiczny; autor mniemał, że książką swoją pobudzi ziemiaństwo polskie do zastanowienia nad sobą; dlatego, strona dodatnia dzieła, wzór wystawiony w Podstolim i jego otoczeniu jest tylko połową, jest dopełnieniem dzieła, którego podstawą jest krytyka obecnego obyczaju, sposobu myślenia, zwyczajów, nałogów, uprzedzeń etc. Cel był poważny i dobry, przedsięwzięcie było śmiałe, za powzięcie pierwszego i za wykonanie drugiego należy się Krasickiemu wdzięczność, bo istotnie trudno było wykonać je w sposób zupełniejszy i bardziej wyczerpujący. A oprócz tego, Podstoli, jako postać w powieści, jest pedantyczny i nudny, ale Krasicki jako moralista nie jest ani jednym ani drugim. Oszem, trudno jest dawać nauki moralne tonem wyrozumialszym, łagodniejszym i lżejszym, trudno nawet w gruncie być mniej wymagającym i absolutnym. Owszem, z każdego słowa znać moralistę, który sobie powiedział, że do swego celu dojdzie tem pewniej im mniej będzie gromił i karcił, im więcej zdoła przekonać. Wszystko razem wziąwszy, po przeczytaniu Podstolego wynosi się o Krasickim przekonanie, że był człowiekiem bardzo rozumnym, i coś więcej, że był na wylot dobrym człowiekiem, że miał miłość swego narodu i miłość oświaty, że chciał ten naród na drogę cywilizacyi koniecznie wprowadzić.

W Podstolim przemawia Krasicki do najliczniejszej i najważniejszej warstwy narodu, do obywatelstwa ziemskiego —życie ziemiańskie, jego obowiązki, skazy jakie na niem są, to treść dzieła.

Część pierwsza obejmuje obowiązki i zatrudnienia ziemianina domowe. Zatem: gospodarstwo, rola, budynki, gospodarstwo kobiece, ogród, jego pożytek w dochodach i jego zasługa, że okolicy nadaje pozór staranny i kwitnący; ubiory, jak się człowiek poważny i rozumny zachować ma względem mody. Potem następuje wychowanie domowe i szkolne, potrzeba języków obcych, a niebezpieczeństwo zbytniego ich używania, wychowanie moralne dzieci zwłaszcza. Potem idą obowiązki względem ówczesnych poddanych: kościół, dobry proboszcz, dobre nauki i przykłady z dworu, szkoła, dbałość o wygody i pomoc w potrzebach, znajomość każdego z ludzi wiejskich i wiadomość o jego stanie. Dalej urządzenie domu, zajęcia umysłowe, książki, obowiązki względem służących i sposób postępowania z nimi. Porządek w prowadzeniu gospodarstwa, w domu, w budynkach, w ogrodzie, czystość etc., słowem wszystko, o co dbać powinien i jak ma dbałość swoją wykonywać człowiek w tem położeniu, w swoim najbliższym zakresie.

Dla kontrastu przesuwają się od czasu do czasu przez scenę różne złe zwyczaje ówczesnej Polski, wcielone w różnych sąsiadów Pana Podstolego. Ludzie na pół dzicy, gburowaci, zawadyaki, hulaki, pijaki i śmieszne sfrancuziałe eleganty, kobiety głupie, w jakimkolwiek rodzaju, czy to staropolskim, czy nowomodnym, pieniacze, burdy, trybunalscy krzykacze, próżniaki, utracyusze, wszystko to defiluje przed nami i reprezentuje rzeczywistość tak, jak Pan Podstoli reprezentuje ideał, a wszystko, oczywiście, daje sposobność do nowych uwag i nowych nauk. Goście odjadą, wracamy znowu w kraj ideału. Pani Podstolina uczy córki, ojciec opowiada, jak kobieta powinna być wychowaną.

Dzień postny daje sposobność do obszernego wywodu o postach i posłuszeństwie w małych rzeczach, a na drugą stronę o hodowaniu ryb, jego sposobach i pożytkach. Po rybach idą jedwabniki, pszczoły, owoce, konie etc., polowanie, jego przyjemności i pożytki z dobrego hodowania zwierzyny. Polowanie prowadzi do lasów, znajdujemy też zaraz ustęp bardzo dobry o gospodarstwie leśnem; potem następuje używanie i nadużywanie tytułów, pisanie listów, zabawy, karty, tańce, szanowanie historycznych pamiątek. Wreszcie projektowane małżeństwo córki Pana Podstolego wprowadza nas w zakres stosunków obszerniejszych, obowiązków towarzyskich, a nawet społecznych.

Małżeństwo samo, rady dane przez Pana Podstolego córce idącej za mąż, należą do pierwszej kategoryi; do drugiej dają sposobność przygotowania weselne, sposób przyjmowania gości, obowiązki grzeczności i gościnności. Wszystko to jest bardzo ciekawe. Rzecz zawsze godna uwagi poznać przeszłość w jej życiu codziennem i domowem; jeden z największych historyków świata, Macaulay, uważa to za obowiązek histcryi. To pewna, że żadnym innym sposobem nie można się z nią tak blizko zapoznać, tak spoufalić. Dlaczego Dworzanin ma dla nas tyle wdzięku i należy do najciekawszych książek? Bo nas uczy tego, czego w kronikach i dokumentach niema, jakie było życie codzienne, jak wyglądali u siebie w domu ci ludzie, których my znamy tylko na koniu i w zbroi. Dlaczego wydrukowane w Szkicach Szajnochy prawidła dobrego wychowania, napisane w wieku XV, dla wnuka królowej Elżbiety, tak są dla nas ciekawe? Bo nam dają poznać na czem w pojęciu owego wieku polegało dobre wychowanie, jakiego żądano obejścia z ludźmi, co uchodziło za dzikość, a co za ogładę. Pod tym względem ta część Podstolego będzie w swoim rodzaju takiem kiedyś ciekawem świadectwem, jak dziś Dworzanin. Już teraz ciekawe są dla nas te kobiety, które się obra-

żają, że nie podług stopnia mężowskiego urzędu proszono je do tańca, a szczegółów takich jest mnóstwo. Co zaś najciekawsze to te reguły grzeczności, gościnności, obejścia z ludźmi, które podaje autor, sam, jak z każdego słowa widać, najwykwintniej wychowany. Czyśmy daleko pod tym względem od jego czasów postąpili. Nie! pojęcia i wymagania zostały te same, i te same podobno braki. Z zajęciem, naprzykład, czyta się zalecenie, żeby w każdym domu słudzy przyjezdni mieli przygotowane dla siebie łóżka, miednice i ręczniki. Nam się to wydaje nowym wynalazkiem, tak nowym, że ledwo gdzie wprowadzonym; pokazuje się, że rzecz jest dawna, tylko nie zastosowana. Niezaprzeczenie w miarę, jak cywilizacya postępuje, znika upodobanie w jedzeniu i piciu; uczty, bankiety, stają się rzadsze, dzień uroczysty staje się pod tym względem podobny powszedniemu. Maksyma ta rozpowszechnia się dziś jak nowa i wielka zdobycz cywilizacyi: tymczasem znał ją już Pan Podstoli, i stosował przy weselu córki. Pełno spostrzeżeń bardzo trafnych i delikatnych o tem, że zwyczajny tryb domu nigdy nie powinien się zmieniać, że przygotowania na łeb na szyję, hałas w całym domu, łajanie służących przy obcych i gościach, dowody są barbarzyństwa gospodarza i nieumiejętności jego w prowadzeniu domu. Nie mniej zajmujące uwagi o sztuce rozmawiania, o przyjmowaniu gości i zostawianiu im wszelkiej swobody, słowem źródło nieocenione do poznania, jak w owym czasie wyobrażano sobie to wszystko, co razem wzięte, stanowi stosunki towarzyskie między ludźmi.

Wśród tego, jako ciekawy epizod, natrafiamy na apologię zakonnego życia i powołania, i przywiązane do niego obowiązki. Ustęp bardzo ładny, pisany widocznie z głębokiem przekonaniem, a dowodzący, że odeszliśmy daleko od Monachomachii. Wreszcie na zamknięcie księgi, powtórzone raz jeszcze obowiązki względem Boga, pobożności i moralności, i obowiązki Pana względem poddanych.

Księga trzecia jest więcej opowiadającą, powieściową niż dysertacyjną. Autor zajeżdża przypadkiem do nieznanej sobie siostry pana Podstolego, która jest wzorem matron jak brat wzorem dla mężczyzn; odwiedza przyjaciela, a z nim razem majątek nowo nabyty, ogląda rozpoczęte w nim prace i ulepszenia; ma pisać dalej, wprowadza nowe figury, znać pomysłu mu nie brak, wystarczyłoby na wątek do długiej jeszcze powieści, kiedy rzecz się urywa; przerwała ją śmierć autora, Podstoli jest nieskończony.

Nic oczywistszego, jak jego wady i niedostatki, jeżeli zechcemy uważać go jako powieść; z samej przytoczonej treści można poznać, że nie jest nią wcale, że tylko skutkiem nieszczęsnej mody ma jej zewnętrzną formę. Ale też nic oczywistszego, jak jego wysoka wartość, jako dzieła moralnego. Wszystko tam dobre, rozumne, szlachetne. Sam cel, choć może jest w tem nieco naiwności chcieć naród zreformować we wszystkiem odrazu, sam cel jest szlachetny, wysoki, patryotyczny. Wszystkie uwagi, wszystkie rady, wszystkie prawidła i maksymy są prawdziwe, trafne, zdrowe, z jakiegobądź stanowiska zechcemy je uważać, czy z ogólnie ludzkiego, czy z chrześcijańskiego, czy z polskiego, czy wreszcie z praktycznego. Jest to z dzieł Krasickiego to, które jego sposób myślenia daje poznać najgruntowniej, najwszechstronniej, i które daje najwyższe wyobrażenie o jego umyśle i charakterze. Zasady Pana Podstolego są, oczywiście, jego zasadami, a choć ideał ten może być nudnym, jako bohater powieści, nie mógł przecież być stworzonym przez człowieka, któryby sam nie był szlachetnym i nie miał wysokiego pojęcia dobra i obowiązku. Jako umysł zaś, daje się Krasicki poznać ze strony nowej, poważniejszej, a zarazem delikatniejszej, sympatyczniejszej. Jego filozofia życia, pogodna i pobłażająca, nie jest przecież obojętną, ani pozbawioną wysokich pojęć moralnych, jego wykwintność nie wyłącza powagi, a jedno

i drugie opiera się na sądzie o ludziach i rzeczach tak pewnym, tak zdrowym, że za sam jego niezrównany rozsądek trzeba Krasickiego podziwiać i szanować.

Lubimy nieraz porównywać wiek XVI z XVIII, i zapewne są między nimi analogie; otóż wiek tamten miał także swoje typy podobne, i dzieła, które w nim zajmują takie stanowisko, jak Podstoli w XVIII. Cóż to jest ten wzorowy obywatel i ziemianin, dobry katolik, dobry Polak, ojciec, mąż, urzędnik, sąsiad, pan, gospodarz, pracowity, sprawiedliwy, rozsądny, czyniący zadość wszystkim swoim obowiązkom, wielkim czy małym, cóż to jest innego, jeżeli nie Żywot poczciwego człowieka? Tem samem czem dla powstającej literatury była książka Reya, tem dla odradzającej się był Podstoli. Różne ich formy i różne zalety. Żywot ma dla nas więcej wdzięku przez to, że jest naiwnem dziełem dziecka natury, Podstoli jest gładszy, sztuczniejszy, znać na nim zagraniczny polor autora; ale treść jest w obu ta sama i cel ten sam, pokazać, czem ma być nie poczciwy człowiek, ale poczciwy szlachcic polski na wsi. A w konkluzyach, w zasadach swoich, nieraz się spotyka Podstoli z Poczciwym Człowiekiem.

Co do talentu i wykształcenia, oczywiście, porównania być nie może. Rey jest ciekawy jako specimen polskiego umysłu w dawnych wiekach i w stanie prawie rodzimym; może właśnie dlatego ciekawy, że tak mało wykształcony, ale, na swój czas, jest bardzo mało wykształcony, a z natury ma rozsądek, ale talentu pisarskiego nie ma. Krasicki jest bardzo oświecony i bardzo zdolny; rozsądku ma pewnie nie mniej jak Rey, a ma rozum ćwiczony, ozdobny nauką, ma więcej znajomości świata, szerszy pogląd na rzeczy, myśli więcej, samodzielniej, i głębiej niż Rey. Jego Podstoli wydaje nam się nudnym, kiedy dla Żywota Reya mamy bardzo wiele pobłażania; tymczasem jako traktat moralny, jako rady dla ziemianina polskiego, Podstoli jest nierównie od tamtego wyższy, wyższy przez wyż-

sze i rozumniejsze pojęcie stosunków i obowiązków człowieka. Rey przekupuje nas tem, że stary, że naiwny, że mówi do nas chłopskim językiem, z chłopską prostotą i chłopskim rozumem. Dlatego się nam podoba. Ale odjąwszy to, zostanie z *Żywota* książka tak ciężka, jak Podstoli, cięższa, nudniejsza, i mniej warta. Chwalimy w Reyu rozsądek i dar obserwacyi, dobrze: ale ten sam przymiot posiada Krasicki w stopniu daleko wyższym. Reyowi nie śniło się widzieć w społeczeństwie polskiem tysiąca zdrożności, które te same lub inne, za jego czasów być musiały, a które Krasicki dostrzegł i wystawił na powszechny widok i sąd w mnóstwie figur, skreślonych istotnie z prawdą i humorem. Krasicki potrąca w Podstolim tysiące kwestyj ważnych, i rozwiązuje je, próbuje na nie radzić, kiedy Rey ani się ich domyślał. Wreszcie różnica największa, zasadnicza, różnica w pojęciu i w dążności. Poczciwy człowiek Reya nic nie zmienia i nie poprawia, nie widzi tej potrzeby, żąda od obywatela, żeby był uczciwym człowiekiem, a zresztą zostawia go *in statu quo*; Krasicki chce reformować. Dla Reya ideałem jest szlachcic wiejski tak jak jest; Krasicki, stawiając mu wzór i ideał w Podstolim, żąda od niego bardzo wiele. Poczciwy człowiek Reya zdaje się stworzony do używania życia. Za młodu służy w wojsku lub na dworze, ale to tylko na to, by się przetarł w świecie, i zaraz to porzuca, ucieka na wieś, żyje tylko dla siebie i dla rodziny, a jeżeli nie kradnie, nie krzywdzi, majątku nie trwoni, już spełnił wszystko, czego od niego żądać można. To nie ideał, ale rzeczywistość, fotografia i krytyka. My wszyscy jesteśmy poczciwi, jak poczciwy człowiek Reya, i jak on żyjemy dla używania (przynajmniej do tegośmy skłonni). Krasicki pojmuje inaczej i wyżej wiejskiego obywatela, jego życie i obowiązki. Podstoli, pedantyczny i ciężki, jest nudny, ale jest doskonały. Rey w przekonaniu że stawia wzór, kreśli tylko zwyczajną rzeczywistość, Krasicki wie, że stawia wzór do-

skonałości, ale stawia go dlatego, że rzeczywistość widzi inną, niż być powinna, i chce ją podnieść. Żeby sprostać ideałowi Reya, nie potrzebujemy nic robić; zostańmy w przecięciu, jak jesteśmy; Podstoli w książce jest nudny, ale być takim jak on trudno, i daj Boże, żebyśmy takich lub podobnych mieli jak najwięcej. Różnica ta leży głęboko, w stanie i usposobieniu Polski całej w tych dwóch wiekach. *Żywot* jest produktem i wizerunkiem tych czasów, kiedy szlachta polska, rządząca i szczęśliwa w Rzpltej, szczęśliwa w domu, tak była z siebie zadowolona, że żądała tylko zachować i zatrzymać siebie, świat, wszystko jak było, kiedy spełniła swój ideał politycznego, społecznego i towarzyskiego życia. Krasicki przyszedł w czasach, kiedy ciężkie doświadczenia nauczyły nas, do czego wiodło to błogie zadowolenie z siebie, kiedy cała Polska poznała, po niewczasie, że ginie, i ratować się chciała. Produktem i świadectwem takiego otworzenia oczu na siebie samych jest Podstoli w porządku domowym, rodzinnym, obyczajowym, gospodarskim, towarzyskim, jak konstytucya 3-go Maja (nie równając ich wartości i znaczenia) w porządku politycznym i społecznym. Różnica jest bardzo wyraźna. Szczęśliwy wiek XVI na prawdę nic nie tyka, nie zmienia, zostawia wszystko, jak jest; smutny wiek XVIII chciałby wszystko odmienić, poprawić, podnieść, ratować, rzuca się do tego z gorączkowym pośpiechem i niepokojem, bo czuje że mu czasu nie starczy, chce reformować wszystko naraz.... Może się komu Rey ze swoim Żywotem więcej podobać, ale musiałby być ślepym, ktoby nie przyznał, że więcej szacunku i współczucia należy się Krasickiemu za Podstolego, który w literaturze jest najwierniejszem odbiciem tego za późnego, niestety, ale szlachetnego prądu reformatorskiego, który stanowi najpiękniejszą stronę XVIII wieku w drugiej jego połowie. Podstoli ma wszystkie charakterystyczne rysy tego ruchu, aż do tej gorączki i naiwności, która

chciała reformować wszystko odrazu. Nierównie od *Żywota* wyższy przez talent, rozum i naukę autora, wyższy jest Podstoli, zwłaszcza przez pojęcie obywatelskich obowiązków, przez cywilizacyę, tendencyę, przez patryotyczną wartość. Zaś jako ślad i pomnik życia potocznego, towarzyskiego, ma dla wieku XVIII znaczenie takie, jak dla XVI *Dworzanin* Górnickiego. Nie jest jedynym pomnikiem tej strony życia, jak tamten, dlatego nie tak niezbędnie potrzebny do poznania epoki; ale od Dworzanina daleko znowu dokładniejszy i zupełniejszy.

Nie można, naturalnie, wyciągać ztąd wniosków o wyższości lub niższości tych dwóch epok naszej historyi. W wieku XVI nie brakło na ludziach, którzy rzeczy rozumieli głębiej i lepiej niż Rey; w XVIII było zapewne na liczbę więcej takich którzy je pojmowali jak Krasicki, ale mało takich, w XVIII czy w XIX, którzyby żyli jak Pan Podstoli. Że zaś nie jedno złe na które powstaje Rey, wytknięte jest i w Podstolim, że w ogóle tło narodowego charakteru i główne złe skłonności były w gruncie te same za jednego jak za drugiego, o tem przekonać może jeden rzut oka na te dwa dzieła; wyliczanie wszakże przykładów tego podobieństwa, potrzebowałoby więcej czasu i miejsca, niż na to tu poświęcić go można.

II.

Początki Naruszewicza. Jego poezya. Jego przekonania. Ody. Głos umarłych. Satyry. Sielanki. Początki Trembeckiego. Drobne wiersze. Powązki. Polanka. Wiersze polityczne. Wyobrażenia i pociągi. Bajki Krasickiego.

Większa część poezyi Naruszewicza pochodzi z jego lat młodszych i przypada na pierwszą połowę panowania Stanisława Augusta. Wiele wierszy daje się odnieść ściśle do pewnego wypadku lub roku; do najwcześniejszych należy oda na śmierć Augusta III. Idą za nią liczne inne, do Czartoryskich i do Stanisława Augusta najwięcej. *W Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych* (1770), wychodzą raz po raz Ody, Elegie, Sielanki, Epigramaty, a w kopiach pisanych krążą wiersze, które chcą być lekkie, a są tylko nieprzyzwoite. Naruszewicz widocznie ma się za poetę, nie domyślając się, że jest na co innego stworzony. I za poetę mają go w najlepszej wierze współcześni.

Dawniej, kiedy mówiono o pisarzach tej epoki, mówiono Krasicki i Naruszewicz, tak jak się dziś mówi Schiller i Göthe, albo Mickiewicz i Krasiński, jak gdyby to byli dwaj Dioskury lub zrośli z sobą dwaj bracia syamscy poezyi. Tymczasem, niema pomiędzy nimi nic wspólnego, nic podobnego, prócz fioletowej sukni; i prócz tego może, że i Naruszewicz próbował się w tym rodzaju pisania, który Krasickiemu udawał się tak

świetnie. Zresztą wszystko w nich różne, odmienne i dalekie, wady niż przymioty, talent pisarza jak i natura człowieka, tak, że uważaćby ich można za przeciwieństwa raczej niż za podobieństwa. Nie idzie zatem, żeby Naruszewicz nie miał być jednym ze znakomitych i bardzo zasłużonych reprezentantów epoki, której biskup warmiński był najznakomitszym poetą. Owszem, ma on zasługi, zalety i własności, które go z tamtym słusznie mogą równać; jest może pierwszym prozaikiem swego czasu w Polsce, jest pierwszym w niej historykiem krytycznym i takim, którego wartość nie przejdzie nigdy; jest nauczającym i zajmującym przedstawicielem pewnego odcienia ówczesnej opinii politycznej, prawym, szlachetnym człowiekiem i najlepszym Polakiem. Ale kiedy on sam siebie uważał przedewszystkiem za poetę, lub kiedy współcześni stawiali go na szczytach Parnasu i cenili może zarówno z Krasickim, byli wszyscy w błędzie. Zdolność, wartość, zasługa i słuszna sława Naruszewicza, leży w czem innem, w prozie, w historyi; poezya jest dla niego jałowem polem, które uprawia w pocie czoła, lecz na którem nic mu urodzić się nie chce; jest to fałszywa droga, na którą go okoliczności zapędziły, którą szedł w dobrej wierze, ale na której zawsze tylko błądził. Usposobienia mniej poetycznego nie można sobie wystawić. Kiedy panowała moda porównań, i kiedy poezyę Naruszewicza równano gwałtem z poezyą Krasickiego, zwyczajem było mówić, że ks. biskup warmiński ma więcej lekkości, dowcipu i wdzięku, ale za to biskup smoleński więcej powagi, natchnienia i ognia. Co do pierwszego prawda zupełna, nie miał lekkości dowcipu i wdzięku; ale co do drugiego nie. Powagę on miał w charakterze, w sposobie myślenia, nawet w sposobie pisania, kiedy pisał prozą. Ale w poezyi powaga ta jest nużącą, ołowianą ciężkością. Trafia się niekiedy, że pod wpływem oburzenia, szarpniętego silnie uczucia patryotycznego, Naruszewicz napisze wiersz

piękny, że stanie się wymownym; ale natchnionym doprawdy nie był nigdy w swoim życiu. Czuli i mówili współcześni, musiał czuć i on sam, że gracyi i wdzięku brakło mu zupełnie, i dlatego może, dbały o swoją sławę i mający się w dobrej wierze za syna Muz, mniemał, że brak ten wynagrodzić zdoła powagą. Niestety, powaga to wypracowana, wymęczona, która wrażenia tak samo zrobić nie zdolna, jak jego swoboda w Sielankach lub jego dowcip w Satyrach. Jeżeli Krasicki nie miał wiele wyobraźni twórczej, to Naruszewicz nie miał jej nic wcale: jeżeli tamten tyle miał uczucia, co każdy prosty człowiek, ale nie tyle co wybrani, przeznaczeni na to, by czuć za miliony, to i ten, choć może miał go więcej, dosyć go nie miał; a jeżeli tamten miał łatwość i swobodę rzadką, jeżeli każdy pomysł płynie mu jak ze źródła, jeżeli forma nigdy nie stawia mu trudności, jeżeli wszystko, co wyrazić chce i może, bez trudu wyrazić potrafi, to ten przeciwnie zawsze wszystkiego, myśli, uczucia, formy, szuka mozolnie, natęża się, pracuje. Czy siada do pisania ze stałem postanowieniem zachwytu i uniesienia i zabiera się do pisania dytyrambu, czy w oburzeniu chce satyrą smagać i nauczać, czy wreszcie próbuje być wdzięcznym i prostym i raczy z górnego Parnasu zstępować do sielanki lub bajki, zawsze znać, że chce być natchnionym, albo chce być surowym i groźnym, albo chce być prostym i wdzięcznym: wzywa Muzy, wmawia w nią, że jest jej synem i ulubieńcem, ćwiczy leniwego Pegaza, dmie w pasterską fujarkę, ale Muza wzywana wypiera się pokrewieństwa i nie słucha, Pegaz z miejsca ruszyć nie chce, a fujarka wydaje same tony fałszywe.

Jakim sposobem Naruszewicz zabłąkał się na Parnas, to rzecz wiadoma i zrozumiała. Młody, zdolny, pracowity, skwapliwy do pisania, zamiłowany w literaturze, był Naruszewicz Jezuitą. Znana rzecz, że w tym zakonie próżnować nie wolno, i że każda zdolność, każ-

de usposobienie, zostaje wyrobionem i zużytkowanem. Literackie usposobienie Naruszewicza wskazywało wyraźnie przełożonym, że należy użyć go w tym kierunku, a osiągnie się z niego pożytek. W tej więc myśli kształcony, wysyłany po dwakroć zagranicę, tam ćwiczony w językach i wzorach klasycznych, a głównie łacińskich, powrócił Naruszewicz literatem gotowym; do wrodzonego pisarskiego popędu przybyła gruntowna znajomość wszystkiego, co do rzemiosła należy, a tak przysposobiony wydał się stworzonym na to, by innych w rzemiośle ćwiczyć i sekretów jego nauczać. Został nauczycielem poetyki! Okropne słowo i okropny urząd. Dziś uczymy się estetyki, i słusznie, uczymy się rozumieć piękność, tego nauczyć się można; ale wtedy sądzono w dobrej wierze, że można siebie lub innego nauczyć tworzyć, uczono poetyki, nie pomnąc na to, co już świat rzymski wiedział, że *poëtae nascuntur*. Nauczyciel poetyki, musiał Naruszewicz z urzędu umieć poezyę; a że ją umiał cenić, że do pisania miał skłonność, nic dziwnego, że się w niej i próbował. Skutek był taki, jak być musiał; poezya jego była wykuta, i nie uchybiając szanownej jego postaci, można powiedzieć, że był pierwszym grenadyerem w tej armii pedantów poezyi, którą to armię zniósł Mickiewicz, trafiwszy ją w samą skroń, jak Dawid Goliata, rozprawą o Krytykach i Recenzentach warszawskich.

„Myślą — pisze Mickiewicz — że miejsca pospolite, maksymy i morały z równą emfazą od Greków, Rzymian, Turków i Amerykanów we francuskich wierszach deklamowane, potłómaczone na polskie, jeżeli się zaczynają od słów: „Jakiż mnie zapał porywa, Muzo wspieraj mój lot", zrobi się z tego narodowa oda. Otóż, przed Naruszewiczem nie widzieliśmy tych formułek; on pierwszy dał ten zły przykład, od niego datuje zły obyczaj. W czterech księgach jego Liryków, jest Od mnóstwo, prawie same Ody, a mało która obejdzie się bez Muz, zapałów, lotów, i tym podobnych recept na

natchnienie. Obok tego ciągły przymus, ciągłe wytężenie, praca w pocie czoła na natchnienie; znane wyrażenie „nadymać się do natchnienia" przypomina się ustawicznie, kiedy Naruszewicz, wachlując ciężkiemi skrzydłami, by się w lot wprawić i strojąc się do górnego wzniosłego tonu, sforsuje nutę i jedną ręką składa niezgrabnie pompatyczne wyrazy, a drugą wyrazów gotowych i utartych dobrze użyć nie umie, i w ustęp górnolotny wsadzi jakieś słowo bardzo potoczne, które efekt kontrastu wydaje się tam śmiesznem. Wieko-korzenne drzewa, chlebo-robne chłopstwo, płaczo-rode jędze, i tysiące podobnych epitetów wyrachowanych na wielki efekt, dowodzą tylko, że poeta nie umiał gotowemi słowami oddać tej myśli i tego uczucia, które oddać chciał; a jak obok tej napuszystości przeczyta się naprzykład, że „słońce jest twórczej prawicy najdroższym sygnetem", albo jak w obrazie porwania króla nieszczęsny poeta w braku lepszego rymu włoży gdzieś nie poetyczną wcale perukę, albo jak dla tego samego rymu powie, że Stanisław August jest *królów modelem* (bo przedtem było celem), jak, zawsze dla miary i rymu samowolnie skraca lub przedłuża słowa, gwałci ortografię, a niekiedy samą gramatykę i składnię, to wniosek ztąd prosty, że najgłębsza znajomość poetycznego rzemiosła nawet na to się nie przyda, by kogoś zrobić panem formy.

A jednak ten człowiek był wielkim poetą! Wierzył w to on sam, wierzyła cała Polska. Trembecki, tak nierównie od niego wyższy poetycznym talentem, użala się, że „kiedy się ten słowik ozwie, rozpaczają inne ptaki", i żąda tylko, być pieszym poetą tam, gdzie Naruszewicz przed frontem galopuje na Pegazie. Trudno zrozumieć ten zapał i to uwielbienie, i chyba przypisać je trzeba tej jednej przyczynie, że ów wiek, poprzedzony najgłębszym literatury upadkiem, gotów był podziwiać jak arcydzieło wszystko, co miało sens i jakieś pozory, co myśl znośną ukazywało w formie zno-

*

śnej; ludzie tamtych czasów byli odwykli od widoku rzeczy dobrych w poezyi polskiej, a pragnęli ich namiętnie, wstydzili się, że ich nie mieli. Skwapliwie więc rzucali się na wszystko, co im obiecywało jakie takie zaspokojenie, gotowi byli poprzestać na pozorach i jak rzecz jakaś miała pozór ody, sielanki, elegii, przyjmowali ją za taką, szczęśliwi, że mogli przecież powiedzieć sobie: Mamy odę! Wielka chęć posiadania czegoś dobrego, a zwłaszcza żywe uczucie wstydu, że się tego nie ma, ochota zrównania innym, często bałamuci sąd, sprawia, że łudzimy się pozorami i przestajemy na byle czem, mniemając w dobrej wierze, że to istotnie dobre, albo wmawiając w siebie, że nam to wystarcza.

Otóż podobnym stanem umysłów, podobnem uczuciem tłómaczy się ogromna sława nie Naruszewicza, ale jego poezyi; tylko przed stu laty więcej miano wymówek niż dziś, a autor, choć przeceniany jako poeta, mógł zkądinąd najsłuszniej być cenionym.

Wiersze jego zawierają się w dwóch grubych tomach, a w tej masie, choć, oczywiście, znajdują się lepsze i gorsze, nie znajduje się nic, coby szczerze i zupełnie mogło ująć i zaspokoić, coby było zostało w pamięci i w przywiązaniu narodu jak nie jeden współczesny wiersz Krasickiego. Poeta przeważnie liryczny ma uczucie dobre i zacne, ale nie więcej, i z zacnością uczuć, z rozsądkiem, i z taką jak on pracą, każdy może zostać takim jak on lirycznym poetą. Satyryk, ma słuszność zawsze w swoich satyrach, sądzi zdrowo, gani śmiało, ale dostrzega tylko tego, co przy rozsądku dostrzeże każdy, i nie potrafi wad ganionych wcielić w takie postacie żywe, w takie rozmowy bystre, jak Krasicki. Oburzyć się umie, wyśmiać nie; i znowu przy rozsądku, zacności i pracy każdy człowiek wykształcony mógłby się zdobyć na taką satyrę jak Podchlebstwo albo Reduty, kiedy takiej jak Marnotraw-

stwo, jak Modna Żona nie napisze nikt bez wielkiego poetycznego talentu.

Poezya Naruszewicza obejmuje trzy większe działy: Poezye liryczne, Satyry i Sielanki; oprócz tego są Bajki, Epigramaty i zbiór dość znaczny tłómaczeń, głównie z Horacyusza i Anakreona.

Cztery księgi Liryków! Taką obfitością nie pochwali się Schiller ani Byron, a większa ich część nosi szumny tytuł Ody. Naprawdę są to albo panegiryki albo wiersze okolicznościowe, dość rzucić okiem na tytuły, żeby się o tem przekonać. Dobra połowa tych wierszy wymierzona jest do króla; rocznica urodzenia, elekcyi, koronacyi, regularnie zawsze uczczona jest odą, a wypadki nadzwyczajne dostarczają nowego materyału do dytyrambu. Umieści król portrety swoich poprzedników w odnowionej sali, Naruszewicz czerpie ztąd natchnienie do nowej ody; da biskupowi medal Merentibus, a cóż dopiero św. Stanisława, wdzięczna Muza nie może wytrzymać, wybucha dytyrambem; nawet kiedy dostanie od króla butelkę wina, zaraz dziękuje Naruszewicz wierszami. Rzecz prosta, że kiedy zajdzie jakieś zdarzenie ważniejsze, wyjazd króla z Warszawy naprzykład, poeta tem bardziej milczkiem przepuścić go nie może; a cóż dopiero zamach konfederatów na porwanie króla. Ten stał się niewyczerpanem źródłem natchnienia i sam jeden opędził koszta znacznej liczby wierszy. Co pozostało od króla, to poświęcone różnym znakomitym i mniej znakomitym przyjaciołom; jest to zabytek epoki panegirycznej i skutek wychowania u Jezuitów, gdzie ta moda jeszcze panowała, kiedy Naruszewicz się uczył. Urodzenia, wesela zgony dostarczają regularnie żywiołu i treści tej poezyi. Prym trzymają tu Czartoryscy, najbliżsi Naruszewicza pojęciami i związani z nim przyjaźnią; to też wszystko co się ich tycze, od śmierci kanclerza litewskiego aż do pani księżnej jenerałowej, opiewa poeta swoim twardym i chropowatym rymem. Kiedy indziej

wszystkie dziewięć Muz zgromadza około kolebki jakiegoś nowonarodzonego Sapiehy i każe im zlewać dary na głowę dziecka. Raz nawet sławi odą wojnę Rosyi z Turcyą i wielkość Cesarzowej Katarzyny. W porównaniu do pochwalnych i okolicznościowych, do których jeszcze doliczyć trzeba kilka na zniesienie Jezuitów, między tymi jeden wiersz bardzo długi, liczba wierszy napisanych bez zewnętrznego impulsu będzie bardzo skromną. Hymn do Boga, do Czasu, do Słońca, wszystkie napuszyste, pompatyczne, a zimne; kilka innych, do Fortuny, do Namiętności i t. p. i koniec. Treść stanowią zawsze ogólniki, *loca communia* moralne, wypowiedziane tonem górnym i szumnym, który nierzadko spada dość nizko, wierszem twardym a niekiedy kulawym, wszystko jest sztuczne, wymęczone i męczące, i w całym tym zbiorze, choć się trafiają ustępy dobre, nawet wymowne, prawie piękne, niema ani jednego wiersza, któryby mógł podobać się w całości i podobać bardzo.

O tem wszystkiem trzeba powiedzieć nic innego, jak to, co o wierszu lirycznym najgorszego powiedzieć można, że jest zimne, mroźne, lodowate. Jednak nie trzeba sądzić, żeby nawet te liryczne wiersze Naruszewicza nie miały choć względnej wartości, żeby i w nim niekiedy nie odezwało się silniej uczucie. Przy bardzo miernej wartości poetycznej, wiele z tych wierszy zajmuje swoją tendencyą. Owszem, możnaby powiedzieć, że wszystkie prawie są tendencyjne, a przeto są historycznie ciekawe. W tym przełomie wyobrażeń, który się podówczas w narodzie odbywał, reprezentuje Naruszewicz lepiej i wyraźniej od wielu, pewien odcień opinii godzien poznania. Jest on człowiekiem nowej epoki, stronnikiem reformy, a co rzadsze, statecznym i niezachwianym stronnikiem króla samego; należy do małej liczby tych, którzy o nim nie zwątpili nigdy, aż dopiero podobno na samym ostatku. Ale wtedy Naruszewicz dawno już przestał był pisać.

Był on z tego pokolenia, które wzrastało z głębokiem i żywem uczuciem żalu i upokorzenia, ze świadomością blizkiego, nieuniknionego upadku, jeżeli się naród rychło nie upamięta. Był jednym z tych, dla których nauki historyi nie były daremne, widział i sądził skutki niesfornej przeszłości, a widząc je, nabrał nieubłaganego wstrętu do wszystkiego, co tchnęło swawolą, nierządem i ciemnotą. Patrząc zaś raczej na zamiary niż na siły Stanisława Augusta, widząc u niego te same co u siebie myśli, w nim jednym, w uległości i powolności dla niego, widział jedyny ratunek. Wszyscy, nawet najbliżsi, nawet Czartoryscy odstąpili Stanisława Augusta; Naruszewicz nie opuścił go nigdy i wyznawał zawsze jego politykę, wzywał naród, żeby się jej trzymał. Widząc te jego niezliczone wiersze do króla, możnaby sądzić, że to pospolity dworak i pochlebca; tymczasem tak nie jest, to stronnik, najgorliwszy i najwierniejszy ze stronników, którego każdy wiersz ma wyraźną polityczną tendencyę, każdy przekonywa, argumentuje, polemizuje, nawraca, każdy bez wyjątku uderza albo wprost na przeciwników, albo przynajmniej na ich pojęcia: gromi, albo próbuje uczyć. Jest to może jednostajne, to ciągłe nawoływanie do porządku, te ustawiczne skargi na nieład, ambicyę, prywatę; ale z tego stanowiska uważane nabierają wiersze Naruszewicza znaczenia, jakiego sama ich wartość poetyczna nadać by im nie mogła, stają się śladem pewnej politycznej akcyi. U Naruszewicza zaś nietylko miłość ojczyzny była rzetelna i głęboka, ale i przekonania były stateczne, a nawet namiętności polityczne były silne. Zimny i sztywny zawsze, ożywia się tylko wtedy kiedy ma do czynienia z przeciwnikiem politycznym, a jedynem uczuciem, które go niekiedy istotnie unosi i dodaje mu ognia, jest oburzenie na partyę staro-republikańską. Czasem oburzenie to wyraża się w sposób nieszczęśliwy, przesadzony, jak naprzykład w dytyrambie na ocalenie króla; ale czasem też,

kiedy się mniej o zapał stara, znajduje go rzeczywiście w swojem oburzeniu, i dlatego, pomiędzy tymi wierszami na pozór pochwalnymi dla króla znajdują się najlepsze, najwymowniejsze ustępy jego poezyi, a prawie zawsze znajduje się słuszność i prawda (przykład—Na obrazy starożytnych Polaków, Na powrót senatorów i t. p.). Do tej wreszcie kategoryi należy i całą ją w sobie niejako zawiera, najpiękniejszy może ze wszystkich wierszy Naruszewicza, *Głos Umarłych*. Poeta strącony z Helikonu pomiędzy groby i cyprysy historyi, słyszy z nich głos, moralną naukę historyi; i w wierszu tym składa treść wszystkich swoich uczuć i przekonań, wszystko, co wyciągnął z przeszłości i czego od teraźniejszości żądał. Jest tu i namiętne pragnienie siły, rządu i ratunku, i głęboka nienawiść do dawnej polskiej oligarchii, ta cecha główna królewskiego stronnictwa, i wielka wiara do Stanisława Augusta, i rozum, i silne przekonanie, i wielka miłość ojczyzny, słowem jest wszystko, co składa Naruszewicza; a powiedziane z taką siłą, powagą i groźbą, tonem tak wysokim, jak nic innego w jego poezyi, jak nic w poezyi większych od niego poetów, Krasickiego lub Trembeckiego. Wiersz ten liczyć trzeba do najpiękniejszych jakie poezya tego wieku wydała, a uważać śmiało za szczyt poezyi Naruszewicza, który w tym razie sam siebie tak przewyższył, że się już drugi raz nigdy nie doścignął.

Że człowiek, którego najsilniejszem wzruszeniem było oburzenie, który rozgrzewał się tylko wtedy, kiedy się rozgniewał, a fantazyi poetycznej nie miał, musiał pisać satyry lepiej niż co innego, to jest naturalne. Istotnie też, kiedy poezye liryczne mają wartość bardzo względną, a Sielanki żadnej, to Satyry Naruszewicza lepiej odpowiadają temu czem satyra być powinna. Naprzód, nie potrzebując szukać uniesienia i zapału, był w nich poeta swobodniejszym, łatwiej utrafiał ton właściwy, nie wpadał w sprzeczność w Lirykach nieraz tak rażącą pomiędzy zamiarem a wykona-

niem, był nierównie więcej panem formy, słowem, wzlatując nie tak wysoko, latał pewniej, równiej i lepiej. Wszystko razem wziąwszy, jego Satyry są dobre i niema im co zarzucić; ale znowu zbytecznie unoszą się uwielbieniem ci, którzy stawiają te Satyry na równi, ba, wyżej od Satyr Krasickiego. I to jeden ze zwyczajów, żeby te Satyry porównywać; jeden z przesądów, żeby przyznawać Naruszewiczowi jakieś nad Krasickim wyższości. Jest to resztka tego tradycyjnego nałogu, żeby ich razem stawiać i sądzić, a do tego potrzeba było oczywiście odkryć w jednym przymioty, któreby mu pozwalały równać się z drugim. Ogłoszono tedy, że w Satyrach biskupa warmińskiego jest wprawdzie więcej humoru i dowcipu, ale za to w Satyrach biskupa smoleńskiego więcej powagi, głębokości moralnej i patryotycznej myśli i t. d. Dlaczego nie przyznać co prawda, dlaczego taić, że nie mając tak niepospolitego talentu jak Krasicki, Naruszewicz nie dorównał mu w Satyrach, choć jest w nich jego bliższym niż w czem innem? A tak jest. Naprzód, przypomnijmy sobie jedną okoliczność, która Satyrom Krasickiego nadaje właśnie cechę i wartość moralną, patryotyczną i cel bardzo poważny, to jest, że nie są to satyry luźne, ale jest zbiór, całość, dzieło, podjęte ze świadomym zamiarem i systematycznie wykonane. Już to samo nadaje Satyrom Krasickiego znaczenie historyczne i obyczajowe, większe, niż je mieć może kilka luźnych, oderwanych Satyr Naruszewicza. A co do wykonania, co do wartości poetycznej i estetycznej, trzeba być ślepym, żeby doskonałość jednych równać z dobrocią drugich. Dowcip, humor, ironia wszakże to sama istota, racya bytu satyry, i rzecz prosta, że gdzie tego jest więcej, gdzie to świetniejsze, tam satyra lepszą być musi. A trzeba być chyba zakamieniałym pedantem, niezdolnym nie zrozumieć i odkryć myśli cokolwiek ukrytej, żeby pod werwą i dowcipem Krasickiego nie dopatrzyć się bardzo zdrowej, bardzo nieraz

surowej myśli. Naruszewicz wydaje się nieraz głębszym i poważniejszym w swoich Satyrach tylko dlatego, że jest cięższy, że nie ma tyle dowcipu, ani wesołości; nic dziwnego, że go lepiej rozumieją ludzie niezdolni zrozumieć ironii, ale to samo wystarcza, żeby jego Satyry osądzić za gorsze od Satyr Krasickiego.

Co do formy zaś, wdzięku wiersza, żywości obrazów lub dyalogów, co do daru dostrzegania i opisywania wad i błędów, niema najmniejszego porównania; każda Satyra Krasickiego jest obrazkiem skończonym i plastycznym, każda Satyra Naruszewicza jest kazaniem nieraz doskonałem i wymownem, pełnem prawdy, rozumu i zacności, bardzo dobrze powiedzianem, ale koniecznej satyr przyprawy, soli atyckiej w nich nie szukać. Owej zaś powagi i świętej zgrozy, nad którą się ludzie unoszą, nie więcej w gruncie, jak u Krasickiego; owszem, jego nagana, choć nie ukryta, jest, ogółem wziąwszy, mniej ostra i dotkliwa, niż śmiech lub gniew Krasickiego. Satyra może być albo dowcipną i lekką jak Horacy, albo krwawą jak Juwenal. Naruszewicz do Horacyańskiego cechu nie należy; czy umie tak wstrząsnąć, przerazić, przybić do ziemi, piętnować słowem jak żelazem, jak Juwenal? Także nie. Jego satyra jest dobra, ale jest zawsze ledwo drugorzędna, nietylko pomiędzy satyrami w ogólności, ale nawet na skali satyr polskich.

A teraz, znając naturę Naruszewicza i rodzaj jego talentu, łatwo sobie wyobrazić, że był jeden rodzaj poezyi, w którym nigdy i pod żadnym warunkiem powodzenia mieć nie mógł: rodzaj sielankowy. Wszystko mu było łatwiej: łatwiej w rodzaju patetycznym zdobyć się pracą i sztuką na wielki retoryczny efekt, łatwiej zmusić się do uczucia, do humoru, do wszystkiego, niż talentowi ciężkiemu akademicznemu, żeby nie powiedzieć pedantycznemu, utrafić konieczną temu rodzajowi prostotę i świeżość. Można sobie wyobrazić Naruszewicza w każdej postaci, można przypuścić prę-

dzej, że z każdego instrumentu dobędzie jakiegoś tonu nie zbyt rażącego,—ale Naruszewicz pasterzem, to moralne niepodobieństwo, a piszczałka w jego ręku nie mogła wydać nic prócz kakofonii. I właśnie trzeba było, żeby go skusił ten owoc zakazany! Trzeba mu było próbować się w tem, czego nigdy dobrze zrobić nie mógł. Można się domyślać, jakie były te pokusy. Naprzód wzór poetów starożytnych, Wirgiliusz pisał eklogi; co więcej, Krasicki ich nie pisał (Krasicki czuł swoim artystycznym zmysłem, że to przedmiot nie dla jego talentu, ani dla jego wieku).—Kto wie, czy i to nie powód; rywala się na tem polu nie spotka, a sławę poematów heroi-komicznych zrównoważy się czemś, na co biskup warmiński się nie zdobył. Wreszcie, był to czas, kiedy cała Europa pomiędzy zepsuciem Ludwika XV a Terorem, dostała fałszywego apetytu do sielskości i sielanek. Wiek najmniej prosty, naiwny i świeży ze wszystkich, wiek sceptyczny w pojęciach, burzliwy i tragiczny w wypadkach, sztuczny i konwencyonalny w towarzyskiem życiu, a w obyczajach nie mniej jak arkadyjski, zapragnął być pasterskim i sielankowym — istne zachcenie starego rozpustnika, w którym odmiana obudza jeszcze zdolność używania. Dość, że nastała moda sielskości. Gessner pisał idyle, dwór Wersalski bawił się w obory i chatki w przerwie między panowaniem pani Dubarry a panowaniem gilotyny, za przykładem Maryi Antoniny wszystkie modne i piękne panie w Warszawie musiały mieć swoje wiejskie ustronia, swoje mleczarnie i krowy, swoje drewniane chatki, łąki, strumyki i wszystko, co do sielanki należy. Sielanka należy do wytwornego życia, do dobrego smaku, ledwie nie do cywilizacyi, staje się potrzebą życia, koniecznością. A nadto jeszcze, pisarze Stanisławowscy, którzy studyowali nie żartem swoich Zygmuntowskich poprzedników i wielbili ich szczerze, odkryli z podziwieniem pomiędzy temi dawno zapomnianemi dziełami sielanki, na które zdumieć się mu-

sieli; perły prawdziwe, arcydzieła rodzaju. Szymonowicz znalazł gorliwego wielbiciela w Naruszewiczu, który ma tę zasługę, że się na nim poznał i wskrzesił jego sławę. Iść w jego ślady, odnowić polskę sielankę, dorównać mu, pokusa blizka bardzo; i tak pod tymi wszystkimi wpływami razem biskup smoleński chwycił *gracilem avoenam* Wirgiliusza czy fujarkę wierzbową Szymonowicza.

Niestety, ten wiek tak oddalony od pierwotnej natury, ten kraj tak daleki od arkadyjskiej spokojności i prostoty, ten dwór fryzowany, pudrowany, upstrzony muszkami, a dopieroż ten dawny z reguł nauczyciel poetyki, ten retor niekiedy wymowny, ale zawsze pracowity i sztuczny, nie mogli wydać sielanki, ale jej parodyę. I tak się też stało. Spojrzyjmy na tytuły. Zaraz druga z rzędu, to nie sielanka, to *epitalamium*, to w sielankowej masce panegiryk weselny Ignacemu Potockiemu i Elżbiecie Lubomirskiej; wszystko tam jest, amorki, kupidyny, herby, cnoty, wróżby, życzenia, Olimp i Korona Polska Niesieckiego, ale sam tytuł, sama treść wskazuje, co to może być za sielanka, ile tam może być natury, wsi i wiejskiego życia, pomimo, że autor jak może stara się naśladować wiersz i styl Szymonowicza. A dalej jeszcze gorzej — dalej jest Sielanka *Smutek*, Sielanka na śmierć księżnej Czartoryskiej, woj. ruskiej, w której mąż, August Czartoryski, ten osiwiały mąż stanu, ten dyplomata, ten hardy magnat, który nieraz stawiał czoło całej Polsce, figuruje pod idyliczną postacią starego pasterza Palemona, opłakującego stratę wiernej Eurydyki przed synem Dafnisem. Generał ziem podolskich, Dafnis, do pasterza także nie podobny wcale, jest ulubionym bohaterem Naruszewiczowskich Sielanek.

Niestety, na nic naśladowanie, na nic ludowe i miejscowe przybory, na nic Maćkowa grusza, na nic Kuby i Tomki obok Mirtylów i Dafnisów, pomimo tego wszystkiego te polskie Sielanki nie są ani polskie, ani

sielanki. Żeby też raz prawda, żeby raz uczucie natury, nie! Jego kwiaty, to kwiaty papierowe sztywne i nieruchome na drucianych łodygach— jego idyliczne trzody, to owoce i kozy wypchane; wsie, łąki, drzewa, wody, to dekoracya niezgrabnie zrobiona z kartonu, która nikogo na chwilę złudzić nie zdoła, a ludzie na tej scenie, czy Amarylle, czy Dorotki, czy Dafnisy, czy Maćki, to nawet nie woskowe figury, bo nie łudzą nawet pozorem ludzkiej cery. Możnaby przecież żądać od Stanisławowskiego poety, żeby, kiedy już chce koniecznie pisać Sielanki, naśladował przynajmniej elegancyę Wirgiliusza; byłoby to konwencyonalne, sztuczne, ale miałoby przynajmniej pozór rzeczy pięknej, a czasem zawadziłoby się może jaki obrazek ładny, jaki opis dający uczuć wdzięk natury i świadczący, że go sam poeta czuć umiał. Nieszczęściem, człowiek, któryby nigdy nie widział pól, lasów, słońca i wód, tylko je znał ze słuchu i z opowiadania, opisywałby je równie zimno i martwo, jak ten Szymonowicz XVIII wieku.

O Bajkach, których Naruszewicz zostawił niewiele, może czuł, że współzawodnictwo było niebezpieczne, można powiedzieć to samo, co o Satyrach; są dobre, przyzwoite, ale bez szczególnego dowcipu i wdzięku, zwłaszcza bez tej prostoty, swobody i doskonałości formy, przez które każda bajka Krasickiego jest małem arcydziełem. Ze wszystkich najładniejsza formą, a najtrafniejsza przystosowaniem, jest bajka pod tytułem *Rada Zwierząt*.

Łatwo domyślić się, że jego tłómaczenia z Horacego doskonałemi być nie mogą; Horacy wydać się może tylko w najudatniejszej, najwdzięczniejszej formie, i dlatego będzie zawsze pomiędzy poetami jednym z najtrudniejszych do tłómaczenia. Wdzięk się starł w przekładzie Naruszewicza, choć niektóre Ody wypadły nieźle, naprzykład Oda do źródła Blanduzyi; ale co gorzej i co dziwniej, to, że po większej części za-

tarł się także i charakter klasyczny. Ogółem tłómaczenia z Sarbiewskiego wypadły lepiej. Ale co dziwne, to, że pomiędzy tłómaczeniami z Anakreona, choć Naruszewicz nie był zbyt biegłym w języku i mozolnie pomagał sobie słownikiem, pomimo, że to dopiero musi być trudność niezrównana oddać wdzięk, swobodę i tę zdolność używania życia, to pierwotne, naiwne, a tak delikatne zamiłowanie życia i jego rozkoszy, jakie znał tylko świat grecki, a w tym świecie nikt tak jak Anakreon: zdawałoby się nie do uwierzenia, żeby go Naruszewicz mógł tłómaczyć, zdawałoby się, że musi go zrobić ciężkim i niezgrabnym. Tymczasem są tam rzeczy przełożone może nie zbyt wiernie, ale zręcznie, i brzmiące ładnie i gładko, np. Skarga Kupidyna, Czemu nie pić, etc.

Występuje Trembecki. Najwcześniejszą datą, jaka z pewnością da się położyć na jego wierszach, jest rok 1773; ale oczywiście musiał pisywać i dawniej. Pisywać od niechcenia, jak światowy i dworski kawaier, który myśli o swoich różnego rodzaju powodzeniach i rozrywkach, a przy okazyi pisze wierszyki różnej treści, bawi się nimi raczej, niż o nie dba, ale rad jest, że umie je zgrabnie napisać. Madrygał, epigram, czasem może coś nakształt *Listu* na wzór Voltaira, takie musiały być początki zawodu Trembeckiego, który może nie domyślał się zrazu, jaki w nim tkwił talent.

Talent ten nie ukazuje się odrazu gotowym, zupełnie wyrobionym. W wierszach wcześniejszych, jak *na śmierć Michała Czartoryskiego*, jak *Epithalamium Ksaw. Branickiemu*, Trembecki ma styl trochę ciężki, zwroty oklepane i powszednie, nawet smak nie zawsze dobry, tak, że chwilami przypomina Naruszewicza. Ale już przez te słabsze początki przebija jego talent; wiersz do Irydy naprzykład ma i dowcip zręczny i formę miejscami lekką i wdzięczną. Prócz tego przemawia w nich już dość wyraźnie jego sposób myślenia w rzeczach politycznych, i jego filozofia czy niedowiarstwo, w któ-

rem łączy się wzorem Francuzów jakaś humanitarna filantropia i rzetelne uszanowanie dla nauk i oświaty, z sarkastyczną, nieraz dowcipną, negacyą chrześcijaństwa. Bardzo ciekawy jest pod tym względem jego wiersz *Na zniesienie zakonu Jezuitów* (1774). Jest w nim uszanowanie, uczucie wyrządzonej im niesprawiedliwości, szczere uznanie zasług zakonu: „Tysiąc z nich męczenników, żaden nie był katem”. A więc żal, że ich nie będzie? Nie; owszem radość, że upadł jeden z silnych filarów Kościoła.

Chcąc zupełnie wywrócić świątyni gmach stary,
Trzeba było najpierwej obalić filary:
Tym końcem, towarzystwu cios zadając silny,
Ten raz, wierzę Klemensie, żeś jest nieomylny.

Do wcześniejszych należeć muszą jego wiersze erotyczne, przynajmniej znaczna ich część. Budujące nie są; tego nikt od Trembeckiego spodziewać się nie może. Ale pisane są dobrze, nieraz świetnie, z lekkością i dobrym smakiem zamaskowaną śmiałością, tak, że w tym rodzaju lepszych się u nas nie znajdzie. Jest i dużo dowcipu, w Bajkach naprzykład, nie licznych, pochodzących z różnych zapewne lat, i nie zawsze znowu moralnych, ale pisanych tak dobrze, że sam Krasicki mógłby się ich nie wstydzić.

Poematów Trembecki nie pisze; na samym końcu dopiero, w późnej starości *Zofiówkę*. Za młodu albo nie czuje pociągu do rzeczy większych, albo może jest na takie za leniwy. Jednak są dwa małe poemaciki, które można poniekąd uważać za przygotowanie do *Zofiówki*. Poemaciki — ale zawsze z charakterem okolicznościowym, towarzyskim, i madrygałowym: to *Powązki* i *Polanka*.

Pierwsze, folwark ks. generałowej Czartoryskiej pod Warszawą: drugie, włość ks. Stanisława Poniatowskiego, synowca królewskiego. Rodzaj ten sam, co w Zo-

fiówce, ten sam brak treści, wiersz nie tak jak tam doskonały. Powązki są bardzo konwencyonalnym obrazem sztucznej sielanki, z którego zalatuje kadzidło pomieszane z zapachem perfum i pudru, ale zapachu łąk i pól nie czuć wcale. Jedna rzecz która ściąga uwagę, to charakterystyczny opis idylicznego pasterza i pasterki, ich szczęścia i wzajemnych uczuć. Pasterz leżąc w cieniu na trawie nad wodą, pokazuje pasterce łabędzie, opowiada jej przygodę Ledy, i czyta obietnice szczęścia w oczach kochanki, popijając wino.... szampańskie. Ten rodzaj arkadyjskiej miłości, z szampańskiem winem i wspomnieniami Ledy, jest wyborny; nic nie może dać lepszego wyobrażenia o sielankowości Trembeckiego i XVIII wieku. Widok z Powązek na klasztor Kamedułów w Bielanach, daje poecie sposobność do złośliwej diatryby na mnichów i odpusty, z której to sposobności, naturalnie, skwapliwie korzysta.

Polanka jest cokolwiek od tego typu odmienna. Nie jest właściwie opisem, nie chodzi tu o ogrody ani chatki. Ks. Stanisław Poniatowski oczynszował włościan, byt ich się podniósł, i za to chwali go poeta—to stanowi treść. Po wstępie pochwalnym na cześć księcia, w którym jest kilka pięknych wierszy (Swobodo, jakże twoje dzielne są sprężyny), wprowadza poeta siebie w rozmowie ze starym gospodarzem, który mu opowiada o dobrodziejstwie księcia i jego skutkach. Jest to ten sam Poniatowski do którego Krasicki napisał najpiękniejszy ze swoich listów. Perora i pochwały nie miałyby w sobie nic uderzającego, gdyby nie kilka wierszy wątpliwej tendencyi moralnej, ale niezwykłej lekkości i gracyi. Starzec opowiada przygodę dziewczyny, uwiedzionej przez pasterza, którą rozumna i dobroczynna pomoc księcia uratowała od rozpaczy i od zbrodni, jaka się niekiedy zdarza uwiedzionym. W opowiadaniu tem przywiedzione są namowy, jakiemi zdradliwy Don Juan pasterz łudzi tę nie-

szczęśliwą Zerlinę; namowa ta jest w swoim rodzaju ciekawa. Żaden pasterz sycylijski, żaden polski wiejski parobek nigdy tak nie myślał i nie mówił; ale tak niezawodnie mówić musieli do niezbyt okrutnych piękności wszyscy Don Juani tego wieku, wszystkie markizy w Paryżu i ich zabijacz także, nie ostatni podobno między zdobywcami serc swojego czasu. Przytem są te wierszyki tak dowcipne i zgrabne, że, pomimo całej ich lekkości, znać je musi, kto chce znać Trembeckiego.

Ta subtelna ironia, te niespodziewane zwroty myśli i obroty słów znamionują talent prawdziwy, a z tego talentu wyrobi się nieznacznie pisarz, mistrz słowa, nad którego ta epoka lepszego nie wydała. Takiego języka, takiego śmiałego toku wiersza, tak umiejętnego użycia wyrazów, jakie się znajdują w wierszach Trembeckiego, niema nawet Krasicki.

Zjawiają się teraz częściej i liczniej te wiersze tendencyjne, polityczne, o których my wiemy mało, a które są nierównie lepsze w swoim rodzaju od zapamiętanej i głośnej *Zofiówki*. Istotnie; fantazyi ani liryzmu nie trzeba u niego szukać. Ale gdzie chodzi o to, żeby myśl swoją wyłożyć, a przeciwną zbijać, to on umie to robić tak rozumnie i energicznie i w formie tak pięknej, że lepiej w takim rodzaju pisać trudno. Zapewne sposób pisania tych wierszy musiał być kształconym na *Listach* Voltaira: dowodu na to niema, ale przypuszczenie jest tak naturalne, że nasuwa się samo. Wzór był świetny; ale świetnem także było to, co się pod jego wpływem wyrobiło. Bo o wpływie tylko mówić można; naśladowania niema, ani w myślach ani zwrotach. Zdarzają się zaś u Trembeckiego takie silne wybuchy oburzenia, takie poważne upomnienia i wezwania, że trzeba koniecznie przypisać mu taką siłę uczucia, i to dobrego dodatniego uczucia, jakiej się u Voltaira nie widzi.

W studyach nad literaturą Stanisławowską, szczególnie ciekawy i zajmujący jest sposób, w jaki każdy z tych pisarzy przyjmuje tragicznie wypadki tych czasów.

Niepodobna sobie wyobrazić, co mogli czuć ludzie, którzy wśród tego żyli, i jak to mogli przeżyć. Są uczucia których wyobraźnia ludzka nie umie sobie wystawić, nie wystarcza na to; jak zdaje się, że i ludzkie serce jest za małe, żeby pewien stopień nieszczęścia i cierpienia objąć i uczuć w całej jego okropności. Co mogli czuć ludzie, którym kraj zabierano, a oni na to patrzali i nie mogli przeszkodzić?

Ówczesna poezya nie znajduje tego tonu najwyższej rozpaczy, któryby był godnym położenia; jednak wrażenia i uczucia, jakich ci poeci doznawali, nie mogą nam być obojętne, i przez to, że je rozumiemy i dzielimy, i przez to także, że się z nich uczymy znać ten czas i duszę narodu w tym czasie. Krasicki, kiedy wspomina o rozbiorach, co mu trafia rzadko, robi to tak, jak gdyby tego wspomnienia unikał, a jego słowa wyglądają jak ciche stłumione westchnienie, jak łza umyślnie powstrzymana. Naruszewicz, stojący w samym wirze czynnego życia i wypadków, a przytem energiczniejszy, silniej oddziaływujący przeciw wrażeniom, nie tłumi nic, owszem potrzebuje i lubi wybuchnąć swojem uczuciem, skarży się, gromi, protestuje. U późniejszych, jak Kniaźnin, zobaczymy znowu inny odcień tego samego uczucia; jeszcze inne w tej samorodnej nie literackiej wcale poezyi konfederatów lub legionistów. Trembecki ma pomiędzy nimi wszystkimi swój osobny i właściwy ton i odcień uczucia. Większa część jego wierszy drobnych, piękniejszych od poematów na większe rozmiary, stosuje się do różnych współczesnych wypadków i ma treść polityczną, i na nich to studyować można skalę i przemiany jego uczuć patryotycznych.

Z góry należy zapowiedzieć, że nie trzeba się od

niego spodziewać wierszy lirycznych. Wszystkie mają charakter satyryczny, albo polemiczny, nauczający. Nie idzie zatem, żeby były pozbawione uczucia, owszem; ale poeta przeważnie rozumem i rozsądkiem działa i do niego się odzywa. Słusznie powiedział Siemieński, że Trembecki, choć nie napisał ani jednego poematu dydaktycznego, miał geniusz poezyi dydaktycznej.

Otóż pomiędzy temi poezyami są rzeczy najróżnorodniejsze. Nie można niektórych z nich pogodzić z sobą, jeżeli przedtem nie spróbujemy uprzytomnić sobie politycznych przekonań Trembeckiego, i stopniowych w następstwie czasu zmian, jakim te przekonania uległy.

Trembecki nie brał czynnego udziału w życiu publicznem, zatem całość tych przekonań zbierać trzeba, z jego wierszy, bo jego czynów niema. Naprzód, jako tło, wyobrazić go sobie trzeba stronnikiem króla, tak, jak był nim Naruszewicz; na tem tle dopiero rysować się będą późniejsze zmiany. Że Trembecki musiał należeć do tego stronnictwa, to rzecz naturalna. Jego natura dworska, jego zwyczaje i upodobania, jego lekkie prawidła moralne, a zwłaszcza uwielbienie dla wieku, który sam siebie nazywał wiekiem rozumu, kazały mu unikać wszystkiego, co zadawnione, zacofane, sarmackie, a garnąć się do tego, co było nowe, postępowe, oświecone, co przypominało filozoficzną i filantropijną Europę. Tej nikt w Polsce nie reprezentował świetniej od Stanisława Augusta. Co było dobrego i rozumnego w królu i w jego zamiarach, to Trembecki doskonale mógł widzieć i cenić; niedostatków Stanisława Augusta czuć nie mógł, bo miał sam te same w jeszcze wyższym stopniu. Z tego wynika, że zgodność jego pojęć i dążności z pojęciami i dążnościami króla, zgodność bardzo stała i stateczna, wydaje się być niewątpliwie szczerym wyrazem jego myśli i serca. Z czasem związek z Rosyą stał się dominującym pierwiastkiem, osią

jego przekonań politycznych, w ostatku nawet przeszło to w rezygnacyę gorszącą; ale kierunek ten wyrabiał się stopniowo. I król zrazu ulegal z konieczności ambasadorom rosyjskim, a oglądał się na wszystkie strony za sprzymierzeńcami, którzyby mu pomogli wydobyć się z tej konieczności. Wszak była chwila kiedy myślał naprawdę o przystąpieniu do konfederacyi Barskiej, chwila ta trwała krótko, ale była; a człowiekiem, którego wybrał do poufnych negocyacyj z generalicyą i wysłał w tym celu do Bielska, był właśnie Trembecki. Oczywiście więc nie opierał wtedy Trembecki polityki polskiej na przymierzu rosyjskiem. Nic dziwnego, że to, co tam zastał w Bielsku, nie mogło mu dać wielkiej otuchy. Niesnaski, swary, rozprzężenie, brak wszelkiego planu i bezradność musiały go uderzyć: bohaterstwo Pułaskiego nie mogło tego zrównoważyć. Powrócił więc utwierdzony w przekonaniu, że król powinien pozostać na swojej dawnej drodze, zwłaszcza, że konfederacya (Mokronowski) popełniła ten błąd ogromny, że króla wciągnąć nie umiała czy nie chciała. Był nawet memoryał w tym duchu podany królowi przez Trembeckiego. Plany detronizacyi i porwanie króla wywarły fatalne wrażenie na całem tem stronnictwie i były istotnie opłakanym błędem, bo otworzyły już ostatecznie przepaść między stronami, zgoda nie była możliwą. Po pierwszym rozbiorze stawia Trombecki jeden krok dalej. Sądzi, że należy przeboleć tę stratę i poświęcić część, żeby ocalić to, co pozostało; a że ostatecznie Polska była na łasce Rosyi, więc wyciąga ztąd wniosek, że niema dla niej nic innego jak spokojność i uległość, żeby nie wywołać nowej burzy i nowego rozbioru. Robi krzyżyk na to, co Rzplta w pierwszym rozbiorze utraciła, odstępuje to szczerze, widzi w zgodzie i w wewnętrznym rozwoju sił polskich jedyny środek zbawienia. Cechują to jego zapatrywanie dwa wiersze do Krasickiego, zwłaszcza *Gość w Heilsbergu*. Tu po raz pierwszy występuje myśl

w Polsce nowa, myśl, której Trembecki wiernym zostanie do końca; myśl nie połączenia, ale pojednania z Rosyą, panslawizm w zarodzie ze wszystkiemi znamionami, jakie widzimy u panslawistów XIX-go wieku. Jedność plemienia utkwiła Trembeckiemu w głowie; powraca on ciągle do naszego pobratymstwa ze „*Słowakami*", dowodzi, że jesteśmy braćmi z bratem „*Rusinem*", że z nim w zgodzie możemy cały świat wyzywać, a zwłaszcza Niemców, do których nienawiść jest u niego namiętnością. W tych to latach zaczyna on tak wysławiać Cesarzowę Katarzynę, jak wielbił ją Voltaire i Diderot. Do europejskiej mody jednak przyłączyła się i ta myśl panslawistyczna.

Rzecz naturalna, że tak usposobiony obiecywał sobie wiele po Zjeździe Kaniowskim. Stanisław August, wolny zupełnie od takich złudzeń *słowackich*, jechał tam z inną myślą; Trembecki widział może w tym zjeździe początek urzeczywistnienia swoich myśli. To też na widok Dnieprowej żeglugi i spotkania Cesarzowej Katarzyny II-ej z królem, wpada w zapał niepohamowany Sławi Dniepr, że jego korytem płynie polepszenie losów ojczyzny, sławi Cesarzową Katarzynę, sławi jej orszak, Potemkina i Rumiancowa. (List do Naruszewicza).

Nie wiemy na pewno, w którym roku pisał swój wiersz *na dzień 7 września*, rocznicę koronacyi Stanisława Augusta: ale zważywszy, że nie mówi w nim o bieżących wypadkach, ale o przeszłości, a ogólnie tylko o obecnem położeniu Rzeczypospolitej, przypuszczać możemy, że wiersz ten pisany był przed *Sejmem Konstytucyjnym*: że odpowiada tej chwili, kiedy w cichości wzmagało się przekonanie o koniecznej potrzebie zmian i świadomość błędów przeszłości. Wiersz godzien uwagi i pamięci, bo jest jednym z najpiękniejszych, jakie Trembecki napisał, i jednym z tych, które dają poznać z najlepszej strony i jego rozum,

i jego patryotyzm. *Sejm Czteroletni* spowoduje wierszy podobnych więcej, ale lepszych mało.

W roku 1779 wyszły *Bajki* Krasickiego. Bajka była zawsze. Znała ją starożytność, znały narody wschodnie, nawet Wieki Średnie; epoka odrodzenia miała ją w poszanowaniu i uprawiała, choć nie bardzo zręcznie; a nawet romantyczność w chwili swojego tryumfu, kiedy kruszyła wszystkie dawne formy, dla bajki miała pewne względy i nieraz się do niej uciekała. Wnieść z tego można, że bajka musi być światu potrzebną, jak *przysłowie*, z którem może najwięcej ma pokrewieństwa. Wygodnie nam jest i przyjemnie mieć pewne formuły gotowe, określające trafnie, zwięźle, dowcipnie pewne spostrzeżenia nad naturą ludzką, pewne fenomeny moralne lub psychologiczne, które się zawsze i powszechnie między ludźmi powtarzają.

Ta blizka styczność bajki z życiem, to oparcie jej na naturze ludzkiej, sprawia, że ona zawsze popłaca, a nigdy nie wietrzeje, że Fedrus jest dziś tak dobrym i prawdziwym jak był dla współczesnych, a Lafontaine będzie tak prawdziwym i dobrym dla jakiejś cywilizacyi przyszłej, jak jest dla naszej. A to znowu, że ona polega głównie na obserwacyi, sprawia, że jest przystępną nawet tym talentom niższego rzędu, które nie błyszczą wielką potęgą i twórczością, owszem, dla takich właśnie zdaje się być stworzoną, takie w niej celują; i Krasicki jest niezawodnie jednym z najlepszych na świecie fabulistów. Miał dar spostrzegania w bardzo wysokim stopniu; miał bardzo wiele rozsądku, i to co dostrzegł, doskonale osądził, ocenił głębiej, z powodami i ze skutkami; miał wielki dowcip, przez który zdołał swoje spostrzeżenie trafnie scharakteryzować, a swój sąd i przystosowanie zamknąć w jakieś słowa krótkie, jędrne, dobitne, doskonale rzecz oddające. Wreszcie, miał tę wielką biegłość, władzę nad językiem i wierszem, przez którą zdolny był przedmiot swój zmieścić w formie małej, a bardzo zgrabnej,

eleganckiej, wytoczonej. Nie każdy większy od niego poeta byłby zdolnym tak się w krótkich słowach streścić; mamy przecież kilka Bajek Mickiewicza, i bardzo ładnych, ale wszystkie w większych rozmiarach, wszystkie zakrawają już na powiastki. Pełne prawdy, humoru, wdzięku, nie są przecież, co do formy, tak doskonałe jak Bajki Krasickiego.

Czy ks. biskup warmiński miał w literaturze polskiej poprzedników, którzyby przed nim byli to pole uprawiali? Miał; ale twierdzić można śmiało, że z nich nie korzystał. Wiek XVI miał bajkę, choć jej tak nie nazywał; w Apophtegmatach Reya, jest wiele takich, które są po prostu bajkami. Paprocki zostawił zbiór ich znaczny, a nawet przez częste alluzye polityczne, znaczący i ciekawy, choć większość tych bajek jest tłómaczona. Ale ani Rey, ani Paprocki Krasickiemu wzorem ni pomocą być nie mogli, bo ich bajka bezksztaltna, niezgrabna, choć kryje w sobie często trafną naukę i przystosowanie, jest ze stanowiska literackiego zła. Jabłonowskiego *Sto Bajek i Oko*, gorsze; humoru, dowcipu, trafnej obserwacyi, mniej niż u tamtych, bajka to nudna, ciężka, pedantyczna, a niezgrabna lub gruba, kiedy chce być wesołą i lekką; forma zaś u Jabłonowskiego nie lepsza jak u nich, choć ten pisał z Lafontainem przed oczyma. Ten więc „Ezop o brzydkim pysku, wystrojony w drukarni kosztem żony w Lipsku", przed Krasickim gruntu nie uprawił, i jeżeli on ma w Polsce poprzedników, to jego wzory i przykłady są zagranicą, a impulsu, jaki dostał do pisania bajek, szukać trzeba nie u Reya lub Jabłonowskiego, ale u Lafontaina.

O ile od tego Krasicki jest wyższym lub niższym?

Oczywiście jest zaraz niższość w tem, że Francuz pisał sam z siebie, wsparty co najwięcej na fabulistach starożytnych, i właściwie stworzył dobrą artystyczną bajkę w Europie, kiedy Polak swoją pisał już po nim i z jego pomocą. Ale jest oprócz tego różnica,

która nie wpływa może na wartość artystyczną Bajek, nie robi jednych lepszemi od drugich, ale charakteryzuje ciekawie ludzi, i dążność tego, co pisali. W dwóch słowach różnica ta brzmi: Lafontaine jest w swoich Bajkach przeważnie psychologiem, Krasicki przeważnie moralistą. Jeden dostrzega jakiś fenomen, jakąś prawdę psychologiczną, i określa ją bardzo trafnie, bardzo dowcipnie, a potem się o nią nie troszczy. Krasicki przeciwnie, patrzy więcej na wartość moralną tego popędu lub uczynku, który opisuje w bajce, a tak patrząc, prawie zawsze stawia jakąś konkluzyę, daje naukę. To jest może mniej ładne, może Bajkom Lafontaina dodaje to wdzięku, że czytelnik sam może szukać tej ogólnej prawdy, która się zawsze na dnie jego bajki znajdzie: ale różnica jest charakterystyczna, i ta wyraźna zawsze u Krasickiego tendencya, gdyby nawet piękności jego „Bajek" szkodziła (a zdaje mi się, że nie szkodzi), świadczyłaby zawsze za nim jako za człowiekiem, bo ona dowodzi, że nie patrzał on na świat tylko jako dostrzegacz bystry, dowcipny, lecz obojętny, który się bawi tem co widzi i z tego śmieje, ale jak człowiek dobry, poczuwający się do obowiązku względem ludzi; który nietylko bawi się tem co dostrzegł, ale to bierze na rozwagę, nawet do serca, a wytknąwszy chce i poprawić. Ztąd może bajka Lafontaina ma więcej ogólnej filozoficznej wartości, bajka Krasickiego więcej praktycznej i obywatelskiej zasługi

Nie idzie zatem, żeby tej strony psychologicznej w nich nie było, lub żeby była traktowana nietrafnie, niedołężnie. Owszem, Krasicki obserwuje naturę ludzką i charakteryzuje ją bardzo trafnie, skłonności jej umie wybornie personifikować w swoich allegoryach. Wszystkie jego bajki, nawet te, które najwyraźniej pisane były pod wpływem jakiegoś szczególnego zdarzenia, z myślą o jakimś danym fakcie lub człowieku, najbardziej zbliżone do bajki okolicznościowej, wszystkie mają w sobie jakąś ogólną prawdę i stosują się nie

do jednego tylko wypadku, ale do mnóstwa podobnych. Naprzykład, ten zając, którego psy zjadły wśród najlepszych przyjaciół: on w myśli autora był widocznie allegoryą stosunków polskich. Ale równie dobrze przystaje do setnych i tysiącznych innych. To może być Polska, szukająca ratunku w aliansie pruskim, austryackim, odwołująca się do wszystkich państw europejskich, żeby zabezpieczyły jej całość; może równie dobrze być Francya podczas wojny pruskiej, pan Thiers jeżdżący z Londynu do Wiednia i do Florencyi; a może być równie jakiś stosunek ciaśniejszy, prywatny. Człowiek przyciśnięty długami, któremu wieś licytują, a żaden z przyjaciół nie pożyczył na zapłacenie procentów; może być nawet uczeń gimnazyalny, błagający wszystkich swoich kolegów, żeby mu poprawili zadanie, tymczasem każdy zajęty swojem własnem, odmawia, i „wśród najlepszych przyjaciół psy zająca zjadły”. W ogóle, błądzi, kto w wykładzie „Bajek” stara się ściągnąć ich znaczenie do jakiegoś jednego faktu lub stosunku i chce koniecznie objaśnić je jednym ściśle określonym przykładem. Jest to właśnie zadaniem, celem, warunkiem, istotą dobrej bajki, żeby sens w niej ukryty stosował się do mnóstwa przypadków podobnych, ale odmiennych. Inaczej nie miałaby bajka tego przystosowania ogólnego, tej prawdy trwałej, która sprawia, że nauka moralna zawarta w jednym jej wierszu, staje się maksymą, aksyomatem lub przypowieścią, i przechodzi w przysłowie.

Krytyka wogóle wielką upatruje różnicę między pierwszemi bajkami („Bajki i Przypowieści”), wydanemi po raz pierwszy w roku 1779, a *Bajkami Nowemi*, wydanemi już po śmierci ks. biskupa przez Dmochowskiego w roku 1805. Dawniejsze mają być od późniejszych o wiele lepsze. W czem i dla czego? Różnica musi być chyba bardzo subtelna. Co do trafności przystosowania, dobrej myśli, humoru wreszcie, nie zdają się *Bajki Nowe* ustępować dawniejszym. Tych bajek klasycznych,

które każdy zna i umie na pamięć, tych wierszy, które poszły w przysłowie, nie jest mniej między ostatniemi jak między pierwszemi Bajkami. Wszakże do nich należy i „Czapla stara, trochę ślepa, trochę krzywa" i chłop co „zamiast wilka, zabił swoje cielę" i „kogut winien, więc na niego", i lwica dumna ze swojego „jednego, ale lwa", i nawet sławne „Żaby". Z tych *Nowych Bajek* nauczyliśmy się, że „gdzie wiele przygotowań, tam nic z dyalogu", że „nie każdemu dał Pan Bóg rodzić się puhaczem", że „nie sztuka zabić, dobrze zabić sztuka" — wszystko te złote słowa mądrej filozofii życia są z *Nowych Bajek*. Z nich także ten wiersz, który powtarzamy tak często: *dla was to jest igraszką, nam idzie o życie*. Dlaczego one mają być od tamtych gorsze? Prawdy moralnej, trafnej obserwacyi, humoru, dobrej patryotycznej dążności, nie widzę w nich mniej. Owszem, jedne i drugie wyszły już z umysłu dojrzałego, spoważniałego pod wpływem narodowego nieszczęścia; jedne i drugie w swoim zakresie, swoimi sposobami pełnią tę służbę reformatorską, cywilizacyjną, patryotyczną, która w ich drobniutkich formach jest mniej wyraźna, ale nie mniej rzeczywista, może nie mniej skuteczna, jak w Satyrach lub w Podstolim. Wszystko to ożywione tym samym duchem, a pod tym względem *Nowe Bajki* nie ustępują starym.

Jest wprawdzie kwestya formy: pierwsze Bajki krótsze, treściwsze, zamknięte w kilku wierszach tej samej zawsze miary, mają być piękniejsze od nowych, dlatego, że między temi jest wiele dłuższych, o miarach mieszanych; a bajka im krótsza, im bardziej jednostajna, tem lepsza, tem bardziej zaokrąglona, tem dosadniej wypowiada swój sens moralny. Być może; prawda, że w późniejszych Bajkach, Krasicki, idąc zapewne za przykładem Lafontaina, rozpisuje się dłużej, a wiersz lubi zmieniać, przeplatać długi krótkim; jeżeli to ma być błędem, to błąd ten popełnił. Ale naprzód, zbłądził za przykładem wielkiego bajkopisa, po-

wtóre, czy istotnie zbłądził? Gdyby w tych jego Bajkach były długości ciężkie i nudne, gdyby bajka się wlokła, gdyby moralizowała pedantycznie, zakrawała na lekcyę, albo na kazanie, byłoby źle, ale tego niema. Lub gdyby ten wiersz mieszany był bądź niezgrabny, bądź źle dobrany do przedmiotu, gdyby krótkie z długimi nie łączyły się naturalnie i harmonijnie, gdyby w tych przeskokach znać było zamiar i przymus, możnaby Krasickiemu zarzucać, że użył tego nowego sposobu pisania. Ale tak nie jest. Wszędzie ten sam wiersz lekki, swobodny, dźwięczny i pełny płynie naturalnie sam z siebie, raz przyśpiesza kroku, drugi raz go zwalnia, ale nie ustaje i nie kuleje nigdy, więc czegoż od niego chcieć? To jest forma inna, ale dlaczego ma być gorszą? Dlaczego nie jest dobrze jej używać? *). Trafiają się prawda bajki słabsze między *Nowemi*, ale i między pierwszemi także, w których morał znany z różnych dawnych bajek, albo nie zbyt jasno z bajki wychodzący, albo bardzo błyszczącym dowcipem nie ozdobiony: słowem tu jak tam, są bajki lepsze i gorsze, a w tych późniejszych ani po tendencyi i przystosowaniu nie znać, żeby umysł autora był z wiekiem słabnął, ani po formie, choć jest inna, nie widać, żeby jego talent był tracił swoje przymioty.

Jeszcze jedno pytanie ciekawe: czy znajduje się u Krasickiego bajka polityczna? Na to pytanie każdy zacytuje *Czyżyka*, ale to nie odpowiedź. *Czyżyk*, biedny smutny Czyżyk, jest bajką patryotyczną, prawie liryczną; polityczną nie jest. Ale oprócz niego? Znajdzie się może więcej.

Bajka polityczna jest można powiedzieć prawie polskim wynalazkiem; nigdzie takich niema tylu co u nas. Wiadomo jakie miała znaczenie, za Królestwa Kongresowego, kiedy wojował nią Niemcewicz i uczu-

*) Dla czego *Dzieci i Żaby* mają być gorsze, niż naprzykł. d *Woły krnąbrne*? Że o kilka wierszy dłuższe i wiersz w nich nie jednostajny? Czy to powód tak ważny i stanowczy?

ciu publicznemu dawał miły odwet w tych allegoryach trafnych i śmiałych. Po roku 1830 bajka Morawskiego mściła się czasem na Prusakach, a mniej namiętna od Ursynowej, była daleko pod względem formy ładniejsza. Pod rządem austryackim także nieraz bajka wyśmiewała urzędników, dokuczała policyi i cenzurze, bezpieczna, że ta cenzura nic jej zrobić nie może. Rzecz dziwna, że Krasicki, którego czasy były właśnie po temu, który mógł zrobić nawet wiele dobrego, uderzając na złe dowcipnym epigramem lub apologiem, Krasicki, bajkopisarz klasyczny, w tym właściwym polskiej bajce kierunku najmniej jest głośny; zdawałoby się, że bajek politycznych u niego niema, tak jakoś nigdy o nich nie mówimy. Tymczasem są one: tylko, mniej od Niemcewicza namiętny, Krasicki lżej, delikatniej alluzyę swoją naznaczał; nie chodziło mu koniecznie o to, żeby tego lub owego wskazać palcem, wyśmiać, sponiewierać; i alluzya polityczna jego Bajek odnosi się daleko więcej do ogólnego położenia, niż do szczególnych faktów. Powtóre, większy od tamtych artysta, tak umiał tę alluzyę obrócić, że ona może stosować się do różnych innych, nie koniecznie do pewnych oznaczonych politycznych przypadków. Ale żeby nie było w jego zbiorze bajek politycznych, tego powiedzieć nie można. Jest zaraz ów *Zając*, zjedzony przez psy wśród najlepszych przyjaciół, pisany oczywiście z myślą o rozbiorze. Szkoda, że nie znamy dat, w których Bajki powstały, w takim razie moglibyśmy domyślać się na pewno, co on przez którą z nich rozumiał. Ale i bez tej wiadomości, czy nie można przypuszczać, że bajka naprzykład *Zwierzęta i Niedźwiedź* ma w sobie taką alluzyę? Czy nie mogła naprzykład być napisaną po śmierci Fryderyka Wielkiego, kiedy Fryderyk Wilhelm na wielką uciechę Polaków udawał ich przyjaciela? A jeżeli nawet nie ściągała się do tej, to ściągać się może do wielu innych, niemal do każdej zmiany panowania. Albo *Wilk i owce*... czy się do tego sto-

sunku Rzpltej do Prus nie nadaje? Myśl ta sama jest bardzo wyraźna i w *Sąsiadach, Jagnię i Wilcy*. Inne znowu, *Myszy* naprzykład, albo *Słoń i Pszczoła* musiały być pisane podczas Sejmu Czteroletniego, kiedy królewskie stronnictwo tak było przerażone, i słusznie, temi odgrażaniami się i obelgami, których nie szczędzono Cesarzowej Katarzynie II-ej, a które ona chowała w swojem sercu. Jeszcze inne, jak *Nocni Stróże* albo *Wilczki*, widocznie mają na myśli polskie niezgody, tak często marne, i kłótnie o nic. *Jaś, Wóz z Sianem*, jeżeli w jego czasach nie miały wyraźnego przystosowania, to miały go wiele, dla każdego pokolenia, w naszej historyi porozbiorowej.

Wszystko to dowody, że i Krasicki znał i pisał bajkę polityczną; jego alluzye są nieznaczne, ale są i rzeczywiste i bardzo trafne. Nie brak mu nawet tego, jak gdyby po to umyślnie, żeby żaden inny nie miał nad nim wyższości w tym rodzaju pisania, żeby był dla Polski bajkopisem klasycznym.

Że jest takim, dowodzi choćby tylko ta wielka ilość jego wierszy, które się stały przysłowiami. Przez doskonałość i wdzięk formy zaś, przez dowcip i trafność przystosowania, przez naukę moralną, zawsze zdrową i dobrą, przez wielki dar tłómaczenia, przez allegoryę czy to prawideł moralnych czy spostrzeżeń psychologicznych, byłby Krasicki w każdej literaturze jednym ze znakomitych klasycznych w tym rodzaju pisarzy.

III.

Pisma polityczne. Obrona *Liberi Veto*. Sejm roku 1768. Konfederacya Barska. Pousseau. Uwagi o rządzie polskim. Mably *O Położeniu Polski*. Wielhorski. Po pierwszym rozbiorze. Zmiana w pojęciach. Wybickiego *Listy Patryotyczne*.

Zwycięstwo, odniesione przez Konarskiego nad *Liberum Veto* było tak stanowcze, że nawet koryfeusze partyi staro - republikańskiej albo dali się przekonać albo przynajmniej nie śmieli odzywać się z obroną „źrenicy wolności", i od tej chwili nikt już na prawdę z tą zasadą nie występuje. Ale nie od razu oderwały się umysły od czci tego ubóstwianego przesądu, i *Veto* jeszcze raz odstrzeliło się Konarskiemu, jak kapitulująca forteca. Ale nadzwyczaj słabo. Nikt z ludzi rozumnych i działających nie podjął się tej przegranej sprawy; strzał padł z gminu szlacheckiego, z natury rzeczy najzawzięciej obstającego przy swoim klejnocie. *Stefan Sienicki*, burgrabia grodzki rożański, odpowiedział Konarskiemu na *Skuteczny Rad Sposób* swoim *Sposobem konkludowania Obrad dla utwierdzenia praw kardynalnych wolności* (Łowicz, 1764).

Jest to jakiś człowiek uczciwy i dobrej wiary, człowiek, który widzi grożący upadek ojczyzny, umie zrozumieć jego powody, a nawet mówić o nim dość rzewnie; tylko to dziwne, że rozumiejąc nie rozumie. Przyznając, że wszystko złe pochodzi *ex mala consilio-*

rum forma, i że tę koniecznie trzeba poprawić: ale upiera się przy tem, że *Veto* jest prawem kardynalnem i koniecznym warunkiem wolności, i że je trzeba koniecznie zatrzymać. Sposób zaś, wymyślony na dochodzenie sejmów, jest tak niedorzeczny w teoryi, jak w praktyce niepodobny. Twierdzi autor, że w każdej kwestyi sejmujący dzielą się na trzy kategorye: tych, którzy są za wnioskiem, którzy są przeciw, i obojętnych. Naprzód, już to jest nieprawda; być może, że wielu w gruncie zdania nie ma w tej lub owej kwestyi, ale każdy wie, że je mieć powinien, i żaden się nie przyzna, że go nie ma. Zkądże więc i z kogo brać tych *indifferentes*? Czy się sami będą zgłaszali jako tacy, czy ich marszałek zamianuje lub izba wybierze ludźmi bez zdania. Ci więc „neutraliści" przy głosowaniu muszą wszystkie swoje głosy ryczałtem rzucić na tę stronę, która liczy więcej głosów—o ich zdanie lub wolę nikt się nie pyta. Przez to przyłączenie głosów powstaje znaczna większość; jeżeli pomimo to zajdzie kontradykcya, tedy *indifferentes*, jako nie uprzedzeni i neutralni, mają sądzić, czy ona jest prawna lub nieprawna, czy dla dobra publicznego lub z osobistych powodów podniesiona. Jest to więc despotyzm nad pewną liczbą posłów, którzy muszą być obojętnymi, a potem despotyzm tych posłów nad kontradycentem i nad izbą. A wreszcie jest nic innego, tylko większość głosów. kiedy autor całą książkę na to napisał, żeby dowieść jej szkodliwości i niebezpieczeństw.

Rozsądny, kiedy żąda podatku na wszystkich, wpada znowu w prawdziwy obłąd, kiedy chcąc i zatrzymać władzę hetmańską i ograniczyć ją, organizuje wojsko pułkami podług województw, i ostatnią władzę nad każdym pułkiem zostawia jakiejś komisyi z właściwego województwa. Mania godzenia rzeczy zużytych i złych z nowemi źle mu usłużyła i w tym razie. Wogóle książka cała dlatego tylko jest godną wspomnienia, że jest ostatnim spóźnionym wyrazem wiary w *Veto*, wiary

już znacznie osłabionej, ale jeszcze przywiązanej, i że, jak wszystkie poprzednie, chcąc dowieść jego zalet, dowodzi jego niedorzeczności, a chcąc je utrzymać, zastępuje je większością głosów.

Ale kiedy ówczesna opinia potrzebowała jeszcze, jak świadczy istnienie tej książki Sienickiego, dobitniejszych argumentów przeciwko *Veto*, to tę rolę przyjął na siebie Repnin. Na sejmie roku 1766 uchwalono ogólny podatek i prawo, poddające sejmiki pod większość głosów, wniosek, zmierzający do poddania pod nią i sejmów, i wniosek o powiększeniu siły zbrojnej były gotowe, kiedy nota dworu rosyjskiego i pruskiego oświadczyła, że to powiększenie i naruszenie praw kardynalnych, mianowicie *Veto*, uważanem będzie za *casus belli*. To pomogło; od tego czasu, zwłaszcza od sejmu r. 1768, na którym Repnin podyktował nową konstytucyę, a *Veto* i elekcyę jako prawa kardynalne wyłączył z pod wszelkiej zmiany nawet jednomyślnością, od tej chwili już się za *Veto* nikt odzywa.

Epoka konfederacyi Barskiej i pierwszego podziału nie odbija się w literaturze politycznej — może skutkiem naturalnego osłupienia, odrętwienia, po którem refleksya zaraz przyjść nie mogła, dość, że te wypadki, które istotnie w wielkiej części narodu sprowadziły upamiętanie i otworzyły mu oczy, na razie przeszły bez śladu, a skutki ich później dopiero objawiły się w literaturze. Jednak już podczas tych wypadków samych, podczas konfederacyi jeszcze, myśleli ci nieszczęśliwi, jakby się urządzić, tak, żeby ratować można. Stronnictwo reformy, przygłuszone ciosem, ale nie ustające w pracy, zaczyna na nowo budować swój gmach od fundamentów, ale milczy, nie pisze nic. Z nowymi projektami występują starzy republikanie; może przerażeni tem, co sami zrobili, spostrzegli się przecie, że źle, że trzeba coś zmienić i poprawić. Ale co? ale jak? nie wiedzieli. To im do głowy nie przyszło, że można przyjąć gotowe projekty zmian, wniesione na

sejmie roku 1766, bo to były myśli polskie i myśli partyi królewskiej, a więc złe, podejrzane, nie do przyjęcia. Z taką naiwną wiarą, z jaką Grecy zapytywali wyroczni, a Rzymianie wysyłali prawodawców do Grecyi po prawa, z taką samą biedni Polacy ówcześni, nie wiedząc gdzie szukać światła, mądrości i rady, udali się po objawienie do mędrców i filozofów francuskich. Wielhorski, kuchmistrz koronny, oponent w r. 1766, agent konfederacyi Barskiej w Paryżu, żądał ratunku dla Polski od Mablego i Rousseau. Wiara w tych mędrców wcale charakterystyczna. Na jego to wezwanie i z materyałów, przez niego dostarczonych, napisał Rousseau swoje *Considérations sur le Gouvernement de Pologne*; książkę, która zrobiła u nas wrażenie, jak robiło wrażenie wszystko, co pisał Rousseau, jak cała prawie filozoficzna strona pojęć politycznych i społecznych u nas i we Francyi, opierała się na jego *Contrat Social*. *Uwagi nad rządem polskim* są po prostu zastosowaniem zasad *Kontraktu* do Polski, do dawnych form polskich. Rzecz naturalna, że utopijny umysł Rousseau musiał być uderzony tym duchem idealnej republikańskiej wolności, który tkwił w zasadzie polskich instytucyj, nigdy w ich rzeczywiści; rzecz równie naturalna że taki umysł rady prawdziwej, praktycznej, wynaleźć nie umiał. W całem tem dziełku widoczne jest usiłowanie autora, żeby być jak najpraktyczniejszym, łatwym do zastosowania, żeby stosunki i przyzwyczajenia narodu uwzględniać. Rousseau stara się jak najmniej zmieniać, jak najmniej żądać, poświęca nawet wiele ze swoich zasad i przekonań, naprzykład żąda praw obywatelskich dla włościan i mieszczan, ale stopniowo, pomału, w miarę jak będą się oświecali, *affranchissez leurs âmes avant d'affranchir leurs corps*. Pisze jak człowiek, który najlepiej chce, który wiele myślał o naturze społeczeństw i z tych refleksyj ogólnych dochodzi czasem do prawd głębokich, do istotnych maksym postępowania. Ale po za takiemi ogólno filozo-

ficznemi maksymami znajdują się rzeczy trafne w krytyce polskich stosunków, niema ich w jego projekcie poprawy, który cały wyniknął z oderwanego idealizmu nie umiejącego przywiązać się do rzeczywistości faktów i stosunków.

Zapewne ma słuszność Rousseau, kiedy mówi, że zanim Polska zdoła wyrobić sobie to wszystko, co jej jest potrzebnem do obrony, nieprzyjaciele będą mieli sto razy dość czasu, żeby ją rozebrać. Ale ten naiwny Polak, który się do niego udawał po radę, pytał właśnie tylko o to, czy jest jaki sposób obronienia się od rozbioru, i jaki—w tem leżała kwestya. Zamiast tego daje filozof genewski rady, które za Batorego, kiedy Polska miała przed sobą dwieście lat czasu, mogły być doskonałe; ale teraz rzeczy zaszły tak daleko, sprawa była tak nagłą, że trzeba było albo żartować z Polski, albo być takim umysłem spekulatywnym i abstrakcyjnym, jak Rousseau, żeby jej doradzać powrót do prostoty obyczajów i dowodzić, że piersi obywateli są najlepszą twierdzą ojczyzny, że powinna dać pokój wojsku, na które nie ma dość środków, a zaprowadzić milicye! Mówić o milicyach, kiedy z dwóch stron grożą dwie armie regularne, to poezya nie polityka. Lepiej odrazu powiedzieć „dajcie się podzielić".

Wogóle na dnie tych wszystkich uwag tkwi jakaś poetyczno-filozoficzna teorya, dobra może dla marzycieli, ale nie dla ludzi, którym kraj zabierają. W swojej głębokiej nienawiści do państw uorganizowanych, ich rządów i ich polityki, doszedł Rousseau do przekonania, że tylko małe społeczeństwa mogą być szczęśliwe. Może to i prawda—jednak gdyby ktoś zaproponował Francuzom, żeby się podzielili na tyle republik ile jest departamentów, zapewne wyrzekliby się tego szczęścia. Każdy naród żąda przedewszystkiem zostać sobą, i tego nie odda za największe obiecane korzyści—Rousseau właśnie radzi Polsce, biednej Polsce, myślącej tylko o tem, jak zostać całą, żeby się przemieniła

w federacyę trzydziestu krajów, województw; a jeżeli już nie, to przynajmniej trzech prowincyj. Jak gdyby województwo, jak gdyby Wielko- lub Małopolska była ojczyzną! Jak gdyby ktokolwiek w Polsce taki podział przypuszczał! Organicznym błędem Polski jest podług niego jej rozległość, i dlatego rozbiór, zwężając granice, może stać się szczęściem dla Polski, bo jej ułatwi żywot wolny, spokojny, powrót do cnót i obyczajów pierwotnych! Podług tej doktryny nie byłoby dla Polski chwili szczęśliwszej, jak kiedy zostało z niej wolne miasto Kraków z okręgiem: i gdyby się nie wiedziało, że Rousseau był utopistą i marzycielem dobrego serca i dobrej wiary, możnaby doprawdy myśleć, że to ironia. Tymczasem to tylko doktryna, ale doktryna, która Polski uratować nie mogła.

Instytucye polskie, na pozór republikańskie i powzięte z rzymskich, musiały podobać się tej wyobraźni, rozmiłowanej w pierwotnej cnocie i pierwotnych formach społecznego życia. Radzi więc Rousseau Polakom, żeby nigdy w niczem nie stali się podobnymi do innych Europejczyków, a do tego potrzeba, żeby zachowali swoje właściwe instytucye. Zaleca więc przedewszystkiem zachowanie tronu elekcyjnego. Dlaczego wogóle tron zachowuje? Może dlatego, żeby jak najmniej zmieniać. Dość, że zostaje król, ale król bez żadnych już praw, król opisany, tak jak go opisywał Górnicki (*Droga do Wolności*), po części Karwicki i Leszczyński, zredukowany do znaczenia Doży weneckiego, i wybieralny, ale wybierany losem! Dla uniknienia wstrząśnień nieodłącznych od bezkrólewia doradza postanowić, że królem może być tylko Polak i to tylko jeden z senatorów — trzy imiona wyciąga się losem, z tych jednego wybiera sejm. Ale że wszyscy senatorowie przechodzą przez wielorakie wybory, bo ich urząd jest najwyższym stopniem wybieralnej hierarchii, której żadnego stopnia nikt opuścić nie może i która jest ciągłym awansem, więc ztąd rękojmia, że król

taki, choć losem wybrany, będzie godzien zaufania etc. Hierarchia ta jest: *Spes Patriae* młodzież aplikująca się w urzędach, biurach, tylko z tych mogą być posłowie i deputaci do trybunału. Po trzech nienagannych sejmach awansuje *Spes Patriae* na *Civis Electus*— ci są kandydatami do senatu, dozorcami wychowania: a z tych dopiero wybiera się senatorów.

Veto zostaje, ale ma się stosować tylko do praw kardynalnych; konfederacye także.

Ta hierarchia, te blachy z napisami, te wszystkie wymysły, które autor brał w dobrej wierze za podobne do instytucyj republik starożytnych, ten sąd pośmiertny na królów na wzór egipski, wszystko to są marzenia abstrakcyjnego umysłu, Polsce tak pomocne jak obcinanie paznokci człowiekowi, umierającemu na zepsucie krwi. Rad prawdziwie zdrowych i trafnych jest tam tylko dwie: jedna, żeby Polska trzymała się w przymierzu z Turcyą, druga, żeby, jeżeli będzie połkniętą, przynajmniej nie dała się strawić.

Tak jak Rousseau miał w swoim czasie powagę mędrca, filozofa, nieledwie proroka, jak *Contrat Social* uchodził za skład najwyższych zasad i prawd politycznych i społecznych, tak ks. Mably, autor pierwszej krytycznej historyi francuskiej, *Observations sur l'histoire de France*, dyplomata wielokrotnie używany i autor sławnego dzieła o prawie publicznem Europy, miał sławę człowieka łączącego praktyczną znajomość polityki i doświadczenie, z filozoficzną mądrością. Chciał więc Wielhorski i u niego zaczerpnąć światła i jego się poradzić, co robić z Polską i co Polska robić powinna, żeby się ratować. Mably uczynił zadość wezwaniu, napisał dziełko *O Położeniu Politycznem Polski* (*De la Situation politique de la Pologne*), ale horoskop postawiony przez wprawnego dyplomatę, nie jest świetny. „Nie przestawajcie się oświecać, to wam nigdy nie zaszkodzi; a może z czasem nadarzą się okoliczności, które wam pozwolą podnieść się z upadku", to znaczy po pro-

stu, nie macie co robić, ratunku niema, przynajmniej na teraz niema.

Historya stwierdziła przewidywania ks. Mably, wszelki ratunek okazał się próżnym: zamiast utopijnego idealizmu Rousseau, jest tutaj nieubłany realizm dyplomaty biorącego wszystko zimno, i może dlatego ta książka jest tak przykra, jak przy łóżku chorego zimne oświadczenie doktora, że już niema ratunku ani nadziei. Ale nie można tej książce odmówić ani trafności ani uczciwości. Pomijając to, że późniejsze wypadki przyznały jej słuszność, co koniecznem nie było, bo drugi rozbiór został przyśpieszonym przez wiele wypadków, które nie były konieczne, a gdyby się był opóźnił, byłby trzeci przynajmniej nie nastąpił: ale jest Mably i bystrym i uczciwym, kiedy przestrzega, żeby Polska nie rachowała na zewnętrzną pomoc, i mówi, „że najlepsi przyjaciele wtedy tylko podadzą jej rękę, jeżeli zobaczą, że nawzajem mogą się od niej pomocy spodziewać". — Ta przestroga szczera i sumienna powinna była dawno i powinna na zawsze utkwić nam w pamięci, a stosunek sprawy polskiej do wszystkich państw europejskich od Napoleona I aż do roku 1863 potwierdził słowa Mablego. Bystrym jest także kiedy mówi, że Polska rozległa, a pozbawiona republikańskich cnót i ducha, nie może z tych powodów ostać się przy republikańskiej formie rządu, i powinna stać się monarchią dziedziczną konstytucyjną. — Wkrótce jednak spostrzega się, i to znowu dowodzi jego przenikliwości, że zmiana taka, zmierzająca do utrwalenia bytu Polski, sprowadzi nowy zamach państw sąsiednich, i dlatego radzi stosować się do okoliczności, zachować elekcyę, żeby nie wywoływać zaczepki, dopókiby nie można znieść jej bezpiecznie.

Rady te, pochodzące z trzeźwego i wytrawnego umysłu także radami nie są. Nic nie robiąc, nic nie tykając, zbawić się nie można. Rousseau uzdrawiał Polskę idealnemi formami poetycznej republiki; Mably po-

zostawieniem rzeczy ich naturalnemu biegowi. — Pierwszy grzeszy utopią, drugi przesadą doświadczenia i rzeczywistostości; bo jakiekolwiek było położenie Polski, nie było takiem, żeby o ratunku już mowy być nie mogło — pierwszy bierze rzeczy za mało, drugi zanadto po ludzku, a obadwaj, każdy na swojej drodze, do żadnego rezultatu nie dochodzą.

Nie więcej od nich rozwiązał zadanie sam Wielhorski, który ich pomysły zlał w jedną całość, starał się pogodzić, i ogłosił w książce pod tytułem *O przywróceniu dawnego rządu podług ustaw pierwiastkowych Rzpltej* r. 1775. Dziwna mieszanina dawnych pomysłów statystów polskich z marzeniami Rousseau, i z dodatkiem memoryału Mablego o tronie dziedzicznym, a zarazem z zachowaniem wszystkich uprzedzeń, całej społecznie złej strony dawnej konstytucyi polskiej. Jedną rzeczą, od której Wielhorski odstępuje jest *Veto* — to już musiało upaść stanowczo, skoro nawet ten je potępia i chce większości (większości dwóch trzecich części głosów, a gdyby to było niemożliwem, żąda przynajmniej przeniesienia *Veto* do województw). Ale zostawia Rzpltą czysto szlachecką; innym stanom praw politycznych odmawia. Elekcye zostawia, podług sposobu Karwickiego; zresztą od Rousseau bierze klasyfikacye *civis electus, custos legum*, króla pozbawionego wszelkiej władzy, i karę śmierci na zrywających sejmy. Tak niedostateczne jak są jego pomysły, dowodzą przecież, że reakcya przeciw zrywaniu sejmów była stanowczo dokonaną, i że nawet partya staro-republikańska, choć się upierała przy elekcyi, pojmowała przynajmniej niebezpieczeństwo bezkrólewi, i siliła się na pomysły, jakby to niebezpieczeństwo usunąć.

Ale w tej przerwie pomiędzy pierwszym rozbiorem a sejmem konstytucyjnym, nie traciła czasu i partya reformy, owszem, pomimo gwarancyi, i pomimo rady nieustającej i rządów Stackelberga, działała ona wiele choć nieznacznie. Komisya edukacyjna jest jed-

nem jej wielkiem dziełem; drugiem miał być Zbiór Praw sądowych, którego ułożenie sejm r. 1776 polecił Andrzejowi Zamoyskiemu. Zbiór ten, o którym Stanisław August trafnie powiedział, że nie przejdzie na sejmie bo jest za dobry i za mądry, był pod względem równości przed prawem, przez ograniczenie adskrypcyi, oddanie poddanych pod opiekę sądu, i powrócenie mieszczanom prawa nabywania ziemi, przez przypuszczenie do praw stanów dotąd nieuprawnionych, poprzednikiem konstytucyi 3 go Maja i torował jej drogę. Jak naród szybko dojrzewał i podnosił się, dowodzi to, że te same zasady które w roku 1791 wywołały powszechny zapał, w r. 1780 przez sejm odrzucone i potępione, omal nie były spalone przez kata.

Żeby opinię przysposobić do tych zmian i konieczność ich wytłómaczyć, wydaje pomocnik Zamoyskiego przy układaniu Zbioru Praw, Wybicki, bezimienne *Listy patryotyczne* (rok 1777); ważne i ciekawe świadectwo czasu, a zarazem zwrotu ku reformie społecznej i chęci oparcia na niej zmian w formie rządu. Pierwsze cztery Listy mówią *in abstracte* o powstawaniu społeczeństw, ich formach i warunkach, i są powtórzeniem tej mądrości którą cała Europa czerpała z *Contrat Social*. Ale z piątym Listem (szkoda że tak późno) zaczyna się przystosowanie do stosunków polskich.

Autor, tak jak niegdyś Garczyński w „Anatomii", zaczyna rzecz swoją od zaludnienia, dowodzi, że powodem słabości, ubóstwa i ciemnoty Polski jest brak ludności, powodem tego braku jest zły rząd, zły stan społeczny. „W rządzie naszym nikt ufności nie ma", „zadaniem powinno być praw nowych, usunąć to, co przeszkadza rozkrzewieniu ludności".

Temi powodami są, naprzód *uciążliwe rolnika poddaństwo*. Autor przedstawia rzecz naprzód ze stanowiska ekonomicznego, i chce przekonać, że poddaństwo jest nietylko krzywdą dla poddanego, ale szkodą i stratą dla dziedzica. Dowody jego są bardzo silne i trafne.

posługują się porównaniem statystycznem handlu polskiego z zagranicznym. Potem przechodzi stosunki poddańcze historycznie i dowodzi na przykładach, z których najwymowniejsze są polskie, że poddaństwo musi być zawsze przyczyną słabości państw i rządów i sprzymierzeńcem każdego dążenia zagranicznego lub domowego, które ten porządek chce obalić, gotowem narzędziem dla każdego despotyzmu. Zbija potem wszystkie pozorne dowody za utrzymaniem poddaństwa, jak ciemnota, opieszałość i pijaństwo chłopa, i dowodzi, że to wszystko jest nie wymówką poddaństwa, ale jego skutkiem; że chłop, mający własność, będzie rządniejszym i gospodarniejszym, chłop wolny prędzej się oświeci, chłop pewien swojej własności, wzięty pod opiekę prawa, będzie pracowitszym; bogatszy i szczęśliwy—będzie mniej pił. Wszystkie te zarzuty są to pozory, którymi zasłania się sam przed sobą źle zrozumiany interes własny.

W konkluzyach swoich nie idzie Wybicki daleko: chciałby widzieć chłopa wolnym, ale wiedząc, że i to, czego żąda, nie łatwo da się otrzymać, ogranicza się do programu skromniejszego; żąda tylko zniesienia juryzdykcyi dziedzica nad poddanym i opieki praw dla niego, to jest tego, co zamierzał Zbiór Praw sądowych. Dla miast żąda powrotu do dawnego prawa, które mieszczanom pozwalało nabywać ziemię, owego prawa, którego zniesienia skutki tak mądrze był przewidział Frycz, słowem zamyka się ściśle w programie Andrzeja Zamoyskiego. Raz tylko z niego wykracza i dotyka materyi, której Zbiór Praw dotknąć nie mógł. Kładąc nierząd jako pierwszą przyczynę upadku ludności, mówi, że za czasów Jagiellońskich Polska obfitowała w ludność i kwitła, upadła odkąd za elekcyą poszedł nierząd. Nie żąda wprost zniesienia elekcyi, ale pierwszy nazywa ją złem, rzeczą, którą z konstytucyi państwa należy wyrzucić. Kampanię przeciwko jednej podstawie anarchii, przeciw *Veto*, zakończył zwycięsko Ko-

narski: teraz zaczyna się kampania przeciw podstawie drugiej, elekcyi, którą zakończył Staszic.

Listy patryotyczne doznały podobnego losu, jak ten *Zbiór Praw*, do którego miały przygotować opinię. *Zbiór* odrzucony był przez sejm w roku 1780; autor *Listów*, Wybicki, stając jako kandydat na posła na sejmiku w Środzie, omal że życiem nie przypłacił swojego uczestnictwa w pracy nad *Zbiorem Praw* i swoich *Listów*. Ale myśli, przez niego rzucone, padły przecież na dobrą rolę, a to, o czem król Leszczyński zaledwo nieśmiało wspomniał, o czem Wybicki otwarcie i śmiało mówił, to sejm konstytucyjny mógł już uchwalić. Jako mądre słowo w sprawie poddaństwa, jako zwrot ku stronie społecznej położenia, kiedy dotąd literatura zajmowała się prawie wyłącznie polityczną naprawą Rzeczypospolitej, i jako pierwszy wyraźniejszy atak na elekcyę, są te *Listy* książką znaczącą i godną pamięci.

ROZDZIAŁ V.

(1780 — 1788).

I. Naruszewicz jako historyk. *Dzieje Narodu Polskiego. Żywot Chodkiewicza. Tauryka. Diariusz Podróży Kaniowskiej.* Krasickiego *Wojna Chocimska.* Węgierski. II. Zabłocki. Komedya przed nim. Wpływ Moliera. Książę generał ziem podolskich. Komedye Krasickiego. Dwa rodzaje komedyi Zabłockiego. Układ i wiersze. *Sarmatyzm. Fircyk.* Drobne komedye. Bogusławski. Teatr w Warszawie. Zmienne losy jego i Bogusławskiego. III. Zmiana w usposobieniach. Przewaga uczucia. Zwrot w poezyi. Liryzm. Kniaźnin. Rodzaj i stopień talentu. Pierwiastki jego poezyi. Poprzednik romantyków. Stosunek do Czartoryskich. *Balon. Rozmaryn. Cyganie. Matka Spartanka.* Karpiński *Pamiętniki.* Wizerunek własny. Rodzaj charakteru. *Powrót z Warszawy na wieś.* Bezwiedne udawanie. *Żale Sarmaty. Laura i Filon.* Psalmy. Pieśni pobożne. *Judyta.* Początki Woronicza. Forma. Charakter religijny i patryotyczny. Pierwszy zwrot ku przyszłości. IV. Staszic. Charakter i pojęcia. *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego.* Znaczenie i wpływ. Kołłątaj. *Listy Anonima.*

I.

Naruszewicz jako historyk. *Dzieje Narodu Polskiego. Żywot Chodkiewicza. Tauryka. Diariusz Podróży Kaniowskiej.* Krasickiego *Wojna Chocimska.* Węgierski.

W roku 1780 wyszedł pierwszy tom Naruszewicza *Dziejów Narodu Polskiego.*

Historyografia była niegdyś świetną, a do końca XVII wieku jeszcze nie uschłą gałęzią naszej literatury. Co się z nią stało potem, wiadomo. Otwinowski zamyka godnie szereg dawnych historyków, ale Otwinowski i ten rodzaj historyi nie jest już godnym wieku. Rocznik, pamiętnik czy kronika, pisana prawie równocześnie z Upadkiem Rzymu Gibbona, a choćby tylko z Historyą Karola XII Voltaira, to anachronizm taki, jak gdyby ktoś dzisiaj przy telegrafach poprzestawał na sztafetach. A jednak jest to jeszcze nierównie lepsze niż wszystko, na co się zdobyła pierwsza połowa XVIII wieku; to ma wartość rzeczywistą, kiedy wszystkie inne historye, panegiryczne, albo katalagowe, jak spisy królów, nie mają żadnej; tak samo historye poszczególnych domów, chyba wartość taką, jaką ma każdy znak czasu, jaką mają i świadectwa upadku.

O takiej historyi nie mógł jednak pozostać naród, kiedy się podniósł w oświacie. Historya prawdziwa, rozumna, godna wielkiej przeszłości i godna teraźniejszości, odpowiednia temu, czem się historya w Europie

stawała, oparta na skrupulatnem i krytycznem badaniu, a zmierzająca do filozoficznego sądu, była jedną z pierwszych potrzeb. Królowi należy się słusznie sława za to, że tę potrzebę zrozumiał i wziął ją do serca; że nie spoczął, dopóki tego przedsięwzięcia w ruch nie wprawił, wreszcie, że umiał odgadnąć człowieka, który zadaniu najlepiej mógł podołać. Naruszewicz, biorąc mylnie poezyę za swoje powołanie i z niej szukając sławy, nie myślał o pisaniu historyi; Żywot Chodkiewicza, choć po Historyi Narodu najlepsze ze swoich dzieł, uważał za pracę dodatkową i przypadkową, która nie zajęła całego jego czasu, ani umysłu. Nie wiedział on zdaje się, nie przeczuwał, że siedział w nim historyk, kiedy na swojem probostwie w Niemenczynie odebrał list od króla z zapytaniem, czyby się nie podjął napisać Historyi Polskiej, z naleganiem żeby ją napisał. Wahał się i myślał długo; wahanie naturalne, bo pisanie historyi pojmował w sposób tak szeroki i wielki, że go ten ogrom zadania przerażał. Król niecierpliwy, pragnący uświetnić swoje panowanie *monumento aere perenni*, pragnący może czytać w ostatnim tomie opis własnego panowania, byłby może zażądał historyi od człowieka mniej poważnego i powierzchowniejszego, gdyby był wiedział, jak Naruszewicz pojmie swoje zadanie. Historya w rodzaju Voltaira byłaby jego może zaspokoiła, historya w rodzaju Zygmunta III Niemcewicza, pisana z Liwiuszem przed oczyma, a ukończona prędko, byłaby może lepiej odpowiedziała jego celowi; naród także byłby na niej wdzięcznie poprzestał. Ale Naruszewicz rozumiał to inaczej, i lepiej niż król i niż naród; jego Bóg przeznaczył na historyka, i na tem polu pojęciem swojem wyprzedził on całą Polskę.

„Obowiązkiem moim będzie pisać zarówno dzieje narodu, jak historyę rządu, rozwinąć obraz postępu sztuk nadobnych i użytecznego kunsztu, śledzić powstawanie sekt religijnych i przemian w kierunkach

nauki, podać obraz pokoleń po sobie następujących, wreszcie nawet te przeobrażenia uwzględnić, jakie zaszły w ubiorze, w domowem urządzeniu, w ucztach i zabawach"... Słowa te pisze, i tak zadanie historyka pojmuje Macaulay, którego bez wahania liczyć można pomiędzy największych historyków świata, który pomiędzy historykami świata chrześcijańskiego stoi tak wysoko jak Tucidides albo Tacyt pomiędzy historykami starożytności. Lepszego pojęcia historyografii jak u niego, być nie może, bo niema historyi lepszej jak jego, choć są równie dobre. Zajrzyjmyż teraz do przedmowy, w której Naruszewicz zadanie swoje określa, znajdziemy tam te same pojęcia, te same myśli, prawie te same wyrażenia.

A tak jak rzecz pojmował, tak ją i wykonał. Z trudności o których mówi, rzecz można, że jedną tylko nie zupełnie przezwyciężył, sztukę pisania. Nie żeby styl jego nie był godnym historyi; owszem, jest to proza jedna z najpiękniejszych w naszym języku, styl lapidarny, nagrobkowy, surowy, prosty, majestatyczny, a nie nadęty wcale, styl historyczny wzorowy, zbliżony może rodzajem do stylu Guizota; ale brak mu tego, czego Szajnocha ma za wiele: obrazowości i żywości opowiadania. Sam powiada, że historyk nie może się obejść bez wyobraźni, i słusznie; od Tacyta do Macaulaya w każdym wielkim historyku jest coś poety. Otóż tego pierwiastku on nie ma. Ale też zarzut to może największy i największy niedostatek jego historyi, zresztą nie wiedzieć o co ją zaczepić. Pod względem badania, nauki i pracy jest tak gruntowny, jak najskrupulatniejszy uczony niemiecki. Dowolnie, domyślnie, na nie pewne, nie powie nic. Jeżeli postawi twierdzenie lub hypotezę, poprze je zawsze całym szeregiem tekstów i wyjątków ze źródeł, a masa, morze źródeł, które opanował, imponuje ogromem. Grecy i Niemcy, Rusini i Włosi, Francuzi, wszystko co o Polsce pisało lub tylko wspominało, wszystko wzywał do

śledztwa, przesłuchał, wszystko musiało stawać na świadka w tym procesie przeszłości, którego akt układał. Nie dziw, że nie starczyło czasu, i że dzieło doprowadził tylko do chrztu Jagiełły, kiedy cały tom pierwszy poświęca badaniu zamierzchłej przeszłości ziem polskich za greckich, macedońskich i sarmackich czasów. Dalej występuje Słowiańszczyzna; z tej pomału wykluwa się zawiązek Polski, i znowu następuje surowe badanie legend; Lech i orle gniazdo, smok i Krakus, Wanda i Rydygier, Popiel i myszy, nawet Piast i jego anielscy goście, wszystko to przesiewa się przez przetak krytyki, i mało z tego zostaje na przetaku. Widać, że to roztrząsanie narodowych legend musiało wydawać się bezbożnem świętokradztwem, kiedy autor w jednej ze swoich satyr wprowadza wiejskiego obywatela, kupującego książki pod św. Janem w Warszawie i zżymającego się na mędrków, którzy mu w historyi polskiej wyrzucają postacie uświęcone wiarą i przywiązaniem wieków; ale na żal ten zważać oczywiście nie mógł. Dziś już nie jedno co on miał za prawdę zbiły nowsze odkrycia, a prawd takich przyszłość wykryje więcej; jego sąd, jego twierdzenia i przypuszczenia nieraz okażą się mylnymi, nie jeden fakt przybędzie, nie jedna postać ukaże się w innem świetle. Ale szkielet historyi polskiej od Mieczysława do Jagiełły zostanie zawsze takim, jak on go złożył z rozsypanych kości. Dzisiejsza umiejętność mówi, że Naruszewicz z niezmierną pilnością i sumiennością dokumenty zbierał i studyował, ale że w nich nie dość przebierał, że bywał czasem względem źródeł łatwowiernym. Ale jest to stwierdzenie tylko, nie zarzut, bo to samo daje się dostrzedz we wszystkich nawet największych historykach tego czasu, który historyę na źródłach opierał, ale umiejętnej krytyki do źródeł samych jeszcze nie stosował. Krytyka ta jest nabytkiem XIX dopiero wieku (u nas Lelewela).

Rzecz dziwna, że przyszedłszy do czasów już hi

storycznych, dzieli opowiadanie swoje na lata, sposobem annalistów; zwyczaj za jego czasów dawno już zarzucony, pozostałość z dawnej tradycyi. Takiemu przyzwyczajeniu może przypisać trzeba i to, że w opowiadaniu samem mieści najczęściej tylko fakty, a ich objaśnienie i tłómaczenie, nieraz i sam swój sąd, rzeczy częstokroć najistotniejsze i najważniejsze, lubi umieszczać w przypiskach. Naprzykład, kiedy pod królem Ludwikiem mówi o pakcie Koszyckim, opowiada jego przebieg, wylicza warunki i wspomina o skutkach, ale to, co najważniejsze i najciekawsze, to co wyciągnął ze swoich głębokich studyów nad Polską Piastowską, dotychczasowy stan prawa publicznego, wzajemny stosunek stanów do siebie i prawa każdego z nich, to, co historyk naszego wieku postawiłby na samym wstępie, to on kładzie w przypisku. Oczywiście przypisek taki ma wartość większą, niż rozdział, do którego się odnosi.

O bezstronności jego historyi mówić trudno; czasy, o których pisał, są tak odległe, że nie zdołają już obudzić namiętności. To pewna, że był historykiem zbyt rozumnym i uczciwym, żeby się nie miał był starać o historyczną sprawiedliwość. Ale tej objektywności, którą niektórzy uważają za obowiązek historyka, a która polega na tem, żeby własnego sądu, zdania i dążności nie mieć wcale, tej od siebie nie żądał, i nie ma, jak jej nie ma żaden prawdziwy historyk. Owszem, mówi wyraźnie, że historyk powinien znać i mówić co dobre a co złe. Co zaś w jego pojęciu było w historyi polskiej dobrem, a co złem, co on jako takie w dziele swojem przedstawia, łatwo się domyślić, znając jego sposób myślenia, a przekonać się można z przedmowy.

Historya ubiegła wiele drogi od czasu Naruszewicza, w całej Europie i u nas w Polsce: uprawiali ją po nim ludzie znakomici. Postąpiła też znacznie w naszym wieku znajomość przeszłości narodu. Ale kto pierwszy wniósł w nią światło, kto ją podniósł, z kroniki jaką była, do godności historyi, kto miał na tem polu

następców wielu, ale poprzednika żadnego? Naruszewicz, i można o nim słusznie powiedzieć, że jest razem z Długoszem ojcem historyografii w Polsce, i że jak tamten założył fundament pod zbieranie faktów i zdarzeń i ich ciąg, tak ten położył fundament pod historyę krytyczną, i na tym fundamencie wspiera się cała dalsza budowa.

Żywot Chodkiewicza zawdzięczamy prawie przypadkowi. W przedmowie opowiada Naruszewicz, że raz na czwartkowym obiedzie zeszła rozmowa na Plutarcha; król mówił, że byłaby rzecz piękna mieć polskiego Plutarcha, i złożyć się choćby w kilku na żywoty wielkich ludzi polskich. Obecni pochwycili w lot myśl rzuconą, każdy obrał sobie bohatera, którego żywot chciał pisać, Mniszech Kazimierza W., Bohomolec Zamoyskiego, Lwa Sapiehę i hetmana Tarnowskiego, Kazimierz Sapieha Czarnieckiego, i w ten sposób złożyła się znana pięciotomowa publikacya, Życia Sławnych Polaków. Naruszewicz wziął Chodkiewicza, i napisał dwa tomy obszernej i wyczerpującej monografii, która jest zbioru tego perłą. Przypadek był szczęśliwy; bo kiedy historya zatrzymuje się na początku XV wieku, dobrze przynajmniej, że mamy choć część dziejów późniejszych tego samego pióra. Jest to bowiem żywot tylko, ale żywot tak splątany z dziejami Rzpltej, żywot człowieka, który zajmował w niej miejsce tak wielkie, że nie można go opowiedzieć, żeby nie opowiedzieć tem samem dziejów Polski przez ciąg trzech czwartych części panowania Zygmunta III. Oczywiście, pisząc żywot, musiał Naruszewicz mieć przedewszystkiem na oku swojego bohatera i podług tego ułożyć plan dzieła. Wypadki w których Chodkiewicz występował osobiście i grał główną rolę, musiał wysunąć na pierwszy plan i dać im więcej miejsca; gdyby był pisał historyę Zygmunta III, byłby uniknął tego, co w żywocie jest koniecznością, a w historyi błędem, i dzieło miałoby więcej znaczenia. Ale on pisał tylko

żywot, i napisał go znakomicie; a że miał na rozkazy wszystkie źródła, jakich mu dostarczyć mogły archiwa królewskie i domowe archiwa Chodkiewiczów, że historyę pisał doskonale, więc zrobił nietylko wyborną monografię, konieczne dziś i niezbędne dzieło pomocnicze do dziejów Zygmunta III, ale prawie nawet same te dzieje. Być może nawet, że opowiadając wypadki bliższe i lepiej znajome, czasy pewniejsze, w których miał więcej gotowej pomocy i szczegółów, miał też więcej pola do rozwinięcia zalet historyka. Bitew Chrobrego albo Łokietka, negocyacyj dyplomatycznych Kazimierza nie mógł znać tak szczegółowo, jak znał bitwy Chodkiewicza i Żółkiewskiego, albo stosunki Zygmunta III z dworami zagranicznymi, a zatem nie mógł ich równie dobrze opowiedzieć. W Żywocie Chodkiewicza uderza to zaraz, jak on jasno i dokładnie umie przedstawić działania wojenne, strategiczny plan i przebieg bitwy, albo rozwikłać i wyłożyć stan jakiejś sprawy, dyplomatycznie traktowanej. Zapatrywanie i stanowisko polityczne jest zawsze to samo, takie jak w historyi, takie jak w poezyach, tylko rysuje się ono wyraźniej, bo rokosz Zebrzydowskiego dawał po temu sposobność, jakiej czasy Piąstowskie nie nastręczały.

Piękną, i bardzo piękną rzeczą, jaką po sobie Naruszewicz zostawił, jest przekład Tacyta. Rodzaj jego pisania, ten styl, o którym możnaby powiedzieć, że jest zanadto zwięzły i jędrny, a który kto wie czy się nie wyrobił na długich i zamiłowanych studyach nad Tacytem, nadawał się wybornie do tego przekładu: i kiedy każdy inny tłómacz musiałby był myśleć i pamiętać nieustannie o tem, żeby nie wpaść w styl lżejszy, potoczny, i trzymać się blizko oryginału, jemu przyszło to naturalnie, samo z siebie. To też Tacyt przełożony w jego wspaniałych okresach wygląda tak poważnie i tak groźnie, a przemawia niekiedy tak wymownie, że przekładu piękniejszego nie potrzebujemy, a zapewne nie łatwo byśmy się na niego zdobyli.

*

zwłaszcza dziś, kiedy nasz język wprawdzie zyskał na giętkości i zwrotności, ale stracił niezaprzeczenie na jędrności i powadze.

Piękna jako język, wzorowa jako układ i ton historyczny, choć dziś oczywiście mniej zajmująca, jest Tauryka, historya Krymu, napisana z okazyi podróży Cesarzowej Katarzyny, dla dogodzenia ciekawości powszechnej, która chciała jaknajwięcej wiedzieć o tym przedmiocie chwilowego zajęcia, na który zwrócone były oczy całej Europy. Naruszewicz nie potrzebował podejmować osobnej i umyślnej na to pracy; w swoich badaniach historycznych tyle razy musiał spotkać się z Tatarami, że wiedział o Krymie wszystko, czego żądać mogła większa publiczność. Napisał więc prawie od niechcenia książkę, która jest poniekąd tylko opiłką jego ogromnej pracy, ale która jako język i jako prostota uważać się może za klasyczną. Każdy okres, każdy rozdział jest tak jasny, zrozumiały i prosty, że człowiek nieoświecony albo dziecko pojmie wszystko odrazu, bez namysłu i zastanowienia, kiedy człowiek oświecony będzie podziwiał uczonego, poważnego historyka i prawdziwego mistrza polskiej prozy. W naszych czasach pisze się wiele książek, zwłaszcza wiele historyi polskiej dla użytku ludności wiejskiej; w książkach tych autor, mający się za coś nieskończenie mądrzejszego od swego przyszłego czytelnika, raczy się zniżać do pojęć ludu, chce mu być przystępnym, próbuje mówić jego językiem, wpada w ton nienaturalny, sadzi się na prostotę, sztukuje się wyrażeniami gminnemi lub miejscowemi: i cóż się dzieje? Lud wiejski, ów domniemany czytelnik, odgaduje zaraz, że ten pan chciał się do niego zniżyć, *fühlt die Absicht und wird verstimmt*, książki jego nie czyta wcale albo z niesmakiem. Gdyby ci piszący, zabierając się do dzieła, chcieli wziąć za wzór taką Taurykę naprzykład, i pisać dla ludu tak, jak Naruszewicz pisał dla wszystkich, odnieśliby tę korzyść, że ich książki byłyby dla ludu i przy-

stępne, i przyjemniejsze, i pożyteczniejsze, bo w dobrym i oświeconym języku pisane, a same książki miałyby wartość istotną, a nie względną, przemijającą i modną.

Z Tauryką wiąże się ściśle *Diariusz Podróży Kaniowskiej*, rzecz, którą Bartoszewicz w cennej swojej monografii o Naruszewiczu podnosi niezmiernie wysoko, ceni jak „mało który pomnik literatury ówczesnej”, i uważa za skarbiec dla dziejów tej chwili. Uwielbienie przesadne. *Diariusz Podróży* skarbem dla dziejów nie jest, ani jednym z najciekawszych pomników owego czasu. Skarbem nieocenionym dla dziejów tej chwili jest korespondencya Stanisława Augusta z Kicińskim, to co innego; tu król co dnia zwierza się ze swoich myśli i zamiarów, z nadziei i niepowodzeń, tłómaczy wszystko, ludzi i wypadki, od najważniejszych, do rozmowy z Cesarzową Katarzyną i Józefem, aż do najdrobniejszych. Od króla dowiemy się naprawdę, co to była ta podróż, czego chciał, czego się spodziewał, co zrobił lub nie zrobił i dlaczego; król w swoich listach, bez zamiaru charakteryzuje wybornie ludzi, a bez wiedzy najlepiej może siebie. Ale w Diariuszu Naruszewicza tego wszystkiego niema. Jest on pisany dla ciekawej Warszawy, dla ciekawości brukowej nawet; kartki posyłane każdym kuryerem drukowały się jak gazety; miały więc takie znaczenie, jak dzisiejsze doniesienia urzędowych dzienników o krokach i obrotach różnych monarchów. Na tym, albo tym balu mówił z tym lub tym posłem, tańcował z tą lub tą panią, przeznaczył tyle a tyle na ubogich, dał temu order, a innemu medal, zabił tyle a tyle sztuk zwierzyny na polowaniu; Naruszewicz nie pisze nic innego. Pojmuje się względy, które mu zakazywały mówić w takich *faits divers* o politycznej stronie podróży Kaniowskiej, pojmuje się, że względy dworskie i względy dyskrecyi nie pozwalały nawet o osobach mówić swobodnie i poufale; pojmuje się, że ten Diariusz, przeznaczony dla wszystkich,

może nie mógł być innym, ale czuje się także, że taki, jak jest, nie jest ani skarbem dla historyi, ani jednym z najciekawszych pomników XVIII wieku. Zapewne, gdyby to były listy Naruszewicza z tej podróży, listy poufałe, choćby w nich nie mówił nic o polityce, ale tylko o ludziach, to zapewne znalazłoby się tam wiele rzeczy ciekawych, byłoby i źródło historyczne i zajmujące czytanie. Ale te oficyalne wiadomości, w których każdy dzień i każdy człowiek wygląda jednakowo, w których z tem samem dyskretnem uszanowaniem mówi się o wszystkiem i o wszystkich, nikogo nic nauczyć nie mogą. Dni różnią się od siebie tylko miejscami, w których i osobami, u których król staje na popas lub na nocleg, i większem lub mniejszem znużeniem w podróży. Wszędzie radosne przyjęcie, wszędzie król łaskawy i uprzejmy, raz on gra w bilard, drugi raz w karty, raz bawi się długo w noc, drugi raz idzie wcześnie do siebie, bo ma pilną ekspedycyę do Warszawy, raz patrzy na fajerwerki, drugi raz słucha śpiewów, ale trudno, żeby w tem dopatrzyć szczegółów historycznych, a choćby tylko rysów obyczajowych; przeciwnie, z całej historycznej puścizny po Naruszewiczu Diariusz ten jest tem właśnie, co ma wartość najmniejszą.

W tym samym roku (1780) wydaje Krasicki swoje największe dzieło poetyczne, to, po którem zapewne spodziewał się największej sławy, a które właśnie było najsłabszem z jego dzieł poetycznych, *Wojnę Chocimską*.

Krasicki, kiedy wspomina o Voltairze (*o rymotworstwie i rymotworcach*) zdaje się nie mieć wysokiego wyobrażenia o jego poetycznym talencie. Zwłaszcza o Henriadzie wyraża się nie zbyt pochlebnie. Możnaby zatem sądzić, że go sobie nigdy za wzór nie obierał. A jednak, co go naprowadzić mogło na myśl napisania *Wojny Chocimskiej*? Dwie rzeczy. Naprzód chęć, której szacunku odmówić nie można, choć jej skutek

był słaby, żeby i polskiej literaturze dać poemat bohaterski prawdziwy i narodowy. Błędne i ułudne marzenia całej Europy o takiej epopei powstawały i w naszych głowach, a zwłaszcza w tej epoce, która tak gorąco pragnęła dorównać Europie, która sądziła, że tylko przez oświatę i literaturę dorównać jej może, która dlatego z takim pośpiechem chciała tej literaturze dać wszystko, czego jej nie dostawało, a co mieli inni: w tej epoce błędnych pojęć estetycznych i naiwnej wiary, że przy talencie i wzorach poemat epiczny udać się może, był popęd Krasickiego do napisania takiego poematu rzeczą bardzo naturalną. Dla honoru narodu trzeba było mieć epopeję, przynajmniej próbować: a któż miał próbować i kto mógł z jaką taką nadzieją powodzenia, jeżeli nie on? To więc był powód pierwszy. Drugim była, niezawodnie *Henriada*. Naprzód sama powaga Voltaira służyła już za zachętę, dowodziła, że na przedsięwzięcie takie zerwać się można: powtóre, tyle razy stawiano Krasickiego obok Voltaire, tyle razy porównywano ich dowcip i rodzaj talentu, że w końcu ks. biskup warmiński musiał sobie powiedzieć, że napisze poemat bohaterski przynajmniej tak dobrze, jak Voltaire. A gdyby też lepiej? Przewyższyć w czemkolwiek Voltaira, to cel, o który pokusić się warto, zwłaszcza, jeżeli w skutku tych usiłowań Polska dostanie swoją Eneidę. Wziął się więc do Wojny Chocimskiej: a jeżeli drugiego celu nie dopiął i narodowej epopei nie stworzył, to można mu oddać sprawiedliwość, że dopiął pierwszego. Wojna Chocimska jest nierównie lepsza od Henriady. I Krasicki nie miał twórczej fantazyi, i jego postacie nie są plastycznne ani żywe, i jego poemat nie ma żywej epickiej akcyi: ale musiał przecież mieć więcej zdolności poetycznej, a przynajmniej więcej artystycznego zmysłu od fernejskiego mędrca, bo Wojna Chocimska choć słaba i bezbarwna, choć nie jest ani epopeją, ani narodową, choć przez Henriadę jest tylko wnuczką Eneidy, nie jest przynaj-

mniej śmieszna. Niema tam takich potwornych niedorzeczności, jak spisek Niezgody z Miłością na usidłanie Henryka IV, albo Niezgody z Fanatyzmem na zabójstwo jego poprzednika. Niema też tego naśladowania, polegającego w tem, żeby położyć opowiadanie tam, gdzie Wirgiliusz je położył, albo burze na tem samem miejscu, gdzie w Eneidzie jest burza. Że o Wirgiliuszu myśli, że go ma przed oczyma jako wzór, to oczywiste; niektóre epizody, naprzykład pojedynek Hussein-baszy z Sieniawskim, a zwłaszcza wszystkie bitwy i spotkania opisywane są rysami, pożyczonymi od Wirgiliusza. Ale jest to przynajmniej rysowanie podług wzoru, nie jest mechaniczne, bezmyślne przerysowywanie z patronu. Świat nadzmysłowy, który i tu oczywiście być musi, wprowadzony jest nie z gieniuszem Miltona zapewne, ale z powagą i artystycznym taktem, z umiarkowaniem przedewszystkiem. Kiedy u Voltaira *Niezgoda* i *Fanatyzm* działają jak ludzkie istoty, Krasicki wprowadza świat nadzmysłowy chrześcijański. Jest to początek pieśni IV. Scena, na której wykonanie trzebaby zapewne gieniuszu Miltona, ale pomyślana dobrze; Anioł Polski staje przed tronem Boga i prosi o ratunek dla Polski, a ta prośba zapewne nie jest szczytem poezyi, ale nie razi, jest dobra. Widzenie tamtego świata, bo za przykładem Eneasza musi Chodkiewicz spojrzeć w świat drugi, odbywa się we śnie i jest raczej przepowiednią śmierci, niż widzeniem. Śpiącemu Chodkiewiczowi ukazuje się Warneńczyk, unosi go w nadziemskie sfery, tłómaczy zbyt dogmatycznie, a niepotrzebnie obroty planet, i t. d., a wreszcie ostrzega go o blizkim końcu. Jest to chłodne, dość poziome, ale jest znośne; widocznie ostrzegał Krasickiego szczęśliwy instynkt, żeby się nie sadził na wielkie wysilenia wyobraźni, i uratował go przynajmiej od śmieszności.

Wogóle o całym poemacie można powiedzieć, że jest chłodny, poziomy, ale przyzwoity. Porwać nie zdoła

nikogo, już współcześni uważali go za słaby, ale wielkich błędów w układzie, wielkich dysharmonij w tonie, nieprawdopodobieństw w pomysłach niema. Ten jeden błąd, błąd kardynalny w poemacie opisowym, a wynikający z wrodzonego autorowi braku wyobraźni, że figury nie mają życia, ani sceny ruchu, że nic tam nie wystaje ani nie uderza, nic nie przemawia do wyobraźni ani do uczucia, że wszystko jest jednakowo bezbarwne i poprawne, blade i mdłe. Całość robi wrażenie rzeczy, zrobionej przez człowieka, który do niej nie miał zdolności żadnej, ale przez człowieka rozumnego; nic wielkiego zrobić nie mógł, ale potrafił wywiązać się z zadania tak, że ani on sam nie został śmiesznym, ani rzecz, którą zrobił ostatnią.

Ciekawe jest zbliżenie dwóch *Wojen Chocimskich*, przegrodzonych jednym wiekiem, powstałych z tego samego narodu, a z innego ducha, z innego świata. Tu i tam te same imiona, te same postacie, te same fakty, a tak odmienne, że pojąć trudno, jak ten sam naród mógł się tak zmienić. Wacław Potocki nie jest literatem, o estetyce nie słyszał, smaku swego na żadnych wzorach nie kształcił. Nie wie on, że opisuje pełno drobnych faktów potrzebnych w kronice, zbytecznych w poezyi, zapisuje je często sucho, ciężko, słowem, pisze poemat jak człowiek niewykształcony. Ale jego Wojna Chocimska jest wojną, jego Chodkiewicz jest hetmanem, w jego bitwach słychać szczęk broni i tentent kopyt, widać walkę, razy, śmierci; jest życie, jest ruch, jest prawda, nadewszystko jest jędrność, energia i siła. Jego bohaterowie, gdy wpadną w gniew, łają się jak bohaterowie Homera, jego ustępy patetyczne mogą wstrząsnąć sercem, jego opisy czy to natury, czy bitew, czy ludzi, nie są bladem odbiciem Wirgiliusza, ale przeniesionem w poezyę odbiciem rzeczywistości.

Krasicki, nietylko wykształcony ale wykwintny, pełen nauki i smaku, pełen dobrej chęci nawet, z istotnym talentem, zdobywa się, kiedy chce stworzyć na-

rodowe Epos, na dzieło konwencyonalne, w którego formach stereotypowych siedzi i treść stereotypowa. Wolny jest od szorstkości, od niewprawności, od wszystkich wad Potockiego, ale równie też wolny jest nieszczęściem i od jego zalet. Gdzie siła, gdzie prawda, gdzie niezaprzeczona polskość bohaterów Potockiego? U Krasickiego mogliby oni być tak samo Francuzami, Niemcami, wszystkiem. Czy to sama tylko różnica talentów sprawia tę różnicę w dziełach? Potocki prawda ma talent epicki, Krasicki żadnego; ale oprócz różnicy talentów dzieli ich jeszcze coś więcej. Potocki należy jeszcze do końca tej wielkiej epoki Rzpltej, wielkiej pomimo wszystkiego, która wydała Obronę Częstochowy i konfederacyę Tyszowiecką, w której tkwiły jeszcze iskry dawnego ducha, a której ostatni blask zgasł w drugiej Wojnie Chocimskiej i w Wiedeńskiej. Co jeszcze było w Polsce wielkiego, pięknego, bohaterskiego, to Potocki żołnierz i rycerz widział i znał, sam tem żył. Krasicki przyszedł, kiedy po owej wielkości i sile już tylko pamięć pozostała, nie znał jej, nie miał jej nigdzie zobaczyć, przyszedł w chwili, kiedy Rzplta, chcąc się ratować, już w sobie pierwiastków ratunku nie znajdowała i musiała ich szukać w zagranicznych pojęciach i zasadach. Krasicki urodził się w Polsce zdrobniałej, i był pierwszym poetą literatury, która, tak jak i polityka, chcąc się podnieść, szukała punktu oparcia w obcych pożyczonych pojęciach. Ztąd to Potocki, przy całej pierwotnej szorstkości, przy całym braku estetycznego wykształcenia, mógł stworzyc poemat, któremu przy wszystkich wadach pierwiastku epicznego, bohaterskiego i narodowego zaprzeczyć nie można, Krasicki z całym talentem, smakiem, wykształceniem—poemat czczy i konwencyonalny: pierwszy—prawdziwą Wojnę Chocimską, drugi—tylko lepszą cokolwiek Henriadę.

W tych samych latach kwitnie i usycha (umarł 1787) Węgierski. Człowiek, którego Trembecki tak nie-

miłosiernie prześladuje w swoich pięknych wierszach przeciw paszkwilistom, któremu mówi, że okradł Voltaira i przebrał go „z kiepska po węgiersku”, że się ma do niego jak „do Rafaela sokalscy malarze”, i że jest „godzien organistów”, ten człowiek jest do niego cokolwiek podobny. Jest to inna odmiana tego samego gatunku człowieka, tylko odmiana daleko słabsza i bledsza. Jest to jak Trembecki produkt niezdrowych wpływów ówczesnej filozofii i ówczesnej moralności, tylko u tamtego natura była tak bujna i bogata, że choć im uległa, choć się dała przygłuszyć, nie dała się nigdy zniszczyć i, bądź co bądź, puszczała żywe gałęzie nawet w najgorszych swoich chwilach. Węgierski, czy z natury miał duszę więcej jałową i suchą, czy też tylko wątlejszą i słabszą, a przez to łatwiejszą do wysuszenia, choć nigdy tak nizko jak Trembecki nie spada, ale też nigdy nie podnosi się tak jak tamten, nigdy nie buchnie takim ogniem, jaki bije z wiersza do *Współziomków* albo do *Posłów*. I on wierzy dla siebie, jak tamten, w jedną tylko rzecz, w używanie: ale jaka różnica! W rozpustnych wierszach Trembeckiego jest wprawdzie cały sceptycyzm, a nieraz cynizm, ale jest wielki styl Don Juana! Wiersz o aniołach, którym Ojciec Przedwieczny nie dałby rady, gdyby nie były duchami, i wiele innych w tym samym rodzaju, zaprawny jest jakimś dowcipem i wdziękiem, który nie zwietrzał i nie zwietrzeje. Węgierski w swoich wierszach jest otwarciej nieprzyzwoity, ale jest grubszy, pospolitszy. I nie w tym tylko rodzaju wydaje się Trembeckiemu przesadzonym, a zarazem zmniejszonym. Zrobił on sobie sławę dowcipem i sarkazmem; ma dowcip, ma zwłaszcza jego stronę najpospolitszą, uszczypliwość, ale i pod tym względem daleko jego Epigramom i Satyrom do tego dowcipu lekkiego i wesołego, który Krasicki ostrzy na typach, albo do tego dowcipu niemiłosiernego, ciętego, którym Trembecki wali i płazuje osoby. Nic takiego jak *Joannes Sarcas-*

mus, ani jak *Ma Pan rozum*, nie napisał Węgierski w całem swojem życiu. Tej jędrności, tej siły, tego bujnego rodzajnego humusu, z którego Pan Bóg zlepił Trembeckiego, w jego naturze nie było; on był z tej lżejszej ziemi, którą nazywają dobrym przypiaskiem. Gospodarze lubią ten grunt, bo się na nim nie jedno urodzi, ale to, co się urodzi, będzie i w plonie uboższe, i w źdźble wątlejsze, i w ziarnie lżejsze.

A zwróciwszy się do strony poważniejszej uczuć i poezyi, i tu znajdziemy tę samą różnicę. Węgierski jak Trembecki przyniósł sobie na świat trzeźwość, jako przymiot charakterystyczny swego umysłu. Ideału niema ani krzty w tej duszy, bierze wszystko ze strony nielitościwie rzeczywistej i pozytywnej. Ten kierunek umysłu doprowadza ich obu do rezultatów dość podobnych, mianowicie co do ich uczuć polskich. Na pozór Węgierski może się pod tym względem wydać wyższym; nie upadł nigdy tak nizko jak Trembecki. Przez całe życie, we wszystkich swoich pismach nie wpadł w podchlebstwo ani razu; nawet pochwała jest tam tylko jedna, i to Andrzeja Zamoyskiego, a więc tak słuszna i zasłużona, jak tylko być może. Świadczy to niezawodnie za nim, i dowodzi pewnej szlachetności, niezależności i godności, przy której „Zofiówka" musi się źle wydać. Ale jeżeli trzeźwość, pozytywność umysłu, doprowadziła Trembeckiego w końcu do rezygnacyi, to ta sama trzeźwość i pozytywność doprowadza Węgierskiego do rzeczy nie tak gorszącej, ale może gorszej, do obojętności; i kiedy tamten pisze te przepyszne wiersze do sejmu, kiedy stoi na tonącym okręcie, Węgierski wynosi się z niego jak szczur, patrzy na wszystko z boku, marzy o tem, że gdyby miał pieniądze, pojechałby do Paryża, a potem nad Genewskiem jeziorem żyłby nakształt Voltaira, i

Mówiłby z cicha
Darmo Polak do dawnej szczęśliwości wzdycha.

Otóż to marzenie o spokojnem i pogodnem życiu, w którem Polska przypominałaby się czasem i z cicha, to jest podobne do rezygnacyi Trembeckiego, tylko zimniejsze i suchsze. Zasób uczucia był tam mniejszy i uboższy, jak cała dusza, i wyczerpał się też do dna, kiedy u Trembeckiego zawsze go coś na dnie zostało, jak tego koniec jego życia dowodzi. Obadwaj trzeźwi i praktyczni, obadwaj filozofy i epikurejczyki, wychowani pod tym samym wpływem, piszący w podobnych rodzajach, i dochodzący w końcu do podobnego uczucia, są oni niezaprzeczenie do siebie zbliżeni: tylko Węgierski ma mniej talentu, mniej rozumu, mniej dowcipu, mniej uczucia, wszystkiego mniej, jest cały mniejszy i słabszy, a jako taki, wyciera się do nitki łatwiej niż Trembecki, i choć nigdy nie spada tak nizko, ale też, raz upadłszy, nie ma siły się dźwignąć i zostaje w jednostajnym i stałym upadku.

Ten sam Węgierski, gdyby był żył w wieku XIX-ym równocześnie z Byronem lub wkrótce po nim, byłby niezawodnie został jednym z typów tego usposobienia ponuro-sentymentalnego, które Niemcy przezwali *Weltschmerz*. Za jego czasów, rzecz jeszcze nie była znana, a

> Dobre wychowanie i względna natura
> Kazały naśladować ściśle Epikura,

ale miał w sobie wszystkie te warunki i pierwiastki, które w wieku XIX-ym wydały drugorzędnych reprezentantów i naśladowców byrońskiego *Weltschmerzu*. Usposobienie to rodziło się z dwóch pierwiastków: wielkiej zarozumiałości i nieodpowiedniego jej pragnieniom położenia. Otóż uczucie podobne tkwi w sercu Węgierskiego; wyraża się nie w formie lirycznej, sentymentalnej i ponurej jak w wieku XIX-ym, tylko w sceptycznej, cynicznej, uszczypliwej, ale jest to samo. Rozebrawszy go na chemiczne pierwiastki, dochodzi się w ostatniej analizie do tego, że jest zły na wszystko

i wszystkich, bo stanowisko, jakie na świecie zajmuje, nie jest takie, jakby chciał i jakby się należało. Czy jest bardzo zarozumiały? Z tem się nie zdradza, ale jest bardzo próżny i sobą zajęty—najlepszy dowód, że w swoich wierszach zawsze tylko o sobie mówi, choć o czem innem mówić chce i zacznie. Uczucie jakiejś niby wyrządzonej jemu niesprawiedliwości, od losu, od świata, od ludzi, nie opuszcza go nigdy. Głupszym, gorszym od niego, wiedzie się dobrze, mają dostatki, zaszczyty, sukcesy, on w poniewierce; inni pochlebiają, kadzą, on mówi prawdę, dlatego źle mu się dzieje; inni mają wzięcie u dworu, sławę u ludzi, on na boku i zapomniany. Słowem, wielki malkontent, malkontent taki jak Karpiński, z tą różnicą, że tamten skarży się ckliwo i płaczliwie, a ten gorzko i przycinająco.

Próżność była zdaje się tłem jego duszy jeszcze więcej niż chęć używania. Pierwszem uczuciem, pierwszem pragnieniem, jakie w tej duszy powstało w bardzo młodych jeszcze latach, było, zwrócić na siebie uwagę. Sposób wybrał dobry: od wieków znany, a zawsze niechybny, szarpać ludzi. Mógł się męczyć całe lata nad poezyą, a zniknąć w cieniu przy Krasickim, nad nauką, a nie dorównać Naruszewiczowi. Ale rzucić w świat jeden i drugi pamflet, wyśmiać jednego, na drugą napisać epigram, który niebawem cała Warszawa powtarzać będzie na pamięć, drasnąć choćby i samego króla, a wszyscy będą pytać, kto to pisał, dowiedzą się, i już rzecz skończona, już się w świecie znaczy, już się ludzie boją, kłaniają, udają że szanują, wdzięczni są za to, że się drasnęło bliźniego, uprzejmi i nadskakujący, żeby ich nie drasnąć: proceder wiecznie używany i wiecznie ze skutkiem.

Głośnym też stał się Węgierski prędko i bez trudu; ale kiedy obliczył, co ostatecznie na swoim dowcipie zyskał, pokazało się, że spekulacya nie była dobra. Trochę rozgłosu, trochę śmiechu, szambelaństwo, a po drugiej stronie wiele oburzenia i wątpliwe zawsze

w każdem społeczeństwie stanowisko paszkwilisty. Do sławy Krasickiego, do wysokiej pozycyi Naruszewicza, było mu daleko, nawet się do tego nie zbliżył. Głupsi od niego, ale bogaci błyszczeli w Warszawie i dogadzali sobie we wszystkiem; on z małym majątkiem nie wystarczał ani na jedno, ani na drugie, a do tego Trembecki smagał go wierszami, a król jakoś ani rąk ani worka nie otwierał. Chodził więc coraz bardziej skwaszony, gorzki, coraz bardziej niechętny temu, co go otaczało, i z tych gorzkich refleksyi wyciągnął wniosek, że osią świata są pieniądze. Gdyby ich miał więcej, więcejby i znaczył i używał; że ich ma mało, o tem za często, a zwłaszcza za gorzko wspomina.

Szczęśliwy, komu dziady za sadło i krupy,
Skąpo żyjąc, grosz na grosz zbijali do kupy...

Gdyby te miał, kupiłby sobie coby chciał zaszczytów, używałby w Paryżu i nad Genewskiem jeziorem, a tak musi zostać w ojczyźnie, w liczbie nieszczęśliwych, „pod jarzmem najgrubszego uprzedzenia stękać”. Pragnienie majątku, ażeby go dostawszy, używać, tak go opanowało, że w listach jego z zagranicy, z Anglii, z Francyi, z Ameryki, ciągle się przebija; do kraju wróci, jak postawi swój majątek na takiej stopie, że będzie mógł żyć świetnie; posłał już do Warszawy powóz i szory, piękne, ale sam przyjedzie dopiero wtedy, gdy kieszeń będzie równie świetna, jak kareta. Cała ta podróż zda się była przedsięwzięta w fantastycznej nadziei zbogacenia się; skutku nie było. Skwaszony, gorzki, niekontent z siebie i z innych, niekiedy żałujący, że swoje życie zmarnował, nie bogaty także i nie bardzo żałowany, wyniszczony z sił szalonem życiem, umarł w tej podróży w 32-gim roku życia.

Opisuje się sam najlepiej w wierszu *Moja Myśl*, a obraz nie pochlebny wcale. Ma się chotę zapytać, jakiem prawem ten samolub bawi się w moralistę i innych karci tak surowo, kiedy sam tak wart surowości.

Jego egoizm, próżniactwo, zniechęcenie, złość do ludzi, to złe równie rzeczywiste choć mniej rażące jak to, co innym wyrzuca. On sam czasem ma chwile takiego zwrotu na siebie, kiedy żałuje, że się zmarnował i sterał, że nic więcej, nic lepiej nie zrobił; mówi to w jednym z ostatnich swoich listów przed śmiercią, natrąca parę razy w wierszach; raz nawet mówi wyraźnie i żałośnie w *Melancholii*. Ale się zaraz z tego otrząśnie i szuka pociechy w winie, albo w swojej suchej filozofii, nie zdolnej ani pocieszyć, ani nawet odurzyć, np. *Mądrość świata* (żyjmy dla siebie). Darmo! Jest sterany i zmarnowany.

Szkoda istotnie, bo mógł być miłym i dobrym— jeden z tych temperamentów lekkich, z których nie wyrabiają się ludzie wielcy, ale z których mogą się zrobić ludzie mili i pożyteczni, a zwłaszcza sympatyczni. I on mógł być takim, gdyby go nie była zwarzyła próżność i sceptycyzm. Gdyby najmniejsze uczucie obowiązku, gdyby zapał i popęd do czegokolwiek, gdyby zajęcie i praca, gdyby to wszystko co miał Niemcewicz, pewnemi stronami talentu do niego podobny, byłby może zostawił po sobie pamięć szanowną, a tak, nie można o nim nic innego powiedzieć, jak tylko: szkoda chłopca.

Trudno powiedzieć, do jakiej wysokości byłby się jego talent rozwinął, gdyby go był rozwijał, gdyby był pracował; on nie zrobił nic, żeby ten talent podnieść, zostawił go takim, jakim go miał z urodzenia, a jeżeli można przypuścić, że mogło się z tego talentu coś znakomitszego zrobić, to trzeba powiedzieć, że się nie zrobiło, i że ten talent we wszystkiem, co wydał, okazuje się drugorzędnym.

Sława jego gruntuje się na dowcipie i sarkazmie, Jużciż jest dowcipny, zwłaszcza uszczypliwy, ale czy dowcipniejszy od innych? Czy nawet tak dowcipny, jak Krasicki albo Trembecki? Naprzód daleko mu do

ich języka i wiersza, a wiadomo, ile zależy w epigramie na formie udatnej, skończonej, zgrabnej i lekkiej. Najzabawniejszy pomysł bez niej się nie wyda; ale niezależnie już od formy, jego pomysły, jego koncepty nie są ani tak oryginalne, ani tak zabawne, ani tak trafne i dosadne jak wybryki humoru tamtych. Zdaje się, że do rozpowszechnienia i sławy jego epigramów, musiało niemało przyczynić się to, że te rzeczy ściągały się do osób powszechnie znanych, zajmujących w ówczesnym świecie stanowisko takie, jakiego w naszym wieku nie ma już nikt. Ciekawość musiała być ogromna, a wierszyki Węgierskiego rozrywała cała Polska. Tymczasem wewnętrzna ich wartość jest wcale nie wielka, i dziś śmiać się z nich trudno. Ze wszystkich epigramów Węgierskiego najgłośniejsze, najbardziej czytane i prześladowane były *Portrety pięciu Elżbiet*. Czytając o tem we współczesnych pismach, myśli się, że to będzie coś okropnego, jakaś satyra krwawa ale potężna; tymczasem jest to tylko pięć wierszyków, dość nieprzyjemnych, to prawda, ale ani zabawnych, ani zaprawnych solą atycką, ani zwłaszcza nie dających charakterystyki tych osób; wiersze złośliwe może na pięć Elżbiet, ale nie ich portrety. Ale co do zuchwałości i nieuczciwości w paszkwilu, Węgierski jest wzorem dyskrecyi i uczciwości w porównaniu z paszkwilami naszych czasów.

W jego wierszach satyrycznych są ustępy ładne i dowcipne, np. *Do Wierszopisów* przeciwko panegirykom, *Do Księdza Węgierskiego*; ale nie wystarczają na to, by usprawiedliwić sławę pierwszego w swoim czasie dowcipu; są inne wyższe daleko. Humor miewa miły, zacięcie swobodne i wesołe, np. wiersz do hetmana Ogińskiego; ale rzadko kiedy wstrzyma się od goryczy i narzekania. Nawet kiedy najbardziej zaręcza, że niczego nie pragnie, że przestaje na tem, co ma, i na czystem sumieniu, jeszcze i wtedy znać, że go to korci, iż na tem przestawać musi. A kiedy chce

być poważnym i przemawiać *ex cathedra*, staje się ciężkim, wpada w ton kaznodziejski, prawi morały dość oklepane (np. *Prawy Obywatel*, *Fanatyzm*). Najlepsze w tym rodzaju są wiersze do Andrzeja Zamoyskiego; jest w nich, tak jak w wierszu do Bielińskiego, jakieś zwątpienie głębokie i smutne, jakaś śmiała szczerość względem narodu, która dowodzi prawdziwego uczucia, ale i te najlepsze z jego wierszy poważnych nie są warte tych, króre Trembecki pisywał podczas Czteroletniego Sejmu. Wiersze, w których najlepiej odmalował samego siebie, w których się cały odbił, a z tego względu bardzo ciekawe są: *Moja Myśl*, *Moja Ekskuza*, *Mój Świat* i *Złe czasy*.

Jedyny jego większy utwór, jedyny, który wymagał inwencyi, plastycznego przedstawienia, słowem. wyobraźni i artyzmu, *Organy*, nie dowodzi, żeby był te przymioty posiadał.

W przedmowie, której początek jest może najzabawniejszą częścią dzieła, wyznaje, że chciał tylko naśladować „*Le Lutrin de Boileau*, poema w swoim rodzaju najdowcipniejsze, pełne zdrowej krytyki i ucieszných fikcyj". Wykonał zamiar, nie ma co mówić, naśladował, i to tak wiernie, że trzyma się swego wzoru jak pijany płotu. Układ, porządek rzeczy, często całe ustępy i to te, które mają być najzabawniejsze, wzięte są z „owego najdowcipniejszego poema", i gdyby nie to, że tam chodzi o pulpit, a tu o organy, że tam występuje jakiś prałat, a tu prosty proboszcz, że tam sprawa się kończy cudowną interwencyą Pobożności, która zstępuje na ziemię jak *Deus ex machina*, a tu obiadem u pana podstolego czy podkomorzego, możnaby wziąć Organy za proste tłómaczenie owego Lutrin. Nieszczęściem, oryginał sam, owe najdowcipniejsze poema, pełne ucieszných fikcyj i trafnych prawd, na prawdę jest tylko pełnem zużytych, oklepanych ogólników i konceptów sto razy powtórzonych, o żarłoczności

i próżniactwie prałatów lub mnichów, o ich trzypiętrowych podbródkach, rumianych policzkach, czerwonych nosach i tam dalej. Zabawnie, z humorem napisanego niema tam nic, ani jednej sceny, ani jednej figury. Kopia zaś podobna w tem zupełnie do oryginału. Niesmaczny rodzaj heroi-komicznych poematów, chyba Fryderykowi Wielkiemu udał się gorzej. „Monachomachia", tak uboga w treść, tak mało plastyczna, jest obok tego wyskokiem najbujniejszej fantazyi; jest w niej przynajmniej myśl ukryta, myśl prawdziwa i taka, która każdego obchodzi, satyra na grubą niewiadomość i nieuctwo. Ale tu, tu proboszcz z organistą prowadzą wojnę o to, kto ma prawo wybrać i wprowadzić na chór indywiduum przeznaczone do poruszania miechów na organach. Coś obojętniejszego, bardziej czczego, nie da się pomyśleć; niema na świecie dowcipu, któryby taki przedmiot zdołał rozciągnąć na sześć pieśni i być ciągle zabawnym; to też heroi-komiczne Organy nie są komiczne, są tylko nudne.

Mógł wprawdzie ten suchy przedmiot ożywić i ozdobić własnym dowcipem, ale nietylko że nie posiada *vis comica* w znaczeniu wyższem i twórczem, ale nie zdobywa się nawet na zabawne i śmieszne błazeństwa, a we wstępach, które do każdej pieśni dodaje, i w których ma tkwić pod zasłoną satyry myśl poważna, wartość moralna rzeczy, zawierają się albo oklepane morały, albo oklepane żarty, albo zbyt u autora zwyczajne narzekania na niesprawiedliwość losu i ojczyzny.

Tymczasem, los był względem niego sprawiedliwym zupełnie; nie pomógł człowiekowi, który sobie sam pomagać nie chciał, i nie pracował ani nad sobą, ani dla innych. A niewdzięczni rodacy, zawsze zbyt skorzy do uznawania zasług i talentów przynajmniej literackich, jeżeli byli względem niego niesprawie-

dliwi, to tylko na jego korzyść. Zachowali go w pamięci jako talent i dowcip niepospolity, użalali się tylko, że zmarnowany, i postawili go dość wysoko na swoim Parnasie. Tymczasem zmarnowany był istotnie, ale wielkim i silnym ten talent nie był, i miejsce które mu się słusznie należy, jest od szczytu Parnasu dalekie.

II.

Zabłocki. Komedya przed nim. Wpływ Moliera. Książę generał ziem podolskich Komedye Krasickiego. Dwa rodzaje komedyi Zabłockiego. Układ i wiersz. *Sarmatyzm*. *Fircyk*. Drobne komedye. Bogusławski. Teatr w Warszawie. Zmienne losy jego i Bogusławskiego.

Na krótki przeciąg lat, między 1781 a 1786 przypada większa część komedyj Zabłockiego. Nowy pisarz, a prawdę mówiąc i nowy rodzaj.

Zabłocki jest tem, czegośmy dotąd nie widzieli, komedyopisarzem, właściwie ojcem komedyi w Polsce. Nie w tem znaczeniu, jakoby on pierwszy był u nas komedye pisał, ani też w tem, jakoby był twórcą komedyi oryginalnej, lub ją do pewnego stopnia doskonałości doprowadził: ale raczej w tem znaczeniu, że z nim wychodzi komedya z dotychczasowego stanu prób zupełnie niedołężnych, w stan o tyle lepszy, że przynajmniej już wie, czem być ma, zna warunki komedyi i niektóre z nich posiada. Nie jest to jeszcze dobra komedya, ale przynajmniej jest jej zaród, z którego coś rozwinąć się może.

Można powiedzieć, że dopiero w połowie XVIII wieku zaczęła się po raz pierwszy komedya w znaczeniu dramatycznem; wszystko, na cośmy się przedtem na tem polu zdobyli, było co najwięcej satyrycznym dyalogiem. Komedya z dramatycznem zawikłaniem i z charakterami nie istniała wcale; a kiedy się nareszcie

za Augusta III zjawiła, nie powstała wcale z tych swojskich i rodzimych początków komedyi, jakimi mogły być owe dyalogi, nie rozwinęła się na swoim gruncie i ze swoich pierwiastków, ale zasadzono ją jak roślinę egzotyczną do nas przeniesioną. Dlatego to może tak długo nie mogła ona zapuścić korzeni i przyjąć się, dlatego tak długo wegetuje mizernie i nie może przyswoić sobie tych soków, które na nowym gruncie zastała. Zrodziła się ona pod znakiem Moliera, a wpływ tego urodzenia odbił się w całem jej życiu, i nawet w najświetniejszych chwilach tego życia.

Otóż w epoce kiedy nastało u nas naśladownictwo poezyi francuskiej, uważane jako konieczność postępu i cywilizacyi, naśladowanie Moliera nie mogło kazać na siebie długo czekać. Ambicya posiadania wszystkiego, co było w literaturze francuskiej, szczere i słuszne uwielbienie dla tego, co w niej było najlepsze, a wreszcie i naturalny gust do zabawy i śmiechu, wiodły nas do naśladowania Moliera i do pisania komedyj; ale rzecz prosta, że z takich początków komedya silna i oryginalna rozwinąć się nie mogła.

Przypomnijmy sobie pierwsze u nas komedye, które na to nazwisko zasługują o tyle przynajmniej, że mają już przynajmniej jakiś węzeł dramatyczny, że coś się w tej komedyi dzieje, przynajmniej dziać ma i chce: Wacława Rzewuskiego. Nie widać w nim nic innego, jak człowieka zachwyconego komedyami Moliera, który próbuje coś podług tego wzoru sam zrobić, a próbuje bardzo naiwnie i niezręcznie; naśladuje zewnętrzną stronę, naśladuje przyzwyczajenia Moliera, pewne rzeczy, które dla tamtego nie były istotnym warunkiem komedyi, ale tylko dogodnym środkiem; życia tchnąć w nie nie umie.

Komedya XVIII wieku zostaje u nas w tym kierunku, jaki jej we Francyi nadał Molier; o ile jest komedyą charakterów, o tyle daje lub chce dawać takie jak on ogólne typy ludzkich przywar; o ile jest ko-

medyą intrygi, o tyle za jego przykładem zawsze przestaje na zawikłaniu dość pierwotnem, które rozwiązuje tanim, nieraz zbyt tanim kosztem, naśladuje go w stronie zewnętrznej jego talentu i jego sposobu tworzenia, słowem, pozostaje zupełnie w jego sferze, żyje i rośnie w jego cieniu, nigdy go nie dorastając.

Dwie rzeczy wpływały u nas na uprawianie komedyi; pierwsza ta, która działa w całej ówczesnej literaturze, chęć dopędzenia literatur zagranicznych, chęć posiadania polskiej komedyi, jak polskiej ody, sielanki, epopei; druga powszechna i niepohamowana żądza zabawy, zamiłowanie rozrywki. Już księżna Radziwiłłowa nie dlatego pisała swoje sztuki, żeby się dostać na Parnas, tylko żeby uświetnić teatrem jeden i drugi wieczór w Nieświeżu. Z pobudek podobnych pisywał później znacznie Kniaźnin w Puławach; ale te teatry i przedstawienia domowe nie mogły zaspokoić szerszej publiczności, Warszawy, w której popęd do zabawy i popęd do europejskiej cywilizacyi wyrabiał coraz silniejsze pragnienie teatru. Coraz też częściej spotykamy ludzi próbujących pisać komedye; wyśmiany Bielawski, którego *Natręty* dostarczyły tyle konceptów Trembeckiemu i Węgierskiemu, zakłada pierwszy zawiązek stałego nie dworskiego, ale publicznego teatru. Musiała już wtedy zwiększyć się znacznie produkcya komedyi, skoro można było myśleć o teatrze, teatr nawzajem musiał wpływać na tę produkcyę; po raz pierwszy spotykamy wspomniane i przechowane nazwiska aktorów, niebawem zjawi się Bogusławski, pierwszy prawdziwy organizator teatru.

Otóż pomiędzy tymi, którzy pisywali komedye oryginalne, odznacza się największym talentem Zabłocki, ale nie jest jedynym. Zapał i chętka do komedyi jest w powietrzu; nieśmiało i bezimiennie, nie przyznając się do autorstwa, ale pisują komedye nawet bardzo wielkie figury. Naprzykład książę generał Czartoryski. Miał on żyłkę literacką, pisywał nie wiele, może

czuł, że mu to się nie wiodło, ale od czasu do czasu ulegał pokusie, a jeżeli nie czem innem, to chętce swojej pisarskiej dogadzał tłómaczeniem, przełożył kilka rzeczy ważnych i potrzebnych, między innymi Choisnina Relacyę o poselstwie Mentluca i elekcyi Walezyusza. Otóż raz skusiło go napisać i komedyę; tytuł jej: *Kawa.*

Mała ta od niechcenia napisana próbka komedyi dowodzi, że co innego jest humor i dowcip w rozmowie i w życiu potocznem, a co innego w pisaniu i tworzeniu. Książę generał, najweselszy człowiek w Polsce, pełen żartów, figlów i facecyj, którego dowcipy i koncepty do dziś dnia przechowały się w tradycyi, z piórem w ręku nie znalazł ani jednego zabawnego pomysłu, ani jednej iskierki dowcipu. „Kawa" ma być krytyką modnego zfrancuziałego świata warszawskiego, a właściwie elegantów i elegantek drugiego rzędu, męczenników mody, „nie śmiejących rąk ruszyć ani głowy skrzywić, żeby się etykiecie w niczem nie sprzeciwić", wyuczonych elegancyi i pięknych manier z kodeksu, którego nigdy nie śmią naruszyć, a imponujących sobie samym swoją francusczyzną i wykwintnością. Naprzeciw tego stoi młoda panienka, wychowana na wsi i zamiłowana we wszystkiem co polskie, odbijająca wrodzonym taktem i szlachetną prostotą od śmieszności i przesady tamtych. Na nieszczęście, owe karykatury, choć scharakteryzowane trafnie, scharakteryzowane są bez talentu, i choć śmieszne same w sobie, w komedyi są nudne; a bohaterka prawi morały tak długie, tonem tak pedantycznym i kaznodziejskim, że możnaby znienawidzieć ojczysty język i wszystkie polskie książki, gdyby miały więcej takich obrońców. Akcyi żadnej, dowcipu żadnego, wszystko razem dyalog ciężki, bez życia i wartości.

Ale nie sami dyletanci, nietylko pisarze przypadkowi próbowali się w tym zawodzie. Są komedye i pisarzy w całem znaczeniu słowa, pisywał je sam lew

Stanisławowskiej literatury, Krasicki. Czy wątpił o ich wartości, czy może sądził, że mu, jako biskupowi, nie wypadało pisać dla sceny, dość, że wydał je pod cudzem nazwiskiem Mowińskiego. Ks. Mowiński był kanonikiem warmińskim i pomocnikiem Krasickiego w jego literackich pracach. Komedyj tych mamy trzy: *Łgarz, Solenizant* i *Statysta*. Łgarz jest to jak gdyby niewyrobiony projekt na „Cudzoziemczyznę" Fredry; sytuacya podobną. Tu jak tam ojciec płytki i krótkowidzący, daje się otumanić polorem modnego kawalera, wierzy we wszystko, co mu ten opowiada, nie posiada się z podziwienia nad jego dziwnemi przygodami i chce gwałtem wydać za niego córkę, która, jak tam, woli porządnego człowieka, niż błyszczącego fanfarona. Na tem koniec podobieństwa. W wykonaniu niema żadnego; talent Krasickiego, tak świetny w satyrze, w komedyi prawie znika. Głupota starego ojca jest tak nieograniczona, że staje się nieprawdopodobną; kłamstwa łgarza nie są zabawne. Cały ich dowcip polega w najgrubszych pomyłkach geograficznych, na których się stary nie poznaje. Intrygę rozwiązuje ciotka łgarza, która się tam znajduje przypadkiem, i swojem niepohamowanem gadulstwem wydaje go z sekretu. Jedyna to figura w komedyi, która ma jakiś zakrój zabawny.

Solenizant nazwany tak dlatego, że treścią sztuki jest uczta, sprawiona na jakieś imieniny przez zrujnowanego panicza, przypomina satyrę Krasickiego o Marnotrawstwie. Jest to ten sam panicz, nadużywany przez mniemanych przyjaciół i podchlebców, ta sama przemiana domu staroświeckiego na nowomodny, nawet ten sam stary szafarz, dawniej podstarości, narzekający na zmarnowanie fortuny nieboszczyka pana. W końcu zjawia się bogaty stryj, który naprzód przeprowadza młodego trzpiota przez różne upokorzenia, a nareszcie płaci jego długi i żeni go z panną cześnikówną, z którą łączy go efekt wzajemny. Jedna rzecz zasługuje tu

na uwagę to, że tu po raz pierwszy zaczynają się zjawiać typy polskie. Sam ten panicz, który ostatkami goni, a żyje szumnie, to sytuacya wcale narodowa; stary szafarz jest także figurą, która się we francuskiej komedyi nie znajdzie; dwie panie sąsiadki, obrażone na młodego Warszawiaka, że dla nich nie dość grzeczny i posądzające go najniewinniej, że sobie daje tony, to także typy wzięte z życia, blizkie krewne tej pani skarbnikowej i sędziny z „Podstolego”, które się tak obrażały o to, że jedna przed drugą poszła w taniec.

Bardzo szczęśliwie obrany, istotnie przedmiot niewyczerpany do komedyi i to bardzo wysokiej, nadewszystko szczero-polski, jest typ trzeci, *Statysta*, polityk rezonujący w swoim dworku o losach świata, zagłębiony we wszystkich gazetach, wyciągający najdziwniejsze wnioski z doniesień nic nie znaczących, i rozcinający bez wahania najzawilsze węzły gordyjskie polityki. Figura pełna prawdy, typ tej namiętności politykowania, która u nas przetrwała nawet życie polityczne, a która dowodzi jak ona jest w naszej krwi i naturze. Pomysł ten szczęśliwie wykonany, mógłby dać znakomitą i na wskróś polską komedyę. Na nieszczęście, Krasicki wykonał go źle. Gdyby był przestał na jednym typie i swego bohatera zrobił tylko politykiem, byłby mógł stworzyć postać zupełnie udaną. Na nieszczęście pomieszał w nim dwa typy, dwie manie, dwa przedmioty, doskonałe oba, ale z których każdy wystarczyłby na osobną komedyę, a połączone w jednej osobie szkodzą sobie wzajemnie. Statysta nie jest bowiem tylko statystą — jest projektowiczem. Marzą mu się po głowie tysiączne przedsięwzięcia, ulepszenia w gospodarstwie, nowe maszyny, produkcya kolonialnych korzeni za pomocą soczewek skupiających promienie światła, Bóg wie co: typ także prawdziwie komiczny, typ niezmiernie prawdziwy — szkoda tylko że z tamtym tak pomieszany, że ani jeden ani drugi nie może się należycie rozwinąć. Ma-

nia przedsiębiorstw, i szalbierstwa różnych oszustów, korzystających z manii pana Myślickiego, zasłaniają Statystę i spychają w kąt politykę; a kiedy uwaga już się do nich przyzwyczaiła i bierze je za wątek sztuki, wątek ten się zrywa i mania polityki znowu na wierzch wychodzi. Jest to więc bardzo dalekie od doskonałości, jak wszystkie zresztą komedye Krasickiego, ale w porównaniu z dawniejszemi, z komedyami Rzewuskiego naprzykład, postęp jest bardzo widoczny. W samym układzie sztuk, w logice, trafniejszem pojęciu i wierniejszem przeprowadzaniu charakterów, w większej ich oryginalności, a nadewszystko w tem, że te komedye już trafiły na właściwą drogę i za przedmiot wzięły życie i typy polskie. Tę cechę komedye Krasickiego już mają, oznaczają więc pewien postęp; a jakkolwiek pomiędzy jego pismami zajmują miejsce podrzędne, jednak ciekawe są choćby tylko przez to, że są jego, i że dają poznać ten talent ze strony nowej i nieznanej.

Na wyższym znowu szczeblu, stoi ten, który reasumuje w sobie całą komedyę tej epoki i jest jej najświetniejszym reprezentantem: Zabłocki.

Przyjaciel Kniaźnina, Orfeusz jego elegijnego poematu, później stróż i opiekun jego smutnego szaleństwa, przez lat kilkanaście sekretarz izby edukacyjnej, za młodu sławny z wesołości i humoru, lubiący świat, towarzystwo, zabawę, nawet wykwintną elegancyę w stroju, i on miał koniec smutny. Nie wpadł w melancholię jak Naruszewicz, ani w obłąkanie jak jego przyjaciel Kniaźnin, ale zaledwo trzeci rozbiór został podpisanym, porzucił i wesołość, i teatr, i wiersze, i piękne suknie, zniknął z Warszawy: po paru latach wrócił wyświęconym na księdza. Znowu odmienny skutek upadku, znowu inny odcień uczucia i cierpienia: to cierpienie które potrzebuje pociechy, i mówi sobie, że kiedy wszystko zawiodło, trzeba szukać ukojenia

w Bogu. Dowód to także, jak usposobienie moralne narodu musiało się zmienić; żaden z ludzi poprzedniej generacyi nie byłby mógł w takim końcu znaleść pociechy i zaspokojenia.

Oprócz znacznej liczby sztuk tłómaczonych lub przerobionych z francuskiego, napisał dziesięć komedyj oryginalnych, wierszem i prozą. Może właściwiej powiedzieć *własnych*, ale nie *oryginalnych*, bo on także jest tylko adeptem i naśladowcą Moliera, który po za dobre naśladowanie nawet ambicyą sięgać się nie zdaje, a od swoich poprzedników wyższym jest o tyle, że naśladuje lepiej od nich, i że jego komedya, lepsza czy gorsza, zabawniejsza czy nudniejsza, jest już rzeczywistą komedyą, w której akcya rozwija się nie zawsze umiejętnie, ale porządnie, a charaktery jeżeli nie zawsze żywo i plastycznie, to przynajmniej zawsze przeprowadzone są konsekwentnie. Podzielić możnaby jego komedye na dwie grupy, podług różnicy i formy, i treści. Komedye, pisane prozą, należą do rzędu (z wyjątkiem *Dziewczyny Sędzią*) komedyi niższej, farsy, do której należą także jego opery, *Balik Gospodarski*, *Żółta Szlafmyca*, *Arlekin czyli taradajka latająca*: i komedye pisane wierszem, z zakrojem komedyi wyższej, charakterowej. W pierwszych chodzi mu głównie o zabawne i śmieszne sytuacye, w drugich komika polegać ma nie tak w przebiegu i komplikacyi wypadków, jak w naturze i ułomnościach przedstawionych osób.

Już ten podział jest ten sam co w komedyi Moliera; i tam po jednej stronie stoją farsy jak *Pourceaugnac* albo *Fourberies de Scapin*, a po drugiej *Szkoła Żon* i *Mizantrop*, a w jednym jak drugim rodzaju Zabłocki trzyma się wiernie wzoru i naśladuje go we wszystkiem. Z wyjątkiem jednej tylko komedyi *Sarmatyzm*, która ma być specyficznie polską i przedstawiać typy współczesne, wszystkie inne mają za przedmiot takie typy ogólne, jak komedye Moliera.

W budowie sztuk i przeprowadzeniu intrygi naj-

ściślejsze naśladowanie Moliera. Czy chodzi o to, żeby podejść sztuką upartego dziwaka ojca, czy żeby pogodzić wiejskich Montecchich i Capuletów i pożenić ich dzieci, czy żeby skłonić serce statecznej Podstoliny do niestałego Fircyka, zawsze i nieodmiennie znajdzie się lokaj bohatera lub służąca bohaterki, którzy na wszystko wynajdą sposoby, doprowadzają rzecz do pomyślnego końca, i od obu stron interesowanych biorą za to wynagrodzenie. Figury te, bez których żadna komedya Zabłockiego obejść się nie może, są zawsze te same choć noszą różne nazwiska, a wszystkie są zrobione podług jednego i tego samego Molierowskiego patronu. Nie można powiedzieć, żeby im zbywało na żywości; owszem mają po większej części pewną gadatliwość i swadę, pewną zuchwałość, niekiedy połyski dowcipu i niezłe koncepty, ale nawet współczesnym musiały one robić wrażenie kopii; a dla nas są kopiami rzeczy tak opatrzonych, kopiami powtórzonemi tyle razy, że nas już bawić nie mogą.

W przeprowadzeniu intrygi także naśladuje Zabłocki Moliera i wpada w te same błędy. Jeżeli Filutkiewicz, Pustak, albo Dorotka nie mogą już poradzić i węzła rozplątać, nie waha się użyć interwencyi jakiegoś *Deus ex machina*, stryja, przyjaciela, który ten węzeł przecina na wielką radość zakochanego Erasta i pięknej Izabelli.

Wiersz Zabłockiego jest dobry, pełny, śmiały, dyalog żwawy i lekki, budowa komedyi zwykle zrozumiała i jasna, charakterystyka osób niekiedy prawdziwie dowcipna, niekiedy zbyt naiwna. Jego główniejszemi wadami są, długość scen, których na czas skończyć nie umie, czasem skoki nagłe i nieusprawiedliwione i zmiany w sytuacyach lub osobach, które sprowadza nagle, kiedyby je powinien był rozwijać i przygotowywać; czasem zbyt łatwe rozwikłanie intrygi za pomocą wyższej jakiejś interwencyi, albo znowu przeładowanie jej epizodami, które mają być bardzo śmieszne, a naprawdę

tylko mylą i bałamucą. Wogóle niema ani jednej jego komedyi, którąby można nazwać zupełnie dobrą, każdej da się tak wiele zarzucić, w każdej są błędy tak grube, że czytając go z największem pobłażaniem, jeszcze żadną się zupełnie cieszyć nie można. Ale w każdej znajdzie się albo jakieś szczęśliwe słowo, albo jakąś prawdziwie komiczną sytuacyę, albo trafną charakterystykę, które dowodzą, że to był talent początkujący, który nawet pomimo wzoru nic skończonego i zupełnego nie mógł stworzyć, ale talent prawdziwy.

Sarmatyzm to zemsta modnej i eleganckiej Warszawy nad barbarzyńską i ciemną prowincyą. Śmiała i gorszyła się prowincya z peruk, trzewików, pudru i koronek; stolica, która w tem wszystkiem widziała zewnętrzne oznaki cywilizacyi, nie chciała zostać w odpowiedzi dłużną, i modny elegant Zabłocki rad był powiedzieć *verba veritatis* wiejskim obywatelom, i wytknąć ich śmieszności, dać do zrozumienia, że ich zarozumiałość o wielkości i dawności rodu, ich wstręt do książek i oświaty, skłonność do pijatyki i bijatyki, do zwady i procesów, ich obchodzenie się z czeladzią i poddanymi, zaniedbane gospodarstwa, domy źle utrzymane, że to wszystko jest częścią śmieszne, a częścią zdrożne, nie mniej, a może więcej niż to, co się dzieje w Warszawie. Dlaczego zbiór takich przymiotów nazwał Sarmatyzmem? Dlatego, że Polska Stanisławowska w swojem namiętnem pragnieniu cywilizacyi, miała wstręt do wszystkiego, co trąciło Polską Sasów, co było zacofane, zawadyackie, pijackie, wąsate. Zamaszystość, junactwo, głośne gadanie, zwłaszcza picie, wszystko to było ówczesnej Warszawie przeciwne, i wszystko nazywało się sarmackiem; przymiotnik ten miał wtedy swoje znaczenie ironiczne.

Otóż w takim zakutym, zapitym, ciemnym sarmackim świecie, szuka Zabłocki typów do swojej komedyi. Więc naprzód jest Guronos, szlachcic dumny i kłótliwy, domator, z sąsiadem w sporze o granicę od

lat niepamiętnych, szlachcic, który swoją genealogię zna na pamięć i powtarza co moment (akt I, sc. I), jak zaś mieszka i żyje, opowiada służąca Agatka (akt III, sc. IX). Obok niego krewny i konkurent córki Borzywój, junak, pijak, fanfaron, dziki człowiek, przytem tchórz niepospolity, na którego grzbiecie kończą się wszystkie zwady i kłótnie, to reprezentant wiejskiej młodzieży. Ryksa, żona Guronosa, jak on dumna, zacięta, nieokrzesana, pieniaczka i trunkowa, uzupełnia charakterystykę tego zacofanego sarmackiego świata.

Panna Aniela, córka, Radomir, syn sąsiada Żegoty, z którym jest spór o granicę, i przyjaciel domu Skarbimir, to strona piękna medalu; a pomiędzy temi dwiema grupami mnóstwo figur podrzędnych. Rejent, człowiek gładki, słodki, przesadzający się w grzecznościach; Recepta, wiejski lekarz, szarlatan; Agatka niezbędna służąca, oś całej intrygi, Walek, gajowy, figura nieźle pomyślana, chłop mający się za mądrego, bo służył jakiś czas w Warszawie; wreszcie chłopi, którzy biją siebie nawzajem, i panów, i służących, i są bici, słowem, mnóstwo osób, a z tego takie mnóstwo różnych zajść i komplikacyj, że się to wszystko z sobą miesza, a wątek gubi się w tym labiryncie.

Treść jest mniej więcej ta: Panna Aniela kocha Radomira syna Żegoty, nieprzyjaciela swego ojca; w towarzystwie wiernej Agatki rozmawia z nim za ogrodem. Walek gajowy, zakochany w Agatce i jej narzeczony, natrafia na tę schadzkę, chce przeszkadzać, za co dostaje w twarz od Radomira. Chce się zemścić, zmawia się z chłopami, żeby obić panicza, ale myli się w osobie, i ofiarą zemsty staje się Borzywój, siostrzeniec Guronosa. Za jego obicie dwór musi zemścić się przykładnie. Agatka, chcąc Walentego ocalić, udaje go za waryata, powieść się przyjmuje, i nieszczęśliwy gajowy staje się celem napaści doktora Recepty, który, chcąc mu odciągnąć humory od głowy, ściga go z instrumentem, który gra wielką rolę w Pourceaugnaku.

Wśród tego: bitki o granicę, rozwalanie kopców, przy którem Borzywój gra taką rolę jak Papkin w Zemście, kłótnia pani Guronosowej z panią Żegociną o prawo do kollatorskiej ławki w kościele, kompromis zaczęty, zerwany, zaczęty znowu i wreszcie skończony pojednaniem Montecchich i Capuletów i małżeństwem panny Anieli z Radomirem; słowem, mnóstwo coraz nowych zajść i zawikłań, które się tłoczą, jedno drugie spycha, tak, że na rozwój charakterów nie zostaje czasu i miejsca, i charaktery te, co jest największą wadą sztuki, skreślone są pobieżnie i powierzchownie, choć wymyślone dość szczęśliwie.

Najlepszą z jego komedyj, tą, którą współcześni nacieszyć się nie mogli, jest sławny *Fircyk w Zalotach*. Pierwsza scena, spotkanie Świstaka z Pustakiem uchodziła za *non plus ultra* komiki, Fircyk sam za najszczęśliwiej schwycony i najsympatyczniejszy typ wietrznika i trzpiota. Naprawdę, nie można tej komedyi przyznać zalet wysokich, a wszystko, co się da na jej pochwałę powiedzieć, to, że na bezrybiu i rak ryba. Ani humor nie jest tak świetny i żywy, ani charakterystyka tak wyborna jak sądzono; owszem, ta ostatnia jest dość powierzchowna, niekiedy wcale nie trafna, zwłaszcza co się tyczy głównej postaci, Fircyka samego. Ale obok tego trafiają się rysy bardzo szczęśliwe i bardzo trafne, a obok scen dość oklepanych, są inne, istotnie żywe i niezużyte. Wiersz jest ładny, prędki, śmiały, dyalog czasem wesoły i bystry, logika charakterów nie zła, a rozwiązanie z niej wyprowadzone naturalnie, nie zaś przez interwencyę służących lub stryjów, tak, że słusznie można uważać Fircyka za najlepszą komedyę tej epoki.

Treść jest następująca: Fircyk, młody i gładki warszawski kawaler, który życie strawił na umizgach i ma prawo o swojem szczęściu do kobiet nie wątpić, który tysiące głów pozawracał i złamał tysiące przy-

siąg, stara się o względy Podstoliny, wdowy młodej i pięknej, ale surowej, i przestrzegającej pozorów z przesadzoną bacznością. On jest największy trzpiot, ona prawie dewotka, *une prude*. Zbliżenie takich charakterów i miłość między nimi jest pomysłem nowym, a psychologicznie trafnym i szczęśliwym. Ale Fircyk, zalecając się Podstolinie, o Sakramencie nie myśli, spodziewa się, że ją policzy między swoje zdobycze. Podstolina jakkolwiek tego się nie domyśla, jest dla niego bardzo surowa i zimna; tem surowsza, że czuje jak jego trzpiotostwa opanowały jej wyobraźnię i serce. Ona, kobieta najsurowszych i niewzruszonych zasad, kochać takiego wietrznika, zmiennika, człowieka złej reputacyi, co za zgroza! Podstolina sama się tego uczucia wstydzi, nie przyznaje go, ale mu się coraz więcej poddaje. Mimo to, ze stałością Penelopy odpiera wszystkie coraz natarczywsze szturmy Fircyka. On, do oporu nie przyzwyczajony, zaczyna podejrzywać Podstolinę, że kocha innego, a domysł ten potwierdza mu Klaryssa, bratowa Podstoliny, której ta zwierzyła się na pół, że kocha, ale nie powiedziała kogo. Wtedy biedny Fircyk poznaje po wielkim żalu, że ją kocha na prawdę. Tymczasem Aryst, przyjaciel Fircyka, a brat Podstoliny, zazdrosny o żonę, uroił sobie, że to do niej zaleca się przyjaciel, i swoje żale i gniewy wylewa przed siostrą. Fircyk rozpacza—rozpacza i Podstolina, a w obawie, że straci ujmującego trzpiota, zapomina o powadze i przyzwoitości, i wyciąga na spowiedź jego służącego. To także pomysł prawdziwie komiczny, ta wielka stateczność i ta wzorowa przyzwoitość doprowadzona przez miłość do kroku tak niestosownego. Wreszcie spotykają się te dwie rozpacze: Podstolina po żalu i goryczy Fircyka poznaje jego szczerość, sama drożyć się dłużej boi, rzecz kończy się najszczęśliwiej, Fircyk przysięga na wierność i obiecuje poprawę. Ale zaledwo ma pewność szczęścia, wraca dawne trzpiotostwo i humor, i układa sobie intercyzę ślubną oso-

bliwszego rodzaju, której na szczęście cnotliwa Podstolina nie uważa za obowiązującą.

Jest dużo wesołości w tej figurze Fircyka; w owym czasie musiał to nawet być typ dość powszechny i podobać się prawdą, podobieństwem do mnóstwa ludzi żywych i chodzących po Warszawie. Jest tylko jeden błąd w tej figurze, jedna naiwność, to jest sposób, w jaki Fircyk zaleca się Podstolina. Ta pewność siebie i zwycięstwa, to ciągłe powtarzanie, że mu się żadna nie oparła i ona nie oprze, jest psychologicznie nieprawdopobne. Doświadczony Fircyk musiał przecież wiedzieć, że niema nic niebezpieczniejszego w jego położeniu jak przed czasem trąbić o zwycięstwie i mówić kobiecie, że się oprzeć nie zdoła. Chłopiec nie głupi i dobrze wychowany musiał przecież wiedzieć, że mężczyzna, który o swoich tryumfach sam opowiada, jest i oburzający i śmieszny; a znawca serc kobiecych musiał rozumieć, że właśnie statecznej i nader przyzwoitej Podstolinie tym sposobem podobać się nie mógł. Z wyjątkiem tego błędu postać wcale udana, w tym rodzaju, choć nie tak wdzięczna jak Gustaw Fredry. Charakterystyka osób podrzędnych wcale szczęśliwa, raz nawet bardzo szczęśliwa. Ten Aryst, przyjaciel Fircyka, jest tak wzorowy jak jego siostra Podstolina, pobożny, moralny, przykładny, pełen zasad, tylko ma jedną słabość: karty. Jak zobaczy asa i piątkę, zginął! Wyrzuty jakie sobie robi, sofistyczne argumenty, którymi oszukuje swoje sumienie, walka tej natury i tych zasad z tym pociągiem, to pomysł i głęboki i dowcipny, pomysł, który sam jeden mógłby wypełnić całą i dobrą komedyę, gdyby ten Aryst zamiast być podrzędną, był główną figurą.

Drobne komedye robione są znowu na wzór fars Moliera; jest ich dwie godniejszych wzmianki. Jedna, *Wielkie Rzeczy co mi tam*, ma za bohatera człowieka niezmąconego spokoju, nieprzezwyciężonej łagodności, który wszystkie przykrości życia znosi z filozoficzną

flegmą, mówiąc *co mi tam*. Żona, która naturalnie nie od parady jest panią w domu, opiera się projektowanemu małżeństwu córki z synem sąsiada i przyjaciela. Ten przekłada, że ma przyrzeczenie ojca, pani zaręcza, że to nic nie znaczy. Wreszcie staje zakład, że jeżeli potrafią męża rozgniewać, ona na zamężcie córki zezwoli. Zaczynają się więc tysiączne wybiegi, żeby pana Floryana rozgniewać. Wisła wylała i zabrała mu budynki i bydło; wola Boska, co mi tam! Rzucono na niego potwarz: kiedy nie prawda, to mniejsza o to, co mi tam. Zaskarżono fałszywie przed sądem, może będzie skazanym, i to mu nic nie szkodzi. Żona go zdradza? Zrazu nie wierzy, ale w końcu powiada, że nie jest ani pierwszym ani ostatnim, co mi tam!. Dopiero, gdy mu powiedziano i niby dowiedziono, że jego najlepszy przyjaciel go zawiódł, zdradził i oszukał, dopiero się zmartwił i rozgniewał, żona zakład przegrała, córka poszła za młodego sąsiada.

Doktor Lubelski ma niektóre zabawne sytuacye. Stary obywatel ułożył sobie ożenić się z młodą córką doktora, a przeczuwając w synu rywala, wyprawił go na akademię. Syn, zamiast pojechać do Krakowa, ukrył się w Lublinie i przez pośrednictwo służącego przesyła wiadomości o sobie i odbiera je od Elizy. Doktor wchodzi raz niespodzianie do domu, podczas kiedy się taka ambasada odbywa. Zdradzić się byłoby niebezpiecznie, i wszyscy winowajcy, nie mogąc inaczej bytności jego wytłómaczyć, udają, że to trup wisielca przyniesionego do sekcyi, a kiedy służący musi grać tę rolę, kobiety wysilają swoje dowcipy na to, by doktora wstrzymać od rozpoczęcia sekcyi. Są różne sytuacye komiczne, które byłyby może zabawniejsze jeszcze, gdyby figurował w nich sam bohater sztuki, kochanek, nie zaś jego służący.

Zabłocki prędko przestał pisać komedye: ze smutku po śmierci żony i dziecka, jak mówi podanie. Ale

za Sejmu Czteroletniego zobaczy się go jeszcze piszącym, tylko już nie z wesołości i nie dla zabawy.

Gdyby zapytać, czy Bogusławski jest jednym z lepszych pisarzy w Polsce, czy napisał jaki piękny dramat, albo jaką bardzo ładną komedyę, czy miał wielki a choćby tylko niezwykły talent, trzebaby na te wszystkie pytania odpowiedzieć jednem krótkiem słowem: „nie”. Nie; ze wszystkich jego sztuk ani jedna nie jest dobrą; niektóre z nich zajmują nas, bawią, może nawet rozrzewniają jeszcze dziś, jako ślady dawnego obyczaju, pomniki dawnego czasu, niektóre budują nas prawdziwie, zacnym, dobrym, patryotycznym duchem i zamiarem; czasem rozśmieszy nas ta lub owa zabawna figura, scena, albo myśl, ale dobrą co się nazywa komedyą, z akcyą umiejętnie prowadzoną, z dramatycznem zajęciem, z głębszą znajomością i charakterystyką ludzkich natur, z samorodnym wreszcie i świetnym dowcipem, nie jest żadna. Talentu, nie mówiąc o późniejszym Fredrze, ma mniej od Zabłockiego. Ale zasługi około polskiego teatru i polskiego dramatu ma więcej, niż wszyscy autorowie dramatyczni przed nim, może więcej, niż wszyscy po nim także, z jednym wyjątkiem Fredry. A ten brak proporcyi pomiędzy zdolnością niewielką, a zasługą ogromną, jest właściwem charakterystycznem znamieniem jego postaci i jego dzieła, i nadaje mu, jeżeli się nie mylimy, charakter oryginalny, zajmujący, sympatyczny; co więcej, robi go nauczającym i budującym przykładem. Jakąż bowiem naukę moralną wyciągnąć można z życia tego człowieka, który ze skromną bardzo miarą talentu, bez środków, wśród ustawicznych przeciwności i zawodów, zakłada lub podnosi teatry po całej przestrzeni ziemi polskiej, zarządza, ulepsza, upadłe dźwiga, zburzone buduje na nowo, składa, organizuje, uczy, kształci aktorów jednych po drugich, a przez to można powiedzieć, zaszczepia teatr i jego zamiłowanie, znajomość i potrzebę w narodzie, daje pobudkę do ożywienia tej mar-

twej dotąd gałęzi literatury, i przyczynia się nie tyle sztukami swojemi, co tą swoją pracą, do jej zbogacenia i postępu? Nauka moralna takiego życia jest bardzo prosta i bardzo piękna; mówi ona, że wielka zdolność jest wielką łaską Pana Boga, ale bardzo rzadkim na świecie zbytkiem; ale potrzebą i koniecznością w życiu narodów jest zrozumienie swego powołania i obowiązku, i pełnienie go z dobrą wolą, z energią, z wytrwałością i poświęceniem; że te przymioty nie tworzą cudów i arcydzieł odrazu, ale krzewią, rozszerzają, rozsiewają światło i cywilizacyę; że więc dobroczynnem, pełnem zasługi i pożytku, nawet znaczącem w życiu narodu, może być życie każdego zwyczajnego człowieka, byle ten człowiek ze średnią miarą zdolności, łączył wysoką, a nie średnią siłę woli, miłość swojego powołania i sprawy, której służy.

Życie Bogusławskiego jest pasmem trzydziestoletnich kłopotów i zapasów z losem i ludźmi. Intrygi, współzawodnictwa, podstępy i spekulacye różnych przedsiębiorców i dyrektorów teatrów polskich i zagranicznych, przykrości i trudy nieodłączne od zawodu dyrektora, zmuszają go nie raz, ale dziesięć, zwinąć przedsięwzięcie, przenosić się z miejsce na miejsce i zaczynać na nowo. Istny Syzyf, któremu kamień wytoczony już dość wysoko w Warszawie wali się pod nogi, i który pcha go znowu do góry we Lwowie, w Wilnie, albo w Grodnie, albo w Dubnie, albo znowu we Lwowie, albo jeszcze raz w Warszawie, albo w Poznaniu, Kaliszu, Lublinie... Dziś patrząc na niego zdaleka, można zapytać, czy jego różne nieszczęścia nie były szczęśliwem zrządzeniem? Czy ta konieczność smutna, koczowania z teatrem po całej przestrzeni ziem polskich, nie wyszła na dobre i teatrowi i literaturze, i ważniejszemu od nich, samemu duchowi polskiemu. Bogusławski, żyjący spokojnie i dyrygujący z wszelkiem powodzeniem teatrem polskim na jednem tylko miejscu, byłby z pewnością postawił ten teatr na wyższym

stopniu doskonałości w Warszawie. Ale na Wołyniu i na Litwie, albo w Galicyi już wtedy austryackiej i znającej tylko niemieckie widowiska, czy byłby się w takim razie zaszczepił smak do widowisk polskich, ich zwyczaj, ich pragnienie? Czy nie byłaby ucierpiała i osłabła znajomość i pamięć literatury ojczystej, dbałość o nią? Pamięć tych różnych polskich typów i zwyczajów, które teatr stawiał żywo przed oczy? Wreszcie i uczucie samo tej jedności, której język i literatura są najwyraźniejszym i najtrwalszym znakiem i wyrazem? W późniejszych zwłaszcza i gorszych czasach, po rozbiorze, to koczowanie polskiego teatru od Lwowa do Poznania i od Krakowa do Wilna, było wielkiem szczęściem, było środkiem nie tylko utrzymania literackiego życia polskiego w różnych częściach Polski, ale silnym choć nie politycznym środkiem patryotycznej propagandy, utrzymania polskiego ducha.

Za młodu, jak sam opowiada, nie sposobił się do teatru, ani o nim myślał, ani wiedział· Był synem dość zamożnych rodziców i musiał widzieć przed sobą przyszłość czy gospodarza, czy urzędnika, czy może żołnierza. Klęski majątkowe, pozbawiwszy go utrzymania, rozstrzygnęły o jego życiu i powołaniu, bez jego wiedzy i woli, prawie przypadkiem.

Kiedy Stanisław August wstępował na tron, nie było w Polsce teatru, nie było go nawet w Warszawie. Były prywatne, dworskie, królewskie, na których August III, wielki miłośnik muzyki, kazał śpiewać włoskie opery, albo pańskie, na których dla zabawy dworzanie lub dzieci grywali sztuki księżnej wojewodziny wileńskiej w Nieświeżu, może i pana hetmana polnego w Podhorcach; ale teatru stałego, obsadzonego prawdziwymi aktorami, i publicznego nie było nigdzie, nawet w Warszawie. Stanisław August, którego nigdy dość odżałować nie można, że nie był królem w jakich spokojnych i pogodnych czasach, jak dał niezaprzeczenie silny popęd postępowi nauk i literatury, tak i o tea-

trze polskim zaraz po wstąpieniu na tron pomyślał, i należy mu oddać sprawiedliwość, nie zapomniał o nim do końca. Kazał szukać, zbierać, i uczyć ludzi, którzyby aktorami być chcieli. Pierwszym zarządcą teatru był podobno wyśmiany przez całą Warszawę, a przez Węgierskiego srodze prześladowany poeta Bielawski, a jego *Natręci*, liche przerobienie komedyi Moliéra *les Fâcheux*—jedną z pierwszych odegranych komedyj. Figurowały też w braku innych i komedye Bohomolca. Dobór sztuk nie był sławny; dobór artystów nie świetniejszy podobno (Bogusławski wymienia Świeżawskiego, jednego z tych początkowych warszawskich aktorów jako zdolnego, jako prawdziwego aktora); ale początek był zrobiony. Na krótko, niestety. Niebawem zjawił się Włoch jakiś *Tomatis*, z operą włoską, z baletem; publiczność warszawska chciwa nowości, skłonna podówczas bardzo do wielbienia zagranicznych wielkości, nie mogąc znaleść wiele przyjemności w złych sztukach i grze złych aktorów polskich, zaczęła słuchać Włochów z największym zapałem. Teatr polski pusty zawsze podupadał; wreszcie Włoch, który oba trzymał, rozpuścił go, i pierwsza próba polskiego teatru skończyła się na niczem. Przez kilka lat nie było go wcale w Warszawie.

Dopiero w roku 1774 publiczność, nawet sejm, zaczęli się o niego upominać na nowo. Może pod wpływem tego rozbudzenia patryotyzmu, jakie wywołał rozbiór i jakie się na wszystkich kierunkach objawiać zaczęło. Wtedy znalazł się człowiek z teatrem cokolwiek obeznany, bo dla swojej zabawy utrzymywał sobie swój własny w Rydzynie, książę August Sułkowski, gotów wziąć na siebie prowadzenie sceny w stolicy, a król dał mu najchętniej przywilej. Bogusławski ceni wysoko zasługi tego nowego przedsiębiorcy około teatru. Opowiada, że ze swoich dawnych rydzyńskich aktorów i z nowych przybranych złożył wcale dobre grono aktorów. *Owsiński*, którego Bogusławski uważa

za pierwszego ze wszystkich, jakich w Polsce widział; Hempiński komik, jego później nieodstępny kolega i wierny przyjaciel, należeli do tego składu. Książę miał przytem ten rozum, że choć miał niezłych aktorów, nie sadził się na rzeczy wielkie i trudne, ale przedstawiał tylko małe komedyjki. Niebawem obudziło się w publiczności upodobanie w teatrze; znaleźli się miłośnicy i znawcy, i nawet autorowie. Sam najdostojniejszy mecenas sztuk i nauk, książę generał ziem podolskich, zajmował się wiele teatrem, udzielał aktorom rad nieocenionych, a nawet zbogacił szereg sztuk polskich swojemi wybornemi komedyami: *Panna na wydaniu, Kawa, Pysznoskąpski* etc. Bogusławski jest tak mało wymagającym, tak naiwnym, że te dość nędzne płody możnego dyletanta podobają mu się bardzo, a czas w którym się one na scenie pokazały nazywa *złotym wiekiem polskiego teatru.* Złoty zapewne w tem znaczeniu, że pierwszy; ale tak złoty dla teatru, jak był dla ludzi ów, w którym żywili się żołędziami i mieszkali pod cieniem drzew. Ale i ten czas względnej pomyślności nie potrwał długo, a klęska przyszła, jak za pierwszym razem, z zagranicy. Nie od Włoch wszakże, ale od Niemców. Jakiś wiedeński i w Wiedniu podobno bardzo ceniony aktor, *baron Kurtz,* zjawił się w Warszawie z operą włoską, z baletem, i stał się niebezpiecznym współzawodnikiem dla księcia Sułkowskiego i dla polskiego teatru. Za pomocą różnych intryg i protekcyi starał się on dostać także i polskiego teatru przedsiębiorstwo. Aktorowie, częścią zachęceni obietnicami wielkich dochodów, częścią zniechęceni surowością księcia Sułkowskiego, który podobno trzymał ich krótko, przeszli do Niemca. Książę był wprawdzie właścicielem przywileju, ale w takim stanie rzeczy trudno mu było utrzymać teatr; dość, że doprowadzono go do takiego stopnia zniechęcenia, iż rad był wyrzec się teatru, przywileju i wszystkiego. Z tego usposobienia skorzystał ktoś, co dawno już czyhał na objęcie tea-

tru, obiecując sobie wielkie z niego zyski, Ryx, kamerdyner królewski, i nabył od księcia Sułkowskiego przywilej (1776).

Zaczęła się opłakana dla teatru epoka przywileju i zarządu Ryxa, trwają aż do zniesienia monopolów i przywilejów (zatem i teatrowego także) przez Sejm Czteroletni. Pan starosta piaseczyński uważał teatr za spekulacyę tylko; a że opery włoskie i balety obiecywały mu większe zyski, niżeli sztuki polskie, przeto zaniedbywał teatr polski, który nadto pod zarządem dyrektora Niemca, nie umiejącego po polsku lub nie dość, by mógł był dyrygować, stawał się coraz gorszym. Doszło do tego, że teatr polski nie opłacał się wcale, i Ryx postanowił zamknąć go zupełnie. Wtedy król szlachetnie, ale nieostrożnie oświadczył, że chcąc koniecznie, aby jakiś polski teatr był, bierze na siebie jego niedobory. Bogusławski opowiada, że ta dobra chęć kosztowała go drogo; bo odtąd oczywiście wszystkie zyski przedsiębiorstwa liczyły się, jako pochodzące z opery i baletu, a teatr polski był w ustawicznym deficycie, który król z własnej kieszeni pokrywał. Nadużycie to było tem bardziej krzyczącem, podług tego co mówi Bogusławski, że naprzód utrzymanie sceny polskiej kosztowało mniej nierównie, niż utrzymanie opery, a prócz tego, że teatr polski przez kilka nowych tłómaczonych tragedyj (Bewerley, Eugenia) i przez kilka niepospolitów talentów (Owsiński, pani Truskolaska) tak się podniósł i zajął publiczność, że przynosił rzeczywiste i znaczne dochody. Ale skoro król obiecał płacić, więc koszta szły na rachunek teatru polskiego, a dochody na rachunek opery. Wreszcie Stanisław August, widząc, jak nadużywano jego dobrej chęci i kieszeni, cofnął swoje przyrzeczenie.

Nastała przerwa kilku miesięcy we wszystkich widowiskach. Właściciel przywileju szukał nowego dyrektora. Przypadkiem nawinęła mu się jakaś kompania aktorów francuskich, na dyrektora znaleziono daw-

nego aktora nauczyciela muzyki, Francuza Montbrun; król żądał znowu widowisk polskich, tak, że je z francuskiemi połączyć musiano, przez stolnika kor. Moszyńskiego i szambelana Wojnę wykonywał ciągłą nad tym teatrem kontrolę; i wtedy to, za dyrekcyi tego Francuza Montbrun, zachęcony przez Wojnę, Bogusławski wstąpił do teatru. Z potrzeby oczywiście, ale czy i jakich próbował zawodów, zanim się na ten odważył, nie opowiada.

Pokazało się, że był od pierwszego razu bardzo użytecznym członkiem nowego towarzystwa. Francuz Montbrun, dyrektor, znający się na rzeczy, a przytem sumienny, chciał, żeby teatr polski miał i dobre sztuki i dobrych aktorów. Ostatnich sam kształcił, ile mógł nie znając języka, ale na pierwsze poradzić już nie mógł. Znalazł w tem doskonałego pomocnika w Bogusławskim. Młody aktor, grywający amantów, wychowany był starannie, miał literackie wykształcenie i smak, łatwość pisania, i znajomość kilku języków; był więc wskazanym, stworzonym do tłómaczenia i przerabiania sztuk obcych. Zaczęło się więc na wielką skalę to tłómaczenie, uczenie i przedstawianie nowości francuskich i niemieckich, któremi teatr polski zasila się dotąd, któremi tak samo lub więcej zasilał się za Królestwa Kongresowego, za Księstwa Warszawskiego i za Stanisława Augusta. Komedye, małe operetki, bądź przełożone, bądź umyślnie ułożone, ze śpiewami, do których muzykę pisał Kamiński, zaczęły następować jedne po drugich z wielkiem powodzeniem—kiedy spadło na teatr nowe a niespodziewane nieszczęście. Mieścił on się dotychczas w pałacu Radziwiłłowskim (księcia Panie Kochanku), nie mając własnego budynku. Naraz przychodzi wiadomość, że książę wojewoda wraca ze swojej pokonfederackiej emigracyi, i rozkaz, żeby aktorowie ustąpili z pałacu. Nie było rady. Całe towarzystwo zostało rozpuszczone, z wielką stratą dla przedsiębiorcy Motbruna, który wielu aktorom musiał zapłacić za całe trzy lata, na które ich był ugodził.

I znowu Warszawa została bez teatru. Wtedy głośne domagania się publiczności, starania Ryxa posiadającego przywilej, własna chęć wreszcie, skłoniły króla, że dał pół miliona złotych na budowę teatru. Stanął on prędko; ale nieszczęściem dla sceny narodowej znalazł się znowu cudzoziemiec, Włoch Bizesti, któremu Ryx wypuścił przedsiębiorstwo, do którego przyłączone były i widowiska polskie. Szły one jako tako, utrzymując się głównie operetkami, kiedy ni ztąd ni zowąd najlepsi aktorowie, Owsiński i pani Truskolaska z mężem, porzucili Warszawę i przenieśli się do Lwowa; ubytek ich nie dał się niczem nagrodzić; dyrekcya musiała się ograniczyć do dawania małych nieznaczących komedyek. Na domiar złego, przedsiębiorca Bizesti, nieźle podobno zbogacony, ogłosił bankructwo (podstępne). Aktorowie polscy chcieli prawnie dochodzić na nim swoich pretensyj, kiedy wdał się w sprawę Ryx, protektor Bizestiego, a mając teatr w ręku, mógł dyktować warunki. Jakoż, zapowiedział, że jeżeli skwitują natychmiast dawnego przedsiębiorcę ze wszystkich swoich należytości, on im jako stowarzyszeniu wypuści teatr za opłatą piętnastu dukatów od widowiska. Propozycya była twarda, ale proces długi, kosztowny, i nie pewny, a że trzeba było grać, iżby żyć, zgodzili się.

Bogusławski, który po bankructwie Bizestiego był się udał za Owsińskim i Truskolaskimi do Lwowa, powrócił do Warszawy podczas tych układów i zachęcony przez stolnika Moszyńskiego i przez samego króla, objął dyrekcyę nad swoimi kolegami i nad teatrem.

Doświadczenie było go nauczyło, że opera jest wielką dla publiczności przynętą, postanowił więc dawać włoskie łatwiejsze opery po polsku i zapowiedział znaną z dawniejszych lat i bardzo w Warszawie ulubioną Fraskatankę. Śmiech niechętnych, obawy przychylnych, niespokojność samego króla, żeby aktorowie polscy nie wystawili się na śmieszność, nie zdołały

odwieść go od zamiaru; dał Fraskatankę, sam wystąpił w niej jako Basso Buffo, i spolszczona włoska opera znalazła ogromne powodzenie. Za pierwszą poszły inne, rzeczy stały doskonale, kiedy znowu z jasnego nieba strzelił piorun. Pod pozorem, że stowarzyszenie artystów nie umie porządnie prowadzić przedsiębiorstwa, Ryx oddał je, nic nie mówiąc, księciu Marcinowi Lubomirskiemu. Sławny ten hulaka, awanturnik i utracyusz kolosalnego majątku, objąwszy rządy, utrzymał wszystko na swojem miejscu, Bogusławskiego na dyrektorstwie, sam niebawem wyjechał, zostawiając swego komisarza jako zastępcę i zawiadowcę teatralnej teatralnej kasy. Kiedy aktorowie udawali się o gażę, odpowiadano im, że książę na Szląsku żeni się z jakąś bardzo bogatą Niemką i że zaraz po ślubie wszystko wszyskim wypłaci. Czekali sześć tygodni, po których odebrali uwiadomienie od Ryxa, że książę przedsiębiorstwo swoje złożył. Śpiewacy, tancerze, Niemcy, rozpierzchli się zaraz po świecie; pozostałych Polaków rozkazano Bogusławskiemu zorganizować na nowo i objąć przedsiębiorstwo teatru. Do rozkazu dołączył król i zasiłek, i biedny aktor, zostawszy przedsiębiorcą, od tej chwili jak mówi przez lat trzydzieści nie miał ani jednego dnia spokojnego (1784–1814).

Nie możemy tu wchodzić w szczegóły jego wędrówek, zawodów, kłopotów, i niektórych, ale nie trwałych, chwil lepszego powodzenia. Musimy poprzestać na zapisaniu, że przez wszystkie te lata następują one jedne po drugich, a Bogusławski z trudem i mozołem utrzymuje i kształci polski teatr. Lata, które on uważa za najlepsze dla siebie i w ciągu których tłómaczy, przerabia, lub sam pisze sztuki, które ceni najwyżej, nastąpią po otwarciu Czteroletniego Sejmu.

III.

Zmiana w usposobieniach. Przewaga uczucia. Zwrot w poezyi. Liryzm. Kniaźnin. Rodzaj i stopień talentu. Pierwiastki jego poezyi. Poprzednik romantyków. Stosunek do Czartoryskich. *Balon*. *Rozmaryn*. *Cyganie*. *Matka Spartanka*. Karpiński. Pamiętniki. Wizerunek własny. Rodzaj charakteru. *Powrót z Warszawy na wieś*. Bezwiedne udawanie. *Żale Sarmaty*. *Laura i Filon*. Psalmy. Pieśni pobożne. *Judyta*. Początki Woronicza. Forma. Charakter religijny i patryotyczny. Pierwszy zwrot do przyszłości.

W miarę jak się postępuje z latami i zbliża ku końcowi XVIII wieku, spotyka się ludzi nowych, pokolenie wielce od dawnego odmienne. Starsi poeci, Krasicki, Naruszewicz, Trembecki, rodzili się za czasów saskich, byli młodymi, ale dorosłymi, kiedy Stanisław August zasiadał na tronie. Rośli oni pod wpływem innych czasów i innych ludzi. Dla nich wrażeniami młodości, pod któremi formuje się dusza i przyjmuje stałe kontury na całe życie, były dążności Leszczyńskiego, które się wtedy dopiero na prawdę rozkrzewiły i przyjęły, kiedy jego sprawa była już przegraną, reforma Konarskiego, a tłem i zarazem granicą ich pojęć i życzeń, było wewnętrzne odrodzenie Polski przez oświatę, silny rząd, dobrą administracyę i t. d. Byli zaś wszyscy latach ostatecznego dojrzewania, kiedy przyjście Stanisława Augusta rokowało im, że spełni się to wszystko, czego pragnęli. Dojrzewały więc i tężały ich umysły i dusze w spokoju i pewności, w rów-

nowadze, której nic nie psuło; zawody, smutki, wątpliwości i nieszczęścia, spadły na nich później, kiedy już te umysły i dusze były zupełnie odlane, tak, że nie mogły się przymieszać do metalu. Ztąd ten u nich spokój, to posiadanie siebie, które dla nas trudnem bywa do zrozumienia, i które nieraz wydaje nam się chłodem i obojętnością.

Ten wpływ wybił swoje piętno na grupie starszych poetów Stanisławowskich, nadał im ten spokój, ten rozum, ten charakter dydaktyczny i satyryczny, przeważnie rozumowy, który mają wszyscy, i który sprawia, że ich uczucie, zostające zawsze na drugim planie, wydaje nam się błyszczeć nieobecnością.

Ale pomału podrastali młodsi pod odmiennymi wrażeniami i wpływami. Chłopiec, którego pierwszem dziecinnem wspomnieniem, jak Niemcewicza, było, że z Warszawy wywieźli jakichś senatorów i że jego matka, wyczytawszy to z listu, zemdlała; chłopiec, który w latach, kiedy się zaczyna myśleć, słyszał nie o tem już, czy lepiej znieść *Liberum Veto* lub je zatrzymać, nie o tem, czy wychowanie publiczne postanowić trzeba tak lub inaczej, ale o tem, że Rzeczpospolita *de facto* straciła niepodległość, skoro posłowie rosyjscy rozkazują, a król i sejmy słuchać muszą; że reformom zamierzonym Repnin kładł tamę jedną notą swojego dworu; że po całej przestrzeni kraju biły się oddziały konfederatów, a wreszcie, że jednego dnia, nawet bez wojny, Polska ujrzała się mniejszą o jednę trzecią część swojej ziemi; taki chłopiec kształcił się inaczej. Wrażenia najsilniejsze, wpływy stanowcze, padały już nie na rozum, ale na uczucie; ono było tą władzą duszy, która w tych wypadkach pierwsza przyjmowała zewnętrzne wpływy i najsilniej w nich działała, która była w nieustannym ruchu i musiała coraz nowe rzeczy obejmować, przeciw coraz nowym oddziaływać. Nastaje więc w skutku tego w całym narodzie zwrot i zmiana; władza uczucia się wzmaga, potężnieje, i odbija się na

wszystkiem, na wypadkach i na pismach, na czynnościach i objawach zbiorowej duszy narodu i w objawach jednej duszy każdego osobnego człowieka.

A trzeba jeszcze dodać, że jak stan kraju wprodził ową generacyę w ten kierunek, tak utwierdził ją w nim prąd ogólny europejski. Racyonalizm i realizm tak nadużył swego życia i panowania, że się zużył. Dusza ludzka potrzebowała i musiała upomnieć się o swoje prawa, przypomnieć że jest. Zaczęła się protestacya ducha przeciw materyalizmowi; podniósł ją Rousseau, inni stanęli do tej samej walki, a choć dawna doktryna nigdy na pozór nie była silniejszą, choć żyli wszyscy jej mistrze i liczyli mnóstwo adeptów, jednak była już podminowaną wszędzie. Już młodsze pokolenia wierzyć w nią nie chciały i przysięgli jej nienawiść, i kiedy dawny kierunek odprawia ostatnie swoje saturnalia, nowy wydaje już pierwsze swoje kwiaty i owoce.

Zwrot ten szlachetny, widoczny w całej Europie doprowadzony do najwyższego szczytu w Niemczech (Schiller), zjawia się wyraźnie i u nas. W starszych naszych poetach, przy całym ich znakomitym talencie, uderza zawsze jeden brak: wyższego podniesienia ducha. Teraz nastaje zmiana. Poezya, wskazówka, możnaby powiedzieć barometr, moralnej atmosfery narodów i czasów, wstępuje nieśmiałym i chwiejnym krokiem w ten kierunek idealny, wzniosły, duchowy, w którym wytrwała i w którym wypowiedziała swoje najwyższe słowa. Ta wysoka piękność moralna, ta wzniosłość duszy, która jest kamieniem węgielnym wszelkiej poezyi wielkiej i prawdziwej, a która z naszych wielkich poetów bije jak aureola wewnętrznego światła, ta zjawiać się zaczyna w ostatniej ćwierci XVIII wieku. Zrazu, prawda, jest to tylko świt, i to świt bez rumieńca, szary, bezbarwny, bardzo skromny, ale jest. To wyższe podniesienie ducha potrzebuje długich i długich lat, żeby sobie wyrobić wyraz godny siebie; zrazu go nie znajduje, ale go już przeczuwa

i szuka. Na naszym świecie nawet ideał nie stanowi wyjątku od wspólnego prawa, i musi po szczeblach iść coraz wyżej, aż dojdzie do swojej doskonałości — pokolenia, nieraz wieki, muszą go czcić, kochać, przeczuwać, kształcić, zanim nareszcie przyjdzie ktoś taki, kto go za wszystkich znajdzie i powie: oto jest.

Podobnie było i z naszą poezyą. Wielu musiało cierpieć, czuć, kochać, zachwycać się, zanim jeden za wielu i za wszystkich wydał *Pieśń Wajdeloty*, *Tadeusza* lub *Psalm Dobrej Woli*. Ale ten postęp, to dążenie w górę już się zaczyna w chwili, o której mówimy. Ten moralny i patryotyczny ideał, który w naszym wieku znalazł swój najwyższy poetyczny wyraz, już się począł w uczuciu i w duszy, już istniał, choć się nie umiał w zupełności objawić. Wszystko, co stanowi moralną piękność i wielkość poezyi naszego wieku, wzniosłe pojmowanie Boga, ojczyzny i człowieka we wszystkich jego uczuciach, obowiązkach i stosunkach, wszystko to już jest, choć się godnie wyrazić nie może.

Prawdziwy „świt bez rumieńca”. Poeta, który pierwszy stoi w tym szeregu, to postać bardzo skromna, zdolność dość mierna, ani do porównania z Krasickim i Trembeckim; wdzięczna i pociągająca właśnie tylko tą swoją skromnością, tem, że nieraz niedołężnie i słabo wypowiada to, co ma na sercu; ale to, co powiedzieć chce i próbuje, jest szlachetne i piękne. Napisał o nim ktoś bardzo trafnie i słusznie, że ma więcej duszy niż zdolności. Nic prawdziwszego. Można przeczytać wszystkie tomy poezyi Kniaźnina, a nie znaleść w nich nic, coby człowieka zachwyciło, niewiele coby go zajęło i podobało się prawdziwie. Ale znowu nie można prawie znaleść w tym całym zbiorze jednego wierszyka, któryby nie zbudował, a nieraz i nie rozrzewnił, tak każde jego uczucie jest szlachetne, piękne, tyle tam dobroci, delikatności, głębokiej czci dla wszystkiego, co czci warte. Tak się tam znaj-

duje w zarodzie to wszystko, co się wielbi i czci w poetach wielkiej epoki, że choć się talent nieraz osądzi mdłym i słabym, zawsze się przecież powie: Co za piękna, szlachetna dusza!

Jest to zjawisko naturalne, że kiedy kierunek taki, jak wyżej opisany, zaczyna brać górę w jakiemś społeczeństwie, objawi się on w literaturze naprzód poezyą liryczną. Pierwiastek liryczny przeważa we wszystkich poetach te epoki, która się poczyna od odrodzenia poezyi w Niemczech, a kończy z pierwszą połową naszego wieku; nawet ich poezya dramatyczna i epicka przesiąkła jest tym pierwiastkiem, a co jest prawdą o wszystkich poezyach tego czasu w Europie, to zwłaszcza jest prawdą o naszej.

Otóż ten żywioł liryczny, który w niej tak silnie przemaga, występuje po raz pierwszy w poezyach Kniaźnina. Dawno już nie widziano w Polsce poezyi tego rodzaju; wiersz czuły, rzewny, tęskny, był w wieku XVIII taką nowością, jak gdyby go przedtem nigdy nie było, i dlatego może trafiał do serca, choć mu było daleko do doskonałości. A potem, choć w naszych oczach dość mdłe, były one w swoim czasie tak odmienne od wszystkiego, co dotąd widziano, że musiały przez sam efekt przeciwieństwa wydać się nowe, oryginalne, wdzięczne. Po sposobie, w jakim Trembecki mówił o swoich ogniach i wielbił ich przedmioty, sposób, w jaki Kniaźnin wzdychał do Kloryndy lub Klimeny, ten sposób sentymentalny, czuły, tkliwy, te nieśmiałe westchnienia, błagalne spojrzenia, to uszanowanie, z jakiem on całował ich ślady na piasku, kiedy tamci bez ceremonii opisywali i opiewali ich wdzięki i powaby nawet najbardziej zakryte, wszystko to musiało robić wrażenie. Musiały je robić i te nierzadkie wiersze treści religijnej, przejęte istotnie żywą wiarą i żywem uczuciem; a cóż dopiero po satyrycznych lub gromiących wierszach tamtych, wiersze patryotyczne Kniaźnina, w których niema nigdy sarkazmu, a zawsze

w imie miłości ojczyzny poważne i gorące nawoływanie do cnoty, do sławy, do poświęcenia, do bohaterstwa.—Sam ten ton musiał już przemawiać podówczas do uczucia. Dla nas tkliwość jest blizkoznaczną ckliwości; ale wtedy, dla ludzi, stęsknionych do uczucia w poezyi, tkliwość była pierwszem żądaniem, a poeta tkliwy spełnił wszystko, czego od niego żądano.

Poezye liryczne Kniaźnina liczą się na księgi i tomy; są pomiędzy niemi religijne, miłosne, przygodne, patryotyczne, pochwalne, ody, elegie, hymny: morze liryzmu, które przebrnąć i zgruntować trudno, a o którem tylko ogólnymi rysami i wyjątkami można dać wyobrażenie. Otóż, co przedewszystkiem w tych poezyach uderza, to pewna jednostajność i wielkie jednych do drugich podobieństwo. Można przeczytac wszystkie, niekiedy zastanowić się nad jednym lub drugim ładniejszym ustępem, ale niebawem przydzie drugi, trzeci i dziesiąty taki sam, tak, że mieszają się w pamięci, i w końcu zapomina się nawet, w którym to wierszu tego ustępu szukać. Tak są do siebie podobne, że się ich prawie nie rozpoznaje, że się zapomina nawet tytuły, a ze wszystkiego zostaje tylko jakieś wrażenie jednostajności, myśli i uczuć powtarzających się nieustannie, tonu, który wiecznie powraca. Jest to tak, jak gdyby się patrzało na fale; zrazu widzi się każdą z osobna w jej odrębności, ale kiedy ich przyjdzie tysiąc jedna po drugiej, a wszystkie takie same, zaciera się wrażenie i pamięć każdej z osobna, a zostaje tylko wspomnienie regularnej jednostajności ich kształtu, ruchu i odgłosu. Jego wiersze miłosne, nie mówiąc już o pierwszych erotykach, których w sąd wciągać nie należy, skoro poeta sam się ich wstydził i żałował i uważał je za odstraszający przykład dla młodych poetów, zbyt porywczych do pióra, nie mówiąc o tych grzechach młodości i niewiadomości, późniejsze, te, które wszyscy koło niego i on sam uważali za dobre, są najwymowniejszym tego przykładem.

Wszędzie to samo uczucie i ten sam rodzaj uczucia, zawsze ta sama skarga na okrutną Klimenę lub ta sama nadzieja, że Filis będzie łaskawszą, ale nigdzie skargi żywszej, namiętnej, takiej, którąby się wbiła w pamięć, nigdzie takiej nadziei, żeby do niej serce czytelnika zabiło. Ta nieodmienna czułość, ta pełna respektu tkliwość, te same zawsze jawory, jesiony, lilie, narcyzy, mirty, gaje, zdroje, wieńce, ten niczem nie zmącony blado różowy kolorek jego cierpień, westchnień i zachwytów, na którego tle jednostajnem nigdy żaden żywszy kolor nie odbija, to główna wada tej poezyi.

Możeby się nam to nie wydawało tak mdłem, gdyby nie nieszczęsny, a tak wówczas modny i zwyczajny zakrój pasterski. Ckliwy Karpiński tak go nadużył, tak rozpowszechnił, że dziś, jak tylko zobaczymy zdaleka Filona i Filis, odwracamy się czemprędzej z niesmakiem i przesytem. Otóż biedny Kniaźnin także hołduje temu opłakanemu uprzedzeniu, i uważa za potrzebne prawdę swoich uczuć maskować i przebraną po pastersku stawiać w obrazie, w który, jako dekoracye, wchodzą jawory, baranki, kwiaty i t. d. I cóż z tego? Oto uczucie, choć prawdziwe, w tem przebraniu traci swobodę, jest nie swoje, przymuszone i wydaje się sztucznem; a okrutne Klimeny, niewdzięczne Kloryndy, zdradliwe Lindory, tkliwe Temiry, wszystkie do siebie podobne, może bardzo urocze dla tego, kto się w nich kochał, obojętnemu muszą się niebawem sprzykrzyć. Jeszcze gdyby ich było mniej, możeby łatwiej zdołały zatrzymać jego uwagę i przeciągnąć go na swoją stronę. Ale biedny Kniaźnin, jak świadczą wszyscy współcześni, miał serce bardzo miękkie i czułe; zakochanie było mu przez całe życie potrzebne, jak powietrze i pokarm. Jeżeli Klimena nie chciała dzielić jego zapałów, żalił się i płakał, dopóki tkliwe serce nie zapragnęło pociechy i nie zaczęło nieznacznie cieszyć się nadzieją, że Chloe może będzie łaskawsza. A że biedny

*

poeta powabnym nie był wcale, że poczciwe i delikatne uczucia jego serca połączone były z powierzchownością zaniedbaną i niezgrabną, z naturą moralną, która wzbudzała szacunek i przyjaźń, ale nic więcej, więc Chloe była tak samo obojętną, jak jej poprzedniczka i powtarzało się to samo, te same skargi i żale, które znowu przechodziły w te same nadzieje znowu jeszcze raz zawiedzione, i tak przez całe życie. Jest więc biedny Kniaźnin typem człowieka nieszczęśliwego w miłości, całe życie kocha, wielbi, wzdycha, jęczy, prosi, błaga, przysięga, że żaden czulej od niego kochać i bardziej się poświęcić nie zdoła, wszystko napróżno! Zazdrosna natura odmówiła mu szczęścia i geniuszu podbojów, wszystkie po kolei Klimeny były na jego prośby głuche i nieczułe jak głazy.

O jednostajności jego wierszy już się powiedziało; dodawszy do tego, że jego wiersz daleki jest od piękności wiersza Krasickiego lub Trembeckiego, wyczerpałyby się niedostatki.

A teraz, co do zalet i przymiotów: zapewne najpiękniejsza dusza, najszlachetniejsze uczucia, nie stanowią jeszcze poety. Można mieć w duszy ideał, świętość, bohaterstwo, a z tem wszystkiem pisać najgorsze wiersze; to też nie bez obawy przychodzi powiedzieć, że właściwie wartość poezyi Kniaźnina polega w jej stronie moralnej, w piękności uczuć i duszy. A jednak łatwo zrozumieć, że ten rodzaj pochwały, choć nie daje wysokiego wyobrażenia o poetycznej wartości jego pism, jest rzeczywistą i nie do pogardzenia pochwałą. Nie jest to rzecz mała powiedzieć o człowieku, że choć talent miał mierny, jednak wyobraża w sobie ogólne podniesienie i wyszlachetnienie ducha w narodzie, i że jest między poetami pierwszy, który to wyobraża. A to o Kniaźninie śmiało można powiedzieć. Jego poezye liryczne dzielą się na trzy grupy, podług trzech uczuć górujących w jego duszy, podług trzech miłości, Boga, ojczyzny, i... i miłości. Otóż, w każdem z tych

uczuć jest on wyższym od swoich poprzedników. Co do Boga naprzód, przypomnijmy sobie wiersze treści religijnej Krasickiego lub Naruszewicza. Czy nie prawda, że mówili oni o Bogu tym tonem przyzwoitym, z tem konwencyonalnem uznaniem, z jakiem mówimy o władzy, przeciw której nie chcemy się buntować, o rządzie, który uważamy za potrzebny i lepszy od innych i który szanujemy bez przywiązania, uznajemy trzeźwo bez zapału. Kniaźnin inaczej. Dla niego ten Bóg nie jest tylko koniecznym, a dalekim i mało znanym rządcą świata, jest zarazem konieczną potrzebą jego duszy, jest nieodstępnym towarzyszem jego życia, którego ciągle koło siebie czuje, o którym ciągle myśli, który mu jest ustawicznie przytomny. To też kiedy tamci mówią o Bogu z uszanowaniem chłodnem i ceremonialnem, on jest nierównie śmielszy, poufalszy, ale i czulszy, mówi o kimś, kogo dobrze zna i kocha. Jego wiara jest głęboka i prosta, jego uczucie gorące. Żadnemu ze współczesnych nie byłoby przeszło przez myśl, że pomoc Boska może mu być potrzebną do poetyckiego tworzenia; Kniaźnin na czele swoich wierszy kładzie Odę do Boga i wzywa jego pomocy jako natchnienia w strofie prawdziwie pięknej:

Uczuciom moim Ty dodaj mocy,
Światła pojęciom, obrazom ducha etc.

Niewiele sam pisze wierszy religijnej treści, ale przekłada i parafrazuje wiele psalmów, i wcale szczęśliwie, nie tak miękko, nie tak gładko i wymuskano jak Karpiński, ale poważniej, i wybiera, po większej części te, które się odnoszą do ucisków Izraela, jego niewoli i oswobodzenia.

Co do pojęcia miłości i kobiety, różnica jest uderzająca. U Trembeckiego i Węgierskiego miłość ma tylko jedno znaczenie, rozkoszy, a każdą kobietę tylko z tego punktu widzą i wychwalają. W ich wierszach

żadna kobieta nie jest czystą, każda albo nią być przestała, albo powinna przestać. U Kniaźnina przeciwnie, kobieta jest zawsze czysta i nietknięta, on sam, a za nim jego czytelnik, schyla głowę przed jej godnością; Klimena i Chloe nieraz wydaje się nudną w jego wierszach i niecierpliwi, ale ideał stoi wysoko i wysokie jest uczucie, które wzbudza.

Miłość ojczyzny wreszcie, choć się tak nie umie wyrazić, jak przez usta Mickiewicza, ma jednak zakrój zapału, poświęcenia, bohaterstwa, cnoty. Naruszewicz albo Trembecki, którzy obadwaj po rozbiorze popadli prawie w obłąkanie, niemniej zapewne kochali ojczyznę jak Kniaźnin, którego jej upadek wprawił w obłąkanie zupełne, ale w poezyi swojej nie mieli tej patryotycznej egzaltacyi, która jest w wierszu *Do ojczyzny* lub w niejednym ustępie *Spartanki*. On rzeczywiście już stoi na najniższym szczeblu tej drabiny, u której szczytu jest Mickiewicz, ale na tej samej drabinie. Źródła natchnienia są te same, uczucia są te same, a nieraz nawet zdarzy się u niego coś, co wygląda, jak zapowiedź poezyi romantycznej (*Matka Obywatelka*, *Do Czempińskiego*, wiersz, w którym czarownice przemawiają językiem, przypominającym cokolwiek Ballady Mickiewicza). Nawet droga kształcenia się jego jest już podobniejsza do sposobu, w jaki wyrabiali się romantycy, niż do estetycznego *Credo* poetów Stanisławowskich. Literatura niemiecka i angielska nie wpłynęła na niego wcale, zdaje się, że ich nie znał, ale nie wpłynęła też także francuska, którą znał i którą cała Polska wielbiła i naśladowała. On nie, i on pierwszy. Jeżeli szuka wzorów i pomocy, to albo u starożytnych albo u Kochanowskiego i Szymonowicza, a nieraz umie naprawdę zaczerpnąć natchnienia z życia wiejskiego ludu. Mickiewicz tłómaczy wielkość Kochanowskiego tem, że znalazł trzy prawdziwe źródła natchnienia: uczucie religijne, rodzime uczucie ludu i klasyczną starożytność; on sam do tych źródeł przez całe życie po-

wracał. Kniaźnin, który także do nich trafił, stoi pomiędzy nimi dwoma, a choć z żadnym mierzyć się nie może, choć nie wielki poeta, jest już przecie rodzimym i oznacza nawrót naszej poezyi na drogę, którą była opuściła. Towarzystwo Przyjaciół Nauk długo jeszcze iść będzie drogą Krasickiego i Trembeckiego, ale poeci romantyczni znajdą się na tej zarosłej ścieżce, na którą wszedł teraz Kniaźnin sam jeden, wiedziony jakiemś szczęśliwem przeczuciem, które mu mówiło, że to droga prawdziwa.

Co o Kniaźninie słusznie można powiedzieć, to, że jego Muzą jest tak zwana, za Augusta III i w początkach Poniatowskiego, *Familia*. Największa część jego poezyj, czy to ulotnych, czy większych, albo odnosi się do czegoś, co Czartoryskich obchodzi, albo powstaje z ich natchnienia, albo przynajmniej im jest przypisane. Z Kniaźninem w ręku można iść w ślad za młodem pokoleniem Czartoryskich, od kolebki aż do lat młodzieńczych, do czasu, kiedy biedny poeta przestał pisywać.

Z większych poematów, wziętych z puławskiego życia, najdawniejszym jest *Balon*, poemat opisowo-komiczny w dziesięciu pieśniach. Sięga on jeszcze bardzo młodych lat ks. Adama i ks. Wirtemberskiej, którzy, zostawieni raz w Puławach pod dozorem różnych ochmistrzyń i nauczycieli, a wyczytawszy w jakiejś gazecie o puszczonych w Paryżu przez Montgolfiera balonach, wielce tą nowością rozciekawieni, spędzali wieczory na wymyślaniu, klejeniu i ozdabianiu balonu. Robota ta, którą zajęte było młodsze i starsze towarzystwo, opisana jest w tym poemacie. Autor wie, że pisze fraszkę, nie przywiązuje do niej wagi, pisze ją z dobrym humorem, dla zabawki; nie marzy mu się o tem, żeby jego poemat podobał się czytającej publiczności, tylko żeby zabawił robotników balonu i jego samego. Nie sadzi się nawet na dowcip, nie parodyuje poematów bohaterskich, ani nie naśladuje heroi-komi-

cznych, pisze po prostu, bez pretensyi, na żart, i dlatego, choć jego *Balon* nie ma wartości, nie jest tak niesmacznym, jakby być mógł, a nawet powinien.

Rozmaryn idylliczno-sentymentalny nie ma tych samych zalet prostoty. Gałązka ze ślubnego wieńca ks. Wirtemberskiej wszczepiona w ziemię, wyrosła na krzak, który później dostarczył rozmarynu, na wieniec dla jej przyjaciółki, wychowanej w Puławach, Konstancyi Narbuttówny (pani Dembowskiej). Jest to długie, czułe, pasterskie i mdłe. Ale na tem nie koniec. Wszelkiego rodzaju uroczystości i zabawy były integralną częścią puławskiego życia, a wśród balów maskowych i nie maskowych, wśród balów wiejskich na kępie, żywych obrazów i t. d. dla samej odmiany musiały trafiać się i przedstawienia teatralne. Koszta ich opędzała Muza Kniaźnina; on miał dostarczać sztuk i łamać sobie głowę nad tem, żeby sztuka była stosowną i do okoliczności, w jakiej miała być graną, i do gustu, wieku, nawet do liczby osób, które grać miały. Arcydzieła nie zwykły powstawać na zawołanie, a Muza, która musiała przykrawać sztukę podług życzeń lub możności aktorów, pamiętać o tem, żeby i ten i ów i trzeci i dziesiąty mógł wyjść na scenę i kilka słów powiedzieć, musiała czuć się nie swoją i skrępowaną, zwłaszcza, jeżeli jej zapowiedziano z góry, że sztuka ma być albo wiejska, albo grecka, idylliczna albo patetyczna, podług tego, co aktorowie grać mieli ochotę. Otóż dziwna rzecz, że te sztuki Kniaźnina, w takich warunkach pisane, są wcale ładne. Dramatami ani komedyami nie są bynajmniej; dramatyczność ich jest tak naiwna i pierwotna, że dziwna rzecz, jak jego aktorowie i on sam mogli się tem zadowolić. Naprzykład: jedna matka ma trzy córki, te córki mają trzech kochanków, a oprócz tego dwie starsze dwóch zalotników, których nie chcą. Córki robią robotę, a patrzą w okno, czy nie idzie kochany Stach albo Filon, matka udaje, że je łaje surowo, a w sercu mówi sobie, że dziewczęta dobrze robią, bo

to dobre chłopcy. W końcu wszystkie trzy wydaje za trzech parobków, i to jest *Troiste Wesele*, opera.

W przedmowie autor przyznaje, że to jest dość mierne, ale dodaje naiwnie, że „choć sam nie wie dlaczego, podoba mu się to jednak, i dosyć". Otóż czytelnik doświadcza czegoś podobnego, lubi ten obrazek, choć nie wie zrazu dlaczego. Ale dojść łatwo: jest w tem coś prostego, coś naturalnego i prawdziwie wiejskiego, tak, że czasem zdaje się, jak gdyby zalatywał z tego zapach tego zboża, które zbierają Żeńcy Szymonowicza. Na nim to, nie zaś na łacińskich i francuskich idyllach kształcił się Kniaźnin, na nim i na czemś więcej, na żywej naturze... Znać w tej sielance, że widział i znał wieś, że znał jej język, słyszał, jak ona wyraża to, co myśli. Wie się, że się jest na wsi w Polsce; i gospodyni, i dziewczęta, i parobki są prawdopodobni, a choć się wyjątkowym wdziękiem nie odznaczają, ale żyją.

Podobnego rodzaju jest perła całej poezyi Kniaźnina: *Cyganie*. Dramat? Nie. Komedya? Także nie. Opera? Chyba dlatego, że jest w tekscie kilka śpiewek; i ktoby chciał sądzić *Cyganów* jako dramat, komedyę, albo operę, ten zapewne ruszyłby pogardliwie ramionami, miałby łatwy tryumf i doskonałą sposobność pokazania swojej krytycznej mądrości na biednym Kniaźninie. Ale wziąwszy tę rzecz ze strony prawdziwej, i powiedziawszy sobie, że ją trzeba sądzić jako sielankę dyalogowaną i ułożoną w sceny, znajdzie się, że to rzecz naprawdę ładna, a choć prawie zapomniana, może ładniejsza od takich, które do dziś dnia odbierają tradycyjne hołdy. Przed laty wyniosła Cyganka dwoje dzieci z pustej chaty, wychowała jak swoje i jak swoje kocha. Żyją one w tej bandzie Cyganów i jej życiem, chłopiec nawet kradnie z niepospolitym talentem, ale im się to życie przykrzy; żyć z cudzej szkody, to jakoś nie ładnie, i gdyby nie matka, którą bardzo kochają, porzuciliby Cyganów. Matka, Jawnuta, używa

ogromnej powagi nietylko pomiędzy Cyganami; ludzie z całej okolicy ściągają się do niej po wróżby i leki. Pomiędzy innymi przychodzi stara kobieta prosić o lekarstwo dla chorego męża; widzi dzieci Cyganki — jej dzieci byłyby w tym samym wieku. Co się z niemi stało? Sama nie wie. Po pierwszym rozbiorze poszła na odpust do Częstochowy; wróciwszy, już ich nie zastała. Cygankę rusza sumienie; wie ona, że to te same dzieci, a choć się do nich przywiązała jak matka, oddaje rodzicom. Jest naturalnie i romansik. Młoda Cyganka podobała się synowi wójta ze wsi; chłopak ustawicznie w lesie u Cyganów, wójt się gniewa, bije, nic nie pomaga. W końcu oczywiście błogosławi, kiedy się pokazało, że Cyganka jest córką jego kuma.

Pierwiastku dramatycznego niema w tem nic, ale ruchu, wdzięku, prawdy jest wiele. Wójt jest prawdziwy wójt, parobek jest prawdziwy parobek, Cygan jest żywy Cygan. Są nawet sceny pełne życia i humoru, naprzykład kiedy Cyganie wracają z nocnej wycieczki, przynoszą łupy bogate, i opowiadają swoje przygody; albo kiedy wracający z jarmarku podchmieleni chłopi dziwią się proroczym darom Jawnuty, która im mówi tylko to, co widzi i co każdy wie. Rozmowa zaś Jawnuty z Ewą, opowiadanie tej ostatniej o zniknięciu dzieci i rozmowa obudwu o klęskach rozbioru jest bardzo ładna, bardzo prosta, a rzewna. Brodziński pożyczył od Kniaźnina tego pomysłu; w Wiesławie także jest opowiadanie o napadzie nieprzyjaciół, przy którym zginęła Halina; chciał zrobić lepiej, nie zrobił tak dobrze. Wiesław, choć o tyle bliższy czasów romantyzmu, jest nierównie więcej sztuczny i konwencyonalny, a mniej naturalny, rodzimy i swojski, niż ci Cyganie Kniaźnina, i gdyby w tej sprawie obrać za sędziego lud wiejski, z pewnością poznałby on się w Cyganach, a trudniej w Wiesławie. Byłoby anachronizmem albo udawaniem, gdyby ktoś chciał przedstawiać Cyganów dziś na zwykłym miejskim teatrze; ale wyobrazić sobie

Cyganów granych przed publicznością wiejską, a niezawodnie mieliby największe powodzenie. Opowiadanie o skradzeniu cielęcia albo egzekucya Gnusa, wydałoby się takiej publiczności szczytem komiki, a Ewa wracająca z odpustu i zastająca dom pusty, szczytem patetyczności. Jednak dobre jeszcze były czasy, kiedy poeta mógł w obrazku wiejskim umieścić taką rozmowę chłopki z Cyganką o rozbiorze; dziś żadenby tego zrobić nie mógł, nieprawdopodobieństwo byłoby zbyt rażące.

Obrazek ten stwierdza najlepiej tę prawdę, że Kniaźnin umiał szukać natchnienia w życiu ludu; ale stwierdza i rzecz drugą, to jest, że we wszystkich rozrywkach i zabawach księżnej generałowej musiała być ta patryotyczna myśl i tendencya. Tu na pozór nie było do niej pola; jednak Kniaźnin wprowadził ją bardzo zręcznie, wiążąc wspomnienia wykradzionych dzieci ze wspomnieniami rozbioru. Ale jest sztuka inna, także napisana pod inspiracyą księżnej, także grana na jej teatrze, która cała na wskroś tą myślą jest przejęta: *Matka Spartanka.* Pierwiastku dramatycznego jeszcze tu mniej niż w Cyganach. Spartanie idą do boju z Tebanami. Teona, Matka Spartanka, sama uzbraja syna, Likanora, przypasuje mu miecz, daje tarczę, *z nią lub na niej.* Bitwa pod miastem, kobiety i dzieci zostają, helota, wzorem francuskich tragedyj, opowiada im przebieg bitwy. Była ona już prawie wygraną, kiedy Tebanom przybyły posiłki, Sparta się zachwiała; Likanor wraca do miasta żądać wzmocnienia, ale choć przyszedł z rozkazu, matka nie może mu darować że plac opuścił. Idzie Likanor powtórnie, odpiera szturm od murów miasta, zwycięża, naturalnie, i wraca z tryumfem. Dziś nam się zdaje niczem, ale wtedy, dla nieprzyzwyczojonych do wzniosłej poezyi, ta Sparta, oddychająca wojną, miłością ojczyzny, bohaterstwem, robiła wrażenie na prawdę.

Kniaźnin pełen zawsze najczystszej miłości ojczyzny, pełen też był i nadziei; powstanie Kościuszki pod-

niosło te uczucia do najwyższego stopnia zapału, a gdy ono upadło, zerwała się struna tak wytężona i drżąca. Dusza czuła, kochająca, słodka i rzewna, rozprzęgła się pod wpływem cierpienia, wytrzymać go nie mogła. Ostatnie jedenaście lat życia przepędził Kniaźnin w pomieszaniu zmysłów, umarł w roku 1807. Dziwna rzecz, ci ludzie, których poezya wydaje nam się chłodną albo mdłą, których tak śmiało nieraz skarżymy o brak uczucia, nie mówili tak pięknie jak my, nie pisali takich natchnionych wierszy o Polsce, ale kiedy jej nie stało, jeden po drugim wpadali w obłąkanie i marli. Ten pomiędzy wszystkimi odznacza się wielkim wdziękiem prostoty, duszy cichej, skromnej i czułej; wielki nie jest, sympatyczny bardzo. Pierwszy u nas od Kochanowskiego poeta z kierunkiem idealnym, czuje wzniośle, choć tak jak czuje powiedzieć nie może; pierwszym też jest z poetów swego wieku, w którego miłości ojczyzny słychać już ten ton uwielbienia, ubóstwienia, egzaltacyi, który jest cechą późniejszej naszej poezyi. Pierwszy także, który z literaturą francuską niema nic wspólnego, pierwszy który natchnienia swego szuka w uczuciu religijnem i sztuczną poezyę odświeżyć i odmłodzić próbuje, zbliżając ją do natury, do uczuć pierwotnych i rodzimych, do ludu, jest Kniaźnin w swojej epoce zjawiskiem nowem i niespodziewanem, i *praecursorem* choć skromnym poezyi romantycznej. Słowo *Więcej duszy jak talentu* cechuje go wybornie i zawiera w czterech słowach charakter jego poezyi; a jeżeli dodamy do tego, że jest świtem, bez rumieńca jeszcze, ale już świtem prawdziwej poezyi, będziemy mieli na uzupełnienie słów powyższych charakterystykę jego stanowiska i znaczenia w naszej literaturze.

W tym samym czasie co Kniaźnin, przez współczesnych wyżej od niego stawiany, przez potomnych więcej znany i zapamiętany, występuje Karpiński. Jego czynność pisarska ciągnie się długo, skoro umarł dopiero w roku 1825; ale jej zenit przypada na czasy

około Sejmu Czteroletniego. To na czem dotąd opiera się najsilniej jego sława, powstało w latach przed sejmem lub niedługo po nim.

Doznaje się pewnej obawy mając mówić o Karpińskim. Wiersze jego tak się w swoim czasie przyjęły i rozpowszechniły jak rzadko; bardzo to niedawne czasy jak zeszły z tego świata ostatnie śpiewaczki jego pieśni sielankowych, i niejeden ze starszych kiedy zasypiał w dzieciństwie, brzęczała nad nim nóta sławnej sielanki „Już miesiąc zaszedł"; dziś jeszcze prawie w każdym kościele zdarzy się słyszeć „Kiedy ranne wstają zorze". Takie rozpowszechnienie poezyi świadczy za poetą i powinno być najlepszym dowodem jego wartości. A do tego, jak się przeczyta w Kursach Mickiewicza że Karpiński jest szczerszym, naturalniejszym, więcej rodzimym od Szymonowicza, że w jego Tyrsysach i Korydonach, widać najzupełniej lud wiejski i zaściankową szlachtę, że w sielance Laura i Filon, wszystko jest narodowe, polskie i swoje, że Duma o Ludgardzie jest najprostszą i najnaturalniejszą z polskich ballad, a jego Elegie i Pieśni mogą uchodzić za wzorowe i klasyczne, nie wie się, co myśleć. Oczywiście trzeba swój sąd poddać pod wyrok Mickiewicza, i pod wyrok faktu tej wielkiej popularności Karpińskiego; oczywiście słuszność musi być przy Mickiewiczu i przy *vox populi*. A jednak, cóż robić, jak się z nimi zgodzić nie można? Trzeba otwarcie powiedzieć swoje zdanie, choćby nawet narazić się na podejrzenie, że się chce bądź co bądź powiedzieć coś nowego i odmiennego. Lepiej mylić się, niż mówić nie to, co się myśli. A więc z wszelką skromnością i przypuszczeniem, że to zdanie jest mylne, powiedzieć trzeba, że ta wziętość Karpińskiego i te oddawane mu przez Mickiewicza pochwały, zdają się przechodzić miarę jego zalet i wartości.

Żale Sarmaty, są niezaprzeczenie bardzo ładne; a wiersz o *Pojedynkach* jest takim także. Tylko jego

strofy ostatnie psują wreženie i brzmią tak przykro „jak zgrzyt żelaza po szkle”. Trudno jakoś pogodzić się potem z tym wierszem, i zaufać temu poecie. Kolęda *Bóg się rodzi* utrzymała się dotąd, i słusznie; a *Pieśń Sokalskiego Dziada* może za mało jest pamiętana, przyćmiona sławą *Powrotu na wieś* i *Filona*. Ale te elegie, te sielanki, to, na czem zasadzała się właśnie sława Karpińskiego, czy to nie jest ckliwe w swojem uczuciu, a sztuczne w swojej mniemanej prostocie?

Do tego niekorzystnego wrażenia i zdania, przyczyniają się może Pamiętniki Karpińskiego. Maluje on się w nich wcale pięknymi kolorami; jest w swojem przekonaniu (a nie wątpię, że w dobrej wierze), człowiekiem prostego serca i wzniosłego charakteru, o sobie nie myślącym nigdy, najlepszym Polakiem przytem; a przez ludzi nienawidzonym, i skrzywdzonym, dlatego, że im mówił prawdę, może dlatego, że był od nich lepszym. Tymczasem te same Pamiętniki świadczą, że nie był wcale wolnym ani od próżności, ani od niemałych żądań dla siebie, ani od żółci względem innych, a nawet od złośliwej mściwości. Sprzeczność między tym ideałem siebie samego, jaki kreślić chce, a tym wizerunkiem rzeczywistym, jaki mimo woli kreśli, nie budzi w czytelniku wielkiej do niego ufności i sympatyi.

Nie można powiedzieć, żeby te Pamiętniki były zupełnie pozbawione zajęcia; najdrobniejsze szczegóły o czasach tak ciekawych muszą mieć swoją wartość, a Karpiński zachował ich nieco. Są tam wspomnienia ciekawe o Galicyi w pierwszych latach jej egzystencyi, charakterystyczne rysy nasłanej biurokracyi w pierwszem zetknięciu z butnym i nieokiełznanym żywiołem szlachecko-polskim. Gdyby więcej takich wiadomości o społeczeństwie i ludziach, a mniej anegdot o sobie, Pamiętniki byłyby bardzo zajmujące, choć może mniej przydatne dla tego Plutarcha, na którego dotąd Karpiński czeka. Na nieszczęście, są pisane dla Plutarcha.

Wszystko można, nawet pisać o sobie i swojem dzieciństwie, byle dobrze; ale Karpiński, kiedy pisze o swoich pierwszych latach, zajmuje daleko bardziej siebie samego niż swego czytelnika. Im dalej zaś, tem gorzej. Naprzykład, kiedy jest w Warszawie i styka się z całą ówczesną Polską, tak niezmiernie zajmującą, zbywa wszystko kilkoma morałami o upadku ducha, demoralizacyi, zbytkach i t. d., a opowiada tylko o tem, co się jemu zdarzyło i czego tam doznawał.

Dowiadujemu się o wszystkiem, co Karpiński komu powiedział, jak strzegł swego honoru i „o swą godność indywidualną" dbał wielce, dowiadujemy się, jak ceniono jego wiersze i osobę; zwłaszcza jak ani król ani nikt inny nie umiał się wywdzięczyć kochankowi Justyny, choć zaręczano, że on i w Warszawie kochanym będzie. Ależ w tej Warszawie musiało być wtedy coś więcej oprócz „kochanka Justyny" i coś może ciekawszego i godniejszego uwagi, niż on, dlaczegoż nam tylko o nim jednym mówi? Niekiedy ta naiwna próżność mówienia o sobie, staje się oburzającą, a niekiedy wprost śmieszną. Naprzykład, mieszkając niedaleko Grodna, ma Karpiński sposobność widywania często króla przed jego wyjazdem do Petersburga; Stanisław August przyjmuje go chętnie i rozmawia z nim poufale. Co myślał? Co mówił? Jak się sądził, jak się bronił ten człowiek w położeniu najsmutniejszem, jakie było od początku świata? Co król myślał i mówił, o to mniejsza; ale Karpiński nie mógł ani razu widzieć króla, żeby nie pomyślał, iż on w wielkiej części był przyczyną upadku kraju! Czy nie słusznie można się gniewać na te Pamiętniki i na ich autora.

A przedstawia się zawsze jako najskromniejszego najprostszego z ludzi. Niczego nie chce, niczego nie żąda — mierność, skromność, żyć prawdą na świecie i orać grzędę wśród pięknej natury i wiejskiego prostego ludu, mieć dwóch lub trzech wiernych przyjaciół, serce Justyny i lutnię, oto jego szczęście, o niczem

więcej nie marzy i niczego nie pragnie. Bardzo dobrze; ale dlaczegoż rzucił to wszystko, kiedy to posiadał na swojej skromnej, ale wystarczającej dzierżawie w Dobrowodach — dlaczego pożegnał wieś, lud, przyjaciół, Justynę, a lutni użył za talizman, który miał otworzyć złote wrota wielkiego świata, sławy, znaczenia, bogactwa? Dlaczego te wiersze posyłano ze wsi do Warszawy, a przypisywano to królowi, to generałowi ziem podolskich, to Naruszewiczowi? Filon ma ambicyę i chciałby zamienić kwiecistą łąkę na woskowaną posadzkę a *mitia poma et pressi capiam lactis* na czwartkowe obiady? Znowu dobrze; każdemu wolno dobijać się lepszego losu, sławy, imienia, tylko wtedy nie trzeba udawać filozofa, wyższego nad marności świata, i nie wygrywać na wszystkie tony swojej piszczałki, że się o nic nie dba. Nie trzeba nigdy udawać: zwłaszcza jak się aż do znudzenia powtarza, że całe życie nosiło się wiernie w sercu ostatnie słowa umierającego ojca: „Franciszku, idź prawdą”. Otóż, idąc prawdą, należało albo otwarcie starać się zaspokoić swoją ambicyę, i otwarcie przyznawać, że się dąży do lepszego stanowiska i znaczenia, albo, jeżeli się jej nie miało, zostać przy swojem i o więcej się nie troszczyć. Ale, łączyć jedno i drugie, być filozofem i poetą, pasterzem i Dentatusem, chcieć za to wszystko uchodzić, przedstawiać się takim we wszystkich pismach, a przytem niby od niechcenia spoglądać pożądliwie na złote jabłka fortuny i całe życie mieć żal do ludzi, że mu gałęzi z temi jabłkami nie przychylili, to ani poezya, ani filozofia, ani przestawanie na małem, ani chwalebna mierność, ani nadewszystko prawda. To próżność, która chce i świecić wszystkimi pozorami prostoty, surowości, filozofii i poezyi, i używać wszystkich ziemskich darów życia; próżność, zbyt próżna, aby się do tego pragnienia przyznać, ale zdradzająca się tem, że kiedy celu nie dopięła, zachowała na całe życie żal do tego świata.

Karpiński narzeka ustawicznie; od Pamiętników aż do sławnego *Powrotu na wieś*, wszystko pełne jest skargi na króla, na Warszawę, na wszystkich, z którymi miał stosunki, że go zostawili w ubóstwie. Tymczasem same jego Pamiętniki świadczą, że dalekim był od nędzy Chattertona albo Correggia. Pokazuje się więc na wielkie zdziwienie, że nie było ani ubóstwa ani krzywdy, i że jeżeli poeta się żalił to nie o to, żeby nie był miał dosyć, ale że nie miał dużo; co, doprawdy, ani poetycznie, ani filozoficznie nie było. Znać obiecywał sobie, że w Warszawie zostanie człowiekiem wielkiego wpływu i znaczenia, że zajmie w ówczesnym świecie takie stanowisko jak Naruszewicz naprzykład, a gdy to chybiło, zmierził sobie wszystko i wszystkich i wrócił do siebie, narzekając gorzko na niewdzięczność, której nie doświadczył, i wtedy napisał *Powrót na wieś*.

Rzecz, drukowana do dziś dnia we wszystkich wypisach dla użytku szkół, jako najpiękniejsza i najrzewniejsza z polskich elegij, ma jeszcze zawsze swoich wiernych wielbicieli. Jeżeli rzewnym jest każdy wiersz który utyskuje i kwili, zgoda; ale jeżeli przez ten epitet rozumie się uczucie, które się w drugiem sercu odbija, które się każe dzielić, to *Powrót na wieś* może na to nie zasłuży. Nic zwyklejszego, nic naturalniejszego jak współczucie dla poetów i z nimi; kiedy się czyta Treny, dałoby się wiele, żeby temu biednemu ojcu ulżyć i przydać mu się na co. Dla Karpińskiego, żalącego się na książki, które mu nie dały chleba, na nadzieje które go zawiodły, na ludzi, że nie są Zamoyskimi, ani Myszkowskimi i nie umieją opiekować się zdolnością i zasługą, trudno znaleść współczucie. Dlaczego? Wszak niema nic bardziej oburzającego jak krzywda i wyzyskiwanie człowieka przez człowieka? Prawda — ale, *grosse Seelen dulden still*, zwłaszcza tego rodzaju krzywdy nawet prawdziwe; utyskiwanie na tego rodzaju cierpienie nie oznacza duszy tęgiej i godnej. Cóż dopiero

jak się wie i to na podstawie zeznań samego Karpińskiego, że rzeczywistej krzywdy nie było? Wtedy ta elegia natchniona uczuciem, któreby sympatycznem nie było, nawet gdyby nie było niesprawiedliwem, wyda się z całą swoją rzewnością wylewem uczucia wcale nizkiego, w którem znać wiele rozdrażnienia i złego humoru, ale nie znać ani tej poetycznej piękności, ani tej filozoficznej wysokości uczuć, którą Karpiński z takiem upodobaniem w sobie podziwia.

I jest w tem jeszcze jedna rzecz, ludzka może, ale nigdy piękna i szlachetna, zemsta. Zemsta ukryta, pośrednia, zamaskowana, ale nie mniej dlatego prawdziwa, a tem więcej właśnie dlatego złośliwa. Cała Polska wiedziała w jakich domach Karpiński w Warszawie przebywał; czytając jego elegię, cała musiała pomyśleć, że to się ściąga do tych i tych osób, i musiała z jego słów wnieść, że był niegodnie skrzywdzonym. To łatwo mógł przewidzieć, i tak się rzeczywiście stało. *Powrót na wieś* wzięty był przez wszystkich za akt oskarżenia przeciw ks. generałowi ziem podolskich i starej księżnie Sanguszkowej, którzy też oboje uczuli to boleśnie. Cóż wtedy Karpiński? Dogodziwszy swojej żółci, pomyślał o swojem nieporównanem sercu; o niczem nie wiedział, nie pojmował jak ktokolwiek mógł to wziąć do siebie, albo publiczność do kogokolwiek to ściągać, kiedy on przecież nikogo nie nazwał! Był więc naprzód niesprawiedliwy, bo go nie skrzywdzono; potem był złośliwy, bo się za tę mniemaną krzywdę mścił; wreszcie był nieszczery, udawał lepszego niż był, chciał kosztować słodyczy zemsty, a zachować pozory gołębiej dobroci, kiedy udawał nieświadomego i niewinnego w tej sprawie. Tak zbadana moralna wartość *Powrotu na wieś* okaże się bardzo wątpliwą. Zresztą, najlepsze światło na usposobienie poety i na powód jego żalów, rzuca jego rozmowa z królem po powrocie do Warszawy; król pyta: „Cóżeśmy ci zrobili, żeś nas tak opisał?” — „To właśnie żeście nic

nie zrobili" - odpowiada sielankowy poeta, z duszą filozofa i sercem gołębia.

Co zaś najlepiej dowodzi, że owe żale, skargi, zniechęcenie i ta słodko kwaśna rezygnacya nie były prawdą, ale skutkiem nerwowego usposobienia, to, że po jakimś czasie budzi się znowu dawna próżność, i nieszczęśliwa ofiara niewdzięczności ludzkiej rzuca znowu swoje lepione ściany i wybiera się znowu do Warszawy. Cóż myśleć o tej rezygnacyi, o tej miłości wiejskiego zagona, nawet o owych zawodach i rozczarowaniach; jak wierzyć tym wszystkim uczuciom, które wypisuje w wierszach, kiedy to, co robi, daje im formalne zaprzeczenie? Nie jest ani tak zrezygnowany, ani tak spokojny, jak mówi, a pragnienie lepszego losu i znaczenia, jest silniejsze niż wszystko w jego duszy. Z tego nie można robić mu zarzutu: ale z tego można, że mówi co innego, że się przedstawia innym niż jest.

Tym razem, za drugim przyjazdem do Warszawy dostaje naprzód jakąś królewszczyznę w dzierżawę, później kolonię Kraśnik na własność. To nie niedostatek. Sam w Pamiętnikach robi bilans swojego majątku — który się okazuje dość znacznym, skoro mu pozwala kupić jakieś dobra. Kiedy się wie, jakie było położenie majątkowe Mickiewicza, i kiedy się je porówna z położeniem tego kochanka Justyny, ma się na prawdę ochotę wyrzekać na niesprawiedliwość losu względem poetów. A czy przynajmniej wtedy przestał narzekać i skarżyć się, że go nie dość ceniono i nagradzano? Bynajmniej. W ostatnich ustępach Pamiętników, kiedy jeszcze nie oschło pióro, którem napisał, że kupił majątek, znowu wraca do ulubionego tonu, znowu zaręcza, że nikt dla niego nic nie zrobił, że wszyscy o nim zapomnieli, bo całe życie szedł prawdą na świecie. Wszystko razem wziąwszy, to człowiek próżny, ceniący się bardzo wysoko, za wysoko, i szanujący się dziwnie, bo podług ceny pieniężnej, a gdy ta cena wypadła niżej niż się spodziewał, chowa ztąd żal do ca-

*

łego świata, żal, który starannie utaić usiłuje, bo wie, że to nie piękne uczucie, ale go ukryć nie może. Rzecz dziwna, ten człowiek we wszystkich swoich uczuciach przedstawia się za lepszego, niż jest w istocie, i w dobrej wierze za takiego się ma. Uchodzi on w swojem mniemaniu za naturę wyjątkową pod względem szlachetności serca i godności charakteru, i chce za taką uchodzić; ustawicznie powstaje na podłość i zepsucie drugich, a obok tego stawia swoje wzniosłe uczucia. Wniosku sam nie wyciąga, toby było zbyt wyraźnie, ale daje do zrozumienia, że jest lepszym człowiekiem, lepszym Polakiem od innych. Widzieliśmy już jak się udaje za człowieka wyższego nad wszystkie poziome względy, a tymczasem nie może tego zapomnieć, że ma tylko przyzwoite utrzymanie, jest więc pod tym względem na prawdę inny i gorszy, niż się chce pokazać. Pokazuje się zawsze człowiekiem najlepszego serca, najlepszym chrześcijaninem: tymczasem nietylko, że urazy pamięta, ale jest zdolny mścić się milczkiem za krzywdy i to urojone, a zawsze przytem podziwia sam siebie, jak gdyby mówił: „Mój Boże, patrz, jakim ja doskonały". Podobny jest i w miłości i bardzo zabawny. Tak jak skrzętnie wszystko o sobie notuje w Pamiętnikach, tak i swoich miłościach lubi mówić, i z niechcenia daje do zrozumienia, że jak był młody, nie każda kobieta mogła się oprzeć jego urokowi; przez delikatny wzgląd na potomność, która oczywiście nie miałaby spokoju, gdyby wszystkiego o nim nie wiedziała, podaje nazwiska wszystkich po kolei swoich Justyn. Ale co zabawne, to, że ten czuły i niewinny pasterz, którego uczucie tak się idealnie wydaje pod umówionym Jaworem, opowiada w Pamiętnikach sceny nie idealne wcale, sceny, w których wygląda tak jak Tartuffe, kiedy wyrzuca Elmirze, że jej suknia jest ze zbyt miękkiego jedwabiu. Ale też Tartuffe jest Tartuffe; Karpiński najzabawniejszy jest przez to właśnie. że sam się nie spostrzega jakiego rodzaju zwierzenia

robi, i jest przekonany, że był czułym, wzniosłym i zajmującym, kiedy on był tymczasem tylko pospolicie zmysłowym.

Tak samo z jego patryotyzmem. Że widzi słomki w oczach bliźniego, nic dziwnego, tkwiły tam i tramy; ale zabawny jest, kiedy zaledwo zgromił innych, sam w tej chwili robi to samo, co zrobili oni, i opowiada naiwnie, jak gdyby nie był zrobił nic złego. Opowiada naprzykład ze zgrozą, że po drugim rozbiorze był bal w Grodnie, na którym hulano w najlepsze; on nocował o ścianę i całą noc płakał. To budujące; ale cóż z tego, kiedy ten wielki patryota, ten cenzor i Kato, napisał potem wiersz pochwalny do Repnina. Trembecki, którego ze wzgardą nazywa podchlebcą, Trembecki napisał to samo, ale nic gorszego, zwłaszcza nic gorszego niż jego wiersz *o pojedynkach*: a Trembecki miał przynajmniej tę cnotę, że się nigdy za wzór cnoty nie miał. Tego rodzaju rzeczy nie są do darowania Trembeckiemu, który zmysłu moralnego nie miał: cóż dopiero temu, który go miał, który wiedział doskonale co złe a co dobre, co godne a co podłe, i który się ma i przedstawia za człowieka, który wszystko czuje lepiej od innych.

Nie tak, żeby umyślnie kłamał i był hypokrytą z zamiarem, ale to słowo wynalezione specyalnie w naszym wieku, dla ludzi, którzy udają, którzy kłamać nie chcą, ale oszukują siebie i innych, stosuje się do niego wybornie, Karpiński jest pierwszy *poseur* w Polsce. *Pozuje* w Pamiętnikach, *pozuje* w wierszach, *pozuje* w życiu, *pozuje* kiedy mówi, że niczego nie pragnie i nie żąda, *pozuje* na umysł poetyczny, na wielką i tkliwą duszę, nadewszystko *pozuje* na prostotę. Ustawicznie przesadza swoje uczucia, przygląda się sam sobie, i ogląda się czy mu się inni przypatrują. Poeta, filozof, wieśniak przestający na małem, a skarży się całe życie, że mu za mało dano; człowiek najlepszego serca, a umie lepiej się pomścić niż przebaczyć; skro-

mny niby, a ustawicznie sobą zajęty, próżny i ambitny; czuły i tkliwy nerwami, raczej niż sercem, temperamentu żółciowego i drażliwego, podejrzliwy, obraźliwy, pamiętny uraz, ukazuje się Karpiński w swoich własnych Pamiętnikach jako natura nie zła zapewne, ale na wskroś powszednia; jako śledziennik, który bierze swój zły humor za dowód wielkiego charakteru, a nerwy za uczucie, który powtarza, że całe życie idzie prawdą, a *pozuje* tak dobrze, że sam siebie oszukał i podziwiał się w dobrej wierze.

A teraz czy poeta w Karpińskim większy jest od człowieka? Rzecz nie dowiedziona. *Duma o Ludgardzie* i *Żale Sarmaty*, zapewne ładne, nie są przecież takie, żeby nie miały równych sobie, nie mówiąc już o lepszych, ale w tych samych czasach. W Kniaźnina wierszu *do Ojczyzny*, jest więcej energii, więcej uczucia, więcej natchnienia niż w *Żalach Sarmaty*. Wogóle, czy na prawdę jest tak wiele uczucia w poezyach Karpińskiego? Jest ten ton miękki, pieszczotliwy, czułostkowy, którym niektórzy lubią przemawiać do dzieci, albo do chorych; jest jakaś nerwowa skłonność do płaczu, coś mazgajskiego, ale w gruncie uczucie to dość powierzchowne i płytkie. Najłatwiej przekonać się o tem, czytając jeden i ten sam wiersz po razy kilka. Weźmy Treny Kochanowskiego, albo który wiersz Słowackiego, naprzykład *Smutno mi, Boże*; można go czytać sto razy raz po razu i nie wyczerpie się nigdy; za setnym razem rozrzewni bardziej niż za pierwszym. Dlaczego? Bo są tam nieprzebrane zasoby uczucia, takie pokłady tęsknoty, smutku, że do dna nie dojdzie się nigdy. Wiersze Karpińskiego nie wytrzymają tej próby; po pierwszem przeczytaniu podobają się więcej niż po drugiem; które już do trzeciego nie zostawia ochoty, a im więcej je czytać, tem bardziej wydają się mdłe i ckliwe. Jednostajność ta sama co u Kniaźnina, może jeszcze większa; ciągle jedno i to samo uczucie wyrażone jednym i tym samym tonem, wiecznie ta sama piosnka

wygrywana z tego samego tonu na tej samej gitarze, instrumencie płytkim bez dźwięku i siły, który pełnego tonu wydać nie jest zdolny. Brodziński w swojej mowie pochwalnej na cześć Karpińskiego w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, trafia na prawdę, tylko boi się wypowiedzieć ją otwarcie. Mówi wyraźnie, że go nie zaszczyca wytworność talentu ani śmiałość geniuszu, że pieszczotliwi i mdlejący pasterze nie mają ani prawdy ani polskiego typu, i że się „zbliżają do konwencyonalnych figur Delilla i pani Deshoulières", dodaje wreszcie, że w pieśniach wyższego uczucia jest mniej szczęśliwym, i że przerabiając przekład Psalmów z Kochanowskiego, zepsuł i przekład i oryginał. Ale zmuszony chwalić z urzędu, schodzi Brodziński na manowce, kiedy mówi, że Karpiński jest tem jako poeta uczucia, czem Krasicki jako poeta rozumu i dowcipu, albo że „jak rolnictwo jest zasadą cywilizacyi, tak poezya idylliczna jest podstawą wszelkiej poezyi". To ostatnie zdanie, to chyba rodzicielskie zaślepienie autora *Wiesława*. Pierwsze, jak równie rozwodzenie się nad rzewnością, łagodnością, skromnością uczuć Karpińskiego, to skutek obowiązkowej urzędowej pochwały. Co do reszty, ma słuszność: Sielanki i Pieśni, nawet sławny Filon i Laura, mają więcej tej natury nienaturalnej, którą wprowadził w modę Rousseau, niż prawdy uczuć i życia; to prawda co mówi Mickiewicz, że Szymonowicz był większym artystą, ale był też i więcej poetą, i więcej polskim. Najwstrętniejszy z grymasów jest grymas, udający naiwność i prostotę, a do tego grymasu wykrzywia się Karpiński nieustannie, a nawet w Filonie i Laurze, w tej sielance, która uchodzi za najpiękniejszą, Laura mówi rzeczy, które przypominają starą kokietkę, wyciągającą na komplementy: *Ale jak mi się nadarzy spleść i ułożyć* etc. A prócz tego, jedne tam stroiy należą do Horacego, inne do Kochanowskiego, jedna nawet do Moliera. Tylko piosnka, którą powtarza Mizantrop jest daleko ładniejsza jak

gdyby mi Akast dawał swe brogi. Duma o Ludgardzie i *Żale Sarmaty*, to perły jego poezyi, ale i te nie nadzwyczajnej wcale wartości i blasku.

Co do jego poezyj religijnych, to Psalmy naprzód dowdzą, że nietylko nie był zdolny pojąć potęgi i głębokości bibiijnej poezyi, ale nawet na wartości poezyi nowoczesnej poznać się nie umiał. Chciał wycywilizować Dawida, ogładzić go, dodać mu smaku, tak, żeby go mogła śpiewać Laura i Justyna, z akompaniamentem gitary. Udało się: jest to Dawid *ad usum* konwencyonalnych pasterzy i pasterek, Psalmy do gitary nie do organu, przyzwoite, wymuskane, okrzesane, tylko nie Psalmy z wielkiej duszy proroka, ale z drobnej, wątłej, mdłej duszy nowoczesnego wierszopisa. A potem te Psalmy to profanacya, świętokradztwo: on nie tłómaczył psalmów, tylko przerabiał, poprawiał Kochanowskiego! Poprawiać Kochanowskiego! Taka prezumpcya, taka zuchwała zarozumiałość, nie da się porównać z niczem, chyba z godnym jej brakiem wszelkiej znajomości rzeczy, wszelkiego poetycznego i artystycznego poczucia.

Z jego własnych religijnych pieśni, najładniejsze może są: *O Dobro Rady, Podczas Wojny* i kolęda *Bóg się rodzi*. Za wartością innych argument największy, że się przyjęły i że się do dziś dnia śpiewają. To prawda; a jednak można zapytać, czy się przyjęły tak, jak te proste pieśni bez autorów i bez sztuki. Łatwo porównać. Kiedy w kościele śpiewa się jedna z tych pieśni, jakieś „Do Ciebie Panie" lub coś podobnego, śpiewa ją chór często niesforny, ale pełny, śpiewa cały kościół; a kiedy potem nastąpi jaka pieśń Karpińskiego. np. *Zróbcie mu miejsce*, chór ten topnieje do kilkunastu głosów, śpiewa organista, kościelny, niektóre dzieci z książek, *vox populi* ustaje.

Cóż tam jest jeszcze? Jest Judyta królowa polska, tragedya w pięciu aktach; ale ta tak nigdy powodzenia nie miała, że nawet autor o niej w Pamiętni-

kach nie wspomniał, nie przyznał się do tego dziecka. Królowa ta jest żoną Władysława Hermana; zakochana w pasierbie Bolesławie, jak Fedra w Hipolicie, nie mogąc go zgubić, truje się sama. Tragedya na wzór francuski, z konfidentami, opowiadanymi epizodami i t. d., najniedołężniejsza jak być może pod względem sytuacyj i charakterów. Brodziński podnosi w niej jedno słowo szczęśliwe. Kiedy chodzi o posłanie rycerza, któryby bronił Bolesława od spiskowych, pada wybór na jakiegoś Przecława. Władysław Herman odpowiada: „*On* nie ma dzieci" (domyślne: nie uczuje mego położenia i nie będzie go bronił). Tym sposobem każdy potrafi się zdobyć na piękną tragedyę, bo to kradzione z Macbetha. Karpiński czytał Voltaira, który się unosi słusznie nad sławnem słowem Macduffa *On nie ma dzieci*, i zastosował je, tylko źle. Macduff mówi, że się nie może zemścić, bo Macbeth niema dzieci, więc nie może doznać tego, co on cierpiał, kiedy swoje potracił; ale powiedzieć, że ktoś w bitwie nie potrafi innego bronić, bo nie ma dzieci, to nie ma sensu, i głębokie słowo Szekspira traci całą swoją myśl i tragiczność.

Rozmowy Platona z uczniami zawierają oklepane ogólniki moralne, rozprawa *o szczęściu człowieka w społeczeństwie* oklepane ogólniki polityczne, rozprawa *o wymowie* oklepane ogólniki literackie i recepty na retoryczne efekty, których praktycznem zastosowaniem jest mowa na pochwałę Sobieskiego. Z całej prozy Karpińskiego wartość mają tylko Pamiętniki; historyczną nie wielką wprawdzie, ale jakąś mają zawsze, coś ciekawego i godnego uwagi się tam znajdzie. Wartość psychologiczną, jako mimowolny i nieświadomy wizerunek duszy autora, mają niezaprzeczoną, i z nich to wypływa jasna i niezbita konkluzya, że to był człowiek, zajęty sobą i w sobie rozmiłowany, więcej nerwów niż uczucia, temperamentu zgryźliwego, usposobienia wcale prozaicznego, który się miał za naturę wyższą, wyjątkową i poetyczną, a był naprawdę na-

turą wątłą i powszednią. Z rozpoznania zaś pism jego dochodzi się do wniosku, że talent był tego samego rodzaju co dusza.

W tym zwrocie poezyi, którego cechą jest liryzm, i liryzm patryotyczny, osobne miejsce zajmuje, i pierwszy oznacza pierwiastek dotąd nie widziany, Woronicz. I on także, jako młody nowicyusz jezuicki, a po kasacie zakonu jako młody kleryk i kapłan, występuje w tych latach ze swymi wierszami. Czy wyższy od Kniaźnina lub Karpińskiego? Silniejszy uczuciem, większy duszą od obu; ale talentem nie. W początkach naszego wieku uchodził za najbardziej natchnionego z poetów, a *Hymn do Boga* za najwznioślejszy z polskich wierszy. Wzniosłości uczucia i duszy, nikt nigdy nie będzie śmiał zaprzeczyć; każdy musi przyznać, że wiara i miłość ojczyzny u niego jest głębsza, niż u wszystkich współczesnych; a wiara w przyszłość ojczyzny zjawia się u niego pierwszego, i bardzo wcześnie, przed drugim rozbiorem, przed Sejmem Czteroletnim nawet. Ale żeby zdolność poety była taka jak dusza człowieka: nie, tego przyznać nie można.

Najlepszy z ludzi, najświątobliwszy z kapłanów, najżarliwszy z Polaków, tak czcigodny, że aż strach bierze wymówić jakieś słowo, któreby nie było na jego pochwałę, jednak Woronicz, trzeba to przecież powiedzieć, nie jest takim poetą, za jakiego uchodził. W *Sybilli*, w *Lechu*, w *Assarmocie*, we wszystkich drobnych wierszach, szuka się skwapliwie czegoś, coby mu pozwalało przyznać prawdziwy talent, ale znajduje się rzadko. Zdaje się, jak gdyby młodość, spędzona w nowicyacie jezuickim, była na nim zostawiła ślady na całe życie, wepchnęła go w tę ciężką drewnianą poezyę Naruszewicza, z której otrząsnąć się nie mógł do końca. Te jednakowe z biskupem smoleńskim początki, wielka sława tego jako poety za czasów, kiedy Woronicz był młody, a wreszcie mierna zdolność poetycka, sprawiły, że przyswoił on sobie opłakaną manierę Naruszewicza

i wszystkie jego nałogi. Jak tamten, nie umiejąc posługiwać się gotowemi słowami, kuje i składa inne, które mają być bardzo jędrne, bardzo dosadne, a są zawsze dziwaczne, często potworne; jak tamten studyuje poetów złotego wieku, Kochanowskiego i Szymonowicza, stara się odkraść im sekret prostoty i wdzięku, próbuje naśladować ich ton swobodny i sielski, a z nie większem niż tamten powodzeniem. Ale choć poezya jego jest do Naruszewiczowskiej bardzo podobna wadami, jest w niej jeden pierwiastek właściwy Woroniczowi, który ją od tamtej różni, i sprawia, że choć nie lepsza, jest od niej milsza, a tym jest wielka rzewność uczucia. Pod formą najczęściej sztuczną, niezgrabną, przesadną i nadętą w miejscach patetycznych, ciężką i wymuszoną w lżejszych i prostych, domyśla się człowiek przecież skarbów dobroci, czystości, miłości ludzi i ojczyzny, które się kryły w tej duszy, tak na wskróś chrześcijańskiej i polskiej, i żałuje, że to wszystko dobrze wyrazić się nie umiało.

Zkąd się wzięła ta poezya Woronicza? Zrazu, jak sam opowiada w jednym z dawniejszych swoich wierszy, które sięgają jeszcze roku 1780, (List do przyjaciela), że zawsze czuł pociąg do Muz, a obiecywał sobie nietylko, że zdoła rodzinie tym sposobem przyjść w pomoc i sobie na sławę zarobić, ale jeszcze, że

Słaby do boju, do gonitw nie prędki
Obrał spokojne życie na Parnasie,
Jako przydatne krajom w każdym czasie.

Po rozbiorze zaś, nie chodzi ani o sławę, ani nawet o upodobanie w poezyi, inna jest i jedna tylko pobudka pisania, a tą jest żal za ojczyzną. Rzeczywiście we wszystkiem, co pisał po roku 1795, niema innego uczucia, innej myśli tylko ta jedna i zawsze ta. Widocznie w jego cierpieniu nie było wytchnienia, nie było ulgi, nie było przerwy, tem tylko i w tem żył, *et noluit consolari*. Uczucie to przybiera różne formy

i ma różne tony; raz odzywa się jako cześć i miłość przeszłości, to znowu jako zgroza i klątwa na tych, którzy rozbioru dokonali, albo jako niepocieszony żal nad stanem obecnym ojczyzny, ale jest zawsze to samo; a jeżeli obok niego jest jakie inne, to chyba tylko wielka, religijna, prawdziwie święta wiara i ufność w Boga, w Jego miłosierdzie i w Jego sprawiedliwość.

Ta to inspiracya wyłącznie patryotyczna, i religijnie patryotyczna, wyróżnia Woronicza od innych poetów tak Stanisławowskich, jak Księstwa Warszawskiego, to mu nadaje odrębną cechę i stanowisko, a zbliża go do późniejszych. Bo ta wiara w sprawiedliwość Bożą jest taką, jaka o wiele, wiele później znajduje się w Krasińskim, a której nie ma żaden z poetów Stanisławowskich: ani Niemcewicz ani Koźmian, ani żaden inny. Pomimo więc słabej poetycznej zdolności, pomimo zupełnie innej szkoły, jest Woronicz przecież jednym z praecursorów nowej poezyi, jednym węzłem pomiędzy dawną a nową poezyą. Jest to Naruszewicz, ale Naruszewicz rzewny i miękki, w którego duszy odzywają się niektóre uczucia i myśli Zygmunta Krasińskiego.

———

IV.

Staszic. Charakter i pojęcia. *Uwagi nad życiem Jana Zomoyskiego.* Znaczenie i wpływ. Kołłątaj. Listy Anonima.

W pięć lat po wyrzeczonej przez sejm klątwie na dzieło Andrzeja Zamoyskiego, w trzy przed zwołaniem Sejmu Konstytucyjnego, wyszła z druku nie pozorna książeczka, która pod obojętnym tytułem *Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego*, podnosiła te same zasady, tylko posuwała je dalej, a stawiała z energią, odwagą i siłą, dotąd nie widzianą. Opinia częścią oburzona, częścią przekonana i zachwycona, szukała autora i upatrywała go w Wybickim; pomyłkę tę spowodowało niejakie podobieństwo myśli, ale też tylko to jedno, bo zresztą, każde słowo bezimiennego autora okazywało duszę wrzącą i namiętną, usposobienie nerwowe i nierówne, coś szorstkiego, apodyktycznego w tonie, co było zupełnie odmiennem od jednostajnej i trzeźwej natury i takiegoż sposobu pisania Wybickiego. Autorem był kto inny. Człowiek młody, potężnego umysłu i potężnych namiętności, a skazany fatalizmem urodzenia na sprzeczność pomiędzy tem, co zrobić był zdolny, a tem co ówczesny stan społeczeństwa robić mu pozwalał; skazany nierozważnym ślubem na powołanie niezgodne z jego duszą i wiarą, czujący głęboko tę sprzeczność *);

* Aż dotąd było powszechne mniemanie, że ojciec Staszica doznał krzywdy od starosty, i że ta krzywda miała wpłynąć na usposobienie i sposób myślenia syna. Pokazuje się, że to legenda. W roku 1903 wydał Al. Kraushar z autografu dzien-

wykluczony przez swoje pochodzenie z wszelkiego publicznego zawodu, a wtłoczony gwałtem w zawód sobie przeciwny; czujący w sobie wielką zdolność i czujący to, że jej użyć nie może, urodził się, rósł i żył Staszic w warunkach, jak gdyby umyślnie stworzonych na to, żeby w nim wyrobić usposobienie ponure, szorstkie, niechęć i żal do ludzi i losu. Wszystko się składało na to, żeby go zrobić człowiekiem pełnym żółci i zawiści, dusza słaba w takich warunkach, byłaby łatwo stała się złą i mściwą; że Staszic takim nie został, że pomimo natury namiętnej, a temperamentu nerwowego i despotycznego, umiał wszystkie swoje uczucia utrzymać w równowadze cnoty, dowodzi to tylko wielkiej wyższości i szlachetności jego duszy. Jest w nim namiętność, są nienawiści gwałtowne, osobistego niema nic. Wszystkie te sprzeczności wpłynęły, zdaje się, tylko na temperament, na stronę zewnętrzną człowieka i pisarza, duszy nie skrzywiły. Nie mniej równego i może nie mniej przyjemnego jak sposób pisania Staszica, chropawy, ucinkowy, aforystyczny, jakiś niedokończony i niedokształcony; równie chropawem, równie dumnem i rozkazującem miało być obejście człowieka. Ale jak pod tem obejściem kryło się wielkie serce, tak pod tym sposobem pisania kryją się złote prawdy. Są to bryły nie oszlifowane, ale bryły złota.

Postać to, jaką się rzadko w nowszych wiekach spotyka, człowiek bez właściwego zawodu i specyalności, a obejmujący swoją spekulacyą całość świata, jego porządek fizyczny, moralny, społeczny i polityczny. Zagłębia się w badaniach nad *Ziemiorodztwem*, a równocześnie nad sposobami uratowania Polski; marzy o idealnym porządku społecznym i stanie politycznym,

niki podróży Staszica i *Krótki rys mego życia.* W tym mówi Staszic, że jego dziad, burmistrz w Pile tak jak ojciec, doznał krzywdy, ale nie od urzędów polskich, tylko od Niemców pruskich. O krzywdach ojca Staszic nie mówi wcale.

i stosuje swoje pojęcia do praktyki w założonej przez siebie kolonii; zajmuje się wychowaniem publicznem, okonomią, prawodawstwem; Staszic nie jest ani wyłącznie filozofem, ani wyłącznie politykiem, w każdej gałęzi z osobna są może uczeńsi od niego, a jednak cała ówczesna Polska, a zwłaszcza późniejsza, za Księstwa Warszawskiego, uważała go za swego pierwszego myśliciela, za swego największego mędrca. Istotnie był to człowiek myśli nierównie więcej niż człowiek czynu, a nawet niż człowiek pióra. Staszic nawet kiedy schodził na pole działania, w samem tem działaniu jeszcze zostawał na polu teoryi, nauki i umiejętności, w czynnej polityce nie występował; pisał dziwnie, sposobem nie do naśladowania, często dziwacznie. Zdaje się, jak gdyby wszelka forma była dla jego myśli za ciasną, jak gdyby natłoku i wielkich rozmiarów swoich myśli i uczuć nie mógł był porządnie ułożyć, jak gdyby naczynie było za słabe i za małe na to, co zmieścić miało. Ztąd ten sposób rwący, aforystyczny, niewykończony, który mu jest właściwy. Jego pisma nie są systematycznie ułożoną całością argumentów, ale szeregiem aforyzmów, aksyomatów, które autor rzuca z góry, często bezładnie, których prawie dowodzić nie raczy. Po samym tym sposobie pisania możnaby poznać jego naturę hardą, namiętną i despotyczną. On mówi nie tak, jak gdyby chciał przekonywać i tłómaczyć, ale jak gdyby objawiał i dyktował prawdy i prawa. Dziwna natura: popędy, namiętności, pojęcia, są republikańskie, temperament absolutny, a w samych nawet pojęciach trzeba rozróżnić to, co uważa za absolutnie dobre, za ideał i ostateczny cel, i to, co ma za konieczność i potrzebę dla Polski w danej chwili; pomiędzy jednem a drugiem jest niezmierna odległość.

Jako mieszczanin wyzuty z praw politycznych, a przez przywilej nawet w osobistych uczuciach boleśnie dotknięty, musiał Staszic być nieprzyjacielem tych form społecznego i politycznego życia, jakie

w Europie widział. Nie byłby synem i myślicielem swego wieku, ani synem Trzeciego Stanu, gdyby nie był miał tej nienawiści do przywileju, tego ideału równości republikańskiej, który wtenczas zapalał wszystkie głowy w Europie. Był więc Staszic republikaninem z pochodzenia, z uczuć, z aspiracyj i z wychowania. Ale ten ideał był zwyciężony innym. Staszic był Polakiem, a uczuciem górującem, pierwszą namiętnością jego duszy, ideałem którego urzeczywistnienie stało na pierwszem miejscu, była Polska i jej ratunek. I tu Polak wszedł w kollizyę z republikaninem, z reprezentantem i orędownikiem nieuprzywilejowanych, i Polak zwyciężył. Ideał Rzeczypospolitej pozostał ideałem: w praktyce, dlatego, że jest Polakiem, a Polska, żeby istnieć, potrzebuje silnego skoncentrowanego rządu, jest Staszic najenergiczniejszym monarchistą. Byłby nawet absolutystą, jego ideałem dla Polski w danych okolicznościach byłby wprost despotyzm; ale jako człowiek polityczny i znający naród wie, że o wprowadzeniu despotyzmu nie można mówić, więc z potrzeby, z konieczności, ogranicza się dla Polski na programie mniej absolutnym, na konstytucyjnej monarchii.

Dziwna rzecz, że człowiek którego nazwano słusznie pierwszym w Polsce demokratą, jest jednym z najśmielszych i najpierwszych w Polsce monarchistów. Jednak dziwne to tylko na pozór. Gdyby nawet Staszic nie był tak potężnym, intuicyjnym umysłem jakim był, i gdyby sam przez siebie nie był zdołał dojść do tej prawdy, to jeszcze patrząc tylko rozumnie na historyę, byłby musiał zrozumieć, że nie forma rządu, ale jego natura stanowi o szczęściu narodów, i że silna władza, zdolna utrzymać równowagę między różnemi warstwami społeczeństwa, daje większą rękojmię i lepszą opiekę właśnie tym warstwom, z których on powstał, jak przy pozorach największej wolności taki rząd, który pozwala jednej warstwie wziąć górę nad innem. Despotyzm Ludwika XI nie jest z pewnością

ideałem, ale klasy średnie wyszły na nim lepiej, aniżeli wyszła Florencya na swoich najdemokratyczniejszych instytucyach, które przez wszechwładztwo gminu wiodły prosto do Medyceuszów, lub Polska na swojej rzeczypospolitej, która wiodła do rozbioru. Nigdy forma rządu nie jest złem, i nie ona obala społeczeństwa; złem kardynalnem dla narodu całego jak dla każdej jego części, jest tylko anarchia w jakiejbądź postaci, czy to w postaci despotyzmu, kiedy nad prawem stoi kaprys pani Pompadour lub pycha Ludwika XIV, czy to w postaci polskiego *Liberum Veto*, czy wreszcie w postaci francuskiego prawa o podejrzanych i sekcyi miasta Paryża. Pierwsza forma gnębi i obdziera lud, druga nawet kiedy nie gnębi i nie zdziera, to go zwodzi, psuje, i obraca pomału w piedestał dla przyszłego despoty. Nie sam więc wzgląd na ocalenie Polski, ale i wzgląd na interes ludu, na te demokratyczne zasady które wyznawał gorąco, był Staszicowi powodem do żądania w Polsce monarchii.

Współcześni pozostawili wiele o Staszicu wspomnień; przechowało się w nich wrażenie jakie na nich wywarł i uszanowanie jakiem ich przejął. Przechowały się także te dziwne, a szczerze mówiąc, dziwaczne własności jego umysłu, które mu kazały pisać poemat o *Rodzie Ludzkim*, lub niemożliwym językiem i stylem próbować tłómaczyć Homera. Ale zbadanie Staszica, rozpoznanie i wpływów jakie go uformowały, i rodzaju jego umysłu czy pojęć, dokonało się przez późniejszych. Szujski zaczął, ale zamierzył i wykonał tylko charakterystykę politycznego człowieka i myśliciela. Kalinka (w „Sejmie Czteroletnim"), opisuje już wpływ, jaki Staszic wywierał, i zarazem tłómaczy, w czem i dlaczego Staszic nie zdołał i nie mógł być logicznym, zgodnym z sobą, jakie były strony słabe tego potężnego umysłu. W najnowszych latach badacz młody T. Grabowski, idzie dalej tym torem i do tego co już wiadomem było, dodaje stosunek Staszica do Rousseau

w kwestyach politycznych, do Buffona i Bernardin de St. Pierre w jego studyach przyrodniczych, do całej filozofii wieku w pojęciach ogólnych i podstawnych. Wyraźniej może od poprzedników wskazuje wrodzone błędy tego umysłu, który choć bardzo potężny, a na pozór w rozumowaniu bardzo ścisły, bywał często paradoksalnym, z natury poniekąd, ale więcej może z zależności od Rousseau, którym się przejął za młodu. Znamy więc dziś, może nie zupełnie jeszcze, ale w każdym razie dość dobrze, i polityczne pojęcia Staszica, i jego utopijny poniekąd idealizm, i jego filozoficzny deizm w miejscu religii, z gorzką niechęcią do katolickiego Kościoła *), i górujący nad wszystkiem szczery gorący patryotyzm.

Nie mamy zamiaru ani rościmy prawa dodawać cokolwiek do nabytej już znajomości Staszica; ale nie możemy pominąć jednej uwagi, należącej koniecznie do jego charakterystyki i do jego zasługi.

W wieku XVI, za Modrzewskiego, nasza literatura polityczna obejmuje oba zarówno pierwiastki poprawy Rzeczypospolitej, polityczny i społeczny. Później, od wolnej elekcyi już bardzo wyraźnie, przeważa pierwiastek polityczny; niebezpieczny stan wewnętrzny wskazuje zmianę prawa publicznego jako najpilniejszą, konieczną. W wieku XVII zdarzają się wzmianki o niedostatkach i niebezpieczeństwach naszego stanu społecznego, czasem są nawet śmiałe, ale są zawsze wtrą-

*) Zdaje się rzeczą pewną, że Staszic w tych uczuciach wytrwał do śmierci. Kajetan Koźmian pisze w Pamiętnikach— a należał do tych, którzy Staszica znali najbliżej, że w ostatniej chorobie nie przyjął księdza i nie chciał się spowiadać, mówiąc, że „nie potrzebuje gadać ze sługą, kiedy lada chwila rozmówi się z Panem". Mam sobie wszakże za powinność zapisać, co słyszałem od innych współczesnych, mianowicie, że na własne oczy widzieli Staszica przystępującego do Komunii Świętej w kościele Św. Krzyża. Na powątpiewania odpowiadali stanowczem, wiele razy powtarzanem twierdzeniem.

cone tylko, zostają na drugim planie. Może nie wydają się naszym pisarzom mniej ważne, ale mniej pilne. Jeszcze u Leszczyńskiego zajmuje reforma społeczna nierównie mniej miejsca niż reforma polityczna. U Garczyńskiego dopiero występuje tamta naprzód, jako warunek i podstawa drugiej; zaniedbany pierwiastek naprawy Rzeczypospolitej, zaczyna dopominać się o swoje prawa. Staszic dopiero łączy oba wyraźnie, świadomie i stanowczo. Równie silnie i gorąco domaga się zmiany w prawie publicznem, w formie rządu, jak tych, które wyrobić z nas miały całkowity, od wieków zwichnięty i osłabiony organizm społeczny. Przez to połączenie przywraca Staszic naszej literaturze politycznej ten charakter wszechstronności, który była zatraciła, a który jest koniecznym do jej zupełności. Sam zaś, choć nie układa systemu, choć jego pisma polityczne są broszurami tylko, nie dziełami, staje w rzędzie naszych najgłębszych, najzasłużeńszych statystów i reformatorów.

W roku zatem 1785 wyszła książka dziwna, na pozór ułożona bez systemu i porządku, napisana stylem nerwowym i nierównym jak puls w gorączce, wpadająca niekiedy w nienaturalny patos i fałszywą poezyę, ale książka, z której po samych wadach poznać można lwa, książka, która pierwsza powiedziała Polsce czem była. Dotychczas wierzyli wszyscy, nawet najrozumniejsi, że Polska była republiką; teraz dopiero po raz pierwszy powiedziano jej w oczy, że to złudzenie, że nie jest Rzeczą Pospolitą, ale Oligarchią, że taką zostać nie powinna, i że co więcej, jako taka ostać się nie może. Powiedziano jej, że jeżeli chce dalej istnieć, musi zostać narodem, społeczeństwem, demokracyą, politycznie monarchią, karcono ją jak jeszcze karconą nie była może od Skargi, błagano i zaklinano najgłębszym, najrozpaczliwszym tonem, jaki się dał słyszeć w tym wieku.

Autor ukrywał nietylko swoje imię (nie przez brak

odwagi, ale z uwagi, że imię nieznanego plebejusza, byłoby raczej ujęło książce powagi), ale ukrywał nawet treść i cel książki pod obojętnym tytułem „Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego". Po tytule zdawałoby się, że to będzie jakieś dzieło krytyki historycznej, monografia o Zamoyskim; tymczasem oprócz dodanej na końcu, niezwiązanej z dziełem pochwały Zamoyskiego, jest tam zaledwo kilka o nim pobieżnych wzmianek, Zamoyski jest pretekstem, punktem wyjścia, ułatwieniem, niczem więcej.

Zaczyna więc od Edukacyi, a w tem, co o niej mówi, jest coś Platona i Emila, coś republikańskich pojęć starożytnych, a wiele pogardy dla istniejącego wychowania publicznego, zwłaszcza dla akademij zagrzęzłych w średniowiecznych systemach nauki. Jest i wiele wrodzonego despotyzmu Staszica. To dawne pojęcia greckie, że celem wychowania jest kształcić obywatela, którego skutkiem była ta zasada, że wychowanie powinno być poddanem pod wyłączną i absolutną władzę państwa, nawet z krzywdą władzy rodzicielskiej, pojęcie niezgodne z nowożytnem, bo my żądamy od wychowania, żeby dało obywatela, ale nie mniej żądamy, żeby dało człowieka i chrześcijanina, to pojęcie trafiało wybornie i do republikańskich uczuć Staszica i do jego instynktu władzy.

Rozdział następny o Prawodawstwie. Właściwiej byłoby dać napis „o Konstytucyi"; niema tu bowiem nic z tego, co zwykliśmy rozumieć przez Prawo, a za to wszystkie główne rysy do zmiany prawa publicznego i formy rządu; tu tkwią najważniejsze i największe myśli dzieła i autora.

Cztery są wady organiczne Rzpltej, a temi są: nieczynność sejmów, *Liberum Veto*, elekcye królów, i nierówność praw. Co do dwóch pierwszych punktów, nie mógł Staszic nic dodać takiego, czegoby jego poprzednicy nie byli dawno powiedzieli; że *Veto* jest despotyzmem, tego dowiódł Konarski, że sejmy zwoływane

co dwa lata i przez sześć tygodni swego trwania zaprzątnięte samym nieporządkiem obrad, były powodem administracyjnego i politycznego nieładu, o tem mówił jeszcze Górnicki. Ale przeciw elekcyi, jako zasadzie, żaden głos dotąd śmiało się nie podniósł. Niebezpieczeństwo bezkrólewi, intrygi, fakcye, przekupstwa, wojny domowe, pojmowali wszyscy, począwszy od Górnickiego, ale wszyscy łudzili się tem, że opisawszy sposób, można bezpiecznie zostawić instytucyę. To było mylne; na to żeby elekcya nie stała się szkodliwą sprawie publicznej, trzeba było zmienić całe społeczeństwo, a raczej zmienić jedną rzecz, która się nigdy nie zmienia, naturę ludzką i jej skłonności; a dla tych elekcya była zbyt silną pokusą, próbą nie do wytrzymania, i jako Rzplta czysta byłaby Polska bezpieczniejszą, niż z elekcyjnym tronem. Że to przekonanie teraz dopiero się zjawiło, to było naturalne; napływ nieustanny pojęć zagranicznych, od czasów Leszczyńskiego, zmodyfikował nasze, a dwie ostatnie elekcye, odbyte pod naciskiem zewnętrznym, dały do myślenia, otworzyły oczy na rzeczywistą wolność elekcyi. Niemniej jednak nowe i śmiałe były słowa Staszica.

Gdyby zaś myśl dziedzictwa tronu żadnym sposobem przyjąć się nie mogła, w takim razie radziłby, ażeby z pomiędzy senatorów (wojewodów), którychby sejm wybierał, król wybierany był losem. „Ale przestrzegam, że zachowując jakikolwiek elekcyi sposób, Rzplta nigdy trwałości swojej nie zabezpieczy".

Celem łączenia się ludzi w społeczeństwo było to, iżby oprócz prawa, nikt człowiekiem władać nie mógł, zatem skutkiem tego połączenia powinna być wolność, pokój, i obywatelska równość. Z tych uwag wynika, że do stanowienia praw powinni „należeć ci wszyscy, których życiem i majątkiem te prawa zarządzać będą". Żąda więc dla miast reprezentacyi w sejmie, ale tak jest baczny na przesądy, tak ostrożny, że nie żąda na-

wet zupełnej politycznej równości, nie żąda przypuszczenia do urzędów.

Sejm nieustanny, z posłami wybieranymi na lat dwa, uchwalający większością dwóch trzecich części głosów, z przypuszczeniem do niego miast, a przytem tron dziedziczny, pomógłby, zdaniem jego, na cztery powyższe wady konstytucyi polskiej.

W rozdziale o sądownictwie w krótkich słowach żąda poddania wszystkich pod te same sądy; mówiąc o kupiectwie, żąda wolnego handlu; mówiąc o wojsku, marzy o czasach, kiedy wojny ustaną, a spory międzynarodowe rozstrzygać się będą sądem państw do sporu nie należących (marzenie Modrzewskiego). Na teraz chce, żeby chłopi, uwolnieni od pańszczyzny, dostali grunta swoje na własność, z tym obowiązkiem, iżby z pewnego prawem oznaczonego obszaru gruntu, jeden człowiek pełnił służbę wojskową, raz w tydzień chodził na mustrę etc. — Właściciele większi dostarczaliby także ludzi w proporcyi obszaru, i to stanowiłoby rezerwę; istniejące zaś wojsko przy dobrej administracyi i małem podwyższeniu podatku, łatwo powiększonem być może do stu tysięcy ludzi.

W kwestyi ekonomicznej żąda praw oszczędniczych, protekcyi dla przemysłu, zakazu używania zagranicznych wyrobów, żąda podwyższenia podatków, bo te, jakie są, istnienia Rzpltej zabezpieczyć nie mogą, nadewszystko zaś podniesienia produkcyi i ludności, co jedno i drugie nastąpić może tylko przez uwłaszczenie poddanych.

Tak przeszedłszy różne strony publicznego życia, zbiera je w całość, w obraz dziwny, napisany tonem poetycznym, fałszywie poetycznym. Tytuł tego rozdziału jest *Polska*, a cel jego, żeby jeszcze raz stawić przed oczy opłakany jej stan i jego powody. Jest to opowiadanie. Autor, który po rozbiorze przestał być obywatelem polskim (tak udaje), patrzy z tęsknotą na granicę swojej dawnej ojczyzny i myśli, że „jeszcze

rozbiór nie zniszczył jej ostatecznie, może ona istnieć, ratować się, mieć powagę w świecie, byle się zaludniła, bo Polsce nie ziemi brakuje, ale ludzi". Kiedy tak myślał, zobaczył gromadę ludzi wychodzących z Polski — byli to poddani, którzy szli do Niemiec, gdzie tylko jeden król krzywdzić ich może. Zdjęty żalem, zachwiany w nadziei, zapada znowu w marzenie, i zdaje mu się, że pomimo wszystkiego, ten kraj mógłby się jeszcze ratować.

Ale kiedy tak rozmyślał, zaszła zmiana w scenach jego widzenia, ujrzał zbiór ludzi najpoważniejszych, zebranych, by ojczyznę ratować. Król w pośrodku radził zmianę rządu, wszyscy zdawali się przekonani, w tem jeden głos zawołał: *Nie pozwalam*!—widzenie się rozpłynęło.

Nastąpiło niebawem drugie. Zbiór ludzi na polu obszernem, naokoło wojsko, a ten tłum wolnymi głosami obrał królem człowieka, którego obrać kazano, i cieszył się, że tak wolny, że sobie króla wybiera! Po tym obrazie rozwija się całe panowanie Stanisława Augusta—sąd o nim łagodny, sprawiedliwy, ale na sąd o królu żyjącym dziwnie szczery. Dalej występuje król pruski i podżega sprawę dysydentów, oligarchia polska chwyta ten pozór, żeby się sprzysiądz przeciw nienawistnemu królowi — następuje konfederacya Radomska, wywiezienie senatorów, „spojrzałem na tron, nie widziałem króla", potem konfederacya Barska, potem rozbiór.

Dziśby nie uszło w politycznem piśmie wpadać w ton poetyczny i opowiadać allegoryczne widzenia, dziś wydaje nam się to dziwaczne: ale pomimo to nawet dziś wydaje się potężne. A wtenczas, na razie, pod świeżem jeszcze wrażeniem rozbioru, obraz ten musiał ścinać ludziom krew w żyłach. Ta przepowiednia tak skutkowała, że pod jej groźbą spełniło się jego widzenie, zebrał się sejm pod konfederacyą, zniósł elekcyę i *Veto*, otworzył się dla posłów miejskich, oddał chłopa

pod opiekę prawa. Nieszczęściem, znał Staszic Polskę: sprawdziła się i jego obawa rokoszu.

Konkluzya, ostatni rozdział, sposób ratowania Polski od podziału, grozi nowym rozbiorem, upomina, że tylko dziedzictwem tronu uratować się od niego można, i przypomina, że to dopiero niewola prawdziwa, kiedy kraj z udzielnego staje prowincyą obcego państwa.

Coraz już bliżej do Sejmu Konstytucyjnego; już on pewny, postanowiony, już wiadomo, że przedsięweźmie wielkie dzieło poprawy Rzpltej. Ci, którzy mają głównie dzieło to prowadzić, ci, którzy nazywani są partyą Lubelską, naradzają się nad zasadami tej poprawy i nad sposobem jej dokonania, układają swój program. Ale dla programu trzeba pozyskać umysły, przekonać o potrzebie, działać na wolę. Wychodzą *Listy Anonima* do Stanisława Małachowskiego, dezygnowanego marszałka przyszłego sejmu.

Jak pod względem charakteru tak i pod względem rodzaju zdolności i rozumu jest Kołłątaj zupełnem przeciwieństwem Staszica. O ile tamten jest umysłem filozoficznym, dążącym w moc wrodzonego swego kierunku do ostatnich przyczyn, do zasad rzeczy, mniej się troszcząc o rzeczywistość świata, o tyle ten jest przeważnie umysłem praktycznym, politycznym, który się w spekulacye nie wdaje, tylko pyta, jak zastosować do życia te rezultaty spekulacyi, które uznaje za dobre. Zasady, dążność obudwóch jest ta sama, tylko jeden jest filozofem, drugi organizatorem, ministrem; jeden stawia zasady i dowodzi ich prawdy, drugi wciela je w instytucye, w prawo publiczne.

Wiek XVIII wydał cały nowy system społeczny i polityczny, postawił nowe pojęcia i zasady o formie rządu i o jego istocie. Wpływ konstytucyi angielskiej, funkcyonującej regularnie i szczęśliwie od wieków, na wszystkich statystów i filozofów politycznych tego wieku był ogromny. Gdzie leżała tajemnica trwałości

i ciągłej stosowności instytucyj angielskich do potrzeb narodu, to pytanie było przedmiotem badań i refleksyi wszystkich, a nadewszystko największego ze wszystkich, Monteskiusza. Z wyjątkiem utopistów, jak Rousseau, stał się system reprezentacyjny ideałem ludzi myślących, filozofów i polityków, i przez nich zaczął dostawać się do świadomości wszystkich. Do niego dążyła, jego chciała Francya w roku 1789, i byłaby go sobie zdobyła stale, gdyby była stanęła na roku 1789, a choćby 1791, a nie wpadła w 1793. W innych formach, ale także na podstawie systemu reprezentacyjnego urządziła się nowo oswobodzona Ameryka; system ten jako ideał unosił się nad całą Europą, do niego jak do znaku zbawienia zwracały się oczy wszystkich ludów.

Polska, która go nigdy nie była straciła, a która przez złe jego zastosowanie i użycie doszła do rozbiorów, nie potrzebowała go stwarzać, tylko zmodyfikować. Wprowadzona na nowo w prąd umysłowego życia Europy, oddychająca na nowo tem samem powietrzem, musiała ona myśleć tak, jak myślała Europa, i mając swoje instytucye przekształcić, chciała je przekształcić podług tego wzoru, który cała Europa uważała za normę. Kiedy pierwszy raz zapytano w Polsce, co postawić na miejscu *Veto* i dwuletnich sejmów, proste obejrzenie się po Europie zwróciło oczy ku Anglii; oto tam jest sejm, jest wolność, ale jest i Państwo — w tamtę stronę zwracał uwagę całej Europy Monteskiusz, z całą siłą swego genialnego umysłu, i nawet Voltaire. System parlamentarny, na podobieństwo bliższe lub dalsze angielskiego, stał się niebawem w oczach Polaków wskazówką tego, co miało być poprawą Rzpltej. We wszystkich pismach Konarskiego, we wszystkich reformatorskich usiłowaniach Czartoryskich i Stanisława Augusta, znać, że to jest ten ideał, który wydaje im się zbawczym dla Polski, który zostawia sejm, zostawia udział narodu w rządzie, a zarazem dopuszcza

i rząd, i państwo, i rozszerza koło narodu reprezentowanego w sejmie, mającego prawa polityczne i udział w rządzie. Jak te główne warunki istnienia wolności i prawa w Anglii zastosować do Polski, to było pytanie, które zatrudniało ich wszystkich, nie wyjmując nawet republikanina Staszica. Jednem słowem Polska ówczesna, Polska oświecona i rozumna, zarówno z całą Europą pracuje nad wynalezieniem najlepszej formy systemu parlamentarnego, z tą różnicą, że kiedy Europa, rządzona dotąd despotycznie, szuka w tym systemie głównie zabezpieczenia wolności, to Polska ginąca od anarchii, szuka zabezpieczenia bytu w zabezpieczeniu prawa i porządku (zbytecznie mówić, że szukała tem samem i zabezpieczenia wolności).

Kiedy więc nadeszła chwila, że ta dążność mogła i miała zamienić się w fakt i w prawo, stawiało się temu stronnictwu i jego literaturze zadanie dwojakie: naprzód zadanie polemiczne i propagacyjne, przeciągnąć na swoją stronę umysły, zwyciężyć w teoryi, przekonać: powtóre, zastosować te zasady do praktyki, przeprowadzić je przez wszystkie kwestye dziedzictwa tronu, praw obywatelskich, prawa wyborczego i t. d. czyli, po prostu ułożyć projekt nowej konstytucyi. To pierwsze zadanie spełniają pisarze jak Konarski i Staszic, walczą z uprzedzeniami, z przesądami, z nałogami, argumentują, dowodzą, przekonywują; zadanie drugie bierze na siebie Kołłątaj, i przed samem otwarciem Czteroletniego Sejmu wydaje kolejno swoje Listy do dezygnowanego marszałka, Stanisława Małachowskiego.

Nie będzie przesadą powiedzieć, że jest to najznakomitsze z pism politycznych XVIII wieku, jedno z najznakomitszych w naszej literaturze politycznej. Sejm Czteroletni i Ustawa Trzeciego Maja, są pomimo wszystkich niedostatków, obok Unii Lubelskiej, naszem największem wewnętrznem dziełem; rzecz prosta, że teorya tego dzieła musi zajmować wielkie miejsce

w naszej literaturze, a *Listy Anonima* nie są niczem innem tylko teoryą Trzeciego Maja.

Trzy pierwsze tomy to rozumowanie, motywy, sprawozdanie, czwarty jest wnioskiem; tylko często przeciwnym temu, co w trzech pierwszych było powiedziano. Tamte były pisane pod natchnieniem opozycyi (program lubelski); ostatni z nadzieją podkanclerstwa. Obejmuje on gotowy projekt, nie zupełnie taki, jaki później został uchwalonym, ale w głównych zarysach bardzo do niego zbliżony. Jest wszakże między tymi motywami, a tym wnioskiem, między trzema tomami, a ostatnim, różnica znaczna i charakteryzująca autora w sposób ciekawy. Stronnictwo, zwane patryotycznem, było zarazem opozycyjnem, tchnęło nieufnością i niechęcią do króla, jego lubelski program wychodził z tego założenia, opierał się na tej podstawie, i w tem uczuciu za konieczny warunek przyszłej reformy, uważał ścieśnienie, ograniczenie króla w jego władzy. W takim duchu pisane są trzy pierwsze tomy *Listów*. Ale w czwartym zmiana jest znaczna: stanowisko króla w projekcie konstytucyi jest silniejsze, jego władza jest szersza, niż żądały poprzednio rozumowania i wywody. Zkąd ta różnica? Jaki jej powód? Ten, że Stanisław August, tak samo jak opozycya, reformy chciał, że wiedząc, iż sam dziełu temu nie podoła, starał się o porozumienie i zbliżenie z opozycyą. W tym celu zrobił Kołłątajowi nadzieję na podkanclerstwo.

W całem tem dziele nie polemizuje Kołłątaj prawie wcale, ledwie niekiedy mimochodem zbija jakieś obce zdanie; on organizuje. Wyprowadza wszystkie punkty swego systemu z natury i potrzeby społeczeństw w ogólności, a Polski w szczególności, i potem stawia wnioski, raczej jeden ogólny wniosek, projekt konstytucyi. Iść krok w krok za jego myślą, podnieść każdą zaletę lub każdą pomyłkę, byłoby warto; na to czas nie pozwala, trzeba poprzestać na prostem wyliczeniu

tych nowych zasad, które on do konstytucyi polskiej wprowadza, i na opowiedzeniu, jak je wprowadza.

Zaczyna od tego, co najnaglejsze i najpotrzebniejsze. Pierwszy tom Listów jest rozumowanym i motywowanym budżetem, ale budżetem ułożonym ze szczególnym względem na wojsko, na siłę obronną Rzpltej. Oczywiście wszystko zahaczało się na tem: jeżeli Polska wojska nie wystawi i nie utrzyma, przy pierwszej sposobności zniknie z karty Europy. Całe zatem dążenie jego jest, wynaleść fundusz na utrzymanie wojska.

Utrzymanie najskromniejsze i najoszczędniejsze, tylko konieczne, sześćdziesięciu tylko tysięcy wojska wymaga $24^1/_2$ miliona — cały zaś dochód obu skarbów koronnego i litewskiego wynosi milionów 19. Zkądże ten niedobór zapełnić i jak wystarczyć na inne konieczne wydatki? Oczywiście, pierwszy najskuteczniejszy sposób podniesienie podatków, ale w sposób jak najmniej uciążliwy, a najpewniejszy, to jest obrócić na wydatki wojskowe te podatki, które ubyć ani chybić nie mogą. Takimi są: podymne, łanowe, *subsidium charitativum*, pogłówne żydowskie, kwarta ze starostw, czopowe, mostowe, opłata tabaczna. Biorąc te dochody jak są, a trzy z nich: podymne, pogłówne i kwartę ze starostw podwajając, otrzymuje żądane $24^1/_2$ miliona. Twierdzi, że podymne, rozłożone na wszystkich, uciążliwem nie będzie, że starostwa, własność Rzpltej, a korzyść prywatnych, słusznie więcej płacić mogą, zaś, że żydzi z chęcią zapłacą podwójny podatek, byle ten rozłożony był nie na głowy, ale na synagogi.

Na broń, amunicyę, rynsztunki, ubranie etc. nie przeznacza już nowego podatku, ale szuka funduszu w sprzedaży dóbr wojskowych, która uczynić powinna przeszło dwa miliony, a co braknie na taki jednorazowy wydatek, dałoby się pokryć ze sprzedaży niektórych dóbr duchownych, byle nie gwałtem ale ze zgodą duchowieństwa. Król także niewątpliwie z chęcią pozwoli sprzedać część dóbr stołowych, a sejm powinien

sprzedać na ten cel niektóre starostwa. Ordynacye, jako wyjątki od prawa, powinnyby za swój przywilej opłacać się skarbowi tak jak Ostrogska, która wnosiła trzy kroć sto tysięcy złotych.

Sześćdziesiąt tysięcy regularnego wojska nie jest dosyć; zatem trzeba prócz tego wznowić prawo o popisach wojewódzkich, i tym sposobem wskrzesić wojennego ducha w narodzie i utworzyć rezerwę.

Lista cywilna króla, i utrzymanie departamentów (ministeryów), z dodaniem do tego posłów, których przy dworach zagranicznych utrzymywać koniecznie trzeba, wynosi przeszło sześć milionów. Cła, stemple, loterya (źródła dochodu pozostałe od przeznaczonych na wojsko), wynoszą cztery i pół miliona, pozostaje do pokrycia niedoboru półtora miliona. Ten pokryć można skasowaniem zakonu maltańskiego. Zaś zaprowadziwszy podatek od wyrobu wódki i piwa, zniósłszy zupełnie loteryę jako niemoralną, miałoby się od razu prawie zrównane wydatki z dochodami; naturalnie tylko wydatki najkonieczniejsze. Następnie, w chwili mniej nagłej dochody mogą się podnieść znacznie przez złączenie skarbu litewskiego z koronnym, przez administracyę dochodów tabacznych na skarb, zamiast wydzierżawiania. Gdy mostowe, przewozowe i t. d. iść będzie na skarb, nie na dochód prywatny, wtedy i podatek podymnego da się obniżyć.

Konkluduje ten tom pierwszy trzema wnioskami, to jest wnioskiem zawiązania konfederacyi, wnioskiem wyznaczenia delegacyi do urządzenia wojska, i wnioskiem o powiększenie podatków. Rzecz godna uwagi, jak czynności sejmu odpowiadają temu programowi.

Tom drugi i trzeci poświęcony już jest Poprawie Rzpltej czyli samym zasadom konstytucyi.

Pierwszem wymaganiem jest *Sejm Trwały*. Kwestya ta naprowadza go naturalnie na dwie inne: na nieuprawnionych (włościan i mieszczan), i na ordynacyę wyborczą jako podstawę reprezentacyi. Co do włościan

ogranicza się na osobistej ich wolności, czynsze zaś lub robota, wogóle powinności za grunt, mają być stanowione kontraktami; sprawy pomiędzy dziedzicem a włościaninem, należą pod sądy referendarskie. W żądaniach swoich dla mieszczan idzie dalej, do prawa reprezentacyi w sejmie, i tu kwestya ta łączy się z zasadą ordynacyi wyborczej.

Zawsze w duchu dwóch zasad, monarchicznej i demokratycznej, znosi Kołłątaj powszechne głosowanie szlacheckie. Dotąd każdy *possessionatus* szlachcic miał pełność praw politycznych; uboga zaś szlachta zaściankowa była na sejmikach potęgą w ręku możniejszych. Tej potęgi złamać nie można, jeżeli się jej nie wytrąci z rąk narzędzia: zatem, odbiera Kołłątaj prawo wyboru i wybieralności uboższej szlachcie (pomysł, przeciw któremu Seweryn Rzewuski pisał broszury), a z drugiej strony nadaje je w pewnej mierze mieszczanom.

Zasadą pełności praw politycznych, czynnego i biernego prawa wyboru, obywatelstwa, jest dziedzictwo ziemi. Przyszły rząd składać się powinien z samych właścicieli gruntowych, a to znowu wymaga, żeby była postanowiona pewna miara gruntu, która daje prawo wyboru i wybieralności. Taką miarą ma być $7^1/_2$ włóki ziemi (lub 500 złp. podatku). Szlachta, posiadająca mniej, wybiera, ale nie jest wybieralną.

Własność gruntowa miejska jest tak dobra jak wiejska, i także zasadą udziału w rządzie. Mieszczanin, płacący 10 złp. podatku do skarbu, a 5 na potrzeby miasta, ma głos w mieście — mieszczanin płacący złp. 20, może w swojem mieście piastować wszystkie urzędy i być wyborcą na sejm — posłem tylko ten, który płaci złp. 40.

Pozostają jeszcze ludzie bez gruntowej własności, księża, lekarze, prawnicy, nauczyciele etc., których autor zdaje się od wszelkiego prawa odsądzać. Otóż tu odstępuje on od swojej zasady; twierdzi, że choć ziemi nie mają, ale są bądź szlachtą, bądź mieszcza-

nami i z tego tytułu wybierać mogą. Census wyborczy miejski jest w porównaniu do wiejskiego bardzo nizki: widoczna w tem predylekcya autora dla miast.

Co dziwne a niepraktyczne, przeciw czemu już Staszic powstawał, to, że izba miejska ma być od szlacheckiej osobną, nazywać się niższą. Wszystkie miasta z jednego województwa wysyłają po trzech posłów do sejmu (*nb.* miasta bez właścicieli—miasta prywatne są wsiami targowemi). Dlaczego dwie izby, dlaczego ta różnica? Autor tłómaczy, że równowaga pomiędzy władzami prawodawczemi jest rękojmią stałości konstytucyi. To prawda; ale dwie izby różniące się *stanem*, muszą być sobie nienawistne. Każde województwo dzieli się na cztery powiaty, każde posyła czterech posłów i dwóch senatorów, zasiadających w jednej izbie. Sejm wybiera się na lat sześć.

Dalej idzie urządzenie powiatów, administracyi.— Znoszą się dawne czcze urzędy: cześniki, krajczowie, miecznikі etc., zostaje Ziemstwo, złożone z pięciu sędziów jako sąd, sąd referendarski do spraw włościańskich, rewizor drogowy, dyrektor poczt, rewizor portowy (do rzek), podwojewodowie do miar, wag etc., rektor szkół — wszyscy ci mają odpowiednich przełożonych w województwach, którzy znowu mają ich w ministrach, i ta jest hierarchia administracyjna.

Porządek sejmików i sejmów kończy rzecz o władzy prawodawczej. Senat znosi się jako izba osobna, zasiada ze szlachtą w izbie wyższej, która ma te prerogatywy nad niższą, że ma prawo wybierania ministrów i posłów do obcych dworów, nobilitacyj, zawierania traktatów i przymierzy zaczepnych i odpornych. Atrybucye ogromne, dowodzące tylko jak pojęcie władzy musiało być zatraconem i przeciwnem, kiedy człowiek, który dąży do tego, żeby ją wzmocnić, uważa za niebezpieczne i niezgodne z wolnością przyznać jej prawo mianowania ministrów, prawo, które posiada prezydent Stanów Zjednoczonych. W tomie czwartym

rzecz dotąd niesłychana, sankcya królewska potrzebna jest, ażeby uchwała miała moc prawa. To dopiero w IV tomie, tego niema w poprzednich.

Sejm zmienia się co lat sześć, trwa zawsze (choć nie jest ustawicznie czynnym). W razie limity zostają jego komisarze przy każdej dykasteryi (ministeryum). Każda izba obraduje osobno, łączą się razem na otwarcie i zamknięcie sejmu, do wysłuchania propozycyj od tronu.

Następuje wreszcie władza wykonawcza, król, i dowód potrzeby dziedzictwa tronu (Tom III, List VIII), a dalej ministerya czyli dykasterye. Dziwna rzecz, trudna do zgodzenia z jego zmysłem politycznym, że ministerya robi nietylko wybieralnemi, ale kollegialnemi, że ogranicza tych ministrów tak, że nawet głosu w izbach im odmawia. Co do kollegialności, tak było wówczas w Rosyi, Austryi i po części w Prusiech. Żadne sprawy ani administracyjne, ani wojskowe, ani dyplomatyczne, kollegialne, sprężyście prowadzić się nie mogą, a co do wybieralności, to ta gdyby była zaprowadzoną, zabiłaby dwie rzeczy: jednolitość gabinetu, i konsekwencyę, stałość polityki, bo oczywiście wybór ministrów byłby tem polem walki, na którem biłyby się wszystkie partye. Czy instynkt władzy był tak zatracony, że nawet Kołłątaj uważał odpowiedzialność ministeryalną za niedostateczną gwarancyę wolności, że człowiek, który doszedł do władzy, był dla niego tem samem nieprzyjacielem i podejrzanym, czy też tylko folgował w ten sposób uprzedzeniom opinij, nie mogąc ich odrazu złamać? Tego dojść trudno. Dykasteryj tych ma być pięć, odpowiadających głównym potrzebom Rzpltej i funkcyom państwa—te są: skarb, bezpieczeństwo granic, sprawy zagraniczne, policya, wychowanie. Że dawna potęga marszałków i hetmanów utrzymaną nie jest, rozumie się samo przez się; ci ostatni zwłaszcza schodzą na stanowisko feldmarszałków zagranicznych lub ministrów wojny.

Jeden rzut oka na dołączony projekt konstytucyi wystarczy, żeby się przekonać, że rzeczywista Ustawa 3-go Maja znacznie się od niego różni, ale podobieństwo jest nierównie bliższe. Deputacya do poprawy rządu, której był podany, sama tym samym duchem przejęta, nie jedno byłaby ułożyła tak samo, nie jedno zapewne wprost ztąd wzięła. Zapewne, dziś po stu latach projekt ten potrzebowałby odmian, gdyby miał być wprowadzonym w życie; ale odmiany te nie byłyby wielkie, nie trzebaby nic przewracać, trzebaby tylko rozszerzyć, naprzykład prawo wyborcze. Zasady, na których się system konstytucyjny do dziś dnia opiera, są te same, i nietylko że cywilizowanej Europie wystarczają, ale nieraz są dla niej jeszcze dopiero żądaniem. Projekt zaś, jeżeli go porównać z tem, co wydał wiek XIX, nie przyniesie wstydu ani swemu autorowi, ani swemu narodowi. Konstytucya 3-go Maja (którą Burke nazywał najdoskonalszą ze wszystkich znanych), była reformą sięgającą bardzo głęboko, bardzo gruntowną. Dokonała się niezaprzeczenie zamachem stanu; ale ten był ze wszystkich znanych najuczciwszy, i najszlachetniej, najczyściej wykonany. Wierne odbicie w literaturze, *Listy Anonima*, pierwsza u nas zupełna teorya systemu reprezentacyjnego, nie może nie być jednym ze świetnych pomników polskiej myśli, wielkim zaszczytem i ozdobą naszej literatury politycznej.

ROZDZIAŁ VI.

(1788—1795).

I. Wrażenie i wpływ *Uwag o Życiu Zamoyskiego.* Mnóstwo broszur, ich rozmaitość. *Uwagi nad uwagami.* Seweryn Rzewuski. Odpowiedzi. Biskup Krasiński. Kołłątaj. Adam Rzewuski. Turski. Tadeusz Czacki. *Myśli o Poddanych.* Staszica *Przestroga.* Kołłątaja *Ostatnia Przestroga.* Mówcy Sejmu Konstytucyjnego. II. Poezya podczas sejmu. Trembecki. Zabłocki. Niemcewicza *Powrót Posła.* Teatr. Dyrekcya Bogusławskiego. Sztuki tłómaczone. Sztuki jego własne *Krakowiacy i Górale.* III. Rocznica 3-go Maja. Wojna roku 1792. Sejm Grodzieński. Wiersz Trembeckiego. Paszkwile. Biblia Targowicka. Znaczenie i zasługa książki *o Ustanowieniu i Upadku Konstytucyi 3-go Maja.* Zamknięcie literatury politycznej.

*

I.

Wrażenie i wpływ *Uwag o Życiu Zamoyskiego*. Mnóstwo broszur, ich rozmaitość. *Uwagi nad Uwagami*. Seweryn Rzewuski. Odpowiedzi. Biskup Krasiński. Kołłątaj. Adam Rzewuski. Suchorzewski. Turski. Tadeusz Czacki. *Myśli o Poddanych*. Staszica *Przestroga*. Kołłątaja *Ostatnia Przestroga*. Mówcy Sejmu Konstytucyjnego.

Musiały umysły w kraju być rozbudzone do wysokiego stopnia uczuciem niebezpieczeństwa, bo *Uwagi nad Życiem Zamoyskiego* zrobiły wrażenie, jakie książkom rzadko udaje się zrobić, zwłaszcza u nas. Ruch broszur od roku 1785 aż do 1792 jest istotnie wielki, a jeżeli dostarczały mu materyału kwestye, traktowane na sejmie, to pierwszy popęd dała mu niezawodnie książka Staszica, stawiająca program zmiany tak radykalnej i śmiałej. Grupuje się też około *Uwag* mała biblioteka broszur: odpowiedzi, repliki, dupliki, dyskusye i polemiki wszelkiego rodzaju, napaści na Staszica i jego obrony, uwagi nad całością jego książki lub nad szczegółowymi pomysłami o wojsku, podatkach i t. p. broszury w duchu zmian, od najradykalniejszych do jaknajkonieczniejszych tylko, w duchu monarchicznym, republikańskim, oligarchicznym, religijnym i otwarcie antireligijnym, jest wszystko: cała mała literatura Staszicowska.

W tej skali najrozmaitszych wyobrażeń, uderza jedno, to jest, że choć jedni godzą się na myśli Sta-

szica zupełnie, inni z większemi lub mniejszemi zastrzeżeniami, przecież ogromna większość wchodzi szczerze w ten kierunek dążności i jest do zmian gotową; rozumie, że idzie o życie, i dlatego z większą lub mniejszą chęcią, przyznaje, że trzeba dawną Rzeczpospolitą odmienić. Dowodzi to dwóch rzeczy, naprzód, że pojęcia i wykształcenie polityczne narodu zrobiły wielki postęp, a duch publiczny się podniósł, skoro tylu było gotowych poddać swoje upodobane i tradycyjne wyobrażenia pod prawo konieczności; a powtóre, że Staszic nie był apostołem i siewcą myśli nowych i nieznanych, ale wyrazem potężnym i śmiałym pojęć i uczuć, które były już w świadomości narodu.

W parę lat po wyjściu *Uwag* uznał sam Staszic za potrzebne uzupełnić i objaśnić je komentarzem, odpowiedzieć na niektóre zarzuty, i wydał tomik *Popraw i Przydatków do Uwag*. Jest to zbiór odsyłaczów, z których wiele służy tylko do poprawienia prostych myłek druku, w innych tłómaczy autor obszerniej myśl rzuconą w *Uwagach*, lub popiera ją dowodami, które pierwotnie był pominął. *Przydatki* te, potrzebne i konieczne do znajomości pierwszego dzieła, same przez się są niczem, bez tamtego nie dałyby się ani czytać, ani zrozumieć. Ciekawsze i ważniejsze są broszury innych autorów, napisane z powodu *Uwag*.

I tak jest naprzód bezimienna *Myśl z okazyi Uwag nad Życiem Jana Zamoyskiego*. Ten co ją pisał, musiał należeć do konserwatywnej masy szlachty; trudno mu oswoić się z takim porządkiem rzeczy, jakiego żąda Staszic, trudno mu pożegnać się z elekcyą, którą uważa za warunek wolności i za zaszczyt rycerskiego stanu. Ale jeżeli już inaczej być nie może, zgodziłby się i na sukcesyę, byle król dziedziczny nie mógł nigdy stać się despotycznym; to zaś w dzisiejszym wieku i stanie umysłów wydaje mu się nieprawdopodobnem. Niechby wreszcie była i sukcesya. Trudniej wynaleść ów dom królewski, któremu Staszic radzi oddać ko-

ronę. Jeżeli ma być potężny, to chyba jeden z trzech domów ościennych, a z tych żadnego nie chce, bo każdy z nich uważałby Polskę za dodatek do swoich państw dziedzicznych: i w tem ma słuszność. Dom Saski znowu nie dość silny, żeby mógł być Polsce podporą i obroną. Najlepiej żeby tron dziedziczny oddać Polakowi, i postanowić, że król tylko z Polką żenić się może, a „ślub jego z cudzoziemką ma być rozwodem z koroną". Gdzież był ten Polak, na któregoby się wszyscy zgodzili i jemu się poddali? A potem, to pewna, że wszystkie możne domy, z którychby król żony nie wziął, a mógł ją wziąć tylko z jednego, byłyby zawsze jego nieprzyjaciółmi.

Na zniesienie poddaństwa i uwłaszczenie włościan przystać nie chce; mówi, że jeżeli szlachcic, który żyje życiem publicznem od lat trzechset, nie ma dostatecznego pojęcia spraw i interesów, tem mniej miałby je chłop nieoświecony, i wpływ jego na sprawy publiczne byłby zawsze nierozumnym, nieświadomym siebie, i przez to niebezpiecznym. Wogóle cała demokracya Staszica, wydaje mu się piękną, jako filozoficzna teorya, ale nie do zastosowania w praktyce. Jednej rzeczy żąda usilnie, to pomnożenia wojska, a w skutku tego podniesienia dochodów: podatku, i rozłożenia go na wszystkich obywateli.

Inny, także Anonim, nie wdaje się w rozbiór *Uwag* jako całości, ale bierze z nich powód do napisania broszury w jednym wyłącznym przedmiocie, t. j. o *Powiększeniu siły zbrojnej przez popisowe milicye.* Ten, przestraszony pierwszym rozbiorem, a bardziej jeszcze drugim, który mu się prawdopodobnym wydaje, woła tylko o jedno, o wojsko, o wojsko, i jeszcze raz o wojsko. Forma rządu, organizacya społeczeństwa ta lub owa, to mu wszystko jedno, chodzi tylko o jedno, o obronę; a doprawdy nie jest on tym, który się najbardziej myli. Na nieszczęście, mówi, skarb Rzpltej nie zdoła na razie utrzymać więcej jak trzydzieści tysięcy wojska,

a taką siłą obronić się przeciw trzem mocarstwom nie można. Ale brak ten nagrodzić można od razu milicyami wojewódzkiemi. Miałyby one składać się ze szlachty, uorganizowanej w pułki, odbywającej jak za Zygmunta Starego coroczne ćwiczenia i popisy. Rachuje autor żołnierza takiego, któryby nic nie kosztował, więcej jak sto tysięcy ludzi. Na nieszczęście, nie byłoby to wojskiem, ale pod inną formą, może lepszą, dawnem pospolitem ruszeniem, a doświadczenie nauczyło, jak słabą ono było siłą wojskową. Szlachta obowiązana jest z urodzenia służyć w tej milicyi. Ziemia (dobra) dostarcza żołnierza najemnego, pieszego, po jednym na pięćdziesiąt kominów.

Jeszcze inny, a zawsze bezimienny, piszę *Zgodę i Niezgodę z Autorem Uwag*. Ten nie zgadza się na zniesienie poddaństwa, a razem nie pozwala nakładać podatków na chłopa; ale wynajduje sposób inny wspomożenia skarbu, to jest konfiskatę dóbr kościelnych i dziesięcin. Jedne i drugie miałyby być zabrane na skarb i wypuszczane w dzierżawę przez licytacyę. Dochody szłyby na wojsko, a księża byliby płatni ze skarbu. Pleban brałby 1000 złp., wikary 600 złp., organista (zarazem nauczyciel szkółki) 400 złp. Dwa błędy: zależność duchowieństwa od państwa i system wydzierżawiania podatku, który we Francyi okazał się w najwyższym stopniu zdzierczym. Starostwa wszystkie i królewszczyzny miałyby być zaraz zwrócone, czopowe podniesione. I oto źródła dochodu: a gdyby te nie wystarczyły, zgodziłby się na podniesienie wszystkich podatków, choć się temu przez całe życie opierał, biorąc mylnie niepłacenie podatków za wolność i patryotyzm.

Co do ludu wiejskiego, choć poddaństwa nie znosi, jednak ma wzgląd na jego potrzeby. Żąda ograniczenia dni roboczych, następnie zastosowania praw pruskich o czeladzi wiejskiej; czeladź zaś taką miałby kmieć każdy, gdyby jak w Prusiech zakazane było

włóczęgostwo i żebractwo. Odebranie karczem żydom i zakładanie szkółek w każdej wsi, byłoby podług niego pierwszem dobrodziejstwem dla ludu i podstawą jego lepszego bytu.

Ten wywołał dwie odpowiedzi, może z jednego pióra: dwie broszurki, z których jedna *Myśl na myśl z okazyi Uwag*, przyjmuje zupełnie zdania autora *Myśli* i jego ostrożną politykę, a radzi tylko wziąć za wzór króla Dawida, któremu Bóg błogosławił, gdy się korzył i poprawiał; myśmy od Dawida grzeszniejsi, więc wtedy tylko na pomoc Boską liczyć możemy, jeżeli zmiany w Rzpltej zaprowadzać będziemy sercem skruszonem i upokorzonem. Ton kaznodziejski, pisemko pełne poczciwego uczucia. Drugie, *Do Autora Zgody i Niezgody*, jest polemiczne, broni zwłaszcza dóbr duchownych i dziesięcin *).

Najbliższym pojęć Staszica i jego fanatycznym wielbicielem, jest autor *Poparcia Uwag nad Życiem Jana Zamoyskiego*. Ten jest już demokratycznym dyktatorem. Rozumie potrzebę jednego prawa dla wszystkich, przypuszcza prawa polityczne miast, nawet zniesienie poddaństwa, choć to odrazu wydaje mu się trudnem, jednego tylko nie chce odstąpić, elekcyi, ani pozwolić na dziedzictwo tronu. Wyczytał w różnych francuskich książkach, że król jest tyranem, a panowanie człowieka nad człowiekiem, nie zgadza się z przyrodzoną równością ludzi, i to mu w głowie tak ugrzęzło, że już nic więcej zrozumieć nie może. Przytem jest zaciętym nieprzyjacielem nie już księży, sług obskurantyzmu, narzędzi rzymskiego despotyzmu, sprzysiężonych zawsze przeciw światłu i wolności, ale nawet tych zastarzałych przesądów i zabobonów, które w zwykłej mowie nazywają się religią. Dziwnym pomysłem żąda od pry-

*) Za to znalazł autor *Zgody i Niezgody* takiego zwolennika, który podług jego myśli zupełnie ułożył gotowy motywowany projekt sejmowy i jako broszurę ogłosił.

masa, żeby się ogłosił patryarchą polskiego Kościoła i wyzwolił z przemocy Rzymu. Czytając, zdaje się, że to pisane dwa wieki w tył, nie do prymasa Poniatowskiego ale do Uchańskiego.

Z tych wszystkich pism i pisemek Staszicowi przyjaznych i nim spowodowanych, najobszerniejsze, najciekawsze i najmądrzejsze, są *Uwagi nad Uwagami o Życiu Jana Zamoyskiego*; książka grubsza dużo od Uwag samych, a pisana jak Staszica *Poprawy i Przydatki* suchym odsyłaczowym sposobem. Z niechęcią też, widząc te odsyłacze, bierze ją czytelnik do ręki. Istotnie nie jest to właściwie książka, ale tylko przygotowane notatki i materyały do książki; ale tak trafne, tak pełne rozsądku, a przytem humoru i dowcipu, że gdyby miały inny układ, byłyby niezawodnie jedną ze sławniejszych u nas książek politycznej treści. Autor szanuje Staszica i prawie zawsze godzi się na jego konkluzyę, tylko nigdy na jego filozoficzne wywody, te wydrwiwa z humorem prawdziwie świetnym, a przytem wydrwiwa tak, że ani Staszica ani jego zasad nie podaje w śmieszność. Kontrast ich dwóch jest niezmiernie zabawny, jest to chłopski rozum Sancho Pancy przy utopijnym idealizmie Don-Kichota. Słabych stron i sprzeczności Staszica nikt bystrzej nie wykrył i dowcipniej nie określił; nikt mu nie powiedział w sposób zabawniejszy, a zarazem przychylniejszy, że choć zakazuje uczyć metafizyki, jest najabstrakcyjniejszym z metafizyków; nikt go nie zagadnął z ironią więcej sokratyczną: jak ten lub ów jego pomysł da się przeprowadzić w praktyce, i nie dowiódł, że ten lub ów wywód jest filozoficznie błędny. Autor udaje się za prostego nieuczonego człowieka: to maska. Był on oświeconym jak można najwyżej, był głęboko i gruntownie myślącym, a przytem bardzo praktycznym. Robiąc rozbiór *Uwag*, wybiera tam bardzo dowcipnie pomysły, które Staszic przejął od innych, i windykuje je dla prawych właścicieli: to dla Monteskiusza, to dla Plato-

na, to dla Raynala, co innego dla Rousseau lub Abbé de St. Pierre.

Co do własnych jego pojęć, te są mniej demokratyczne niż pojęcia Staszica. Jest to szlachcic, do szlachectwa swego przywiązany, ale rozumny, znający swój czas i jego konieczności. Gorliwy zwolennik sukcesyi, mniej się zapala do zniesienia poddaństwa; ale godzi się i na to, byle było stopniowem. Reprezentantów małych miasteczek nie chce w sejmie, bo mówi, że sejm z ludzi nieoświeconych byłby udany lub szkodliwy, ale mieszczanom z wielkich miast przyznaje posłów bez targu. Ze swoich predylekcyj szlacheckich ustępuje tyle, że pozwala szlachcicowi trudnić się handlem i przemysłem, nawet rzemiosłem, byle znowu nie spadał zbyt nizko. Szlachcic kominiarz albo szewc, to przecież nieładnie. Z wielkim humorem, z wielkim rozsądkiem, wykształceniem i niepospolitym zmysłem i sądem politycznym, z najlepszą przytem wolą i dążnością, należy autor *Uwag nad Uwagami* do najświetniejszych gwiazd Staszicowskiej plejady. Kto on jest? Nie wiadomo; ale jest tak dowcipny i tak rozsądnie rozumny, że mimowolnie myśli się o Krasickim. Nieszczęściem, nie można w ten domysł uwierzyć. Sposób myślenia przystawałby nie źle do Krasickiego, ale są, choć drobne, jednak są błędy polszczyzny, jakich Krasicki nie popełniał nigdy; a potem każda litera Krasickiego była tak przez współczesnych poszukiwaną, że trudno przypuścić, iżby cała jego książka mogła się ukryć przed ich wiadomością. Po humorze, po lekkim i wesołym sposobie pisania możnaby wnosić, że to ksiądz Jezierski; ale ksiądz Jezierski, przyjaciel polityczny Kołłątaja, szedłby dalej i śmielej w kierunku demokratycznym. Szkoda istotnie, że się nie wie nazwiska tego autora, bo to człowiek niepospolitego rozumu i talentu.

Wszystkie te pisma pochodziły od ludzi, którzy w obszerniejszym lub ciaśniejszym zakresie, ale zawsze

godzili się na zmiany, pochodziły od ludzi różnych odcieni, ale jednego kierunku. Są inne, pochodzące z obozu przeciwnego, manifesty dawnej złotej wolności, lamentacye zagrożonej elekcyi, protestacye *Liberum Veto*, insynuacye zdrady i braku patryotyzmu, rzucane na ludzi 3-go Maja przez przyszłych autorów konfederacyi Targowickiej. *Uwagi* Staszica i cały ten gwar publicystyczny, który około nich powstał, musiał zaniepokoić przyjaciół dawnego porządku rzeczy, skoro na pole tej piśmiennej walki zstąpiła nawet sama hetmańska powaga Seweryna Rzewuskiego.

Uderzony o łóżko (sic) „szuka on pismem przynajmniej być użytecznym ojczyźnie" i wydaje *O sukcesyi Tronu w Polszcze Rzecz krótką*. Krótką, ale smutną, w której tonem rozpaczającego o całość ojczyzny trybuna, popłatnymi frazesami o wolności, szlacheckiej równości, demokracyi, ukrywa nieograniczoną próżność i pychę, deklamuje jak sejmikowy orator, rzuca podejrzenia jak uliczny demagog lub pokątny pismak, upiera się zawzięcie przy dawnej formie rządu, a raz nawet grozi tem, co później istotnie zrobił.

Czytając to, wzięłoby się go po prostu za jednego z tych politycznych oszustów, którzy spekulują na łatwowierność ludzką, i z dobrych uczuć publiczności robią sprzymierzeńca i narzędzie własnych mniej dobrych widoków. Jednak, mając klucz do jego sposobu myślenia, widzi się, że ten człowiek nie był bez dobrej wiary, że w jego ambicyi było i przekonanie. Naturalnie, przekonanie i dobra wiara, wszystkiego uniewinnić nie mogą. Człowiek jest ograniczony, a przeto nie może odpowiadać za swój rozum, tylko za czystość swego zamiaru; ale człowiek jest i rozumny, a więc pewnych pomyłek swego sądu usprawiedliwić nie może. Rzewuski mógł w dobrej wierze obstawać za elekcyą; ale nie mógł w dobrej wierze uważać za dobry tego środka, którego się chwycił, bo chwytając się, prze-

kroczył wyższe prawo moralne, które każdy znać może i musi. Jednak temu zaprzeczyć nie można, że wyznawał on zasady dawnej formy rządu z fanatycznem przywiązaniem. Klucza do jego pojęć i postępowania szukać trzeba w tej solidarności rodzinnej i domowej, która pochodząc z dobrego i godziwego uczucia, posunięta do ostateczności, doprowadza do przesady i absurdów, jak każda ostateczność. Seweryna i jego ojca stworzył i tłómaczy testament hetmana Mateusza Rzewuskiego, który synowi nakazuje bronić wiary, wolnej elekcyi, *Liberum Veto* i władzy hetmańskiej, jako czterech podstaw Rzpltej. To się stało dla nich jakiemś religijnie obserwowanem prawem, programem politycznym; to tłómaczy opór starego hetmana Wacława przeciw reformie Czartoryskich, to późniejszą opozycyę Seweryna przeciw ustawie 3 Maja. Okoliczność, że sam był hetmanem, szkodzi oczywiście bezinteresowności jego polityki, a krok jego ostatni potępia go okropnie; ale pomimo to, nie można o nim powiedzieć, żeby był działał bez przekonania. Namiętne przywiązanie do dawnych form Rzpltej i ich upadek, tak go rozogniły, że w końcu te pojęcia stały się niemal manią, że wszędzie i we wszystkiem widział tylko buławę. Stanisław Potocki pisze w jednym liście do Ignacego, że „*Buławnik* (tak Potoccy nazywali między sobą swego szwagra) dowodzi, że Bonaparte jest tem, czem w Polsce byli hetmani i być powinni, że jest hetmanem; i cieszy się, że teraz dopiero Francya zbawiona". Było to w chwili, kiedy generał Bonaparte obalał dyrektoryat i miał niebawem stanąć jako dyktator z tytułem konsula.

Zaczyna on od wielkiej zgrozy, że Polacy zapomnieli, iż są wolnymi, a niewolnicze duchy korzystają z tego, żeby ich do despotyzmu nagiąć, wmawiają w nich, że elekcya nie jest wolnością, ale powodem anarchii. Usiłuje tedy dowieść, że przeciw elekcyi są dwa tylko powody, pierwszy ten, że bezkrólewia są po-

wodem zamieszek, drugi, że tron dziedziczny przetnie drogę przemocy państw ościennych. Te dwa mniemania zbić obiecuje. Co do zamieszek, mówi, że dałyby się uniknąć, gdyby pięć części województw stanowiło dostateczną większość przeciw części szóstej; robi więc pewną koncesyę dla utrzymania elekcyi, ale taką, która nic nie znaczy. August III obrany był czterdziestoma głosami przeciw całej Rzpltej, a utrzymał się. Zresztą zaprzecza nawet niebezpieczeństwa bezkrólewi. „Stała Rzplta z bezkrólewiami lat tysiąc, a nie było Polaka, którynby się bardziej był obawiał tych zamieszek, niż sukcesyi tronu". O tysiącu lat i o bezkrólewiach przed 1572 dałoby się wiele mówić; ale nie o to chodzi, ile lat Rzplta już stoi, tylko jak długo jeszcze stać może. „Powodem krzyków na bezkrólewie jest zbytek i przywiązanie do bogactw, ci co się boją ich utraty, ci to wmawiają w naród te urojone strachy".

Dalej następuje obraz jaskrawy, jak każdy król dziedziczny, dążąc do władzy absolutnej, pomału i zręcznie podkopywać będzie wolność, zagarnie całą władzę, między innemi da sobie *Jus aggratiandi*, żeby mógł powiedzieć swoim zbirom: „Zabij mi tego obrońcę wolności, a ja cię ułaskawię", a „wtedy dopiero szlachcic uczuje swoją niewolę, gdy go chłop zacznie pozywać do sądu". Królowie od wieków starają się o to dziedzictwo, starają się ujarzmić naród; jeden nawet, Jan Kazimierz, zmierzał do niego otwarcie. Na szczęście, był głupi, zdradził się przed czasem, i „wolność naszą ocalił wielki Bóg ojców naszych, i wielki Lubomirski". Charakterystyczne uwielbienie rokoszanina, który upadku Polski dokonał w roku 1792, dla rokoszanina, który ten upadek przygotował w roku 1665—66. Gdyby nie *wielki* Lubomirski, gdyby nie jego rokosz, a zwłaszcza nie jego bezkarność, nie byłoby dziś plamy na buławie Rzewuskiego i na jego pamięci.

Dowodzi dalej, że wychwalana w Polsce konstytucya angielska jest ostatnią niewolą, bo sankcya króla

potrzebna jest do praw: i twierdzi zuchwale, że parlament musi zawsze królowi ulegać, jak gdyby nie był słyszał o historyi Jakóba II. Twierdzi, że większość głosów jest to samo, co prawo mocniejszego; a czemże *Veto*? Prawo mocniejszego nadane najsłabszemu, jednemu. Przepowiada, że król dziedziczny zacznie od zniesienia *Veto*. Wreszcie ostrzega, że dziedzictwa tronu zaprowadzać nie można, bo trzy państwa sąsiednie, silniejszego rządu w Polsce nie zniosą. Jeżeli tak, to pojąć nie można, jak po rozbiorze mógł ktoś nie uznać interesu Polski w tem, czego sąsiedzi dopuścić nie chcieli? Jeżeli żaden argument, to ten jeden przemawiał za zniesieniem elekcyi tak silnie, że każdy zrozumieć musiał, iż: skoro elekcya była interesem tych państw, nie mogła być interesem Polski.

Konkluduje w nieskończonych deklamacyach o wolności ludów, że po śmierci Stanisława Augusta trzeba zaniechać wyboru nowego króla i ustanowić Rzpltą czystą, a kończy przestrogą, że tron dziedziczny bez oporu i walki wprowadzonym nie będzie, bo jeżeli przyjaciele sukcesyi „nie będą zapewne bez wsparcia to i tym co ją *ustanowioną zechcą obalić* na niem nie zejdzie".

Przykro jest czytać te frazesy o ojczyźnie, wolności, republikańskiej cnocie, te oskarżenia innych o brak patryotyzmu, z ust człowieka, który za lat trzy miał być jedną z głów spisku na obalenie konstytucyi, spisku, któremu istotnie nie zeszło na wsparciu. Ale zbawiennie; bo to przykład, dokąd prowadzą niepohamowane egoizmy i ambicye, i jak można budować na wielkich uczuciach szumnie głoszonych, jeżeli na dnie siedzi pod niemi pycha lub zazdrość.

Wielokrotnie za pierwszą broszurę napastowany, napisał Rzewuski inną, w której dowodzi, że *tron Polski był zawsze obieralny*. Z Długoszem w ręku przechodzi wszystkich bajecznych królów, i dowodzi, że wszyscy byli wybierani. Długosz pod swojemi wyrażeniami

nie rozumiał zapewne elekcyi takiej, jak późniejsze; ale w wieku historyi krytycznej, po Naruszewiczu, człowiekowi oświeconemu mówić o elekcyi Krakusa i Wandy, to doprawdy wstyd. Człowiekowi zaś politycznemu powinno było być jasnem, że historya w pewnych razach niczego nie dowodzi, i że jeżeli nawet Lech sto razy był wybrany królem i sto razy przysięgał na *Pacta Conventa*, to jeszcze nie rozstrzygało kwestyi, czy za Stanisława Augusta elekcya była dobrą i stosowną, lub nie.

Odpowiedzi posypały się jak grad. Znać oburzył Rzewuski umysły. Wyśmiewa go naprzód jakiś Bartłomiej na Starych Werpechach Werpechowski, obywatel podlaski; oświadcza, że stanowczo woli sukcesyę tronu, niż pożar swojej wsi i domu, choć są drewniane. Po nim Tadeusz Morski, publicysta, znany swego czasu i poseł Czteroletniego Sejmu, odpowiedział osobnem i gruntownem pismem pod tytułem: „Uwagi nad pismem Seweryna Rzewuskiego o sukcesyi tronu”. Zbija on punkt za punktem fantastyczne twierdzenia hetmana. W porównaniu rzeczywistej wolności angielskiej z pozorną wolnością polską jest prawdziwie szczęśliwy.

Srogi cios zadał hetmanowi jego niegdyś i ojca przyjaciel, wyznawca niegdyś tych samych przekonań, a dziś wnioskodawca *Poprawy Formy Rządu*, jeden z najpoważniejszych ludzi w Polsce, stary biskup Krasiński. Napisał on tylko trzy kartki *Listu do Przyjaciela*, w którym bardzo krótko opisuje działania sejmu i tłómaczy potrzebę zniesienia elekcyi (w duchu swoich mów sejmowych), ale na wstępie mówi, że powodują go do tego listu różne pisma rozsiewane po kraju, sejmowi przeciwne, a mianowicie protegowane i chwalone przez posła rosyjskiego pismo hetmana polnego *O Sukcesyi Tronu*. To Rzewuskiego tknęło do żywego, i odpisał wściekle, namiętnie, oskarżając biskupa, że chce dziedzicznego tronu dlatego, żeby na nim osadzić

królewicza Karola, ożenionego z Krasińską, że go chce przed narodem oczernić: ale to się nie uda, bo naród zna hetmana, jego wierność dla ojczyzny; niestety, sam nieszczęśliwy, nie znał jeszcze swojej wierności i cnoty.

Ostateczne zwycięztwo nad jego pismami miał jednak odnieść kto inny, najzdolniejszy może między ludźmi politycznymi tego czasu, Kołłątaj. Napisał on także *Uwagi nad Pismem Seweryna Rzewuskiego o sukcesyi, rzecz krótka.* W formie niezmiernie względny, grzeczny, parlamentarny, nawet pełen uszanowania, jest Kołłątaj stanowczy i niezbity w dowodzeniu. Rozprawia się naprzód krótko z historycznymi argumentami hetmana, i wieczną w Polsce elekcyę redukuje do właściwego jej znaczenia. Potem dowodzi niedorzeczności i niepodobieństwa obierania króla większością pięciu szóstych części województw; dalej przechodzi do elekcyi, a pokazawszy, że wolną nie była nigdy i być nie może, wnosi, że trzebą z nią raz skończyć. Wyśmiewa bez litości argument Rzewuskiego o drewnianych wioskach, mści sprawiedliwie Jana Kazimierza i ocenia korzyści, jakie Polska odniosła z rokoszu *wielkiego* Lubomirskiego, wreszcie przechodzi do konkluzyi, do owej Rzpltej na wzór amerykański, o której pisał Rzewuski. Nie przepuszcza i owej groźbie wojny domowej; słowem błahość i ignoracyę argumentów historycznych Rzewuskiego, płytkość i szkodliwość jego pomysłów politycznych, a nadewszystko jego dążność oligarchiczną, bałwochwalstwo buławy, wyświeca tak jawnie, a sprawy sejmu broni tak doskonale, że broszura Rzewuskiego, przez to, że spowodowała tę odpowiedź i wiele innych, ale zwłaszcza tę, przyczyniła się niemało do zabicia elekcyi w opinii i do utorowania drogi przed uchwałą stanowiącą tron dziedziczny.

Niepodobna jest wchodzić w szczegółowy rozbiór wszystkich pism i pisemek, które zjawiały się coraz liczniej w miarę, jak postępowały prace sejmu, a zwła-

szcza jak ogłoszoną została ustawa 3-go Maja. Był to sam najgorętszy ogień tego piśmiennego boju; broszury wszelkich dążności i wszelkich przedmiotów walczą ze sobą zacięcie. Są za konstytucyą, są przeciw niej, jedne przeciw w dobrej wierze, inne w duchu fakcyj; jedne, bo znajdują ją za mało liberalną i zbyt monarchiczną, drugie, bo zmierzała do zatamowania anarchii, są w przedmiotach specyalnych, o wojsku, o miastach, o żydach, o poddanych. Zakres tej książki nie pozwala na sprawozdanie ze wszystkich. Wiadomość o nich, równie obszerna jak dokładna, znajduje się u Romana Pilata: *Literatura Polityczna Sejmu Czteroletniego.* Jednak nie można obejść się bez wzmianki o niektórych ważniejszych.

Wychodzi naprzód z obozu przeciwnego Ustawie 3-go Maja książka pod tytułem: *Myśli o Formie Rządu Republikańskiego*, autorem jest Adam Wawrzyniec Rzewuski, kasztelan witebski. Książka ciekawa z tego względu, że pokazuje, jak utopijne pojęcia filozofów francuskich, zaszczepiały się na dawnych szlacheckich pojęciach polskich i jakie to szczepienie wydało owoce. Adam Rzewuski jest wyznawcą rodzinnych zasad i polityki, przyjacielem elekcyi i *Liberum Veto* jak Seweryn, fanatycznym republikaninem w znaczeniu Rzpltej szlacheckiej, a przytem przesiąkł cały idealizmem Roussa, marzy o jakimś pierwotnym błogim stanie do którego chce powrócić, o republikańskiej cnocie i twardości obyczajów, rozprawia o równości: ale prawo polityczne chce mieć wyłączną własnością szlachty, jest wielkim filantropem, ale nie pozwala na zniesienie poddaństwa. Te dwa pierwiastki fałszywe, spotkawszy się i zamalgowawszy razem, musiały wydać płód potworny; i istotnie nic dziwniejszego jak pomysły tego Rzewuskiego, nic sprzeczniejszego jak jego filantropijno-republikańska frazeologia, z treścią tego, co chce mieć w Polsce prawem. Parę przykładów przekona o tem dostatecznie. Przypuszczenie miast do prawa reprezen-

tacyi w sejmie, razi go niezmiernie; cóż więc wymyśla, żeby ich do praw nie dopuścić? Oto dowodzi, że dla państw i społeczeństw niema nic szkodliwszego nad miasta; tam się centralizuje władza i powstaje despotyzm, ztamtąd zepsucie obyczajów, zbytek i t. d. Na to, żeby Rzpltej dobrze się dziać mogło, trzeba żeby miasta owszem zeszły do najmniejszego znaczenia, zatem żąda prawa, któreby szlachcie zakazało mieszkania w miastach, a wtedy dopiero powróci prostota, surowość obyczajów, wróci błogi stan pierwotny i cnota. Stan pierwotny wróciłby niezawodnie, taki jak był przed początkami cywilizacyi; pierwsze niedorzeczeństwo jakie wydały marzenia Rousseau'a o stanie natury na dawnym polskim wstręcie i uprzedzeniu przeciwko miastom. Pełno tam pomysłów dziecinnych i drobiazgowych, które mają Polskę wyratować, jak naprzykład zniesienie orderów, jako znaków służby, a wystawienie świątyni obywatelskiej, w którejby były umieszczone obrazy dobrze zasłużonych, albo sąd opinii puwszechnej, która ma orzekać o zasługach. Jest, zamiast senatu, arystokratycznego narzędzia tyranów (w Polsce!), jakieś ciało, które ma się nazywać *Senatus Consultum* (urzędnik *Senatus Consultus*), a będzie przeznaczone jedynie do pilnowania i kontroli władzy wykonawczej, nie będąc częścią prawodawczej. Zabawia się takiemi rzeczami i chce niemi zbawić upadającą Polskę, a wszystkie zasady rządu, wszystkie instytucye, podatki, wojsko, kwestya społeczna, mają zostać, czém są. Wszystko z powodu, że konstytucya 3-go Maja zaprowadza niewolę, a autor woli naturalnie *periculosum libertatem quam quietum servitium.* W naszym wieku i położeniu z tem zdaniem polemizować byłoby zbytecznie.

Rzadką zuchwałością i bezczelnością odznacza się Suchorzewskiego *Odezwa do Narodu i Protestacya przeciw gwałtowi dnia 3-go Maja dokonanemu.* Nie dość wrażenia zrobiła w Warszawie komedya, odegrana w izbie

sejmowej przez szanownego posła kaliskiego, nie przydało się na nic udawanie Rejtana, rzucanie się na ziemię i parodya Abrahama i Brutusa odegrana z synem, wszystko się nie udało, w Warszawie nikt się na te sztuki złapać nie mógł; trzeba było próbować ratować swoją sprawę na prowincyi przed opinią szlachty mniej świadomej przebiegu rzeczy. Napisał tedy Suchorzewski broszurę, w której opisuje całe trzechletnie działanie sejmu, jego systematyczne dążenie do obalenia wolności, niecne intrygi i wszystkich zaprzedanych zdrajców (przyjaciół konstytucyi), ukorowane bezprawnem jej ogłoszeniem, gwałtem dokonanym na wolnym głosie posła, nawet na jego osobie, bo Suchorzewski był kopany nogami, bity, ledwo nie zabity! Frazeologia patryotyczna najszumniejsza, co słowo: zdrada, zaprzedanie, spisek, ucisk wolności, gwałt, przemoc! Na sejm i na naród nie robiło to wrażenia; ale dla Cesarzowej Katarzyny, która chciała zabezpieczyć wolność i całość Polski drugim rozbiorem, była ta odezwa gotowem świadectwem dokonanych 3-go Maja gwałtów i bezprawi, a konfederacya Targowicka, występująca w obronie wolności, znalazła w protestacyi posła kaliskiego nie jeden fakt i nawet nie jeden frazes, na który się powołała w swoich manifestach.

Innego znowu rodzaju przeciwnikiem konstytucyi jest Wojciech Turski. Ten przez to, że w procesie Ponińskiego przyjął rolę delatora, uwierzył, że był zbawcą ojczyzny i miał się za jakiegoś polskiego Brutusa. Głowa przewrócona zarozumiałością, a z natury płytka, nie mniej jak polityczna, przewróciła się do reszty pod wpływem współczesnych francuskich pism i wypadków. W parę lat później stawał Turski przed Konwencyą jako mianowany przez siebie samego poseł polski, i miał tam mowę, która jemu zjednała *les honneurs de la séance*, Polsce nic; teraz, już przejęty mowami paryskich klubów, staje się ich echem bardzo próżnem. Zacietrzewiony w *tyranii królów* woła tylko, żeby mu

elekcyi nie znoszono, bo tron sukcesyjny a niewola to jedno, a na wszystkie przełożenia strony przeciwnej, na położenie Polski nie patrzy wcale, nie umie patrzeć, zaręcza tylko z pewnością siebie równie bezmyślną, jak bezczelną, że Polsce nic złego stać się nie może. Wszystko, co mówią stronnicy sukcesyi, to strachy na Lachy, żeby ugiąć naród do niewoli. Mówią, że położenie Rzpltej groźne? To nieprawda, nigdy nie było świetniejszem; mówią, że mocarstwa zmawiają się na drugi rozbiór? Podłe kłamstwo i tchórzostwo. Naprzód, gdyby minister francuski był zawczasu dwór swój ostrzegł, nie byłoby przyszło do pierwszego rozbioru; drugiego Francya nie dopuści, a państwa ościenne nigdy się ze sobą porozumieć, ani nas zaczepić nie potrafią. Odwaga w ręczeniu za siły i losy Polski równa tylko nieograniczonej nieznajomości spraw; jednej i drugiej wypadki zadają fałsz po niewczasie. Żeby się uratować, dość nam zachować wolność, przez którą rozumie elekcyę, i zaprowadzić równość. Jaką równość? O równości cywilnej, o zniesieniu poddaństwa nie mówi, to drobiazgi nie godne wielkiego umysłu; ale równość majątkową przez prawo, któreby zmuszało bogatych żenić się z ubogiemi! Drobna kwestya osobistej wolności nie staje mu na przeszkodzie. Słowem, człowiek krótkiego wzroku, nie dostrzegającego nie już tego, co się stanie, ale tego, co się dzieje; krzykacz, zagłuszający siebie i drugich frazesami o niezwyciężonej sile narodu, i utrzymujący, że nigdy Polska nie stała świetniej, jak w wigilię drugiego rozbioru; durzący siebie i innych szarlatan polityczny i wielki republikanin, nie gardzący dworskimi honorami; ten trybun był szambelanem.

Jedno słowo poważne przeciw konstytucyi 3-go Maja, mylne, ale rozumne, wyszło z ust Tadeusza Czackiego. Napisał on razem z Mikołajem Wolskim szambelanem królewskim broszurę *O konstytucyi 3-go Maja* (do Matuszewicza i Zaleskiego. posła trockiego) i wy-

dał ją bezimiennie w roku 1791. Jest to widocznie dzieło człowieka myślącego i wiedzącego, czego ma żądać od konstytucyi państwa. Głównym, właściwie jedynym zarzutem przeciw konstytucyi 3-go Maja jest ten, że jest zbyt monarchiczna, że za wiele władzy jednoczy w ręku króla; że król, któryby jej nadużyć chciał, w niej samej znalazłby do tego środek. Ten ostatni zarzut da się zrobić każdej konstytucyi, nawet najbardziej republikańskiej; niema tej, którejby władza wykonawcza nie mogła nadużyć, jeżeli władza prawodawcza nie strzeże jej pilnie. Ale kiedy autor dowodzi, że utrzymanie wolności zależy na równowadze władz, a że władza wykonawcza nad miarę jest skoncentrowaną, można się z nim nie zgodzić, można mu odpowiedzieć, że takieześrodkowanie władzy jest w danych okolicznościach koniecznem, ale nie można zaprzeczyć mu słuszności. W teoryi ją ma; w praktyce tylko, w danem położeniu Polski, zagrożonej powtórną zmową dworów na jej całość, myli się, kiedy nastaje na osłabienie władzy wykonawczej.

W obronie sejmu i konstytucyi odpowiada Czackiemu anonim (Dmochowski), który dowodzi, że nie oddano królowi pod jego wyłączną moc ani wychowania, ani skarbu, ani wojska, ani policyi, ani spraw zagranicznych, słowem, odkrywa słabą stronę pisma Czackiego, za którym znowu ujmuje się inny Wołyniak, Ledochowski, broszurką, w której więcej obelg dla Dmochowskiego niż argumentów.

Wszystkiego wyliczać nie podobna; ks. Jezierski, kanonik krakowski, pisze w r. 1791 broszurę *Co się też to dzieje z nieszczęśliwą Ojczyzną*, napisaną z prawdziwym talentem, w której w myśl stronnictwa, do którego należał (Kołłątaj, Ignacy Potocki), namawia do przymierza pruskiego i sukcesyi, a ostrzega przed zabiegami partyi przeciwnej w Wiedniu i Jassach. Inna broszura *I ja też* obstaje za królem Polakiem, nie wydając się, kogo ma na myśli, może *ballon d' essai* dla ja-

kiegoś przemijającego pomysłu. Tenże ks. Jezierski pisze *Katechizm o tajemnicach Rządu Polskiego*, *Uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polsce*. Pełno broszur bezimiennych, *Myśli polityczne dla Polski*, *Polak odrodzony*, *Nikt wyższy nad prawo* etc. Najdzielniej zaś, bo nieustannie i codziennie, broniła 3-go Maja wydawana przez Niemcewicza, Mostowskiego i Weissenhoffa *Gazeta Narodowa* i *Obca* (nazywana Serwetą), wychodząca 1791—92, pierwsza polityczna gazeta w Polsce.

Z broszur w kwestyach specyalnych niepodobna nawet niektórych wybierać; każdy przedmiot jak wojsko, skarb, miasta, nawet żydzi, ma ich po kilka lub kilkanaście. Jedną przecież trzeba przynajmniej wymienić, tak ze względu na ważność przedmiotu jak i na wartość pisma, a tą jest książka *O poddanych polskich*, wydana w r. 1788.

Spotykaliśmy dotąd kwestyę włościańską kilka razy w literaturze politycznej XVIII wieku; mianowicie piękny rozdział o poddanych w dziele Leszczyńskiego, potem dziwaczną co do formy, ale pełną zdrowych pomysłów *Anatomię* Garczyńskiego, wreszcie, za Stanisława Augusta dotknął jej Wybicki w Listach Patryotycznych i Staszic w *Uwagach* i w *Przestrodze*. Teraz znalazł się pisarz, nieszczęściem niewiadomy *) z nazwiska, który zajął się tą kwestyą wyłącznie. Nie odkrył on nic nowego, nie powiedział nic ze stanowiska moralnego, czegoby nie był powiedział Leszczyński, nic ze stanowiska ekonomicznego, czegoby nie był powiedział Garczyński, nic w konkluzyach czegoby nie był powiedział Staszic; ale ma tę zasługę, że to wszystko zebrał, uporządkował i ułożył w całość bardzo wyczerpującą, opatrzoną porządnym wstępem historycznym, w którym opisane jest stopiowe powstawanie stosunków poddańczych i ich forma w różnych czasach.

*) Kalinka domyśla się, że prymas Poniatowski.

Porządek jego myśli jest następujący. Po owym historycznym poglądzie, idzie potępienie poddaństwa ze stanowiska chrześcijańskiego i moralnego; następnie skutki, jakie ona wywiera na poddanych; próżniactwo, pijaństwo, ubóstwo, nienawiść do panów, ciemnota. Potem skutki poddaństwa dla dziedziców, straty materyalne i ekonomiczne; skutki jego dla Rzpltej i niebezpieczeństwa, jakie poddaństwo nie zniesione sprowadzić na nią musi. Potem dopiero następuje konkluzya, a ta zamyka się w trzech punktach: 1. Natychmiastowe zniesienie adskrypcyi. 2. Natychmiastowe zniesienie juryzdykcyi dziedzica nad poddanym. 3. Zaprowadzenie i dobre urządzenie szkół, którego projekt podaje. 4. Stopniowe zniesienie powinności poddańczych, którego stopniem pierwszym i przechodowym byłoby oczynszowanie natychmiastowe, z prawa, podług prawem postanowionej skali czynszów.

Książka ta, doskonała w dążności i doskonale napisana, wywołała dwie odpowiedzi, z których jedna jest poparciem, a druga napaścią. Autor *Poddanych*, mówiąc o położeniu ich w Polsce, zarzuca dawnym wiekom nieludzkość, i twierdzi, że nikt o losie poddanych nie myślał; że nawet sławiony Skarga zaledwo mimochodem wspominał o tym narodowym grzechu. Z zarzutu tego omywa przeszłość ks. Pilichowski, biskup sufragan wileński. Ten, godząc się zupełnie z autorem *Poddanych*, oddając mu najzupełniejszą słuszność, dowodzi cytacyami i tekstami, że od najdawniejszych czasów, od pierwszych zarodów poddaństwa, byli ludzie, którzy je za nieludzkie i niepolityczne uważali, prawodawcy, którzy poddanych brali w opiekę, pisarze, którzy ich bronili. Szereg jest w istocie imponujący, słowa wyrzeczone w tej materyi od najdawniejszych czasów, trafne przepowiednie skutków do dziś dnia widocznych, przerażające prawdą i groźbą; a niesłusznie oskarżony Skarga odznacza się między wszystkimi. Smutno tylko widzieć, że tyle głosów tak uczciwych i mądrych przez

trzy wieki nie zrobiło wrażenia; ale zestawienie tych głosów najwymowniejszych, najbardziej proroczych, było silnem poparciem sprawy poddanych.

Na nieszczęście jak Skarga i Modrzewski dawniej nikogo, tak dziś Staszic i ks. Pilichowski nie wszystkich przekonali. Słowo Seweryna Rzewuskiego w broszurze o sukcesyi dowodzi tego w części, zupełnie dowodzi broszura „Dopytanie się u przodków czułości ku poddanym", pisemko złe w dążności, złośliwe w tonie, urągające i Modrzewskiemu i Skardze i ks. Pilichowskiemu, pozwalające co najwięcej poddanym wolnego wyboru żony, a zresztą dowodzące tekstami z ksiąg Mojżeszowych, że poddaństwo musi być porządkiem rzeczy ustanowionym przez Boga skoro go Mojżesz nie zniósł, i że jako takie zostać powinno.

Równocześnie, na drugim końcu Europy, zasady i teorye, obrabiane przez wiek cały, dochodziły do politycznego wyrazu. Nasz sejm konstytucyjny zasiadał od roku, kiedy zgromadzenie narodowe francuskie wydało swoją Deklaracyę Praw Człowieka.

Pod wpływem tych dwóch faktów powstało drugie dzieło Staszica, *Przestroga dla Polski*, wydane w roku 1790. Można o niem powiedzieć, że jako zasady jest w Polsce i dla Polski rezultatem całego ówczesnego historycznego prądu; pod względem równości cywilnej i wolności politycznej rezultatem i owocem pojęć i dążności francuskich, od Monteskiusza aż do Mirabeau i Sieyésa; pod względem pojęć o prawie narodów odbiciem wojny amerykańskiej, tamtejszej *Declaration of Rights* i tamtejszej konstytucyi. Wreszcie, pod względem zastosowania tych zasad do Polski, jest skutkiem sejmu działającego, działającego rozumnie i w dobrym duchu, tylko nie dość sprężyście. *Deklaracya francuska* i *Deklaracya amerykańska* są dla Staszica doskonałym wyrazem i widomym znakiem prawa politycznego i międzynarodowego jak być powinno. — Sejm Konstytucyjny Polski powołany jest do oparcia jej na podob-

nych podstawach, a przeto przymierza Staszic jego czynności do tamtego ideału, i podług niego go sądzi, nie spuszczając przytem z uwagi wyjątkowego położenia Polski, i konieczności jakie ztąd dla niej wypływają.

Jest *Przestroga* niczem więcej jak obszerniejszem i systematyczniejszem rozwinięciem zasad, znanych już z *Uwag*, tylko jest od *Uwag* śmielsza i zupełniejsza. Wiele myśli, tam zaledwo rzuconych, wywodzi on w *Przestrodze* z ostatecznych przyczyn i pierwiastków; wiele szczegółów, tam tylko dotkniętych, opracowuje tutaj gruntownie.

Punktem wyjścia jest walka pomiędzy ideałem a koniecznością, tem co być powinno, a tem co jest: z tego dwojga, jako średnia wypadkowa wyjść ma to, co być może, co Polska zrobić powinna, żeby się uratować i utrzymać.

Ideał, widocznie i uderzająco podobny do dwóch Deklaracyj, jest, co do porządku społecznego i politycznego, następujący: „Równość, wolność i własność są najprostszym logicznym skutkiem praw człowieka. Nikt się nie rodzi z przywilejem bogactwa i próżnowania, ani z nieodmiennem przeznaczeniem pracy i ubóstwa. Najwyższa moc i wola czyli najwyższa udzielność istnieje w narodzie; przeto tylko ta władza pochodzi od Boga, której naród sam wyraźnie udziela" i t. d. Po podobnych aforystycznych definicyach władzy wykonawczej, sądowej i t. d. i ich zasad, przechodzi do prawa narodów: „Jak w społeczeństwie ten obywatel gwałci prawa, który sobie więcej niż innym praw przypisuje, tak w narodach ten naród lub rząd gwałci prawa innych, który więcej od innych praw sobie przywłaszcza" i t. d.

To jest prawo, to są zasady związku ludzi w społeczeństwie i społeczeństw między sobą. Z tego wynika, że „jeżeli w krajach sąsiednich prawa człowieka już *de facto* są zgwałcone, tedy każda Rzplta w stanowieniu

praw politycznych i cywilnych musi stosować się do grożącego jej z zewnątrz gwałtu, i u siebie obywatelską wolność i własność o tyle ograniczyć, ile tego wymaga konieczność obrony". Przeto Polska powinna urządzić się tak, żeby sobie zapewnić jak największą ludność, przez ludność dochód, przez dochód wojsko, przez wojsko istnienie.

Kwestya ekonomiczna, kwestya ludności, produkcyi i zamożności, jest więc osią i podstawą wszystkiego, ale z tą wiąże się kwestya społecznej i politycznej reformy, jak przyczyna ze skutkiem; bo, powodem małej ludności i małej produkcyi są dwie rzeczy, poddaństwo i nierząd, systematyczne bezprawie. Cała więc treść i cel książki leży w tem, żeby dowieść, iż jest warunkiem bytu Polski i interesem każdego w niej stanu znieść poddaństwo i zaprowadzić rząd prawdziwy.

Przedewszystkiem jest to interesem panów, a że od tych obawia się najzaciętszego oporu, więc do nich najpierwej zwraca Staszic mowę, aby ich przekonać, że z utratą niepodległości oni pierwsi utracą swoje stanowiska i majątki, pierwsi staną się celem prześladowania, że więc we własnym interesie powinni popierać to, co niepodległość zabezpiecza. Cały ten rozdział jest w najwyższym stopniu gwałtowny. Cała teoretyczna szkodliwość oligarchicznej potęgi, i wszystko złe, jakie możnowładcy polscy kiedykolwiek zrobić mogli, ambicya, prywata, konszachty z obcemi państwami, przekupstwo, zepsucie obyczajów, „kurczenie ojczyzny w domach swoich", jak mówi Skarga, wszystko to wypisane jest słowami gorejącemi, palącemi. Ale słusznie jest zapytać z Szujskim, kogo Staszic rozumiał przez *Panów*, i przeciw komu ta filipika. Jeżeli przeciw oligarchii jako zasadzie, jako szkodliwemu *principium* w każdem społeczeństwie, to słuszna, jeżeli przeciw szkodliwym i występnym indywiduom, to także słuszna; ale źle skierowana, jeżeli przeciw jakiejś warstwie

społeczeństwa, która się określić nie da, i w której łonie mieścili się obok najgorszych, także ludzie najzasłużeńsi.

Do czegoż to wszystko zmierza? Czego w końcu zażąda? Oto zniesienia pańszczyzny. Ta jest konkluzya owych upomnień do panów i całej ekonomiczno-społecznej części dzieła.

Rolnictwo jest źródłem bogactwa, przez rolnictwo może Rzplta powiększyć podatki; rolnictwo zasadza się na wydatkach i na robocie, tylko przez pomnożenie nakładów rolniczych poprawia się w kraju rolnictwo. Tych nakładów w Polsce właściciel ziemi robić nie może, bo blizko połowę ziemi zabierają dobra stołowe, duchowne i starostwa, wszystkie w rękach dożywotników, którzy nakładów robić ani nie chcą, ani nie mogą. Dobra szlacheckie, po większej części obszerne, wymagają nakładów, których właściciel ponieść nie może; zmiana zaś i rozdrobnienie własności, podniesienie rolnictwa przez obrót nowych kapitałów i zasób nowej pracy jest niemożliwem, bo istnieje zakaz nabywania ziemi przez nieszlachtę, ziemia jest zmonopolizowana.

Trzeba zatem znieść monopol ziemi, nadać prawo własności mieszczanom i włościanom, wreszcie trzeba ułatwić obrót ziemi przez zniesienie dóbr *manus mortuae*. A zatem:

1. Wszystkie starostwa mają być zwrócone Rzpltej a następnie puszczone w wieczną dzierżawę. Nowy dzierżawca obowiązuje się płacić z nich czynsz, nie na wartość pieniędzy, ale na korce zboża obliczony (bo wartość pieniędzy się zmienia); co lat trzydzieści zaś ma nastąpić rewizya czynszów przez osobną komisyę, i ich podniesienie lub utrzymanie jak są.

2. Dobra królewskie tym samym sposobem mają być wydzierżawione. Z tych dochodów opędza się lista cywilna (reszta idzie na wojsko).

3. Tak samo wszystkie dobra duchowne, które znowu opędzać będą koszta utrzymania duchowień-

stwa, ale tylko potrzebnego. Potrzebnym zaś jest tylko biskup i proboszcz. Kanonie, prałatury etc. mają być zniesione.

4. Dobra Maltańskie będą także wydzierżawione, ale kawalerom maltańskim, jako nieużytecznym, dochodów wypłacać się nie będzie.

Zapomniał Staszic powiedzieć, co zapewne było jego myślą, że te wszystkie dobra mają być wydzierżawione w mniejszych kompleksach, a nie w ich dzisiejszych obszarach, inaczej produkcya i siła podatkowania w niczemby się nie zmieniła.

Wreszcie przechodzi do dóbr szlacheckich. Jedyną rzeczą, która może podnieść produkcyę, pracę, bogactwo, a zatem podatki, a zatem wojsko i bezpieczeństwo kraju, jest własność; zatem rozwiązaniem kwestyi ekonomicznej i społecznej, a zarazem wyjściem z politycznego upadku, jest zniesienie pańszczyzny.

Następują potem miasta i żądanie przypuszczenia ich do reprezentacyi w państwie, a wreszcie żydzi, względem których żąda postanowienia dwóch praw:

1. Aby żaden żyd w Polsce nie mógł szynkować trunków.

2. Aby żydzi podlegali magistratom jak wszyscy inni mieszkańcy, nie mogąc mieć osobnych urzędników prócz rabinów, i aby wychowanie ich poddane było komisyi edukacyjnej.

Kończy wnioskiem dla Polski i projektem praw kardynalnych Rzpltej.

Pozostaje jeszcze cała druga połowa działalności Staszica, jego prace naukowe, jego ziemiorodztwo, próby tłómaczenia Homera, dziwaczny poemat o Rodzie Ludzkim, jego społeczno-prawodawcze zastosowanie zasad w Hrubieszowszczyźnie, czynności radcy stanu, ale te należą już do naszego wieku.

Dziwna rzecz, jak ta epoka obfituje w księży, którzy księżmi nie są, filozofów, polityków, uczonych, dyplomatów, tylko nie księży. Mably, Sieyès, Talleyrand,

Kołłątaj, wszystko ludzie pierwszorzędnych zdolności, księża, którzy wszyscy widzą w swojem kapłaństwie środek dojścia do znaczenia i stanowiska, a raz doszedłszy, już się o nic nie troszczą. Staszic odbija od nich wszystkich czystością i szlachetnością duszy; nie ma osobistej ambicyi Kołłątaja, ani ducha intrygi Talleyranda, ani nawet dumy Sieyèsa. Z tym ostatnim najwięcej ma podobieństwa; jest to ten sam rodzaj potężnego, nieco doktrynerskiego umysłu, ta sama dążność filozoficzna, abstrakcyjna, podobny sposób myślenia i zasady, podobny wreszcie charakter hardy i twardy. Ale jeżeli nie jako rozum, to jako charakter, Staszic był wyższy. Jego pomysły do konstytucyi polskiej, nie tak może wyprowadzone głęboko z teoryi, jak projekty konstytucyi Sieyèsa, mają jednak tę wyższość nad tamtymi, że są prostsze, nie tak zawiłe.

Równowaga, proporcya między rozumem a charakterem, rzecz tak rzadka u ludzi politycznych, zwłaszcza u nas, ta to nadaje Staszicowi właściwe piętno wyższości, a objawia się najwyraźniej tem, że on nigdy o sobie nie myślał, niczego dla siebie nie żądał. Cnoty publiczne, o których mówił i pisał, posiadał także i pełnił, a jeżeli słusznie nazwano go pod względem pojęć ojcem nowoczesnej demokracyi w Polsce, to pod tym względem znowu może on być dla niej wielkim i godnym naśladowania wzorem.

Zamyka tę dyskusyę, przykłada niejako pieczęć, Kołłątaja *Ostatnia Przestroga.*

Obok dzieła takich rozmiarów i takiej treści, jak całkowity układ systemu konstytucyjnego, obok rozwiązania największego i najtrudniejszego zadania filozofii politycznej, pisma zajmujące się jedną stroną i częścią tego samego zadania, muszą wydawać się rzeczą małą, i nic dziwnego, że obok Listów Anonima znika *Ostatnia Przestroga* i jest przez nie przyćmiona. Stosunek jest taki, jak w porządku naukowym pomiędzy dziełem, obejmującem naprzykład całość historyi

polskiej, a małą monografią o jednym człowieku lub wypadku. Ale, jakkolwiek przygnieciona sąsiedztwem *Listów* z jednej strony, a *Ustanowienia i Upadku Konstytucyi* z drugiej, jakkolwiek objętość jej nie dochodzi czterdziestu stronnic, jest *Ostatnia Przestroga* najwymowniejszem i najbardziej przekonywującem słowem w dwóch materyach, które były samym rdzeniem reformy, w materyi dziedzictwa tronu, i przyjęcia poddanych pod opiekę prawa. Napisana była w roku 1790 w chwili, kiedy Deputacya do zmiany formy rządu właśnie te kwestye przygotowywała, kiedy strona przeciwna wytężyła przeciw niej wszystkie siły, i kiedy zwyciężyć trzeba było koniecznie, a do zwycięstwa czasu było niewiele. W samym tytule *Ostatniej Przestrogi* jest coś groźnego i złowrogiego; ten autor czuje, że to chwila ostatnia, że z końcem wojny tureckiej sejm utraci swobodę działania, że jeżeli z tej chwili nie skorzysta, potem będzie już za późno, i dlatego nazywa swoją przestrogę *ostatnią*. To uczucie przestrachu i pośpiechu, ta gorączka i niespokojność, w jakiej żyło stronnictwo konstytucyjne, odbiła się nawet w sposobie pisania Kołłątaja. Zazwyczaj spokojny, chłodny, trzymający się na wodzy, w tem jednem piśmie jest nerwowy, wrzący, tu i owdzie liryczny, i w tych wybuchach uczucia prawdziwie wymowny.

Zaczyna od porównania geograficznego położenia Polski Jagiellońskiej z Polską Stanisława Augusta; rzut oka na kartę geograficzną przekona każdego, na co nam wyszły elekcye i nierząd. Popiera zaś swoje założenie krótkim, ale niezmiernie dosadnym poglądem na rozwój mniemanej wolności, na coraz gorsze skutki każdej z kolei elekcyi. Ciekawy jest jego retrospektywny żal do dawnej Polski, że dwa razy miała sposobność przez elekcyę zabezpieczyć swój byt, a zaniechała tego uczynić. Raz, po śmierci Zygmunta Augusta, drugi raz po abdykacyi Jana Kazimierza. Oba razy powinna była Polska powołać na tron swoich lenników,

książąt pruskich, Alberta, a później Wielkiego Kurfirszta. Obadwaj, twierdzi Kołłątaj, pełni ambicyi i myślący stale o wzniesieniu swego domu, byliby przystali do każdego kraju, któryby im był dał królewską koronę; ich ojczyzną, ich interesem, ich sprawą, nie byłyby wtedy Prusy, ale Polska. Owszem, pod warunkiem dziedzictwa byliby przyłączyli lenne księstwo do Rzpltej, a może i swoje dziedziczne margrabstwo. Prusy jako królestwo, jako mocarstwo tak groźne pod bokiem Polski, nie byłyby w takim razie stanęły, a ten pierwiastek siły, jaki w nich tkwi, byłby się przeniósł do Polski i obrócił na jej korzyść. Takie marzenia wstecz są, oczywiście, tylko marzeniami; w tym razie zwłaszcza można Kołłątajowi przypomnieć, że dom Brandenburski o tyle miał racyę bytu w Niemczech, o ile był reprezentantem i obrońcą interesu protestanckiego, i że dla tronu polskiego byłby się może tego stanowiska nie wyrzekł.

Kiedy zaś jesteśmy przy literaturze Sejmu Konstytucyjnego, to słusznie i koniecznie wspomnieć należy o jego mówcach.

Zdawałoby się, że ten proces odrodzenia, który się wtedy odbywał, odbije się najwyraźniej, najsilniej i najwierniej w żywem słowie tego sejmu, w jego rozprawach. Logicznie wymowa tego sejmu powinnaby być jedną z najpiękniejszych i najwyższych na świecie, bo nigdy, z wyjątkiem chyba Demostenesa, widzącego Ateny, lecące przyśpieszonym pędem w przepaść podległości, nie było w żadnym narodzie, żaden mówca nie widział chwili tak uroczystej i tak patetycznej. Wszystko co jest sił i uczuć w duszy ludzkiej, miłość ojczyzny, otwarta przed nią przepaść, miłość wolności, wierność i przywiązanie do zasad politycznych, silne przekonania, silne nienawiści do przeciwników, wszystko to zda się powinno było być wytężone, nastrojone do najwyższego tonu; dusze mówców sejmowych pod tymi wpływami powinnyby być w stanie ciągłej egzal-

tacyi, ciągłego roznamiętnienia, w nieustającem natchnieniu. Gdyby było chodziło tylko o poprawę rządu, o zmianę konstytucyi, o podciągnięcie pod nią nowych podwalin, to samo byłoby powinno wystarczyć, żeby wszystkie przekonania i wszystkie namiętności doprowadzić do najwyższego stopnia egzaltacyi. Cóż dopiero kiedy do tego przystąpi coś większego: jeszcze sprawa życia lub śmierci, niepodległość lub utrata bytu, zawisła (wierzyli w to wszyscy) od skutku obrad sejmowych; kiedy się czuje nad głową miecz Damoklesa, który trzeba odwrócić albo spadnie. Nigdy żadne ciało prawodawcze nie było w położeniu tak tragicznem; obok tego największe kwestye zapisane w dziejach parlamentu angielskiego, sprawa Ameryki, reforma wyborcza, bil zbożowy, te kwestye, które tam w najwyższym stopniu roznamiętniały opinię i wydały najwyższe słowa wymowy politycznej w chrześcijańskim świecie, wydają się prawie obojętne; a francuskie „prawa człowieka" jakie drobne w porównaniu z życiem narodu.

To też, dopóki się nie zna dyaryuszów sejmowych, ma się to wyobrażenie, że tam musi być złożone ostatnie słowo polskiego ducha i patryotyzmu, tam broń rycerza i uczuć kwiaty, że obok tego literatura polityczna będzie martwą, a sama choćby najbardziej natchniona poezya, zblednie przy tym wielkim żywym parlamentarnym dramacie. Ma się to uczucie, że w tych mówcach, którzy się odznaczali na Sejmie Czteroletnim, odkryje się sam szczyt wymowy, że się znajdzie Demostenesa i Skargę, Chathama i Mirabeau, i logicznie takby być powinno, bo nigdy położenie sprawy i narodu i nie mogło wyżej podnieść uczucia i natchnienia mówcy.

Ale nie. Przerzuca się niecierpliwie kartę za kartą, co chwila napada się na dyskusyę największej wagi, co chwila materye prawdziwie, bez przesady żywotne. Czyta się mowy przyzwoite, rozumne, dobre, niektóre

bardzo dobre, ale na darmo szuka się takiej, któraby człowieka porwała, o którejby można powiedzieć, że jest wielka i poważna jak położenie, napróżno szuka się dyskusyi dramatycznej lub jakiegoś z tych słów, które wyrzeczone w parlamentach, przechodzą do historyi i stają się nadpisami wieków, drogoskazami zwrotów historyi. Takie słowa miewał Mirabeau, Chatham, Fox — u nas niech kto zacytuje takie słowo wielkiego mówcy z Czteroletniego Sejmu? Takie słowa jak są, są zawsze w pamięci; nazwisk takich mówców nie trzeba szukać, stoją one w historyi tak, jak nazwiska wielkich wojowników lub wielkich poetów. Kiedy przyjdzie wymienić Sobieskiego lub Mickiewicza, nie potrzebujemy się namyślać — z mówców Czteroletniego Sejmu, którego nazwiemy, który jest pierwszym. Żaden: jest wielu dobrych i rozumnych, wielkiego żadnego. Ani Ignacy Potocki, ani jego brat książę wymowy, ani Niemcewicz, ani Matuszewicz, ani król, ani żaden z senatorów, czy to duchownych czy świeckich, Krasiński, Naruszewicz, Rybiński, Szembek, ani żaden z krzykaczów opozycyi. Nie mówiąc już o wymowie najwyższej i nadzwyczajnej, o Demostenesie, ale niema w tej epoce takich mówców i mów, których wrażenie i pamięć wdraża się na długo przynajmniej w ich własnym kraju. W XVI wieku, nawet w XVII tacy byli, i o mowach Ocieskiego albo Ossolińskiego wiemy dziś więcej, choć im jest trzy wieki i choć materye, o których mówili, nierównie mniej nas obchodzą, aniżeli o bliższych czasem i przedmiotem mowach posłów Czteroletniego Sejmu.

Wymowa tej epoki, jak jej poezya, jak jej działania wojenne, podnosi się na pewien stopień, ale do wielkości nie dorasta nigdy. Rzecz dziwna: co w porównaniu obchodzi nas oswobodzenie amerykańskich kolonii, albo krzywdy zadane jakimś indyjskim księżniczkom przez gubernatora Indyj? A mowy Chathama o Ameryce lub mowa Sheridana w sprawie Warren-

Hastingsa, choć je znamy tylko w słabych i zeszpeconych wyjątkach, robią nawet nam wrażenie silniejsze, niż wszystkie mowy Czteroletniego Sejmu, których treścią jest przecież Polska i jej ocalenie. Na patryotyzmie, na rozumie, na silnem przekonaniu im nie zbywa; ale zbywa na energii i potędze uczucia i słowa, na tej pasyi politycznej, pasyi do swojej idei lub na swoich przeciwników, tej pasyi, która konającego Chathama ciągnie do izby i każe mu mówić, dopóki duszy nie odda i nie padnie, tej u nas nie było, choć było więcej do niej powodów.

Ta ogólna bladość tej wymowy nie pozbawia jej wszelkiej wartości; owszem, pomiędzy tymi posłami było tylu ludzi rozumnych, że treść ich mów jest najczęściej dobra. Są rzeczy istotne i najpotrzebniejsze, zdrowe myśli, szlachetne uczucia, trafne pojęcie rzeczy, logika; słuszności prawie nigdy zaprzeczyć im nie można, ale blasku niema. Dwu tonów, które na słuchaczów najsilniej działają, ironii i patosu, brak prawie zawsze, a tego ostatniego lepiej żeby nie było wcale, bo kiedy jest, tedy często fałszywy, deklamacyjny, polegający na retorycznych wykrzyknikach, i przypomina u jednych formułki stylu, u drugich ten ton przesadnie deklamacyjny, którego nadużywali współcześni mówcy francuscy drugiego rzędu.

Co jeszcze uderza to, że mowy i rozprawy bardzo rzadko są dyskusyami. Zwykle jest to szereg mów w tym samym przedmiocie, z różnego stanowiska, ale mów zdaje się przygotowanych, bo przeciwnicy mało się na siebie oglądają i mało sobie odpowiadają. Improwizacya musiała się zdarzać rzadko; inaczej mowy byłyby żywsze, dyskusye gorętsze. Po największej części panuje w tych mowach ton poważny, nie dochodzący nigdy do wielkości, ciężki, i niema harmonii między nim a wielkością traktowanych materyj. U niektórych, jak u króla naprzykład, forma staranna, zaokrąglona i łatwa, majestatycznego niema nic; a dowo-

dzenie, jasne i logiczne, wystarczyłoby zupełnie na artykuł dziennikarski, ale nie na mowę, a jeszcze mowę z tronu. Doskonałym przykładem jego wymowy łatwej, a trochę płytkiej, jest mowa, wzywająca do zawiązania konfederacyi, pierwsza mowa tego sejmu. Te wykrzykniki, ten ton czuły, wydaje się dziwnie fałszywym w mowie tronowej i w chwili tak ważnej. Żądałoby się od tego króla programu polityki i głównych zarysów zmiany rządu, ujętych w styl lapidarny i granitowy — ale takiego stylu Stanisław August mieć nie mógł, bo nie miał takiego programu.

Inni, jak Stanisław Potocki, widocznie zbyt studyowali Cicerona ad Herenium. Niemcewicz dość szczęśliwy, kiedy puszcza wodze swojej ironii, staje się mniej wymownym, kiedy chce nim być bardzo i w wielkim rodzaju, tak, jak w poezyach, gdzie bajka, epigramm lub pamflet udawał mu się doskonale, a w tragedyach lub śpiewach historycznych Muza chromała. Jego kolega Weissenhof mniej deklamacyjny, jest równiejszy, mówi spokojnie i naturalnie, efektów nie szuka, dlatego może należy do lepszych mówców. Ignacy Potocki o formę widocznie się nie troszczy, i on jeden, o ile się zdaje, mówi bez przygotowania; chodzi mu o przekonanie, o skutek, cała jego uwaga zwrócona na argumentacyę. W zapał nie wpada nigdy, ma ten ton, co mówcy angielscy z Izby Lordów, debater doskonały, ale wielki mówca nie. Do najpoważniejszych należy biskup Krasiński; on ma najwięcej „senatorskiej wspaniałości" i namaszczenia. Jego mowa za zaprowadzeniem sukcesyi tronu jest bardzo piękna, i piękny jest widok tego starca, który w tak późnym wieku zrobił taki postęp od czasów konfederacyi Barskiej i nie wahał się rzucić swojej wielkiej powagi na szalę tych instytucyj, z któremi walczył przed laty trzydziestu. Pius Kiciński, poseł liwski (szef gabinetu królewskiego), należy do najśmielszych, do tych, co najlepiej władają ironią. Po stronie opozycyi znowu najrozmaitsze

odcienie. Suchorzewski jest deklamator głupi i krzykliwy, Suchodolski deklamator chytry, podstępny i płaczliwy. Turski mówi jak kawiarniany trybun bez składu i sensu, bez treści; frazesy o krwi tyranów i przechwałki o swojej rzymskiej cnocie, to cała jego wymowa. Szczęsny Potocki mówi źle: ckliwo, wodnisto, krąży około rzeczy, nigdy do niej nie przystępując. Branicki lepiej, hardo, śmiało, z fantazyą brata szlachcica, którą miał, z sejmikową swadą; ale jeden pomiędzy nimi, który jest prawdziwym mówcą, zręczny, podstępny, przytomny na słabe strony przeciwnika, zastawiający mu sidła, umiejący sofizmatami nadać złej sprawie pozory prawdziwie łudzące, to biskup Kossakowski.

Studyum tych mów jest zawsze niezmiernie ważne, dlatego, że one są takiem odbiciem ludzi i wypadków, jak gdyby się patrzało na tworzenie się tych wypadków. Geolog, któryby jakimś wypadkiem mógł widzieć, jak się odbywa formacya jakiegoś pokładu, miałby się za szczęśliwego; historyk widzi w rozprawach tego sejmu jak na dłoni, jak się odbywała formacya Trzeciego Maja, i widzi ludzi ze wszystkiemi ich przekonaniami, dążnościami i zdolnościami. Jest to najobfitszy i najzupełniejszy zbiór wszystkich gatunków i odcieni polskich umysłów i pojęć. Od zatwardziałych wyznawców staroszlacheckich idei, aż do najskrajniejszych wyobrażeń francuskich, od anarchistów oligarchów pod maską równości, aż do anarchistów demagogów pod maską gorliwości o sprawę publiczną, jest tam cała tęcza zgubnych wyobrażeń i dążności. Pomiędzy ludźmi reformy tak samo nie brakuje ani jednego odcienia; od Naruszewicza, który jest nawskróś jeszcze szlachcicem, do Ignacego Potockiego, który jest nieco doktrynerem demokratycznym z arystokratyczną restrykcyą na korzyść swojego nazwiska; od oświeconego i przyjmującego szczerze konieczność czasu torysa, jak książę generał Czartoryski, do tego odcienia liberalizmu ideal-

nego i wierzącego, który przypomina Girondystów, a reprezentowany jest w sejmie przez młodszych posłów: Weissenhofa, Niemcewicza etc.; od namiętnej wiary w to, co nowe, aż do wściekłego oporu przeciw wszystkiemu co nowe; demokracya oligarchiczna, demokracya czysto szlachecka, demokracya radykalna i rewolucyjna, demokracya szczera, przekonana i wolna od egoizmu tamtych trzech, wszystko tam jest, niczego nie brakuje, i na niczem może nie da się tak wyraźnie i dokładnie poznać, jak się ta pojęcia tworzyły i jak się od siebie różniły. Nietylko więc pod względem wypadków historycznych, ale i pod względem społecznych pojęć, taki wizerunek chwili zwrotu, jakim są rozprawy tego sejmu, jest źródłem jedynem. Nigdzie jak tam nie widzi się tej ciągłości pojęć, tego familijnego podobieństwa pokoleń, tego powtarzania się tych samych typów, tych samych aberracyj, które jest tak uderzające w naszej historyi. Są tam rysy i ludzie żywcem z XVI, a zwłaszcza z XVII wieku, są inne, które nietknięte dochowały się do naszych czasów. Z tych względów niema nic ciekawszego jak studyum tych mów wielkiego sejmu, choć jako pomniki wymowy, a co gorzej jako ślady politycznej myśli i zdolności, nie odpowiadają temu, czegoby po nich oczekiwać można.

II.

Poezya podczas Sejmu Konstytucyjnego. Trembecki. Zabłocki. Niemcewicza *Powrót Posła*. Teatr. Dyrekcya Bogusławskiego. Sztuki tłómaczone. Sztuki jego własne. *Krakowiacy i Górale*.

A co podczas Sejmu Czteroletniego i o nim mówią poeci?

Krasicki bardzo mało. *Organy*, w których biskup warmiński porównywa posłów z klawiszami, na których gra Lucchesini, są dowcipne, a nieszczęściem bystre i prawdziwe; ale chciałoby się poważniejszego tonu i słowa. Taki znajdzie się u Naruszewicza, którego wiersz najpiękniejszy, *Głos Umarłych*, z wszelkiem podobieństwem do prawdy należy do tych lat i okoliczności. Znajdzie się i u Trembeckiego.

Ten poruszony jest tem co się dzieje, zdaje się nie być bez nadziei dobrego skutku, w oburzeniu staje się namiętnym, gwałtownym, i nigdy nie był tak blizkim natchnienia, jak w tych wierszach politycznych, które pisał podczas sejmu i po nim. Staje on szczerze i śmiało po stronie reformy:

Poprzysięgam na wszystko, co u mnie świętego,
Na Ciebie, na Potockich, na Małachowskiego

pisze do ks. generała ziem podolskich. A jak się zapatruje na zadanie i obowiązki tego sejmu i na puściznę, jaką po przeszłości objął, tego dowodzą liczne

wiersze z tego czasu, najwyraźniej może *Do moich współziomków*. Wiersze pisane w tonie dydaktycznym, nawskróś tendencyjne, ale wspaniałe, pełne rozumu, zdrowej rady i prawdziwego choć spokojnego uczucia. Ale i w tych przebija nieraz owa skłonność do Słowiańszczyzny, a nienawiść do Niemców, np. przekleństwo, które rzuca Turek na Sobieskiego w wierszu do współziomków.

Wielką wartość mają jego wiersze, wydane pod imieniem Bielawskiego, wiersze satyryczne zwrócone przeciw ówczesnym paszkwilistom warszawskim, w wielkiej części przeciw Węgierskiemu; dowcip, humor, pogardliwość, nie idą dalej, a i rola jego, jako obrońcy kobiet lub zasłużonych ludzi przeciw złośliwym literackim korsarzom, jest piękna i honorowa.

Ale w ciągu sejmu nie szły rzeczy gładkim torem; wiadomo, jaką opozycyę stawiała reformie dawna partya republikańska, i jak przeciwko scentralizowaniu władzy, zwłaszcza przeciw dziedzictwu tronu podawała sobie rękę dawna oligarchia zazdrosna o buławy, z dawną szlacheczczyzną reprezentowaną przez takiego Suchorzewskiego, wreszcie ze wszystkiemi najprzesadniejszemi wyobrażeniami demagogów i krzykaczów, mniej lub więcej szczęśliwych kopistów tego, co się mówiło o królach i tyranach w Konwencyi, w klubach i w sekcyach miasta Paryża. Seweryn Rzewuski ogłosił broszurę o tronie zawsze obieralnym i o *Sukcesyi Tronu*; pusty i czczy krzykacz Turski, zrobiwszy sobie reputacyę wystąpieniem w procesie Ponińskiego i zjawiwszy się nawet w Paryżu jako Albert le Sarmate, wydał *Myśli o królu, o wolności, o przeszłym i przyszłym rządzie*. Otóż te usiłowania anti-konstytucyjnego stronnictwa natchnęły Trembeckiemu kilka wierszy satyrycznych niezrównanej siły wiersza i wyrażenia, i wielkiej prawdy, wielkiej trafności zdania. Przeciwko tym demagogom i oligarchom wymierzony jest *Joannes Sarcasmus*.

Wierszy takich jest więcej. W r. 1789 wypadła sprawa Ponińskiego i sąd sejmowy, a przy tej sposobności rozdzielił się Trembecki z królem. Król życzył uśpienia tej sprawy, Trembecki owszem jak największego jej rozgłosu. Raz przestrzega Małachowskiego, że pod maską patryotyzmu kryją się równie winni jak sam Poniński i żąda ich ukarania, drugi raz pisze do ks. generała ziem podolskich, że kiedy źli synowie zmawiają się matkę zabić, to dobrzy powinni ją przestrzedz, bo jeżeli milczą, stają się pośrednio winnymi zabójstwa. Wszystko to ma na celu pobudzić do surowości względem tych wszystkich, których Poniński oskarżony o grabież dóbr Rzpltej, wskazywał jako współwinnych, a głównie przeciw Ksaw. Branickiemu. Na tego to napisany jest jeden z najsilniejszych wierszy Trembeckiego *Ma Pan Rozum*. Ale szczery zwolennik ustawy Trzeciego Maja, bicz Boży na jej nieprzyjaciół, z sejmu zupełnie zadowolonym nie był. Niepospolita to była bystrość Stanisława Augusta, która przewidywała, że owa polityka oparta na pruskiem przymierzu, w które wierzyli najlepsi i najrozumniejsi, tak, że sobie nawet nazwę partyi pruskiej dawać pozwolili, może się źle skończyć. Słuszność także mieli ci nieliczni, którzy sądzili, że należało więcej robić, a mniej mówić, zwłaszcza robić swoje milczkiem. Ale o tem próżno było mówić. Naród, ułudzony przez Lucchesiniego, a upojony radością, że się był podźwignął, sądził się bezpiecznym, roztropność uważał za zbyteczną, a za wszystkie gwałty, obelgi i upokorzenia mścił się językiem i piórem. Był to wielki błąd. Trembecki obawiał się tej niepowściągliwości języków; a prócz tego panslawista w zarodzie, zawzięty w nienawiści do Niemców, nie mógł patrzeć spokojnie na przymierze pruskie. Skutek przyznał mu słuszność.

Zaślepiony w tem przymierzu jest Zabłocki.

Z drobnych jego wierszy dałyby się wybrać niektóre ładne ustępy, mianowicie z Sielanek, których jest

kilka. Ale wszystko to zaćmione jest wartością i sławą jego paszkwilów. Jest ich kilkanaście, wszystkie z czasów Czteroletniego Sejmu. Nie jest to ten wiersz Trembeckiego kuty w granicie, nie jest to ta siła ogromna, z jaką napisany jest wiersz *Do Moich Ziomków* lub *do Posłów*, ale musi jednak bardzo się do Trembeckiego zbliżać, skoro nawet poważni ludzie mogli się pomylić i wiersze te Trembeckiemu przypisywać. Jednak poznać można i po formie i po treści, że to nie Trembecki, a zakończył zwycięsko ten spór Siemieński i wygrał sprawę dla Zabłockiego. Wiersze te nie są tak doskonałe jak Trembeckiego; sposób myślenia jest inny. Trembecki mądrze przestrzegał, jak Kassandra przed przymierzem pruskiem; Zabłocki służy za wyraz stronnictwu konstytucyi (pruskiemu) i w jednym ze swoich wierszy, zdziera maskę intrygantom (jak mniema), a królowi pruskiemu wotuje posąg z napisem *Regi amico Respublica grata.* Wiersze polityczne Trembeckiego są raczej satyrą, te wprost paszkwilem; sam poeta przyznaje, że to rzemiosło niegodne, ale, byle wam zaszkodzić, mówi, wszystko zrobić jestem gotów. Namiętności w nim więcej niż we wszystkich współczesnych, tak zjadliwym, tak gryzącym nie jest żaden; nieprzyjaciółmi jego są przeciwnicy 3-go Maja, późniejsi Targowiczanie, a bohaterem tych wierszy, tym, którego z zawziętością największą tratuje, jest Ksaw. Branicki. Wraca także po kilka razy i do Jezierskiego, kasztelana łukowskiego, do Suchodolskiego, do Suchorzewskiego, którego nazywa uczciwym, tylko obałamuconym, ale i swoim nie przepuszcza, i między innemi jest wiersz jeden srogi na nieczynność sejmu; jeden nie łagodniejszy na błyszczący, z paniczów i elegantów złożony, sztab przed kampanią roku 1792. Bezwzględność, otwartość, nazywanie po nazwisku i rzeczy i ludzi dalej iść nie może, a w całej poezyi XVIII wieku nie znajdzie się może nic równie namiętnego.

Kiedy zaś o Zabłockim mowa, to można zapytać, co się dalej działo z komedyą, odkąd on pisać ją przestał?

W Sejmie Czteroletnim występuje po raz pierwszy młody Niemcewicz, jako poseł, jako publicysta i jako poeta. On wydaje pierwszy dziennik polityczny (*Gazeta Narodowa i Obca*), on ostrzy swój zjadliwy dowcip na przeciwnikach 3-go Maja, i on, z tą samą zawsze tendencyą, która do śmierci została duszą jego pism, pisze sztuki do teatru.

Komedyą tą jest *Powrót Posła*. Co do formy i układu trzyma się Ursyn tego samego wzoru co Zabłocki i co wszyscy inni; różni się od nich tem, że dla niego komedya jest pretekstem, celem—polityczna tendencya. Jest to właściwość całej jego poezyi; nigdy on nie pisze dlatego, żeby pisać, tylko używa swego talentu na to, aby pod formą czy to to tragedyi, czy śpiewu historycznego, czy bajki, czy wreszcie komedyi, wyrazić jakąś myśl polityczną i dopomódz do jakiejś akcyi. W tym celu napisany był i sławny w swoim czasie *Powrót Posła*. Kiedy stronnictwo reformy walczyło na Sejmie Czeroletnim ze stronnictwem staro-republikańskiem, i natrafiało na opór tak zacięty, Niemcewicz, jeden z najczynniejszych i najgorliwszych, obok mów, obok gazety, którą wydawał, spróbował także uderzyć na przeciwników bronią śmieszności. *Powrót Posła* jest atakiem na stronnictwo hetmańskie; rzecz odbywa się w ciągu sejmu, a gdy rozsądni, jak podkomorzy i jego syn Walery, poseł, cieszą się wzrastającem dziełem konstytucyjnem, starosta, reprezentant strony przeciwnej, sławi czasy saskie, a wydrwiwa i przeklina sejm i jego prace. Jest to w formie komedyi broszura polityczna przeciwko dawnej formie rządu, elekcyi, *Liberum Veto*, dwuletnim sejmom, władzy hetmańskiej i t. d. To też najświetniejsze, jedynie świetne ustępy komedyi są te, w których uparty i zakuty starosta broni swojego zdania. Strona druga,

stronnicy konstytucyi, podkomorzy z żoną i synem, źle się w komedyi wydają; mówią rzeczy słuszne i dobre, ale mówią je tonem doktorskim i pedantycznym.

Powrót Posła ma wartość jako wyraz historycznej chwili i politycznej tendencyi. Jako komedya różni się mało od komedyi Zabłockiego, a pod względem artystycznym ich nie przewyższa. W *Fircyku* znać więcej talentu.

Teatrowi wiedzie się podczas sejmu nieźle, a jego dyrektor, Bogusławski, wystawia coraz nowe sztuki na scenie, obce i polskie. Wyrabia dla swego towarzystwa tytuł aktorów nadwornych, grywa z wielkiem powodzeniem nie tylko komedye lub małe operetki oryginalne czy przerabiane, ale i dramaty, i tragedye, i wielkie opery. Jak one były śpiewane? On mówi że dobrze. Ale jakkolwiekbądź, fakt jest, że śpiewano w Warszawie najpoważniejszych kompozytorów, naprzykład Cherubiniego. Pierwszą tragedyą, jaką przedstawił, była jakaś *Lanassa czyli wdowa Malabaru*, tłómaczona z niemieckiego, sztuka, którą dziś ledwie w jakiej jarmarcznej budzie gracby się może odważono. Jest to historya jakiejś nieszczęśliwej Indyanki, którą prawo Bramy skazuje na spalenie z ciałem męża, a którą w ostatniej chwili ratuje jakiś francuski czy angielski oficer, szalenie w niej rozkochany i kochany nawzajem. Ale oprócz *Lanassy*, były i sztuki poważne. Klasycznych, o których Bogusławski marzył, bo wedle swojego smaku miał wysokie aspiracye i ambicye artystyczne, klasycznych tragedyj było tylko dwie w polskiem tłómaczeniu, *Meropa i Brutus* Voltaira (kto widział, nie zapomni nigdy, jakie oklaski zebrał Owsiński w roli Polifonta, i wiele łez wycisnęła widzom pani Truskolaska, jako Meropa!). Ale kiedy klasycznych, francuskich, nie było, trzeba było ratować się gorszemi niemieckiemi. Niema między niemi Egmonta ani Don Carlosa, nic Schillera ani Göthego; ale jest rzecz poważna, przez Niemców zawsze (może przez miłość

własną) ceniona, jako doskonała, Emilia Galotti. Tłómaczenie Bogusławskiego jest słabe.

Są i tłómaczenia z innych literatur, a przyjdzie czas, kiedy zobaczymy nawet Hamleta... *quantum mutatum*! Tymczasem trzeba przestawać na mniejszem, jak naprzykład bardzo ceniona w Anglii, a na niemieckich teatrach do dziś dnia jeszcze czasem grywana *Szkoła Obmowy* Sheridana, wcale zgrabnie spolszczona przez Bogusławskiego. Łatwowierny mąż i ojciec jest starostą, młody marnotrawca porucznikiem czy rotmistrzem, jego brat hypokryta rejentem czy pisarzem, rzecz dzieje się w Warszawie. Wszystko razem udało się lepiej, niż Emilia Galotti, a niektóre sceny, naprzykład ta, kiedy lekkomyślny utracyusz sprzedaje portrety antenatów stryjowi, przebranemu za starego lichwiarza, ma nawet dość humoru i polskiego kolorytu.

Mnożyły się też i sztuki polskie, te sztuki, które współcześni podziwiali dobrodusznie dla nich samych, a w których my szukamy tylko z zajęciem wyobrażeń i dążności politycznych, patryotycznych uczuć tego pokolenia, illustracyj do uchwał Sejmu Czteroletniego. Niemcewicz dał na scenę *Powrót Posła*, Wybicki dał *Szlachcica Mieszczanina*, odpowiadającego temu pragnieniu zrównania, które posłów sejmowych pchało do zapisywania się w poczet mieszczan warszawskich. Wreszcie w pierwszą rocznicę 3-go Maja, w dzień założenia kamienia węgielnego pod kościół Opatrzności, a nieledwie w wigilię wojny i jej okropnego końca, ukazał się na scenie słaby bardzo, ale z zapałem przyjęty, bo pełen tendencyi i patryotycznych aluzyj, *Kazimierz Wielki* Niemcewicza.

I sam Bogusławski pisał oryginalne komedye albo opery. Nie są to sztuki okolicznościowe jak Niemcewicza, ale tendencya patryotyczna i tendencya postępowa, humanitarna i egalitarna, równająca, podnosząca, nieprzyjazna przywilejom i nadużyciom, zawsze wy-

raźniej lub skryciej, ale jest. Nawet podobno w *Henryku VI na łowach*, do którego autor zdaje się przywiązywać wielką wartość.

Treść jest następująca: Pewien młody, a bardzo zepsuty milord Rydyng, synowiec niewiadomego z nazwiska ministra Henryka VI króla angielskiego, uwiódł był i porwał do Londynu pannę Betsy, córkę starego młynarza, zaręczoną z Ryszardem, synem Ferdynanda Kokla, leśniczego królewskich lasów. Przez rok cały nikt nie wie, co się stało z dziewczyną, aż oto jednego wieczora, kiedy stary Kokl z synem urządzają łowy dla króla, mającego nazajutrz zjechać do lasu, zjawia się biedna Betsy skruszona, żałująca, wynędzniała, a co gorzej ścigana. Milord, który ją zwodził obietnicą małżeństwa, naturalnie przyrzeczenia nie dotrzymał, a co gorzej, sprzykrzył ją sobie, i tak dla pokrycia swego uczynku, jak dla pozbycia się dziewczyny, postanowił wsadzić ją na okręt i wyprawić do kolonij angielskich w Ameryce. Dziewczyna przestrzeżona jakimś przypadkiem, ledwie miała czas uciec, i błądząc trafiła do domu dawnego narzeczonego. Ale milord ją ściga. Nie z miłości, tylko dlatego, żeby zatrzeć całą sprawę i wysłać ją koniecznie do Ameryki. Jego słudzy są na tropie, a stary Kokl ledwo zdołał zwrócić ich w inną stronę, kiedy się koło jego domu kręcili. Napaść może się łatwo powtórzyć. Ale obowiązek przedewszystkiem. Sumienny leśniczy idzie w nocy do lasu wysłuchać zwierzynę dla króla, siada pod drzewem, zapala fajkę (sic—za Henryka VI!) i opowiada sobie samemu w bardzo długim monologu, całą historyę swego życia, jak przez lat nie wiedzieć ile był żołnierzem i dokazywał cudów waleczności, jak za nie dostał tylko orderek, kiedy inni brali w nagrodę stopnie, tytuły i majątki, jak wreszcie na starość żyje prawie w biedzie, pilnując królewskich wilków i jeleni. Cały ten monolog bardzo nauczający zapewne, ale bardzo naiwny i pierwotny, jako środek uwiadomienia czytelnika o tem

co się dzieje, nie jest na szczęście straconym. Słucha go drugi człowiek ukryty za drzewami, a wysłuchawszy, oświadcza Koklowi, że należy do dworu króla, że zabłądził na polowaniu, że prosi, żeby leśniczy, jako świadomy miejsca, zaprowadził go na noc do jakiego domu. Uczynny Kokl prowadzi go do siebie, daje mu jeść, przy jedzeniu nieznajomy dowiaduje się o sprawkach milorda Rydynga, wreszcie idzie spać. Nazajutrz rano służalcy milorda i on sam na ich czele, dowiedziawszy się, że Betsy schroniła się w tej chacie, wpadają, żeby ją porwać. Ale na progu kogo spotykają, jako świadka swego gwałtu? Króla, Henryka VI, który, zabłądziwszy na łowach przepędził noc pod skromnym dachem swego leśniczego. Oczywiście sprawiedliwość następuje zaraz. Król rozkazuje milordowi, żeby się zaraz ożenił z Betsy; Betsy nie chce, woli Ryszarda, który ją tak kocha, że nawet jej błąd przebacza; stary Kokl zostaje powołanym do przybocznej rady króla, z roczną pensyą pięćdziesięciu tysięcy gwinei!

Dzisiejszy czytelnik nie może pojąć tej dobroduszności dawnych ludzi, z jaką w takiej sztuce znajdowali upodobanie, z jaką mógł ją napisać człowiek, który całe życie miał do czynienia z teatrem i dramatem. Rajska prostota i dobroduszność panuje w pojęciu charakterów, w układzie sztuki, w wykonaniu, a dopieroż w przedstawieniu czasu! Gdyby dziecko chciało opisywać uczucia: czy dziewczyny wracającej do ojca, którego obraziła, czy ojca, który przebacza, czy starego żołnierza, skarżącego się na niesprawiedliwość losów, czy króla narzekającego, że z tronu nigdy prawdy widzieć i słyszeć nie może, dziecko nie mogłoby dojść do celu łatwiejszymi środkami, zwyczajniejszymi, bardziej spowszedniałymi rysami. Dziecko także mogłoby się zdobyć na taki dramatyczny efekt, jak sprowadzenie króla i leśniczego pod to samo drzewo, i ten opis swego życia, z którego król dowiaduje się prawdy i wyciąga naukę moralną dla siebie. O innych naiwno-

ściach, jak kolonie w Ameryce, a choćby fajka, a choćby sam tytuł ministra za Wojen Róży, jak pensya roczna 50,000 gwinei, już nie mówić, chociaż doprawdy są zadziwiające u człowieka wykształconego. Ale co najzabawniejsze może, to kontrast tych czasów dzikich i krwawych, namiętności niczem niehamowanych, wściekłych żądz i natur pierwotnych, lecz potężnych, jak się je zna i pamięta z historyi i z Szekspira, z tą jakąś idylliczną konwencyonalną cywilizacyą jaką ma Anglia XV wieku w sztuce Bogusławskiego. Henryk VI myśli i wyraża się zupełnie jak Stanisław August. leśniczowie, młynarze, ich żony i córki, jak gdyby porodzili się za jego czasów pod Warszawą. Jednem słowem wartość sztuki jest mniej niż żadna. Ciekawe jest tylko to, że autor, choć wykształcony i rozumiejący się na rzeczy, był z niej i z siebie tak bardzo kontent; a publiczność zapewne zgadzała się z autorem.

Więcej znaczenia dla teatru polskiego w ogólności miała inna jego komedya; on sam nazywa ją operą, ale naprawdę jest ona co najwięcej komedyą ze śpiewami, o której mówi że „zapaliła wszystkich umysły i pozyskała wszystkich serca". Tytuł jej *Cud czyli Krakowiacy i Górale*. Nie pierwszy to raz lud wiejski występował na scenę w naszej literaturze, ani nawet w naszym teatrze. Dość szczęśliwie wprowadził go już Kniaźnin w *Cyganach*, i doprawdy zgadnąć trudno, dlaczego Bogusławski, grając tyle rzeczy lichych na swoim teatrze, nie pomyślał o przedstawieniu tego ładnego obrazka. Ale *Cyganie* (a cóż dopiero *Trzy Wesela*!) były to wiejskie sceny pisane dla dworskiego teatru, trącące jednak zawsze sztuczną konwencyonalną idyllą. Lud prawdziwy, ze swoim sposobem życia i myślenia, w swoich różnych, a dość żywych i rzeczywistych typach, pierwszy raz podobno zyskał prawo obywatelstwa w literaturze; i nie przypadkiem ale naturalnie bardzo zyskał je w tym samym czasie, kiedy konstytucya otwierała mu przynajmniej nadzieję i drogę do praw oby-

watelskich w Rzpltej, kiedy Kościuszko, Racławice, po raz pierwszy wyprowadziły go na scenę historyi. Jedno z drugiem zeszło się bez namysłu i zamiaru zapewne, ale zeszło i złożyło się dobrze. I to daje tej sztuce pewne znaczenie w historyi naszej literatury, większe niż jej artystyczna wartość; wprowadza ona nowy pierwiastek, rozszerza horyzont poezyi, chwyta życie narodu ze strony nowej i dotąd nietkniętej, szuka tych żywiołów rodzimych i rdzennych, których (nie zawsze na szczęśliwej drodze) szukała poezya romantyczna.

III.

Rocznica 3-go Maja. Wojna roku 1792. Sejm Grodzieński. Wiersz Trembeckiego. Paszkwile. Biblia Targowicka. Znaczenie i zasługa książki *o Ustanowieniu i Upadku* konstytucyi 3-go Maja. Zamknięcie literatury politycznej.

Słońce 3-go Maja prędko zakryło się chmurami. Konfederacya Targowicka, wojna z Rosyą wisi jak miecz Damoklesa, król pruski zdradza; ostatnim dniem pogodnym, a pogody udanej raczej i w siebie wmawianej, była pierwsza rocznica 3-go Maja, obchodzona uroczyście i niby radośnie. Wieczorem, w teatrze, *Kazimierz Wielki* Niemcewicza, z otwartemi alluzyami do wojny i do króla; z ostatnimi dla niego okrzykami zapału, gdy na słowa Kazimierza „w potrzebie stanę na czele narodu mego", wychylił się z loży i zawołał: „Stanę i wystawię się".

Zrana, przy poświęceniu kamienia węgielnego pod ślubowany kościół Opatrzności, kazanie Naruszewicza, które jest ostatniem w owej chwili słowem radości i nadziei, ostatniem wogóle słowem, jakie wyszło z ust znakomitego historyka i obywatela, a które poważnie, pięknie, zamyka ten szereg pism, jakie literatura w ciągu Czteroletniego Sejmu wydała: „Upadają i najpotężniejsze narody, od których Bóg czasem w niezbadanych sądach swoich odwraca oblicze swoje, podając ich losy na zupełną zatratę. Lecz tak się też same na-

rody dźwigają i krzepią, które On, dla większego uwielbienia swego, dopuściwszy im być już w przepaści, cofa, i na świetniejszym jeszcze stanowi szczeblu".

Potem wojna. Akces króla do konfederacyi Targowickiej, sejm Grodzieński...

To wszystko mało odbija się w literaturze. Czy wiersz *do Kowala Maryańskiego* jest istotnie Trembeckiego? Pisany jest bardzo dobrze; ale czy Trembecki byłby z takim zapałem i ufnością mówił o wojnie roku 1792? Jakkolwiekbądź to jedyny jej w literaturze ślad znaczniejszy.

Po jej nieszczęśliwym końcu rozpacz, a jak zwykle w nieszczęściu, wszyscy winni szukają jednego najwinniejszego. Zaczął się tedy chór przekleństw na króla. Wtedy w odpowiedzi na te oskarżenia i przekleństwa, z inicyatywy króla czy bez niej, napisał Trembecki swój ostatni wiersz polityczny, *Do Posłów wracających z Grodna*. Wiersz bez przekleństw, bez wybuchu, ale pełen goryczy i żałości, pełen głębokiego uczucia, a zważywszy chwilę, pełen i odwagi. Jest to obrona króla, a raczej jest wytknięcie błędów Wielkiego Sejmu, że słuszne, to historya po stu latach stwierdza. Nie byłoby w tym wierszu jednej myśli, jednego uczucia, na które nie możnaby się zgodzić, gdyby nie pewne ustępy, szpecące piękny głos prawdy.

Z okropnych czasów po Grodzieńskim sejmie wiersz bezimienny, słaby, ale odznaczający się tem, że jeden z pierwszych przemawia tonem rewolucyi francuskiej, grozi gilotyną (królowi kanonizacyą Capeta); jeden z pierwszych śladów, że ówczesne rewolucyjne doktryny i namiętności, wolność i równość jak ją pojmowała i praktykowała *Konwencya*, już się u nas zaczęły szerzyć i odzywać.

Ze wszystkich ówczesnych pamfletów jedyny, który ma wielką siłę dowcipu i namiętności, jedyny także, który ma szczęśliwą formę, jest ten fragment, w któ-

rym wylała się bezimiennie żółć i oburzenie Niemcewicza: Biblia Targowicka. Czy była kiedy skończoną? Nie wiem; w druku wyszło tylko kilka kart, przerwanych w najciekawszem miejscu. Ale te kilka kart wystarcza, żeby dać miarę niemałego w tym rodzaju talentu. To już nie człowiek, który się oburza tylko i mówi jednemu, że jest łotr a drugiemu, że przedajny, to człowiek, który kombinuje, myśli, przenika duszę człowieka i tajniki historyi, i tłómaczy je ze srogością nielitościwą i z ironią wściekłą. A do tego to pisarz, który wie, jak podnieść wrażenie, jak zrobić efekt swoim pamfletem i uderzyć nim wyobraźnię. Robi naprzykład wiernie parodyę Genezy — Księgi Szczęsnowe są ułożone na wzór ksiąg Mojżeszowych i ich stylem. Naśladowanie tego wzoru i tego stylu w pamflecie robi wrażenie jakiegoś zadziwienia, rozciekawienia, które rośnie w miarę, jak się widzi, że kopia trzyma się wiernie oryginału, idzie za nim krok w krok, a każdy rozdział Genezy, zastępuje coraz nowym i coraz złośliwszym pomysłem. Więc naprzód sześć dni stworzenia: jednego dnia stwarza Szczęsny wolność, drugiego równość, dalej niepodległość, znaczenie kraju; przechodzą z kolei wszystkie hasła konfederacyi Targowickiej, głoszone w jej manifestach, a opisane jak wyglądały w rzeczywistości. Potem osobny rozdział poświęcony jest genealogii Szczęsnego; z wielką bystrością z wielkiem zrozumieniem historyi, wyprowadza autor całą filiacyę rokoszów i rokoszan, ten łańcuch nieprzerwany, który się kończy na Targowicy, a zaczyna (podług niego) jeszcze na Sieciechu. Dziwna rzecz, że opuścił w tym wywodzie trzy najważniejsze pokolenia, Zborowskich, Zebrzydowskiego i Lubomirskiego, ale myśl jest niezmiernie trafna. Dalej Potop — Szczęsny zalewa żołnierzami cały kraj z wyjątkiem dóbr swoich stronników i niszczy go. Wieża Babel—Targowiczanie nie mogą nic zbudować. Wreszcie ukazuje się pomocnik, biskup Kossakowski w krzaku gorejącym, i tu za-

czyna się najdotkliwsza strona pamfletu, charakterystyka Szczęsnego, pobudek jego działania, jego marzeń; odsłania się przytem i Kossakowski sam ze swojemi dążnościami, ukazuje się w ostatniej chwili i Szymon Kossakowski, rzecz robi się coraz ciekawsza, kiedy się w połowie tego rozdziału urywa. Ze wszystkich pamfletów tej epoki, żaden nie ma tyle siły, tyle namiętności, tyle żółci i tyle talentu; co zaś sprawia, że wrażenie robi on wielkie, to że znaczenie Polski za konfederacyi Targowickiej rzeczywiście tak wyglądało jak je ta Geneza opisuje. Nic nie mogło dać większej satysfakcyi powszechnej nienawiści i oburzeniu; są oskarżenia ich nierównie głębsze i poważniejsze, ale rzeczy, którąby była pisaną tylko w zamiarze zemsty i dokuczenia, i była zemstą dotkliwszą, może niema. Biblia Targowicka zamyka szereg pamfletów XVIII wieku i jest najświetniejszym wyrazem tego rodzaju pisania.

Ale pamflety wystarczyć nie mogły. Trzeba było czegoś poważnego i większego.

Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie echa haseł 3-go Maja, kiedy odezwały się manifesty podziałowe. Przeżycie takiej chwili jednem się tylko da pojąć i wytłómaczyć, ograniczeniem człowieka: tem, że nawet czuć tak zupełnie i tak potężnie, jakby chciał, nie może. Ale jakkolwiek ograniczony i słaby, jedno może i jedno winien sobie, prawdzie, Bogu, sumieniu, i czci ludzkości, to jest odpowiedzieć. Czy za Sasów byłaby się Polska na taką odpowiedź zdobyła? Teraz ją znalazła: była nią działalność Kościuszki na polu wypadków. W literaturze politycznej, wiernej towarzyszce losów narodu, a nieraz mądrej, niestety, niesłuchanej jego przewodniczce, odpowiedzią taką jest książka. Bez niej ta literatura byłaby niezupełną, niedokończoną, byłaby w ostatniej, najstraszniejszej chwili opuściła sprawę, której broniła przez trzy wieki. Na uniwersały konfederacyi Targowickiej, która im lepiej się przekonywała, że sprowadzała drugi rozbiór, tem głośniej wrzeszczała

o całości i niepodległości Rzpltej przez siebie uratowanej, jak gdyby tym krzykiem chciała była odurzyć siebie i zagłuszyć głos sumienia. Na takie same protestacye literatura musiała odpowiedzieć. Musiała i ona pomścić prawdę, i to jest jej aktem ostatnim, jak występ Kościuszki, jest ostatnim aktem dawnej Rzpltej. Kiedy Targowiczanie rozpuszczali swoje manifesty w imieniu Najjaśniejszej skonfederowanej Rzpltej, kiedy Rosya i Prusy wydawały swoje w imieniu Boga i prawa, wyszła książka *O ustanowieniu i Upadku Konstytucyi 3-go Maja.*

Książka to raczej historyczna niż polityczna, historya sejmu i 3-go Maja, opowiadanie ich przebiegu, tłómaczenie ich konieczności dla Polski, ich ducha, ich dobrego prawa; historya tych wypadków najlepsza i najzupełniejsza. Może dlatego że historya, nie powinnaby liczyć się do literatury politycznej i uważać za jej zamknięcie? Jednak należy ona do tej gałęzi nie mniej, może więcej niż do historyi. Czemże jest cała przez trzy wieki literatura polityczna? Jest walką o społeczną i polityczną poprawę Rzpltej. Czem jest sejm Konstytucyjny i ustawa 3-go Maja? Jest zamknięciem tej walki, jest dokonaniem tej poprawy. A książka (której redaktorem był Dmochowski, a właściwym autorem Kołłątaj z pomocą Ignacego Potockiego), książka jest poglądem na ostatni akt tej walki, opisaniem zasad, które zwyciężyły, tłómaczeniem dlaczego, w jaki sposób zwyciężyły i przed jakiem to prawem dzieło sejmu upadło. Jest to historya ostatniej reformy, jest komentarz do niej, i jest jej obrona przed ludźmi, obrona próżna i bez skutku, ale konieczna. Z tego względu, związana tak ściśle z dziełem Poprawy, na które literatura polityczna tak pracowała, należy ta książka więcej do niej, niż do historyi, i jest jej logicznem, koniecznem, szlachetnem i pięknem zakończeniem.

Spadają zarzuty na tę książkę. Mówią o niej, że nie mówi o błędach stronnictwa konstytucyjnego, z któ-

rego wyszła, zwłaszcza o jego tak zawiedzionej polityce pruskiej, że tę stronę rzeczy pomija i zakrywa, jak może. To prawda, i to źle; ale to jest tak naturalne, tak ludzkie, że inaczej prawie być nie mogło. Mówią także, że jest względem przeciwników, zwłaszcza względem króla, sroga do zbytku, do niesprawiedliwości. Na nieszczęście, Kołłątaj nie miał do tej surowości prawa, i jego w tem zupełnie uniewinnić nie można.

Nie podobna wchodzić w szczegółowy rozbiór tej książki: i czasu niema, i gdyby nawet czas był, byłoby to zbyt trudne, bo w uczuciu każdego nie jest to historya, którąby można sądzić objektywnie, ani filozoficzne usprawiedliwienie politycznych wypadków, to jest rzecz, którą oceniamy tylko uczuciem i sumieniem, którą cenimy dlatego, że w niej jest owo słowo „kłamiesz". Czy autor jest historykiem lub nie; czy dobrze opowiada i grupuje fakty, czy ma talent, tego pytania, doprawdy, dziś jeszcze nikt sobie nie zadaje. Czasem prawda, w jego opowiadaniu trzeźwem, prostem, prawie zimnem, natrafia się na coś takiego, że mróz przechodzi: naprzykład, kiedy opowiada o tej radzie 23 lipca, po której król przystąpił do Targowicy; albo o niemocy, wstydzie i rozpaczy konfederatów; albo o tych medalach, które sobie bić każą. Ale co robi wrażenie, rzecz opowiadana, czy opowiadanie? Któż wie. Szuka się tam tylko jednej rzeczy i tę się znajduje.

Ale nie wchodząc w rozbiór, nie można nie wspomnieć jednego: to tej przepowiedni, jaką autor stawia całej Europie, przepowiednia, której spełnieniem jest historya naszego wieku, zrobiona z dziwnem jasnowidzeniem. Przechodzi wszystkie państwa europejskie po kolei, i przepowiada im, co je czeka po upadku Polski i w jego skutku; a mało rzeczy, któreby jeszcze czekały spełnienia.

To dla postronnych. A cóż powie swoim? Ta literatura polityczna, która przed trzystu laty przestrzegała, że „sąsiedzi was rozedrą, jak psy flak", co powie w chwili tego rozdarcia. Czy skończy wyrzutem, skargą, przekleństwem? Nie; upomnieniem dla wieku przyszłego, które jest ostatnim rozkazem, ostatnią wolą, ostatniem zaklęciem niepodległej Polski: „Nie dajcie się strawić".

To jest ostatnie słowo kończącego się ośmnastego wieku, ostatnie literatury politycznej, ostatnie dawnej Rzpltej. *Finis Poloniae* Kościuszki jest legendą, to jest prawdziwsze i lepsze. A potem biła się jeszcze Polska pod Racławicami i pod Maciejowicami, ale nie rzekła już nic.

ROZDZIAŁ VII.

(1795 — 1799).

I. Akces Kołłątaja do konfederacyi Targowickiej. Jego charakter. Krasickiego pisma pomniejsze. Charakterystyka. Naruszewicza pojęcia i koniec. Trembecki za Stanisława Augusta. Po rozbiorze. Zofiówka. Wartość moralna i literacka. Charakterystyka Trembeckiego. II. Paszkwile. Teatr. Bogusławski we Lwowie. Hamlet. Sztuki oryginalne. Teorye poezyi. Dmochowski. Józef Szymanowski. III. Pamiętniki. Stanisław August. Kitowicz. *Obraz Obyczajów i Pamiętnik.* Michał Czacki. Generał Kopeć. Kiliński. Dąbrowski. Zajączek. Wybicki. Ogiński. IV. Ostatnie głosy poezyi. *Bard Polski. Sybilla* Woronicza. Postęp w oświacie i literaturze. Postęp w narodzie. Czemu nie większy? Zamknięcie.

I.

Akces Kołłątaja do konfederacyi Targowickiej. Jego charakter. Krasickiego pisma pomniejsze. Charakterystyka. Zasługa i znaczenie. Naruszewicza pojęcia i koniec. Trembecki za Stanisława Augusta. Po rozbiorze. Zofiówka. Wartość moralna i literacka. Charakterystyka Trembeckiego.

A teraz? Teraz już prawie nic. Naruszewicz w melancholii blizkiej obłąkania; Kniaźnin w obłąkaniu zupełnem; Zabłocki w seminaryum, Trembecki w Petersburgu ze Stanisławem Augustem. W Petersburgu także, tylko inaczej, Niemcewicz przy Kościuszce, Ignacym Potockim i t. d. Kołłątaj na Josefstadzie. Cicho i głucho w tych ostatnich latach XVIII wieku. Pozostaje tylko rzucić okiem na to, co w literaturze tego czasu jest, a dotąd wskazanem nie było, i jeszcze raz na pisarzy, choć niektórych.

Żeby zacząć od tego, na czem stanęliśmy przed chwilą, trzeba powiedzieć ze smutkiem, że Kołłątaj nie miał prawa potępiać tak surowo Stanisława Augusta za akces do konfederacyi Targowickiej, bo sam zrobił to samo, a przynajmniej chciał, był gotów zrobić to samo.

Fakt ten podawano nieraz w wątpliwość. Zdawało się rzeczą nie do uwierzenia, żeby jeden z twórców Konstytucyi 3-go Maja, główny autor dzieła o jej *Powstaniu i Upadku*, mógł był choćby na chwilę przypuścić przystąpienie do konfederacyi Targowickiej. Wszystkie świadectwa wydawały się kłamliwe, a przynajmniej

podejrzane. Król? Miał interes w tem, żeby wszystkich przedstawiać, jako przystępujących do Targowicy, żeby jego akces wydał się mniej winnym; Ogiński tak samo. Linowski? Autor *Listu do Przyjaciela*, najcięższego oskarżenia przeciw Kołłątajowi, unosił się nienawiścią do człowieka, który posiadał zaufanie Kościuszki, przy którym był sekretarzem stanu, który był nieprzyjacielem Rady Najwyższej—podejrzywano więc wszystkich i odrzucano ich świadectwa. Na nieszczęście jest jeden świadek, którego wiarogodności w tej sprawie nikt kwestyonować nie może, a tym jest sam Kołłątaj. Są listy jego własne, dowodzące, że wyjeżdżając z Warszawy zostawił w ręku Strasera akces do konfederacyi Targowickiej, i że się starał, aby mu nie odebrano podkanclerstwa (Listy różne, między innymi do Strasera z 11 września i 13 października) i to w tym samym czasie, kiedy pracował nad dziełem o *Ustanowieniu i Upadku Konstytucyi*. Współcześni świadkowie i późniejsi badacze mówią, że Kołłątaj zrobił ten akces w nadziei, że choć resztki Rzpltej tym sposobem uratować potrafi, i dowodzą, że jest wielka różnica między tymi, którzy konfederacyę zrobili, a tymi, którzy przystąpili do niej w tej myśli, gdy już wojska rosyjskie były w Polsce. To słuszne, i same te listy Kołłątaja dowodzą, że zostawił akces w tej myśli. Ale zrobiwszy go, nie miał już prawa tak oskarżać i potępiać tych, co zrobili to samo, jak to robi w książce o Konstytucyi. Można podziwiać rozum, ale charakteru nie można oczyścić z dwóch zarzutów, ambicyi i ducha intrygi.

Prawda, że zostawił ten akces, w myśli, że może zdoła uratować choć coś z ustawy 3-go Maja; prawda, że zrobił to w wiedzą Malachowskiego, który ten jego krok pochwala w jednym ze swoich listów do Ignacego Potockiego (z Wenecyi 1792). Ależ i Stanisław August nie przystępował do Targowicy dla przyjemności, tylko w tej samej złudnej nadziei, że tym sposobem coś ocali, jakąś część klęski od Rzeczypospolitej odwróci.

Dodany zaś do akcesu Kołłątaja warunek, zatrzymania go na podkanclerstwie, i zwrotu majątków, wziętych w sekwestr, nie podnosi wyżej moralnej wartości jego uczynku.

Uczynek nie przydał mu się na nic, bo nie chciano ani słyszeć o dopuszczeniu go do ówczesnego rządu. Tym sposobem uratowano pozór jego dobrej sławy. A on, odepchnięty, a palony ambicyą, stał się zwolennikiem i naśladowcą francuskiego konwentu. Przez to stronnictwo, przez taką politykę, spodziewał się znowu wypłynąć i uchwycić władzę.

Człowiek chciwy władzy i rządzić zdolny, rzadka między Polakami organizacyjna głowa. Na nieszczęście, gotów dla zadośćuczynienia swojej ambicyi chwytać się środków, nie już niegodziwych moralnie, ale politycznie zgubnych, dezorganizujących. Był w nowym kształcie egzemplarzem dawnego wichrzyciela polskiego, któremu sam sto razy zgubę Rzeczypospolitej przypisywał, z tą różnicą, że tamten burzył i podszczuwał szlachtę, a ten pospólstwo uliczne. Obrócił na złe jego dobre uczucie, doprowadził je do morderstw, w tem wyrachowaniu, że po zaburzeniach on będzie jedynym rządem możliwym. Wziął sobie za wzór krwawą i bezrozumną demagogię francuską, której stronę moralną potępiać musiał, której polityczną szkodliwość doskonale rozumiał. Jest cała szkoła, która Kołłątaja wynosi nie pomimo tego, że był powodem egzekucyj warszawskich, ale dlatego właśnie i dowodzi, że w rewolucyjnych chwilach tylko rewolucyjnymi środkami działać można, że prawdziwy patryotyzm takich nakazuje używać. Tego tylko nie tłómaczą fanatycy Kołłątaja jaka była korzyść z warszawskich egzekucyj, jak nikt także nie wytłómaczył jaką korzyść odniosła Francya z terroru. Są tacy, którzy uważają to Kołłątajowi za zasługę, że pierwszy przez swoich agentów (Konopka, Zajączek, Mierosławscy) inaugurował w Polsce tę praktykę bałamucenia pospólstwa mniemanemi przeciw

niemu zdradami, wszczepiania w nie nieufności i nienawiści do wszystkiego, co jest władzą. Cios zamierzony w czerwcu 1794 zatrzymał się na głowach występnych; ale kiedy pospólstwo wieszało Ankwiczów i Kossakowskich, przywódcy widzieli w tem tylko środek: celem było zwalenie rady. Niech go za to kanonizuje kto chce: człowiek, znający historyę, wie, do czego takie środki wiodą i jak się kończą. W krajach silnych, jak Francya, wiodą przez Robespierów do despotyzmu własnego, do Napoleonów, w słabych, jak Ateny, przez Kleonów do upadku i niewoli obcej. Kołłątaj, który historyę znał i był na wskróś człowiekiem politycznym, wiedział te prawdy, używał z całą świadomością środków nie już moralnie złych, ale politycznie fałszywych, bo w nich widział stopień do władzy. Sąd o jego charakterze z tego można wyciągnąć.

Mówią, że niema ludzi politycznych bez ambicyi, że ona jest wielką dźwignią wielkich czynów. Być może; ale jeżeli gdzie, to u nas mogli i powinni byli ludzie się nauczyć, że ambicya ludzi politycznych staje się zgubą ojczyzny, jeżeli jej sumienie nie trzyma na wodzy, jeżeli ze świadomością robi coś złego, choćby nawet w nadziei, że to złe potrafi opanować i obrócić na dobre. Kraj Zebrzydowskiego, Lubomirskiego, Radziejowskiego, kraj konfederatów radomskich i niestety konfederatów targowickich, mógłby o tem wiedzieć, gdyby chciał znać swoją historyę i rozważyć jej nauki. Kołłątaj od tych wszystkich na swoje szczęście mniej szkodliwy, bądź co bądź wielkich zasług, nie był w ambicyi swojej od nich sumienniejszym. Można cenić jego zdolność, uznawać zasługi; za czysty i prawy charakter uważać go nie można.

Marcin Badeni, szkolny kolega, wspominał, że jeszcze jako chłopiec mawiał Kołłątaj, że gdyby miał pewność, że przez djabła można zostać pierwszym, oddałby duszę djabłu. Późniejsze życie odpowiada tym marzeniom młodości. Myśl o osobistem wyniesieniu się wi-

doczna tam na każdym kroku. Wbrew kapitule, przez nominacyę papieską, utrzymał się na kanonii krakowskiej. Wbrew tejże kapitule i sądom biskupim, przywrócony do kanonii przez prymasa, otrzymuje wreszcie od biskupa Turskiego obietnicę koadjutoryi krakowskiej, ale sposobem, który także za charakterem jego nie świadczy. Kiedy Sejm Konstytucyjny szukał funduszu na utrzymanie stu tysięcy wojska, powstała myśl użycia na ten cel dóbr i starostw, rozdanych w roku 1775. Odwrócono za pośrednictwem Suchodolskiego tę burzę od siebie, a zwrócono ją na dobra duchowne. Dobra biskupstwa krakowskiego zostały *de facto* zabrane. Książe biskup Turski starał się o ich zwrot i udał się do Kołłątaja, już wtedy podkanclerzego. Kołłątaj przyrzekł, ale pod warunkiem, że biskup zrobi go koadjutorem. Turski obiecał; dobra zostały zwrócone, ale dopiero przez Targowicę i tylko w części. Dowodzi niezmiernej dumy i to: Kiedy za Księstwa Warszawskiego starał się o posadę, któraby mu dała utrzymanie, Stanisław Potocki ofiarował mu rektorstwo akademii krakowskiej. Stanowisko poważne i szanowne, przy szkole, z którą wiązały się wspomnienia świetnej jego przeszłości, dawało mu sposobność służby użytecznej; jednak Kołłątaj odrzucił z gniewem, jako rzecz dla siebie za małą. Pomimo tej wielkiej dumy jednak, umiał poddawać się przykrym upokorzeniom. Biskup Skarszewski, jako ten, który go zastąpił w podkanclerstwie pod rządem targowickim, był przedmiotem szczególnej jego mściwości. W czerwcu 1794 roku wleczony był na szubienicę przez Zajączka, krewnego i przyjaciela Kołłątaja, a uratowany przypadkiem. Później, kiedy Kołłątaj po powrocie z Ołomuńca był w wielkich kłopotach pieniężnych, ten sam Skarszewski *),

*) Ks. Skarszewski, kanonik kamieniecki, później biskup chełmski, jedyny z biskupów obecny na sejmie grodzieńskim. Prymas Poniatowski i Turski, którzy tam być nie chcieli, a bali się zemsty nad duchowieństwem, gdyby nie było żadnego bi-

wsparł go tysiącem dukatów, bardzo delikatnie pod formą pożyczki; Kołłątaj przyjął, od człowieka, którego był ogłosił za zdrajcę, którego tak bardzo skrzywdził, a niewinnie, bo Skarszewski nie był tym zdrajcą, za którego go okrzyczano, i później, kiedy, jako prymas Królestwa Polskiego, prowadził kondukt pogrzebowy księcia namiestnika Zajączka, który jego niegdyś prowadził na szubienicę, mówiono sobie w Warszawie, że ten niegdyś mniemany zdrajca, nie przystał tak do nowych rządów, jak ten niegdyś bohater, który w imię patryotyzmu tamtego chciał wieszać.

Jeszcze raz, rozum i zdolność organizacyjna były wielkie. Dowodem tego przekształcenie akademii krakowskiej, urządzenie Krzemieńca, przy którem Czacki ciągle rad Kołłątaja zasięgał, wreszcie Ustawa 3-go Maja, w wielkiej mierze z jego głowy wychodząca Czeka on jeszcze na biografa, któryby ocenił jego zawód polityczny i piśmienniczy, i postać jego ukazał w świetle właściwem. Dziś jest to niemożliwe, choćby dlatego, że znaczna część jego pism dotychczas nie jest ogłoszona drukiem i znana.

Krasicki żyje, nie jest w obłąkaniu, ani nawet w melancholii. Nie w obojętności także, jak dowodzi ostatnia nieskończona część *Podstolego*. Ten Pułkownik, ponury, zamknięty, w domu i w sobie, on się zrodził w myśli Krasickiego pod wrażeniem ostatnich wypadków i byłby może odkrył głąb swojej myśli i serca, gdyby powieść nie była urwaną.

---

skupa, namówili tego, który po długim oporze uległ namowom, ale wyjeżdżając powiedział, że czyni ich odpowiedzialnymi przed Bogiem za to, co go w przyszłości czeka. Na sejmie przyjął podkanclerstwo i dostał dobra dla swojej dyecezyi, które były wynagrodzeniem za inne, zabrane przez rząd rosyjski. Wzięto to za wynagrodzenie powolności Targowicy. Zapewne źle zrobił, że to podkanclerstwo przyjął, ale ze wszystkich ludzi w Polsce był jeden człowiek, który nie miał prawa brać mu to za złe, a tym człowiekiem był Kołłątaj, bo się sam o to samo podkanclerstwo u tej samej Targowicy starał.

Cóż nam jeszcze zostaje do powiedzenia o biskupie warmińskim, a niebawem arcybiskupie gnieźnieńskim? *O Książęciu Poetów* Stanisławowskiej epoki?

Wielostronna czynność jego obejmuje wiele dzieł mniejszej zapewne wartości, ale godnych wzmianki, choćby dlatego, żeby poznać zakres pracy tego umysłu. Powieści Krasickiego po większej części wzięte są ze świata wschodniego, Araby, Persy, Turki, Seryfy, Hassany i Seidy, a scena zawsze w Bagdadzie, Damaszku, albo Aleppie. Dlaczego? Znowu rzecz mody. Powieści Tysiąca Nocy, tak udatne, tak zajmujące, pełne uroku i trafnego przystosowania, miały niezmierne powodzenie i wprowadziły w modę Wschód jako nowość. Ta dekoracya wabiła ciekawych do powieści, była nową i niezużytą; postarał się o nią i Krasicki. Zbytecznie mówić, że w tych powieściach wschodnich prawdziwego kolorytu niema, jest to Wschód, skopiowany dość blado z Gallanda; jednak powiastki są ładne, a niektóre, jak np. Dziekan z Badajoz bardzo dowcipne. Odznacza się między innemi allegoryczna powieść o kamienicy w Kukurowicach, zręczne przedstawienie losów Rzeczypospolitej pod figurą kamienicy, idącej w ruinę, jedyna powieść z zastosowaniem do Polski, i jedyna treści polityczno-historycznej, nie zaś moralnej.

Do tego samego rodzaju dydaktyczno-moralnego należą i te dyalogi zmarłych, których wielką liczbę Krasicki częścią z Lucyana tłómaczył, częścią z niego naśladował. Jak się zapatrywał na swój wzór, a zatem i na to, czego sam od swego naśladowania żądał, sam to charakteryzuje najlepiej. Chodzi mu więc o to, żeby w formie zwięzłej, gładkiej i satyrycznej podawać prawidła, jak mówi, obyczajności. Prawidła są, i forma jest: ale pomimo to dyalogi wartość mają wątpliwą. Jest to zupełnie to samo, co z powieściami nauczającemi, inny pozór, inna rzecz, inna forma, inna treść. Tytuł zapowiada postacie, ludzi, dyalog przedstawia ich

mówiących, szuka się tych ludzi, chce się ich widzieć. Natrafiwszy np. na dyalog pomiędzy Chrobrym a Kazimierzem, spodziewamy się charakterystyki obudwóch, spodziewamy się, że dyalog będzie rodzajem porównania, w którem obaj odrysują się plastycznie i pokażą swoje różnice i podobieństwa; tymczasem zastajemy suchą rozprawę, o to z czego większa chwała, z podbojów czy z pokoju i ugruntowania państwa. Naprzód nie jest to słuszne: ani Kazimierz Wielki nie był królem nie myślącym o rozszerzeniu granic, ani Chrobry tylko zdobywcą, obaj byli założycielami; a potem: czy warto sprowadzać z tamtego świata tych wielkich nieboszczyków, na to, żeby wypowiedzieć prawdę dość znaną, że ten król największy, który zasługuje na największą miłość poddanych? Środki tu oczywiście za wielkie w proporcyi do celu, wielka machina teatralna, a efekt słaby; powinien był przypomnieć sobie Horacego *parturiunt*, i uczuć, że pomiędzy tak pompatyczną formą a tak skąpą treścią zachodzi sprzeczność, która czytelnika razić musi. W innym dyalogu spotykamy Czarnieckiego; to nazwisko nęci, spodziewamy się postaci, znajdujemy rozprawę o sztuce wojskowej, czy lepiej wojować jak Fabiusz, czy z góry nacierać i ryzykować. Czy warto wywieszać taką etykietę na tak mdłym trunku?

Niepodobna wchodzić w rozbiór licznych pomniejszych rozpraw moralnych i filozoficznych, uwag, definicyj, aforyzmów, pomiędzy któremi zdarza się wiele rzeczy bardzo trafnych. Wszystkie mają tę samą cechę rozsądku, trzeźwości i znajomości ludzi, ale są to tylko opiłki tej pracy umysłowej, opiłki godne zebrania, ale nie można przeglądać ich szczegółowo. Tak samo pominąć trzeba, choć wcale nie są bez wdzięku, i listy o ogrodach. Wspomnieć jednak należy o dwóch pracach większych rozmiarów i głębszego celu, nie tyle może pożytecznych, jak autor chciał i sądził, ale podjętych w myśli przyniesienia pożytku, a przytem cie-

kawych ze względu na pojęcia autora: przekład i naśladowanie Plutarcha, i ten pierwszy zaród historyi literatury, którym jest *o Rymotwórstwie i Rymotwórcach*.

Dawniej był Plutarch konieczną ingredyencyą męskiego wychowania, i Krasicki mniemał oddać narodowi największą przysługę, kiedy przełożył żywoty sławnych mężów. I nie przestał na przekładzie. Na wzór Plutarcha pisał i sam żywoty podobne. Gdyby z dziejów polskich, gdyby był dał szereg kilkunastu żywotów sławnych ludzi polskich, i podniósł charakterystyczne rysy, byłaby się zrobiła rzecz z wartością. Ale jakąż może mieć Żywot Cyrusa, Ptolomeusza lub Tytusa? Oczywiście żadnej, oprócz chyba językowej. Każdy z nich musi być tylko kompilacyą, krótkiem i ogólnikowem streszczeniem tych wiadomości, które podają o nich historycy starożytni. Wielcy ludzie starożytności w Żywotach Krasickiego wyglądają tak, jak w Historyi Rollina, bohatery konwencyonalne, pełne mądrości i cnót różnego rodzaju, niepodobne do tego, czem ci ludzi byli rzeczywiście. Ale i tam gdzie schodzi do czasów nowszych, czuć się daje ten sam brak krytyki, to samo powtarzanie za panią matką. Żywot polski jest tylko jeden, Kazimierza Wielkiego, konwencyonalny jak wszystkie.

Drugie dzieło o *Rymotwórcach* nie ma także szczególnej wartości, ale jest ciekawe, jako pierwsze w swoim rodzaju. Należący do literatury europejskiej, pragnący znajomość jej w Polsce zaszczepić, napisał Krasicki książkę, w której zebrał wiadomości o wszystkich poetach świata, od Homera aż do Voltaira; książka ta jest pierwszą tego rodzaju w naszej literaturze. U Starowolskiego znajduje się tylko prosty (i niedokładny) spis imion polskich pisarzy: dobre i to, dobrze uratować od zapomnienia imię autora, bo po nim, jak po nitce, trafią ludzie do książki. *Biblioteka* Załuskiego spisuje także tylko tytuły dzieł i wydania; Krasicki pierwszy podaje wiadomości o autorach i dziełach. Metoda, którą

postępuje, jest bardzo prosta. O każdym z poetów wiadomość bardzo krótka; o życiu, o dziełach, sąd jak najbardziej streszczony, a wreszcie przy wielu wyjątki z dzieł. Wszystko poprzedzone teoretycznym wstępem o poezyi, w którym tłómaczy czem ma być oda, elegia, satyra, epos i t. d.; teorya oczywiście oparta na zasadach francuskich. Po tem następuje długi szereg wszystkich poetów świata, począwszy od Biblii (trafne podniesienie piękności księgi Joba), następują Grecy i Rzymianie, potem nowożytni, a na czele poeci polscy od Reya do Naruszewicza. Wspomnienie o każdym jest tak krótkie, że sąd bardzo wyczerpującym być nie może, jednak w przecięciu zdanie jest trafne, a zalety słusznie ocenione. Zarzucić można Krasickiemu, że nie wytyka wad; kiedy niema co pochwalić, przestaje na wiadomości o życiu pisarza i spisuje tytuły dzieł, od uwag się wstrzymuje.

Po Polakach idą Włosi, od Danta do Metastazyusza, Francuzi od trubadurów do Delilla. Sąd często mylny np. stawia Jana Rousseau narówni z Pindarem; ale warto przejrzeć te karty choćby dlatego, że trafiają się ustępy jego tłómaczenia, które nieraz sprawiają, że nie przetłómaczył całego dzieła, np. pierwsza scena Mizantropa. Pomiędzy Niemcami wynosi bardzo Gessnera, a w końcu podaje wzmiankę dość komiczną o Schillerze i Göthem. Po Anglikach i Hiszpanach następują poeci wschodni, arabscy, perscy, indyjscy, przy indyjskich niema wzmianki o Mahabaracie; zamykają szereg i książkę poeci chińscy.

Nie jest to historya literatury, nie jest krytyka, nie daje to wyobrażenia o tych pisarzach, ale daje o nich przynajmniej wiadomość. Dziś łatwo nam traktować to z góry i mówić, że każdy student z czwartej klasy napisałby to samo. Nie sztuka: nas tego uczą; zresztą samo społeczeństwo, w którem żyjemy, jest nierównie więcej literackie niż ówczesne; jeszcze w dzieciństwie nabieramy pierwszych nocyj o pisarzach i lite-

raturze; ale wtenczas, kiedy nie było żadnych, kiedy związek pomiędzy Polską a Europą dopiero się na nowo sklejał, wtenczas taka prosta wiadomość o pisarzach obcych mogła i musiała być nader pożyteczną i potrzebną, była jedynem źródłem, jedyną podstawą na której oprzeć się mogły wiadomości dokładniejsze i szersze.

W ten sposób byłby skończonym przegląd dzieł Krasickiego.

Przyglądając się jego dziełom, zdaje się, że w człowieku tym były dwie natury, w jego życiu dwa górujące wpływy i dwie epoki. Dwie natury? Słowo śmiałe i trudne do uzasadnienia, bo przecież jego własnością, cechą i wdziękiem, jest właśnie to, że taki jak jest, jest bardzo harmonijny i skończony; wszystko tam z sobą w zgodzie, w harmonii, w równowadze, sprzeczności niema, postać jest bardzo jednolita. Przecież, jeżeli nie dwie natury, to dwie skłonności, dwie dążności, pokazują się w nim dość wyraźnie od siebie oddzielone, a tak różne, że mogłyby prawie należeć do dwóch różnych ludzi. Jeden, to Polak pragnący szczerze reformy, odrodzenia Rzpltej, pragnący przyłożyć się do tego dzieła; drugi, to pogodny, wesoły, lekki nawet człowiek XVIII wieku, nie zupsuty ani cyniczny, bo od tego wstrzymywał go rozsądek, wrodzona miara w naturze, i ta wygodna filozofia życia, która uczy nie wyzywać, nie razić, do walki nie występować bez koniecznej potrzeby, być w zgodzie ze wszystkimi, o ile się da. Że taka była sztuka życia Krasickiego, niema wątpliwości. Ksiądz i biskup, zgorszenia z siebie nie dał nigdy, pod względem wiary czy obyczajów zachowywał bardzo przyzwoite *decorum*. Pierwszej nigdy się nie wyparł, nawet nigdy nie zaczepił słowem ani pismem; co do drugich nie pozostała o nim pamięć żadnego skandalu. Nie był to człowiek nie wierzący i nie religijny; przeciwnie, jego pisma dowodzą inaczej. Zna on i uznaje Boga nad sobą, wie, że przed nim jest wie-

czność, a w nim dusza nieśmiertelna, którą zbawić trzeba; myśli o tem, zwłaszcza w latach późniejszych. Filozofia wieku mierzi go i straszy; przewiduje on jej skutki swoim rozsądkiem, swojem uczuciem odpycha ten pierwiastek negacyjny i rozkładowy, instynktem swojej natury nie cierpi wszystkiego, co namiętne, nienawistne, gwałtowne, radykalne. Wszystko razem wziąwszy, Krasicki i z uczuć i z przekonania jest więcej chrześcijaninem niż filozofem XVIII wieku. Ale chrześcijaństwa tego na księdza, na biskupa, ma za mało. Jest to ta religijność letnia, w którą wchodzi trochę domowej tradycyi i prawdziwego uczucia, trochę rozumowego przekonania, że jakaś religia jest potrzebna, a ta lepsza od innych, trochę wstrętu do nowości, trochę obawy próżni i czczości; religijność przyzwoita, światowa, pomimo której, nie dla której, człowiek może znaleść przebaczenie na sądzie ostatecznym, ale która gorliwością, miłością, nie jest, a która za zasługę poczytaną być nie może, chyba człowiekowi XVIII wieku, dlatego, że mogąc być złym jak Voltaire lub Fryderyk, był tylko letnim jak Krasicki. Nawet jako ksiądz i biskup miał on swoje zalety i zasługi; ale zalety i zasługi płynące z rozsądku, z oświeconego umysłu, z literackiego zamiłowania i smaku, nie z wielkiego serca, nie z gorejącego uczucia. Dyecezyą swoją naprzykład zarządzać miał bardzo dobrze; majątek kościelny zostawił w największym porządku, sprawy konsystorskie załatwiał starannie, archiwa i biblioteki ułożył, spisał, skatalogował, pomnożył, za co wszystko dyecezya warmińska do dziś dnia dobrze go wspomina. Ale o kazaniach tego biskupa, o czynnem i skutecznem rozkrzewianiu religijnego ducha między wiernymi, o wychowaniu przez lat tyle w jego seminaryum księży gorliwych, dzielnych teologów, o tem, co stanowi samą istotę powołania i obowiązków biskupa, o tem głucho. Słowem, ze wszystkiego widać, że jako chrześcijanin, jako ksiądz i pasterz, Krasicki nie był złym, ale był

przyzwoitem, średnim, letnim; a tak dalece przytem człowiekiem swego wieku, hołdującym jego wyobrażeniom, podziwiającym Voltaira, rozmiłowanym w dowcipie, że choć ksiądz i biskup (prawda, że w młodszych latach), napisał Monachomachię. Czuł on niewłaściwość tego konceptu, ale pokusie oprzeć się nie mógł; przyzwoitość musiała ustąpić, górę wzięła chętka popisania się dowcipem i wyobrażeniami godnemi „oświeconego wieku". Jednak z wiekiem musiał się pod tym względem zmienić. W Podstolim nie jeden ustęp dowodzi, że był w rzeczach kościelnych dość wymagającym (nieszpory, posty), a rozmowa o kaplicach domowych dowodzi nietylko rygoryzmu, ale bardzo pięknego i wysokiego pojęcia religijnych obowiązków.

A jako człowiek moralny, był także przyzwoity, średni. Kronika nie pamięta o nim żadnego zgorszenia, ale nie przytacza też ani jednej jego cnoty, prócz tej, że był miły, przyjemny i ludzki. Dodatniego, większego, trudniejszego nic. Jakim zaś człowiekiem i księdzem, takim był i Polakiem. Kochał ojczyznę, myślał o niej dobrze, sądził ją trzeźwo, żałował jej szczerze. Owszem, chciał jej skutecznie służyć swojem piórem, i pod tym względem stoi on zapewne najwyżej. Ani satyrom ani powieściom jego, patryotycznej, obywatelskiej zasługi odmówić nie można. Jest w nich ta powszechna u ludzi oświeconych jego wieku dążność reformatorska, częstokroć bardzo trafnie pojęta i wypowiedziana. Samo zresztą podźwignienie literatury, którego dokonał, sama usilna i ustawiczna praca, jest już niezaprzeczenie patryotycznym czynem i wielką przed narodem zasługą. Ale jak w jego uczuciu religijnem, tak w jego uczuciu patryotycznem, jest jakaś średnia miara, jakaś przyzwoitość chłodna; gorącego, wielkiego, niema nic. Inaczej, czyż byłby zdołał być przyjacielem, lub niby przyjacielem Fryderyka, przyjmować jego grzeczności, odpowiadać na nie uśmiechem, i pisanemi na jego życzenie wierszami. Nie potępiając go,

ani zasług mu ujmując, bo owszem, im mniej kto z natury ma wielkości i wzniosłości, tem bardziej cenić w nim należy to dobre, jakie zrobił, trzeba przecież powiedzieć, że ten człowiek dobry, miły, łagodny, rozumny, wielkiego nie miał nic w swojej duszy.

Ani w swoim talencie. Posiadł on w stopniu wysokim wszystkie niższe przymioty pisarza: humor, dowcip, dar obserwacyi, rozum, rozsądek, wielką biegłość w formie; ale nie miał ani tyle uczucia i wyobraźni, ile ich potrzeba wielkiemu poecie, ani nawet tyle własnych pomysłów, ile trzeba, żeby być wielkim oryginalnym pisarzem. Trafnych spostrzeżeń jest u niego pełno: nowych i płodnych myśli niema. Oryginalnym nazwać go nie można; wszystko co tylko pisał, bez wyjątku, da się odnieść do jakiegoś zagranicznego wzoru i początku. Bajki pochodzą od Lafontaina, satyry od Boileau, listy częścią od tego, częścią od Voltaira, od Voltaira Wojna Chocimska, od niego i od Popego i od Boileau znowu Myszeis i Monachomachia, Doświadczyński od De Foe i Johnsona. Nie można pisarzowi odmówić zasługi, jeżeli w formy chociażby pożyczone od drugich, kładzie rzeczy dobre i swoje, a w literaturze tak ubogiej, jak była podówczas nasza, trzeba go cenić, jeżeli te obce formy dobrze naśladować umie; ale wielkim poetą, wielkim pisarzem nazwać go nie można, co najwięcej można mu przyznać, że miał zalety, którychby mu i wielcy poeci mogli pozazdrościć. Jako rodzaj usposobienia i talentu Krasicki należy do tej kategoryi poetów, której wzorem i typem jest Horacy, ale temu oczywiście nie równy, stoi w tym rzędzie mniej więcej co Boileau, choć od tego zapewne wyższy, nie pod względem formy, która u tamtego jest podobna doskonała, nie pod względem zdrowego rozsądku, ale przez lżejszy dowcip, weselszy humor, umysł więcej rzutki, giętszy, wdzięczniejszy. Przez wielki eklektyzm swoich pism, jest on nieodrodnym synem i wiernym typem swego wieku, wieku encyklopedyi,

wieku, który chciał wszystko wiedzieć, wszystko pisać, a wszystko łatwo, bawiąc się. Sam dydaktyczny Podstoli jest poniekąd małą encyklopedyą, zbiorem najpotrzebniejszych wiadomości; a oprócz niego, ile to rzeczy pisze Krasicki, w ilu rodzajach się próbuje. I wszystkie mu się udają: jedne, mniejsze, bajki, satyry, listy, bardzo dobrze, inne, jak powieści, dobrze, epopeje komiczne słabiej, poemat bohaterski najsłabiej, komedye średnio, ale żaden rodzaj nie jest dla niego niedostępnym, w każdym coś zrobi i coś znośnego, przyzwoitego: w żadnym nic wielkiego. Otóż ta zdolność różnorodna, szeroka, rozległa raczej niż głęboka i silna, ta eklektyczna zdolność zrobienia wiele i w wielu kierunkach, a nic bardzo znakomitego i pięknego, to dowodzi najlepiej, jak dalece on był synem swego wieku, jak dalece zwłaszcza był produktem i powtórzeniem tych wszystkich sił i pierwiastków, które składały charakter XVIII wieku we Francyi.

Porównywano go czasem z Kochanowskim. Zapewne, są niektóre analogie; ale przecież porównanie to wynaleźli chyba gorliwi i zaślepieni wielbiciele księcia biskupa warmińskiego. Podobieństwo jest w tem, że jeden stworzył poezyę polską, drugi ją odrodził i podniósł; w tem, że jeden i drugi pomagali sobie obcymi wzorami, wreszcie, poniekąd i w naturze ich talentów. Kochanowski także do wielkich poetów, do geniuszów liczyć się nie może; jest wielki i doskonały w swoim rodzaju, ale jego rodzaj jest drobny, i on także, podobnie jak Krasicki, jest poetą z rodu czy ze szkoły Horacego. Ale różnice są większe niż wszystkie te podobieństwa, a wszystkie na korzyść Kochanowskiego. Tego uczucia, jakie ma Kochanowski, Krasicki niema. Gdzie są jego *Treny* albo *Pieśń o Utracie Smoleńska*? Krasicki patrzał na gorsze i najgorsze klęski, a czy choć raz odezwały się w jego poezyi takie tony poważne i wzniosłe? Albo czy byłby Krasicki potrafił zdobyć się na taki majestat stylu, na taką moc i głę-

bokość wyrażeń, jaka się spotyka co krok prawie w Kochanowskiego Psałterzu? Albo zestawmy tylko obraz, krytykę, sejmów burzliwych u Krasickiego w Myszeidzie i u Kochanowskiego w Odprawie Posłów! Nie, Krasicki jest w swoim rodzaju poetą bardzo miłym, bardzo dobrym i harmonijnym, ale jest cały na mniejszą skalę.

A nadto jeszcze, jakże porównać zdolność i zasługę tego, który poezyę polską stworzył, ze zdolnością i zasługą tego, który ją odrodził, a odrodził nie zupełnie dobrze. To prawda, że Krasicki przez swoje wychowanie, przez cały ówczesny stan umysłowości polskiej, zmuszony był szukać wzorów dla swojej poezyi u Francuzów; za złe mu tego brać nie można. Ale Kochanowski, kiedy z pomocą obcych wzorów tworzył poezyę polską, wybrał dla niej wzory dobre i najlepsze, jakie mógł wybrać. Krasicki, nie ze swojej winy zapewne, ale najlepszych wybrać nie umiał. Jeżeli nie stać go było na to, by ocenił Göthego i jego naśladował, to Lessinga w każdym razie był zdolny rozumieć i od niego się nauczyć; on tymczasem pominął to wszystko, a wzorów swoich szukał u Francuzów, u Voltaira i Boileau. Można w nim rozpoznać wpływ wszystkich współczesnych pisarzy od Voltaira do Fieldinga, najwięcej może Popego; oni wszyscy składają się na niego po trochu. Jednak, choć się u wszystkich zapożycza, nie można powiedzieć, żeby któregokolwiek z nich okradał. żeby był zupełnie naśladowcą. Formy od nich bierze, myśl daje własną; a na tej myśli wybite jest niezaprzeczenie piętno narodowe, polskie. Przytem ma przymioty, którymi ich wszystkich przewyższa. Nie mówiąc o tem, że jest moralnie lepszy niż Voltaire, bo jest uczciwy i dobry, ma zmysł moralny i sumienie, ma nad Popem wyższość większej lekkości i swobody, nad Boileau wyższość wesołości prawdziwej i dowcipu, nad Johnsonem wyższość prostoty i naturalności w stylu i w pomysłach. Gdyby Krasicki

był urodził się Niemcem i żył pod wpływem ówczesnego ruchu literackiego w Niemczech, nie byłby oczywiście dorósł wielkości Göthego ani Schillera, nie byłby stworzył nowej estetyki jak Lessing, a nie tak uczony jak Herder, nie byłby szukał źródeł odmłodzenia poezyi w Głosach wszystkich ludów świata; ale dowcipny i lekki, biegły i elegancki w wierszu, na pół ulegający nowym wyobrażeniom, tradycyą i sympatyą przywiązany do francuskiego smaku, byłby zapewne wyszedł na drugiego Wielanda.

Dla nas ma on wartość ogromną, i sławie, jaką miał u współczesnych, dziwić się nie możemy. Od dwóch wieków nie widziano w poezyi polskiej nic tak ładnego, tak dobrego, jak to, co on pisał, a od wszystkich współczesnych Stanisławowskich pisarzy był niezaprzeczenie wyższym. Odrodzicielem poezyi był istotnie, w tem znaczeniu, że na nowo zrobił ją poezyą cywilizowaną i artystyczną, że wprowadził w nią na nowo sens, smak, sztukę, że język i wiersz na nowo wyrobił do wysokiej doskonałości, słowem, odbył wszystkie prace przygotowawcze i mechaniczne, prostował drogi przed wielką, przed prawdziwą poezyą.

Jego wartość bezwzględna, trwała, dla wszelkich epok i czasów, polega w jego pięknym języku, w humorze i dowcipie, w wielkim rozsądku i w dobroci, co wszystko razem daje mu wdzięk niezaprzeczony i właściwy. Jako fenomen psychologiczny jest bardzo ciekawy; z rozsądkiem za tło swojej natury, z trzeźwością i miarą za główne przymioty swego talentu i swojej duszy, dobry dla wszystkich i do wszystkiego, dla nikogo i do niczego bardzo dobry; w wyobrażeniach religijnych chrześcijanina chłodny; w wyobrażeniach politycznych reformator, ale bez zapału; w nieszczęściach ojczyzny Polak, a przecież przyjaciel Fryderyka, jest Krasicki typem tych natur, których cechą jest średnia miara, ograniczenie we wszystkiem, w uczuciach, w czynach, w wadach i w cnotach, a których darem czy

sztuką jest spokojna filozofia życia, dozwalająca żyć spokojnie i pogodnie, nie zawadzając nikomu i zawady wymijając, niczem się zbytecznie nie martwiąc. Natury to nie złe, ale nie głębokie; serca dobre, ale lekkie; dusze nie przewrotne ani brzydkie, ale mierne.

I dlatego także jest Krasicki prawym synem XVIII wieku, a przez to znowu ma i zawsze mieć może wielką wartość jaka ciekawa i typowa figura historyczna.

W każdym razie czas już, żebyśmy dla niego byli sprawiedliwi. Poznaliśmy od czasów Krasickiego poezyę w najwyższem znaczeniu słowa, piękność doskonałą, doznaliśmy wrażeń, jakich on nam dać nie mógł: to prawda. Ale czyż dlatego mamy mu odmawiać sympatyi, wdzięczności, nawet najprostszej sprawiedliwości? Czy rzecz dobra przestaje być dobrą dlatego, że jest druga lepsza? Może tak jest w wynalazkach, w rzeczach praktycznego użytku, może dyliżanse przestały być dobremi, bo przestały być potrzebnemi tam, gdzie są koleje: ale nie w literaturze. Anglicy są sprawiedliwsi od nas. Byron nie przeszkadza im mówić dobrze o Johnsonie, Fieldingu, Addisonie, o tych wszystkich pisarzach, którzy u nich odpowiadają temu, czem u nas jest Krasicki. Róbmy jak oni, i wyznając nową wiarę, prawdziwą, szanujmy przecie dawnych bogów, zachowajmy im trochę względów i sympatyi; nie stawiajmy ich na wielkim ołtarzu narodowego pamiątek kościoła, ale nie dajmy im walać się po kątach, kiedy doprawdy mogą być tego kościoła ozdobą.

Naruszewicz, oprócz swojej ogromnej zasługi jako historyk, jest bardzo ciekawy i nauczający przez rodzaj czy odcień swoich pojęć politycznych. Należy do stronnictwa reformy, ma wspólną z niem nienawiść dawnej oligarchii; system dawnej Republiki dzielił obywateli w jego przekonaniu na dwie grupy, z których jedna wyciągała dla drugiej gorące kasztany z ognia. Uczucie to jest u niego głębokie i nieledwie namiętne. Wreszcie rzecz, która dowodzi istotnego politycznego

rozumu, to jest, że miał uczucie tego, że przyjąwszy raz jakąś politykę za dobrą, należy się jej trzymać i wedle niej postępować, choćby polityka przeciwna silnie pociągała uczucie i miała powabniejsze pozory. Konfederacya Barska, jako protest przeciw przemocy, musiała pociągać serca i wydawać się patryotyczniejszą od polityki królewskiej. Ale cóż, konfederacya Barska musiała albo udać się zupełnie, albo doprowadzić do gorszego nieszczęścia, a warunków udania nie miała. Trzeba więc było trzymać się dłuższej, trudniejszej, ale pewniejszej polityki Stanisława Augusta; tak rozumował i tak postępował Naruszewicz, a kiedy w jednej ze swoich mów oskarża konfederacyę Barską, że stała się powodem pierwszego rozbioru, i że ci sami ludzie chcieli przez nią poprawić to, co zepsuli przez Radomską, to zarzut ciężki dla partyi przeciwnej, ale do odparcia trudny.

A jednak były w nim rzeczy wspólne z tą partyą, którą tak prześladował i ścigał. Jak się przypatrzyć młodszym przywódcom Czteroletniego Sejmu, demokratom monarchicznym jak Ignacy Potocki, albo ambitnym demagogom jak Kołłątaj, widzi się zaraz, że to zjawiska w ówczesnej Polsce nowe i importowane, to różne odcienie współczesnych doktryn i współczesnej demokracyi francuskiej. Od Ignacego Potockiego aż do Turskiego mamy całą tęczę tych odcieni, odpowiadającą podobnej skali pojęć u Francuzów od Mirabeau aż do ostatnich carmagnolistów: ale wszystko to jest czysto francuskie. Naruszewicz od nich jest zupełnie odmienny, doktryn świeżych i obcych w nim nie znać, a z dawnych pojęć polskich zostało w nim wiele. Żadnego na nim odbicia demokracyi: owszem, jest na wskróś szlachcicem, tak jak republikanie, jak konfederaci; jest do swego klejnotu i do swego rycerskiego stanu serdecznie przywiązany, o jego wyższości nietylko nie wątpi, ale mówi otwarcie, czego żaden z młodszych w jego stronnictwieby nie zrobił; człowiekiem reformy

jest już zupełnie, ale nie jest jeszcze demokratą jak Staszic, a najmniej doktrynerem demokratycznym. Stoi więc jak gdyby na przejściu pomiędzy dawnemi a nowemi pojęciami i trzyma między niemi środek, a tem samem reprezentuje osobny i oryginalny odcień opinii.

Druga rzecz, która go do republikanów zbliża, to pojęcia religijne, a przynajmniej pojęcia o stanowisku duchowieństwa i Kościoła w państwie. Trudnoby było dojść prawdy o jego religijnych uczuciach i o jego wierze. Współcześni uważali go nieraz za niedowiarka, on sam występuje zawsze jako ścisły i gorliwy katolik; prawda, że w swoim stanie inaczej występować nie mógł. Ile w tych wystąpieniach szczerości a ile konieczności, to sekret jemu jednemu wiadomy, ale to pewna, że jeżeli nawet istotnie zachwycił coś z ówczesnej filozofii, to nie zabrnął w niej nigdy głęboko, jeżeli nawet wątpił, to z pewnością nie o Bogu ani o duszy, a nie wiem, na jakich dokumentach oparłby się ten, ktoby chciał dowodzić, że on nie miał chrześcijańskiego uczucia i wiary. Owszem, pod tym względem wydaje on się bliższym swoich przeciwników niż stronników. W Ustawie Trzeciego Maja widzi i podnosi przedewszystkiem to, że religia katolicka jest panującą, nalega na to silniej niż ustawa sama, że inne są tylko tolerowane; różnowierców uważa za jedną z głównych przyczyn upadku Polski, jedność wiary jest dla niego koniecznym warunkiem siły i pomyślności państwa. W tem bliższy jest księdza Marka, niż księdza Kołłątaja.

Kiedy młodzi reformatorowie, ostrzelani z tem, co się podówczas działo w całej Europie, nie byliby się wahali skonfiskować dóbr duchownych i obrócić duchownych na pensyonowanych urzędników, on staje w obronie ich niezależności w mowie bardzo pięknej i oburza się na poddanie Kościoła pod władzę świecką, jak Kołłątaj nie byłby się oburzył. Innym razem, przy dyskusyi nad prawem o sejmikach, kiedy jest wniosek,

żeby księża do nich nie należeli, on znowu za tem dla nich prawem przemawia.

Stosunek do obrządku wschodniego rozumie dobrze; nie wiedzieć czy z politycznych, czy z religijnych, czy z tych obu powodów, ale gdzie może, okazuje mu największe uszanowanie, a podróż do Kaniowa dawała wiele po temu sposobności. W senacie (29 lipca 1790) przemawia bardzo silnie za tem, żeby biskupi uniccy zasiadali w senacie, tylko po łacińskich.

Najgorliwiej zaś i najsilniej broni interesu i praw władzy królewskiej, kiedykolwiek ta jest zagrożoną. Najpiękniejsza może jego mowa ta, która najlepiej charakteryzuje jego pogląd na historyę Polski i na współczesny jej stan, powiedziana jest w obronie prerogatyw królewskich, z okazyi wniosku, aby odjąć królowi dystrybucyę urzędów. Dawna myśl Karwickiego i Leszczyńskiego, którą Konarski zbijał dość miękko i z ogródka, zjawiła się na Sejmie Konstytucyjnym, Naruszewicz wystąpił przeciw niej.

Konstytucyę Trzeciego Maja przyjął całą duszą. Jak ją rozumiał, jak wielbił, jak pragnął, żeby się przyjęła, jak w niej widział ratunek i zbawienie, dobrodziejstwo Boga dla Polski, świadczy List Pasterski do dyecezyi Łuckiej z poleceniem nabożeństw dziękczynnych, akt tak pełen kapłańskiego i patryotycznego ducha, a politycznie tak rozumny, że go można uważać za streszczenie, a zarazem za najpiękniejszy wyraz wszystkich jego uczuć i przekonań, całej jego duszy.

Jedynem świadectwem jego wymowy religijnej, jest mowa przy założeniu kamienia węgielnego pod kościół Opatrzności w rocznicę Trzeciego Maja. Piękna jest, a zarazem ostatniem jest jego słowem. Potem już nic nie rzekł, ani nie napisał. Ostatnie cztery lata przeżył w Janowie w spokojnej melancholii i zupełnej samotności. Ta śmierć w gorzkiem rozczarowaniu i głębokim smutku jest piękna, dowodzi wielkiego serca, wielkiej miłości ojczyzny—ale bo też dowodzi go i ten

piękny żywot szlachetnej i poważnej pracy, najlepszy kamień probierczy prawdziwości naszych patryotycznych uczuć.

Dziwnem zrządzeniem Naruszewicz, którego całe życie tak było splątane z życiem Stanisława Augusta, umarł w chwili, kiedy król czekał w Grodnie na swoje wywiezienie do Petersburga, 6 lipca 1796 r.

Trembecki pojechał za Stanisławem Augustem do Grodna i do Petersburga. Był do niego przywiązany, jemu wierny przez całe życie; został takim do śmierci. W tem widzieć trzeba rys piękny jego charakteru; dworactwo i podchlebstwo już nikogo przy tym królu trzymać nie mogło, tylko pobłażanie i politowanie.

Jakże na podstawie pism wyobrazimy sobie uczucia i pojęcia Trembeckiego, przez cały ciąg panowania Stanisława Augusta?

Zrazu to tylko zwolennik reform, stronnik władzy królewskiej, później przemaga w nim polityczna konieczność, znajomość granic możliwości, chce się w nich zamknąć. Jeszcze później, kiedy nadzieje upadają, kiedy się dzieje coraz gorzej, wyrabia się w nim ta myśl panslawizmu, bardzo naturalna u niego, odpowiednia jego pojęciom filozoficznym, bo panslawizm jest dla nas Polaków tem samem w polityce, czem jest panteizm w porządku filozoficznym i religijnym. Dalej, w tej wielkiej chwili sejmu, dobywa całej siły swojego dzielnego pióra, żeby karcić, przekonywać, pomagać do dzieła, widzi tak jasno, sądzi tak trzeźwo, przemawia tak wymownie, że ta część jego zawodu okupuje wiele grzechów jego żywota, a jako poetę stawia go może najwyżej między współczesnymi. Wreszcie, kiedy już wszystko było skończone lub tak jak skończone, odzywa się słowem, którego u nas nigdy nadto powtarzać nie można: nie rzucajcie na innych kamieniem, boście sami nie bez winy.

Ale potem? Potem, on nie w legionach, ani w więzieniu z Kościuszką. Potem, w roku 1796, na odgłos

nowej wojny z Turcyą, pisze wiersz do księcia Repnina, a jeszcze potem, on, co tak gromił Targowicę i jej powody, osiada w Tulczynie, pisze, że „ta ziemia jest czem być powinna", a kiedyś szczęśliwą będzie pod władzą Aleksandra. On się pogodził. Zdradził? Odstąpił? Zapomniał? Wyparł się Polski? Nie; pogodził się, bo ze swojemi wyobrażeniami pogodzić się musiał. Co umarło to umarło, przepadło, skończyło się, tak mu mówiła jego nauka. Gdyby nie panslawizm, to jego uczucie polskie byłoby go ustrzegło od tej smutnej rezygnacyi, ale kiedy jedno mówiło, że Polska przepadła i nic z niej nie zostało, drugie szeptało mu, że może ona iść na posiłki ciałom innym, i odżyć w bracie „Rusinie". Panteizm filozoficzny, którego ateizm i materyalizm jest tylko odcieniem i dalszym ciągiem, i panteizm polityczny, idea panslawistyczna, złożyły się na to, żeby wydać tę ostatnią fazę w życiu i przekonaniach Trembeckiego.

Potem przez lat wiele Trembecki milczy. *Zofiówka* pisana była już w XIX wieku; jednak autor jej tak cały należy do XVIII-go, że można zadać gwałt chronologii, i tu o tym poemacie wspomnieć, żeby już później do tego przedmiotu nie wracać.

Krótko mówiąc, *Zofiówka* jest napisana wspaniałym wierszem, ma ogromne zalety formy. Ale jej treść jest czcza, a jest w niej brak zmysłu moralnego i brak zmysłu godności, który od niej koniecznie odstręczać musi.

Mógł być przyjacielem Szczęsnego Potockiego, wierzyć w jego dobre zamiary, żałować go; ale jako przyjaciel i stronnik, właśnie powinien był czuć i wiedzieć, że były w tem życiu rzeczy, które przyjaźń i przywiązanie nakazywałyby właśnie chować w milczeniu, ukrywać głęboko, a nie stawiać na widoku i oświecać fajerwerkiem przepysznych wierszy. Przyjaciel Potockiego powinien był uczuć, że o jego trzeciem ożenieniu można tylko milczeć przed światem. Ale Trembe-

cki tego nie czuje wcale. To dałoby się prędzej przecie darować, niż umieszczone na początku wiersze o Ukrainie, w których mówi on, Polak, że Cesarzowa Katarzyna wygnała barbarzyństwo, i że „ta ziemia jest tem czem być powinna". Tego już usprawiedliwić nie można.

A co do wartości poetycznej? Wiedząc jakie znaczenie ma w poezyi forma, musimy przyznać, że pod tym względem *Zofiówka* ma wartość ogromną. Jej wiersz i język jest taki, że nadałby się dla przedmiotów najwyższych i najdoskonalszych. Jeżeli wogóle język i wiersz Zofiówki jest bliższy doskonałości Pana Tadeusza, niż cokolwiek innego w naszej poezyi, to zdarzają się w niej niektóre ustępy, uderzające dziwnem podobieństwem, naprzykład, opis zwierząt, zmieniających naturę na wyspie Anti-Circe w Zofiówce, przypomina bardzo cmentarz zwierząt z Pana Tadeusza. Jedno jest mitologicznie konwencyonalne i widocznie fikcyjne, drugie, wzięte z wyobraźni ludu, wydaje się prawdopodobnem. Wierzy się prawie, że stary orzeł, „gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi, że zamknięty na wieki, już gardła nie żywi", idzie umrzeć na tym wspólnym cmentarzu; nie wierzy się tej dość niezrozumiałej allegoryi zwierząt, zmieniających naturę w Zofiówce; ale szyk, tok i brzmienie wiersza, łudzi uderzającem podobieństwem. Zresztą, nie trzeba chwalić, dość powiedzieć, że Zofiówkę spotkał największy zaszczyt jaki poemat polski mógł spotkać, a to ten, że Mickiewicz dwa wiersze z niej wyjął i żywcem włożył w „Tadeusza". W rozmowie o Włoszech przy grzybobraniu mówi Telimena:

Wy klasyczne Tyburu spadające wody!
I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!

Otóż te dwa wiersze są z Zofiówki.

Ale jeżeli od formy przejdziemy do treści, rzecz się zmieni. Pod tymi wspaniałymi pozorami niema nic.

Poemat ten jest jak robione z kartonu owoce, na pierwszy rzut oka przepyszne barwą i kształtem, ale puste, nie do jedzenia i bez smaku. Niech kto zacytuje z Zofiówki jeden ustęp, choćby tylko jeden, w którymby zawierała się myśl piękna, pociągająca, niezwyczajna? Nie wskaże go nikt, choć liczne niespodziane zwroty przeznaczone są na to, żeby pomysły takie udawały. Wreszcie, niech kto spróbuje zwyczajną prozą opowiedzieć treść Zofiówki? Po pompatycznym wstępie spotykamy Amorka, strzelającego do Szczęsnego i zalecającego mu, żeby założył ogród, potem chodzimy od groty jednej i drugiej do skały mitologicznie przezwanej Lenkatą, potem dowiadujemy się, że są jakieś pomniki na pamiątkę zmarłych dzieci, potem, że jest chłodnik Tetydy, której historyę opowiada uczony architekt Metzel, dalej łódka Charona i żegluga przez jakieś ciemne pieczary, wyspa Anti-Circe, obelisk, wreszcie, „ta bolesnem wspomnieniem rażąca mogiła", i sławna kaskada, perła i klejnot cudnego ogrodu, wszystko to wyliczone po porządku, sposobem katalogowym, przeplecione już to pochwałami na cześć Szczęsnego, już epizodami ani zajmującymi ani nawet zrozumiałymi; naprzykład co znaczy Anti-Circe, albo kto są filozofowie, rozprawiający o początku, końcu i celu człowieka? Jużciż nie Grecy to, ale zapewne jakieś tulczyńskie znajome postacie, jeden zda się sam poeta. Dla współczesnych, którzy znali ludzi i stosunki, może to było ciekawe, dla nas o tyle tylko, że z rozmowy tych filozofów odgadujemy filozofię autora.

Nie jest to żądanie niesłuszne ani przesadzone, gdy się ma przed sobą poemat opisowy, żeby on rzeczywiście coś opisał; żeby nie był tylko prostym przewodnikiem podróży po pięknym ogrodzie. Zofiówka jest tylko takim przewodnikiem. Ogród założony i nazwany z takiego a takiego powodu, jest w nim grota, obelisk, kaskada i wiele innych pięknych rzeczy, gościu zobacz to wszystko, nie zapomnij przejechać się w ło-

dzi Charona, a potem pamiętaj, że właściciel tego zaczarowanego ogrodu jest bardzo wielki pan, a jego żona najpiękniejsza z kobiet. Oto wszystko. Czy ten poemat opisowy opisuje cokolwiek? Zofiówka jest najlepszym dowodem, że przy całym swoim talencie i przy całem mistrzostwie formy jakie posiadał, nie miał ani tej wyobraźni, ani tego uczucia natury, bez których poemat opisowy obejść się nie może. Tak więc pod względem poetycznym grzeszy Zofiówka treścią skąpą i suchą, pod względem moralnym podchlebstwem trudnem do uniewinnienia, a ta piękna forma, przy tej treści ubogiej, a w części rażącej, sprawia, że cała jest „podobna do owoców umarłego morza, pod których śliczną barwą podróżny widzi nektar, znajduje popioły".

Musiały jednak pod koniec życia lepsze uczucia wziąć górę, musiały wypadki z czasem i stopniowo sprawić wielkie w jego duszy rozdarcie, kiedy swoje ostatnie lata przeżył, i on także, w melancholii; a ten koniec podnosi go i ratuje.

Jest to w każdym razie jeden z najciekawszych i najbardziej nauczających typów swego wieku. Obdarzony jak może żaden ze współczesnych poetów, jeden z mistrzów polskiego słowa, jest zarazem wyobrazicielem upadku polskiego ducha. Można sobie zadawać pytanie, czemby był ten człowiek ze swoim talentem, ze swoim rozumem, gdyby był w całości zachował wrodzoną szlachetność.

On pisze tak, że obok niego sam Krasicki blednie i wydaje się, jak gdyby niezupełnie pewnym i wprawnym w swoim wierszu; a kiedy się go czyta, myśli się nie o współczesnych i otaczających poetach, ale o lepszych i wyższych, bo nieporównana doskonałość tego języka i wiersza przypomina dźwiękiem wiersz Mickiewicza. O Trembeckim mogli mówić poeci Stanisławowscy to, co raz Krasiński powiedział o Słowackim: „Niech go djabli wezmą! Kto po nim potrafi pisać wier-

sze?" Ale cóż po tem, kiedy myśl jego, treść, zawarta w tych przepysznych wierszach, zbyt często razi, a nawet oburza tego, kogo zachwyciła forma.

Cóż to jest ten człowiek? Jak go określić? Kiedy się czyta ustęp ten, lub tysiąc podobnych, rzekłoby się, że to pospolity podchlebca, gotów wynosić pod niebiosa każdego, kto płaci. A że potem lub przedtem z tych samych ludzi i z tych samych dzieł, które wysławiał, szydzi i smaga je bez miłosierdzia, to nic nie znaczy: ludzie tego rodzaju umieją pisać wszystko, i tem godniejsi wzgardy, że są na usługi i cnoty i zbrodni. Ktoby więc znał tylko takie z Trembeckiego ustępy, łatwo doszedłby do pewnego o nim zdania; osądziłby, że ten talent ogromny, ten wierszopis, jakiemu równych niewielu, był człowiekiem, dla którego nie można mieć nic prócz wzgardy, a jego poezya to wspaniały kościół, w którym niema Boga, a nawet gorzej niż gdyby go nie było, bo na ołtarzach stoją bogi fałszywe.

Ale kiedy z oburzeniem chce się książkę rzucić, natrafia się na co innego znowu. Cnota, godność, honor, miłość ojczyzny, żałość z jej upadku, gniew na tych, którzy się do upadku tego przyczynili, i to jest w Trembeckim; a więc cóż jest prawdą? Co jest jego rzetelną myślą i szczerem uczuciem? Zkąd się biorą rzeczy dobre, rozumne i szlachetne obok podłych? Jak w tym samym kościele może mieszkać Bóg prawdziwy obok fałszywych, jak jeden i ten sam człowiek może służyć jednemu i drugim?

Jest to jeden z ludzi, których pojąć najtrudniej, ślizki jak wąż, zmieniający barwę jak kameleon. Chciałoby się raz schwycić go dobrze, zatrzymać go dłużej pod jednem światłem, żeby go dobrze obejrzeć i osądzić; próżna praca: zawsze on się wyśliźnie i co chwila ukaże się innym. Przed chwilą sławił Cesarzową Katarzynę, mówił, że Repnin łagodnością i sprawiedliwością osładza los zabranych krajów, że Polacy są przy-

sposobionemi dziećmi Rosyi: za chwilę powie, że niema dla niego nic świętego prócz ludzi Czteroletniego Sejmu, a jeszcze za chwilę, że ich błędy spowodowały sejm Grodzieński. Raz mówi o upadku ojczyzny, jak piękniej trudno, drugi raz wyznaje rezygnacyę w formie oburzającej; naprzemian szlachetny i nikczemny, nieraz jedno i drugie razem w tym samym wierszu, zmienia się nie pod tym tylko względem: i ludzie także są mu raz czarni, raz biali. Wzdycha za Fernejskiem powietrzem, na wskroś przesiąkły jego miazmami, prowadzi najotwarciej i najdowcipniej z współczesnych w całej Polsce podjazdową wojnę z chrześcijaństwem

> niektórzy za grunt wiary po świecie roznieśli,
> co się niegdyś przyśniło Józefowi cieśli,

a obok tego naucza biskupa Rybińskiego obowiązków apostolskiego urzędu. Słowem, człowiek uczuć najsprzeczniejszych i niedających się pogodzić, człowiek, dla którego albo wszystko po kolei było prawdą, albo nic nią nigdy nie było.

W duszy Trembeckiego było rozprzężenie, niepewność; była ona Panteonem, w którym mieściły się uczucia nie złe i dobre jak w każdym człowieku, ale wprost się wyłączające, hołd dla Trzeciego Maja i dla Targowicy, patryotyzm i odstępstwo, najzdrowszy głos sumienia i najwyuzdańszy cynizm, było tam wszystko. Są tam atomy Polaka i obywatela, są atomy godności, oburzenia, dobrej rady, są obok nich atomy dworaka i podchlebcy, epikurejczyka dbałego tylko o używanie życia, są atomy moralnej powagi i ostatniego zepsucia, i wypływają na wierzch to jedne to drugie, a ani jedne ani drugie nigdy nie biorą góry, nie skupiają się, nie składają nic stałego. Dla czego? Bo nie pomógł im do tego, nie rozdzielił ich od siebie zmysł moralny. Tego Trembecki nie miał; gdyby był miał, nie byłby

użył pióra na wysławianie skandalicznego „Hymenu z Zofią”, nie byłby marzył o tem, że po zawojowaniu Turcyi, hasać będzie w haremach z odaliskami, nie byłby wreszcie tak namawiał do rezygnacyi i zgody.

Ale zkądże byłby się u niego wziął ten zmysł moralny? Jest on najsławniejszym i najzdolniejszym, a zarazem może najzupełniejszym reprezentantem ówczesnych pojęć filozoficznych francuskich, a wiadomo jak przyśpieszonym ruchem spadały one coraz niżej. Voltaire miał jeszcze jakiekolwiek uczucie i pojęcie istoty ludzkiej, jako duszy i jej godności, ale następcy niebawem w logicznej konsekwencyi rozpoczętego dzieła prześcignęli mistrza; po Voltairze wystąpił Holbach, Lamettrie, Diderot zwłaszcza, a treścią ich doktryny była negacya duszy. Voltaire wydaje się nowym filozofom głupcem albo hypokrytą, a w miejscu jego deizmu występuje najczystszy ateizm, a za nim zaprzeczenie wszelkich praw moralnych, zaprzeczenie woli i odpowiedzialności, dobrego i złego, zaprzeczenie wszelkiego duchowego pierwiastku, a wreszcie dawne hypotezy filozofów greckich o wiecznej sile i wiecznej materyi, które, działając wzajemnie na siebie, składają świat widzialny; człowiek jest jedną z tych przypadkowych i nieświadomych kombinacyj. Trembecki, choć wielbi Voltaira i pragnie oddychać Fernejskiem powietrzem, należy do tej szkoły, nie zaś do wyznawców Voltairowskiego deizmu. A skoro tylko człowiek jest przypadkową i nieświadomą kombinacyą chemicznych pierwiastków, skoro jego życie nie zależy od jego woli, skoro ani winy, ani zasługi, ani odpowiedzialności miec nie może, bo jego uczynki zależą od stosunku chemicznych pierwiastków, składających jego mózg — i skoro jedynem jego prawem i jedynym celem jest, żeby mu było dobrze: wtedy oczywiście każda polityka zrobiła, co była powinna, i można ją bez wahania chwalić, wtedy związek małżeński, miłość, jest przesądem, prawdą—używanie. Wtedy, w porządku politycznym jak w fizy-

cznym, z rozłożonego ciała tworzy się inne, cząstki gnijące pójdą na posiłki nowym istotom, nowym państwom. Tak być musi, inaczej być nie może,

> tak na świecie najwyższej mądrości układem
> nic przypadkiem, porządnym wszystko idzie ładem.

Szkoda zapewne, żeśmy do tego doszli, szkoda żeśmy byli głupi i nie ratowali się, ale kiedyśmy już na to przyszli, więc godźmy się z losem, idźmy na posiłki obcym ciałom i w nich odżyjmy. Co jest w Trembeckim wstrętnego i oburzającego, to tylko tym sposobem da się wytłómaczyć.

Jednak nie zawsze on był takim. Zofiówka jest jego dziełem ostatniem, a w dawniejszych, choć jego honor i patryotyzm na różnych okazują się szczeblach, to na tym najniższym nie stoją, tylko powoli, naturalnie, logicznym, a prawie koniecznym postępem, schodzą one do tego upadku. Głównym czynnikiem tego smutnego moralnego procesu jest jego filozoficzny materyalizm; z tego wyniknął w jego wyobrażeniach politycznych panslawizm. Materyalny związek plemienia i pochodzenia znaczył u niego więcej, niż historyczny i moralny antagonizm; strona duchowa natury i życia narodów, była dla niego martwą literą, rzeczą nie istniejącą. W dalszej konsekwencyi i w następstwie czasu, z tego samego źródła wynikła rezygnacya na los Polski; organizm rozłożony złożyć się na nowo nie może, musi przejść w inny—mówiła mu jego filozofia. Taki przebieg pojęć politycznych, jest charakterystycznym, ale naturalnym skutkiem tych pojęć filozoficznych, i warto jest zważyć i zapamiętać, że ten sam człowiek, który był u nas w wieku XVIII najwyraźniejszym, najbardziej stanowczym *pozytywistą*, był i pierwszym w Polsce *panslawistą* i jedynym, pomiędzy znanemi ludźmi tego wieku, na rozbiory zupełnie zrezygnowanym, przyjmującym je spokojnie, filozoficznie,

jak rzecz zupełnie naturalną, której się poddać trzeba. Takiej zgody z przeznaczeniem nie widać u żadnego z współczesnych; sami sprawcy i naczelnicy konfederacyi Targowickiej na rozbiór się nie godzili i resztę życia spędzili w smutku i zgryzocie. Ale człowiek, który Polskę, równie jak jednostkę ludzką pojmował tylko jako fizyczny organizm, musiał z góry na to się przygotować i rezygnować, że organizm taki raz rozłożyć się i umrzeć musi.

Jest też z tego powodu Trembecki ciekawem świadectwem swego czasu, jest najświetniejszym i najbardziej nauczającym przykładem ówczesnego materyalizmu francuskiego, przeniesionego na grunt polski.

A obok tego i pomimo tego, ten człowiek, którego szanować nie można, którym chciałoby się prawie gardzić, jest dziwnie pociągający. Naprzód pisze jak żaden, a powtóre przebija w jego pismach dusza niepospolita, rozum zdrowy i jasny, odwaga, śmiałość, coś męskiego i dzielnego w uczuciach, w pojęciach, w słowie; taka przytem fantazya i werwa, życie tak tryska z każdego wiersza, oburzenie tak silne, dowcip tak trafny i ostry, że mimowolnie ulega się wpływowi tego czaru zamkniętego w jego pismach. Wszystko, co napisze, jest doskonałe; człowieka można ganić nieraz, poety niema o co zaczepić i dla poety przebacza się wiele człowiekowi. Może i dlatego także, że pod ostatniemi latami jego życia, pod tą zdziecinniałością, tem życiem samotnem i dziwacznem z wróblami, a zdala od ludzi, w tem prawie obłąkaniu, domyślamy się cierpienia, smutku, żalu, i widzimy w nich zadośćuczynienie za dawne winy, smutne zwycięstwo tej duszy, której szczęśliwy nie uznawał, a która dowiodła mu się cierpieniem.

Trembecki z godnością i wzniosłością moralną byłby zapewne jedną z wielkich postaci naszej historyi; Trembecki, zwarzony zabijającym dusznym po-

wiewem tego powietrza, w którem dusza ludzka żyć nie może, jest w skali ówczesnych uczuć narodu reprezentantem najsmutniejszego tonu, rezygnacyi — podobny do owoców umarłego morza, pod których śliczną barwą kryją się popioły, tylko w tych popiołach, jak gdyby na ich okupienie, zostało kilka ziarn zdrowej prawdy i dobrego uczucia, i kilka pereł poezyi.

II.

Paszkwile. Teatr. Bogusławski we Lwowie. Hamlet. Sztuki oryginalne. Teorye poezyi. Dmochowski. Józef Szymanowski.

Pamflety i paszkwile cichną także; dlatego zapewne, że pod cenzurą drukować się nie mogą. Chwila Kościuszkowskiej wojny zapisała się kilkoma ulotnemi wierszami na cześć Kościuszki, ale ani zapał ani nadzieja nie umiały przelać się w wiersz.

Teatr także od roku 1792 stał coraz słabiej. Cenzura ówczesnego rządu, po akcesie króla do konfederacyi Targowickiej, robiła mu wiele trudności i przykrości. Z wybuchem Kościuszkowskiego powstania zamknął się teatr w Warszawie; widzowie, a nawet aktorowie, mieli co innego do roboty. Po zdobyciu Pragi tem mniej mógł teatr spodziewać się powodzenia. Jednak rozproszeni aktorowie musieli żyć, a żeby żyć, musieli grać. Następuje kilkoletni pobyt Bogusławskiego we Lwowie.

Naturalnie nie obeszło się bez kłopotów. Naprzód na komorze zatrzymano wszystkie jego przybory, i dopiero po długim czasie i wielu staraniach, wyrobił sobie, że mu je bez cła wydano. Potem, musiał się grubo opłacać teatrowi niemieckiemu, który protegowany i wspomagany subwencyami przez rząd, był w posiadaniu budynku teatralnego. Za opłatą trzeciej części dochodu, ustąpiono mu trzech dni w tygodniu, które

potem zredukowano na jeden. Funduszów nie miał także, i nie byłby mógł zebrać aktorów i zacząć przedstawień, gdyby nie hojna pożyczka, jaką dostał od pisarza Rzewuskiego. Mimo to, wszystko, jemu wiodło się dość szczęśliwie, a niemieckiemu przesiębiorcy Bulli tak źle, że nie mogąc poradzić sobie inaczej, sam prosił Bogusławskiego iżby popłaciwszy jego długi, wziął przedsiębiorstwo i niemieckiego teatru także, którego sam został dyrektorem. Tak się i stało, i zrazu wiodło się doskonale. W zimie grywano w teatrze urzędowym, w dawnym kościele Franciszkańskim, w lecie znaczne zyski przynosił amfiteatr pod gołem niebem, który Bogusławski zbudował w ogrodzie Jabłonowskich i który w swoich wspomnieniach opisuje *con amore*. Oprócz Truskolaskich i Hempińskiego, którzy zostali w Warszawie, miał wszystkich prawie lepszych swoich aktorów. Dawał z nimi, trudno uwierzyć, opery Paesiella i Cimarosy, sam pisywał libreta do innych, których muzykę pisywał Elsner, pisywał melodramy, komedye, *Spazmy Modne* naprzykład. Wreszcie tu we Lwowie w roku 1797, ukazał się po raz pierwszy na scenie polskiej *Hamlet*.

Hamlet ten, nie jest bardzo podobny do Hamleta, jak my go znany. Jest niby wszystko to samo, i duch ojca, i udane szaleństwo syna, i scena w teatrze, i zabójstwo Poloniusza, i obłąkanie Ofelii; są wszystkie prawie największe chwile roli Hamleta, pierwszy monolog „Być albo nie być”, modlitwa króla, rozmowa z matką, a jednak, poznać Hamleta nie można. Po części może dlatego, że tłómaczony nie z oryginału, ale z tłómaczeń, i tłómaczony cały prozą, stracił swój koloryt ponury i patetyczny, siłę wyrażeń, głębokość myśli, zmalał, spowszedniał.

Niemiecki tłómacz i aktor Schröder w swojem przerobieniu Hamleta, z piątego aktu zostawił tylko ostatnią scenę i to zupełnie odmienną, a cztery pierwsze rozciągnął na pięć, wyrzucając niektóre rzeczy

tak niepotrzebne i niedorzeczne, jak rozmowa z aktorami naprzykład i monolog o Hekubie. Nadto jeszcze, nie mówiąc już o dziecinnych i niczem nieusprawiedliwionych zmianach w nazwiskach (Poloniusz nazywa się Oldenholm, Horatio Gustaw), zmienił zupełnie całe rozwiązanie sztuki. Pojedynku Hamleta z Laertesem niema wcale (Bogusławski w swoich uwagach nad Hamletem mówi słusznie, że król nie mógł zdawać swojego planu na niepewny los oręża, że Laertes mógł Hamleta nie ranić, Hamlet nie wydrzeć jego szpady. istotnie ta zmiana szpad jest jedną z rzeczy najgorzej wymyślonych w sztuce). Zostaje więc tylko puhar z trucizną, przygotowany przez króla dla Hamleta, z którego przypadkiem pije królowa, Hamlet zaś widząc jej śmierć i dowiedziawszy się o zdradzie króla, przebija go szpadą. Sam żyje i króluje w Danii.

Bogusławski zapewnia w swoich uwagach, że tragedya zyskała bardzo wiele na tych odmianach. Naprzód zbliżyła się bardzo do prawideł doskonałości; z wyjątkiem jednej tylko jedności czasu, gdyż akcya trwa nie 24 ale 30 godzin (jak on to wyrachował?!), nadewszystko zaś zyskała na tem moralność, bo winni odnieśli zasłużoną karę, a niewinny Hamlet i Laertes zostali przy życiu.

Spazmy Modne, komedya przez Bogusławskiego oryginalnie napisana (jednak nie bez pomocy włoskiej, jednoaktowej komedyi Albergatego), i *Izkahar król Guaxary*, to podobno jedyne nabytki naszej literatury dramatycznej z owych lat. Ów *Izkahar* jest ciekawy przez to, że pod figurą Indyan, ujarzmionych przez Hiszpanów, mówi o innych przemocach i uciskach. W roku 1799 kończył się kontrakt Bogusławskiego we Lwowie; pani Truskolaska, owdowiała, wzywała jego pomocy do prowadzenia teatru w Warszawie. Wrócił więc w samym końcu XVIII wieku tam, gdzie swój zawód zaczął, i gdzie go miał skończyć.

Co się mnożyć zaczyna, nie w tych ostatnich la-

tach tylko, ale w tym czasie, to literackie teorye. Dotąd były tylko *Zabawy wierszopiskie* hetmana Rzewuskiego. Teraz ksiądz Golański, nawet czcigodny ksiądz Piramowicz, piszą takie nauki Stylu i Wymowy, poprzednicy Stanisława Potockiego. Najlepszym wyrazem tego kierunku jest Dmochowskiego *Sztuka Rymotwórcza.* Dmochowski miał wielką sławę u współczesnych, i miał tę zasługę, że pracował wiele, a pisał jak rozumiał najlepiej, tylko nie całkiem dobrze rozumiał. Jego tłómaczenie Iliady (czy z greckiego tekstu? Posądzałbym, że z francuskiej prozy pani Dacier, w polskie wiersze przelane), jest poprawne co do języka; ale to Homer do siebie niepodobny wcale, wygląda jak jaki przełożony francuski poemat. Wyjątki z Miltona, szkoda że nieliczne, wypadły o wiele lepiej.

Sztuka Rymotwórcza jest jedynem dziełem oryginalnem szanownego tłómacza.

Jak w ziarnie drzewo, tak w tym poemacie zawiera się wszystko, co myśleli i napisali literaci następnej epoki, Osiński, Euzebiusz Słowacki etc., a wszyscy poeci podług tego tworzyli; znać Dmochowskiego w każdym dramacie Wężyka, w każdym wierszu Koźmiana.

Sztuka Rymotwórcza jest poematem, jak List do Pizonów i *Art poètique.* Autor sam powiada otwarcie, że ich wzorem rzecz swoją ułożył. Jest to więc trzecie odbicie Horacyusza; a więcej odbicie Boileau. Wszystko co Horacy powiedział swoim sposobem zwięzłym, lekkim i wesołym, wszystko tu jest; myśli, pojęcia te same, nieraz całe ustępy nie tłómaczone, ale żywcem kopiowane, tylko List do Pizonów, urosł w poemat, o czterech pieśniach. Tak jak Boileau trzymał się ściśle Horacego i nie powiedział nic, czego tamten nie powiedział przed nim, tylko pododawał uwagi i wiadomości o poezyi nowożytnej (a raczej francuskiej), i to tylko jest prawdziwie jego, o czem tamten wiedzieć nie mógł, tak Dmochowski ma się do Boileau. Powta-

rza za nim wszystko z dodatkiem tylko tego, czego tamten nie wiedział i nie potrzebował, to jest mówi o poetach polskich, i właściwie znowu tylko to jest jego własnem. Tak jak są spolszczone powieści albo komedye, w których rzecz dzieje się w Warszawie zamiast w Paryżu, a zamiast markizy jest kasztelanowa, zamiast Lizetki Agatka, a zresztą rzecz zostaje ta sama, tak samo Sztuka Rymotwórcza jest takiem spolszczeniem *Art poétique*. Gdzie tam Malherbe albo Racin tu nazwany jest Kochanowski albo Szymonowicz, to cała różnica.

Sztuka Rymotwórcza jako trzecia kopia rzeczy już błędnej, pięknej tylko formą, nie może mieć wielkiej wartości. Nie równając jej z Listem do Pizonów, nie ma nawet tej szczypty soli attyckiej, która przecież zaprawia trochę suchy kodeks astetyczny Boileau. Ale jest rzecz przyzwoita, rozsądna, w swoim rodzaju (jeżeli już ten rodzaj być musiał) porządnie napisana, a pod względem panujących podówczas wyobrażeń tak charakterystyczna, tak wiernie formułująca ówczesną estetyczną dogmatykę ze wszystkimi jej błędami, że chcąc tę epokę znać, trzeba poznać i ją.

Jeszcze jeden poeta, którego poznać trzeba, zanim się skończy z poezyą tej epoki, poeta, literat, estetyk, krytyk, wielki prawodawca smaku, Mojżesz, który z fałszywego Synaju zniósł tablice fałszywych przykazań, ten, który pchnął literaturę w ten pedantyczny naśladowniczy kierunek, który pierwszy sformułował prawidła fałszywo pojętego smaku, tego smaku, który ciężył jak zmora na piersiach literatury Księstwa Warszawskiego, tym pedantem, tym prawodawcą, tym Mojżeszem fałszywego zakonu jest Józef Szymanowski.

Stanisław Potocki, książę Wymowy, w pochwale Szymanowskiego, czytanej na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, tyle tylko o nim mówi:

„Czuł Szymanowski, że nieśmiertelność jest doskonałości podziałem, wzgardził łatwą miernością, a bite

rzucając manowce, śmiał trudną, lecz niechybną iść ku chwale drogą. Obdarzył, zbogacił, dopełnił język ojczysty, otworzył nowe pola literaturze ojczystej, a bystrym geniuszu lotem uniesiony, dosięgnął szczytu wynalazku swego. Ta jest tak właściwa, tak osobna Szymanowskiego chwała, że nikt z nim dzielić jej nawet nie może".

Cóż to za nieznany nam twórczy i bystry geniusz? Co za Göthe polski, który porzucił bite manowce? Co za drugi Kochanowski, który stworzył język i otworzył nowe pola przed literaturą? Cóż on zrobił? co? Przetłómaczył *Świątynię Wenery w Knidos.*

„*Świątynia Wenery w Knidos*—mówi znowu Stanisław Potocki — stanowi epokę w literaturze polskiej, jeśli dzieła nie z ich ogromu, lecz z doskonałości i toku cenić należy" i t. d. A więc to Götz i Egmont literatury polskiej, stanowiący epokę i robiący rewolucyę w świecie, albo co najmniej Harold lub Wallenrod, robiący ją w literaturze jednego kraju? Nie, tem dziełem stanowiącem epokę, z którem żadne inne równać się nie może, tym nowym horyzontem poezyi, tą nową drogą, na którą wchodzi śmiały geniusz, gardzący ubitym gościńcem—tem dziełem jest tłómaczenie najnędzniejszego ze wszystkich nędznych, oklepanych, konwencyonalnych, z grecka sielankowo-sentymentalnych poematów XVIII wieku!

Najwięksi ludzie mają swoje słabości; dowodzi tego ta *Świątynia Wenery.* Wielki autor *Ducha Praw*, obok Macchiavella najgenialniejszy pisarz polityczny chrześcijańskiej ery, dowcipny autor *Listów perskich*, popełnił poemat mdły i ckliwy, bez duszy, bez myśli, bez treści, bez talentu. Dowodzi on jeszcze czegoś nadto, to jest najgłębszej i najgrubszej u nas nieznajomości greckiego świata i jego literatury. Monteskiusz w przedmowie do tego nieszczęsnego poematu pisze, że przełożył go prozą z nieznanego greckiego poematu; musiały znane poematy greckie być we Francyi zupełnie

nieznane i nierozumiane, jeżeli to naiwne a śmiałe zmyślenie mogło mieć nadzieję, że kogokolwiek złudzi choć na chwilę. Tłómacz, nasz Szymanowski, ten wielki znawca, kapłan smaku, dał się złudzić zupełnie i w przedmowie do swego przekładu mówi, że „dzieło to do tego punktu zdaje się mieć wartość oryginału, iż trzeba ślepo ostrzeżeniu samego Montesquieu wierzyć, żeby wziąć je za tłómaczenie".

Wierzę, że ma wartość oryginału, bo nim jest! Ale przy najśredniejszym stanie nauk klasycznych, przy najpowierzchowniejszej znajomości choćby tylko kilku wierszy któregobądź z Greków, i tłómacz i jego wielbiciele byliby poznali, że to francuski oryginał; a że taki areopag literacki jak Towarzystwo Przyjaciół Nauk, że taki literat jak Szymanowski, taki Mecenas jak Stanisław Potocki na tem się nie poznali, to dowodzi tylko, że wszyscy byli klasykami bez pojęcia o cechach i duchu poezyi klasycznej, a mianowicie jej szczytu, poezyi greckiej.

Cóż to bowiem jest ta Wenera w Knidos? Oto zbiór idylliczno-ckliwych, sztucznych, fałszywych, manierowanych, wyrafinowanych sentymentów manierowanego francuskiego świata, tak podobnych do greckiej prostoty i natury, jak pasterka z sewrskiej porcelany do Wenery Milońskiej. Każde słowo, każda myśl, każde uczucie, oprócz tego, że oklepane i pospolite, jest manierowane i sztuczne, a z połączenia tej francuskiej maniery z tymi greckimi pozorami powstaje sprzeczność tak rażąca, tak uderzająca, tak niecierpliwiąca i tak śmieszna, że owo dzieło stanowiące epokę, jest jedną z kompletniejszych karykatur, jakie posiadamy w naszej literaturze, a naiwność tłómacza, który ten fabrykat bierze za rzecz klasyczną, naiwne uwielbienie naszych Arystarchów dla tego nieśmiertelnego wzoru wszech doskonałości, jest prawdziwie epizodem komicznym w historyi literatury.

*

Jakie to greckie, niech świadczy treść, więcej dowodów nie trzeba.

W pierwszej pieśni opis Knidu i świątyni, z tym charakterystycznym dodatkiem, że gdzieindziej ludzie pod pozorem czci ubliżają Wenerze, hołdując zmysłowej rozkoszy, ale w Knidos chce ona być czczoną samą tylko tkliwością czystych zapałów, i dlatego woli to miejsce niż Paphos i niż Cytherę. Jakie to greckie pojęcia i jak Afrodite poznałaby się w tym pięknym rysie charakteru?

W pieśni drugiej wchodzą do świątyni i proszą bogini o ratunek zakochani wszelkiego rodzaju: płochych, niestałych, lubieżnych karci wyrocznia bogini z przykładną surowością; łaskawie przyjmuje tylko czułych, tkliwych i wiernych, Arysta zakochanego w Kamilli i bezimiennego młodzieńca zakochanego w Temirze, który to wszystko opowiada (bo cały poemat jest opowiadaniem).

W trzeciej opis kobiet pielgrzymujących z różnych stron świata do świątyni, pomiędzy wszystkiemi wdziękiem i skromnością odznaczają się kobiety knidyjskie.

Potem dopiero spotyka opowiadający młodzieniec w gaju bogini Arysta, z którym wzajemnie czują do siebie pociąg, zawiązują przyjaźń i opowiadają wzajemnie koleje życia. Jeden rodził się w Sybaris, ale szlachetna dusza nie mogła znieść tej miękkości i zepsucia, pragnęła wyższej i piękniejszej miłości. Opuścił tedy rodzinne miasto i szukał tej miłości po świecie; wreszcie szczęśliwe losy zaprowadziły go do Knidu, gdzie ujrzał Temirę i odtąd już więcej nie szuka. Historya Arysta taka sama, z tą różnicą, że nie potrzebował swojej Kamilli daleko szukać, bo oboje byli z Knidos, stanowi treść pieśni piątej. W szóstej dwaj przyjaciele zabłądzili w gaj zazdrości, gdzie ich opadły straszne podejrzenia o Kamilli i Temirze, w siód-

mej z tego gaju wyszli, znaleźli obie czułemi i wiernemi jak przedtem, i na tem koniec.

Tej treści, tak okropnie czczej i skąpej, odpowiada wykonanie najbledsze i najnieudolniejsze. Że człowiek gienialny miał raz w życiu chwilę słabości i ten poemat popełnił, to mniejsza. Nie każdemu dano być poetą, a każdy człowiek jest ułomny; ale że się znalazł drugi, który to tłómaczył, i trzeci rozumny, który się nad oboma unosił i wszystkim unosić kazał, to jest trudniejsze do zrozumienia. Stanisław Potocki pyta w swojej pochwale: „Kto w tym poemacie znajdzie wiersz słaby, wyraz nie już podły, lecz nieprzyzwoity, nadętość, twardość, brak smaku, niech niedbałość okaże. Co do delikatnego i czułego toku jest ten wiersz w swoim rodzaju jedynym, a język pod piórem Szymanowskiego nabrał wdzięku delikatnej czułości, która się w nim prawie niepodobną zdawała". Doprawdy! A jabym powiedział: Konia z rzędem temu, kto pod tą mniemaną delikatnością i doskonałością wiersza, znajdzie jedną najmniejszą iskierkę czucia, myśli, duszy, fantazyi, twórczości, życia! Niema jej ani jednej, ani najmniejszej, a to, że ta rzecz mogła choć na chwilę uchodzić za dobrą, to dowodzi tylko, że ci ludzie zeszli już podówczas na tę drogę fatalną, na której poezya staje się dźwiękiem bez treści, że nie szukali w niej już niczego więcej prócz gładkiego i potoczystego wiersza, a braku natchnienia, uczucia, fantazyi, myśli, braku ducha, nawet uczuć już nie byli zdolni, a ta pedantyczna, niewolnicza zewnętrzna poprawność była dla nich całem zadaniem poezyi, całym jej wdziękiem i pięknością.

A czy ta przynajmniej jest u Szymanowskiego? Nie—i wcale nie. Jest trwożliwe, bojaźliwe, przesadne i frymuśne unikanie wszystkiego, co mu się wydaje trywialnem lub gminnem, ale niema ani pięknego wiersza, ani nawet dobrego języka. Co do wiersza, nikt tak sobie nie pobłaża i nie nadużywa rymów miękkich i łatwych, z imiesłowów, z podobnych zakończeń czaso-

wników lub z rzeczowników z czasownika zrobionych, jak ten mniemany mistrz formy, którego wiersz nawet z wierszem Węgierskiego albo Zabłockiego równać się nie może, cóż dopiero z Trembeckim lub Krasickim. A co do języka, ten język delikatny i czuły jest naprzód śmieszny przez swoją nieśmiałość, niepewność i przesadną wykwintność; jest on jak chód człowieka afektowanego, który w nowych i świecących bucikach chodzi po błocie i z gracyą wybiera nogą suche miejsca i sterczące kamyczki. Unika wyrazów podłych i nieprzyzwoitych? Być może — ale też wpada w coś gorszego, w epitety doskonałe w mowie potocznej lub w prozie, ale w poezyi prozaiczne, i one to nadają jego wierszom ten pozór, ten kolor blady, bezbarwny i ten ton nizki i poziomy. Wreszcie może co do „delikatnego i czułego toku wiersza nikt mu nigdy nie zrównał”, ale oprócz tego, że słów dobierać nie umie i ich odcienia nie rozeznaje, nie umie nawet gramatyki i składni, i pod tym względem nietylko mu zrówna, ale go przewyższy każdy człowiek, który wie, że przeczenie w języku polskim rządzi drugim przypadkiem.

Ale ma smak! Ten smak fałszywy, polegający na pewnej liczbie policyjnych przepisów dla literatury, określający, co wolno, a czego nie wolno, a określający to źle, bo podług niego wolno było poecie obejść się bez duszy, bez uczucia, bez wyobraźni, a to co napisał było dobrem, jeżeli było gładkiem, potoczystem i nie miało wyrażeń gminnych; ten nieszczęsny smak, który za Księstwa Warszawskiego sparaliżował niejeden prawdziwy talent, i tak wreszcie na siebie wszystkich oburzył, że później odmawialiśmy nawet prawdziwemu smakowi wszelkich praw i słuszności; smak, który u nas został w pamięci takiem straszydłem w literaturze, jak u Niemców Zopf, ten smak ma swoją naukę, swoją teoryę, a jego pierwszym kodyfikatorem jest właśnie nasz Szymanowski. Napisał on dwa *Listy o Gu-*

ście czyli Smaku; nic lepiej od tych listów nie charakteryzuje tej ciasnoty, tej opłakanej konwencyonalności pojęć, tego pedantyzmu, który stał się klęską poezyi naszego wieku aż do Mickiewicza.

Zapytuje więc Szymanowski, co jest gust dobry i jakim sposobem psuje się i doskonali? A na te pytania odpowiada w dwóch listach. „Smak więc jest to ten sentyment, który w nas wznieca piękność lub szpetność, doskonałość lub wada dzieł umiejętności lub sztuk wyzwolonych". Takim sposobem byłby smak wrażeniem, odniesionem z przedmiotu, nie zaś zmysłem i uczuciem piękności. Ale mniejsza o to; zobaczmy, na czem się on zasadza i jakim być powinien. Otóż smak zasadza się na trzech przymiotach, którymi są: czułość, delikatność i trafność. Pierwsza sprawia, że staramy się w piśmie chwytać te piękności, które tkliwym duszom podobać się mogą; delikatność doskonale zna wzory, gardzi powszedniemi ozdobami, nowości szuka, niewolniczą brzydzi się kopią, słowem, te tylko lubi czytać i pisać dzieła, które doskonałą pięknością umysł w zachwyceniu utrzymywać potrafią. Trafność wreszcie sądzi o dziele w niechybną miarę jego wartości.

Co to wszystko znaczy? Co się tkliwym duszom podobać może, a co nie? Które dusze są tkliwe? Na czem polega ta doskonała piękność, która umysł zachwycić potrafi? Wreszcie, jak trafność dochodzi do tego, żeby sądziła dzieło podług jego wartości? Co znaczą te ogólniki płytkie, a w których jednak gruntu domacać się nie można, bo go niema? Więc piękność nie jest rzeczą istniejącą sama przez się, nie ma swojej prawdy i swoich praw, tylko jest pięknością o tyle, o ile się tkliwym duszom podoba, i do ich upodobania ma się stosować? Jakiż areopag sądzi tę tkliwość i powie poecie lub artyście, do czyjej to tkliwości i czyjego upodobania ma dzieło swoje przykrawać? Po tej bezmyślnej i niedorzecznej definicyi następuje opisanie funk-

cyi smaku, a w drugim liście sposoby, jakimi można smak nabyć, wykształcić go lub zepsuć.

Otóż sposób nabycia jest ten: każdy człowiek obdarzony jest czułością, znajomość dzieł doskonałych osłabia tę czułość, ale za to wyostrza delikatność tak, że z tą znajomością każdy, kto pisze, przymierzać będzie swoje dzieło do ulubionego wzoru i podług tego je sądzić. A cóż robił ten pierwszy, który się nie miał z kim porównać? Homer lub Eschyl? Ci nie mieli się w co wpatrywać, a jednak Iliada i Oresteja nie są bez zalet. Podług tej teoryi wszelkie tworzenie byłoby tylko naśladowaniem; po za naśladowaniem niema ani podstawy ani sfery dla poezyi i tworzenia; naśladowanie jest podniesione do godności zasady.

Dalej następują największe grzechy przeciw smakowi, które nigdy w tem ani w przyszłem życiu odpuszczone być nie mogą, jak „podły albo przykry dla ucha wyraz, myśl podła umieszczona obok górnej". W rodzaju dramatycznym, a zwłaszcza komicznym: 1. Żeby żart był z konceptem. 2. Żeby żart, choć z konceptem, był odrzucony, skoro jest nieprzystojnym. 3. Żeby był przyzwoicie mieszczonym w tych ustach, z których wychodzi. Wreszcie, sposoby wyrobienia smaku, którymi są: „częste ze znającymi świat ludźmi posiedzenia i obcowanie z tą płcią, w której chęć podobania się najprzyjemniejszymi wsparta jest przymiotami".

Otóż estetyka, oto teorya piękności, której cała mądrość w przesiewaniu przez przetak słów górnych i podłych, przed którą nie ostałby się ani jeden poeta od Homera aż do Göthego, z wyjątkiem przyzwoitego i wymuskanego Delilla i Szymanowskiego. Temu trzeba oddać sprawiedliwość, że czyni, jak naucza i swój ideał doskonale realizuje; to wymuskanie, tę konwencyonalność poprawną i przyzwoitą, do której się redukuje podług jego pojęcia smak, czułość, delikatność

i trafność, tę posiada. W jego oryginalnych wierszach, których jest kilkanaście drobnych, treści tkliwo-miłosnej, jedna cokolwiek większa sielanka, Koryl i Imena, i jedna moralna powiastka, Kaimak, nie stał się ani razu winnym, ani jednego wyrazu podłego; ale ani jednego także błysku wyobraźni, ani jednej iskierki uczucia, natchnienia i zapału. Poety bledszego, nudniejszego, bardziej czczego, bardziej bez duszy, niema na całym świecie.

Ten człowiek zrobił wiele złego naszej poezyi. Formułując swoje zgubne i śmieszne zasady smaku i, mimo woli może, podnosząc naśladownictwo, jako cel i szczyt zadania poezyi, stał się wyrazem kierunku niebezpiecznego zawsze, a zwłaszcza dla literatury, która już i bez tego przesycona była naśladownictwem. Największą wadą, organicznym defektem literatury Księstwa Warszawskiego było to, że brała pewne konwencyonalnie przyjęte formy i reguły za istotę piękności i poezyi, a pierwszym, który ten kierunek z całą świadomością reprezentuje, który otwiera epokę tego aleksandryjskiego pedantyzmu krytyków i recenzentów warszawskich, jest Szymanowski. W nim skupiło się wszystko, co było sztucznego i naśladowniczego w poezyi XVIII wieku, i stanęło na najwyższym szczeblu rozwoju, zebrało swoje dogmaty i ogłosiło swoje *Credo*, i w tej samej chwili, kiedy Kniaźnin, choć nieśmiało i niedołężnie, wprowadza do poezyi naturę i prawdę, on posuwa do ostateczności naśladowniczość i konwencyonalność. Odtąd rozszczepia się nasza poezya na dwa kierunki: jeden, zaledwo widzialny, odezwie się kiedyś w poezyi romantycznej, drugi, wskazany przez Szymanowskiego, tryumfuje przez ciąg dwudziestu pierwszych lat naszego wieku, paraliżuje talenty i wydaje poezyę, której poprawne formy nie zdołają zastąpić braku duszy.

A jednak ten drogoskaz fałszywego klasycyzmu, ten poeta formułek i przepisów, poeta bez talentu, bez

wyobraźni i bez duszy, jako człowiek miał duszę. Stanisław Potocki świadczy, że słabowitego zdrowia przez całe życie, nie mógł wytrzymać ciosu roku 1795 — ten go zabił; choroba się wzmogła, dręczyła go przez lat kilka, ale przyczyną jej, jak śmierci, było cierpienie moralne. Wszyscy poeci tej epoki kończą podobnie, nawet ten, który, sądząc z pism, nie miał duszy, tylko wyciąg z estetyki Laharpa, nawet ten umiera z żalu; niech mu więc za to pamięć ludzka będzie lżejsza, niż były naszej poezyi jego prawidła smaku.

III.

Pamiętniki. Stanisław August. Kitowicz. *Obraz obyczajów* i *Pamiętnik.* Michał Czacki. Generał Kopeć. Kiliński. Dąbrowski. Zajączek. Wybicki. Ogiński.

Czasy Stanisława Augusta zostawiły po sobie większą liczbę Pamiętników, niżeśmy ją kiedykolwiek przedtem mieli. Te, oczywiście, nie dadzą się zamknąć w obrębie jakich lat kilku, muszą należeć do całego okresu; dlatego teraz, w jego zakończeniu, mówimy o nich razem. Nie o wszystkich, ale o niektórych ważniejszych.

Pisał Pamiętniki nawet sam król. Młodość Stanisława Augusta (aż do pobytu w Petersburgu włącznie), przez niego samego opisana, wartość mieć musi. Dlaczego pisał po francusku, kiedy własnym językiem władał tak dobrze? Nie dla większej łatwości zapewne, tylko dla mody. To, co napisał, jest ciekawe, zajmujące; jednak nie tyle, ileby mogło być, ze względu na stanowisko i na bystry rozum piszącego.

Wspomnienia młodości (wydane przez Kraszewskiego) są, naturalnie, ciekawe, skoro opowiadają, jak on był chowany i kształcony, a dają poznać, co on myślał, czego dla siebie w życiu pragnął. Ale, choć pisane żywo i ładnie, pisane są sposobem raczej konwencyonalnym; z umysłu czy nie chcący, ale ogólnikowo, bardzo dyskretnie. Niechęć czy żal do wuja, Augusta Czartoryskiego, młodzieńcza miłość do jego córki, to jedyne uczucia, które rysują się cokolwiek wyraźniej,

silniej. Ta zaś część, która wyszła bez nazwiska wydawcy i bez żadnych objaśnień w roku 1862, jako *Mémoires secrets et inédits de Stanislas Auguste*, jest, oczywiście, zajmująca w najwyższym stopniu przez swoją treść. Smutny bohater tego romansu, opowiada szczegółowo, i zapewne szczerze, jego początki i przebieg; niebezpieczeństwa jakie przebywał, filozoficzną pobłażliwość z jaką mąż w końcu patrzał na tę sprawę, i czułą a skuteczną opiekę jaką nad Poniatowskim miała kochanka Piotra, księżniczka Woroncowówna.

List, raczej memoryał Cesarzowej Katarzyny, ze wszystkimi szczegółami o śmierci Piotra III, a jej wyniesieniu na tron (czy przez nią samą, czy tylko z jej polecenia pisany, w każdym razie z własnem zakończeniem i podpisem), należy do wielkich ciekawości historycznych. Część, dotycząca samej elekcyi stolnika litewskiego, zawiera kilka anegdot i drobiazgów, które wskazują, że przy całym swoim rozumie miał jakąś płytkość, powierzchowność w charakterze, skoro zapisuje rzeczy błahe, a pomija ważniejsze. Dwa wyznania bardzo ciekawe i ważne. Jedno, że zostając królem, miał nadzieję zaślubienia Cesarzowej Katarzyny, i żałuje, że nie postawił tego za warunek przyjęcia korony. Musiała na niego działać i miłość, wtedy jeszcze nie wygasła, i polityczne wyrachowanie. Wyznanie drugie, to, że Kayserling zapytywał go poufnie w imieniu Cesarzowej Katarzyny, czyj wybór byłby lepszy dla Polski, jego, czy wojewody ruskiegu, Augusta Czartoryskiego. On odpowiedział, że bałby się dla Polski twardego charakteru swego wuja. „Za nic nie chcemy w Polsce króla twardego"—odpowiedział poseł Imperatorowej.

Czy Stanisław August nie żałował nigdy, nie wyrzucał sobie, że król miękki zasiadł na tronie?

Ośmdziesiąt kilka *bulletynów* od jego przyjazdu do Petersburga, aż do śmierci i pogrzebu, są, oczywiście, nie przez niego już pisane. Ciekawe bardzo; przykre

jeszcze bardziej. Chciałoby się widzieć go poważniejszym, smutniejszym, nieszczęśliwszym.

Można uważać za wielkie szczęście, że w najważniejszej i najzawikłańszej epoce naszej historyi zjawiło się kilku naraz niepoślednich pamiętnikarzy. Nie mówiąc już o pamiętnikach, obrabianych w naszych czasach, jak Ochockiego, bo te, właśnie dlatego, że obrobione i ułożone, budzą zawsze pewne podejrzenia i powątpiewania, ile w nich jest *Wahrheit*, a ile *Dichtung*, i nie mogą ujść za zupełnie pewne źródła, o tych nie mówiąc, mamy kilka pamiętników współczesnych, przez nikogo nietkniętych, nie wątpliwych, bez których, bez Ogińskiego lub Wybickiego naprzykład, ta plątanina stosunków i stronnictw byłaby jeszcze trudniejszą do rozwikłania. W naszym wieku literatura pamiętnikowa znacznie się rozmnożyła, a właściwie mówiąc, niektóre i to najważniejsze pamiętniki do czasów Stanisława Augusta, jak Ogiński i Wybicki, pisane były już dobrze w naszym wieku; ale impuls dany był w przeszłym, w przeszłym zjawił się pociąg silniejszy do pamiętników i uczucie ich potrzeby i pożyteczności, a na zwiększoną urodzajność tej literatury wpłynęły zapewne dwa powody: oświata znacznie podniesiona i rozpowszechniona, rozumne pojęcie ważności historyi a świadectw współczesnych dla historyi, i drugie, przykład zagraniczny, widok, że we Francyi a nawet w Niemczech, kto żył, kto choć trochę należał do dworów i spraw publicznych, spisywał pamiętniki. Jak dawniej w każdym prawie domu notowano ważniejsze wypadki domowe na okładce od książki do nabożeństwa lub zapisywano w Sylwę wszystko o czem zasłyszano, tak teraz wielu rzuciło się do pisania pamiętników. Jest to może ten sam popęd w odmiennej formie. Z takich zapisków wiele jest zbyt domowych i prywatnych, żeby mogły mieść wartość dla historyi, i wcale wydanemi nie były, inne, pisane przez ludzi słabszego umysłu, nie umiejących rozeznać, co zapisać warto, a co nie,

potrzebowałyby być przesianemi przez przetak; ale są i takie, które bądź pod względem historycznym, bądź obyczajowym, mają wartość pierwszorzędnych źródeł. Najstarszy wiekiem z naszych pamiętnikarzy, z epoki Stanisławowskiej, zostawił pamiętniki osobne, dwojakie, w obu kierunkach, historycznym i obyczajowym; jest nim ks. Kitowicz.

Urodzony jeszcze za panowania Augusta II, zmarły już w XIX wieku, za młodu konfederat Barski, później Pijar, wreszcie wiejski pleban, widział Kitowicz własnemi oczyma dzieje dwóch ostatnich panowań, a przez całe życie chciwy wiadomości o wszystkiem co się działo, skrzętny w ich spisywaniu od młodości, przypatrzył się polskiemu życiu z różnych stron, znał je nawylot, i wiedział wszystko, co można było o niem wiedzieć. Oprócz tej ciekawości i tego bywalstwa, tego wielorakiego doświadczenia, które go robiły zdolnym do spisania pamiętników, usposabiał go do tego także rodzaj umysłu i temperamentu. Sądząc z pism bowiem, musiał to być umysł dokładny, ścisły, trzeźwy i systematyczny. Czułego, miękkiego, nawet sympatycznego nie czuć w nim nic. Jest on nietylko pozytywny, ale suchy. Nie uniesie się nad niczem, nie zapali się do niczego. Rodzaj prawdomównego mizantropa, który prawdę rąbie bez ogródki: ale ludziom tak nie wierzy, tak się przeciw nim uprzedza, że jego prawda jest często przesadą, często podejrzeniem oburzającem. Prawda, że upadek moralny był głęboki, ale sądząc z tego, co on mówi, nie było w całej Polsce jednego uczciwego człowieka. Książę Józef sprzedawał się Prusakom, Kościuszko dawał się powodować Czartoryskim i podniósł powstanie na ich wolę, za nadzieję ożenienia się z ich córką. Umysły takie podejrzliwe i nieufne nie są sympatyczne, ale bywają przenikliwe i obserwują trafnie. Ten nie jest szczególnie bystrym, w polityce wzrok jego nie sięga daleko, a ludzi więcej podejrzywa, niż na wskroś przeziera; ale ma jeden

przymiot, wiele zdrowego rozsądku, wiele tego praktycznego rozumu, który nazywamy chłopskim, a z jego pomocą odkrywa, nieraz bardzo trafnie, słabe strony planów i działań ludzi przewyższających go inteligencyą. Umysł negacyjny, upatrujący z natury złą stronę we wszystkiem i używający na niej z pewną przyjemnością, do nikogo nie przywiązany, wszystkim niechętny, nienawidzący namiętnie wszystkiego, co nowe, zacięty nieprzyjaciel Trzeciego Maja, jeżeli co kocha, to dawny porządek rzeczy, ten, do którego przywykł za młodu, pod Augustem III. Nie lubi sprawców konfederacyi Targowickiej, dlatego, że nie chodziło im o zasady tylko o osobiste widoki: ale zasady, w których imię występowali, podziela zupełnie. Konstytucya Trzeciego Maja jest dla niego takiem samem bezprawiem, takim przedmiotem zgrozy, jak konfederacya Targowicka. Przytem człowiek dobrej wiary, uczciwy; przywiązany do dawnego porządku rzeczy, szlachcic, niechętny zarówno królom, jak magnatom i jak mieszczanom, ale nie mający także illuzyi o tym stanie rycerskim, z którym go łączyły wyobrażenia i sympatye. Głowa jasna, serce chłodne, temperament drażliwy i żółciowy, takim, sądząc z pism, musiał być ks. Kitowicz, człowiek nie stworzony na poetę, ani na mówcę, ani na historyka, ale usposobiony dobrze do tego, żeby słabości swego społeczeństwa i czasu widzieć, sądzić i skrzętnie, systematycznie spisać.

Taki człowiek wpadł na myśl rzadką, oryginalną i szczęśliwą, żeby zrobić inwentarz wszystkiego, co stanowiło codzienne, potoczne życie Polski za Augusta III. Złożyło to czterotomową książkę pod tytułem: *Opis Obyczajów i Zwyczajów za panowania Augusta III.* Książka to w swoim rodzaju jedyna. Autor przechodzi wszystkie stany, wszystkie stopnie majątków i społecznego położenia, wszystkie zatrudnienia, obowiązki, czynności i wszystko to opowiada najdokładniej, nic nie opuszczając. Sądzi bardzo mało lub wcale, konstatuje tylko,

opowiada, robi urzędowe *visum repertum* obyczajów i zwyczajów. Zapewne, obyczaj w ten sposób opisany wydaje się martwym, a opis suchym, jak spis rzeczy pozostałych po nieboszczyku; ale pomimo tego książka czyta się z zajęciem, a jako źródło informacyjne jest nieoceniona. Nie należy zostawiać w historyi zbyt wiele miejsca pierwiastkowi archeologicznemu, a dzieło Kitowicza jest statystyką polskich obyczajów i zwyczajów na użytek archeologów; archeolog lub pisarz historycznych powieści, znajdzie tam skarby najpotrzebniejszych dla siebie wiadomości; historyk łatwiej się bez niego obejdzie, ale i ten w niejednej rzeczy się oświeci, niejednego się dowie, co mu rzuci wiele światła na ówczesną Polskę.

Na pierwszy rzut oka dziwi się człowiek temu śmiałemu przedsięwzięciu, i zadaje sobie pytanie, jakiej potrzeba systematyczności, jakiej drobiazgowej, pedantycznej skrzętności, żeby w takim ogólnym obrazie obyczajów nic nie opuścić, o niczem nie przepomnieć. Dziwniejsze jest, że Kitowicz istotnie nic nie opuścił, nie zapomniał o niczem. Jest to dokładność słownika lub leksykonu konwersacyjnego. Jeżeli kto ciekawy jak się Polacy ubierali, jakim krojem nosili kontusze, jakie mieli buty, co pod butami—jak się nosili na święto, jak na dzień powszedni — co jedli, jak swoje potrawy przyprawiali, ile płacili kucharzom, ile kuchtom, wszystko to znajdzie w Kitowiczu. Ktoby chciał wiedzieć, jak spali, z czego się składała ich pościel, do Kitowicza—jak się bawili, jak w lecie, jak w zimie, jak na wsi, a jak mieście, znowu do Kitowicza. Jest tak dokładny, że opisuje nawet, jak Polacy za jego czasów zwykli byli na świat przychodzić—to, jak mówi, wszędzie i zawsze odbywa się jednakowo, ale zaraz pierwsze losy polskiego dziecka, jego kąpiele, jego powijaki, jego kołyski, wszystko to opisuje z najskrupulatniejszą dokładnością, tak dalece, że jeżeli kształt dziecinnych kołysek w pewnych wo-

jewództwach różni się od tego, który jest używany w innych, nie omieszka tej różnicy sumiennie zanotować, jak gdyby chodziło o rzecz najważniejszą. Tak samo przy sprzętach pokojowych, stajennych, kuchennych, gospodarskich, tak samo przy ubiorach, tak samo przy saniach, przy polowaniach, przy nabożeństwie, cóż dopiero przy ślubach, pogrzebach i ważniejszych obrzędowych ceremoniach.

To wszystko, to czysta archeologia, archeologia zajmująca, ale bez praktycznego, przynajmniej bez bezpośredniego użytku. Ale są tam rzeczy i inne. Po owych kołyskach, po ubiorach i pokarmach dzieci, następuje naprzykład w chonologicznym porządku szkoła. Mało jest źródeł, z których możnaby się tyle dowiedzieć o stanie szkół i wychowania, jak z tej książki. Autor nic nie gani ani nie chwali, tylko podaje wszystkie szczegóły: urządzenie i podział szkół, plan i porządek nauk, rozkład godzin, hierarchia i stosunki nauczycieli, położenie i stosunki uczniów do nauczycieli i między sobą, egzaminy, promocye, nagrody, kary, prawa, sposób obchodzenia się z uczniami, wszystko to opisane tak dokładnie, tak skrupulatnie, że zda się nie braknie tam niczego. Rozdział niezmiernie interesujący, a zarazem smutny, bo dowodzący, jak nauka stała nizko, a jak wychowanie i postępowanie z uczniami, pozbawionem było wszelkiego rozumu i taktu, a opartem na najdziecinniejszych, a nieraz najfałszywszych środkach i sposobach.

Później chłopiec, wypuszczony ze szkół, obierał jakiś stan; mamy więc opisane wszystkie rodzaje życia w społeczeństwie. Naprzód stan duchowny, duchowieństwo świeckie, biskupi, kanonicy, proboszcze, ich obowiązki, prawa, dochody, czynności; potem zakonne. Wszystkie zakony, jakie tylko były na ziemi polskiej, męskie i żeńskie, ich zarząd i hierarchia, liczba i zamożność ich klasztorów, ich zatrudnienia, ich reguły, sposób życia, mniejsze lub większe wzięcie, o tem

wszystkiem można się ztamtąd dowiedzieć. Nie jest to historya Kościoła polskiego za Augusta III, ale jest zbiór ważnych do tej historyi wiadomości, których bez Kitowicza trzebaby szukać po niezliczonych źródłach, z małą zapewne nadzieją zebrania.

Czy sądownictwo było złe lub dobre, czy sądy sprawiedliwe lub nie, czy prawa słuszne i rozumne, tego się od Kitowicza nie dowiemy, ale wszystkie rodzaje sądów i ich atrybucye, zwykły porządek ich czynności, formy, w których się odbywały, hierarchia i obowiązki sędziów, zwyczaje, zachowywane przy otwarciu lub zamknięciu trybunałów, to jest opisane, a jest bardzo nauczające. Jeszcze rzadsze może i jeszcze skrzętniej zebrane są wiadomości o polskiej wojskowości, o organizacyi wojska, jego przeglądach, mustrach, żołdach, uzbrojeniu, odzieniu, żywności, porządku w marszach, o prawie wojennem, karności, regulaminie, słowem, informacya tak zupełna i obszerna, jak tylko można życzyć. Jednego tylko brak, a szkoda, to strony ekonomicznej polskiego życia, opisu gospodarstwa, stosunków handlowych i finansowych, wogóle skarbowości państwa i ekonomii kraju. Dziwna rzecz, że tę stronę tak ważną pominął, i trudno pojąć dlaczego; ale gdyby nie ten brak, dzieło byłoby kompletne i nauczające we wszystkich kierunkach, a nawet z tym brakiem jest ono w swoim rodzaju jedynem, wielkiej wartości, a ze względu na rozdziały o szkołach, sądach i wojskowości, nawet zupełnie niezbędnem.

Pamiętniki Kitowicza nie są dziełem jedynem w swoim rodzaju, jak jego *Opis Obyczajów*. Jest wiele innych o tych samych czasach, a w tej liczbie są i lepsze; ale mają i one wartość nieposlednią. Nie zdaje się, żeby autor był się obracał w sferach zupełnie świadomych spraw politycznych, podaje bowiem nieraz za pewne rzeczy, które widocznie mogły mieć chwilowy kredyt chyba u brukowej opinii, naprzykład, kiedy mówi, że ks. Józef zaprzedał się Prusakom, albo że Kościuszko

dał się wciągnąć do powstania przez ks. generała Czartoryskiego obietnicą ręki córki. Ale nawet te rzeczy, które się czyta z niedowierzaniem, są ciekawe, bo pokazują, jak ten biedny upadający kraj we wszystkich szukał przyczyny swego upadku, jak zawiedziony sto razy przez złych, gotów był posądzać nawet dobrych. Do charakterystycznych takich legend podejrzanej wiarogodności należy szczegół o śmierci prymasa Poniatowskiego. Kitowicz niecierpi króla ze słusznych i niesłusznych powodów, jako człowieka chwiejnego i słabego, ale prawie więcej jako tego, który sobie założył znieść *Liberum Veto* i zaprowadzić dziedzictwo tronu. Niecierpi także i prymasa, jako stronnika Rosyi, i jako królewskiego brata. Ta podwójna nienawiść sprawia, że wierzy i opisuje jako śmierć prymasa miała nastąpić w skutku trucizny, którą mu posłał król, z obawy, iżby się nie stał jedną z ofiar rozruchów warszawskich. Cała ta dramatyczna historya, tak niezgodna z naturą Stanisława Augusta, zdaje się być powieścią, jakie zwykle powstają między ludem w chwilach wielkich zaburzeń i nieszczęść. Jest wprawdzie tradycya, która mówi, że prymas umarł otruty, ale i ta, bardzo sprzeczna sama z sobą, podaje różne powody tego otrucia, ale chce, żeby prymas był się otruł sam. Żaden inny współczesny pamiętnik, żadna historya nie mówi o tem otruciu, cóż dopiero o roli, jaką Kitowicz przypisuje w tem królowi.

Te rzeczy niepewne, jednak nie psują Pamiętników, rzekłbym, że nadają im wybitną cechę. Kitowicz pisze je bowiem nie odrazu, po skończonych wypadkach, ale stopniowo, w ciągu wypadków; zatem takie odbicie chwilowych wrażeń i przemijających wiadomości, ma swoją wartość, bo jest wskazówką tego, jaki był stan umysłów, a czytając *cum grano salis*, można powziąć o nim wiele wyobrażenia.

Wogóle całe Pamiętniki trzeba tak czytać, a na zdaniach Kitowicza ślepo polegać nie można, ale czę-

sto także przychodzi podziwiać jego bystry i trafny rozsądek. Jest on wcale niesympatyczny, kiedy z przekąsem i naśmiewaniem się mówi o Sejmie Czteroletnim, ale z natury tak usposobiony, że łatwiej umiał dojrzeć i ocenić złe niż dobre, wytyka on słabe strony sejmu bardzo mądrze. Rozdziały, w których opisuje ludzi, naprzykład Ponińskiego i jego proces, należą do najciekawszych; szczegół rzadki i nie wiadomy jest ten, który mówi o stosunkach Węgrów z Polakami po śmierci cesarza Józefa. Węgrzy w nieporozumieniach z nowym cesarzem o *pacta conventa* mieli się zwrócić do Rzpltej z propozycyą Unii nakształt litewskiej — odzyskanie Galicyi byłoby pierwszym krokiem do tej Unii i pierwszą korzyścią. Myśl ta przyjęła się w Warszawie; pani Krakowska, marząca całe życie o czemś, co panowanie brata mogło uświetnić, pościła na tę intencyę cały Wielki Post na oleju. Rzplta oczywiście nie mogła puszczać się na niepewne losy wojny z Austryą — cesarz Leopold rozumny i łagodny uspokoił opozycyę węgierską, ale ta myśl o połączeniu Węgier z Polską, zjawiająca się w owym czasie, to uczucie potrzeby wzajemnej pomocy i podobnych interesów, jest bardzo ciekawa.

Niemniej ważna, a do dzisiejszych spraw podobna jest sprawa arcybiskupa słuckiego, nadewszystko zaś rozdział o spisku czyli koalicyi miast z r. 1790, z którego się pokazuje, jak uczucie równości stanów, przeciwne przywilejowi, już było przesiąkło do naszych miast, jak one czynnie chodziły około swoich spraw podczas sejmu, a zarazem jak energicznym i tęgim człowiekiem musiał być ten Dekert, który cały ten ruch prowadził. Czytając ten rozdział, zdaje się, że się widzi poczęcie pojęć demokratycznych w Polsce, a zarazem widzi się jak nasza demokracya ówczesna w Polsce podobna jest do francuskiej. Te miasta i ich przewodnik Dekert —pojmują się zupełnie jak *tiers état* —

we wszystkiem co robią, nawet w tych czarnych sukniach, znać, że zapatrują się na *tiers* z r. 1789.

Wartość daleko większą od objętości mają *Wspomnienia z r. 1788 do 1792*, mała książeczka, napisana przez Michała Czackiego, podczaszego koronnego. Poseł na sejm konstytucyjny z województwa podolskiego, spisał swoje wspomnienia o tym sejmie, po za jego trwanie nie wykroczył. O sobie nie mówi on wcale, tylko o sprawach i ludziach, na których patrzał; miał zaś stosunki takie, że wszystko mógł doskonale wiedzieć i ocenić. Siostrzeniec marszałka Małachowskiego, u którego się wszystkie sprawy przygotowywały, patrzył na ich przygowanie. Ożeniony z Potocką, miał tem samem wiele styczności z Potockimi wszelkich odcieni, od pana Ignacego aż do pana Szczęsnego; a brat Tadeusza Czackiego nie potrzebował daleko szukać zdrowego sądu o rzeczach, gdyby go był sam w sobie nie znalazł. Zdaje się jednak, że mu na tym nie zbywało, i sądząc z jego *Wspomnień*, musiał to być człowiek rozumny, o wiele rozumniejszy, zwłaszcza politycznie lepiej wyrobiony, od Kitowicza. Na wstępie wyprowadza z przeszłości dążność do zmian w formie rządu, i wyprowadza je bardzo trafnie i jasno; doskonale umie odróżnić zamiary i dążności stronnictw i tłómaczyć ich działanie. Sam gorliwy stronnik konstytucyi, nie zaślepia się jednak, a zarzuty, jakie jej czyni, są po części bardzo trafne, np. że królowi nie zostawiła sankcyi ustaw, ani prawa zwoływania i rozwiązywania sejmów, lub że hojna względem miast, bardzo była oszczędną w słowach i koncesyach dla stanu włościańskiego. To ostatnie nawet daje mu podejrzenie, że w liberalizmie twórców konstytucyi, a za takich ma Ignacego Potockiego i Kołłątaja, więcej było ambicyi i ubiegania się za popularnością, niż prawdziwej demokracyi. Charakterystyka tych dwóch ludzi jest u niego bardzo ciekawa, i sama wystarczyłaby, żeby książce zapewnić wartość. Kołłątaja opisuje jako

człowieka wielkiego umysłu, ale bardzo niepewnego charakteru, jako człowieka, który wie, że nie ma u ludzi szacunku, nie może im tego darować i znajduje rozkosz w tem, żeby im dać uczuć swoją siłę. Ambitny bez granic, gotów robić źle z całą świadomością, byle tej ambicyi dogodzić. Ignacy Potocki przeciwnie, ambitny jest bardzo, ale jest sumienny; są rzeczy, które ceni wyżej niż siebie. Co do celu jest zawsze w dobrej wierze, co do środków, tych nie wybiera; działa na własną rękę, w tajemnicy, kiedy się nie udało, wykręca się sztuką z trudnego położenia, nie gardzi nawet intrygą, jeżeli sobie nie może inaczej poradzić, a byle króla pozyskać dla konstytucyi, gotów użyć nawet intrygi romansowej. Byle tej konstytucyi zapewnić większość, nie waha się podstępem oddalić oponentów z Warszawy. Przytem wiele ambicyi, wiele rodowej próżności, w dziwnem, dziwacznem, ale u nas nierzadkiem połączeniu z pojęciami bardzo demokratycznemi; przytem wiele odwagi i poświęcenia. W środkach dyplomata, ale w zasadach stały, rzetelny, wierny swojemu słowu. Mniej obszerny, ale ciekawy i nauczający jest opis Szczęsnego, a między innemi zwierzenie, że w Kijowie zakochał się w sześćdziesięcioletniej Armidzie Katarzynie. Wszystko razem wziąwszy jest to czytanie bardzo zajmujące, a źródło do historyi sejmu wcale nie do pogardzenia.

Pamiętniki generała Kopcia są zupełnie osobiste i dotyczą jednego faktu: podróży i pobytu na Sybirze. Pamiętniki te pierwsze odchyliły zasłonę z tych mroźnych krain wiecznych lodów. Mickiewicz poświęcił kilka uwag tym Pamiętnikom, od których datuje poczęcie nowego działu w literaturze, literatury sybirskiej. Do jego uwag nie można nic dodać, chyba tylko pytanie, dlaczego w naszych czasach, kiedy się tak często skarżymy na brak książek do czytania, stosownych dla młodego wieku, i tyle ich z niewielkim skutkiem piszemy, dlaczego nie przyjmujemy za taką

książkę Pamiętników Kopcia. Jego rzeczywiste przygody w tych smutnych krajach nie są ani mniej fantastyczne, ani mniej ciekawe, ani mniej działające na wyobraźnię, niż fikcyjne przygody Robinsona; tymczasem wszystkie dzieci do lat dwunastu czytają Robinsona, Kopcia żadne. A jednak nie mniej zdołałby on zająć takie młode umysły, a co do strony moralnej, nie mniej korzystnie, a może korzystniej mógłby na nie wpływać.

W najnowszych czasach wszakże odkrywa się wątpliwość co do autentyczności Pamiętników. Nasuwa ją arcybiskup Feliński, w swoich Pamiętnikach, mówiąc, że generał po swoim powrocie był tak podupadły na umyśle, że niepodobna jest, by mógł był pisać. Ale może pisał na miejscu i przywiózł z sobą? Czyby kto był podrobił? Dlaczego? i w jakim celu? Jeżeli tak, to podrobił zręcznie. W każdym razie kwestya jest godna rozpoznania.

Jak ocenić Pamiętniki Kilińskiego? Właściwie poznaje się z nich tylko jednego człowieka i jego czynności, a zatem małą zaledwie część powstania Kościuszki; oprócz tego pisane są przez człowieka, który nie jest widocznie ani mężem stanu, ani wojskowym, ani nawet człowiekiem wykształconym. Gdyby nie zbieg szczególnych okoliczności, ten szewc nie byłby nigdy porzucił swojego warsztatu i nie byłby nigdy wyszedł z tej niepamięci, która jest przeznaczeniem ogromnej większości ludzi. Jest on przytem tak mało uczonym i tak mało pisarzem, że żak ze szkół początkowych wstydziłby się jego stylu; pan pułkownik pisze tak, jakby pisał czeladnik od rzemieślnika, który z piórem i atramentem ma do czynienia tylko wtedy, kiedy koniecznie trzeba zredagować rachunek za dostarczoną robotę; o stylu nie ma najmniejszego pojęcia i popełnia takie barbarzyństwa, jak naprzykład, że pisze *przez* zamiast *bez*, nie domyślając się nawet, że taka pomyłka uszłaby co najwięcej przekupce, ale nigdy pułkownikowi.

Ze stanowiska historycznego, Pamiętniki Kilińskiego, odnoszące się do jednego tylko faktu, a właściwie w tym jednym fakcie jeszcze, dające dokładne wyobrażenie o czynnościach tylko jednego człowieka, nie mogą uchodzić za źródło takie jak, nie mówiąc już o Ogińskim, ale nawet jak Pamiętniki Kitowicza lub jak Wspomienia Czackiego, człowieka, który nierównie lepiej sądzi, rozumuje, i ze wszystkiego zdaje sobie sprawę. Kiliński widzi wypadki i politykę nie ze wzniesionego stawiska człowieka, należącego do spraw publicznych, ale ze szczebla niższego, z którego to tylko obejmuje, co go najbliżej otacza i bezpośrednio obchodzi; trudności i warunków polityki, związku sprawy polskiej z ogólnem położeniem Europy nie zna, bo tych rzeczy nigdy zblizka nie widział, ani w teoryi nie mógł się w nich zagłębiać; on czuje położenie więcej niż je sądzi. On sam na nie nic nie wymyśli, ale kiedy inni pokażą mu sposób, jak je zmienić, on się go chwyci z zapałem. Przytem ta inteligencya, która z natury nie była wyjątkową ani nadzwyczajną, a wyrobioną nie była wcale, jest zajmująca i ciekawa właśnie przez to, że jest zwyczajna, że jej największym przymiotem i siłą jest tylko rozsądek. Gdyby od Kilińskiego żądać, żeby spełnił jaką dyplomatyczną misyę, spełniłby ją źle: ale kiedy w gronie uczonych oficerów układa się plan ataku, nie uczony szewc praktycznym zmysłem zadaje im pytania, zmierzające wprost do udania rzeczy, pytania, które ich wprowadzają w największy kłopot, i zawstydza ich odkryciem, że przedewszystkiem trzeba ściągnąć promy i przewozy na lewy brzeg Wisły, bo inaczej wojska rosyjskie przeprawią się z Pragi do Warszawy i stłumią insurrekcyę odrazu. O tej małej rzeczy żaden z wielkich sprzysiężonych nie pomyślał. I nietylko w rzeczach praktycznego postępowania, ale i w głównych zarysach polityki ma instynkt trafny i pewny. Nie lubi króla, ale go strzeże i gwałt jemu zadany uważałby za błąd i za klęskę. Jest dość naiwny i niedoświadczony

żeby się na ludziach nieznać, i wierzy łatwo, kiedy ktoś do niego przemawia w imię miłości ojczyzny; do przygotowań powstania daje się wciągnąć jednemu z gorszych demagogów ówczesnych, ks. Mejerowi; ale zaledwo się przypatrzył planom i robotom „francuskich duchów”, jak ich nazywa, poznał rozsądkiem, że to roboty szkodliwe sprawie, a w sumieniu uczuł, że to roboty moralnie złe.

Jednem słowem, jest to typ mogący służyć za wielką naukę dla tych zwłaszcza, którzy zwykli są pojmować lud jedynie, jako łatwą do wyzyskiwania minę społecznych namiętności. Obok prostoty, widać u niego brak zupełny wszelkiej nienawiści, wszelkiej niechęci. Króla zasłania i broni, choć nie lubi; broni nawet dowiedzionych zdrajców z narażeniem własnego życia. W jego położeniu niechęć do bogatszych, do używających życia, do próżnujących, zazdrość wypoczynku wygody i zbytku, wszystkie te uczucia tak nieszczęściem naturalne i tak łatwe do rozdmuchania u ludu, mogłyby w nim obudzić przynajmniej niechęć do ludzi szczęśliwszych od niego; tymczasem o wszystkich mówi życzliwie, z uszanowaniem i z sympatyą. Jeżeli się oburza, to na sprawców warszawskich rozruchów i egzekucyi, „na francuskie duchy”, które nazywa bez ogródki łotrami, bo i powstaniu zaszkodzili i lud bałamucili, i jego samego okrzyczeli zdrajcą, i chcieli zabić za to, że lud od rzezi wstrzymywał. Później, schwytanego swego oszczercę i chybionego mordercę, majora Chomętowskiego, sam od śmierci wyprosił; a na uśmierzenie rozruchu, sam najskuteczniej wpłynął, bo podał środek ujęcia przywódców rozruchu, a następnie sprawił, że wszystkich próżniaków oddano do wojska. Za te czynności swoje w dniach czerwcowych dostał patent na pułkownika.

Całe jego Pamiętniki obejmują tylko czas od wybuchu powstania w Warszawie (17 kwietnia 1794), aż do ostatnich grudnia tegoż roku, prócz tego rozdział

dodatkowy o więzieniu w Petersburgu. Dziwnie odbija to wszystko, co dalej następuje, od spokojnego domowego życia rzemieślniczej rodziny; co się z tym spokojem stanie za dni parę? Żona nie wie o niczem, po przebudzeniu dopiero poznaje prawdę z zostawionego papieru, wybiega, odnajduje wśród bitwy i nie chce go odstąpić, tak, że chcąc się jej pozbyć, musiał udać, że wraca do domu na zawsze, i zamknąć ją podstępem w pokoju. Przez trzy dni bije się na bruku warszawskim, potem wchodzi do Rady Najwyższej (departament skarbu), po rozruchach czerwcowych z pułkiem przez pięć miesięcy, później wysłany do Poznania (jako mający w mieście rodzinę i znany) w celu organizowania tam powstania. W ciągu tej podróży złapany przez Prusaków, wydany Suworowowi, przez tego wypuszczony na wolność, a po trzech dniach znowu wzięty i wywieziony do Petersburga z Potockim, Zakrzewskim, Niemcewiczem i t. d.

Oto jego historya, jak ją sam opowiada. A później, co się z nim stało? Uwolniony z więzienia przez Cesarza Pawła, musiał spokojnie dokonać życia w kamienicy pod nr. 145 na Dunaju i wychowywać swoje sześcioro dzieci. Cesarz Aleksander I za Królestwa kongresowego kazał mu wypłacać pensyę dymisyonowanego pułkownika. Żal jest, że się nie wie nic o dalszem życiu człowieka. Musiał zapewne z pułkownika zostać szewcem tak poprostu, jak dawniej z szewca został pułkownikiem.

Tych samych zdarzeń, powstania Kościuszki dotycze Pamiętnik generała Dąbrowskiego, napisany po niemiecku: *Beiträge zur Geschichte des Krieges vom Jahre 1794*, ze stanowiska czysto strategicznego, cały o ruchach i operacyach wojskowych, i Zajączka *Histoire de la Révolution de Pologne par un témoin oculaire*, napisana z natchnienia Kołłątaja i przez niego samego podobno przetłómaczona na polskie, książka tendencyjna, obrachowana na to, żeby całą odpowiedzialność zwalić

na króla, pełna żółci, może naturalnej u człowieka wielorako podejrzywanego, ale jednostronna tak w oskarżeniach, jak w apologii, a przeto jako źródło historyczne podrzędnej wartości.

Pamiętniki Wybickiego mają niepośledniąą, a jednak mniejszą, niżby mieć powinny. Po człowieku, który grał wielką rolę we wszystkich wypadkach czasu od konfederacyi Barskiej, aż do Królestwa kongresowego, i był zawsze w najwyższych sferach rządu, po człowieku niepospolitych zdolności, możnaby spodziewać się więcej. Zważywszy stanowisko i rozum autora, powinnyby te Pamiętniki być głównem źródłem do historyi swego czasu, bo nikt więcej i bliżej od Wybickiego nie przypatrywał się sprawom, a mało kto był zdolny tak dobrze o nich sądzić. Tymczasem, z powodu, którego nie można odgadnąć, nieustannie ma się to uczucie, że tam czegoś nie dostaje; że to pisane jakoś miękko i powierzchownie, nie co do formy, ale co treści. Nieraz kiedyby się chciało żeby więcej opisywał lub więcej sądził, on opowiada co czuł. Prawda, że pisał Pamiętniki te dla swoich dzieci, chodziło więc i jemu i tym głównym czytelnikom o ślad jego wrażeń i myśli; ale nie poświęcając tego, mógł był opowiadać wypadki i malować ludzi gruntowniej, dokładniej, obszerniej, a żałuje się tem więcej, że tego nie zrobił, iż jego sąd o ludziach i o wypadkach jest od pierwszej młodości bardzo bystry i przenikliwy, prawdziwie sąd polityka, człowieka urodzonego na męża stanu. Kiedy przystępuje do konfederacyi Barskiej, ma zaledwo lat dwadzieścia dwa, a sądzi ją tak dojrzale i mądrze, jak z konfederatów samych sądził ją tylko jeden biskup Krasiński. Później, kiedy cała Polska i cała Europa czci i wielbi gwiazdę Napoleona, Wybicki zrazu olśniony jego wielkością i uniesiony nadziejami, może pierwszy w Polsce, bo już za pobytu cesarza w Poznaniu, przenika i słabość człowieka, którego nieszczęściem było, że charakter nie był na wy-

sokości geniuszu, i całą połowiczność jego polityki względem Polski. Napoleon miał nieprzyjaciół, przeciwników i zdrajców, którzy złe strony jego i jego polityki, widzieli czasem bardzo jasno: ale na tych, którzy mu służyli i pomagali, wywierał urok, który ich najczęściej zaślepiał. Wybicki choć mu służył, choć wiązał nadzieje sprawy polskiej do jego sprawy, przejrzał go prędko i sądził doskonale. Na nieszczęście w Pamiętnikach opowiada to wszystko jakoś czy pobieżnie i od niechcenia, czy nieudolnie, dość, że jego historyczny rylec nie ma ostrza, a obraz, zamiast odznaczać się rysami silnymi i śmiałymi, jest jakiś niewykończony i zatarty, zwłaszcza w dalszych latach. Najciekawszy i najobfitszy w szczegóły, jest w początkach swego politycznego zawodu, kiedy jako pomocnik Andrzeja Zamoyskiego układa księgę praw, a zwłaszcza kiedy z całym zapałem młodości, z gorącem pragnieniem bohaterstwa, z głową rozmarzoną Plutarchem, gotuje się do swojej protestacyi na sejmie w roku 1768. Niebezpieczeństwa, jakie na siebie ściągnął, ukrywanie się po klasztorach, wreszcie ucieczka z Warszawy i przystąpienie do konfederacyi, to ustęp najżywiej opowiedziany z całych Pamiętników, a historycznie najciekawszy ten, który opisuje działanie konfederatów i konfederacyi. Z blizka widziane traci to ten poetyczny urok, z jakiem przeszło do historyi. Oprócz poważnej postaci biskupa Krasińskiego, który ma to piętno tragiczne, że mając rozum za wszystkich, nic tym rozumem poradzić nie może, wszyscy inni maleją; swarzą się, kłócą, nienawidzą, podejrzywają, a co robić, tego nie wiedzą wszyscy. Kazimierz Pułaski bije się po partyzancku, ale jego ojciec, zacny i pełen poświęcenia, nie ma wyobrażenia o wojnie ani o polityce. Franciszek Krasiński, Pac, Potocki, wydają się jeszcze gorzej, tyle między nimi osobistości i niechęci, tyle nieradności i tyle skłonności do przesadzania korzyści. Zniesienie patrolu rosyjskiego, biorą za wielkie zwycięstwo, a o tem nie pa-

miętają, że niebawem musi nastąpić atak Baru, i nic nie robią, żeby się od niego uchronić. Sam ksiądz Marek nie wydaje się Wybickiemu tą figurą natchnioną, za jaką go mieli inni. Wiele szczegółów ciekawych, ale smutnych; nieraz coś, co bardzo przypomni okropną bezmyślność i rozprzężenie roku 1863, a w tem wszystkiem, postać tego biskupa i tego młodego Wybickiego, którzy obadwa widzą, jak to źle idzie, nie wierzą w szczęśliwy koniec, a dobywają z siebie ostatnich sił, żeby to dobrze kierować i ratować, i zbliżeni do siebie zdaniem i cierpieniem, łączą się przyjaźnią, która u jednego wygląda na cześć i uwielbienie dla wielkiego człowieka, a z drugiej jakąś ojcowską dobrocią i łaskawością; te dwie postacie wyglądają bardzo pięknie i szanownie.

Pamiętniki Ogińskiego, jako pisane po francusku, właściwie nie powinnyby liczyć się do literatury polskiej, ale jakże, mówiąc o Pamiętnikach do tej epoki, nie wspomnieć chociaż o tych, z któremi żadne inne polskie co do wartości historycznej nie mogą się porównać. Ogiński nie jest u nas *in odore sanctitatis*; jest dotąd pewna niechęć do jego osoby i pamięci, pochodząca ztąd, że po zawiązaniu konfederacyi Targiwickiej przyjął urząd podskarbiego w nowym rządzie. Zrobił to z największym wstrętem, wiedząc, co warci ludzie i ich robota, zrobił wbrew swojej politycznej przeszłości, a zrobił zdaje się głównie przyciśnięty potrzebą, dla uratowania majątku, zasekwestrowanego z natchnienia Kossakowskich. Usprawiedliwia się on, jak może, z tego postępku, zasłania się między innymi listem Kołłątaja, który mu radzi przyjąć miejsce w rządzie, żeby ratować, co się ratować da; zastawia się i tem, że miejsce to przyjął dopiero po zaręczeniu i Siewersa, i Zubowa, że do nowego rozbioru Polski nie przyjdzie, a złożył je, skoro sejm grodzieński drugi podział zatwierdził. Zdaje się, że pisze prawdę, że był w dobrej wierze; ale jeżeli nawet nie, i jeżeli postępowanie jego

nie ma najlepszej z wymówek, wymówki dobrej wiary, jeżelibyśmy musieli o człowieku źle sądzić, to dzieło byłoby nie mniej znakomitem. To już prawie nie pamiętniki, ale historya w wielkiem znaczeniu słowa, dzieło pisane przez człowieka niepospolitej ministeryalnej głowy. Jest to pisane ze stanowiska polskiego i w dobrym duchu (bo jakiekolwiek było postępowanie, sposób myślenia był zawsze polski i dobry), źródło nie mniejszej historycznej wagi jak Pamiętniki głównego aktora sejmu grodzieńskiego, Siewersa. Do historyi konfederacyi Targowickiej i drugiego rozbioru, źródeł lepszych niema.

W dalszym ciągu okazuje się Ogiński gorliwym, fanatycznym wielbicielem Cesarza Aleksandra i jego polityki. Wiele współczesnych przykładów dowodzi, że mógł być szczerym. Ogiński nie wierzył w Napoleona tak, jak Adam Czartoryski, jak Kościuszko; skutek pokazał, że się nie mylili. Jeżeli nie podejrzywamy dobrej wiary tamtych dwóch, nie mamy prawa potępiać Ogińskiego za podobne przekonanie i za marzenie o połączeniu wszystkich trzech części Polski pod jednem berłem. W każdym razie, jeżeli to była pomyłka, to pomyłka głowy prawdziwie politycznej. Każda zaś kartka Pamiętników dowodzi, że one z takiej głowy wyszły, i to właśnie daje im najwyższe wyjątkowe znaczenie pomiędzy Pamiętnikami naszymi do historyi tej epoki.

IV.

Ostatnie głosy poezyi. *Bard Polski. Sybilla* Woronicza. Postęp w oświacie i literaturze. Postęp w narodzie. Czemu nie większy? Jego granice. Zamknięcie.

Skończmy ten smutny okres ostatniemi, jakie on wydał słowami miłości ojczyzny, boleści, i słabej, bardzo słabej, ale przecież nadziei.

Jest jeden poemat, tak mało znany, że wielu nie wie nawet o jego istnieniu, a przecież godzien poznania, raz jako jeden rys więcej w żywocie człowieka, który zajmował wielkie miejsce w porozbiorowej historyi, powtóre dlatego, że jest jedynym, który za przedmiot ma rozbiór kraju, wreszcie dlatego, że dziwnym wypadkiem znajdują się w nim już wyraźnie wypowiedziane te myśli, które znajdują się po części w Księgach Pielgrzymstwa, w Brodzińskiego Poselstwie, w Przedświcie i w Psalmach: tym poematem jest *Bard Polski.*

Niemcewicz, który go podał do druku, napisał do niego kilka słów przedmowy, które tłómaczą najlepiej ducha i znaczenie tego Barda, a zarazem są jego największą pochwałą. Bo pomiędzy ludźmi, którzy przeżyli rok 1795 i własnemi oczyma patrzali na ostatni rozbiór, nie wielu było takich, którzy tak go byli uczuli i tak nad nim cierpieli, jak on, kiedy po Maciejowickiej

klęsce musiał sobie powiedzieć, że wszystko stracone. Kościuszko nigdy nie wyrzekł sławnego *Finis Poloniae*, ale sama ta legenda, która te słowa w jego usta włożyła, dowodzi, że musiały one być w uczuciu wszystkich, skoro je przypisano temu, w którym skupiały się wszystkie ostatnie nadzieje, który reprezentował wszystkie ówczesne usiłowania, i skoro w nie tak powszechnie uwierzono. Legenda charakterystyczna, i charakterystycznie przywiązana do imienia człowieka, na którego głowie spoczywały wszystkie nadzieje ratunku. Wrażeń tej chwili nikt pewnie lepiej od Niemcewicza nie pamiętał, bo jej nikt boleśniej od niego nie uczuł; jeżeli więc ten krótki o kilku kartkach poemat odświeżał w nim pamięć tego, co sam podówczas był cierpiał, jeżeli on świadczy, że to jest „wierny pomnik najokropniejszej chwili", to trzeba przypuścić, że musi się tam znajdować bodaj słabe odbicie tego, co było uczuciem narodu podczas trzeciego rozbioru, a z tego powodu poemat ten nie może być obojętnym dla historyi literatury.

Naprzód trzeba powiedzieć, że nie jest to bynajmniej dziełem literackiem. Autor nie był nigdy pisarzem z profesyi, choć mu się trafiało pisać, a *Bard* jest jedynym, przynajmniej jedynym wiadomym, poetycznym jego utworem. Jest to dzieło człowieka młodego, nieledwie przypadek w jego życiu, dzieło młodości, która w cierpieniu potrzebuje się wywnętrzyć i w wywnętrzeniu instynktem szuka ulgi, a w której żal i cierpienie bywają niekiedy twórcze. Tutaj nie stworzyły one arcydzieła poezyi; *Bard* pisany był dlatego tylko, by ulżyć uciskowi serca, i dlatego także, uznany za niegodny druku, jako osobiste zwierzenie i osobista skarga, jako utwór, który do artystycznych przymiotów prawa sobie nie rościł, zachowany był w tajemnicy przez lat wiele. I znać to po nim, że nie był pisany z myślą o literackich przepisach i literackiej sławie, ale tylko dla siebie; znać, że nie jest dziełem pisarza z pro-

fesyi, ale człowieka, który pisząc mało i pisząc dla siebie, używa form, które mu są najznajomsze, które uderzyły jego wyobraźnię, dźwięków, które pozostały w jego uchu po poezyach, które czytywał. W formie *Barda* rozróżnić można dwa pierwiastki. Wiersz i język jego jest ten sam, co u wszystkich poetów polskich tej epoki, ten, którego każdy nasłuchał się od dzieciństwa i najłatwiej mógł naśladować; jego ton i układ świadczy, że autor, pospołu z całą Europą zresztą, musiał wiele przestawać z ówczesnymi poetami angielskimi, że Young i Thompson musieli silne na jego wyobraźni zostawić wrażenie. *Bard* jest elegią, nie słodko smętną, jak elegie niemieckie, ale ponurą: a w jego kolorycie wpływ Younga zdaje się być widocznym. Może i wpływ Ossyana? Ossyan był wtedy na szczycie swojej oszustwem zyskanej chwały. Bardy i Skaldy, mgły i arfy, ponure głosy wichrów i fal morskich, dziewice pełne przeczuć, wszystko to uchodziło za szczyt, za konieczny warunek poezyi. Nie sądzę, żeby *Bard Polski* miał być naśladowaniem Ossyana w zamiarze autora, i nie jest niem w rzeczywistości, bo niema tu ani tych koniecznych przyborów, ani nawet faktury Macphersona, której tajemnicę tak łatwo odgadnąć i tak łatwo, ktoby chciał, naśladować; ale w samym tytule, w tem, że jest Bard z lutnią, i że on pokazuje młodzieńcowi obraz Polski po utracie niepodległości, widać pewien, choćby daleki i pośredni wpływ Ossyana.

Jest to jak gdyby angielska elegia, napisana uświęconym tradycyjnym Stanisławowskim aleksandrynem (nie zawsze jędrnym i silnym); ale pod tą formą dwakroć pożyczoną kryje się duch i myśl, których niema ani we wzorach angielskich, ani w ówczesnej klasycznej poezyi polskiej. Możnaby powiedzieć, że sam rodzaj uczucia jest nowy, odmienny, jest już XIX-go wieku.

Młodzieniec z Bardem widzą Polskę po rozbiorze w szeregu scen czy obrazów, połączonych ze sobą tylko

postaciami osób patrzących. Obraz pierwszy, *Powstanie*, jest najogólniejszy i najszczerszy ze wszystkich, i jest odbiciem tego, co żyjącym podówczas ludziom musiało podwajać boleść. Kiedy umiera człowiek schorowany, którego każdy dzień życia jest darowanym, a otaczający wiedzą, że każda chwila może przynieść śmierć, żal po tej śmierci będzie ten sam, ale jej wrażenie nie tak przerażające. Ale jeżeli ten chory był już zdrowszym, przychodził do sił, jeżeli ci sami otaczający uwierzyli, że życie powróci, a chory wtedy nagle skończy im na rękach, żal nie będzie większy, ale to przejście z nadziei do straty będzie okropnym dodatkiem do żalu. A tak właśnie było z ówczesnym cierpieniem Polaków. Drugi rozbiór przyszedł w chwili, kiedy Trzeci Maj zdawał się rokować zupełne odrodzenie ojczyzny; trzeci rozbiór, kiedy powstanie Kościuszki podniesione przez rozpacz i zapał, zdawało się jeszcze jakąś deską zbawienia, budziło ostatnie iskry nadziei. Oni więc spadli w przepaść rzeczywistego nieszczęścia z wysokości swoich nadziei (czy złudzeń, wszystko jedno), a to przejście musiało być okropnem. Otóż temu to wrażeniu odpowiada pierwszy obraz poematu. Bard przenosi się w niedawną przeszłość, widzi Sejm Czteroletni i jego świetne nadzieje, potem Kościuszkę, Racławice, przypomina ostatnie chwile radości, zapału, nadziei... nagle wszystko się zmienia, przychodzą Maciejowice, z Polski nie zostało nawet imienia.

Obraz drugi: Dziewica. Czy to wystarcza, w poemacie, którego przedmiotem jest największe znane nieszczęście narodu, przedstawić jedno i drugie w skutkach, jakie one wywierają na prywatne stosunki i osobiste uczucia? Niezawodnie nie.

Po Dziewicy następuje obraz Młodzieńca, który w rozpaczy żegna wszystko, co kochał i o czem marzył, ojczyznę, cnotę, sławę, siebie wreszcie, bo czuje, że nie zdoła wyrobić się i być użytecznym, jakby mógł

(smutna przepowiednia, ale prawdziwa dla całych pokoleń), i któremu za całą pociechę zostaje świadomość spełnionego obowiązku. Wreszcie, obraz trzeci, Starzec, który stracił syna w boju, a córkę przy wzięciu Pragi, i kona ze słowem tęsknoty po dzieciach.

Zapewne, to przedmiotu nie wyczerpuje. Ale zapytać trzeba, czy jakiekolwiek dzieło ludzkie wyczerpać może taki przedmiot odrazu? Czy nie jest to raczej dziełem i zadaniem poezyi całych pokoleń, całego wieku? Dziś przedmiot ten jest cały objęty w naszej poezyi, ale jak, jakim sposobem; nie przez jednego poetę, ani odrazu, ani w jednym poemacie, ale przez wszystkich i częściowo, przez Dziady, Wallenroda i Tadeusza, przez Przedświt i Psalmy, przez Anhellego, Kordyana, przez wszystkich poetów mniejszych, z których każdy przynosił jakąś bodaj skromną myśl, i łzę, tym sposobem złożyła się ta *Pieśń o Ziemi Naszej* i jej rozbiorze, która się nazywa poezyą polską XIX wieku. Że jeden tej pieśni począć ani wygrać nie mógł, to jest w naturze rzeczy. Nie należy więc robić ztąd zarzutu autorowi *Barda*, który geniuszem poetycznym nie był, który sam nigdy za poetę się nie miał, a swoje dzieło uważał za grzech młodości i niewiadomości. Jeżeli czego można żałować, to, że pisząc Barda, nie zamknął się ściśle w sferze uczucia, że się puszczał na pole wyobraźni i fikcyi. Strona uczucia jest u niego tak silną, że nawet formę potrafi opanować, i ustępy czysto liryczne są istotnie piękne; wyobraźni twórczej miał mniej, a ztąd strona obrazowa, wszystkie przesuwane przed oczyma postacie i sceny, są stroną słabą poematu.

Ale byłoby niesprawiedliwością roztrząsać po literacku niedostatki dzieła, które nie było poczętem w myśli literackiej i do takiej doskonałości nie zmierzało. Lepiej powiedzieć, dlaczego, pomimo takich niedostatków, jest zjawiskiem znaczącem i godnem pamięci.

Sam fakt, że jest poemat napisany w chwili rozbioru, pod jego wrażeniem i o nim, jest znaczący, i zmy-

wa z poezyi ten zarzut, jakoby była pozostała nieczułą na nieszczęścia krajowe. Zarzut niesłuszny wogóle, bo zapoznawszy się z poetami tej epoki można się przekonać, że żaden z nich nie był nieczułym na upadek ojczyzny; tylko tutaj znajduje się uczucie wznioślejsze i czystsze. W najwymowniejszych i najenergiczniejszych wierszach Trembeckiego, w najdotkliwszych paszkwilach Zabłockiego, czuć było, że ich natchnienie płynie z uczuć zwyklejszych, niższych, jak: oburzenie, żal do ludzi, gorycz; w poezyi Kniaźnina lub Karpińskiego niema żółci ani sarkazmu, ale też niema zapału i siły uczucia. Tutaj wszystko, co ziemskie, co niższe, to znika; ten poeta nie widzi ani ludzi, ani winnych, ani niewinnych, nie szuka w nikim przyczyny, nienawiści nie ma do nikogo; widzi tylko straconą ojczyznę, tę jedną kocha, o tej jednej myśli. Wszystko, co chwilowe i przemijające, wszystkie poboczne względy i drobiazgowe oskarżenia dla niego nie istnieją, nie wytacza on procesu ani Sejmowi Czteroletniemu, jak Trembecki, ani konfederacyi Targowickiej, jak Niemcewicz, patrzy z wyższego punktu i dalej sięga okiem. Dla niego to nie proces między dwoma stronnictwami i dwiema różnemi politykami, która lepsza, ale coś więcej; sprawa pomiędzy ludzkością a Bogiem.

Wiernie z tem zajętem przez siebie stanowiskiem nie wchodzi on w to, kto się do upadku Polski przyczynił, ale zapytuje odrazu za co? Interpeluje wprost sprawiedliwość Boską, jak gdyby pytał: Jesteś, czy nie jesteś? To straszne pytanie, które człowiek stawia sobie zawsze, kiedy cierpi, to pytanie, które zadaje Bogu Job w wyrazach, które są najwymowniejszą i najprawdziwszą formułą cierpienia: „Dlaczegoś mnie stworzył? Czy jesteś takim, jak jeden z nas, i cieszy cię widok udręczenia?”, to pytanie „Dlaczego?”, które każdy z nas przez całe życie stosuje do upadku Polski, na które Mickiewicz i Krasiński odpowiedzieli sobie znaną teoryą ofiary i odkupienia, to pytanie spotykamy po raz

pierwszy w poezyi w tym Bardzie. Za co? Dlaczego my, nie zaś inni? My, którzy, wszystko razem wziąwszy, zrobiliśmy mniej złego od innych, a to złe cośmy zrobili, to tylko sobie, nie innym? Ten porządek myśli doprowadza Krasińskiego aż do apoteozy historyi polskiej i do słów: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie". Autor *Barda* do konkluzyi takiej nie dochodzi, ale, podobnie jak Krasiński, ukazuje całe dzieje Polski i pyta „Za co?"

Za jakież to ojców ciężkie zbrodnie
Gniew Jehowy dosięga nas, nieszczęsne syny? i t. d.

Na to pytanie nie ma on odpowiedzi pocieszającej, owszem, nieco dalej mówi, że „o rządach Opatrzności zwątpił i o Bogu". Autor sam w przypisku dodaje, że w chwili, kiedy to pisał, zdawało się, że już było nadziei żadnej, „późniejsze klęski oswajały z nieszczęściem i nieraz utwierdzały nadzieję odrodzenia, były upadkiem powstań: w roku 1794 był upadek ojczyzny", a Niemcewicz mówi w przedmowie, że żadne znane uczucie ludzkie nie może się równać z tem, którego oni natenczas doznawali. I łatwo wierzyć. Jednak jest tam jedno uczucie, które nie jest nadzieją, ale do nadziei prowadzi, tem uczuciem jest obowiązek i miłość. Poemat kończy się ostatnią pieśnią, która ma tytuł *Powołanie*, a w której mieści się właściwa myśl i cel autora.

Głęboka wiara w sprawiedliwość, zależne od poświęcenia i wyszlachetnienia nas samych, to brzmi, jak dźwięki Krasińskiego modlitwy o dobrą wolę. Przy wszystkich różnicach geniuszu, uczucie jest podobne, wiara jest podobna, pojęcie Polski porozbiorowej i naszego w niej powołania jest podobne, i jest u tego nie poety, nie artysty, nie literata, wyższem niż było u wszystkich poetów, artystów i literatów.

Któż jest autorem tego Barda? Kto jest ten człowiek, który prosi o cierpienie, byle mu miłość ojczyzny została? Niemcewicz mówi o nim, „że całe jego późniejsze życie było poezyą czynów i cierpień", dotrzymał poprzysiężonego powołania. Niemcewicz wówczas sam był w więzieniu. A gdzież był jego przyjaciel, autor Barda? Był na dworze Cesarzowej Katarzyny, jako towarzysz jej wnuka niby, jako zakładnik naprawdę; a później był ministrem Aleksandra I-go, był prezesem rządu w roku 1831, był wygnańcem przez ostatnie trzydzieści lat życia, a zawsze na każdem z tych stanowisk był wiernym temu powołaniu, które sobie u wstępu do swego zawodu zakreślił w tym swoim młodocianym, jedynym, tak mało znanym poemacie. Autorem Barda jest książę Adam Czartoryski; to pierwsze słowo jego zawodu, którego słowem ostatniem była piękna mowa z 3-go maja 1861, nierównie więcej niż Bard, a, niestety, ułudniej od niego tchnąca nadzieją i wiarą, ale stawiająca jak on, poświęcenie i cnotę jako powołanie i obowiązek.

Ale nie sam tylko przypadkowy wylew uczucia z serca młodzieńca, który za poetę nie miał się nigdy, jest śladem tych lat i uczuć w literaturze. Wśród pisarzy z profesyi znalazł się jeden, który wypowiedział i ból i przekleństwo; nie doskonale zapewne, ale przecież wyraził; a co więcej, pierwszy, jedyny wypowiedział (wyraźniej od *Barda*) i nadzieję, wiarę w przyszłość, ufność w sprawiedliwości Boskiej. Prawda, że ten poeta był nie talentem, ale duszą, od wszystkich współczesnych wyższy.

Woronicz był proboszczem w Kazimierzu między rokiem 1795 a 1800 i w tych to latach napisał *Świątynię Sybilli*.

Może ona być słaba i ciężka, jako poemat; ale w niej widzi się po raz pierwszy te uczucia, słyszy się te dźwięki, które kiedyś, pełniejsze, silniejsze, znajdą się u Mickiewicza i Krasińskiego.

Że *Sybilla* była pisana z myślą o Delillu, pod jego wpływem, to być może i zapewne jest. Ale te sławne w owym czasie *Ogrody*, nie służyły za wzór. Puławy to pretekst tylko; i z konieczności, dla usprawiedliwienia tytułu, może przez grzeczność dla założycielki puławskich ogrodów, jest tam w pierwszej pieśni ich, nieszczególny zresztą, opis. Ale właściwa treść jest inna. Świątynia Sybilli była zbiorem pamiątek po wielkich i sławnych ludziach polskich. Te pamiątki, te wizerunki, te popiersia, dają Woroniczowi powód do żałosnego rozpamiętywania całej przeszłości. Sybilla jest właściwie elegią nad historyą polską, w której to elegii każdy ważny fakt, każda znacząca postać ma swoje wspomnienie, a za pośrednictwem poezyi ma się wbijać w pamięć i w serca potomnych. Na nieszczęście, siły nie starczyło. Myśl jest, zamiar jest, a na wspak Zofiówki, gdzie niema myśli i treści, wykonania brak. Gdyby z tych dwóch rzeczy, z *Zofiówki* i z *Sybilli* można złożyć jedną, gdyby Trembecki był miał duszę Woronicza, albo Woronicz Trembeckiego talent, poemat tak złożony, *Sybilla* z formą lub *Zofiówka* z treścią, byłby bardzo pięknym. Na nieszczęście cały ten elegijny przegląd dziejów w *Sybilli* napisany jest tak napuszysto, a tak niedołężnie, że oprócz dobrej chęci i myśli nic mu przyznać nie można. Przegląd ten kończy się na rozbiorze; a kiedy poeta rozpacza nad upadkiem ojczyzny, wtedy zjawia się bóstwo miejsca, Sybilla, karci go za małowierność i przepowiada pewne odrodzenie tej ojczyzny, z mocy miłosierdzia i sprawiedliwości Bożej.

Równo Jego (Boga) kosztuje czy świat nowy stworzyć,
Czy tym kazać wstać z grobu, których chciał umorzyć,
Skoro więc z nim się nowem przymierzem złączycie
I na wskrzeszenie waszej sławy zasłużycie:
Nie zagrzebie waszego rodu ta mogiła.

Godne uwagi, że Woronicz, w tem różny od późniejszych poetów, każe szukać przyczyny nieszczęścia

we własnych błędach, a odrodzenie przyrzeka warunkowo, czyni zależnem od przymierza z Bogiem.

Ta sama przepowiednia znajduje prawie dosłownie w jednym z dawniejszych jego poematów pod tytułem *Zjawienie Emilki*. Emilka, jest to małe dziecko zmarłe, które we śnie ukazuje się swojej siostrzyczce (zjawienie tem mniej udatne, że przypomina nieco niezrównany ostatni Tren Kochanowskiego), każe tej siostrze pocieszać rodziców po swojej stracie, a w końcu naucza ją, że wszyscy nieroztropnie i bezbożnie rozpaczają nad upadkiem ojczyzny, bo jej zmartwychwstanie jest tak pewne, jak sprawiedliwość Boga. *Zjawienie* uchodzi zwykle za wiersz dawniejszy; ale jeden ustęp wskazuje, że w każdym razie nie mógł być napisany przed śmiercią Cesarzowej Katarzyny.

Chronologicznie nawet *Sybilla* zamyka naszą literaturę XVIII wieku; na niej też kończymy ten przegląd jej dziejów, szczęśliwi, że możemy go skończyć tem słowem wiary i nadziei, które było jej słowem ostatniem.

Jakież zostawia po sobie wrażenie, jaki sąd ogólny literatura z czasów Stanisława Augusta?

Duchem nie jest ona zapewne na wysokości naszego ówczesnego położenia, a w formie jak w pojęciach swoich ma wiele obcego. Oto jest złe, która o niej powiedzieć można i trzeba. Ale gdyby nawet na wynagrodzenie tego złego nie dało się już o niej powiedzieć nic dobrego, jeszcze nie wynikałoby ztąd, iżby ją lekceważyć można. Poezye drugiego rzędu, chwile odpoczynku i *statu quo* w literaturze, mają zawsze swoją niepoślednią wagę historyczną, a miewają częstokroć i zalety poetyczne i rzeczywiste zasługi. Są to zazwyczaj, żeby się tak wyrazić, poezye zachowawcze. poezye wykwintnych znawców, które tworzą mało, ale przechowują tradycye pięknych form, poprawności, wyborowego języka i wiersza, i przez to ułatwiają zada-

nie świetniejszym i potężniejszym geniuszom, a poezyi i językowi nie pozwalają spaść zbyt nizko, utrzymują charakter poezyi oświeconej, artystycznej, cywilizowanego narodu. Gdyby po wieku XVI była u nas nastała taka poezya, choćby mało twórcza, nie byłaby dopuściła do takiego barbarzyńskiego zdziczenia, jakiego pomniki widoczne są w poezyi pierwszej połowy XVIII wieku. Przez to samo więc mają takie poezye swoją wielką wartość. Dla nas poezya Stanisławowska ma jeszcze tę, że jakakolwiek była, była ogromnym postępem. Wszystko to, co sprawia, że dziś jest tak mało popularną, że w porównaniu z epoką następną wydaje nam się naśladowniczą i czczą, wszystko to okaże się zaletą i postępem, jeżeli ją porównamy z tem, co było przed nią. Poezya, która jako swoje jedyne kwiaty, miała do wykazania takie dzikie chwasty, jak wiersze Jabłonowskiego lub Drużbackiej, potrzebowała przedewszystkiem wycywilizować się, potrzebowała oprzeć się na pewnych estetycznych i artystycznych pojęciach. Jeżeli tego oparcia nie mogła znaleść sama w sobie, musiała go szukać w obcych wzorach i w obcej krytyce. Zapewne można żałować, że wielkie ówczesne talenty nie zrobiły odrazu większego skoku, że, zamiast szukać tych wzorów w konwencyonalnym klasycyzmie francuskim, a pojęć w fałszywej francuskiej estetyce, nie wzniosły się odrazu do zrozumienia tego, że prawdziwy klasycyzm był w krytyce niemieckiej, a prawdziwy wzór w odradzającej się właśnie niemieckiej poezyi. Ale można tylko żałować, nie dziwić się. Żeby tego zabłąkania uniknąć, bylibyśmy musieli szczęśliwym instynktem wyprzedzić innych, a my byliśmy właśnie za całą Europą w tyle. Smutno jest myśleć, że kiedy obok nas powstaje Ifigenia i Don Carlos, my mamy Satyry Krasickiego i musimy się niemi cieszyć jak postępem; smutno jest przekonać się, że się stoi nizko na umysłowej skali narodów. Smutno, ale zbawiennie: bo z tem przekonaniem rodzić się zwykło,

a przynajmniej rodzić się powinno, dążenie, uczucie obowiązku, żeby piąć się wyżej. Poeci Stanisławowscy tego wielkiego skoku nie zrobili, poszli za innymi, zaczęli wyznawać i naśladować poezyę francuską, w chwili, kiedy się jej panowanie już kończyło. I to znowu dowód, jak my zostajemy w tyle za innymi: ale w ówczesnej naszej nędzy było to przecież postępem. Język stał się na nowo doskonałym, poezya się wycywilizowała; o Krasickim lub Trembeckim, choć nie są geniuszami, możemy śmiało mówić z każdym cudzoziemcem; gdyby nam przyszło mówić z nim o Jabłonowskim i Drużbackiej, moglibyśmy mówić tylko ze wstydem. Pojęcia estetyczne francuskie zrobiły nam wiele złego przez to, że, zakorzeniwszy się, wydały później poezyę pedantyczną i niewolniczo - naśladowczą; ale w pierwszej chwili dobre były i one, bo służyły za nitkę, około której poezya artystyczna mogła się krystalizować. W wieku XVI nitki takiej nie było, to też jak zakwitła ona nadzwyczaj bujno i świetnie, tak i prędko okwitła, uschła, nie zostawiając po sobie tradycyi. Wiek Kochanowskiego jest w literaturze tem, czem bywa w polityce porządek rzeczy, oparty na jednej głowie, na jednym geniuszu. Dopóki żyje Perikles albo Zamoyski, dopóki wszystko dźwiga na sobie i ożywia, stan na pozór najświetniejszy; gdy go zabraknie, wszystko leci przyśpieszonym ruchem w rozkład i anarchię. Nasza poezya XVI wieku oparta cała na jednym wielkim poecie, pozbawiona tradycyi i punktów oparcia, jakimi jest krytyka i filozofia sztuki, rozpuściła się zaraz, straciła kształty, zdziczała, znikła. Epoka Stanisława Augusta wsparła ją podporami, już nadpróchniałemi, to prawda, ale ją postawiła na nogach, a gdy już stała, łatwiej było te podpory zastąpić innemi, zdrowszemi.

Taka jest rola i zasługa tej poezyi, wziętej ogółem. W szczegółach, jak zwykle w tych poezyach drugorzędnych, niema nic, coby było wielkiem i nieśmier-

telnem, ale są rzeczy w swoim drobniejszym rodzaju doskonałe i wielkiego wdzięku. Nie mówiąc już o doskonałości formy, tak nadzwyczajnej, że Mickiewicz na niej się kształcił, Satyry Krasickiego lub wiersze polityczne Trembeckiego są to rzeczy, które zawsze będą się czytały z największem upodobaniem i szczerem podziwieniem dla tych poetów. Naśladowali oni Francuzów w formie, ale robili lepiej niż Francuzi; i Krasicki w Satyrach stoi wyżej niż Boileau, w Wojnie Chocimskiej wyżej niż Voltaire, w poematach heroikomicznych wyżej niż oni obadwa. A potem w tych formach pożyczonych jest prawie zawsze treść, treść jędrna, ważna i swoja.

Z za Alp dojdzie niebawem do Polski echo pieśni legionów: a tymczasem w Polsce poezya kończy na dzieją i warunkową obietnicą *Sybilli*; proza w *Ustanowieniu i Upadku Konstytucyi 3-go Maja*, słowem: „Nie dajcie się strawić".

Czy ten dogasający wiek miał prawo żądać od nas, byśmy się nie dali strawić, on, który się dał pochłonąć? Biedny wiek, bez żalu nie można o nim myśleć, i choć można się zdobyć na sprawiedliwość dla niego, nawet na przebaczenie, na cześć i miłość dla niego zdobyc się trudno. Za niego stało się, co się nigdy stać nie było powinno, a on był za słaby, za mdły, żeby temu przeszkodzić. A jednak miał prawo nas upominać i od nas żądać, bo nam zostawiał sposoby spełnienia obowiązku, jaki na nas włożył. Ze wszystkich rodzajów zadośćuczynienia sprawiedliwości, najtrudniejszy jest ten, kiedy niewinny lub mniej winny płaci za winnego lub winniejszego od siebie. A jednak ta forma kary trafia się często. Ludwik XVI odpokutował grzechy, których nie był winien; coś podobnego stało się i z tą generacyą, która patrzała na ostatnie dwa rozbiory, a sama na nie nie zasłużyła. Płaciła ona, poprawiona i lepsza, *delicta majorum*. Spadkobierczyni dwóch wieków złego, światła i patryotyczna jak żadna

od dwóch wieków, musiała znieść największy znany w historyi ból.

Przypomnijmy sobie, czem była ta Polska, kiedyśmy ją w początkach tego wieku widzieli. Smutne, ogłupiałe, zdziczałe resztki narodu, niegdyś szlachetnego i dzielnego, nie czujące nawet swego poniżenia, żyjące z dnia na dzień, bez myśli politycznej, bez nauki, bez pracy; rozsypane gruzy świetnej niegdyś budowy, zbiorowisko prywatnych interesów niczem nie spojonych i nie hamowanych, a na zagłuszenie sumienia, na odurzenie się do ostatka, wielki aksyomat polityczny *Polska nierządem stoi* — i „słabość jest siłą, bo słabość jest interesem sąsiadów". Ta ówczesna Polska wygląda jak pijak, który zatarł w sobie godność człowieczeństwa, ażeby się ona w nim kiedy nie odezwała i nie gryzła go, upija się znowu. Ówczesny Polak ma dwa typy: fakcyjny magnat, nie wiedzący sam, czego chce, prowadzący na własną rękę politykę zagraniczną, sam nie wie jaką, politykę bez celu, choćby nawet złego, bez kierunku, bez podstaw, Adam Sieniawski naprzykład—i sejmikowy szlachcic, który nic nie wie, nic nie umie, tylko pić, zrywać sejmiki, i popuszczać pasa.

Tak się ten wiek zaczynał. A kończył się jako epoka jedna z najoświeceńszych, najbardziej cywilizowanych. Zamiast literatury prawie zdziczałej — dzieła, w których myśli mądrej odpowiada doskonała forma; zamiast zaprawiania do panegiryków w szkołach niższych, a czczych dysput po akademiach—wychowanie publiczne urządzone lepiej niż w większej części Europy i działające skutecznie; zamiast szlachcica popuszczającego pasa i zrywającego sejmy — ludzie jak Niemcewicz, Wybicki albo Kołłątaj; zamiast Adama Sieniawskiego i kardynała Radziejowskiego — Andrzej Zamoyski, Ignacy Potocki, biskup Krasiński, a obok nich typy i postacie nowe, nieznane, zjawiające się po raz pierwszy: Staszic, myśliciel, uczony, polityk, wychodzący z łona klas dotąd politycznie nie żyją-

cych, i Kiliński dowodzą, że życie zaczęło przeciskać się tam, gdzie go dotąd nie było. Zamiast cierpliwej rezygnacyi wreszcie, z jaką w r. 1717 przyjęto gwarancyę Piotra W., konfederacya Barska, dwanaście lat ogromnej pracy od r. 1775 do 1788, a zamiast hasła „Polska nierządem stoi", konstytucya, o której Burke i Sieyès powiedzieli, że jest najlepszą w Europie. Złe zostało, zostało go wiele, i zrobiło swoje; nie znika ono tak prędko, i „narodu duch zatruty" potrzebuje wiele czasu, nim się trucizny i jej skutków pozbędzie; ale postęp był wielki, głęboki, obejmujący wszystkie warstwy narodu i wszystkie kierunki życia.

Jakim sposobem się dokonał? Naprzód głębokiem i żywem uczuciem upadku, poniżenia, dokładnem, sumiennem poznaniem swego stanu; potem pracą ogromną, nigdy może w Polsce nie widzianą, pracą we wszystkich kierunkach, tą pracą uczciwą i rozumną, codzienną, nie ustającą, która jedna buduje i podnosi; a wreszcie nawróceniem się do tej oświaty zachodniej, która jest zawsze w każdej danej chwili najobfitszem ogniskiem i ostatniem słowem światła. Złego wzięła od niej Polska wiele, wiele zarodów, z których wyrodziły się później choroby do dziś nie uleczone, ale z letargu wyszła, oświeciła się, odżywiła w sobie ducha i nam go podała, tak, że, upadając, miała prawo zawołać na nas „starajcie się żyć," bo nam zostawiała o czem żyć. Zostawiała nam wyrobione pojęcie państwa i społeczeństwa, zostawiała nam oświatę, literaturę, naukę i podniesione, spotęgowane uczucie miłości ojczyzny.

Dlaczego wiek, który potrafił swój kraj oświecić, urządzić, reformować, odrodzić, nie zdołał go uratować? Dlaczego, kiedy tyle zrobił, nie zrobił więcej? Bo słaby mocnym nie może dać rady? Bo król pruski zdradził? Bo wojna turecka skończyła się nieszczęśliwie prędko? Bo rewolucya francuska wybuchła w najgorszą porę? Prawda, wszystko prawda. Ale obok wszystkich powodów zewnętrznych, były ważniejsze, we-

wnętrzne. Dlaczego konfederacya Barska, która choć nieszczęśliwie podniesiona, prowadzona niedołężnie, mogła stać się środkiem obrony, dlaczego rozeszła się z rozbiorem jako jedynym swoim skutkiem? Dlaczego Sejm Konstytucyjny radził cztery lata, kiedy powinien był najprędzej przestać radzić, a jak najprędzej zacząć robić? Dlaczego na Sejmie Grodzieńskiem znalazło się zaledwo kilku ludzi, którzy rozbioru podpisać nie chcieli? Wreszcie, dlaczego powstanie Kościuszki było militarnie tak słabem—dlaczego? Bo „narodu duch zatruty" nie pozbywa się łatwo trucizny, i ona tam zawsze była. Tą trucizną jest nienawiść, a raczej powód nienawiści, egoizm, który jeden z teologów uważa za ów grzech pierworodny, który skaził wolę i naturę człowieka. Cała nasza historya od dwóch wieków była historyą wybujałych egoizmów, a tak się one zagnieździły, tak nas zepsuły, że nawet w tej zkądinąd wysokiej i szlachetnej epoce, egoizm ten i jego skutki, nienawiści, zazdrości, opuszczenia innych i sprawy, prowadziły swój proces rozkładu. Dlaczego konfederacya Barska wolała zostać słabą, częściową i dać się zgnieść, niż stać się silną, powszechną i zwyciężyć? Bo nie chciała mieć nic wspólnego z panem stolnikiem litewskim. Dlaczego konfederacya Radomska udała się do Cesarzowej Katarzyny z prośbą o gwarancyę? Bo się spodziewała detronizacyi nienawistnego króla. A nie mówiąc już o tych wypadkach, w których ten egoizm przybierał formy najniższe i najbrzydsze, jak sejm roku 1775, dlaczego Stackelberg mógł tak samowładnie rządzić w Warszawie, dlaczego prace Sejmu Konstytucyjnego szły tak oporem i pomału? Bo niezliczone nasze egoizmy wytworzyły niezliczoną liczbę polityk, bo każdy miał swoją, a innej przyjąć nie chciał, dlatego, że mu ją drugi podawał.

W samym szanownym i wielkim Sejmie Konstytucyjnym ile tam różnych polityk! Król ma swoją, stronnictwo konstytucyjne swoją! Ile trzeba było cza-

su, żeby się to zbliżyło, zjednoczyło, a jak niepewne i nietrwałe zbliżenie! Gdyby mniej tej trucizny nieufności i niechęci, gdyby więcej ducha wyrzeczenia się siebie, byłaby konferencya Barska pozyskała króla, zamiast go porywać, Radomska ani Targowicka nie byłyby stanęły — Sejm Konstytucyjny nie byłby się doczekał końca wojny tureckiej i wkroczenia wojsk rosyjskich do Polski. Ale to wyrzeczenie się siebie, ta służba czysta i wolna od egoizmu, jest u nas nienawidzianą rzadkością. Jest wielu takich, którzy poświęcą wszystko, ale nie dlatego, żeby poświęcić, tylko żebym *ja* poświęcił i żeby to było wiadome i głośne, żeby inny nie miał ani zasługi ani chwały. Ofiara, z egoizmu, ofiara z uprzedzeń i niechęci, była za wysoką dla konfederacyi Barskiej, o innych już nie mówiąc: w Sejmie Czteroletnim są jej przykłady, ale i tu jest ta szkodliwa niejedność kierunków i polityk, z których nie wiedzieć, która była lepszą, ale z pewnością każda była lepszą, aniżeli dwie razem w jednem właściwie stronnictwie.

Trzebaż dodać, że wielkich charakterów i cnót nadzwyczajnych, jakich to nadzwyczajne położenie wymagało, wiek ten wydać nie mógł, bo był sparalizowany na duchu i niewiarą, sceptycyzmem, materyalizmem, które się rozeszły po kraju, jak zaraza. Jakże zdobędzie się na coś wielkiego ten, który nie umie wierzyć, a o wszystkiem wątpi? Zkąd weźmie zapału, zkąd weźmie nadziei, zkąd weźmie siły, jeżeli nie jest dobrze przekonany, co złe, a co dobre, jeżeli nie ma w sobie jakiego ideału tego co dobre, i nie czuje się odpowiedzialnym, lub co najwięcej odpowiedzialnym tylko wobec towarzystwa i prawideł honoru. Dusze były wysuszone, na wielką siłę zdobyć się nie mogły. Trzebaż dodać jeszcze, że jest związek tajemniczy, ale rzeczywisty między moralną dzielnością narodu a surowością jego obyczajów, i że społeczeństwo lekkie i rozpustne na bohaterstwo rzadko się zdoby-

wa? Filozofia wieku skaziła duszę, obyczaje wieku rozmiękczyły ją; wiara, albo odrzucana zupełnie, albo zachowana dla przyzwoitości, albo praktykowana bez myśli, przestała być uczuciem i siłą, wędzidłem obyczajów, wskazówką obowiązku, podnietą do cnoty, trudno, żeby w takich warunkach powstać mogły wielkie cnoty i wielkie charaktery, a tylko takie robią wielkie rzeczy. Było więcej charakteru i było więcej miłości ojczyzny, i więcej rozumu: ale nie było dosyć, te charaktery i te rozumy nie były dość wielkie. Król, politycznie może rozumniejszy od innych, ale ze stanowiskiem podkopanem z góry, sposobem jakim przyszedł do korony, podkopujący je dalej swojem postępowaniem, niezdolny dodać sobie powagi, ani do siebie ufności obudzić, bo chwiejny, w siebie nie ufny i powagi swojej nie umiejący szanować, król, który pozwolił, żeby obcy poseł porwał i wywiózł senatorów z jego stolicy, który podpisał pierwszy rozbiór, później nie mógł zrozumieć, że dla królów w pewnych razach jest konieczność szukania śmierci, ani tego, że po ostatnim rozbiorze powinien był dać z sobą zrobić, coby byli chcieli, ale nie abdykować, nie podpisywać trzeciego. Ci ludzie, którzy ułożyli i przeprowadzili Konstytucyę 3-go Maja, mieli niezawodnie i rozum i patryotyzm, a przecie dzieje tego sejmu są smutne. Smutne przez to, że w pierwszych jego czasach ci patryoci nie umieją wznieść się po nad ciasne niechęci i co robią, to głównie z niechęci do króla, i przez tę niechęć wpadają w grube polityczne błędy; przez to, że później dawszy się złudzić przymierzem pruskiem i rzuciwszy siebie i kraj w tę politykę, nie umieli się w niej utrzymać, poddać się jej koniecznościom. Nie trzeba było tego przymierza zawierać: ale zawarłszy, trzeba było wyrzec się już śmiało Torunia i Gdańska, a za to mieć plecy pewne i Galicyę odebraną. Był smutny wreszcie ten sejm, bo gadał więcej, niż robił, bo groził, a zwyciężyć nie mógł, bo wierzył lekko, bo nieraz działał

płocho, bo się pozorami cieszył, i dlatego całe światło i wszystko dobre jakie w nim było, nie zdało się nawet na to, by odwlec katastrofę, która odwleczona o lat kilka tylko, nie byłaby przyszła. Jego przeciwieństwo, konfederacya Targowicka i sejm Grodzieński były hańbą; powstanie Kościuszki było tylko zmyciem tej hańby, uratowało honor.

Z takich to powodów wiek XVIII nie zdołał nam zostawić niepodległej ojczyzny. Ale mimo to miał prawo żądać od nas, żebyśmy się utrzymali, bo nam zostawiał podniesioną oświatę, świadomość siebie i miłość ojczyzny, a sam w swoim końcu był nierównie lepszy, niż w swoim początku i swojej połowie.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

DZIEŁA I ROZPRAWY

używane przy pisaniu tomu trzeciego.

Szujski. Dzieje Polski podług ostatnich badań spisane. Lwów 1862—66, 4 tomy.
— Opowiadania i roztrząsania historyczne. Kraków 1876—82
Bobrzyński. Dzieje Polski w zarysie. 3-cie wydanie. Warszawa i Kraków 1887—90. 2 t.
Jarochowski. Dzieje panowania Augusta II od śmierci Jana III do chwili wstąpienia Karola XII na ziemię polską. Poznań 1856.
— Dzieje panowania Augusta II od wstąpienia Karola XII na ziemię polską, aż do elekcyi Stanisława Leszczyńskiego. Poznań 1874.
— Z czasów Saskich. Poznań 1886.
Roeppell. Polen um die Mitte des XVIII. Jahrhunderts. Gotha 1876.
Kraszewski. Polska w czasie trzech rozbiorów. Poznań 1873. 3 t.
Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta. Kraków 1897—98. 6 t.
Kalinka. Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. 2 wyd. Kraków 1891. 2 t.
— Sejm Czteroletni. 4 wyd. Kraków 1895—96. 3 t.
Smoleński. Ostatni rok Sejmu Wielkiego. Kraków 1896.
Wegner. Dzieje dnia 3 i 5 Maja 1791 r. Poznań 1865.
Balzer. Reformy społeczne i polityczne Konstytucyi Trzeciego Maja. Kraków 1890 (*Przegląd Polski*).
Korzon. Kościuszko, życiorys z dokumentów wysnuty. Kraków 1894.
Hoffman. Historya reform politycznych w dawnej Polsce. Lipsk 1867.
Kantecki. Stanisław Poniatowski, kasztelan krakowski, ojciec króla Stanisława Augusta. Poznań 1880. 2 t.

*

Smoleński. Kuźnica Kołłątajowska. Kraków 1885.
— Przewrót umysłowy w Polsce w wieku XVIII. Kraków 1891.
Offmański. Znaczenie „Monitora" dla umysłowego i moralnego rozwoju w Polsce w XVIII wieku. Lwów 1895 (*Przewodnik nauk. i liter.*).
Tomkowicz. Z wieku Stanisława Augusta. Kraków 1882.
Estreicher. Bibliografia polska. Kraków 1870—90. 11 t. (t. 8 i 9).
Spasowicz. Dzieje literatury polskiej. 3 wyd. Warszawa i Kraków 1891.
Chmielowski. Historya literatury polskiej. Warszawa 1898 — 99. 3 t. (t. 2 i 3).
Bełcikowski. Dwie epoki naszego pseudo-klasycyzmu (*Ze studyów*). Warszawa 1886.
— O narodowym charakterze i zasługach literatury z czasów Stanisława Augusta (*Ze studyów*). Warszawa 1886.
Bartoszewicz. Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku. Petersburg 1853—57. 3 t.
Siemieński. Portrety literackie. Poznań 1865—75. 4 t.
Pilat. O literaturze politycznej Sejmu Czteroletniego. Kraków 1872.
Bogusławski. Dzieje teatru narodowego (*Dzieła*, t. I). Warszawa 1820.
Estreicher. Teatry w Polsce. Kraków 1873—79. 3 t.
Chmielowski. Nasza literatura dramatyczna. Petersburg 1898. 2 t. (t. 1).

Karwicki.

Bartoszewicz. Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej w r. 1706. Kraków 1868—69 (*Przegląd Polski*).
Krzyżanowski. Wstęp do wydania: De ordinanda republica. Kraków 1871.

Jabłonowski.

Bartoszewicz. Jan Stanisław Jabłonowski (*Dzieła*, t X). Kraków 1881.

Leszczyński.

Hoffman. Król wygnaniec. Lipsk 1856. 2 t.
Duchińska. Rękopismy króla Stanisława Leszczyńskiego. Warszawa 1866 (*Bibliot. Warszaw.*).
Rembowski. Stanisław Leszczyński jako statysta. Warszawa 1878.
Ziemba. Stanisław Leszczyński, studyum. Lwów 1888 (*Przewodnik nauk. i liter.*).
Boyé. Un roi de Pologne et la couronne de la Lorraine: Stanislas Leszczyński et le troisiéme traité de Vienne. Paris-Vienne-Cracovie-Nancy 1898.

Drużbacka.

Tyszyński. Wizerunki polskie. 1875.
Bojarski. Elżbieta z Kowalskich Drużbacka, życie i pisma. Przemyśl 1895 (*Sprawozdanie gimnazyalne*).

Rzewuski.

Tyszyński. Wizerunki polskie. Warszawa 1875.

Minasowicz.

Sobieszczański w Encyklopedyi powszechnej, t. XVIII, r. 1864.

Załuski.

Weinert. Wykryty rękopism Jędrzeja Załuskiego biskupa kijowskiego. Warszawa 1867 (*Bibl. Warsz.*).
Bartoszewicz w Encyklopedyi powszechnej, t. XXVIII, r. 1868.
Estreicher. Bibliografia polska, t. I. Kraków 1870 (*wstęp*).
Bartoszewicz. Dzieła t. VII. Kraków 1880.

Radziwiłłowa.

Mycielski. Matka księcia „Panie Kochanku". Kraków 1882 (*Przegląd Polski*).

Bohomolec.

Tyszyński. Wizerunki polskie (*Komedya polska w XVIII wieku*). Warszawa 1875.
Biegeleisen. Żywot księdza jezuity Franciszka Bohomolca. Lwów 1879 (*Album młodzieży ku uczczeniu J. I. Kraszewskiego*).
Łagowski w Encyklopedyi wychowawczej, t. II. Warszawa 1882.
Bełcikowski. Pierwszy sceniczny pisarz polski (*Ze studyów*). Warszawa 1886.
Malinowski. O języku komedyj Franciszka Bohomolca. Kraków 1895 (*Rozprawy Wydz. filolog. Akad. Um.*, t. XXIV).

Garczyński.

Baliński w Encyklopedyi powszechnej. t. IX, r. 1862.

Konarski.

Pilat. Nieznane pismo polityczne Stanisława Konarskiego p. t. Suum cuique. Kraków 1869 (*Przegląd Polski*).
Szlachtowski. O piśmie politycznem Suum cuique i jego autorze. Kraków 1870 (*Przegląd Polski*).
Nacher. Dwa dzieła Konarskiego: O religii poczciwych ludzi 1769, i De religione honestorum hominum 1771. Stryj 1883 (*Sprawozdanie szkoły realnej*).
Łagowski. Konarski jako reformator szkół. Warszawa 1884 (*Przegląd Pedagogiczny*).
— Collegium nobilium. Warszawa 1887—88 (*Przegląd Pedagogiczny*).

Wojciechowski. Młodość Stanisława Konarskiego. Lwów 1895.
Biegański. Poczet prac księdza Stanisława Konarskiego. Mikołów 1896.
Biegeleisen. Stanisław Konarski w procesie Jezuitów z Pijarami. Lwów 1896 (*Muzeum*).
Biegański. Konarsciana: Zbiór dokumentów, odnoszących się do życia i działalności księdza Stanisława Konarskiego. Mikołów 1897.
Sienicki. Reformy Konarskiego w szkolnictwie polskiem. Lwów 1898 (*Sprawozdanie IV gimnazyum*).

Krasicki.

Bartoszewicz. Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku Petersburg 1853--58. 3 t.
Gruszczyński. O znaczeniu Myszeidy. Poznań 1863.
Ehrenberg. Wykład bajek Krasickiego. Kraków 1871.
Chotkowski. O Myszeidzie. Poznań 1874.
Kraszewski. Żywot i dzieła Ignacego Krasickiego. Warszawa 1879.
Tomkowicz. Wiersze nieznane, tudzież waryanty Naruszewicza, Krasickiego, Trembeckiego. Kraków 1882 (*Przegląd Polski*).
Nehring. Poezye Krasickiego (*Studya*). Poznań 1884.
Bełcikowski. Jeden rozdział z monografii o Ignacym Krasickim (*Ze studyów*). Warszawa 1886.
Chmielowski. Charakterystyka Ignacego Krasickiego (*Studya i szkice* t. I). Kraków 1886.
Górski. Studya nad bajkami Krasickiego. Kraków 1887 (*Przegląd Polski*).
Zathey. Nowe studyum o bajkach Krasickiego. Kraków 1888 (*Przegląd Powszechny*).
Mandybur. Ignacy Krasicki w stosunku do Lucyana i Erazma z Roterdamu. Warszawa 1891 (*Ateneum*).
Kurpiel. Przekonania religijne Ignacego Krasickiego. Kraków 1893 (*Sprawozdanie szkoły realnej*).
Tretiak. Ignacy Krasicki jako prezydent trybunału. Kraków 1895 (*Rozprawy Wydz. filolog. Akad. Um.*, t. XXIV).
Mandybur. O „Historyi" Ignacego Krasickiego. Lwów 1895 (*Kwartalnik Historyczny*).
Tretiak. O satyrach Krasickiego (*Szkice literackie*, serya I). Kraków 1896.

Naruszewicz.

Bartoszewicz. Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku. Petersburg 1853—57. 3 t.
Brodziński. O satyrze (*Pisma* t. V). Poznań 1873.

Kraszewski. Naruszewicz jako poeta (*Nowe studya literackie*). Warszawa 1873.
Tomkowicz. Wiersze nieznane, tudzież waryanty Naruszewicza, Krasickiego, Trembeckiego. Kraków 1882 (*Przegląd Polski*).
Chmielowski. Adam Naruszewicz jako poeta (Adama Naruszewicza *Wybór poezyj*, wstęp). Warszawa 1882.
Bełcikowski. Adam Naruszewicz jako poeta (*Ze studyów*). Warszawa 1886.
Kurpiel. Kilka słów o Adamie Naruszewiczu (*Pamiętnik słuchaczy uniwersytetu Jagiellońskiego*). Kraków 1887.
Maślak. Charakterystyka od Naruszewicza i ich znaczenie we współczesnej literaturze. Przemyśl 1899 (*Sprawozdanie gimnazyalne*).

Trembecki.

Mickiewicz. Objaśnienia do Zofijówki (*Poezye Stanisława Trembeckiego*). Wilno 1822.
Klimaszewski. Rozbiór poezyj Stanisława Trembeckiego. Wilno 1830.
Siemieński. Portrety literackie. Poznań 1868. 3 t.
Tomkowicz. Erudycya Trembeckiego. Kraków 1879 (*Przegląd Polski*).
— Jeszcze o uczoności Trembeckiego i kilka nieznanych jego tłómaczeń poetyckich. Kraków 1880 (*Przegląd Polski*).
— Wiersze nieznane, tudzież waryanty Naruszewicza, Krasickiego, Trembeckiego. Kraków 1882 (*Przegląd Polski*).
Tretiak. Mickiewicz i Trembecki (*Szkice literackie*, serya I). Kraków 1896.
Biegeleisen. Listy Trembeckiego do króla. Warszawa 1897 (*Ateneum*).
— Nieznane prace Trembeckiego. Warszawa 1897 (*Biblioteka Warsz.*).

Węgierski.

Siemieński. Portrety literackie. Poznań 1865. 1 t.
Estreicher. Tomasz Kajetan Węgierski. Lipsk 1883.

Karpiński.

Korotyński Winc. Stanowisko Franciszka Karpińskiego w literaturze. Warszawa 1872 (*Wieniec*).
Rzętkowski. Franciszek Karpiński. Warszawa 1872 (*Tygodnik illustrowany*).
Próchnicki. O życiu Franciszka Karpińskiego. Lwów 1876.
Kraszewski. O Franciszku Karpińskim. Warszawa 1880 (*Kłosy*).
Bełcikowski. Franciszek Karpiński (*Ze studyów*). Warszawa 1886.

Górski. Dziecinne i szkolne lata Karpińskiego. Warszawa 1891 (*Biblioteka Warszawska*).
Chmielowski. Wstęp do wydania pism. Warszawa 1896.

Kniaźnin.

Czartoryski. Życie Kniaźnina. Poznań 1853 (*Przegląd Poznański*).
Saryn. Franciszek Dyonizy Kniaźnin. Warszawa 1881 (*Tygodnik Illustrowany*).
Dębicki. Puławy. Lwów 1887—88. 4 t.
— Franciszek Dyonizy Kniaźnin. Lwów 1888 (*Przew. nauk. i literacki*).

Woronicz.

Koźmian. Pamiętniki. Poznań 1859—65.
Siemieński. Portrety literackie. Poznań 1875. 4 t.
Ottmann. Jan Paweł Woronicz. Kraków 1883 (*Przegląd Polski*).
Dębicki. Puławy. Lwów 1887—88.

Zabłocki.

Tyszyński. Komedya polska w XVIII wieku (*Wizerunki polskie*). Warszawa 1875.
Bełcikowski. Ze studyów. Warszawa 1886.
Gawalewicz. Franciszek Zabłocki. Szkic biograficzno-krytyczny. Kraków 1894.
Kąsinowski. Beiträge zu einem Studium des Lustspieldichters Franciszek Zabłocki. I. Theil. Brody 1897 (*Sprawozdanie gimnaz.*).

Bogusławski.

Estreicher. Teatry w Polsce. Kraków 1873—79. 3 t.
Pepłowski. Bogusławski we Lwowie, ustęp z dziejów sceny polskiej 1795—1799. Lwów 1895.
— Z autografów Bogusławskiego. Lwów 1895 (*Przewodnik nauk. i liter.*).

Staszic.

Zawadzki. Stanisław Staszic. Lwów 1860.
Szujski. Stanisław Staszic jako pisarz polityczny. Kraków 1866 (*Przegląd Polski*).
Pilat. O literaturze politycznej Sejmu Czteroletniego. Kraków 1872.
Wojewódzki. Stanisław Wawrzyniec Staszic. Warszawa 1879.
Kalinka. Sejm Czteroletni. Lwów 1886. 2 t.
Korzon. Staszic jako historyozof. Lwów 1887 (*Kwartalnik Historyczny*).
Pawiński. Stanisław Staszic. Warszawa 1897 (*Niwa*).

Grabowski. Stanisław Staszic, jego pisma polityczne i pojęcia filozoficzne. Kraków 1898 (*Przegląd Polski*).

Kołłątaj.

Śniadecki. Żywot literacki Hugona Kołłątaja (*Dzieła*, t. II). Warszawa 1837.

Schmitt. Pogląd na żywot i pisma ks. Hugona Kołłątaja. Lwów 1860.

Mecherzyński. O reformie akademii krakowskiej w r. 1780 przez Hugona Kołłątaja. Kraków 1864.

Wegner. Hugo Kołłątaj na posiedzeniu rady królewskiej 23 lipca 1792. Poznań 1869.

Pilat. O literaturze politycznej Sejmu Czteroletniego. Kraków 1872.

Merczyng. Kołłątaja i Czackiego projekt urządzenia gimnazyum wołyńskiego. Warszawa 1881.

Smoleński. Kuźnica Kołłątajowska. Kraków 1885.

Kalinka. Sejm Czteroletni. Lwów 18-6. 2 t.

Kozłowski. Kościuszko, Kołłątaj i rewolucya francuska Lwów 1898 (*Kwartalnik Historyczny*)

Smoleński. Uwięzienie Kołłątaja. Warszawa 1899 (*Bibliotek Warszawska*).

SPIS TREŚCI.

